

BEN KANE



# HANNIBAL

## WRÓG RZYMU

Opowieść o przyjaźni, braterstwie,  
gniewie i zemście

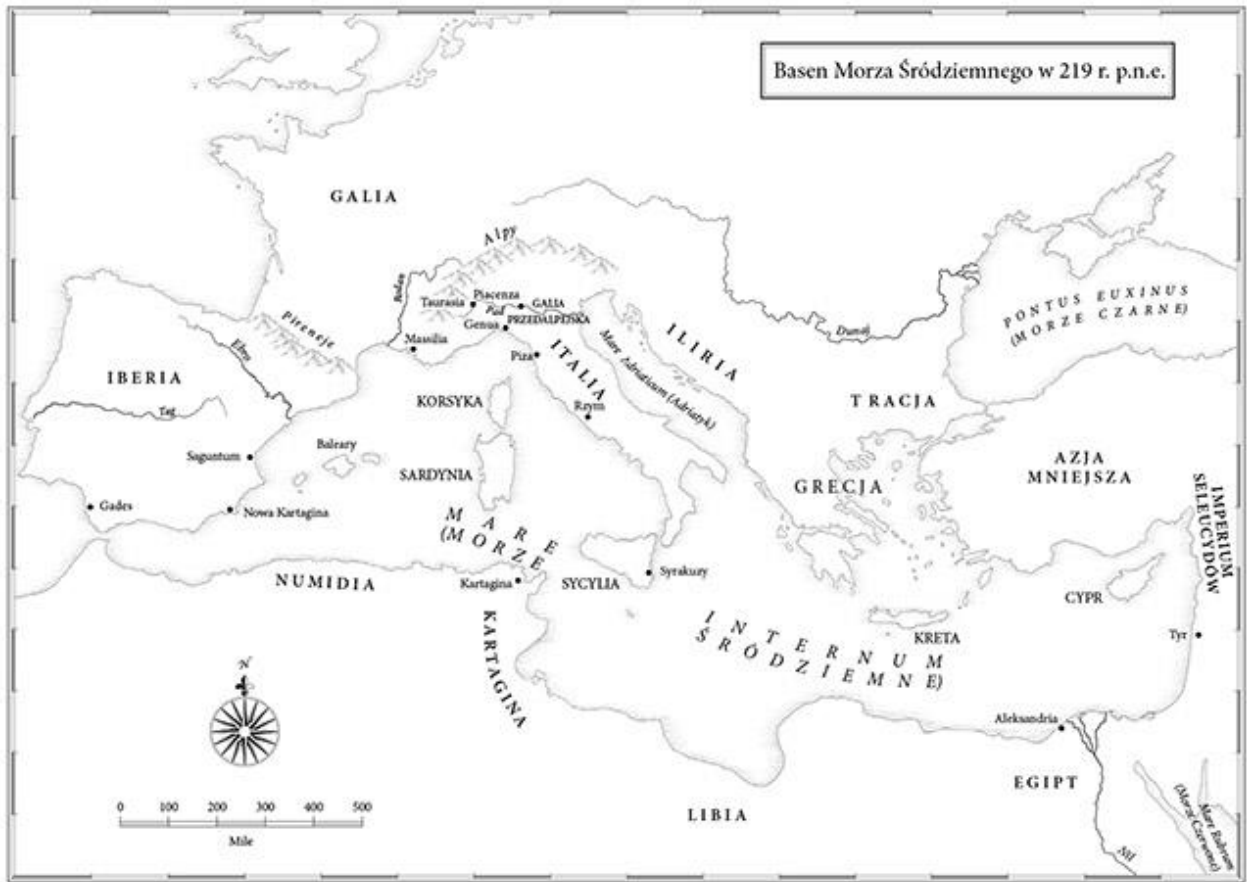
BEN KANE  
HANNIBAL  
WRÓG RZYMU

Przekład Arkadiusz Romanek  
Znak Horyzont  
Kraków 2018

*Dla Ferdiego i Pippy, moich wspaniałych dzieci.*



Basen Morza Śródziemnego w 219 r. p.n.e.



## Rozdział I



Kartagina, wiosna

Hanno! – głos ojca zadudnił echem w korytarzu, odbijając się od ścian zdobionych malowaną sztukaterią. – Czas na nas!

Przeszedł nad rynną, która odprowadzała płynne odpady do studni chłonnej, znajdującej się na tej ulicy, ale nieco dalej, po czym obejrzał się za siebie. Był rozdarty. Obowiązek? Czy towarzystwo Suniatona? Przyjaciel właśnie machał do niego zniecierpliwiony, zachęcając, aby się pospieszył. Ojciec coraz częściej zmuszał go do udziału w spotkaniach, podczas których rozmawiano na temat ostatnich wydarzeń politycznych, co... niewyobrażalnie go nudziło. Każde posiedzenie rady przebiegało według takiego samego schematu. Najpierw grupa wywyższających się brodatych starców, najwyraźniej zakochanych w brzmieniu swoich głosów, wygłaszała niekończące się perory, niezmiennie twierdząc, że Hannibal Barkas w Iberii pozwala sobie na działania przekraczające jego kompetencje. W tym czasie Malchus – jego ojciec – oraz najbliżsi zwolennicy Hannibala mówili niewiele albo zgoła nic. Przynajmniej zanim te wszystkie siwe brody nie zamilkły. Potem jednak wstawali kolejno i każdy przedstawiał zupełnie inny punkt widzenia. Malchus zabierał głos jako ostatni. Niemal zawsze mówił to samo: Hannibal, któremu powierzono władzę w Iberii zaledwie rok wcześniej, wykonuje wielką, ważną pracę – umacnia pozycję Kartaginy, podporządkowując sobie lokalne ludy. Tworzy zdyscyplinowaną armię, a co najważniejsze, wypełnia skarbiec srebrem z iberyjskich kopalń. Któż inny byłby zdolny do równie heroicznych czynów, ogromnie przy tym wzbogacając Kartaginę? Gdy wziął w obronę plemiona zaatakowane przez sprzymierzone z Rzymem miasto Saguntum, decyzja ta również wynikała z dążenia do umocnienia w regionie pozycji Kartaginy. W związku z tym młody Barkas powinien zachować swoje pełnomocnictwa.

Hanno wiedział, że polityków motywował strach, po części uśmierzony przez obraz potęgi armii tworzonej przez Hannibala, a także chciwość, na którą z kolei było inne remedium – statki wyładowane cennym srebrem z Iberii. Malchus dobierał niezwykle starannie argumenty i zazwyczaj udawało mu się uładzić sprawy pięknymi słówkami, chociaż czasami potrzebował na to wielu godzin. Niekończące się tańce polityków sprawiały, że chciało mu się krzyczeć. Jakże chętnie wygarnąłby tym starym głupcom, co naprawdę o nich myśli! Oczywiście nigdy tego nie zrobi, bo nie chce przynieść ojcu wstydu, ale nie zamierza też marnować kolejnego dnia na przesiadywanie w dusznej sali posiedzeń. Perspektywa wyprawy na ryby była zbyt pociągająca.

Jeden z umyślnych z wieściami od Hannibala przybył do jego ojca przed niecałym tygodniem. Tego rodzaju nocne spotkania miały być utrzymane w tajemnicy, ale Hanno po

jakimś czasie z łatwością rozpoznawał starającego się zachować anonimowość oficera o ziemistej cerze. Sapho i Bostar, jego starsi bracia, zwykle pilnowali, aby tego dnia nie kręcił się w pobliżu nikt niepożądany. Bostar wyjaśnił mu w czym rzecz, uprzednio upewniwszy się, że przysięgnie, iż nikomu nic nie wypapla. Później Hanno po prostu beczelnie – jeśli tylko mógł – podsłuchiwał, o czym rozmawiali posłańcy z jego ojcem. W dużym skrócie chodziło o powierzenie przez Hannibala Malchusowi i jego stronnikom zadania zatroszczenia się o to, aby senat Kartaginy popierał jego działania w Iberii. Konfrontacja z Saguntum była nieunikniona, ale sprawa wojny z Rzymem, odwiecznym wrogiem Kartaginy, to oczywiście wciąż jeszcze śpiew przyszłości.

Hanno znów usłyszał basowy, poważny głos ojca. Tym razem dochodził z korytarza, który prowadził do centralnego dziedzińca. Teraz można było w jego słowach wyczuć cień irytacji.

– Hanno? Spóźnimy się!

Zastygł w bezruchu. Nie obawiał się wyrzutów i łajania, które niechybnie czekały go po powrocie, ale pełnego rozczarowania spojrzenia ojca. Jako potomek jednego z najstarszych rodów Kartaginy Malchus zawsze dawał dobry przykład i oczekiwał od swoich latorośli, że będą zachowywać się podobnie. Siedemnastoletni Hanno był jego najmłodszym synem. Był też tym, który najczęściej nie spełniał oczekiwań wymagającego ojca. Z jakiegoś powodu Malchus wymagał od niego najwięcej. Tak przynajmniej wydawało się Hanno. Tymczasem nie interesowało go za bardzo grzebanie w ziemi, chociaż to z rolnictwa pochodziła większa część bogactwa rodziny. Hanno miłował jednak sztukę wojenną – co akurat cieszyło ojca – ale z racji młodego wieku nie brał jeszcze udziału w żadnej z wojen toczonych przez Kartaginę. Jego bracia wkrótce mieli udać się do Iberii. Tam pewnie okryją się chwałą jako zdobywcy Saguntum. Było to dla Hanno źródłem wielkiej frustracji i żalu. Na razie mógł tylko doskonalić się w jeździe konnej i w posługiwaniu się bronią różnego rodzaju. Hanno uważał, że życie według zasad ustalanych przez jego ojca było niesamowicie nudne. Dlatego świadomie ignorował często powtarzane słowa: „Bądź cierpliwy. Tym, którzy umieją czekać, zdarzają się same dobre rzeczy”.

– No chodźże! – Suniaton się irytował. Poklepał Hanno po ramieniu. Jego złote kolczyki zabręczały cicho, gdy wskazywał głową w kierunku portu. – O świcie rybacy zauważyli ogromną ławicę tuńczyków w zatoce. Z błogosławieństwem Melkarta ryby nie przeniosły się gdzie indziej. Złapiemy ich całe kosze! Pomyśl, ile zarobimy... – Ściszył głos do konspiracyjnego szeptu. – Wziąłem antałek wina z piwnicy ojca. Wypijemy na łodzi.

Niezdolny, by oprzeć się pomysłowi przyjaciela, Hanno nie słyszał już nawoływania Malchusa. Tuńczyki należały do najbardziej cenionych ryb w Morzu Śródziemnym. Jeśli ławica naprawdę pojawiła się blisko brzegu, to nadarzała się okazja, której nie można było przegapić. Gdy tylko znalazł się na pokrytej koleinami ulicy, spojrzął, jak zwykł czynić, na symbol wyryty na kamiennej płycie przed wejściem do domu z płaskim dachem, w którym mieszkała jego rodzina. Odwrócony trójkąt z umieszczoną nad nim linią i okręgiem symbolizował najpopularniejszego boga Kartagińczyków. Znak ten można było zobaczyć niemal na wszystkich domach. Hanno pomodlił się szybko o przebaczenie za nieposłuszeństwo, ale był tak podekscytowany, że zapomniał poprosić boginię Matkę o ochronę podczas zbliżającej się eskapady.

– Hanno! – głos jego ojca dochodził już z bardzo bliska.

Nie zwlekając dłużej, młodzieńcy wtopili się w tłum na ulicy. Ich rodziny osiedliły się na zboczach Byrsy. Na samym szczycie wzniesienia, gdzie można było wdrapać się po monumentalnych schodach o sześćdziesięciu stopniach, znajdowała się wielka świątynia

poświęcona Eszmunowi, bogowi płodności, zdrowia i dobrobytu. Suniaton mieszkał w rozległym kompleksie za sanktuarium, gdyż jego ojciec sprawował posługę kapłańską w tejże świątyni. Suniaton, w wersji uproszczonej po prostu Suni, zawdzięczał swoje imię innemu bogowi, Eszmuniatonowi, i był niemal od zawsze najdroższym przyjacielem Hanno. Od czasu, gdy tylko nauczyli się raczkować, rzadko zdarzał się dzień, którego chłopcy nie spędzali razem.

Budynki w okolicy były rezydencjami należącymi w większości do zamożnych rodzin. O tym, że miasto było bogate, świadczyły szerokie, proste arterie i dobrze rozplanowane skrzyżowania. Szerokość wielu krętych uliczek nie przekraczała dziesięciu kroków, ale w tej części miasta zwykle były one dwa razy szersze. Domy w tej okolicy wznosili bogaci kupcy i wyżsi oficerowie armii, *suffetes* – czyli sędziowie – oraz senatorowie. Z tego powodu Hanno biegł z opuszczoną głową i patrzył pod nogi, obawiając się spojrzeć dalej niż do kolejnego otworu chłonnej studni. Wielu bowiem mijanych przechodniów wiedziało, kim jest. Jako że osiągnął wiek męski, oczekiwano od niego, że będzie uczestniczył w większości spotkań, w których brał udział jego ojciec. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było wpakowanie się na któregoś z licznych przeciwników politycznych Malchusa. Gdyby ktoś taki złapał go za ucho i zaciągnął do domu ojca... to byłoby żenujące. No i przyniosłoby hańbę rodzinie.

Jeżeli nie będzie się rzucać w oczy, może wydostaną się z dzielnicy niezauważeni. Młodzieńcy nie mieli żadnych nakryć głowy. Ubrani byli tylko w obcisłe, czerwone wełniane koszule, z białym paskiem w środku i charakterystycznym szerokim kołnierzem, oraz krótkie spodnie z nogawkami sięgającymi kolan. Nie różnili się specjalnie od innych przedstawicieli młodszego pokolenia dobrze sytuowanych sąsiadów. Ich strój był o wiele praktyczniejszy niż długie, proste wełniane tuniki i stożkowe filcowe kapelusze noszone przez większość dorosłych mężczyzn. I wygodniejszy od ozdobnych płaszczy i plisowanych fartuchów, preferowanych przez Kartagińczyków o cypryjskich korzeniach. Na gładkich skórzanych pasach przełożonych przez ramię wisiały schowane w pochwach sztylety. Suniaton niósł ponadto wypchany skórzany tobołek.

Chociaż ludzie mówili, że mogą uchodzić za braci, Hanno długo musiałby szukać upodabniających ich do siebie cech. On był wysoki i dobrze zbudowany, a Suniaton niski i przysadzisty. Obaj mieli bardzo kręcone, niemal kruczoczarne włosy i ciemną karnację, ale na tym chyba kończyły się podobieństwa. Hanno miał raczej pociągłą twarz, prosty nos i wysokie kości policzkowe, a jego przyjaciel wyróżniał się okrągłą facjatą, zadartym nosem i wystającym podbródkiem. Obaj mieli zielone oczy. Ta cecha, niezwykła w populacji w większości brązowookich Kartagińczyków, faktycznie mogła sprawiać, że ktoś mógłby uznać ich za braci.

Wyprzedzający go o krok Suniaton niemal zderzył się ze stolarzem, który z trudem utrzymywał równowagę. Dźwigał kilka długich desek drewna cyprysowego. Zamiast przeprosić, uniósł rękę i przyłożył kciuk do nosa, rozkładając szeroko palce w geście lekceważenia. Potem ruszył pędem w stronę murów cytadeli, od których teraz dzieliło ich jakieś sto kroków. Hanno z trudem się pohamował, bo korciło go, aby dokończyć dzieła Suniatona i przewrócić klnącego na czym świat stoi mężczyznę. Zamiast tego zrobił szybki unik i wyszczerzył tylko zęby do niezadowolonego stolarza. Suniaton i Hanno mieli jeszcze jedną wspólną cechę charakteru: zuchwałość, będącą przeciwnością powagi, by nie rzec sztywniactwa, typowego dla większości ich rodaków. Często obaj z tego powodu popadali w kłopoty, co było zwykle stałym powodem niezadowolenia ich ojców.

Chwilę później przeszli przez bramę pod potężnymi murami obronnymi opasującymi miasto, szerokimi na trzydzieści kroków i prawie tak samo wysokimi. Podobnie jak zewnętrzne umocnienia, mur chroniący miasto zbudowany został z wielkich czworobocznych bloków piaskowca. Regularne bielenie murów sprawiało, że światło słoneczne odbijało się od kamienia,

wizualnie powiększając konstrukcję. Fortyfikacje zwieńczone szerokim chodnikiem, z wieżami ustawionymi w regularnych odstępach, robiły naprawdę imponujące wrażenie. A cytadela była tylko niewielką częścią systemu obronnego miasta. Hanno zawsze był pod wrażeniem widoku potężnego wału opaski brzegowej, która pojawiła się przed nimi, gdy wyszli z cienia bramy. Mur biegł z północy na południe, wyznaczając zewnętrzne granice miasta. Dochodził aż do małej zatoki z dwoma portami, po czym wił się opiekuńczo wokół nich, by przeciąć horyzont na zachodzie. Na stromych północnych i wschodnich stokach wzniesienia, na którym rozsiadło się miasto i któremu morze zapewniało większą ochronę, ciągnął się tylko jeden mur. Jednak na zachodzie, od strony szlaków drogowych prowadzących z półwyspu, wzniesiono trzy linie obronne: szeroki rów osłonięty wałem z ubitej ziemi i wyższy oraz potężniejszy szaniec. Dwupoziomowe kwatery znajdujące się w murach, które miały w sumie ponad sto osiemdziesiąt *stadia* długości, mogły pomieścić tysiące żołnierzy, jeźdźców z końmi oraz setki słoni bojowych.

W Kartaginie żyło prawie ćwierć miliona ludzi, więc miasto musiało robić wielkie wrażenie na przybyszach. Przyjaciele mogli teraz spojrzeć z góry na agorę, dużą otwartą przestrzeń, przy której wzniesiono najważniejsze budynki administracyjne oraz liczne sklepy. To właśnie w tym miejscu mieszkańcy zbierali się, aby ubijać interesy, demonstrować, głosować czy choćby spacerować, ciesząc się wieczornym chłodem. Jeszcze niżej znajdowały się dwa charakterystyczne porty morskie: ogromny, prostokątny, zewnętrzny port handlowy i wewnętrzny, okrągły port wojenny, z małą, centralnie położoną wyspą. Nabrzeża pierwszego umożliwiały cumowanie setkom statków handlowych, a drugi mógł pomieścić – między innymi w specjalnie skonstruowanych krytych, suchych dokach – ponad dwieście trirem i kwinkwerem. Na zachód od portów stała stara świątynia Baala Hammona, boga nieba i wegetacji. Choć liczba jego wyznawców malała z czasem, wciąż czciła go duża część Kartagińczyków. Na wschodzie znajdowały się tak zwane *choma*, platformy, gdzie mogły cumować małe łodzie i jednostki rybackie. Przyjaciele tam właśnie zmierzali.

Hanno był niezmiernie dumny z miasta, w którym się urodził i wychował. Nie miał pojęcia, jak wygląda stolica Rzymu, odwiecznego wroga Kartaginy, ale wątpił, żeby mogła się równać z jego miastem. Nie chciał nawet o tym myśleć. Wolał wyobrazić sobie Rzym upokorzony, stolicę republiki splądrowaną i zrównaną z ziemią przez zwycięską armię Kartaginy. Podobnie jak ojciec Hannibala Hamilkar Barkas, który wpajał swoim synom nienawiść do wszystkiego, co rzymskie, postępował Malchus z Hanno i jego braćmi. Tak jak Hamilkar, Malchus brał udział w pierwszej wojnie z republiką. Obaj uczestniczyli w kampanii na Sycylii, trwającej dziesięć długich i trudnych lat.

Nic więc dziwnego, że Hanno znał szczegóły każdej potyczki lądowej czy bitwy morskiej z czasów konfliktu, w który faktycznie zaangażowane było już więcej niż jedno pokolenie. Kartagińczycy ponieśli wtedy spore straty nie tylko w populacji, ziemiach i w zasobach skarbcza. Odniesione rany były o wiele głębsze, niż mogłoby się z pozoru wydawać. Duma Kartaginy została wtedy głęboko zraniona, a zaledwie trzy lata po zakończeniu wojny Rzym upokorzył ją ponownie. Kartagińczycy musieli pogodzić się ze stratą Sardynii, a także wypłacić większą kontrybucję. Malchus często powtarzał, że te podstępne działania pokazały, iż wszyscy Rzymianie są po prostu obłudnymi psami bez honoru. Hanno zgadzał się z tą oceną i liczył, że któregoś dnia znów wybuchnie wojna. Biorąc pod uwagę wszystkie urazy i ogólną niechęć Kartaginy do Rzymu, wydawało się, że konflikt był nieunikniony. A nowa wojna miała zacząć się w Iberii. Już niedługo!

– Jadłeś coś? – Suniaton rzucił przyjacielowi pytające spojrzenie.

Hanno wzruszył tylko ramionami.

– Chleb z miodem zaraz po przebudzeniu.



– Ja też. To było kilka godzin temu. – Suniaton zaśmiał się i poklepał po brzuchu. – Pewnie wrócimy dopiero przed zmrokiem. Na wszelki wypadek warto coś ze sobą zabrać.

– Dobry pomysł. – Na łodzi trzymali tykwy pełne wody, ale zwykle nie przechowywali tam żadnych zapasów pożywienia. Byli przekonani, że wrócą o zachodzie słońca.

Uliczki niższej partii stoków Byrsy nie miały już tak regularnego układu, jak na szczycie góry. Przypominały raczej meandrującą rzekę z całym mnóstwem dopływów i rozwidleń. Mijali kolejne sklepiki i warsztaty. Piekarnie, kramy rzeźników i stoiska sprzedawców, oferujących świeżo złowione ryby, owoce i warzywa, produkty wykonywane ze srebra i miedzi, stoły z ofertą kupców importujących perfumy czy towary ze szkła. Kobiety siedzące na progach swych domostw skupiały się na pracy przy krosnach lub zwyczajnie plotkowały z sąsiadkami. Niewolnicy dźwigali bogatszych mieszkańców miasta w lektykach lub krzatali się w pobliżu sklepów, sprząając lub zamiatając ziemię. Chłopcy co krok natrafiali też na warsztat farbiarza. Tak spora liczba przedstawicieli tego zawodu w Kartaginie miała związek z obfitością lokalnych skorupiaków, nazywanych *murex*, wykorzystywanych do otrzymywania purpurowego barwnika do tkanin, który wysoko ceniono w całym basenie Morza Śródziemnego. Wszędzie biegały dzieciaki – bawiły się w berka albo po prostu ganiały bez celu po równych, stromych schodach prowadzących w dół do portu. Minęło ich trzech dobrze ubranych mężczyzn, pogrążonych w rozmowie. Hanno rozpoznał w nich członków rady senatu, prawdopodobnie zdążających na to samo spotkanie, w którym miał uczestniczyć. Odwrócił się szybko i udawał, że zainteresowany jest terakotowymi statuetkami przed warsztatem garncarskim.

Na niskich stolikach ustawiono dziesiątki figurek różnej wielkości. Hanno z łatwością rozpoznawał każdego boga i boginię z kartagińskiego panteonu. Siedział tam Baal Hammon, obrońca Kartaginy, po królewsku usadowiony na tronie, z koroną na głowie. Obok niego przycupnęła Tanit, przedstawiona na wzór egipski – jako kobieta o gibkim, atrakcyjnym ciele, osłoniętym zgrabnie wyciętą suknią, ale z głową lwicy. Uśmiechnięta Astarte trzymała w dłoni tamburyn. Jej małżonek, Melkart, znany jako Król Miasta, władał również morzem. Inne jaskrawo pomalowane figurki przedstawiały go także jako wyłaniającego się z fal mężczyznę na straszliwym potworze i z trójzębem w dłoni. Baal Safon, bóg burzy i wojny, w hełmie z długą, unoszącą się na wietrze kitą, siedział okrakiem na wspaniałym rumaku. Był tu też wielki wybór ohydnych masek przedstawiających wytatuowane, zdobione kamieniami szlachetnymi, powykrzywiane w przerażających grymasach twarze demonów i duchów z zaświatów, które zostawiano na grobach zmarłych w celu odstraszenia złych mocy.

Hanno zadrżał, przypominając sobie pogrzeb matki, która odeszła przed trzema laty. Umarła na *febris*. Od czasu jej śmierci ojciec, który nigdy nie zaliczał się do zbyt ciepłych i pozytywnie nastawionych do świata ludzi, zmienił się w posępnego, wiecznie niezadowolonego człowieka, żyjącego tylko myślą o zemstce na Rzymie. Hanno zdążył się już przekonać, że Malchus w kontaktach z obcymi ludźmi potrafi się kontrolować i skrywać swoje uczucia za maską spokoju i opanowania. Tak naprawdę wciąż jeszcze był pogrążony w żalobie, która nie dawała o sobie zapomnieć ani jemu, ani jego braciom. Arishat, matka Hanno, była dla Malchusa światłem w ciemności, śmiechem zdolnym oczarować jego powagę, miękkością neutralizującą siłę tego twardego żołnierza i czyniącą go bezradnym. Ta najukochańsza osoba w ich rodzinie została im zabrana po zaledwie dwóch koszmarnych dniach choroby. Najlepsi lekarze w Kartaginie, ściągnięci przez Malchusa, robili wszystko, aby ją uratować. Trudziło się bezskutecznie. Każdy szczegół ostatnich godzin życia matki dobrze wrył się w pamięć Hanno. Kubki krwi upuszczanej z jej ciała w daremnej próbie obniżenia szalejącej gorączki. Wychudzona, rozpalona twarz. Prześcieradła mokre od potu. Jego bracia, którzy ze wszystkich sił starali się zachować opanowanie i nie płakać. I wreszcie jej sztywne ciało na łożu. Mniejsze

niż kiedykolwiek wcześniej. Malchus klęczący przy posłaniu, wstrząsany spazmami szloch. To był jedyny raz, gdy Hanno widział ojca płaczącego. Nikt nigdy później nie ośmielił się wspominać tego zdarzenia, podobnie jak nie mówiono o matce. Hanno przełknął ślinę i zerknął przez ramię, żeby sprawdzić, czy grupa radnych oddaliła się na bezpieczną odległość. Wspominanie takich wydarzeń sprowadzało zbyt wielki ból.

Chwilę później Suniaton, który nie zauważył cierpienia na twarzy przyjaciela, zatrzymał się, aby kupić chleb, migdały i figi. Hanno pomyślał teraz o tym, jak poprawić sobie humor, i ruszył w kierunku kuźni kowala, znajdującej się po drugiej stronie ulicy. Nad nieco koślawym kominem unosiły się smugi dymu, a w powietrzu czuć było wyraźny zapach węgla drzewnego, palącego się drewna i oliwy. Do uszów wdzierały się ciężkie, metaliczne dźwięki uderzeń młota. W cieniu, w kącie otwartego od ulicy zakładu, Hanno dostrzegł postać w skórzanym fartuchu, ostrożnie unoszącą szczypcami kawałek rozżarzonego metalu znad kowadła. Po chwili rozległ się głośny syk. Ostrze miecza trafiło do kadzi z zimną wodą. Hanno poczuł, że nogi same niosą go do kuźni.

– Hej! Mamy dziś lepsze rzeczy do roboty. Na przykład zarobienie mieszka pieniędzy – zawołał Suniaton, blokując mu drogę. Podsunął mu worek wypchany migdałami. – Ponieś to.

– O nie! I tak sam je wszystkie zjesz. – Hanno odepchnął przyjaciela i śmiejąc się, zerwał się do biegu. Często żartowali, że ulubionym zajęciem Hanno było brudzenie się w kuźni, podczas gdy Suniaton raczej wolał myśleć o następnym posiłku. Śmiał się głośno, zerkając na goniącego go przyjaciela, i nie zauważył oddziały libijskich włóczników. A potem już było za późno. Z głośnym trzaskiem zderzył się z pierwszym z nich, odbijając się od dużej okrągłej tarczy.

Nie był żadnym wałęsającym się bez celu po ulicy małym dzieciakiem, więc włócznik rozżłóścił się nie na żarty.

– Patrz pod nogi, głupcze!

Hanno zauważył, że w grupie żołnierzy znajduje się dwóch oficerów. Zaklął. Sapho i Bostar! Bracia wyglądali, jakby szli na paradę. Zadbali o najlepsze wyposażenie. Obaj w hełmach w kształcie dzwonu, z grubą obręczą i żółtym pióropuszem z końskiego włosia. Wypolerowane kirysy przechodziły płynnie w wielowarstwowe *pteryges*, osłaniające okolice pachwin i ud, oraz specjalnie dopasowane nagolenniki. Bez wątpienia oni również zamierzali wysłuchać oficjalnego wystąpienia Malchusa. Hanno wymamrotał pod nosem ciche przeprosiny, po czym zrobił krok wstecz. Z głową opuszczoną ku ziemi modlił się, żeby go nie zauważyli.

Suniaton, nieświadomy obecności Sapho i Bostara, roześmiał się w głos na widok nieporadności swojego przyjaciela.

– No chodź! Zanim będzie za późno.

– Hanno! – zawołał radośnie zaskoczony Bostar.

Hanno udał, że nie słyszy.

– Hanno! Wróć tu natychmiast! – Usłyszał drugi głos, głębszy i rozkazujący. A więc Sapho też już go zauważył. Odwrócił się niechętnie.

Suniaton próbował zniknąć w tłumie, ale mu się to nie udało.

– Eszmuniaton! Do mnie! – nakazał władczym głosem Sapho.

Suniaton stanął obok Hanno z nieszczęśliwym wyrazem twarzy.

Bracia, potrącając włóczników, przepchnęli się do przodu, aby znaleźć się przed szeregiem.

– Sapho, Bostar? – odezwał się Hanno, udając, że cieszy się ze spotkania. – Co za niespodzianka.

– Czyżby? – Sapho zmarszczył brwi tak, że prawie się zetknęły. Jego brat był niski, ale

dobrze zbudowany. Wyróżniał się powagą, przypominając pod tym względem Malchusa, chociaż miał tylko dwadzieścia dwa lata. W młodym wieku osiągnął już średni szczebel w hierarchii oficerskiej, gdyż – podobnie jak Bostar – podczas szkolenia wojskowego dał się poznać jako wybitny lider. – Wszyscy mieliśmy przecież uczestniczyć w obradach rady starszych. Czemu nie jesteś z ojcem?

Hanno opuścił głowę, rumieniąc się. *Niech to szlag!* – pomyślał. *Według Sapho obowiązkiem wobec Kartaginy jest najważniejszy.* W jednej chwili stracił nadzieję, że spędzi ten dzień na łodzi.

Sapho spojrział na Suniatona badawczo. Jego uwadze nie umknął ani ciężki plecak, ani zapasy pożywienia, których nie zdążył jeszcze schować.

– Aha! Wolicie bumelować. Ot co! Bez wątpienia wybieracie się na ryby?

Suniaton, niepewny, kopał nogą ziemię.

– Mowę wam odjęło? – spytał kwaśno Sapho.

Hanno zrobił pół kroku do przodu, wychodząc przed przyjaciela.

– Tak. Chcieliśmy płynąć na tuńczyki – przyznał.

Sapho krzywił się coraz bardziej.

– I to jest ważniejsze niż wysłuchanie rady starszych?

Jak zwykle aroganckie zachowanie jego starszego brata rozzłościło Hanno, który często musiał wysłuchiwać tego typu połajanek. Niejednokrotnie miał wrażenie, że Sapho chciał wejść w rolę ich ojca. Nic dziwnego, że rodziło to w nim opór.

– Bo myślisz, że te siwobrode marudy powiedzą coś, czego nie powtórzyli już z tysiąc razy wcześniej? Każdy z nich jest taki nadęty...

– Chyba nie tylko oni i nie tak znowu da... – zakpił Suniaton z uśmiechem. Urwał jednak w pół słowa, bo dostrzegł ostrzegawcze spojrzenie Hanno.

Sapho zacisnął zęby.

– Parka zuchwałych sk....

Bostar drgnął i uniósł rękę, kładąc dłoń na ramieniu Sapho.

– Spokojnie. Hanno ma trochę racji. Starsi bardzo lubią dźwięk swoich głosów.

Hanno i Suniaton starali się ukryć uśmiechy.

Sapho nie potraktował żartobliwie uwagi Bostara, ale zmilczał. Jego oczy nie przestały jednak rzucać błyskawic. Doskonale zdawał sobie sprawę, że obowiązywał go regulamin, a w tej grupie nie był najstarszym stopniem. I widać było, że bardzo tego żałował. Chociaż był o rok starszy, to Bostar został wcześniej awansowany o stopień wyżej.

– Faktycznie podczas tych posiedzeń nie zapadają decyzje o życiu i śmierci... – kontynuował Bostar. Jego mrugnięcie, którego Sapho nie zauważył, mówiło Hanno, że nie wszystko jeszcze stracone. Wybrał właściwą chwilę i powtórzył mrugnięcie brata. Tak jak Hanno, Bostar przypominał ich matkę, Arishat. Miał wąską, delikatną twarz i zielone oczy, które potrafiły przeszywać człowieka na wskroś. Sapho miał szeroki nos, a Bostar długi i wąski. Smukły i atletycznie zbudowany Bostar wiązał swoje długie, czarne włosy w koński ogon, który wystawał spod hełmu. Hanno miał o wiele więcej wspólnych cech z łagodnym Bostarem niż z Sapho. W gruncie rzeczy często czuł niechęć do najstarszego brata. – Czy ojciec wie, gdzie jesteś?

– Nie – przyznał Hanno.

– Zakładam, że Bodesmun również nie ma pojęcia, gdzie się podziewasz? – Bostar zwrócił się do Suniatona.

– Oczywiście, że nie! – Sapho stracił cierpliwość. Chętnie przejąłby znów kontrolę nad tą rozmową. – Jak zawsze, gdy ci dwaj psocą...

– No więc? – Bostar zignorował wybuch brata.  
– Ojciec myśli, że jestem w domu i się uczę – powiedział Suniaton.  
– Zobaczmy zatem, co Bodesmun i nasz ojciec powiedzą, gdy odkryją prawdę. Mamy wystarczająco dużo czasu, żeby wrócić do domu przed spotkaniem rady – odezwał się Sapho, przekonany o słuszności wypowiedzianych słów. Wskazał lekceważąco szereg włóczników. – Dołączcie do nich.

Hanno skulił się, ale nie widział żadnych szans nawet na podjęcie walki. Sapho był w wyjątkowo kiepskim nastroju, gotów pokazać im ich miejsce.

– Chodź... – Hanno mruknął do Suniatona. – Ławica może poczekać.  
– Właściwie to nie widzę powodu, żeby ci dwaj nie mogliby wybrać się na połowy – przemówił Bostar, zanim Hanno zrobił pierwszy krok.

Hanno i Suniaton popatrzyli po sobie ze zdumieniem.

Sapho uniósł brwi.

– Co masz na myśli?  
– My już niedługo nie będziemy mogli sobie pozwolić na takie przyjemności. Obaj będziemy za nimi tęsknić. – Bostar zrobił smutną minę. – Wkrótce czeka to również Hanno. Niech się bawi, póki jeszcze może.

Serce Hanno zabiło mocniej. Nie dostrzegając w tej chwili głębszego sensu przekazu Bostara.

Sapho się zamyślił. Po chwili jednak na jego czole znów pojawiły się głębokie bruzdy.

– Obowiązek to obowiązek — oświadczył.

– Rozchmurz się, Sapho. Masz dwadzieścia dwa lata, a nie pięćdziesiąt dwa! – Bostar rzucił okiem na włóczników. Wszyscy, jak jeden mąż, przyjęli te słowa uśmiechami. – Kto zauważy brak Hanno, jeśli nie liczyć nas i ojca? A masz takie samo prawo zabronić coś Suniemu, jak i ja...

Sapho zacisnął usta. Wiedział, że jego brat się z nim drażni, ale postanowił dać spokój. Nie chciał, aby Bostar musiał odwoływać się do swojego stopnia.

– Ojcu się to nie spodoba – ostrzegł – ale myślę, że masz rację.

Hanno nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Zupełnie nie spodziewał się takiego obrotu spraw.

– Dziękuję!

– Dziękujemy! – okrzyk Hanno natychmiast powtórzył Suniaton.

– Znikajcie, zanim zmienię zdanie – poradził Sapho.

Przyjaciele nie potrzebowali zachęty. Hanno spojrzał z wdzięcznością na Bostara, który znów mrugnął do niego porozumiewawczo, po czym obaj z Suniatonem zniknęli w tłumie. Głupio się do siebie uśmiechali. *Tak czy owak, to nam się nie upiecze* – pomyślał Hanno. *Ale przynajmniej do wieczora mamy spokój*. Od razu w jego głowie pojawił się obraz łodzi pełnej tuńczyków.

– Sapho jest... zasadniczy, prawda? – odezwał się Suniaton.

– Przecież go znasz. Jego zdaniem takie rzeczy jak łowienie ryb to strata czasu. – Hanno westchnął.

– Całe szczęście, że nie wygarnąłem mu, co o nim myślę, że... – Suniaton szturchnął Hanno łokciem. Wyszczerył się na widok pytającego spojrzenia. – No, że dobrze by mu zrobił mały relaks... na przykład na rybach!

Hanno otworzył usta z niedowierzaniem, ale po chwili wybuchnął szczerym śmiechem.

– Bogom niech będą dzięki, żeś się ugryzł w język. Wtedy na pewno by nas nie puścił.

Uśmiechając się do swoich myśli, przyjaciele wkrótce znaleźli się na agorze. Na jej

czterech bokach, każdym o długości *stadium*, ciągnęły się jeden za drugim wspaniałe portyki i zacienione kolumnady. To było bijące serce miasta, gdzie mieścił się senat, budynki administracji, biblioteki, liczne świątynie i sklepy. To właśnie tu w letnie wieczory zbierali się lepiej sytuowani młodzi ludzie, aby popatrzeć na siebie z bezpiecznej odległości. Kontakty niepełnoletnich Kartagińczyków różnej płci nie były zbyt dobrze widziane, a przyzwoitki opiekujące się dziewczętami nigdy nie oddalały się na tyle, aby dopuścić do bezpośrednich spotkań. Od czego była jednak pomysłowość? Niesforna i zaradna młodzież zawsze jakoś znajdowała sposoby na bliższe kontakty z obiektami westchnień. I pożądania. W ciągu ostatnich miesięcy właśnie tak najchętniej spędzali czas również Hanno i Suniaton. *Łowienie ryb jest jednak przyjemniejsze... Choć niewiele* – uznał Hanno, tęsknie zerkając w stronę tłumu w poszukiwaniu co atrakcyjniejszych przedstawicielek płci przeciwnej.

Tego dnia jednak agorę objęły w posiadanie nie tłumy chichoczących młodych piękności, lecz grupy poważnych polityków, kupców i wysokich rangą żołnierzy. Wszyscy zmierzali do jednego miejsca. Do budynku senatu. W tych wspaniałych murach, w wielkiej sali kolumnowej, zbierało się regularnie ponad trzystu senatorów, podobnie jak czynili to od pół milenium ich poprzednicy. Obradom przewodniczyło dwóch sufetów, corocznie wybieranych przedstawicieli Kartaginy, którym powierzano władzę wykonawczą. Przez ten czas senatorowie stawali się najważniejszymi osobami w państwie, decydując o wszystkim, od polityki handlowej po negocjacje polityczne z sąsiadami. Na tym jednak zakres uprawnień senatorów się nie kończył. W tym budynku podejmowano też decyzje dotyczące wypowiedzania wojny i podpisywania pokoju. Senatorowie nie mieli za to wpływu na wybór dowódcy armii. Od czasu konfliktu zbrojnego z Rzymem decyzję tę pozostawiano wolnym obywatelom Kartaginy. Aby objąć urząd senatora, trzeba było spełnić kilka warunków: być wolnym obywatelem, dysponować dużym majątkiem, należało mieć ukończone co najmniej trzydzieści lat oraz wyróżnić się na jakimś polu aktywności publicznej – czy to w administracji, w gospodarowaniu majątkami rolnymi, w handlu, czy w służbie wojskowej.

Zwykli obywatele mogli decydować o sprawach ważnych dla państwa na wolnych zgromadzeniach ludu Kartaginy, które odbywały się na agorze raz w roku z rozkazu *suffetes*. W czasach niepokojów Kartagińczycy mogli jednak zbierać się spontanicznie i publicznie debatować nad ważnymi dla losów państwa sprawami. Chociaż takie zgromadzenie nie miało większego wpływu na sprawy bieżące, to właśnie w tym czasie wybierano *suffetes* i dowódców armii. Hanno nie mógł się już doczekać następnego. Pierwszego, w którym będzie uczestniczyć jako osoba dorosła, uprawniona do głosowania. Jako że ogromna popularność Hannibala niemal gwarantowała, że zostanie on ponownie wybrany na wodza naczelnego wojsk Kartaginy w Iberii, Hanno chciał okazać swoje poparcie dla rodu Barkasów. Na razie mógł to uczynić tylko w taki sposób. Mimo próśb i nalegań Malchus nie pozwolił mu jeszcze zaciągnąć się do armii Hannibala, jak po śmierci matki uczynili Sapho i Bostar. Hanno musiał zakończyć edukację. W tej kwestii nie próbował walczyć z ojcem. Nie miałyby to żadnego sensu. Gdy Malchus postanowił, nigdy nie zmieniał zdania.

Zgodnie z tradycją Hanno nadal mieszkał w domu rodzinnym, ale już od dnia, gdy skończył czternaście lat, w dużej części sam stanowił o sobie i zarabiał na swoje utrzymanie, pracując między innymi właśnie w dużej kuźni, podobnej do tej, którą minęli po drodze do portu. Dzięki temu, że miał się różnych prac, miał dość pieniędzy, aby nie zejść na drogę niezgodną z prawem czy w inny sposób okryć się hańbą. Kartagiński sposób wychowania młodych mężczyzn przypominał ten znany ze Sparty, chociaż nie zmuszał ich aż do tak wielkich wyrzeczeń. Hanno uczył się również języków obcych: greckiego, łacińskiego i iberyjskiego. Robił to nie dlatego, że przejawiał jakieś szczególne zamiłowanie do języków obcych, ale

doszedł do wniosku, że ta umiejętność może okazać się przydatna w takim tyglu narodowościowym, jakim była armia Kartaginy. Kartagińczycy niechętnie parali się sztuką wojenną, dlatego często opłacano oddziały najemne lub cedowano zadanie walki w ich imieniu na podległych władców lub podbite krainy. W skład armii Kartaginy wchodził Libijczycy, mieszkańcy Iberii, Galowie i najemnicy z Balearów.

Hanno uwielbiał tę część edukacji, która była poświęcona sprawom wojskowym. Malchus osobiście omawiał z nim historię militarną. Opowiadał o bitwach Ksenofonta, Termopilach i dokonaniach Aleksandra Macedońskiego. Ojciec nie zapominał też o lekcjach z taktyki i strategii. Szczególną uwagę poświęcił porażkom Kartaginy w wojnie z Rzymem, analizując wyciągnięte z nich wnioski.

– Przegraliśmy, bo naszym przywódcom zabrakło determinacji. Wszyscy myśleli tylko o tym, jak ograniczyć zasięg konfliktu, a nie jak wygrać wojnę. Woleli minimalizować koszty, a nie ignorować je w dążeniu do ostatecznego zwycięstwa! – grzmiał podczas jednej z pamiętnych lekcji Malchus. – Na wszystkich bogów! Rzymianie są jak skundlone, parszywe psy bez matek, ale trzeba im przyznać, że potrafią skupić się na celu. Nigdy nie poddawali się po przegranej bitwie. Nie! Rekrutowali więcej ludzi i budowali więcej okrętów. Gdy skarbiec świecił pustkami, ich przywódcy chętnie poświęcali własny majątek. Dla sprawy. Ta ich cholerna republika jest dla nich najważniejsza. A który Kartagińczyk zaproponował wysłanie własnych zapasów i żołnierzy na Sycylię, gdy tak bardzo ich potrzebowaliśmy? Mój ojciec, Barkas i kilku innych. Nikt więcej. – Malchus wybuchnął, mówiąc to, urywanym, złym śmiechem. – Dlaczego mnie to nie dziwi? Nasi przodkowie byli kupcami, a nie żołnierzami. – Ojciec wbił w Hanno spojrzenie ciemnych, głęboko osadzonych oczu. – Jedyłą naszą nadzieją na słuszną zemstę jest Hannibal. To prawdziwy żołnierz. Urodzony przywódca. Jak jego ojciec. Kartagina nigdy nie dała Hamilkarowi szansy pokonania Rzymu, ale możemy ją dać jego synowi. Gdy nadejdzie właściwa chwila.

Hanno wrócił do terażniejszości. Obok nich przepychał się czerwony na twarzy, postawny senator, klnąc przy tym straszliwie. Zaskoczony Hanno poznał Hostusa, jednego z najbardziej nieprzejednanych przeciwników Malchusa w senacie. Wiecznie zadzierający nosa polityk tak się spieszył, że nawet nie zauważył, z kim się zderzył. Hanno odchrząknął i splunął, choć był na tyle ostrożny, aby nie pokazać senatorowi swojej twarzy. Hostus i jego przyjaciele, zrędy i męczydusze, bez końca sarkali na Hannibala, ale piali z zachwytem, gdy do portu zawijały statki ze srebrem z kopalń w Iberii. Sami nieźle zarabiali i nie spieszyli się do ponownej konfrontacji z Rzymem. Za to Hanno nie miałby nic przeciwko temu, aby oddać życie w walce z odwiecznym wrogiem. Jednak czas zemsty jeszcze nie nadszedł. Hannibal gotował się do wojny w Iberii i ta wiadomość musiała mu na razie wystarczyć. Pozostało uzbroić się w cierpliwość.

Przyjaciele starali się przebić przez agorę na skos, unikając największego tłumu. Gdy znaleźli się po drugiej stronie budynku senatu, przechodzili obok coraz mniej okazałych domów, a potem już tylko chatynek, jakich można się było spodziewać w pobliżu portu. Dzielnica biedoty zupełnie nie przypominała Byrsy. Było tu niewiele sklepów czy warsztatów, a jedno- lub dwuizbowe chaty wzniesione z cegieł mułowych wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozpaść. Kolejiny stwardniałego błota na ulicy były głębokie co najmniej na szerokość dłoni i groziły skrzyśnięciem kostki, należało więc uważać, jak się stawia stopy. Hanno – mający przed oczyma obrazy porządnej i czystej dzielnicy na wzgórzu – zastanawiał się, dlaczego nikt nie przyśle tu robotników, żeby wypełnili te dziury piaskiem. W takich chwilach dziękował bogom, że pozwolili mu urodzić się w dobrze sytuowanej rodzinie arystokratycznej.

Obskoczyły ich wychudzone, zasmarkane dzieciaki w łachmanach, domagające się jakiejś monety lub skórki chleba. Ich matki, z włosami w strąkach, często brzemiennie, zwracały w ich

stronę puste twarze o niewidzących oczach, zasnutych mgłą nędzy. Gdzieniedzie w drzwiach stały półnagie kobiety w prowokacyjnych pozach. Wymalowane usta i mocny makijaż nie wystarczały do ukrycia ich często bardzo młodego wieku. Dziewczyny wyglądały tak, jakby dopiero niedawno stały się pełnoletnie. Boczne uliczki okupowali zarośnięci, podejrzani mężczyźni w brudnych łachach, którzy poświęcali całą uwagę grze w kości o kilka startych monet. Łypali na nich złym wzrokiem, ale żaden nie odważył się ich zaczepić. W nocy może byłoby inaczej, ale teraz, w ciągu dnia, w pobliżu wielkiego muru przechadzali się wartownicy pilnujący porządku. Wszelkie wykroczenia i zbrodnie były surowo karane przez władze, a krzyk ofiary od razu sprowadziłby złoczyńcom na karki stróżów prawa.

W powietrzu coraz wyraźniej czuć było zapach soli. Coraz donośniej brzmiały krzyki unoszących się wysoko mew, nawoływania żeglarzy i rybaków w portach. Podekscytowany Hanno puścił się biegiem wąską alejką, a potem przeskakiwał po kilka stopni również wąskich schodów prowadzących na szczyt muru tuż za linią brzegową. Suniaton nie odstępował go na krok. Schody pięły się ostro ku górze, ale obaj byli młodzi i wystarczająco sprawni, żeby pokonać je bez trudu. Powierzchnię szerokiego na trzydzieści kroków muru na całej długości pokrywał czerwony, twardy chodnik. Mniej więcej co pięćdziesiąt kroków wznosiła się potężna baszta. W barakach, rozmieszczonych w regularnych odstępach, stacjonowały oddziały żołnierzy.

Wartownicy z najbliższej grupy – czwórka libijskich włóczników – unieśli leniwie wzrok i nie widząc w nich żadnego zagrożenia, ponownie odwrócili twarze ku morzu. Gdy panował pokój, obywatele mogli w ciągu dnia przebywać na murach. Młodszy oficer zerkał od czasu do czasu na turkusowe fale pod nimi, ale widać było, że jest bardziej zainteresowany rozmową ze swoimi ludźmi. Hanno przebiegł obok Libijczyków truchtem, podziwiając ich ogromne tarcze, większe nawet od tych używanych przez Greków. Wykonano je z drewna i pokryto warstwą kozłej skóry oraz paskami metalu. Na każdej widniał malunek twarzy demona, który jednocześnie był symbolem jednostki.

W tej chwili usłyszeli dochodzący z portu wojennego dźwięk trąbek. Suniaton sadził teraz długie susy.

– Szybko! – krzyknął. – Może właśnie wodują kwinkweremę!

Hanno popędził za przyjacielem. Widok rozciągający się spod muru na okrągły port wojenny nie miał sobie równych. Dzięki mistrzostwu inżynierów i budowniczych kartagińskie okręty były niewidoczne dla oczu ciekawskich żeglarzy z portu handlowego. Nie widać ich było także od strony morza, a osłonięte wejście do portu miało szerokość trochę większą niż szerokość kwinkweremy, największego okrętu, który mógł korzystać z bazy floty.

Gdy dotarli na nabrzeże, Hanno skrzywił się niezadowolony. Zamiast imponującego okrętu wojennego gładko zanurzającego się w morskich falach ujrzał jedynie fioletowy płaszcz jakiegoś admirała, dumnie przechadzającego się wzdłuż molo, które prowadziło od nabrzeży z dokami ku centralnej wyspie, gdzie znajdowała się siedziba dowódców floty. Po chwili ponownie zabrzmiały fanfary. Admirał chciał się chyba upewnić, że wszyscy będą wiedzieli, kto przybywa.

– Czego on się tak puszy? – mruknął ze złością Hanno.

Malchus miał wiele cierpkich słów dla niekompetentnych dowódców kartagińskiej floty, więc Hanno naturalnie też nie był o nich najlepszego zdania. Czas Kartaginy jako potęgi morskiej już dawno minął. Marzenia Kartaginy o wielkości przerwał Rzym podczas trudnej i gorzkiej kampanii o panowanie nad Sycylią. Co ciekawe, przed rozpoczęciem tego konfliktu Rzymianie nie byli uważani za dobrych żeglarzy. Jednak potrafili szybko opanować niezbędne umiejętności, wydoskonalili się w taktyce oraz strategii wojny morskiej, a nawet uzupełnić ją o kilka nowych sztuczek. Od czasu ostatniej klęski Kartagina nie zrobiła zbyt wiele, aby odzyskać panowanie na

morzach.

Hanno westchnął ciężko. Naprawdę jedyną nadzieją był dla nich Hannibal ze swoją potężną armią.

Jakiś czas później Hanno mógł wreszcie zapomnieć o wszystkich przyziemnych zmartwieniach. Ich mała łódka po pokonaniu prawie połowy mili morskiej znalazła się bezpośrednio nad wielką ławicą tuńczyków. Dzięki widocznej z daleka wzburzonej powierzchni wody nie mieli większych trudności z jej zlokalizowaniem. Duże srebrne ryby z upodobaniem polowały na sardynki, kotłując się i tym samym zdradzając swoją lokalizację. Wszędzie zresztą pełno było innych łodzi, a dodatkową pomocą okazały się stada morskich ptaków, przywiezionych tu perspektywą łatwego posiłku. Z upodobaniem i zwinnością nurkowały w dół, by poderwać się tuż nad lustrem wody. Źródło Suniatona okazało się wiarygodne, a młodzieńcy zaraz po zajęciu pozycji przez większość czasu szczyrzyli się do siebie, jakby byli niespełna rozumu, z radości na myśl o pieniądzach, które zarobią. Nie musieli się specjalnie natrudzić przy połowie. Jeden z nich wiosłował, a drugi pilnował ustawienia małej sieci. Mimo że pamiętała lepsze czasy, zwykła plecionka ze sznurków spełniała swoje zadanie. Klocki drewna na górnej krawędzi sprawiały, że unosiła się na wodzie, a małe kawałki ołowiu na dolnej utrzymywały ją rozciągniętą pod wodą. Po pierwszym zarzuceniu wyciągnęli blisko dwadzieścia tuńczyków, każdy większy i dłuższy niż przedramię mężczyzny. Kolejne zarzucenia sieci były równie udane i wkrótce dno łodzi pokryła gruba warstwa ryb. Jeszcze kilka, a będą ryzykować przeciążeniem łodzi.

– Dobra robota jak na tak wczesny ranek – oświadczył Suniaton.

– Ranek? – Hanno roześmiał się, mrużąc oczy w słońcu. – Łowimy niecałą godzinę. Chyba nie może być łatwiej, co?

Suniaton spojrzał na niego poważnie.

– Nie przesadzaj... Pomyśl o pieniądzach, które zarobimy, sprzedając je. Uważam, że należy nam się nagroda za pracę. – Sięgnął do tobołka i z rozmachem wyciągnął z niego małą amforę.

Hanno roześmiał się na ten widok. Suniaton był naprawdę niepoprawny!

Zachęcony do dalszego dokazywania Suni udawał teraz, że obsługuje gości na ważnym przyjęciu.

– Nie jest to najdroższe wino z piwniczki ojca, jak mniemam, ale całkiem zacne. – Użył noża, żeby rozkruszyć woskową pieczęć. Uniósł amforę do ust i pociągnął duży łyk. – Bardzo smaczne – orzekł, przekazując Hanno gliniane naczynie.

– Prostack. Rozkoszuj się smakiem powoli. – Hanno spróbował trunku. Rozprowadził wino językiem w ustach, tak jak uczył go Malchus. Czerwony trunek był lekki i miał owocowy smak, ale wyczuwało się jego kwaskowatość. – Myślę, że powinno być jeszcze kilka lat poleżakować.

– I kto teraz zachowuje się jak napuszony kołtun? – Suniaton kopnął tuńczyka, który wylądował na nodze Hanno. – Zamknij się i pij! – Hanno z uśmiechem posłuchał przyjaciela, tym razem biorąc potężny haust. – Ej! Ale nie wydudlij mi wszystkiego!

Szybko opróżnili amforę. Potem wygłodniali rzucili się na chleb, orzechy i owoce, które kupił Suniaton. Gdy skończyli pracę i napełnili brzuchy, zamknięcie oczu i krótki odpoczynek wydawały się najbardziej naturalną rzeczą na świecie. Błyskawicznie obaj zaczęli chrapać w najlepsze, odurzeni alkoholem, który przecież rzadko mieli okazję pić w takich ilościach.

Hanno obudziły dopiero zimne podmuchy wiatru. Przez chwilę nie bardzo wiedział, co się dzieje. Dlaczego łódź tak mocno skacze na falach? Zadrzał pod wpływem przenikliwego zimna. Otworzył zaspane oczy. Najpierw jego zmysły skoncentrowały się na obrazie zwiniętego



Suniatona, który wciąż ścisnął pustą amforę, pół leżąc, pół siedząc, w otoczeniu ryb o pustych oczach, które już się nie ruszały. Spojrzał w górę i poczuł ukłucie strachu. Zamiast jasnego nieba ujrzał ciężkie, niebiesko-czarne kłęby chmur, napływające z północnego zachodu. Zamrugał, bo nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Jak to możliwe, że pogoda zmieniła się tak szybko? Chwilę później poczuł na policzku pierwsze krople deszczu. Rozejrzał się wokół. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, wzburzone wody. Żadnych rybaków. Żadnych łodzi, które otaczały ich wcześniej w tak wielkiej liczbie. Nie widział też brzegu! To przeraziło go najbardziej.

Pochylił się i potrząsnął ramieniem Suniatona.

– Obudź się!

Jedyną reakcją przyjaciela było zirytowane chrząknięcie.

– Suni! – Tym razem Hanno zdzielił towarzysza w twarz.

– Hej! – pisnął Suniaton, siadając. – Za co to? – Hanno nie odpowiedział. – Gdzie jesteśmy! Na wszystkich bogów!

Suniaton szybko wytrzeźwiał. Kręcił głową na wszystkie strony, szukając wzrokiem ziemi.

– Na świętą Tanit... – wyszeptał. – Jak długo spaliśmy?

– Musiały minąć ze dwie godziny albo i więcej – zachnął się Hanno. Wskazał na zachód, gdzie dysk słońca ledwo przebijał się przez burzowe chmury. Jego położenie powiedziało im, że jest już późne popołudnie. Wstał, starając się nie wywrócić łódki. Skupił wzrok na horyzoncie, gdzie niebo stykało się z groźnym, sinym teraz morzem i próbował wypatrzeć znajome mury Kartaginy lub chociaż skalisty cypel na północ od miasta.

– Widzisz coś? – Suniaton nie potrafił ukryć trwogi w głosie.

Hanno usiadł ciężko.

– Nic a nic. Musimy być z piętnaście albo nawet dwadzieścia *stadia* od brzegu. Może nawet więcej.

O ile na twarzy Suniatona wcześniej były jakieś kolory, to teraz zrobiła się całkiem blada. Odruchowo złapał za wiszącą na rzemieniu na szyi złotą rurkę. Zakończona głową lwa zawierała małe kawałki pergaminu z zaklęciami ochronnymi i modlitwą do bogów. Hanno nosił podobny amulet. Z wielkim wysiłkiem powstrzymał się od zrobienia tego samego.

– Musimy wiosłować.

– W taką pogodę? – Głos Suniatona zrobił się nienaturalnie wysoki. – Czyś ty oszalał?

Hanno spojrzał na niego z wyrzutem.

– A jaki mamy wybór? Wskoczyć do wody i płynąć wplaw?

Suniaton spojrzał na fale. Obaj świetnie pływali, ale nigdy nie musieli pokonywać dużego dystansu. Ponadto zwykle nie pływali w tak trudnych warunkach pogodowych.

Hanno pierwszy chwycił za krótkie wiosła leżące na dnie łodzi. Umieścił je w żelaznych dulkach. Obrócił obły dziób łodzi w kierunku zachodnim i zaczął wiosłować. Od razu jednak instynktownie poczuł, że jego wysiłki są skazane na porażkę. Wyczuwał coraz większą moc fal, potężniejszych, niż kiedykolwiek widział. Morze wydawało się wściekłą bestią, która wyrwała się spod kontroli. Wyjący wicher nadawał jej przerażający głos. Starał się zignorować złe myśli, koncentrując się na każdym ruchu wiosła. Odchylić się do przodu. Pociągnąć za wiosła zanurzone piórami w wodzie. Unieść. Pochylić się do przodu, przesuwając uchwyty między kolanami. Powtórzyć. Nie zwracał uwagi na uderzenia gorąca i suchość w ustach, cały czas przeklinając swoją głupotę. *Po co wypilem tyle wina?* Pomyślał gorzko, że gdyby słuchał ojca, teraz siedziałby w ciepłym domu. Bezpieczny na suchym lądzie.

W końcu, gdy mięśnie ramion odmówiły mu posłuszeństwa, Hanno przestał wiosłować. Drżał ze zmęczenia. Minęło co najmniej ćwierć godziny. Nie musiał się jednak nawet specjalnie

rozglądać, żeby wiedzieć, że ich pozycja chyba niewiele się zmieniła. Po każdym trzech pociągnięciach przesuujących łódź po powierzchni wody przeciwny prąd znosił ją na co najmniej dwie jej długości na pełne morze.

– No i co? – krzyknął do przyjaciela. – Widzisz coś?

– Nie – odpowiedział ponuro Suniaton. – Przesuń się. Teraz moja kolej. Nie mamy wiele czasu.

*To nasza ostatnia szansa* – pomyślał Hanno, spoglądając na ciemniejące niebo.

Ostrożnie zmienili się miejscami. Z powodu dużej ilości śliskich ryb pod stopami poruszanie się w tak niewielkiej łodzi było trudniejsze niż zwykle. Podczas gdy jego przyjaciel pracował przy wiosłach, Hanno z napięciem lustrował horyzont, szukając wskazówki, która powiedziała by mu, że zbliżają się do lądu. Żaden z nich się już więcej nie odezwał. Nie było sensu. Deszcz bębnił teraz w ich plecy i łączył się z wyciem wiatru, tworząc kakofonię dźwięków prawie uniemożliwiającą normalną rozmowę. Tylko solidnej konstrukcji łodzi zawdzięczali, że jeszcze nie nakryła ich woda.

W końcu i Suniaton stracił siły. Spojrzał na Hanno. W jego oczach wciąż tliła się jeszcze nadzieja.

Hanno pokręcił głową.

Jego przyjaciel zaklął szpetnie.

– Jest środek lata! Takie burze nie przychodzą bez ostrzeżenia. – Wzdrygnął się przerażony.

– Może tak wcale nie było – warknął. – Jak myślisz? Dlaczego nie ma obok nas żadnych łodzi? Wszyscy pewnie popłynęli do brzegu, gdy wiatr zaczął się wzmacniać.

Suniaton zaczerwienił się ze wstydu. Zwiesił głowę.

– Przepraszam. To moja wina. Nie powinienem był kraść wina ojcu.

Hanno pochylił się do przodu i położył rękę na kolanie przyjaciela.

– Nie obwiniaj się. Nie zmuszałeś mnie do picia. To był mój wybór.

Suniaton uśmiechnął się blado. Gdy spojrzął pod nogi, uśmiech błyskawicznie zniknął z jego twarzy.

– O nie!

Hanno z przerażeniem stwierdził, że tuńczyki unoszą się wokół jego stóp. Nabierali wody. Natychmiast musieli coś z tym zrobić. Zaczęli wyrzucać cenny łup za burtę. Teraz myśleli tylko o przetrwaniu, a nie o zysku. Gdy odsłonili dno, zobaczyli luźny gwóźdź, który spowodował przesunięcie się jednej z desek. Hanno zdjął sandał i użył wzmocnionej żelaznymi nitami podeszwy, żeby wbić gwóźdź, przez co napływ wody wyraźnie się zmniejszył. Na szczęście mieli na pokładzie też mały cebrzyk, w którym zwykle przechowywali zapasowe kawałki ołowianych obciążników do sieci. Chwycił go i zaczął ciężko pracować, wylewając wodę. Ku jego ogromnej uldze udało się doprowadzić stan wody do poziomu, który nie zagrażał zatonięciem.

Potężny grzmot, który przetoczył się po niebie, omal go nie ogłuszył.

Suniaton jęknął ze strachu, a Hanno wyprostował się i zamarł.

Niebo nad ich głowami przybrało złowroźny czarny kolor, a błyskające wewnątrz poskręcanych kołtunów chmur biało-żółte światła zapowiadały potężne błyskawice. Wiatr smagał fale, wprawiając je w szal. Z każdą chwilą stawał się coraz silniejszy. Sztorm miał właśnie pokazać im swoje najgroźniejsze oblicze. Wody w łodzi znów przybyło i Hanno musiał pracować dwa razy szybciej przy jej wylewaniu. Stracili już jakąkolwiek szansę na to, że wiosłując, dotrą do brzegu. Łódź poruszała się tylko w jednym kierunku. Zmierzali na wschód. Na pełne morze. Hanno starał się nie okazać, jak bardzo się boi.

– Co z nami będzie? – zapytał Suniaton płaczliwym głosem.

Uświadomiwszy sobie, że jego przyjaciel potrzebuje teraz słów otuchy, Hanno próbował wymyślić jakąś optymistyczną odpowiedź, ale nic nie przychodziło mu do głowy. To nie mogło się skończyć inaczej, jak tylko przedwczesnym spotkaniem z Melkartem, bogiem mórz.

W jego pałacu na dnie.

## Rozdział II



### Okolice Kapui, Kampania

Kwintus obudził się tuż po świcie, gdy tylko pierwsze promienie słońca wkradły się przez okno do jego sypialni. Ponieważ nigdy nie lubił kisić się w łóżku o poranku, szesnastolatek szybko poderwał się, odrzucając koc, którym się przykrywał. Miał na sobie tylko *licium*, lnianą bieliznę. Od razu skierował się ku małemu ołtarzykowi, znajdującemu się w najdalszym rogu pomieszczenia. Czuł ekscytację na myśl o tym, co przyniesie ten dzień. Dziś będzie mu dane po raz pierwszy poprowadzić polowanie na niedźwiedzia. Wkrótce miał urodziny, a jego ojciec chciał, aby właśnie w ten – odpowiedni do jego stanu – sposób zaakcentować wkroczenie przez niego w wiek dorosły. „Nie mam wątpliwości, że toga będzie na ciebie pasować” – wyjaśniał wczoraj Fabrycjusz. „Ale w twoich żyłach płynie oskijska krew. Czy znasz jakiś lepszy sposób, aby udowodnić swoją odwagę, niż zabicie największego drapieżnika zamieszkującego lasy Italii?”

Kwintus ukląkł przed ołtarzem. Zamknął oczy i zmówił modlitwę. Jak zwykle prosił bogów, aby zachowali w zdrowiu oraz dobrobycie jego i całą rodzinę. Potem dodał kilka bardziej osobistych prośb: aby nie miał problemów z odnalezieniem śladów niedźwiedzia i nie zgubił tropu, aby w najtrudniejszych chwilach nie zawiodła go odwaga, gdy już uda im się odszukać dzikie zwierzę, oraz aby cios jego włóczni był celny i szybki...

– Nie trap się bracie. – Usłyszał za plecami kobiecy głos. – Wszystko dziś pójdzie dobrze.

Zaskoczony Kwintus ujrzał siostrę, która zerknęła do jego pokoju zza uchylonych drzwi. Aurelia była prawie trzy lata młodsza od niego i... uwielbiała długo spać.

– Tak wcześnie na nogach? – zapytał z pobłażliwym uśmiechem na ustach.

Aurelia ziewnęła przeciągle, przeczesując dłonią gęste, kruczoczarne włosy, dłuższe niż jego, ale równie ciemne. Nie dało się ukryć, że są rodzeństwem. Łączył ich nie tylko kolor włosów, ale podobne proste nosy, lekko spiczaste podbródki i szare oczy.

– Nie mogłam spać. Myślałam o twoim polowaniu.

– Martwisz się o mnie? – zażartował wyzywająco, ciesząc się w duchu, że może na chwilę zapomnieć o swoich obawach.

Aurelia weszła do pokoju.

– Oczywiście, że nie. No wiesz... trochę. Modliłam się do Diany. Ona cię poprowadzi – oświadczyła uroczyście.

– Wiem – odparł Kwintus z pewnością w głosie, która nie współgrała z jego myślami. Pokłonił się przed figurkami na ołtarzyku, a potem wstał z kolan. Zanurzył głowę w wodzie

przygotowanej w brązowej misie, która stała przy jego łóżku. Wyprostował się i wytarł twarz i ociekające wodą ramiona kawałkiem materiału. – Wieczorem wszystko ci opowiem. – Założył tunikę z krótkimi rękawami, a potem usiadł, żeby zasznurować sandały.

Aurelia zmarszczyła brwi.

– Kiedy ja chciałabym zobaczyć to na własne oczy...

– Kobiety nie polują.

– To takie niesprawiedliwe!

– Wiele rzeczy jest niesprawiedliwych na tym świecie. Musisz to zaakceptować.

– Ale przecież nauczyłeś mnie używać procy.

– I może to nie był najlepszy pomysł – mruknął Kwintus. Ku jego zdziwieniu okazało się, że Aurelia miała prawdziwy talent i zwykle bezbłędnie trafiała w cel, co naturalnie przekładało się u niej na jeszcze większe pragnienie uczestniczenia w zabronionych zajęciach. – Na razie udało nam się utrzymać to w tajemnicy, ale wyobraź sobie reakcję matki, gdyby się dowiedziała.

– Jesteś już prawie kobietą – odezwała się Aurelia, naśladując Atię, ich matkę. – Takie zachowanie nie przystoi młodej damie. Musisz z tym natychmiast skończyć!

– Właśnie... – Kwintus zignorował grymas niezadowolenia rysujący się na twarzy siostry. – A co powiedziałyby, gdyby się wydało, że jeździsz konno? – Wcale nie chciał stracić ulubionego towarzysza konnych wycieczek, ale nie miał na to wielkiego wpływu. – To nie są zajęcia dla kobiet.

– No tak... Gotowanie, tkanie. Dbanie o ogród. Nadzorowanie niewolników. Tym powinnam się zajmować. Ale to takie nudne! – odparła wzburzona Aurelia. – W przeciwieństwie do polowania czy nauki fechtunku mieczem.

– Nie jesteś też wystarczająco silna, aby utrzymać choćby włócznię.

– Nie? – Aurelia podwinęła rękaw nocnej koszuli, żeby pokazać bratu naprężony biceps. Uśmiechnęła się, widząc jego zaskoczenie. – Ćwiczyłam z kamieniami. Tak samo jak ty.

– Słucham? – Kwintus nie był w stanie ukryć zdumienia. Dbał o kondycję fizyczną i ćwiczył w lesie przylegającym do ich posiadłości. Jak widać nie udało mu się ukryć śladów tej aktywności. – Szpiegujesz mnie? I naśladujesz?

– Oczywiście. Po zakończeniu swoich lekcji, gdy nie mam już żadnych obowiązków, bez trudu wymykam się z domu, tak żeby nikt mnie nie zobaczył. – Aurelia uśmiechała się szeroko.

– Jesteś uparta, nie ma co... – Kwintus pokiwał głową. Przemówienie jej do rozsądku mogło być trudniejsze, niż przypuszczał. Cieszył się jednak, że niedługo nie będzie musiał się tym martwić. Gdy przypomniał sobie podsłuchaną rozmowę rodziców o znalezieniu męża dla Aurelii, obudziło się w nim lekkie poczucie winy. Wiedział, jak jego siostra przyjmie tę wiadomość. Żle.

– Wiem, że to nie może trwać wiecznie – odezwała się ponurym głosem. – Wkrótce bez wątpienia wydadzą mnie za mąż.

Kwintus nie dał po sobie poznać, jak bardzo zaskoczył go komentarz siostry. Nawet jeśli Aurelia nie słyszała tej konkretnej rozmowy, w zasadzie nie było nic dziwnego w tym, że doskonale wiedziała, co ją czeka. *Może mógłbym jej pomóc, a nie udawać, że to się nie zdarzy?*

– Kojarzone małżeństwa wcale nie muszą okazać się katastrofą... – zaczął niepewnie. To była prawda. Większość przedstawicieli rzymskiej arystokracji wkładała sporo wysiłku w to, aby związki ich dzieci były obustronnie korzystne. Tak właśnie funkcjonowało rzymskie społeczeństwo. – Możesz być bardzo szczęśliwa z tym, kogo wybiorą dla ciebie rodzice.

Aurelia spojrzała na niego z dezaprobatą.

– I myślisz, że ja w to uwierzę? Oni pobrali się z miłości. Dlaczego ja nie miałabym zrobić tak samo?

– To była zupełnie niezwykła sytuacja. Mało prawdopodobne, że coś takiego zdarzy się i tobie. Ponadto ojciec ma na uwadze również twoje dobro, a nie tylko interesy rodziny.

– Tylko czy to jest gwarancja szczęśliwego związku?

– Z pomocą bogów? Tak. I tak będziesz miała lepiej niż ja – dodał, próbując pocieszyć siostrę. – Mogę skończyć u boku jakiejś starej jędzy, która uczyni moje życie koszmarem! – Kwintus w głębi serca cieszył się jednak, że jest mężczyzną. Niewątpliwie prędzej czy później i jego czeka ożenek, ale rodzice nie muszą się z tym jakoś specjalnie spieszyć. W międzyczasie jego młodzieńcze żądze w pełni zaspokajała Elira, uderzająco piękna niewolnica z Ilirii. Pracowała w domu i spała na podłodze w atrium, więc nie miała trudności z zakradaniem się w nocy do jego komnaty. Kwintus sypiał z nią od dwóch miesięcy, od czasu, gdy zauważył, że dziewczyna rzuca mu pełne żaru spojrzenia. Miał nadzieję, że nikt nie wie, że coś ich łączy.

Aurelia wreszcie się uśmiechnęła.

– Jesteś za przystojny na coś takiego.

Roześmiał się na ten komplement.

– Czas na śniadanie. – Kwintus chciał zakończyć ten niewygodny dla niego temat.

Z ulgą przyjął skinienie głowy Aurelii.

– Musisz zjeść coś porządnego, żeby mieć dużo siły na polowaniu.

Kwintus znów poczuł skurcz w żołądku, który przytłumił głód. Musiał coś zjeść, choćby po to, żeby zrobić dobre wrażenie.

Kwintus zostawił Aurelię zajętą rozmową z Juliuszem, niewolnikiem odpowiedzialnym za funkcjonowanie kuchni w gospodarstwie, i szybko zamknął za sobą drzwi. Zjadł niewiele, ale miał nadzieję, że Aurelia tego nie zauważyła. Zrobił kilka kroków przez *peristylium*, wewnętrzny dziedziniec willi otoczony portykiem kolumnowym, i natknął się na Elirę. Niewolnica niosła kosz wypełniony warzywami i ziołami z ogrodu. Jak zwykle rzuciła mu uwodzicielskie spojrzenie. Tego ranka Kwintus nie myślał o cielesnych uciechach. Uśmiechnął się do niej, ale poszedł dalej, bez słowa.

– Kwintusie!

Aż podskoczył na dźwięk głosu, chyba jednego z najbardziej rozpoznawalnych w tym domu. Należał do Atii, jego matki. Kwintus obejrzał się, ale jej nie zobaczył, co oznaczało, że prawdopodobnie znajdowała się w atrium, gdzie koncentrowało się życie rodzinne. Szybko okrążył szmerzącą fontannę stojącą w środku dziedzińca, przeszedł przez przyjemnie chłodne *tablinum*, salę recepcyjną, która prowadziła do atrium, a stamtąd do korytarza.

– To piękna dziewczyna.

Kwintus odwrócił się w stronę matki stojącej w cieniu przy drzwiach, w dobrym punkcie obserwacyjnym, z którego świetnie widać było perystyl.

– Ss... Słucham?

– Bacz, że nie widzę niczego zdrożnego w dzieleniu łoża z niewolnicą. – Atia wyszła z cienia. Jak zawsze Kwintus nie mógł nie zauważyć, z jaką gracją się porusza, a także jej nietuzinkowej urody. Jego matka była ucieleśnieniem piękna oskijskich kobiet. Niska i szczupła, dbała o swój wygląd z wielką starannością. Wysokie kości policzkowe podkreślała ochrą. Brwi i powieki delikatnie czerniła popiołem. Ciemnoczerwoną stolę, wydłużoną, przepasaną tunikę, uzupełniał kremowy szal. Długie, kruczoczarne włosy przytrzymywała szpilką z kości słoniowej i diademem. – Pamiętaj jednak, żeby nie robić tego zbyt często, bo wtedy wpadają im do głów pomysły nieprzystające do ich pozycji.

Kwintus poczerwieniał. Nigdy nie rozmawiał z matką o miłości fizycznej, a ona również nigdy nie komentowała jego zachowań wobec kobiet. W pewnym sensie nie był jednak wcale zaskoczony tym, że to właśnie ona zaczęła tę rozmowę, a nie jego ojciec. Fabrycjusz był twardy

i surowy, ale – jak często powtarzał – jego żona nie służyła w armii tylko dlatego, że los sprawił, iż urodziła się kobietą. Zwykle to Atia bywała bardziej stanowcza niż Fabrycjusz.

– Jak się dowiedziałaś?

Jej szare oczy przewiercały Kwintusa na wylot.

– Słyszałam was w nocy. Trzeba być kompletnie głuchym, żeby nie usłyszeć.

– Och... – jęknął. Nie bardzo wiedział, gdzie podziąć oczy. Nie ruszał się. Zwiesił głowę i przyglądał się skomplikowanej mozaice pod stopami, marząc, aby ziemia się rozstała i go pochłonięła, oszczędzając mu wstydu. Wydawało mu się, że zachowują się wystarczająco dyskretnie.

– Daj spokój. Nie jesteś pierwszym synem nobila, który spółkuje z piękną niewolnicą.

– Nie, matko...

Atia uniosła dłonie w lekceważącym geście.

– Twój ojciec zachowywał się tak samo, kiedy był młodszy. Każdy tak robi.

Kwintus był zaskoczony niespodziewaną otwartością matki. Pomyślał, że to musi być jakaś część rytuału wchodzenia w dorosłość.

– Powinieneś być bezpieczny z Elirą. Jest czysta – dodała szybko Atia. – Ale nowe nałożnice wybieraj starannie. Jeśli trafisz do lupanaru, wybieraj te droższe. Bardzo łatwo złapać jakąś nieprzyjemną chorobę.

Kwintus otworzył i zamknął usta, nie wydając głosu. Nie zapytał, skąd jego matka wie, że Elira jest... *Czysta*? Jako *ornatrix* Atii, Iliryjka codziennie rano zajmowała się garderobą matki. Zapewne przeżyła trudne chwile, gdy Atia dowiedziała się, co się dzieje.

– Tak, matko.

– Gotów na polowanie?

Kwintus uciekał przed palącym wzrokiem Atii. Nie śmiał spojrzeć jej w oczy. Zastanawiał się, czy matka potrafi dostrzec trawiący go niepokój.

– Tak myślę...

– Modliłeś się o łaskę bogów? – Na szczęście matka nie skomentowała jego podejrzanego zachowania.

– Tak.

– Zróbmy to jeszcze raz.

Skierowali się do atrium. Oświetlały je promienie słoneczne wpadające przez otwór w suficie. Specjalnie pochylony dach sprawiał, że woda deszczowa spływała do zbiornika umieszczonego w centralnym punkcie pomieszczenia. Ściany atrium zdobiły barwne rysunki, przedstawiające rzędy kolumn, które prowadziły do wymyślonych pokoi. Dzięki temu pomieszczenie wydawało się większe, niż było w rzeczywistości. W tym miejscu koncentrowało się życie rodzinne i towarzyskie. To stąd prowadziły korytarze do ich sypialni, biura Fabrycjusza i licznych magazynów. Tutaj też – w zacienionym narożniku najbliższym ogrodowi – znajdował się ołtarz poświęcony bogom.

Na niewielkiej kamiennej półce stały posążki Jowisza, Marsa lub Mamersa, jak nazywali go Oskowie, a także Diany. Na twarzach figurek płąsały cienie, efekt chwiejnych płomieni płaskich, okrągłych lampek oliwnych. Na ścianie nad ołtarzem wisiały płaskorzeźby przedstawiające przodków Kwintusa. W większości były to podobizny ascendentów Fabrycjusza. Ludzie wojny, którzy podporządkowali Kampanię Rzymowi ponad sto lat wcześniej. Fabrycjusz zgodził się na to, aby obok nich zawisły również płaskorzeźby przedstawiające przodków Atii, wyrażając w ten sposób szacunek do historii rodu żony. Arystokraci oskijscy zamieszkiwali te tereny od wielu pokoleń. Oczywiście Kwintus był niezwykle dumny z dziedzictwa obu rodzin.

Uklękli obok siebie w słabym świetle, pogrążeni w milczących prośbach kierowanych do

bogów.

Kwintus jeszcze raz powtórzył modlitwę, którą zmówił w swojej sypialni. Uspokoił się trochę, ale modły nie mogły rozproszyć wszystkich jego lęków. Przynajmniej nie myślał już o tym, jak bardzo czuł się zakłopotany rozmową o Elirze. Gdy jednak skierował twarz ku matce, skonsternowany stwierdził, że ta przygląda mu się uważnie.

– Twoi przodkowie będą cię strzec – powiedziała cicho. – Pomogą ci. Poprowadzą twoją włócznię. Nie zapominaj o tym.

*Widziała* jego strach. Zawstydzony Kwintus kiwnął głową.

– Tutaj jesteś! Szukałem cię! – Od strony korytarza prowadzącego do perystylu rozległ się donośny głos Fabrycjusza. Ojciec był niewysoki, ale dobrze zbudowany. Miał krótkie włosy, teraz już bardziej siwe niż brązowe. Gładko ogolone policzki pozwalały dostrzec zdrową, smagłą od słońca skórę, ciemniejszą niż u Kwintusa. Ojciec i syn mieli takie same proste nosy i szerokie szczęki. Fabrycjusz był już w ubraniu, którego używał na polowaniach: w starej, ulubionej tunice, z paskiem, za którym nosił szytlet z rękojeścią z kości słoniowej, i w sprawdzonych niejednokrotnie skórzanych sandałach. Nawet bez ryszunku wyglądał jak żołnierz.

– Skończyliście się modlić? Bo musimy się przygotować.

– Tak, ojczec. – Kwintus przeniósł wzrok na matkę.

– Idź. Zobaczymy się później.

Poczuł się pewniej. *Muszę myśleć, że mi się uda!*

– Czas wybrać dla ciebie włócznię.

Fabrycjusz poprowadził go do jednego ze składzików, gdzie przechowywano broń i inne wyposażenie potrzebne do polowań. Kwintus rzadko miał okazję w nim przebywać, ale i tak było to jego ulubione miejsce w domu. Gdy ojciec wyjął mały klucz, którym otworzył kłódkę, czuł, że krew w jego żyłach zaczyna wrzeć. Zamek ustąpił z cichym kliknięciem. Fabrycjusz przesunął zasuwę i pociągnął drzwi, które otworzyły się na oścież.

Wpadające do zbrojowni słońce nie oświetlało całego pomieszczenia, w którym wciąż panował półmrok. Kwintus od razu spojrzał na drewniany stojak, na którym znajdował się paradny hełm boetański o nietypowym kształcie, z szerokimi osłonami. Wyróżniała go długa, czerwona kita końskich włosów. Mimo upływu czasu hełm robił niesamowite wrażenie. Kwintus uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie dzień, gdy ojciec zostawił otwarte drzwi, a on zakradł się, by w tajemnicy przed wszystkimi założyć to dzieło sztuki. Wyobrażał sobie, że jest dorosły i służy w rzymskim oddziale jazdy legionowej. Marzył, że któregoś dnia ten hełm stanie się jego własnością.

Na ziemi pod stojakiem leżała para prostych nagolenników, wykonanych z brązu, tak samo jak hełm. Obok stała okrągła tarcza kawalerzysty, wzmocniona utwardzoną skórą wołu. Wspierał się na niej długi, zakończony kościaną główką miecz w skórzanej pochwie, zdobionej brązowymi skuwkami: *gladius hispaniensis*. Jego ojciec twierdził, że broń ta została przyjęta przez Rzymian na wyposażenie armii po tym, gdy legiony starły się z najemnikami walczącymi dla Kartaginy. Chociaż miecze tego typu wciąż nie były jeszcze standardowym wyposażeniem kawalerzystów, mieli je praktycznie wszyscy piesi legioniści. Proste, obustronne ostrze gladiusa, prawie tak długie jak ramię mężczyzny, we wprawnych rękach było śmiertelnie niebezpieczne.

Kwintus patrzył z szacunkiem, jak Fabrycjusz delikatnie gładzi hełm i dotyka rękojeści miecza. Te świadectwa historii i przeszłości jego ojca od zawsze go fascynowały. Kwintus nie mógł się też doczekać, kiedy wreszcie zacznie uczyć się wojennego rzemiosła. Chociaż nieźle radził sobie na polowaniach, nie miał prawie żadnego doświadczenia w posługiwaniu się bronią żołnierza. Rzymianie uczyli się tego dopiero w legionach, a więc nie wcześniej niż po ukończeniu siedemnastego roku życia. Na razie poznawał historię militarną i brał lekcje taktyki.



No i miał jeszcze polowania. To musiało mu wystarczyć. Na razie.

Fabrycjusz zbliżył się do regału z bronią.

– Wybierz.

Kwintus przyglądał się z zachwytem różnym rodzajom oszczepów i włóczni używanych przez hoplitów. Dzisiejszy wybór musi spełniać specyficzne potrzeby. Zatrzymanie szarżującego niedźwiedzia było trudniejsze niż walka z żołnierzem wroga. Potrzebował znacznie cięższej broni, która wytrzymałaby napór bestii. Jego palce instynktownie zamknęły się na nieco szerszym niż zazwyczaj jesionowym drzewcu włóczni, której już kiedyś używał. Była zakończona obustronnym ostrzem w kształcie liścia, zamocowanym na długim, wydrążonym trzonie. Podstawę żeleźca osłonięto z każdej strony grubym żelaznym prętem. Została specjalnie pomyślana, aby uniemożliwić ofierze osiągnięcie osoby trzymającej włócznię. Czyli jego.

– Ta będzie odpowiednia – odezwał się pewnie, starając się wyrzucić z głowy obraz niedźwiedzia dosięgającego go pazurami.

– Dobry wybór – odrzekł z ulgą ojciec. Klepnął Kwintusa w bark. – Co dalej?

Podekscytowany Kwintus zdał sobie sprawę, że ojciec oddaje mu pełną kontrolę nad polowaniem. Skończył się czas nauki, umiejętności zdobyte przez ostatnie dwa lata musiały wystarczyć. Nie zastanawiał się długo nad odpowiedzią.

– Sześć psów powinno dać radę. Jeden niewolnik do każdej pary. Możemy zabrać Agesandrosa. Jest dobrym łowczym i sprawdzi się podczas pilnowania niewolników...

– Coś jeszcze?

Kwintus się uśmiechnął.

– Przypuszczam, że przyda się trochę jedzenia i wody.

– Bardzo dobrze – zgodził się ojciec. – Pójdę do kuchni i zadbam o prowiant. A ty wybierz niewolników i psy.

Kwintus, który wciąż jeszcze z trudem uświadamiał sobie swą nową sytuację, wyszedł ze zbrojowni. Po raz pierwszy poczuł ciężar pełnej odpowiedzialności. Musiał podejmować właściwe decyzje. Zasadzanie się na niedźwiedzie zawsze wiąże się z ryzykiem. Od niego zależeć będzie życie uczestników polowania.

Niedługo potem mała grupa myśliwych opuściła gospodarstwo. Kolumnę prowadził Kwintus, a jego ojciec szedł krok za nim. Nie obciążali się żadnymi bagażami, jeśli nie liczyć bukłaków z wodą. Musieli mieć wolne ręce, aby pewnie dzierżyć włócznie. Za nimi maszerował Agesandros, Grek z Sycylii, który był w służbie u Fabrycjusza już wiele lat. Jego pan ufał mu w pełni, dzięki czemu Agesandros mógł posługiwać się bronią. Dzisiaj niósł myśliwską włócznię. Grek dźwigał też dodatkowo plecak z chlebem, serem, cebulą i kawałkami suszonego mięsa.

Dzięki ciężkiej pracy Agesandros awansował i objął stanowisko nadzorcy. *Vilicus* był najbardziej uprzywilejowanym niewolnikiem w gospodarstwie. Agesandros nie urodził się jednak w niewoli. Podobnie jak wielu jego krajanów, walczył ramię w ramię z Rzymianami w wojnie z Kartagijną. Trafił do niewoli, a potem został sprzedany przez Kartagińczyków na targu niewolników. Kwintus pomyślał, że jest w tym mnóstwo ironii. Sycylijczyk walczący przeciwko wrogom Rzymu został niewolnikiem swoich dotychczasowych towarzyszy. Fabrycjusz szanował jednak Agesandrosa, a nadzorca potrafił zbudować dobre relacje ze wszystkimi członkami rodziny. Był towarzyski i zawsze chętnie odpowiadał na pytania, którymi Kwintus i Aurelia zasypywali go od najmłodszych lat. Choć przekroczył już pewnie czterdziestkę, pałakowatonomi *vilicus* zarządzał niewolnikami twardą ręką.

Pochód zamykali trzej równie twardzi Galowie, wybrani przez Kwintusa ze względu na to, że doskonale radzili sobie z psami myśliwskimi. Zwłaszcza jeden z nich – krępy, wytatuowany mężczyzna o złamanym nosie – spędzał cały swój wolny czas z psami, ucząc je

nowych poleceń. Podobnie jak reszta niewolników, ta trójka jeszcze dziś rano pracowała na polach pod nadzorem Agesandrosa. Był to czas siewu i wszyscy musieli ciężko pracować od rana do zmierzchu, w słońcu czy słońcu. Dlatego tę odmianę – polowanie – Galowie przyjęli z zadowoleniem, a teraz żywo rozprawiali o czymś w swoim języku. Każdy z nich trzymał na skórzanej smyczy parę dużych pręgowanych psów łowczych. Od mniejszych psów Fabrycjusza odróżniały je szerokie pyski i mocno umięśnione ciała. Miały zdecydowanie wyostrzony zmysł węchu, a te wspomniane mniejsze psy, o sterczących uszach i dłuższej sierści, przydawały się przede wszystkim z uwagi na ich sokoli wzrok.

Słońce stało już wysoko na bezchmurnym niebie, gdy myśliwi zostawili za sobą otaczające gospodarstwo pola obsiane pszenicą. Opuszczając zabudowania, widzieli, że zegar słoneczny na dziedzińcu wskazywał, iż właśnie minęła *hora secunda*. Wokół zaczynały swój koncert cykady i chociaż jeszcze nie było bardzo gorąco, zanosilo się na upalny dzień. Kwintus poprowadził kolumnę wąską dróżką, która wila się wśród drzew oliwnych, rozsianych na zboczach otaczających farmę.

Po pokonaniu pasa polan oddzielającego sady oliwne od terenów położonych nieco wyżej znaleźli się w mieszanym, bukowo-dębowym lesie, który ciągnął się przez wiele mil. Chociaż pobliskie pasmo górskie nie mogło równać się z Apeninami, które rozciągały się z północy na południe niczym kręgosłup półwyspu włoskiego, i tu dość często spotykało się niedźwiedzie. Mało prawdopodobne było jednak natknięcie się na nie tak blisko gospodarstwa. Te wielkie, dzikie zwierzęta były samotnikami i raczej unikały ludzi. Kwintus pilnie szukał śladów, a gdy ich nie dostrzegł, zwiększył tempo marszu, aby jak najprędzej wejść głębiej w las.

Tak jak wszystkie większe miasta w Italii, pobliska Kapua organizowała własne *ludi*, święta i zabawy. Dzięki temu Kwintus miał okazję widzieć niedźwiedzia na arenie. I musiał przyznać, że to nie było przyjemne widowisko. Ogłuszone przez wiwatujący tłum zwierzę miało się przerażone. Miało małą szansę w walce z dwoma wyszkolonymi myśliwymi, uzbrojonymi w ciężkie włócznie. Niemniej dobrze pamiętał, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim potężne szczęki i ostre pazury niedźwiedzia. Walka z taką bestią w jej naturalnym środowisku to będzie coś zupełnie innego niż widowisko, którego był świadkiem w Kapui. Kwintus poczuł, że żołądek zwija mu się w węzeł, ale nie zwolnił tempa. Fabrycjusz, jak wszyscy ojcowie w Rzymie, miał pełne prawo do decydowania o życiu lub śmierci swojego syna. I to on wskazał Kwintusowi zadanie, które miał wykonać, aby udowodnić swoją wartość. Nie mógł też zawieść matki. Jego obowiązkiem było spełnić pokładane w nim nadzieje. *Zanim zajdzie słońce, będę mężczyzną* – pomyślał z dumą. Nie mógł jednak odpędzić od siebie dręczącej myśli, że równie dobrze dziś może skończyć się jego życie, gdy przyjdzie mu wykrwawić się na śmierć na leśnej ściółce.

Wspinali się wytrwale, zostawiając za sobą las liściasty. Teraz otaczały ich sosny, jałowce i cyprysy. Powietrze stało się chłodniejsze. Kwintus zaczął się martwić. Już wcześniej widział w tych okolicach stopy odchodów czy drzewa naznaczone charakterystycznymi zadrapaniami niedźwiedziej pazurów. Dziś jednak nie był w stanie dostrzec żadnego świeżego śladu, żadnego znaku niedźwiedziej obecności nie pochodzącego sprzed tygodnia czy nawet miesiąca. Nie ustawał jednak w wysiłkach, modląc się o pomoc do Diany, bogini polowania. Na razie jednak te prośby pozostawały bez odpowiedzi. Nie słyszał ani śpiewu ptaków, ani żadnego jelonka zrywającego się do biegu z mijanych zarośli. Wreszcie, niepewny, zatrzymał się. Jego towarzysze, chcąc nie chcąc, również musieli przystanąć. Kwintus czuł ciężar spojrzenia ojca, a także wpatrującego się w niego Agesandrosa. Był też aż nadto świadomy porozumiewawczych spojrzeń Galów. Musiał się zastanowić. Znał te tereny jak mało kto. *Gdzie w taki ciepły dzień najłatwiej natknąć się na niedźwiedzia?*

Zerknął na ojca. Ten odwzajemnił jego spojrzenie, z którego jednak nie dało się niczego wyczytać. *Nie mogę liczyć, że przyjdzie mi dziś z pomocą.*

Jeden z Galów ledwo stłumił śmiech, co skończyło się niezręcznym, głośnym kaszlem. Kwintus się zarumienił, ale Fabrycjusz i tym razem nie zareagował. Podobnie jak Agesandros. Jeszcze raz spojrzął na ojca. Fabrycjusz był niewzruszony. Może zapomnieć o słowach otuchy, a Galowi nie grozi żadna reprimenda. Dzisiaj musi sam zapracować na szacunek nadzorczy i niewolników. Kwintus zachodził w głowę, szukając jakiejś wskazówki. Co powinien uczynić? I nagle go olśniło.

– Jeżyny! – wykrzyknął. – Niedźwiedzie je uwielbiają. – Wyżej, na południowych stokach rosły jeżyny, które owocowały o wiele wcześniej niż te porastające niższe zbocza. Niedźwiedzie spędzały sporą część swojego życia na poszukiwaniu pożywienia. To było równie dobre miejsce do sprawdzenia, jak każde inne.

W tej samej chwili ciszę zakłóciło *staccato* dzięcioła. Potem dźwięk powtórzył się, tym razem dochodził z innej strony. Kwintus poczuł, że jego serce zaczyna bić mocniej. Rozejrzał się i wreszcie dostrzegł nie jednego, ale dwa czarne dzięcioły. Te nieuchwytnie, rzadko pokazujące się ludziom ptaki były poświęcone Marsowi, bogowi wojny. *Dobry omen.* Kwintus zawrócił na pięcie i wskazał kierunek marszu.

Ojciec trzymał się blisko. Uśmiechał się.

Za nim podążał Agesandros i Galowie.

Nikt już się nie śmiał.

W końcu modlitwy Kwintusa zostały wysłuchane. Poszukiwanie tropów nareszcie przyniosło efekty. I to jakie! Do tej pory Kwintus sprawdził kilka polan i na jednej, w cieniu wysokiej sosny, znalazł dużą stertę świeżych odchodów. Kształt, wielkość i charakterystyczny zapach nie zostawiały miejsca na domysły. Kwintus niemal podskoczył z radości na ten widok. Zagłębił palec w ciemnobrązową masę. W środku wyczuł ciepło, co oznaczało, że niedźwiedź musiał przechodzić tędy niedawno. Wokół dostrzegł również wiele krzewów jeżynowych. Skinął na wytatuowanego niewolnika i wskazał na ziemię. Gal podskoczył do niego, a dwa wyszkolone psy natychmiast zaczęły obwąchiwać odchody niedźwiedzia i oba niemal w tym samym czasie zapiszczały, na przemian to wachając niedźwiedzie ekskrementy, to unosząc pyski i węsząc. Kwintus poczuł, że krew zaczyna mu szybciej krążyć w żyłach. Gal spojrzął na niego pytająco.

– Spuść psy ze smyczy – rozkazał. Zwrócił się do pozostałych niewolników. – Wy też.

Gdy Kwintus z ojcem opuścili willę, Aurelia wpadła w kiepski nastrój. Powód? Bardzo prozaiczny. Podczas gdy jej brat tropił niedźwiedzia, ona musiała pomagać matce, która nadzorowała niewolników w ogrodzie za murami willi. To był jeden z najbardziej pracowitych okresów w roku, kiedy cała przyroda zaczynała się budzić do życia. Lubczyk, gorczyca, kolendra, szczaw, ruta i pietruszka... Wszystkie rośliny ogrodowe chciwie wyciągały łodyżki do słońca. W ogrodzie uprawiano sporo różnych warzyw, gdyż to dzięki nim można było przez cały rok przygotowywać urozmaicone posiłki. Matka zadbała o to, aby znalazło się dość miejsca na ogórki, pory, warzywa korzenne, koper i kilka odmian kapusty. Cebula, jako podstawa każdego dobrego dania, zajmowała w ich warzywniku sporo miejsca. Równie ważną rolę w kuchni rodziny odgrywał czosnek, ceniony nie tylko za swoje walory smakowe, ale i właściwości medyczne.

Aurelia wiedziała, że zachowuje się niepoważnie. Kilka tygodni wcześniej z radością pracowała na grządkach, na których teraz rosły zioła i warzywa. Pokazywała niewolnikom, gdzie mają robić zagłębienia, i dbała o to, aby wszystkie rośliny miały dość wody. Jak zwykle zadanie umieszczenia maleńkich nasion w przygotowanych otworach zostawiła dla siebie. Robiła tak, odkąd pamięta. Teraz jednak, gdy rośliny urosły, do jej głównych obowiązków należało

podlewanie ich i plewienie. Dzisiaj jednak jakoś nie miała do tego serca. Nie zmartwiłaby się wcale, gdyby cały ogród zarósł zielskiem. Stała bez ruchu z boku, obserwując matkę wydającą polecenia. Nawet Elirze, z którą zawsze się dobrze dogadywała, nie udało się jej przekonać, aby zajęła się pracą.

Atia ignorowała córkę przez jakiś czas, ale w końcu i ona miała dosyć jej zachowania.

– Aurelio! Podejdź tu, proszę...

Wykonała polecenie, powłócząc nogami.

– Myślałam, że lubisz zajęcia w ogrodzie – zaczęła pogodnie Atia.

– Lubię – odezwała się mrukiwie Aurelia.

– To dlaczego nam nie pomagasz?

– Nie mam jakoś ochoty. – Aurelia zdawała sobie sprawę, że wszyscy niewolnicy znajdujący się w pobliżu, zaciekawieni, nadstawiają uszu, aby pochwycić jak najwięcej. I bardzo jej się to nie spodobało.

Atia nie dbała o to, że ktoś może ich usłyszeć.

– Jesteś chora?

– Nie.

– A więc o co chodzi?

– Nie zrozumiesz – wymamrotała Aurelia.

– Naprawdę? Może sprawdzmy? – Atia uniosła brwi.

– No więc... – Aurelia uchwyciła spojrzenie najbliższego niewolnika, który bezczelnie się na nią gapił. Zgromiła go wzrokiem tak, że musiał się odwrócić. Ten mały sukces nie przyniósł jej jednak spodziewanej satysfakcji. Matka patrzyła z wyczekiwaniem. – Chodzi o Kwintusa... – przyznała.

– Pokłóciliście się?

– Nie. – Aurelia potrząsnęła głową. – Nic z tych rzeczy.

Atia czekała na dalsze wyjaśnienia trochę już zniecierpliwiona. Chwilę później zrozumiała, że szybko nie otrzyma odpowiedzi. Jej nozdrza rozchyliły się, gdy wciągała gniewnie powietrze.

– No więc?

Aurelia wiedziała, że matka za chwilę straci cierpliwość. W tej samej chwili zauważyła wysoko na niebie myszołowa szybującego na ciepłych prądach. Polował. Podobnie jak Kwintus. Aurelia znów poczuła wzbierającą złość i na chwilę zapomniała o przysłuchujących się ich rozmowie niewolnikach.

– To nie jest w porządku! Ja tkwię tutaj, w *ogrodzie*, a on tropi niedźwiedzia.

Atia nie wyglądała na zaskoczoną.

– Spodziewałam się, że o to chodzi. A więc chciałabyś polować?

Aurelia skinęła głową.

– Jak Diana. Łowczyni.

Matka zmarszczyła brwi.

– Nie jesteś boginią.

– Wiem, ale... – Aurelia przekręciła głowę, żeby niewolnicy nie zobaczyli łez zbierających się w jej oczach.

– Chodź do mnie... – Twarz Atii się wypogodziła. – Jesteś młodą kobietą lub wkrótce nią będziesz. Piękną kobietą. I dlatego twoja droga będzie zupełnie inna niż twojego brata. – Uniosła palec w ostrzegawczym geście, aby uciszyć gotową do protestów córkę. – Co nie znaczy, że twoje życie nie będzie miało wartości. Czy uważasz, że moje jest bezwartościowe?

– Oczywiście, że nie, mam. – Aurelia zaprzeczyła gwałtownie, bardzo zaskoczona takim

porównaniem.

– A zatem widzisz... – Atia uśmiechnęła się szeroko, uspokajająco. – Może nie pójdę na wojnę, ale moja pozycja jest silna. Twój ojciec polega na mnie w wielu sprawach. Tak samo, jak pewnego dnia polegać na tobie będzie twój mąż. Utrzymanie domu to tylko jedna, niewielka część twojej odpowiedzialności.

– Ale ty i ojciec sami zdecydowaliście, że chcecie się pobrać – zaprotestowała Aurelia. – Z miłości!

– Było w tym nieco szczęśliwego przypadku – przyznała matka – ale zrobiliśmy to bez zgody naszych rodziców. Ponieważ sprzeciwiliśmy się ich woli, zerwali z nami wszelkie kontakty. – Atia posmutniała. – To znacznie utrudniło nam szczęśliwe życie. Na wiele lat. Żałuję tego choćby i z tego powodu, że od tamtej pory nie widziałam już swoich rodziców. A oni nie mieli szansy poznania swoich wnucząt, ciebie i Kwintusa.

Aurelia poczuła się pewniej. Nigdy wcześniej matka nie rozmawiała z nią o tych sprawach.

– Ale na pewno było warto?

Atia powoli, z rozmysłem pokiwała głową.

– Było warto, ale mimo to nie chciałabym, abyś musiała iść taką samą drogą.

– To i tak pewnie lepsze niż poślubienie jakiegoś grubego starucha – zachnęła się Aurelia.

– Nie musisz się o to martwić. Nie jesteśmy z ojcem potworami. – Atia zniżyła głos. – Ale musisz mieć świadomość, młoda damo, że to *my* wybierzemy ci męża. Czy to jasne?

– Tak. – Aurelia poddała się, wyczuwając stalową pewność siebie w głosie matki.

Atia westchnęła, zadowolona, że jej najgorsze obawy się nie sprawdziły.

– Dobrze, że się rozumiemy. – Dostrzegła wahanie w oczach Aurelii. – Nie bój się. Doczekasz się miłości w swoim małżeństwie. Może rozwinąć się z czasem. Zapytaj Martialisa, wieloletniego przyjaciela ojca. On poślubił kobietę, która została mu wyswatana przez starszych obu rodzin, a teraz są sobie dozgonnie oddani. – Wyciągnęła rękę. – Czas zająć się pracą. Życie biegnie swoją drogą i nie ma znaczenia, jak się czujemy. A od tego ogrodu zależy zwykła egzystencja naszej rodziny.

Aurelia uśmiechnęła się niepewnie. Chwyliła dłoń matki. Może wypadki nie potoczą się aż tak źle, jak sądziła jeszcze przed chwilą.

Nie mogła jednak powstrzymać się przed zerkaniem na myszołowa. Jej myśli płynęły do brata.

Kwintus wytrwale biegł za psami przez jakieś ćwierć godziny, zanim dostrzegł pierwszy znak, że udało im się dopaść ofiarę. Psy, skryte przed ich wzrokiem w małym zagajniku, zaczęły nagle głośno ujadać, a potem zamiast ostrych, krótkich szczeknięć rozległo się długie, przeciągłe wycie. Kwintus zatrzymał się, próbując uspokoić kołatanie serca. Psy miały jedynie osaczyć niedźwiedzia. Zawsze znalazł się jednak jakiś nadgorliwy osobnik, a jego los był nieunikniony i nie do pozazdroszczenia. Najważniejsze, że udało się znaleźć niedźwiedzia. Jakby na potwierdzenie tej myśli Kwintus usłyszał wtórujący wyciu psów głęboki, gniewny ryk zwierzęcia.

Kwintus poczuł dławiącą kulę podchodzącą mu do gardła. Kolejny wysoki pisk świadczył o tym, że drugi pies został ranny. Albo zabity? Wstydząc się swego strachu, chłopiec przełknął ślinę. Nie mógł dłużej czekać. Psy robiły swoje i on musiał zrobić to, co do niego należało. Mruczając pod nosem modlitwę do Diany, ruszył w stronę linii drzew.

Gdy wypadł na osłoniętą przez drzewa dużą polanę, zmarszczył brwi, choć widok wydał mu się znajomy. Często z Aurelią chodzili tu na jagody! Polanę otaczały z jednej strony skąpane teraz w słońcu gęste zarośla, wyższe od mężczyzny, a przecinał ją wąski strumyk, kierujący się

ku dolinie. Gdziekolwiek wśród obfitości dzikich kwiatów leżały mniejsze i większe gałęzie, ale wzrok Kwintusa przyciągnęło od razu to, co działo się w cieniu strzelistego cyprysu. Cztery psy otaczały niedźwiedzia, zagnanego pod pień powalonego drzewa. Wściekłe zwierzę od czasu do czasu ruszało na swoich oprawców, ale zwinni myśliwi uskakiwali mu z drogi, uchodząc poza zasięg śmiertelnie groźnych kłów i pazurów. Gdy tylko niedźwiedź znalazł się trochę dalej od drzewa, któryś z psów atakował jego tylne nogi lub wgryzał się w ciało. Wyglądało na to, że zwierzę znalazło się w pułapce. Gdy tylko opuszczało dające mu względne bezpieczeństwo miejsce pod drzewem, psy atakowały go ze wszystkich stron, ale gdy cofało się, myśliwi nie byli w stanie mu zagrozić.

Uwadze Kwintusa nie uszły też dwa zastygłe w bezruchu kształty wśród trawy. Ofiary niedźwiedzia, których ostatnie skomlenia Kwintus słyszał zza szpaleru drzew. Wystarczyło spojrzenie, aby dojść do wniosku, że jeden z psów ma jeszcze szansę się wylizać. Zadane pazurami głębokie rany na klatce piersiowej mocno krwawiły, ale były to jedyne poważne obrażenia, jakie odniósł. Drugi myśliwy nie miał jednak tyle szczęścia. Płytkie ruchy klatki piersiowej świadczyły o tym, że pies jeszcze żyje, ale skóra z dużej części jego pyska została zerwana, a w krwawej masie straszliwie zmiażdżonego przedniego barku połyskiwały kawałki pogruchootanych kości. Najwyraźniej był to efekt działania potężnych szczęk niedźwiedzia.

Kwintus ostrożnie zbliżał się do osaczonego zwierzęcia. Pośpiech był niewskazany. Mógł stracić równowagę na niepewnym gruncie. Galowie wkrótce dotrą na miejsce. Kiedy odciągną psy, nadejdzie jego kolej. Przyglądał się szalejącemu niedźwiedziowi, szukając wskazówek, dzięki którym łatwiej mu będzie go uśmiercić. Zwierzę, zajęte odganianiem ujadających psów, na razie nie zwracało na niego uwagi. Niedźwiedź był ogromny. To musiał być samiec. Miał gęste, żółtobrązowe futro i typowy, duży, zaokrąglony łeb oraz małe uszy. Potężne barki i wielki tułów sprawiały, że był co najmniej trzy razy większy od człowieka. Kwintus dopiero teraz uświadomił sobie w pełni, co mu grozi. Czuł przyspieszone bicie serca, pulsującą mocno tętnicę szyjną. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie ma całkowitej kontroli nad wydarzeniami. To go martwiło.

*Uspokój się. Oddychaj głęboko. Skup się.*

– Te jeżyny to był dobry pomysł – usłyszał za sobą głos Fabrycjusza. – I widzę, że trafiła ci się wielka sztuka. Godny przeciwnik.

Zaskoczony Kwintus obrócił głowę. Nie był już sam. Wszystkie oczy kierowały się na niego.

– Tak – odparł, mając nadzieję, że powarkiwania i ryki dochodzące z polany sprawią, iż nikt nie wychwyci strachu w jego głosie.

Fabrycjusz podszedł bliżej.

– Jesteś gotowy?

Kwintus zadrżał. Ojciec dostrzegł jego niepokój i chciał mu jakoś pomóc. Wystarczyło jedno spojrzenie na Agesandrosa i niewolników, aby zrozumiał, że i oni byli świadomi podwójnego znaczenia tego pytania. Na twarzy Sycylińczyka pojawił się cień rozczarowania, a Galowie zerkali na siebie porozumiewawczo. *A niech ich szlag... Czy nigdy się nie bali?* Kwintus czuł gorąco w żołądku.

– Oczywiście! – odparł głośno.

Fabrycjusz przez chwilę przyglądał mu się uważnie.

– Dobrze.

Kwintus nie był pewien, czy jego zaniepokojony ojciec mu uwierzył. W tej sytuacji nie tylko ryzykował swoim życiem. Nawet gdy uda mu się uśmiercić niedźwiedzia, niczego nie zyska, jeśli Sycylińczyk i niewolnicy uznają, że jest tchórzem, który musiał szukać pomocy u Fabrycjusza.

– Nie mieszaj się, ojciec – powiedział głośno. – To moja walka. Muszę zrobić to sam, niezależnie od konsekwencji. – Spojrzał na ojca, który nie odpowiedział od razu. – Przysięgnij!

– Przysięgam – powiedział niechętnie Fabrycjusz, robiąc krok do tyłu.

Kwintus z zadowoleniem dostrzegł na twarzach otaczających go ludzi oznaki szacunku.

Kolejny pies zawył z bólu, gdy niedźwiedź trafił go zamaszystym ciosem potężnej łapy. Wyleciał wysoko w powietrze, po czym spadł ze złowieszczym trzaskiem obok nóg Kwintusa, który wyprostował się i przygotowywał na nieuniknione starcie. Trzy psy nie wystarczą, aby utrzymać niedźwiedzia w szachu. Jeśli nie zaczniesz działać, zdobycz im umknie.

– Odwołajcie je! – krzyknął.

Galowie wykonali polecenie, gwizdząc na psy. Jednak ich szalejący podopieczni wcale nie zamierzali odstąpić. Wytatuowany niewolnik zrobił kilka kroków do przodu i ignorując niedźwiedzia, zaczął okładać psy biczem, aby je odgonić. Dwa ustąpiły, ale największy samiec, którego pysk i zęby ociekały krwią osaczonej rannej ofiary, nie zamierzał się wycofać. Gal zaklął, ustawił się bokiem i próbował kopnąć psa. Nie trafił. Oszalały z wściekłości pies uskokzył, po czym znów zaatakował niedźwiedzia.

Kwintus mógł tylko z podziwem i niepokojem obserwować wydarzenia. Pies skoczył i wbił zęby w skórę zwierzęcia z boku głowy. Niedźwiedź ryknął z bólu i stanął na dwóch łapach, unosząc swojego oprawcę w powietrze. W tej pozycji mógł swobodnie używać przednich łap. Przeorywał psa pazurami raz za razem. Napastnik jednak zacisnął szczęki jeszcze mocniej i nie zamierzał ich rozluźnić. Psy myśliwskie uczono wytrzymałości na ból. Wymagano od nich szaleńczej odwagi niezależnie od okoliczności. Kwintus słyszał o psach, które prędkiej padały nieprzytomne, niż rozluźniały szczękę, uwalniając zdobycz. W tej sytuacji jednak ów upór nie zdał się na wiele, gdyż pies w pojedynkę nie miał żadnych szans w walce z niedźwiedziem. Potrzebował wsparcia swoich towarzyszy, którzy teraz warowali posłusznie przy nogach opiekunów. Albo pomocy Kwintusa. Wytatuowany Gal nie zamierzał zostawiać swojego podopiecznego na pastwę losu. Ruszył w stronę niedźwiedzia, dając upust swojej złości i rozpacz. Zamachnął się biczem, celując w głowę. Raz, dwa razy, trzy razy. Chociaż te ciosy nie mogły zrobić niedźwiedziowi wielkiej krzywdy, Gal miał nadzieję, że były w stanie powstrzymać go przed zabiciem jego faworyta. Przynajmniej to zakładał.

Plan się nie powiódł. Pazury niedźwiedzia rozorały skórę psa po obu stronach brzucha i po chwili został on wypatroszony. Śliskie, różowe jelita, niczym pętle tłustych kiełbas, wirowały przez chwilę w powietrzu, podążając za ruchem głowy niedźwiedzia, ale po chwili zostały odcięte. Bestia wyczuła, że uścisk szczęk psa zelżał, i zdwoiła swoje wysiłki, żeby pozbyć się napastnika. Na widok wylewających się na ziemię purpurowych wnętrzości Kwintusowi żołądek podszedł do gardła. W pewnym momencie pazur niedźwiedzia trafił na jakieś duże naczynie krwionośne. Ciemnoczerwona krew z rozerwanej żyły zrosiła trawę polany. Szczęki psa wreszcie się rozwarły.

Chwilę później jego truchło opadło pod nogi opiekuna.

– Cofnij się! – krzyknął Kwintus, ale Gal go zignorował.

Niewolnik z szaleństwem w oczach rozpoczął kolejny atak. Utrata przyjaciela wprowadziła go w szal bojowy, o którym Kwintus słyszał, ale nigdy go nie widział. Rzymianie i Galowie, starzy wrogowie, od dawna toczyli ze sobą wojny. Ponad sto siedemdziesiąt lat wcześniej Rzym został złupiony przez dzikie plemiona z północy. A zaledwie przed sześciu laty ponad siedemdziesiąt tysięcy Galów ponownie najechało północną Italię. Wrogowie Rzymu zostali pokonani, a wielu ludzi powtarzało opowieści o wojownikach w bitewnym szale, którzy zupełnie nadzy rzucali się na legionistów, nie zważając na swoje bezpieczeństwo.

Ten człowiek nie był jednak teraz ich wrogiem. Co prawda służył Fabrycjuszowi jako

niewolnik, ale jego życie było cenne. Kwintus skoczył do przodu, mierząc włócznią w niedźwiedzia. Ku swemu przerażeniu stwierdził, że ostrze zagłębiło się w bok ruchomego celu, a nie w klatkę piersiową – tam, gdzie chciał trafić. Ten cios nie był śmiertelny ani nie wystarczył, aby zatrzymać bestię, która właśnie zamierzała wbić zęby w szyję Gala. Z ust mężczyzny wydostał się krótki, dławiący bełkot. Niedźwiedź potrząsnął nim, jak pies potrząsa złapanym szczurem.

Kwintus nie wiedział, co może jeszcze zrobić poza napieraniem na włócznię, która zanurzała się głębiej w ciało zwierzęcia. Ale jedynym efektem tego działania był pełen irytacji ryk. Pośpiesznie pociągnął za włócznię, aby wyciągnąć ostrze, i uderzył po raz kolejny, tym razem trafiając w brzuch. Ta rana była śmiertelna, ale nie mogła szybko unieruchomić niedźwiedzia. Tymczasem zwierzę odrzuciło bezwładne ciało Gala na bok i teraz skoncentrowało się na nowym przeciwniku – jego wzrok spoczął na Kwintusie. Chłopak zaczął panikować. W głęboko osadzonych oczach zwierzęcia nie widział strachu, ale wściekłość, mimo że żelźce włóczni zagłębiło się mocno w sadle. Niedźwiedzie zazwyczaj unikają kontaktu z ludźmi, ale gdy już do niego dochodzi, stają się bardzo agresywne. A ten osobnik był rozwścieżony. Zahaczył łapą o drzewce włóczni. W powietrze pofrunęły drzazgi.

Musiał kontynuować walkę, nie było innego wyjścia. Wciągnął głęboko powietrze i wyrwał włócznię. Ryczący z bólu niedźwiedź pokazał przerażający rząd ostrych zębów, z których największy miał długość środkowego palca Kwintusa. Pokryta krwią wielka paszcza była wystarczająco duża, aby pomieścić głowę mężczyzny, i pewnie bez problemu zgniotłaby czaszkę. Kwintus chciał się wycofać, ale mięśnie go nie słuchały. Stał jak wryty.

Niedźwiedź ruszył w jego stronę. Kwintus trzymał włócznię obiema rękami, celując w pierś zwierzęcia. *Naprzód* – usłyszał w głowie swój własny głos. *Musisz go zaatakować.* Niedźwiedź był szybszy. Machnął łapą, odtrącając włócznię niczym jakąś gałązkę. Przez krótką chwilę zwierzę i człowiek wpatrywali się w siebie bez ruchu. Jakby w zwolnionym tempie Kwintus rejestrował napinanie się mięśni niedźwiedzia przygotowującego się do ataku. W tej chwili prawie stracił kontrolę nad pęcherzem. Hades był tuż tuż, a on nie mógł nic na to poradzić.

Z jakiegoś powodu niedźwiedź nie ruszył od razu. Zawahał się przez chwilę, która wystarczyła, aby Kwintus zdołał przynajmniej skierować ostrze włóczni we właściwym kierunku.

Przez chwilę wierzył jeszcze, że mu się uda. Kiedy właśnie wydawało się, że przejął inicjatywę, poślizgnął się na jakiejś części jelit. Nogi ujechały spod niego. Uderzył plecami o ziemię. Błyskawicznie uszło mu całe powietrze z płuc. Zarejestrował kątem oka, że końcówka drzewca włóczni zahaczyła o grunt i broń wypadła mu z ręki. Spróbował unieść głowę. Przerażony stwierdził, że niedźwiedź znajduje się nie dalej niż pięć kroków od niego, niemal pochylał się nad jego sandałami. Zwierzę wydało z siebie przeciągły ryk. I tym razem Kwintus mógł wyraźnie poczuć przeraźliwy odór jego oddechu. Zamrugał. Nagle zrozumiał, że czeka go śmierć.

Zawiódł.



## Rozdział III



### Morze Śródziemne

Rzęsisty deszcz, tworzący niemal nieprzeniknioną ścianę wody, przez długie godziny chłostał deski łodzi, do której próbowali się wdrzeć słone fale. Na domiar złego wkrótce zapadły ciemności. Ich łupinka, targana przez sztorm, była bezradna wobec jego mocy. Hanno wykorzystywał całą energię na to, aby nie wypaść za burtę. Zdezorientowani przyjaciele wiele razy wymiotowali mieszaniną tego, co zjedli, i wina. W końcu nie zostało im już w żołądkach nic więcej poza żółcią. Od czasu do czasu otaczającą ich totalną czerń rozjaśniały błyskawice. Wtedy Hanno na własne oczy mógł się przekonać, jak ciężkie jest ich położenie. Nie wiedział, co gorsze. Czy to, że nie jest w stanie zobaczyć swojej dłoni przed twarzą, czy widok przerażonego, wyczerpanego Suniatona w brudnym od wymiocin ubraniu.

Jego przyjaciel, wygięty i trzymający się kurczowo ławki, to wybuchał histerycznym płaczem, to znowu słał żarliwe modlitwy do każdego boga, którego imię akurat sobie przypominał. W jakiś sposób ten obraz nędzy i rozpaczony pomógł Hanno utrzymać własny strach w ryzach. Co więcej, zdarzało się, że myślał o przyszłości z nadzieją. Gdyby Melkart naprawdę chciał ich widzieć w swoim królestwie na dnie, już by tam byli. Sztorm w gruncie rzeczy nie należał do tych najpotężniejszych, które zdarzają się zimą, a ich łódź się nie wywróciła. Poza tymi niewielkimi cudami pocieszające było również to, że nie mieli już więcej żadnych przecieków. Łódź miała porządny szkielet, a cyprysowe deski uszczelniono długimi kawałkami mocno skręconego włókna lnianego, a także okazałą warstwą pszczelego wosku. Nie stracili też wioseł, co oznaczało, że gdy tylko sztorm osłabnie, będą mogli skierować się w stronę lądu. Ponadto na każdym odcinku linii brzegowej na tych terenach znajdowała się jakaś kartagińska faktoria handlowa. Jeśli do niej dotrą, mogą obiecać sporą nagrodę każdemu, kto pomoże im wrócić do domu.

Później jednak dopadły go czarne myśli. *Zapomnij o tych fantazjach i nie licz na zbyt wiele. Nie wygląda na to, aby morze miało się uspokoić.* Każda następna fala mogła wywrócić ich łupinkę. Może Melkart jeszcze ich nie utopił, ale bóstwa są kapryśne z natury, a bóg morza niczym się od nich nie różnił. *Wystarczy chwila, aby ta łajba poszła na dno.* Hanno usiłował powstrzymać łzy. Czy mają jakąś szansę? Nawet jeśli przetrwają do wschodu słońca i ich rodziny zorientują się, że zniknęli, szanse, że ktoś znajdzie ich na otwartym morzu, były niewielkie, jeśli nie zerowe. Jeżeli przyjdzie im dryfować bez jedzenia i wody, umrą w boleściach po kilku dniach. Hanno zamknął oczy i poprosił o szybką śmierć.

Malchus wrócił ze spotkania z radą starszych w doskonałym humorze, mimo że potężna

ulewa przemoczyła go do suchej nitki. Stał teraz, z pucharkiem wina w ręce, pod zakończonym stromym zadaszeniem portykiem, biegnącym wokół głównego dziedzińca domu, i patrzył, jak krople deszczu rozpryskują się na białej marmurowej mozaice kilka kroków od niego. Płomienna przemowa, którą przygotował, wypadła tak, jak sobie zaplanował, dzięki czemu teraz czuł się niezwykle lekko na duchu. Od czasu, gdy wysłannik Hannibala tydzień wcześniej przekazał mu zadanie poinformowania starszych i sufetów, że generał planuje atak na Saguntum, Malchus nie mógł opędzić się od czarnych myśli. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby rada nie poparła Barkasa? Teraz, gdy przygotowania do wojny z Rzymem szły pełną parą, stawka była większa niż kiedykolwiek wcześniej.

*Casus belli* do zbrojnej odpowiedzi Hannibala stały się kroki podjęte przez Saguntyńczyków, a wymierzone w plemiona związane z Kartaginą sojuszem, ale wszyscy podejrzewali, że prawdziwym celem generała było sprowokowanie Rzymu do reakcji. Dowódca iberyjskiej armii Kartaginy wybrał właściwy moment rozpoczęcia działań, przekonany, że Rzymianie nie będą mogli wysłać oddziałów na zachód. Poważne niepokoje w Illyricum sprawiły bowiem, że republika oddelegowała na wschód obu konsulów dowodzących dwiema armiami. W związku z tym podczas rozpoczynającej się kampanii Rzym będzie mógł wysłać Kartaginie tylko puste groźby. Potem jednak trzeba będzie spodziewać się zbrojnej odpowiedzi. Hannibal twierdził, że nie ma się czym przejmować. Był przekonany, że wreszcie nadszedł czas na rozprawienie się z odwiecznym wrogiem. A Malchus się z nim zgadzał. Co nie zmienia faktu, że przekonanie do tego pomysłu tych, którzy rządzą Kartaginą, mogło okazać się bardzo trudnym zadaniem.

*Szkoda, że Hanno nie mógł być świadkiem mojej wspaniałej przemowy.* Gdy skończył, cała rada biła mu brawo na stojąco, akceptując wznowienie działań zbrojnych przeciwko Rzymowi. Tymczasem Hanno najprawdopodobniej... *lowił ryby.* W mieście mówiono o pojawieniu się niedaleko brzegu ogromnej ławicy tuńczyków. *A teraz pewnie wydaje zarobione pieniądze, trwoniąc je na wino i ladacznice.* Malchus westchnął głośno. Chwilę później rozchmurzył się, usłyszawszy dochodzące od ulicy głosy Sapho i Bostara. Przynajmniej dwóch jego synów przebywało we właściwym miejscu i nie przegapiło jego wystąpienia. Wkrótce obaj pojawili się na dziedzińcu. Wykręcali przemoczone płaszcze.

– Wyśmienita przemowa, ojcze – odezwał się Sapho serdecznym tonem.

– Doskonała – zgodził się Bostar. – Owinąłeś ich wokół palca. Mogli zareagować tylko w jeden sposób.

Malchus wykonał gest mający świadczyć o skromności, ale w środku pęczniał z dumy.

– Wreszcie Kartagina jest gotowa do wojny, na którą przygotowywaliśmy się przez ostatnie lata. – Malchus podszedł do znajdującego się głębiej pod zadaszeniem stołu, na którym stał czerwony glazurowany dzban i kilka pucharów. – Wznieśmy toast za Hannibala Barkasa.

– Szkoda, że Hanno nie słyszał twojego przemówienia – zauważył Sapho, zerkając wymownie na Bostara. Zajęty nalewaniem wina ojciec nie zauważył tego spojrzenia.

– Rzeczywiście... – odparł Malchus, wręczając synom pełne puchary. – Takie okazje nie zdarzają się często. Chłopak przez resztę życia będzie żałował, że nie było go tam, gdzie tworzyła się historia. – Przełknął łyk wina. – Widzieliście go w ogóle?

Zapadła krótka, niezręczna cisza.

Malchus przenosił wzrok z jednego syna na drugiego.

– Macie mi coś do powiedzenia?

– Wpadliśmy na niego rano – przyznał Sapho – w drodze do agory. Był z Suniatonem.

Malchus zaklął.

– To musiało być zaraz po tym, jak wymknął się z domu. Nicpoń zignorował moje

wołania! Jak rozumiem, udało im się też wam wymknąć?

– Niezupełnie... – zaczął Sapho niepewnie i rzucił Bostarowi znaczące spojrzenie.

Malchus wyczuł dziwne napięcie wiszące w powietrzu.

– O co chodzi?

Bostar odchrząknął.

– Rozmawialiśmy z nim, a potem go puściliśmy. Pozwoliłem mu odejść – Bostar ostrożnie ważył wypowiedane słowa.

– Dlaczego? – wykrzyknął gniewnie Malchus. – Wiedziałeś, jak ważna będzie moja przemowa.

Bostar się zaczerwienił.

– Przepraszam, ojcie. Może popełniłem błąd, ale nie mogłem pozbyć się myśli, że podobnie jak my Hanno wkrótce będzie musiał iść na wojnę. A teraz jest jeszcze chłopcem. Niech się tym nacieszy, póki jeszcze może.

Malchus stukał w zamyśleniu palcem o zęby, po czym zwrócił się do Sapho.

– Co masz do powiedzenia w tej sprawie?

– Najpierw byłem przekonany, że powinniśmy zmusić Hanno, żeby poszedł z nami, ale argumentacja Bostara wydawała się rozsądna. Jako że jest starszy stopniem, zaufałem jego osądowi. – Bostar próbował coś powiedzieć, ale Sapho ciągnął dalej. – Teraz, z perspektywy czasu, wydaje się, że była to niewłaściwa decyzja. Powiniennem być się mu sprzeciwić.

– Jak śmiesz?! – zagrmiał Bostar. – Nawet nie zasugerowałem, że ma to jakiś związek ze starszeństwem rangi. Wspólnie podjęliśmy tę decyzję.

Na ustach Sapho pojawił się grymas.

– Czyżby?

– Dość tego! – Malchus uniósł ręce.

Bracia zamilkli, ale nadal rzucali sobie gniewne spojrzenia.

Malchus zastanawiał się chwilę.

– Sapho, jestem zawiedziony, że nie protestowałeś ostrzej, gdy twój brat pozwalał Hanno robić, na co miał ochotę. – Spojrzał na Bostara. – A ty powinieneś się wstydić, że będąc starszym oficerem, zapomniałeś, iż nadrzędnym celem jest zemsta na Rzymie. W tej perspektywie takie frywolne zabawy, jak łowienie ryb, wydają się zupełnie nie na miejscu! – Ignorując ciche przeprosiny, Malchus uniósł puchar. – Ale teraz zapomnijmy na chwilę o Hanno i jego źle wychowanym kompanie. Wypijmy toast za Hannibala Barkasa i za nasze zwycięstwo w nadchodzącej wojnie z Rzymem!

Bracia unieśli puchary, jednak nie przypili do siebie, aby dopełnić toast stuknięciem brzegów naczyń.

Mimo że Hanno życzył sobie szybkiej śmierci, nie była mu ona dana. W końcu sztorm osłabł, a fale z każdą chwilą stawały się mniejsze. Świt przyniósł widok gładkiego morza i czystego nieba. Zmienił się również kierunek wiatru. Teraz wiało z północnego wschodu. To podniosło Hanno trochę na duchu, chociaż nie na długo. Lekka bryza nie była wystarczająco silna, aby pomóc im w powrocie do domu, a morski prąd nadal spychał ich łupinę na wschód. Wokół panowała dziwna cisza. Chyba wszystkie ptaki wystraszyły się złej pogody. Suniaton był tak wyczerpany, że w końcu padł bezwładnie na dno łodzi. Spał teraz, cicho pochrapując.

Hanno skrzywił się, dostrzegając ironię w tym obrazie. Idyllicznie spokojne morze zupełnie nie pasowało do ich nocnych przeżyć. Ich ubrania szybko wysychały w coraz cieplejszych promieniach słońca. Łódź łagodnie kołysała się z boku na bok. Małe fale delikatnie rozбивały się o deski kadłuba. Hanno zauważył kilka delfinów. Tym razem jednak ten widok nie sprawił mu radości. Dzisiaj ich wdzięczne, smukłe kształty, tak ułatwiające im ślizganie się po

falach, przypominały mu w dosadny sposób, że on, człowiek, jest stworzeniem lądowym. A lądu nigdzie nie było widać. Jeśli nie liczyć delfinów, byli na tym wielkim bezmiarze wody zupełnie sami.

Hanno czuł żal, a także dotąd obcą mu pokorę. *Powinienem był raczej zadbać o swoje obowiązki. Pójść na spotkanie razem z ojcem.* Myśl o wysłuchiowaniu argumentów takich drani, jak Hostus i jego koledzy nagle wydała mu się bardzo atrakcyjna. Wpatrywał się w zachodni horyzont, marszcząc brwi. Nie łudził się, że zobaczy jeszcze dom i rodzinę. Nagle smutek stał się tak przytłaczający, że jego oczy wypełniły się łzami. Był wdzięczny, że Suniaton śpi. Ich przyjaźń była mocna, ale nie chciał, aby przyjaciel widział go płaczącego jak dziecko. Nie czuł jednak pogardy do Suniego w związku z jego zachowaniem podczas sztormu. Przed podobnymi reakcjami powstrzymywała go jedynie świadomość tego, że pomoże przyjacielowi tylko wtedy, gdy postara się zachować spokój.

Nie minęło wiele czasu, a Suniaton się obudził. Hanno, który wciąż czuł się niepewnie, ze zdziwieniem i irytacją przyjął zmianę w zachowaniu przyjaciela.

– Jestem głodny – stwierdził Suniaton, rozglądając się chciwie na wszystkie strony.

– Nie mamy nic do jedzenia. Ani do picia – odparł ponurym głosem. – Lepiej to zaakceptuj.

Suniaton natychmiast zrozumiał, że Hanno nie ma najlepszego nastroju. Był na tyle mądry, żeby nie odpowiedzieć i nie prowokować kłótni. Zamiast tego zajął się wybieraniem wody z dna łodzi. Później chwycił za wiosła i umieścił je w dulkach. Rozejrzał się wokół, mrużąc oczy. Zerknął na słońce, a następnie skierował łódź na południe. Po chwili zaczął nawet pogwizdywać jakąś popularną melodię.

Hanno skulił się, rozpoznawszy dobrze znaną w Kartaginie piosenkę. Przypomniała mu miłe chwile, czas spędzony w surowych tawernach w pobliżu bliźniaczych portów. Godziny, które spędzał w pokojach na piętrze z kobietami lekkich obyczajów, Egipcjankami o pełnych piersiach. Jego ulubienicą była Isis. Tak kazała się nazywać. Przywołał z pamięci obraz jej podkreślonych kohlem oczu, karminowe usta, z których słyszał zachęcające słowa. Poczł nagłe poruszenie w kroczu. Nie mógł tego znieść.

– Zamknij się – warknął.

Urażony Suniaton zamilkł.

Hanno to nie wystarczyło. Parł do konfrontacji.

– Co właściwie robisz?

– Wiosłuję – odparł ostro Suniaton. – A na co to wygląda?

– I po co?! Od brzegu może dzielić nas pięćdziesiąt mil.

– Albo pięć.

Hanno zamrugał, ale uznał, że lepiej zignorować całkiem rozsądną odpowiedź przyjaciela. Był tak wściekły, że z trudem przychodziło mu zebranie myśli.

– Dlaczego wybrałeś południe? Czemu nie północ albo wschód?

Suniaton spojrział na niego z ukosa.

– Numidia jest najbliżej, jeśli jeszcze się nie zorientowałeś.

Hanno zaczerwienił się i nie odpowiedział. Oczywiście rozumiał, że południowe wybrzeża Morza Śródziemnego znajdowały się bliżej niż Sycylia czy Italia. W tych okolicznościach plan Suniatona wydawał się dobry. Nie chciał jednak tego przyznać. Usiadł na ławce i wpatrywał się ponuro w daleki horyzont.

Uparty Suniaton nie przerywał wiosłowania, ciągle kierując się na południe.

Czas płynął, a słońce wspinało się coraz wyżej na nieboskłonie. Hanno odezwał się wreszcie.

– Teraz moja kolej.  
– Że co?  
– Wiosłujesz już cały ranek – powiedział Hanno. – Zasłużyłeś na odpoczynek.  
– I po co? – powtórzył gniewnie słowa przyjaciela Suniaton.  
– Posłuchaj... Przepraszam cię. – Hanno jakoś przełknął dumę. – W porządku? Kierunek południowy jest tak samo dobry, jak każdy inny.

Suniaton skinął głową.

– W porządku.

Zmienili się przy wiosłach. Poprawiła się też atmosfera, a Suniatonowi wrócił humor.

– Przynajmniej żyjemy. I jesteśmy razem. O ile gorsze byłoby, gdyby któryś z nas wypadł w czasie tego sztormu za burtę? Ten, który by został, nie miałby kogo obrażać!

Hanno skrzywił się na te słowa. Podniósł wzrok na płonący krążek słońca. Musiało być prawie południe. Promienie stawały się coraz dokuczliwsze, a język przykleił mu się do niemal suchego podniebienia. *Ileż bym dał za kubek wody* – pomyślał tęsknie. Czuł się coraz gorzej i chwilę później wyciągnął wiosła z wody, niezdolny do dalszego wysiłku.

– Moja kolej – odezwał się Suniaton, który uważał, że powinien przejąć odpowiedzialność za swój pomysł.

Hanno dostrzegł w oczach przyjaciela tę samą rezygnację, którą czuł i on.

– Odpocznijmy chwilę – powiedział cicho. – Wygląda na to, że morze pozostanie spokojne przez jakiś czas. Czy to ważne, gdzie wylądujemy?

– W zasadzie masz rację. – Suniaton wiedział, że się okłamują, mimo to zdołał się uśmiechnąć. Nie powiedział głośno tego, o czym obaj myśleli: czy jeśli jakimś cudem uda im się dotrzeć do wybrzeży Numidii, znajdą wodę, zanim umrą z pragnienia?

Po jakimś czasie znów zaczęli wiosłować, pracując z energią zrodzoną z rozpacz. Ich wysiłki nie przynosiły jednak żadnych widocznych efektów: horyzont pozostawał pusty. Byli zupełnie sami. Zgubieni. Opuszczeni przez bogów. W końcu, wyczerpani pragnieniem i upałem, zrezygnowali z wiosłowania i ułożyli się na dnie łodzi, żeby odpocząć. Wkrótce zapadli w sen.

Hanno śniło się, że znajduje się w jakimś pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami, do których dobija się jego ojciec. Deski drżały od uderzeń pięścią Malchusa, który domagał się, aby natychmiast mu otworzył. Hanno naprawdę chciał być posłuszny, ale nie mógł znaleźć żadnego uchwyty ani otworu w tych nieszczęsnych zupełnie gładkich drzwiach. Ojciec uderzał mocniej i mocniej, aż w końcu Hanno obudził się i zdał sobie sprawę, że to był tylko sen. Gdy otworzył oczy, stwierdził, że pęka mu głowa. Był zdezorientowany. Nad nim rozpościerała się bezgraniczna przestrzeń błękitnego nieba. Obok spał Suniaton. Ku zdziwieniu Hanno miarowe uderzenia w jego głowie zostały zastąpione regularnym, jakby znajomym rytmem... Słyszał śpiew! Męski głos, nawykły do wydawania rozkazów. *Marynarz, który decyduje o tempie wiosłowania* – pomyślał Hanno z niedowierzaniem. Statek!

W jednej chwili opuściło go całe zmęczenie. Usiadł prosto i przekręcił głowę, aby zobaczyć, skąd dochodzą te dźwięki. Jest! Niskie burty, drapieżny kształt. Okręt znajdował się nie dalej niż trzysta kroków od nich. Na pokładzie krzatali się marynarze. Jednostka miała jeden maszt z kwadratowym żaglem i skomplikowanym takielunkiem oraz dwa rzędy wiosł. Pomalowana na czerwono rufa zakrzywiała się jak ogon skorpiona, a na jej dziobie znajdował się niewielki forkasztel. Mimo szalonej radości Hanno poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Ta jednostka nie wyglądała na statek handlowy. Na pewno nie była to także żadna łódź wykorzystywana do połowów. Ponadto okręt nie był na tyle duży, aby mógł należeć do marynarki kartagińskiej czy rzymskiej floty wojennej. W tym czasie Kartagińczycy posługiwali się głównie większymi, potężniejszymi, pięciorzędowcami lub czterorzędowcami, rzadziej

wykorzystując biremy i triremy. Rzymianie woleli mniejsze statki, ale Hanno nie dostrzegł żadnego proporca czy oznaczenia mogącego sugerować przynależność jednostki do rzymskiej floty. Załoga nie wyglądała jednak na pierwszą lepszą zbieraninę szczurów lądowych.

Hanno potrząsnął Suniatonem.

– Obudź się!

Jego przyjaciel jęknął.

– Co się dzieje?

– Statek.

– Gdzie? – Suniaton błyskawicznie usiadł.

Hanno wyciągnął rękę. Birema zmierzała na północ, co oznaczało, że zbliży się do ich małej łodzi na odległość stu kroków. Kapitanowi wyraźnie się spieszyło, płynął bowiem nie tylko pod żaglem, ale także wykorzystywał wiosła. Wydawało się, że nikt ich jeszcze nie zauważył. Hanno poczuł drgnięcie w żołądku. Jeśli szybko czegoś nie zrobi, birema minie ich, zostawiając na łaskę losu.

Wstał i zaczął krzyczeć ile sił w płucach.

– Hej! Tutaj! – Najpierw używał języka kartagińskiego. Suniaton szybko do niego dołączył i wymachiwał teraz ramionami niczym opętany. Po chwili Hanno zaczął krzyczeć po grecku. Przez kilka uderzeń serca nic się nie działo. Wreszcie któryś z marynarzy odwrócił głowę w ich kierunku. Na spokojnym, niemal płaskim jak stół morzu naprawdę trudno ich było nie zauważyć. Usłyszeli jakieś gardłowe okrzyki, po których śpiew ucichł. Wiosła na bakburcie z ich strony poruszały się coraz wolniej i w końcu znieruchomiały. Birema stopniowo wytracała prędkość. Po kolejnej serii rozkazów żagiel został zrefowany, a okręt odpadł od wiatru. W końcu pióra najbliższego rzędu wiosel zanurzyły się w wodzie, tyle że teraz poruszały się w przeciwnym kierunku, tak by jednostka zwróciła się dziobem w ich stronę. Wkrótce przyjaciele mogli podziwiać pokryty brązem taran na dziobie, ozdobionym rzeźbą jakiejś istoty. Zza tarana widać było tylko górną część czaszki i oczy. Kierujący się teraz prosto na nich okręt wyglądał groźnie.

Przyjaciele popatrzyli po sobie. Nagle poczuli się niepewnie.

– Co to za jedni? – zapytał szeptem Suniaton.

– Nie mam pojęcia. – Hanno potrząsnął głową.

– Może lepiej było siedzieć cicho? – Suniaton zaczął się modlić pod nosem.

Na jakiegokolwiek wątpliwości i żale było już jednak za późno.

Oficer, który dyrygował wiosłarzami, jeszcze bardziej zwolnił tempo. W jednej chwili wiosła po obu stronach uniosły się, po czym z gracją idealnie zsynchronizowanego mechanizmu przesuwały się w powietrzu, zanim opadły i przecięły powierzchnię morza, z głośnym pluskiem rozpryskując wodę. Zachęceni okrzykami wiosłarze śpiewali i poruszali się jak jeden organizm, ciągnąc do siebie długie, rzeźbione, połyskujące wodą wiosła.

Wkrótce birema znalazła się tuż obok ich łodzi. Jej nadbudówkę zdobiły pomalowane na czerwono elementy, ale wokół każdego otworu na wiosło znajdowała się niebieska ramka. Kolory były jeszcze jasne i świeże, co oznaczało, że farbę położono całkiem niedawno. Gdy Hanno z bliska przyjrzał się szczerzącym się do nich mężczyznom – prawdziwej mieszance narodowościowej, od Greków i Libijczyków po Hiszpanów z Półwyspu Iberyjskiego – którzy oblepiali teraz burtę i forkasztel, poczuł, że opuszcza go odwaga. Większość z nich nie miała na sobie nic poza przepaskami biodrowymi, ale wszyscy byli uzbrojeni po zęby. Na pokładzie zauważył też katapulty. Tymczasem on i Suniaton mieli do obrony tylko sztylety.

– To są cholerni piraci – wymamrotał Suniaton. – Już jesteśmy trupami. Jak dobrze pójdzie, może zrobią z nas niewolników.

– Wolałbyś raczej umrzeć z pragnienia? Albo dostać udaru? – odparował Hanno, zły na siebie za to, że od razu nie zorientował się, że z biremą jest coś nie w porządku. I że nie siedzieli cicho.

– Może. Teraz już się nie dowiemy, co byłoby lepsze.

Zostali okrzyknięci przez chudego mężczyznę stojącego na dziobie. Jego czarne włosy i jaśniejsza cera mogły sugerować, że jest Egipcjaninem. Niemniej jednak odezwał się do nich po grecku, w języku marynarzy.

– Ahoj, na pokładzie! Dokąd to zmierzacie wilki morskie? – Kilku jego towarzyszy parsknęło śmiechem.

Hanno postanowił, że nie okaże strachu.

– Chcemy dotrzeć do Kartaginy. Tylko że, jak widać, nie mamy żagla. Może moglibyśmy skorzystać z waszej pomocy?

– Co robicie tak daleko od lądu? W łodzi wiosłowej? – odpowiedział pytaniem na pytanie Egipcjanin.

Załoga przyjęła jego słowa z jeszcze większym rozbawieniem.

– Porwał nas sztorm. Bogowie byli dla nas łaskawi. I przeżyliśmy.

– Rzeczywiście mieliście dużo szczęścia. Jednak będziecie bez szans, jeśli zostanieie na swojej łodzi. Według moich obliczeń znajdujemy się co najmniej sześćdziesiąt mil od najbliższego lądu.

Suniaton wskazał na południe.

– Numidia?

Egipcjanin odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się w głos. To był nieprzyjemny, szyderczy śmiech.

– Ha, ha! Nie macie pojęcia, gdzie się znajdujecie, głupcy. Mówię o Sycylii!

Hanno i Suniaton spojrzeli po sobie, nic nie rozumiejąc. Sztorm musiał zabrać ich znacznie dalej, niż myśleli. A zatem wiosłując na południe, skoro Sycylia była bliżej niż wybrzeża Afryki, kierowali się na sam środek Morza Śródziemnego.

– To znaczy, że mamy jeszcze więcej powodów, aby wam dziękować – powiedział Hanno śmiało. – Podobnie wdzięczni będą nasi ojcowie, jeśli dzięki wam uda się nam wrócić bezpiecznie do Kartaginy.

Usta Egipcjanina rozciągnęły się w uśmiechu, odsłaniając rząd ostrych zębów.

– Zapraszam na pokład. Lepiej będzie się nam rozmawiać w cieniu – powiedział, wskazując markizę na forkasztelu.

Przyjaciele popatrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu. Te gościnne słowa zupełnie nie pasowały do sygnałów wysyłanych przez zmysł wzroku. Każdy członek załogi tego okrętu wyglądał na zdolnego do poderżnięcia im gardel bez mrugnięcia okiem.

– Dziękujemy – odpowiedział w końcu Hanno, siłąc się na szeroki uśmiech. Bo co im pozostało? Powiosłowali trochę, żeby zbliżyć się do rufy biremy, gdzie na linach, podczepiona do żelaznego pierścienia, zwisała mała łódź, podobna do tej, na której się znajdowali. Ktoś wcześniej wyrzucił już za burtę linę, na której znajdowały się węzły ułatwiające wspinaczkę. Na górze czekało na nich dwóch uśmiechniętych członków załogi.

– Zaufaj Melkartowi – powiedział cicho Hanno, mocno przywiązując łódź.

– Nie utopił nas. To znaczy, że ma to jakiś cel – odpowiedział Suniaton. Mocno chciał wierzyć w to, co mówi, jednak ze strachu trzęsły mu się nogi.

Hanno z trudem udawało się nie stracić panowania nad sobą. Skoncentrował się na studiowaniu wzorów na deskach burty. Byli tak blisko, że wyraźnie widział granicę między burtą a warstwą czarnej smoły, która pokrywała kadłub poniżej linii wody. Powtarzał sobie, że

Suniaton musi mieć rację. Chwycił mocno linę. Jak inaczej tłumaczyć to, że przetrwali taki sztorm? Melkart *musiał* mieć w tym swój udział.

Wspinał się z trudem przy pomocy marynarzy, czując pod stopami nagrzane od słońca deski burty.

– Witajcie na pokładzie – odezwał się Egipcjanin, który uniósł rękę, pozdrawiając go, na modłę kartagińską, dłonią skierowaną na zewnątrz.

Uspokojony znanym gestem Hanno odwzajemnił powitanie.

Po chwili pojawił się też Suniaton, którego Egipcjanin pozdrowił w ten sam sposób. Zaraz też podano im skórzane bukłaki z wodą. Pili łapczywie, gasząc wściekle pragnienie. Hanno zaczął się zastanawiać, czy jego instynkt go jednak nie zawiódł.

– Pochodzicie ze stolicy Kartaginy? – Pytanie wydawało się niewinne.

– Tak – odpowiedział Hanno.

– Czy zawitaliście kiedyś do naszego portu? – zapytał Suniaton.

– Raczej rzadko tam zaglądamy. – Ta odpowiedź Egipcjanina znów wzbudziła powszechną wesołość załogi. Hanno zauważył, że kilku marynarzy zerka pożądliwie na złote amulety na ich szyjach.

– Czy moglibyście pomóc nam wrócić do domu? – spytał odważnie. – Wywodzimy się z zamożnych rodzin. Moglibyście liczyć na sowitą nagrodę, jeśli bezpiecznie odstawicie nas do Kartaginy.

Egipcjanin potarł podbródek.

– Naprawdę?

– Oczywiście – zapewnił Suniaton.

Zapadła dłuższa cisza. Hanno był coraz bardziej niespokojny.

– Co o tym myślicie, chłopcy? – Egipcjanin przemówił wreszcie, zwracając się do zgromadzonych wokół niego ludzi. – Czy mamy popłynąć do Kartaginy i odebrać wielką nagrodę za nasze wysiłki?

– Nie ma mowy, do stu tysięcy beczek zjełczanego śledzia! Za burtę z nimi i tyle! – wykrzyknął ktoś z załogi.

– Nagroda? Raczej zostaniemy ukrzyżowani!

Suniaton głośno wciągnął powietrze, a Hanno poczuł, że kurczy mu się żołądek. Ukrzyżowanie było jedną z kar przeznaczonych dla przestępców najgorszego sortu: piratów.

Egipcjanin uciszył załogę podniesioną ręką, unosząc drwiąco brwi.

– Niestety. Tacy jak my nie są mile widziani w Kartaginie.

– To nie musi być port. – Hanno starał się nadać swojemu głosowi ton nonszalancji. Stojący obok niego Suniaton przytaknął nerwowo. – Może być każde numidyjskie miasto gdzieś na wybrzeżu.

Jego sugestia została przyjęta kolejną falą śmiechu. Hanno z trudem zachowywał pozory spokoju. Zerknął na Suniatona, który jednak nie był w stanie podnieść go na duchu.

– Przypuśćmy, że się na to zgodzimy... – zaczął Egipcjanin, znów nieprzyjemnie odsłaniając zęby w nieszczerym uśmiechu – jak zamierzacie nam zapłacić?

– Dostarczymy wam pieniądze w umówione miejsce. – Hanno poczuł uderzenie gorąca. Kapitan pirackiego statku po prostu bawił się z nimi w kotka i myszkę.

– A ty przysięgniesz na życie swojej matki, jak mniemam? – zadrwił Egipcjanin. – Jeśli w ogóle znałeś swoją matkę.

Hanno przełknął zniewagę.

– Znałem. I przysięgnę.

Egipcjanin wykonał lekki półobrót i wyprowadził potężny cios w splot słoneczny Hanno.



Nieprzygotowany chłopak zgiął się w pół, pozbawiony tchu.

– Dość tego! Zabierzcie im broń i zwiążcie.

– Nie! – wyjęczał Hanno. Próbował się wyprostować, ale natychmiast został unieruchomiony. Ktoś chwycił go od tyłu i wyrwał mu sztylet. Chwilę później stracił również swój złoty amulet z szyi. Bez broni i talizmanu, który nosił od dziecka, Hanno czuł się kompletnie nagi. Suniaton podzielił jego los. Jego przyjaciel darł się wniebogłosy, gdy oprawcy wyrwali mu z uszu kolczyki. Chciwe ręce obmacywały ich w poszukiwaniu innych kosztowności, a piraci walczyli już o zabrane im rzeczy. Hanno rzucił nienawistne spojrzenie Egipcjaninowi.

– Co z nami zrobicie?

– Obaj jesteście młodzi i silni. Dostaniemy za was dobrą cenę na targu niewolników.

– Proszę... – odezwał się błagalnym głosem Suniaton, ale dowódca piratów już się odwrócił i poszedł w swoją stronę.

Hanno odchrząknął i splunął za nim, za co natychmiast został ukarany mocnym ciosem w głowę. Po chwili ktoś tak pociągnął go za ramiona, że znalazły się z tyłu, za plecami, ciasno oplecione sznurem. Potem zostali po prostu zaciągnięci pod pokład, gdzie na dwóch poziomych ławach siedzieli stłoczeni niewolnicy. Pochyleni nad wiosłami, ściśnięci tak, że ledwo starczało miejsca, żeby się wyprostować, ulokowani byli po dwudziestu pięciu w rzędzie, czyli po pięćdziesięciu po obu stronach biremy. U podstawy schodów, przy centralnym trapie, stał jakiś mężczyzna. To jego głos obudził Hanno. Blisko rufy znajdowała się żelazna klatka, w której znajdowało się kilka osób. Hanno i Suniaton spojrzeli sobie w oczy. Nie byli osamotnieni w niedoli.

Na pokładzie słońce dawało się nieźle we znaki, ale ponad stu pocących się obficie mężczyzn sprawiało, że tu, pod pokładem, było gorąco niczym w piecu. Niezliczone pary oczu śledziły nowych przybyszów, ale żaden niewolnik nie ośmielił się odezwać. Szybko wyjaśniło się dlaczego. Usłyszeli głuchy odgłos bosych stóp przemierzających podpokład i po chwili ich oczom ukazał się niewysoki, lecz potężnie zbudowany nadzorca. Wprawdzie chłopcy byli wyżsi od niego co najmniej o głowę, ale krótko ostrzyżony mężczyzna wyróżniał się tak wielkimi węzłami mięśni, że przypominał Hanno greckiego zapaśnika – jednego z tych, których kiedyś oglądał. Miał na sobie tylko skórzany fartuch z folgami i każdy, kto na niego spojrzał, czuł bijącą od tej góry mięśni siłę. Nie tylko dlatego, że nadzorca wioślarzy dzierżył w prawym ręku bicz z małymi węzełkami. Jego naznaczona bliznami twarz przypominała z grubsza ociosany granit, na którym większa szczelina mogła robić za usta.

Hanno, wciąż jeszcze nieco zdezorientowany po otrzymanym ciosie, nie mógł przestać patrzeć w zimne, sondujące oczy mężczyzny.

– Świeże mięso, co? – Nadzorca miał nieprzyjemny nosowy głos.

– Dwie sztuki więcej na targ niewolników, Varsaco – odpowiedział jeden z mężczyzn trzymających Hanno.

– Możecie uważać się za szczęśliwców. Większość więźniów kończy na ławach wioślarzy, ale w tej chwili mamy komplet. – Varsaco skierował wzrok na zarośniętych, brudnych nieszczęśników siedzących wzdłuż burt. – W związku z tym będziecie musieli się zadowolić tym jakże wyrafinowanym obiektem noclegowym. – Wysunął kciuk, wskazując za plecy, i roześmiał się gardłowo.

Hanno zadrzał. Ich los nie będzie lepszy od losu wioślarzy. Zdani na łaskę tego, kto zdecyduje się ich kupić.

W oczach Suniatona zobaczył przerażenie.

– Możemy trafić wszędzie... – wyszeptał jego przyjaciel.

*Ma rację.* Słaba marynarka kartagińska nie była w stanie pozbyć się piratów z zachodniej części Morza Śródziemnego, a Rzymianie na razie specjalnie nie dbali o bezpieczną żeglugę w tym obszarze. Piracka birema może dotrzeć tam, gdzie zechce udać się jej kapitan. Wszędzie znajdowały się porty, w których kontrola przewożonego towaru była co najmniej pobieżna. Mogą trafić na Sycylię, na wybrzeża Numidii, nawet do Iberii. Albo do Italii. Każde większe miasto miało targ niewolników. Hanno czuł, że tonie w oceanie rozpaczy.

Z pokładu dobiegł głos Egipcjanina.

– Varsaco!

– Tak, kapitanie?

– Ten sam kurs i szybkość.

– Tak jest!

Na chwilę nadzorca stracił zainteresowanie przyjaciółmi, koncentrując się na wydawaniu rozkazów wiosłarzom na prawej burcie. Niewolnicy posłusznie ciągnęli za wiosła, dopóki Varsaco nie pokazał gestem, że znajdują się na właściwym kursie. Wtedy też postać przy trapie zaintonowała pieśń, która umożliwiawała wiosłarzom utrzymanie jednakowego tempa.

Po wypełnieniu swoich obowiązków Varsaco wrócił do nich. Tym razem w jego oczach czał się jakiś drapieżny płomień.

– Jesteś atrakcyjnym młodym byczkiem... – Zaczął gładzić krótkimi palcami ramię Hanno. Wsunął dłoń pod jego tunikę, żeby uszczypnąć sutek. Hanno zadrżał i próbował się odsunąć, ale przytrzymujący go ludzie nie pozwolili mu na to. – Ja tam wolę jednak, jak ktoś ma trochę więcej mięsa na kościach. – Podszedł do Suniatona i zacisnął mocno dłonie na jego pośladkach. Suniaton próbował ustawić się bokiem, ale i tym razem oprawcy chwycili go mocniej, blokując ruchy. – Popatrzcie... jesteś ranny. – Varsaco dotknął jednego z krwawiących płatków uszu chłopaka, a następnie, ku obrzydzeniu Hanno, zliżał krew z palca.

Suniaton jęknął z obrzydzenia i strachu.

– Zostaw go, skurwysynu! – Hanno daremnie próbował uwolnić się z więzów.

– Bo co mi zrobisz? – zadrwił Varsaco. Nagle jego głos stwardniał. – Tu, pod pokładem, to ja jestem panem. Robię, co mi się podoba. Weźcie go tam!

Łzy wściekłości spływały po twarzy Hanno, który mógł tylko patrzeć, jak piraci ciągną jego przyjaciela w kierunku dużego drewnianego bloku, ustawionego w pobliżu dziobu. Na jego powierzchni, długości mniej więcej tułowia człowieka, widać było wyraźne ciemne plamy zaschniętej krwi. Ciężkie obręcze żelaznych kajdan zamocowano w pewnej odległości od narożników bloku, na poziomie podłogi. Piraci najpierw pozbyli się unieruchamiającej Suniatona liny, a potem zmusili go do położenia się twarzą w dół na drewnianym kłocu. Suniaton kopał i wierzgał, ale jego wysiłki skazane były na niepowodzenie. Oprawców było zbyt wielu. Chwilę później kajdany zamknęły się wokół jego nadgarstków i kostek.

Varsaco stanął za nim. Suniaton, wyczuwając, co się święci, zaczął głośno krzyżeć. Jego krzyk przemienił się w zwierzęce wycie, gdy nadzorca chwycił nóż, którym rozciął spodnie ofiary od pasa do krocza. Potem to samo zrobił z bielizną Suniatona, śmiejąc się głośno, gdy ostrze zadrasnęło ciało, wywołując okrzyk bólu. Po krótkiej chwili nadzorca dokończył rozcinanie tkaniny, a jego twarz wykrzywiła się z pożądania.

– Bardzo ładnie... – zamruczał.

– Nie! – Suniaton głośno szlochał.

Hanno nie mógł tego znieść. Znalazł w sobie jakieś skrywane rezerwy energii, wykręcał się i skakał jak dziki koń. Pochłonięci obserwowaniem spektaklu z Varsaco w roli głównej mężczyźni, którzy mieli go trzymać, nie spodziewali się takiej determinacji u swojego więźnia. Hanno udało się jakoś wyrwać. Ruszył pędem w stronę niewysokiego pirata i po kilku krokach

znalazł się przy nim. Nadzorca, obrócony do niego plecami, zajęty był akurat odpinaniem pasa przytrzymującego jego skórzany fartuch. Westchnął z satysfakcją, gdy pas opadł na pokład. Uniósł nogę, chcąc dać upust swojej chuci.

Wściekły Hanno stanął pewnie na nogach i zrobił jedyną rzecz, jaka przyszła mu do głowy w tej sytuacji. Zamachnął się prawą nogą, po czym z całym impetem kopnął Varsaco od tyłu w podbrzusze. Rozległo się głucho plaśnięcie, gdy utwardzana skóra sandała zagłębiła się w miękkiej, zwisającej ciężko mosznie nadzorcy. Varsaco wydał z siebie wysoki pisk i runął całym ciężarem na pokład. Hanno syknął z satysfakcją.

– Przyjemnie? – krzyknął głośno, tym razem opuszczając podkuty sandał na głowę Varsaco. Zanim dopadli do niego strażnicy, zdołał zadać kilka ciosów. Hanno dostrzegł kątem oka jednego z mężczyzn, który zamachnął się na niego głównią miecza. Z powodu unieruchomionych ramion zdążył się tylko lekko przesunąć, przenosząc ciężar ciała na drugą nogę, ale nie był w stanie uniknąć ciosu. Uderzenie było tak mocne, że zobaczył gwiazdy. Kolana ugięły się pod nim i zwałił się na wprost przytomnego Varsaco. Po chwili spadł na niego grad ciosów. A potem zapadły ciemności.

– Obudź się!

Ktoś szturchał go w plecy. Świat wokół niego powoli nabierał kształtów. Leżał na boku, nadal skrępowany sznurami, niczym kura przygotowana do oskubania. Bolało go całe ciało. Oprawcy skupili się chyba na jego głowie, brzuchu i kroczu. Każdy oddech przynosił ból, więc podejrzewał, że ma złamane dwa, a może nawet trzy żebra. W ustach czuł smak krwi. Ostrożnie sprawdził językiem stan uzębienia. Na szczęście wszystkie zęby nadal znajdowały się na swoich miejscach, chociaż dwa wyraźnie się ruszały, a całą górną wargę miał spuchniętą i posiniaczoną. Znowu poczuł szturchnięcie.

– Hanno! To ja, Suniaton.

Po dłuższej chwili skupił wzrok na leżącym obok przyjacielu. Zdziwił się, uświadomiwszy sobie, że znajdują się w dziobówce, pod markizą z sukna, którą widział wcześniej. Wydawało mu się nawet, że zostawiono ich tu samych.

– Byłeś nieprzytomny przez kilka godzin. – Suniaton nie ukrywał zaniepokojenia.

Zrobiło się o wiele zimniej. Hanno dostrzegł pomarańczowy promień światła w szczelinie między okrężnicą i markizą. Zmierzchało.

– Będę żyć... – wychrypiał. Stopniowo zaczynały wracać do niego obrazy wcześniejszych wydarzeń. – Co z tobą? Czy Varsaco... – Nie potrafił dokończyć pytania.

Suniaton się skrzywił.

– W porządku... – mruknął. O dziwo, na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Varsaco długo nie mógł wstać. Wiesz...

– I dobrze! Pieprzony zwyrodnialec. – Hanno zmarszczył brwi. – Dlaczego jego ludzie mnie nie zatłukli?

– Zamierzali – wyszeptał Suniaton – ale... – Zamilkł na odgłos kroków od strony schodni, która prowadziła na główny pokład. Ktoś się zbliżał. Chwilę później Hanno ujrzał nad sobą twarz Egipcjanina.

– Wróciłeś do nas. Dobrze... Człowiek, który śpi zbyt długo po takim pobiciu, często już się nie budzi.

Hanno rzucił mu gniewne spojrzenie.

– Nie patrz tak na mnie – odezwał się Egipcjanin z wyrzutem. – Gdyby nie ja, byłbyś już trupem. A wcześniej zostałbyś zgwałcony.

Suniatonem wstrząsnął dreszcz, ale furia Hanno nie znała granic.

– Mam być za to wdzięczny?

Egipcjanin przykucnął obok niego.

– Masz charakter, co? To daje spore szanse twojemu przyjacielowi. – Skinął głową zadowolony. – Planuję sprzedać cię do szkoły gladiatorów. Zmarnowałbyś się jako niewolnik na roli lub w gospodarstwie domowym. Dasz radę się unieść?

Hanno pozwolił, aby Egipcjanin pomógł mu zmienić pozycję na siedzącą. Przeszywający ból w piersi wywołał grymas bólu.

– Co się dzieje?

Hanno był zbity z tropu troską Egipcjanina.

– Nic takiego. Mam pewnie złamanych kilka żeber.

– To wszystko?

– Myślę, że tak.

Kapitan się uśmiechnął.

– Dobrze. Myślałam, że się spóźniłem. Nie pierwszy raz jedna z małych gierek Varsaco wymknęła się spod kontroli.

– Małych gierek? – zapytał słabym głosem Suniaton.

Egipcjanin wykonał nieokreślony gest.

– Zazwyczaj zadowala się wychędożeniem jakiegoś biedaka, na którego akurat zwróci uwagę. Na ogół zdarza się to kilka razy dziennie. Jeśli na tym się kończy, nie mam nic przeciwko. To nie wpływa na ich wartość przy sprzedaży. Po tym, co zrobiłeś, zabiłby was obu. Nie przeszkadzają mi jego zabawy, ale niszczenie cennego towaru nie ma sensu. I dlatego znaleźliście się tutaj, w pobliżu mojej kajuty. Varsaco ma klucz do klatki, a ja mu nie ufam. Pewnie któreś nocy wślizgnąłby się do środka z nożem.

Hanno miał ochotę zacisnąć palce na gardle kapitana. Wydusić z niego życie, na zawsze zmazując z jego twarzy ten uśmiezek zadowolenia z siebie. Boleśnie ukłuła go świadomość, że uszli z życiem z powodów czysto finansowych. W głębi duszy jednak Hanno wcale się nie dziwił takimi motywami postępowania Egipcjanina. Niegdyś widział, jak ojciec mniej więcej z takich samych powodów powstrzymał niewolnika, który znęcał się nad mułem.

– To najlepsze miejsce na statku. W cieniu. Wieczorem poczujecie przyjemną bryzę. – Egipcjanin wstał. – Wykorzystajcie ten czas najlepiej, jak umiecie. Płyniemy na Sycylię, a potem do Italii – powiedział, po czym się oddalił.

– W Iberii lub w Numidii mielibyśmy jeszcze jakieś szanse. Moglibyśmy powiedzieć o nas jakiemuś naszemu krajanowi i poprosić go o przekazanie wiadomości do Kartaginy – odezwał się Suniaton głosem pełnym rozpacz.

Hanno mógł tylko przytaknąć, przełykając gorycz. Zostaną sprzedani największym wrogom Kartaginy.

– Nie możemy zrzucić winy za nasz los na Melkarta. Nie całej. Musi być coś więcej. – Zaczął się zastanawiać, dlaczego bogowie każą im tak cierpieć. Nagle doznał olśnienia, gdyż przypomniał sobie okoliczności opuszczenia domu. Zaklął. – Jestem głupcem!

– O co ci chodzi? – Suniaton rzucił mu niepewne spojrzenie.

– Wychodząc z domu, nie poprosiłem Tanit o błogosławieństwo.

Suniaton zbladł. Chociaż Tanit przedstawiano jako dziewiczą matkę, uznawano ją za jedno z najważniejszych bóstw kartagińskich. Była wszak również boginią wojny. Rozgniewanie jej wiązało się z ryzykiem poniesienia ciężkiej kary.

– Roztargnienie nie jest przestępstwem – powiedział, po czym szybko dodał – tak czy owak, możesz poprosić ją o przebaczenie.

Hanno oblał zimny pot i natychmiast postąpił zgodnie z sugestią przyjaciela. *Wielka Matko* – błagał. *Wybacz mi. Proszę, nie zapominaj o nas.*

Następnego ranka Hanno nie pojawił się w domu, co może samo w sobie nie było niezwykle, ale gdy mijały kolejne godziny i w południe wciąż po nim nie było ani śladu, Bostar zaczął się poważnie martwić. Chodził tam i z powrotem po korytarzu od strony dziedzińca, zerkając na bramę w nadziei, że wreszcie ujrzy w nich najmłodszego brata. Już wczesnym popołudniem nie mógł znieść oczekiwania. Wrócił do domu i zastał Sapho rozprawiającego o czymś z Malchusem.

– Gdzie może być Hanno? – zwrócił się do brata.

– Pewnie leczy wielkiego kaca.

– Nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. – Niezadowolony z uzyskanej odpowiedzi Bostar zacisnął usta.

– Może usłyszał o przemówieniu ojca i wypił więcej niż zazwyczaj. – Sapho spojrział na ojca, spodziewając się, że ten uzna jego wyjaśnienie za wystarczające. Co ciekawe, nie znalazł w nim oparcia. Malchus najwyraźniej również był zaniepokojony przedłużającą się nieobecnością Hanno.

– Masz rację, Bostarze. Coś jest nie tak. Hanno zawsze wraca na lekcje. Właśnie sobie przypomniałem, że sam mnie prosił, abyśmy dziś po południu omówili jeszcze raz bitwę koło przylądka Eknomos.

Sapho zmarszczył brwi.

– Z własnej woli by tego nie przegapił.

– Masz rację.

Jakże inna wydała im się teraz ta sytuacja.

Pełną konsternacji ciszę przerwał znajomy głos.

– Malchusie? Jesteś w domu?

Cała trójka odwróciła się w stronę wejścia na wewnętrzny dziedzińiec, w którym pojawił się tęgi, brodaty mężczyzna. Długa lniana szata o kremowej barwie sięgała niemal jego stóp, a włosy okrywała chusta.

Malchus uklonił się i zrobił krok w kierunku gościa.

– Bodesmunie! Jestem zaszczycony twoją wizytą. – Sapho i Bostar, podobnie jak ojciec, zgięli się w pełnych szacunku ukłonach. Może w tym domu Eszmun nie był ulubionym bogiem, nie znaczyło to jednak, że nie uważano go za jednego z ważniejszych. Jego świątynia na górze Byrsa nie miała sobie równych w Kartaginie, a Bodesmun należał do grupy starszych kapłanów oddających cześć Eszmunowi właśnie w tym przybytku. – Czy mogę zaproponować ci orzeźwiający poczęstunek? Wino lub sok z granatów? Chleb i miód?

Bodesmun machnął lekceważąco pulchną ręką. Jego okrągła, delikatna twarz zdradzała zmartwienie.

– Dziękuję, ale nie.

Malchus nie ukrywał zakłopotania. Nie miał wiele wspólnego z miłującym pokój kapłanem.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał niepewnie.

– Chodzi o Suniatona.

– Co takiego Hanno mu uczynił?

Bodesmun wysilił się na słaby uśmiech.

– Nie o to chodzi. Czy widziałeś może dzisiaj mojego syna?

Serce Malchusa zaczęło bić szybciej. Miał złe przeczucia.

– Nie. Mógłbym ci zadać to samo pytanie dotyczące Hanno.

Uśmiech natychmiast zniknął z twarzy Bodesmuna.

– On też jeszcze nie wrócił?

– Nie. Wydaje się, że wczorajsza ławica ryb była naprawdę wielka. Każdy głupiec z byle siatką mógł nałapać kosze tuńczyków i jestem pewien, że nasi chłopcy właśnie tym się zajmowali. Kiedy Hanno nie wrócił, najpierw sądziłem, że po prostu gdzieś świętują udane połowy. – Malchus mówił pewnym głosem, ale jego wyobraźnia już podsuwała mu obrazy tego, co mogło się wydarzyć. – To dziwne, że pojawiłeś się właśnie teraz, gdy zaczynałem się poważnie niepokoić. Hanno nigdy nie opuszczał zajęć z taktyki.

– A Suni nigdy nie spóźniał się na południowe nabożeństwa w świątyni.

Na twarzy Bostara pojawił się cień. Nawet Sapho zmarszczył brwi.

Dwaj starsi mężczyźni patrzyli na siebie z niedowierzaniem. Nagle zupełnie nieoczekiwanie okazało się, że mają ze sobą tak wiele wspólnego. Bodesmun był bliski łez.

– Co mamy zrobić? – zapytał drżącym głosem.

Malchus nie byłby sobą, gdyby pozwolił kiełkującej w jego piersi panice na przejęcie kontroli nad ciałem. Był przecież doświadczonym żołnierzem, który widział w swoim życiu niejedno.

– Musi być jakieś proste wyjaśnienie. Sprawdzimy każdą gospodę i dom publiczny w Kartaginie i ich znajdziemy.

Bodesmun nie przypominał teraz zdecydowanego kapłana wygłaszającego kazania pewnym głosem. Skinął tylko posłusznie głową.

– Sapho! Bostar!

– Tak, ojcze! – odpowiedzieli jednocześnie. Czekali na polecenia, które sprawią, że do czegoś się wreszcie przydadzą. Bostar czuł się zagubiony. Sapho również nie wyglądał na najszcześniejszego.

– Zbierzcie tylu żołnierzy, ilu uda się wam znaleźć w barakach – rozkazał Malchus. – Chcę, żebyście przetrząsnęli całe miasto. Skoncentrujcie się na ulubionych tawernach Hanno w pobliżu portów. Wiecie, o co mi chodzi.

Pokiwali głowami.

Mimo że Malchus usiłował ze wszystkich sił zachować spokój, poczuł przypływ złości.

– Idźcie już! Kiedy skończycie, znajdziecie mnie w domu lub na agorze.

Przy drzwiach Bostar się odwrócił.

– Co zamierzasz, ojcze?

– Porozmawiam z rybakami na chomie – odpowiedział ponuro Malchus. Myślał o wielkiej burzy, która rozszalała się nad miastem poprzedniej nocy. – Chcę popytać, czy ktoś ich wczoraj widział. – Spojrzał na Bodesmuna. – Idziesz?

– Oczywiście.

Opuścili domostwo pełni czarnych myśli.

Na chomie kręciły się dziesiątki rybaków, którzy codziennie rano wypływali na połów i zaopatrywali miasto w świeże ryby. Ich dzień pracy już dawno dobiegł końca. Łodzie wyciągnięto na brzeg lub zacumowano, a rybacy zajęli się omawianiem ostatnich wydarzeń i naprawianiem dziur w sieciach. Pojawienie się arystokraty w towarzystwie kapłana wysokiej rangi zrobiło na wszystkich wielkie wrażenie. Większość z nich przez całe życie nie miała sposobności widzieć z bliska kogoś znajdującego się tak wysoko na szczeblach drabiny społecznej. Najgorsze było to, że ich gardłowy slang miejski był dość trudny do zrozumienia, chociaż wyglądało na to, że nikt nie miał niczego sensownego do powiedzenia. Malchus nie potrafił ukryć irytacji.

– Tracimy czas. To idioci! – mruknął sfrustrowany. Zmuszał się, żeby nie krzyżeć. Utrata panowania nad sobą jednak w niczym by nie pomogła. Jeśli mają znaleźć jakieś wskazówki na temat zaginionych synów, to z pewnością właśnie tutaj, w porcie.

– Może nie wszyscy. Spytajmy tego. – Bodesmun wskazał żylastego mężczyznę siedzącego na odwróconej łodzi. Jego siwe włosy świadczyły, że jest znacznie starszy od pozostałych rybaków.

– Witaj! Niech błogosławieństwo bogów będzie z tobą – zagaił rozmowę spokojnym głosem Bodesmun.

– A także z tobą i twoim przyjacielem – odparł starzec z szacunkiem.

– Szukamy odpowiedzi na kilka pytań – odezwał się Malchus.

Ich rozmówca skinął poważnie głową. Nie wydawał się zdziwiony.

– Jak sądzę, sprowadza was tu coś więcej niż świeże ryby.

– Byłeś wczoraj na wodzie?

Starzec uśmiechnął się lekko.

– Gdy pojawiła się ta ławica tuńczyków? Oczywiście, że byłem. Szkoda tylko, że pogoda zmieniła się tak szybko, bo miałbym najlepszy połów w ciągu ostatnich pięciu lat.

– Widziałeś może mały skif? Z dwuosobową załogą. Młodzi chłopcy, dobrze ubrani.

Ton, a także wyrażająca niepokój postawa Bodesmuna wobec każdego, kto nie był kompletnym durniem, były wyraźnymi sygnałami, że pytającemu bardzo zależy na odpowiedziach. Niemniej jednak starzec nie spieszył się z ich udzielaniem. Zamknął oczy.

Dla Malchusa każda chwila ciszy wydawała się wiecznością. Zacisnął pięści, żeby powstrzymać się od chwycenia rybaka za gardło i wydostania z niego odpowiedzi siłą.

Jednak to Bodesmun pierwszy przerwał ciszę.

– Masz coś do powiedzenia?

Starzec otworzył oczy.

– Widziałem ich. Tak. Wysoki chłopak i drugi, niższy, bardziej przy kości. Dobrze ubrani, jak mówicie. Bywają tu regularnie. Najwyraźniej są dobrymi przyjaciółmi.

Malchus i Bodesmun spojrzeli po sobie pełni nadziei i strachu.

– Kiedy widziałeś ich po raz ostatni?

– Nie jestem pewien. – Starzec nagle zrobił się ostrożniejszy.

Malchus wiedział, kiedy ktoś kłamie. Zalała go fala lęku. Był tylko jeden powód, że siwowłosy rybak nie chciał powiedzieć prawdy.

– Powiedz nam – rozkazał. – Nikt nie robi ci krzywdy. Przysięgam.

Siwy rybak przyglądał się przez chwilę Malchusowi.

– Wierzę... – Wziął głęboki oddech. – Gdy zaczęło mocniej wiać na zmianę pogody, czułem w kościach, że zbliża się sztorm. Szybko wyciągnąłem swoją sieć i ruszyłem do brzegu. Wszyscy wokół mnie tak robili. Przynajmniej tak mi się wydawało. Kiedy jednak byłem już bezpieczny na suchym lądzie, zauważyłem, że jeden skif wciąż dryfuje tam, gdzie znajdowała się ławica. Mam powody przypuszczać, że była to ta sama łódź, którą wypłynęli ci chłopcy. Wyglądała tak samo. Najpierw pomyślałem, że zostali tam przez chciwość. Że do ostatniej chwili starali się złowić jak najwięcej ryb, ale gdy skif powoli się oddalał, zdałem sobie sprawę, że się mylę.

– Dlaczego? – zapytał zduszonym głosem Bodesmun.

– Łódź wydawała się pusta. Zastanawiałem się, czy to możliwe, że chłopcy wypadli za burtę i potonęli. Ale to mało prawdopodobne, bo morze do końca było dość spokojne. – Starzec zmarszczył brwi. – Wychodzi na to, że się pospali. I dlatego nie zauważyli zmieniającej się pogody.

– Czemu chcesz nas nabrać? – krzyknął Malchus. – Jeden mógł zasnąć, ale obaj?

Starzec zadrżał, wyczuwając gniew w głosie Malchusa. Bodesmun położył jednak dłoń na jego ramieniu, w geście, który miał go uspokoić.

– To możliwe...

– Słucham? – Wściekły Malchus zgromił Bodesmuna wzrokiem.

– Z mojej piwniczki zniknęła flaszka dobrego wina.

– Nie rozumiem. – Malchus rzucił mu pytające spojrzenie.

– Pewnie to sprawka Suniatona – rzekł ze smutkiem Bodesmun. – Musieli upić się winem, a potem zasnęli.

– Gdy wiatr zaczął się wzmagać, nie mogli zareagować – wyszeptał przerażony Malchus. Oczy kapłana zaszczyły łzami.

– Więc po prostu zmyło ich z pokładu? – zapytał z niedowierzaniem Malchus. – Ty jesteś stary. Mogę zrozumieć, dlaczego nie popłynąłeś na ratunek. Ale oni? – Wzburzony wskazał starcowi młodszych rybaków. – Dlaczego nikt im nie pomógł?

Starzec znalazł w sobie odwagę i zapytał.

– Dobrze się domyślam, że to byli wasi synowie?

Smutek okazał się silniejszy niż wściekłość. Malchus skinął głową.

W oczach ich rozmówcy dostrzegł dobrze mu znany smutek, wynikający z jakiejś niezagojonej rany.

– Dziesięć lat temu morze zabrało moje jedyne dziecko. Syna. To bogowie o tym decydują. – Zamilkł na chwilę. – Zasady przetrwania są proste. Gdy nadciąga sztorm, każda załoga dba o swoją łódź. Nawet wtedy śmierć zbiera swoje żniwo. Dlaczego ci ludzie mieliby ryzykować życiem dla dwóch młodzików, których właściwie nie znali? Gdyby to zrobili, Melkart powitałby większą gromadkę dusz zmierzających do jego królestwa.

Zapadła ciężka cisza.

Jakaś część Malchusa szalała z wściekłości. Chciała ukrzyżować wszystkich rybaków w zasięgu wzroku, chociaż inna wiedziała, że byłoby to bez sensu. Uderzyła go aura spokoju otaczająca teraz staruszką. Nie było śladu po jego uległości. Spojrzał głęboko w jego oczy i zrozumiał dlaczego. Na cóż zdałyby się groźby? Dawno temu stracił swojego pierworodnego i jedyne syna. Czuł się dziwnie upokorzony. On przynajmniej ma Sapho i Bostara.

Ramiona Bodesmuna drżały od cichego szlochu.

– Dwie śmierci wystarczą – odezwał się z ciężkim westchnieniem Malchus. – Dziękuję za poświęcony czas. – Zaczął grzebać w swojej sakiewce.

– Nie chcę pieniędzy. Takiej strasznej wiadomości nie da się wycenić.

Malchus wymamrotał podziękowania i odszedł. Nie był nawet do końca świadomy, że nieukrywający swych łez Bodesmun podąża za nim. Mimo że udało mu się zachować zimną krew, czuł rozdzierający serce smutek. Liczył się z tym, że straci syna. Może nawet nie jednego. Ale podczas zbliżającej się wojny z Rzymem. Nie wcześniej! I nie w takich okolicznościach. Czy śmierć Arishat nie była wystarczająco wielką tragedią jak na jedno życie? Ją przynajmniej mógł pożegnać. Hanno odszedł zupełnie nieoczekiwanie.

Ta strata wydawała mu się tak okrutna i tak bezsensowna!

Minęło kilka dni. Trzymali ich w forkaasztelu i dawali tylko tyle jedzenia, aby mogli przeżyć: kawałki czerstwego chleba, kilka łyżek zimnej owsianki z prosa i ostatnie, słonawe krople wody z glinianych dzbanów. Dwa razy dziennie rozwiązywano ich na krótko, żeby mogli rozciągnąć zeszczywniałe ramiona i rozprostować plecy. Przyjaciele szybko nauczyli się w tym czasie załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne, ponieważ w ciągu dnia na ogół strażnicy tylko wyśmiewali każdą prośbę o pomoc w tych sprawach. Zdarzyło się raz, że zdesperowany Hanno nie miał innego wyjścia, jak tylko załatwić się pod siebie.

Na szczęście Varsaco przez ten czas nawet się do nich nie zbliżył, chociaż często rzucał w ich kierunku nienawistne spojrzenia. Hanno z zadowoleniem odnotował, że nadzorca



niewolników przez kilka dni wyraźnie kulał. Egipcjanin właściwie starał się ich ignorować, jeśli nie liczyć krótkich chwil, gdy upewniał się, że Hanno odzyskuje siły. Przeniósł nawet swoje koce pod podstawę masztu. Paradoksalnie Hanno czuł z tego powodu swoistą dumę, gdyż takie działanie można było uznać za sygnał świadczący o ich dużej wartości. Zostawiono ich samych sobie, co oznaczało, że mieli dużo czasu na rozmowy. Spędzali go, planując ucieczkę. Oczywiście obaj zdawali sobie sprawę z tego, że te fantazje były jedynie sposobem podtrzymania się na duchu.

Birema dotarła do skalistych wybrzeży Sycylii. Zostawili za sobą mury Heraklei, Akragas i Camariny. Kapitan starał się trzymać ich jednostkę w rozsądnej odległości od wybrzeża, co oznaczało, że zależało mu na uniknięciu rzymskich lub lokalnych trirem. Zadbał też, aby nie przegapili góry Eknomos, szczytu, który był świadkiem jednej z największych bitew morskich z Rzymianami, zakończonej klęską kartagińskiej floty. Naturalnie Hanno słyszał tę historię wiele razy. Pobyt w miejscach, gdzie prawie czterdzieści lat temu zginęło tak wielu jego rodaków, podsycił tylko gniew chłopca: po części na Egipcjanina, który nie omieszkał powtórzyć im tej historii, okraszając ją wieloma przykrymi dla nich detalami, ale głównie na Rzymian, za to, co zrobili z Kartaginą. *Corvus*, zakończony ostrymi kotwami pomost abordażowy, nowy wynalazek na rzymskich triremach, okazał się niezwykle przydatny i walcie przyczynił się do pokonania Kartagińczyków. Gdy udało się go raz opuścić i unieruchomić na pokładzie okrętu wroga, ułatwiał zadanie rzymskim legionistom, którzy mogli walczyć na pokładzie jednostki nieprzyjaciela tak samo jak na lądzie. Tego jednego dnia Kartagina straciła prawie sto okrętów wojennych, a jej marynarka nigdy nie odzyskała już dawnej świetności.

Dzień lub dwa po minięciu przylądka Passero, najdalej na południe położonej części Sycylii, birema zbliżyła się do wspaniałej twierdzy w Syrakuzach. Pierwsze umocnienia pobudowali tu przed ponad pięciuset laty Dorowie z Koryntu. Potężne fortyfikacje górowały nad okolicą, schodząc w dół, w stronę miasta, od trójkątnego płaskowyżu skalnego Epipolae nad morzem aż po wyspę zwaną Ortygia. Syrakuzy były stolicą potężnego państwa-miasta, które kontrolowało wschodnią część Sycylii i którym rządził tyran Hieron, od wielu lat sprzyjający republice wróg Kartaginy. Kapitan zbliżył okręt do brzegu na odległość pół mili, ale widząc dużą liczbę rzymskich trirem, postanowił nie wpływać do portu. Dowódcy rzymskich jednostek z pewnością również nie mieliby nic przeciwko ukrzyżowaniu każdego pirata, który wpadłby im w ręce.

Dla Hanno i Suniatona nie miało znaczenia, do którego portu trafią. Uważali, że w gruncie rzeczy im dłużej trwała podróż, tym lepiej dla nich, bo każda godzina oddalała to, co było nieuniknione.

Zamiast szukać bezpiecznej przystani w miejscowościach położonych na „palcach” lub „pięcie” przypominającego stopę półwyspu, na którym leżała Italia, Egipcjanin wprowadził biremę w wąski przesmyk między Sycylią a stałym lądem. Szeroka na milę cieśnina pozwalała ze statku obserwować oba wybrzeża.

– W tym miejscu łatwo zrozumieć, dlaczego Rzymianie wszczęli wojnę z Kartaginą, prawda? – szepnął Hanno. Sycylia znajdowała się w strategicznie ważnym miejscu w centrum Morza Śródziemnego, a historia uczyła, że ten, kto kontrolował wyspę, panował na otaczających ją wodach. – Leży tak blisko Rzymu. Obecność naszych wojsk w tym miejscu musiała być postrzegana jako poważne zagrożenie.

– Wyobraź sobie, że nie przegraliśmy wojny – odpowiedział ze smutkiem Suniaton. – Moglibyśmy teraz marzyć, że uratuje nas jeden z kartagińskich okrętów.

Hanno miał kolejny powód, by mocno nienawidzić Rzymu.

Kapitan planował sprzedać niewolników w Regium, na targu w porcie znajdującym się

już na terytorium republiki. Pod wpływem ulicznych plotek szybko jednak zmienił zdanie. Zbliżające się święto i igrzyska w Kapui, miście położonym na wybrzeżu nieco dalej na północ, sprawiały, że bardzo wzrósł w tej okolicy popyt na niewolników. To wystarczyło, aby Egipcjanin postanowił wyruszyć do Neapolis, miasta ze sporym portem, leżącego najbliżej Kapui, stolicy Kampanii.

Wraz ze zbliżaniem się końca ich morskiej podróży Hanno czuł, że woli obecność piratów, czyli rzeczywistość, do której zdążył się już w pewnym sensie przyzwyczaić, niż nieznaną przyszłość, kiedy będzie niewolnikiem na stałym lądzie. Wtedy jednak przypomniał sobie Varsaco. Nie mogli przecież zostać na biremie, bo zemsta sadystycznego nadzorcy była tylko kwestią czasu. Dlatego dwa dni później, gdy stanął na deskach pomostu w przystani w Neapolis, odetchnął z ulgą. Otoczone murami miasto, dawniej greckie, od ponad stu lat należało do *socii*, sojuszników republiki. Znajdował się tu jeden z największych na południe od Rzymu portów głębokowodnych, który teraz wypełniony był dziesiątkami okrętów wojennych, łodzi rybackich i statków handlowych z całego basenu Morza Śródziemnego. W tym zatłoczonym porcie znalezienie odpowiedniego miejsca do zacumowania nie było wcale łatwe.

Oprócz Hanno i Suniatona oraz innych jeńców – mieszanki młodych Numidyjczyków i Libijczyków – na ląd zszedł także egipski kapitan i sześciu jego najbardziej zaufanych, najsilniejszych marynarzy. Aby uniemożliwić jakąkolwiek próbę ucieczki, więźniowie mieli na szyjach żelazne obręcze, połączone ze sobą łańcuchem. Jakaś część Hanno cieszyła się na myśl o stałym gruncie, pewnie stapał po szerokich kamiennych płytach nabrzeża. Przechodzili obok stert desek cedrowych z Tyru, złotych kopców sycylijskiego zboża i pękatek worków z migdałami z Afryki. Za nimi, ułożone w stosy wyższe od człowieka, stały uszczelnione woskiem *amphorae*, pełne wina i oliwy z oliwek. Rybacy żartowali ze sobą, taszcząc kosze tuńczyków, barweny i dorady. Wszędzie kręcili się marynarze w zwracających uwagę niebieskich tunikach, tymczasowo zwolnieni z obowiązków na swoich jednostkach. Przemierzali port w poszukiwaniu przybytków uciech cielesnych i rozkoszy dla podniebienia. Oddział piechoty, żołnierze obładowani wyposażeniem i bronią, czekał na rozpoczęcie okrętowania na najbliższej triremie. Kilku marynarzy zaczęło rzucać w ich stronę niewybredne żarty. Piechociarze nie zamierzali pozostać dłużni. Pewnie doszłoby do rękoczynów, gdyby nie zdecydowana postawa *optio* z perkatym nosem.

Hanno całym sobą chłonał atmosferę tętniącego życiem portu. Tak bardzo przypominała mu dom, że na to wspomnienie aż zabolowało go serce. I wtedy spośród krzyków w różnych językach – łacińskim, greckim i numidyjskim – Hanno wyłowił słowa, które bez wątplenia wypowiadał Kartagińczyk. Uświadomienie sobie tego faktu najpierw wywołało szok, a po chwili bezgraniczną radość. Gdzieś w tej ciżbie ludzkiej było przynajmniej dwóch jego rodaków! Gdyby mógł chociaż ich zidentyfikować i wykrzyknąć kilka słów, może jego wiadomość dotarłaby do ojca. Spojrzał na Suniatona.

– Słyszałeś to?

Jego przyjaciel, najwidoczniej równie zaskoczony jak on, tylko pokiwał głową na znak, że wie, o co pyta Hanno.

Hanno stanął na palcach, ale na nabrzeżu panował zbyt wielki ruch. Kapitan piratów szarpnął brutalnie za łańcuch, zmuszając więźniów do posłuszeństwa.

– Już niedaleko. Widzę, że nie możecie się doczekać targu niewolników – oznajmił z okrutnym uśmiechem.

Hanno spowalniał marsz tak bardzo, jak tylko mógł, rozglądając się na wszystkie strony, ale łańcuch bezlitośnie wrzynał mu się w szyję i udaremniał jakiegokolwiek próby odnalezienia osób rozmawiających po kartagińsku. Ku swej rozpaczy po kilkunastu krokach nie był już

w stanie rozpoznać słów, bo wszystkie odgłosy zlewały się w jeden wielojęzyczny zgiełk. Czuł się tak, jakby ktoś właśnie odebrał im ostatnią nadzieję. To wrażenie wydało mu się bardziej brutalne niż wszystko, co przeżyli do tej pory.

Pojedyncza łza spływała po policzku Suniatona.

– Odwagi – szepnął Hanno. – Jakoś to przetrwamy.

*Jak?! W głowie słyszał swój krzyk. Jak?*

## Rozdział IV



Niedźwiedź już, już miał dosięgnąć jego stóp. Kwintus wierzgnął szaleńczo, a potem posłał w kierunku zwierzęcia serię kopnięć. Musiał ugryźć się w język, żeby nie krzyknąć z przerażenia. Zaraz bestia zaciśnie zęby na jego udzie albo kroczu. Jaki będzie ten ból? Czekają go śmierć po długich męczarniach, w odróżnieniu od szybkiego końca Gala. Kwintus czuł, że opuszcza go nadzieja. Rozpaczliwie machał nogami obutymi w *caligae*. Zdezorientowany niedźwiedź warknął niewyraźnie, po czym zamachnął się ogromną łapą. Prawie zerwał sandał z nogi Kwintusa.

W tej chwili z ust chłopaka wydostał się niekontrolowany jęk strachu.

Jakaś część jego świadomości odnotowała zbliżające się kroki. *Może nie wszystko jeszcze stracone? Może moje życie wcale nie musi się tak skończyć?* Jednocześnie pojawił się wstyd. Nie chciał przeżyć reszty swoich dni jako tchórz, którego trzeba było ratować przed niedźwiedziem.

– Stój! – Usłyszał za plecami krzyk ojca.

– Ale Kwintus... – protestował Agesandros.

– Musi sam sobie poradzić. Tak zdecydował. Odsuńcie się!

Kwintusa zalała fala przerażenia. Ojciec zamierzał dotrzymać słowa i zostawić go na pewną śmierć. Zamknął oczy. *Niech to stanie się szybko. Proszę.* Czekał jedno uderzenie serca. Potem drugie. Niedźwiedź nie zaatakował! Otworzył oczy i spojrzał na zwierzę, które wciąż znajdowało się zaledwie kilka kroków od niego. Czy to głos Agesandrosa, czy może jego ojca sprawił, że bestia zaczęła się wahać? Nie miał pewności, ale w głowie zaświtała mu pewna myśl. Zacerpnął powietrza, po czym wydał z siebie przeszywający wrzask. Zdezorientowany niedźwiedź położył niewielkie uszy po sobie. To zachęciło Kwintusa do jeszcze jednej próby. Tym razem zaczął też szybko machać rękami.

Zwierzę cofnęło się o krok. Kwintus mógł teraz stanąć, ale nadal krzyczał rozdzierająco. Niestety, włócznia znajdowała się poza jego zasięgiem. Leżała tuż przed przednimi łapami zwierzęcia. Wiedział, że bez niej nie ma szans. *Cóż takiego dokonał, ogłuszając niedźwiedzia?* Musi odzyskać broń i go zabić! Zrobił krok do przodu, machając rękami niczym człowiek niespełna rozumu. Niedźwiedź patrzył na niego podejrzliwie, przekrzywiając dziwnie głowę na boki, ale cofnął się o kolejny krok, a potem o jeszcze jeden. Agesandros uczył go przecież, jak powinien zachować się, gdyby w lesie znalazł się sam na sam z niedźwiedziem. Zdwoił wysiłki. Jego rozerwany sandał ledwo trzymał się na stopie, dlatego musiał bardzo uważać, jak stawia nogę. Po chwili ścisnął już drzewce włóczni w dłoni.

Zwierzę teraz rozglądało się wokół, jakby w poszukiwaniu drogi ucieczki, której nie

znalazło. Fabrycjusz nakazał, aby wszyscy mężczyźni stanęli wokół niedźwiedzia. W ten sposób powstał luźny krąg, z Kwintusem i niedźwiedziem w środku. Psy, którym udało się uniknąć śmierci, ujadły głośno, gotowe w każdej chwili rzucić się na ofiarę. Kwintus poczuł, że znów odzyskuje odwagę. Przeszedł do ofensywy. W końcu jego przeciwnik był już ranny. Pewnie niewiele trzeba, aby go ostatecznie unicestwić.

Mylił się jednak.

Każdy cios kończył się tym, że niedźwiedź albo odtrącał czubek włóczni, albo zjeżdżał on gdzieś na bok po grubym futrze na masywnym tułowiu. Kwintus miał wrażenie, że za chwilę serce wyskoczy mu z piersi. Będzie musiał podejść znacznie bliżej. Tylko jak zadać śmiertelny cios i nie znaleźć się w zasięgu śmiercionośnych pazurów? Niedźwiedź mógł go łatwo dosięgnąć. Kwintus uczepił się jednej myśli. Wiele razy widział, jak przebiega ubój świń w gospodarstwie, zdarzało mu się nawet brać w tym udział i używać wielkiego noża do szlachtowania. Świnie mają twardą skórę i grubą warstwę podskórnego tłuszczu, więc wcale nie jest łatwo je zabić, w przeciwieństwie do owiec czy nawet wołu. Najlepszym sposobem zadania szybkiej śmierci było wprowadzenie ostrza bezpośrednio pod pyskiem, otwierając duże naczynia, którymi płynęła krew z serca. Kwintus, licząc na to, że anatomia niedźwiedzi nie różni się bardzo od anatomii świń, mógł się tylko modlić, aby bogowie pozwolili mu na szybkie zakończenie tej walki.

Zanim jednak wprowadził swój plan w życie, zwierzę opadło na cztery łapy i niespodziewanie rzuciło się do ataku. Kwintus cofnął się odruchowo, zapominając o uszkodzonym sandale. Po kroku lub dwóch zwisająca luźno podeszwa buta zahaczyła o wystający korzeń. Paski przymocowane do jego łydki naprężyły się i Kwintus znów stracił równowagę. Opadł niezgrabnie na pośladki, tym razem jednak na szczęście nie wypuścił z rąk włóczni. Jego serce znów zamarło ze strachu. Niedźwiedź koncentrował się tylko na nim. Poruszał się z szybkością, której trudno było się spodziewać po tak wielkim cielsku. Pędził prosto na niego!

Kwintus zarejestrował minę zaskoczonego ojca, która mówiła wszystko. Nic już chyba nie uratuje go od śmierci.

Mimo wszystko Fabrycjusz wciąż nie zamierzał łamać przysięgi. Nie ruszył się z miejsca.

Kwintus spojrzał jeszcze raz na szarżującego niedźwiedzia. Rozwarta paszcza znajdowała się od jego stóp w odległości nie większej niż szerokość dłoni. Została mu chwila nie dłuższa niż mrugnięcie, aby zareagować, zanim bestia jednym kłapnięciem szczęk zmiażdży jego nogę. Na szczęście ostrze włóczni, której nie wypuścił z dłoni, nadal skierowane było w stronę niedźwiedzia, wystając trochę pomiędzy jego sandałów. Kwintus chwycił mocno za drzewce i ustawił włócznię pod ostrym kątem. Promienie słońca zaślniły na wypolerowanym żelazcu, co musiało zirytować niedźwiedzia, który instynktownie zmienił cel ataku. Kwintus szybko podciągnął nogi, rozchylając je na boki. Jednocześnie zablokował drzewce, osadzając tylną część włóczni jak najgłębiej w ziemi tuż przy łokciu. Potem zostało mu tylko mocno chwycić ją obiema dłońmi.

Gdy niedźwiedź zbliżył się jeszcze bardziej, Kwintus nastawił ostrze tak, aby zagłębiło się w szyć pod dolną częścią żuchwy. Zwierzę było już tak rozwścieczone, że przestało zwracać uwagę na cokolwiek. Opuściło głowę niżej i znów zaatakowało nogi Kwintusa, któremu na szczęście udało się je szybko podciągnąć. Impet zwierzęcia był tak duży, że naostrzone żelazce łatwo przedarło się przez warstwę skóry. Kwintus poczuł raczej, niż usłyszał, stłumiony chrzęst, gdy czubek przeszedł przez krtań i zagłębił się w miękkie tkanki. Wciąż jeszcze niebezpieczny niedźwiedź zatrzęsł się i cofnął, niemalże wyrывая włócznię z rąk Kwintusa. Ten wiedział, że nie może jej puścić, bo od tego zależało jego życie. Na wpół zawieszony nad nim zwierzę orało pazurami ziemię i próbowało złamać gruby drewniany wał włóczni. Było tak blisko, że Kwintus

nie mógł nie czuć ostrej woni bestii. Gdyby tylko wyciągnął rękę, pewnie dotknąłby kłów, które zmieniły trzy psy i Gala w krwawą miazgę.

To było absolutnie przerażające doświadczenie.

Ostatecznie ciężar zwierzęcia przyniósł mu zgubę, bo pod jego naporem ostrze wdzierało się coraz głębiej i głębiej. To jednak nie był jeszcze czas, aby świętować sukces. Wcałe bowiem nie wyglądało na to, żeby niedźwiedź miał zamiar się zatrzymać, a z każdą chwilą przesuwał się o palec, dwa... i był coraz bliższy osiągnięcia go pazurami. Teraz Kwintus nie widział już niczego poza rzędem ostrych zębów i pazurów. Jeszcze chwila, a rozerwie go na strzępy. Czy wystające kolce u podstawy żelezca włóczni wytrzymają obciążenie? Usta Kwintusa były całkiem suche. *Zdychaj ty skurwysynu! Po prostu zgiń!*

Zwierzę parło dalej i zbliżyło się do niego o kolejną szerokość dłoni.

Kwintus bał się, że jego serce przestanie bić.

Nagle ryk niedźwiedzia przeszedł w charczenie, a z jego pyska wytrysnęła fontanna jasnoczerwonej krwi, która zrosiła wszystko wokół. Ostrze wreszcie przebiło jakąś dużą tętnicę! *Jowiszu, niech jego serce będzie następne. Zanim mnie osiągnie.* Drzewce lekko zawibrowało, gdy szpic włóczni wdzierał się coraz głębiej, dostając się prawdopodobnie do drugiej ściany krtani, po czym nagle się zatrzymało. Niedźwiedź wydał z siebie ostatnie warknięcie wprost w twarz Kwintusa, który zamknął oczy. Nie mógł zrobić nic więcej.

Niedźwiedź przestał walczyć. Kwintusa zalała fala ulgi. Z rozwartych szczęk chlusnął kolejny strumień krwi, która znalazła się na twarzy i ramionach umęczonego myśliwego. Niedowierzając, że to koniec, chłopak otworzył oczy i spojrzał w górę. Oszołomiony śledził, jak światło w bursztynowych oczach bestii stopniowo gaśnie, a potem ślepią zasnuwają się mgłą. W jednej chwili śmiertelny przeciwnik zmienił się w nieruchomy ciężar na końcu włóczni. Zmęczone mięśnie Kwintusa również się poddały. Rozluźnił rękę zaciśniętą na włóczni.

Niedźwiedź opadł na niego.

Doznał ulgi, uświadomiwszy sobie, że bestia w ogóle się nie rusza. I chociaż oddychanie przychodziło mu z trudem, przynajmniej wiedział, że żyje.

Chwilę później poczuł, że ktoś ściąga z niego niedźwiedzia.

– Jesteś cały! – wykrzyknął Fabrycjusz. – Chwała bogom!

Agesandros na potwierdzenie mruknął z zadowoleniem.

Kwintus ostrożnie zmienił pozycję. Usiadł.

– Ktoś nade mną czuwał... – wycharczał, ścierając z twarzy posokę niedźwiedzia.

– Prawda. Ale to nie zmienia faktu, że udało ci się dokonać czegoś wielkiego – odezwał się Fabrycjusz. W jego głosie wyraźnie dawała się wyczuć ulga. – Byłem przekonany, że zginiesz. Udało ci się utrzymać nerwy na wodzy! Niewielu ludzi potrafi się tak zachowywać w obliczu śmierci. Powinieneś być z siebie dumny. Nie tylko udowodniłeś swoją odwagę, ale w najlepszy sposób uhonorowałeś naszych przodków.

Kwintus zerknął na Agesandrosa i dwóch niewolników, którzy teraz patrzyli na niego z szacunkiem. Uniósł brodę. *Udało mi się! Dziękuję, Diano i Marsie. Przekażę wam hojne dary.* Jego spojrzenie zatrzymało się na ciele wytatuowanego niewolnika. Poczuł się winny jego śmierci.

– Powinienem być go uratować – powiedział cicho.

– Nie zadrećzaj się. Nie jesteś Herkulesem. Ten głupiec powinien wiedzieć, że nie warto ryzykować życia dla psa. Zachowałeś się jak prawdziwy Rzymianin. – Fabrycjusz pomógł Kwintusowi stanąć na nogi. Objął go serdecznie i mocno uściśnął.

Emocje, których doświadczał teraz Kwintus, stały się trudne do opanowania: smutek po śmierci Gala zmieszany z ulgą triumfu. Starał się nie rozplakać. Podczas walki nie myślał o tym,

że ma udowodnić, iż jest prawdziwym mężczyzną. Tym sposobem udało mu się wykonać zadanie postawione mu przez ojca.

Fabrycjusz wypuścił go z objęć dopiero po dłuższej chwili.

– Jak się czujesz?

– Tak samo... – odpowiedział Kwintus z uśmiechem.

– Jesteś pewien?

Kwintus przyglądał się niedźwiedziowi i nagle zdał sobie sprawę, że jednak coś się *zmieniło*.

Wcześniej nie był pewien swoich umiejętności. Nie wiedział, czy da radę unicestwić tego wspaniałego drapieznika. W istocie mało brakowało, a poniósłby klęskę z powodu strachu. Patrzenie śmierci w oczy okazało się znacznie trudniejsze, niż sobie wyobrażał. Jednak instynkt przetrwania był osadzony głęboko w jego podświadomości. Przeniósł wzrok na ojca, który przyglądał mu się uważnie.

– Widziałem, że się bałeś. Wtraciłbym się, ale kazałeś mi przysiąc, że tego nie zrobię. – Kwintus się zaczerwienił. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Fabrycjusz uniósł rękę. – Twoja reakcja była zrozumiała, wbrew temu, co niektórzy mogliby powiedzieć. Jednak determinacja, aby osiągnąć sukces, nawet w perspektywie śmierci, okazała się u ciebie silniejsza niż strach. Dobrze zrobiłeś, zmuszając mnie do złożenia obietnicy, że nie wkroczę. – Poklepał Kwintusa po ramieniu. – Bogowie ci sprzyjają.

Kwintus przypomniał sobie dwa dzięcioły i się uśmiechnął.

– Ponieważ masz zostać legionistą, powinniśmy wybrać się do świątyń Marsa i Diany. – Fabrycjusz mrugnął do niego. – No i pozostanie nam jeszcze drobna kwestia zakupu togi.

Kwintus się rozpromienił. Wizyta w Kapui zawsze była miłym wydarzeniem, na które czekał z niecierpliwością. Życie na prowincji nie dawało wiele okazji do spotkań towarzyskich czy innych tego typu przyjemności. W Kapui mogli udać się do łaźni miejskich i odwiedzić dawnego towarzysza broni ojca, Flawiusza Martialisa. Syn Flawiusza, Gajusz, był w tym samym wieku co on i obaj świetnie się czuli w swoim towarzystwie. Gajusz z pewnością chętnie wysłucha jego opowieści o polowaniu na niedźwiedzia.

Najpierw jednak musi wrócić do domu i opowiedzieć o wszystkim matce i Aurelii. Pewnie wypatrują ich z niepokojem.

Agesandros i niewolnicy zostali na polanie, aby pochować Gała i przygotować żerdzie do transportu niedźwiedzia, a Kwintus z ojcem samowtór ruszyli w drogę powrotną do gospodarstwa.

Egipcjanin nie miał żadnych problemów ze znalezieniem kupców na dwójkę przyjaciół. W związku ze zbliżającym się świętem w Kapui targ niewolników w Neapolis pękał w szwach. Niewielu niewolników mogło się jednak pochwalić tak muskularną budową, jak chłopcy w sile wieku z Kartaginy czy twardzi, choć szczupli Numidyjczycy. Kupujący tłoczyli się wokół nagich mężczyzn, dotykając ich mięśni i wpatrując się im w oczy w poszukiwaniu oznak strachu. Mimo że zgarbiony Hanno nie przypominał kombatanta wojennego, niemniej zwracał na siebie uwagę budową ciała. Sprytny Egipcjanin nie chciał jednak sprzedać Kartagińczyków osobno. Kilka osób uparcie podbijało cenę, ale ostatecznie kupił ich ponury Rzymianin o imieniu Solinus. Oprócz nich nabył od Egipcjanina również czterech innych niewolników.

Hanno mało obchodziło, co dzieje się na hałaśliwym rynku. Suniaton starał się jakoś podnieść go na duchu, szepcząc słowa wsparcia, ale jego wysiłki były daremne. Hanno czuł się tak bezradny, jak jeszcze nigdy w życiu. Od czasu, gdy cieszył się, że przeżyli sztorm, wszystkie jego marzenia o ratunku obracały się w pył. Nie zdając sobie z tego sprawy, wiosłowali w kierunku pełnego morza, a nie ku brzegom. Zamiast statku handlowego los przyniósł im

piracką biremę. Jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności w porcie w Neapolis natknęli się na krajanów, ale nie byli w stanie zamienić z nimi nawet słowa. Wreszcie sprzedano ich jako kandydatów na gladiatorów, a nie do służby w domu czy gospodarstwie, co było niemal gwarancją niechybnej śmierci. Czy potrzebował więcej dowodów, aby uznać, że popadli w niełaskę u bogów? Ta świadomość ciążyła mu i tłumiała każdy promyk nadziei niczym ciężki, mokry koc.

Sześciu niedawnych pasażerów pirackiej biremy dołączyło do kolumny Galów, Greków i Iberyjczyków, która wkrótce opuściła miasto i ruszyła piaszczystą drogą do Kapui. Neapolis dzieliło od stolicy Kampanii dwadzieścia mil, które można było pokonać w ciągu jednego dnia, ale Solinus zdecydował się podzielić podróż na dwie części i zaplanował nocleg na trasie w przydrożnej karczynie. Więźniowie mogli tylko z zazdrością patrzeć, jak Rzymianin i jego straż przyboczna zajadają się pieczenią, pachnącym świeżym chlebem i piją wino. Oni dostali tylko wiadro wody ze studni. Dla każdego starczyło raptem na pół tuzina łyków. Po jakimś czasie na szczęście służący przynieśli im kilka zeschniętych bochnów chleba i talerz z resztkami sera. Choć te resztki wydawały się marne, smakowały niczym ambrozja, a posiłek znacznie poprawił im humory. Jak stwierdził Suniaton, byłiby wari o wiele mniej, gdyby pojawili się w Kapui głodni i wyczerpani. Dlatego opłacało się wydać kilka miedziaków na jakieś jedzenie dla nich, choćby kiepskie.

Hanno nie odpowiedział. Suniaton wkrótce zrezygnował z pocieszania przyjaciela. Siedzieli w milczeniu. Smutni, obcy sobie niewolnicy nie próbowali nawet ze sobą rozmawiać. Gdy zapadł zmierzch, leżeli obok siebie, wpatrując się w rozgwieżdżone nocne niebo. To był piękny widok znowu przypominający Hanno o Kartaginie, o domu, którego już nigdy nie zobaczy. Pokonany przez obezwładniające emocje szlochał cicho, chowając głowę w zgięciu łokcia, wdzięczny, że panujące ciemności ukrywają jego łzy.

To, co przeżywali teraz, to był dopiero początek. Czekало ich coś o wiele gorszego.

Nad ranem Kwintus po raz pierwszy w życiu przekonał się, jak ciężkim doświadczeniem może być poranny kac. Podczas uroczystej kolacji poprzedniej nocy Fabrycjusz częstował go winem bez umiaru. Chociaż Kwintusowi zdarzało się wcześniej podpijać z amfor w kuchni, to był pierwszy raz, gdy mógł oficjalnie i otwarcie spożywać alkohol. I nie wylewał za kołnierz. Jego matka nie protestowała. Jako że Aurelia była wdzięczną słuchaczką, Elira rzucała mu powłóczyście spojrzenia, gdy przynosiła do stołu półmiski z jedzeniem, a ojciec obsypywał komplementami, czuł się jak prawdziwy bohater. Agesandros również nie szczędził mu pochwał, gdy po kolacji pojawił się ze świeżo wyprawioną skórą niedźwiedzia. Chłonec wyrazy uznania, Kwintus szybko przestał zwracać uwagę na ilość spożywanego wina. Nie pamiętał, ile pucharów wypił. I choć trunek był tradycyjnie rozcieńczony wodą, Kwintus nie do końca wiedział jeszcze, jakie efekty może spowodować jego nadużywanie. Zanim służba sprzątnęła talerze, niejasno zaczął zdawać sobie sprawę, że płacze mu się język. Atia szybko chwyciła za dzban z winem i postawiła go poza jego zasięgiem, a wkrótce potem Fabrycjusz pomógł mu trafić do łóżka. Ledwo zauważył, że jakiś czas później naga Elira wsunęła się obok niego, podobnie zresztą jak nie zapamiętał chwili, gdy opuściła jego pokój.

A kiedy pierwsze promienie słońca zaczęły muskać jego bolącą głowę, miał wrażenie, że ktoś obrabia kawałek stali na kowadle wielkim młotem. Od czasu, gdy ojciec go zbudził, minęła mniej więcej godzina, a już znajdowali się w drodze do Kapui. Bardzo szybko opuścili gospodarstwo. Kwintus walczył z nudnościami i odmówił zjedzenia śniadania, które zaproponowała mu pełna współczucia Aurelia. Podniesiony nieco na duchu przez szczerzącego się do niego Agesandrosa, wypił tylko kilka kubków wody, a potem podziękował skinieniem głowy za glinianą tykwę na drogę. Nie mógł pozbyć się przykrego smaku w ustach, a każdy ruch



konia przynosił groźbę kolejnych torsji. Do tej pory wymiotował cztery razy. Na kocu pełniącym funkcję siodła trzymał się tylko dzięki rękoma mocno ściskającym wodze i udom dociśniętym do boków konia. Na szczęście jego wierzchowiec był spokojnym zwierzęciem. Zerkając jednak na pełen nierówności trakt ciągnący się aż po horyzont, zmiął w ustach przekleństwo. Od Kapui dzieliło ich wiele mil.

Jechali gęsiego. Kolumnę prowadził ojciec, ubrany w najlepszą tunikę. Siedział okrakiem na swoim szarym ogierze. Jego gladius – niezbędna ochrona przed bandytami – zwiślał swobodnie w zdobionej pochwie na pasie. Kwintus, również uzbrojony, jechał tuż za Fabrycjuszem. Wiózł zwinięte w rulon futro niedźwiedzia. Wprawdzie skóra potrzebowała kilku dni, żeby dobrze wyschnąć, Kwintus jednak koniecznie chciał pokazać ją Gajuszowi. Sześciu niewolników niosło lektykę, w której siedziały Atia i Aurelia. Siostra Kwintusa z pewnością wolałaby jechać konno, ale w obecności Atii było to niemożliwe. Chociaż od kobiet nie oczekiwano umiejętności utrzymywania się na koniu, przed kilku laty Kwintus ugiął się pod presją siostry, która wymogła na nim kilka lekcji. I w przypadku jazdy konnej okazało się, że Aurelia miała naturalny talent. Któregoś dnia przyłapał ich ojciec. Był zdumiony. Umiał jednak rozpoznać zdolną amazonkę, dlatego zgodził się na kontynuowanie tej nauki, ale Atia nie miała o niczym pojęcia. Nie łudzili się, że wyraziłaby zgodę na te zajęcia. Świadoma tego Aurelia nie protestowała, gdy przyszło jej opuścić gospodarstwo w lektyce.

Pochód zamykał Agesandros. Jego długie nogi zwiślały po bokach silnego muła. Nadzorca miał w planach wizytę na targu niewolników, gdyż chciał znaleźć kogoś do pracy za Gala, który zginął na polowaniu. Sycylijszyk uzbrojony był w przewieszoną teraz przez plecy okutą pałkę i osadzony za pasem bicz, symbol swego stanowiska w majątku, mogący również pełnić funkcję broni. W międzyczasie w gospodarstwie jego obowiązki przejął wiecznie uśmiechnięty Iberyjszyk, cechujący się niewielkim rozumem, za to wielkimi muskułami. Miał dopilnować zakończenia prac przy żniwach. Agesandros prowadził za sobą parę jagniąt, które planowali złożyć w ofierze w świątyniach. Zwierzęta pobekiwały z oburzeniem, gdy Agesandros zmuszał je do szybkiego marszu, ciągnąc za sznur, który miały przymocowany do szyi.

Czas mijał. Kwintus z każdą chwilą czuł się coraz lepiej. Już dwa razy opróżnił tykwę i dwukrotnie napełnił ją wodą z szemrzącego strumienia, który płynął równolegle do drogi. Ból głowy łagodniał, dzięki czemu mógł coraz więcej uwagi poświęcać otoczeniu. Wzgórza, na których tropili niedźwiedzia, stały się teraz zaledwie mglistymi liniami na horyzoncie za nimi. Po obu stronach traktu ciągnęły się pola dojrzałej pszenicy, grunty rolne należące do ich sąsiadów. Kampania była jednym z regionów, który mógł się pochwalić najbardziej żyznymi ziemiemi w Italii, a dowody na to widzieli teraz na własne oczy. Mijali grupy uwijających się z kosami niewolników, którzy zbierali naręcza kłosów i układali je w snopy. Podekscytowany Kwintus nie bardzo interesował się jednak żniwami, jego myśli błądziły raczej wokół okoliczności założenia po raz pierwszy togi.

Aurelia odsunęła zasłonkę lektyki.

- Wyglądasz lepiej – odezwała się radośnie.
- Trochę lepiej się czuję, to fakt – przyznał.
- Nie powinienes być tyle pić – skarciła go Atia.
- Mężczyzna nie zabija niedźwiedzia codziennie – wymamrotał Kwintus.
- Racja. – Ich wymiana zdań przyciągnęła uwagę Fabrycjusza. Aurelia zacisnęła wargi, ale zdecydowała się nie drażnić tematu. – Taki dzień jak wczorajszy zdarza się tylko kilka razy w życiu. Warto go uczcić. Ból głowy to niewielka cena, którą się za to płaci.
- Słusznie. – Usłyszeli głos Atii dochodzący z głębi lektyki. – Uczciłeś nie tylko oskijskich przodków, ale i swoje rzymskie dziedzictwo. Rozpiera mnie duma, że jesteś moim

synem.

Wczesnym popołudniem znaleźli się pod potężnymi murami Kapui. Miasto chroniły kamienne umocnienia otoczone głębokim rowem. W regularnych odstępach na całej ich długości stały wieże strażnicze, a do miasta można było się dostać tylko przez jedną z sześciu dobrze pilnowanych bram. Kwintus, który nigdy jeszcze nie widział Rzymu, zawsze był pod wielkim wrażeniem atmosfery panującej w Kapui. To miasto, założone przez Etrusków przed ponad czterystu laty, pełniło funkcję stolicy *dodekapolis*. Dwa wieki temu grasujący w okolicach Oskowie przejęli kontrolę nad miastem i okolicznym terytorium. *Plemię mojej matki* – pomyślał z dumą Kwintus. Pod rządami Osków Kapua stała się jednym z najpotężniejszych miast w Italii, ale po jakimś czasie musiała szukać wsparcia w Rzymie, gdyż kolejne fale najeżdżających te tereny Samnitów zagroziły jej niepodległości.

Ojciec Kwintusa wywodził się z rzymskich oswoobodzicieli miasta, co powodowało, że jego dzieci były obywatelami republiki. Sojusz Kampanii z Rzymem oznaczał wprawdzie, że mieszkańcy tych terenów również uzyskali status obywateli, ale głosować mogli tylko przedstawiciele lokalnej arystokracji. Te ograniczenia ciągle były powodem niezadowolenia wielu kampańskich plebejuszy, którzy musieli odsłużyć swoje w legionach, mimo że nie był im dany przywilej głosowania w wyborach. Najwięksi malkontenci twierdzili, że lud Kampanii powinien dochować wierności przekonaniom oskijskich przodków. Mówiło się nawet o tym, że Kapua powinna odzyskać niepodległość. Fabrycjusz zawsze twierdził, że byłaby to jednak zdrada stanu. Gdy Kwintus zastanawiał się nad tą sprawą, czuł się wewnętrznie rozdarty, zwłaszcza że matka zwykle nie zabierała głosu na ten temat. Wydawało się, że uniemożliwienie decydowania o tym, kto rządzi w republice, mieszkańcom tych terenów, ludziom, którzy walczyli i umierali dla chwały Rzymu, było po prostu niesprawiedliwe. Tego rodzaju rozmyślania prowadziły również Kwintusa do trudnego pytania o to, czy w przypadku poważniejszego konfliktu politycznego powinien opowiedzieć się po stronie dziedzictwa matki, czy raczej wybrać dziedzictwo ojca. Ta drażliwa sprawa była przyczyną gorących dyskusji z zawsze chętnym do konfrontacji w tej kwestii Gajuszem, synem Flawiusza Martialisa. Gajusz i Martialis uważali się bowiem przede wszystkim za przedstawicieli oskijskiej arystokracji, mimo że obaj posiadali rzymskie obywatelstwo i pełne prawa wyborcze.

Najpierw zatrzymali się w świątyni Marsa, stojącej w bocznej uliczce niedaleko forum. Jedno jagnię zostało oficjalnie – w obecności wszystkich członków rodziny – złożone w ofierze bogowi wojny. Kwintus poczuł ulgę, gdy kapłan oznajmił, że widzi tylko dobre znaki. Podobnie było też w sanktuarium Diany, co jeszcze bardziej poprawiło nastrój chłopca.

– Tego się można było spodziewać – mruknął Fabrycjusz, gdy wychodzili.  
– Dlaczego tak mówisz, ojczu? – zaciekawił się Kwintus.  
– Gdy kapłan dowiedział się, jak przebiegło polowanie, trudno, żeby opowiadał nam o jakichś złych wróżbach. – Fabrycjusz uśmiechnął się na widok zdziwienia rysującego się na twarzy Kwintusa. – Bez obaw! Ja też wierzę w bogów, ale nikt nie musi nam mówić, że wczoraj byli po naszej stronie. To oczywiste. Dzisiaj chodziło raczej o to, aby im podziękować. I to właśnie uczyniliśmy. – Klasnął w dłonie. – Czas na oczyszczającą kąpiel! A potem pójdziemy kupić nową togę.

Godzinę później znajdowali się już w sklepie. Z powodu bliskości warsztatów foluszników powietrze w tej dzielnicy było przesycone śmierdzącą wonią stęchłej uryny, co sprawiało, że Kwintusowi zależało na jak najszybszym załatwieniu sprawy i opuszczeniu tego miejsca. Na tyłach uwijali się pomocnicy sklepikarza, zajęci drapaniem osnowy na zwojach tkaniny za pomocą małych płytek z ostrzami. Potem obrabiany przez nich materiał przycinano, aby uzyskać miękką okrywą włókienną. Następnie gotową tkaninę wystarczyło tylko umiejętnie

złożyć. Właściciel, służący typ z przetłuszczonymi włosami, rozkładał przed nimi beły bawełny różnej jakości, ale Atia szybko skoncentrowała się na tych lepszych i droższych. Wkrótce Kwintus został ubrany w swoją pierwszą *toga virilis*. Przeszłoby niezgrabnie z nogi na nogę, podczas gdy zachwycona Atia drapowała i układała fałdy obszernej togi, dopóki nie wyglądała tak, jak sobie wymarzyła. Fabrycjusz trzymał się tym razem z dala, choć z twarzy nie schodził mu pełen dumy uśmiech. Podekscytowana Aurelia nie mogła ustać w miejscu i biegła po całym sklepie.

– Młody pan wygląda doskonale. – Sklepiarz cmokał z zachwytem.

– To prawda. – Atia pokiwała z aprobatą głową.

Dumny, ale trochę skrępowany Kwintus uśmiechał się niepewnie.

– Wspaniały widok – potwierdził Fabrycjusz. Przeliczył monety, które po chwili wręczył sprzedawcy. – Możemy już odwiedzić Flawiusza Martialisa. Gajusz teraz ujrzy cię w zupełnie innym świetle.

Właściciel towarzyszył im aż do drzwi, co chwila zginając się w ukłonach. Na zewnątrz czekał Agesandros, który już odprowadził konie do stajni. Na widok Kwintusa skłonił się nisko.

– Jesteś dorosłym obywatelem, panie.

– Dziękuję. – Kwintus uśmiechnął się z zadowoleniem.

Fabrycjusz spojrzał na swojego nadzorcę.

– Może udasz się teraz na rynek? Wiesz, gdzie znajduje się dom Martialisa. Dołącz do nas, gdy kupisz nowego niewolnika. – Podał mu sakiewkę. – Tu jest sto *didrachmae*.

– Oczywiście – odpowiedział Agesandros. Odwrócił się, aby odejść.

– Poczekaj! – zawołał za nim pod wpływem impulsu Kwintus. – Pójdę z tobą. Muszę zacząć uczyć się takich rzeczy.

Agesandros zatrzymał się w pół kroku, przekręcił głowę i wpatrywał się w niego swoimi ciemnymi oczami.

– Jakich *takich* rzeczy?

– Mam na myśli kupowanie niewolników. – Kwintus nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak wygląda ten proces, co jednak, z oczywistych powodów, bezpośrednio dotyczyło również Agesandrosa. – Możesz mnie nauczyć.

Sycyliczyk rzucił pytające spojrzenie na Fabrycjusza, który skinął głową na znak zgody.

– Dlaczego nie? – odezwała się Atia. – To będzie dla ciebie wartościowe doświadczenie.

Końcówki ust Agesandrosa wygięły się lekko ku górze.

– Dobrze. Chodźmy zatem.

Aurelia doskoczyła do Kwintusa.

– Ja też idę! – oznajmiła.

Zdziwiony Agesandros uniósł brew.

– Nie wiem...

– Nie ma mowy! – zdecydowanie zaproponował Fabrycjusz.

– Widoki na targu niewolników nie należą do odpowiednich dla tak młodych oczu – dodała Atia.

– Jestem już prawie dorosłą kobietą, czego nie przestajecie mi ciągle powtarzać – odparowała Aurelia. – Gdy wydacie mnie za mąż, będę gospodynią w moim domu i będę mogła odwiedzać takie miejsca, kiedy tylko najdzie mnie ochota. A dlaczego nie teraz?

– Aurelio! – wykrzyknęła ostrzegawczo Atia.

– Będiesz robić to, na co ci pozwolę! – wtrącił się Fabrycjusz. – Jestem twoim ojcem. Pamiętaj o tym. Twój mąż, ktokolwiek nim zostanie, również będzie oczekiwać od ciebie posłuszeństwa.

Aurelia spuściła wzrok.

– Przepraszam... – szepnęła. – Chciałam tylko towarzyszyć Kwintusowi podczas spaceru po mieście w nowej todze.

Rozbrojony tym wyznaniem Fabrycjusz odchrząknął.

– Dajże spokój... – odezwał się już uładzony. Zerknął na Atię, która zmarszczyła brwi.

– Proszę?

Aurelia nie dawała za wygraną. Nastąpiła długa cisza. Wreszcie Atia skinęła prawie niezauważalnie głową.

Fabrycjusz się uśmiechnął.

– Dobrze. Możesz iść z bratem.

– Dziękuję, ojcze! Dziękuję, mamó. – Aurelia unikała twardego spojrzenia Atii, które świadczyło o tym, że po powrocie do domu czeka ją wielka bura.

– Idźcie już. – Fabrycjusz wykonał niedbały gest, łaskawie przyzwalając Aurelii, by dołączyła do Agesandrosa i Kwintusa.

Gdy milczący Agesandros torował im drogę na ruchliwej ulicy, Kwintus spojrzał na Aurelię z wyrzutem.

– Więc twoje szpiegowskie umiejętności wykraczają poza śledzenie mnie podczas ćwiczeń fizycznych, co? Niezła z ciebie konspiratorka.

– Zaskoczony? Mam pełne prawo przysłuchiwać się twoim rozmowom z ojcem. – Jej niebieskie oczy rozbłysły. – Dlaczego miałabym się bawić lalkami, gdy wy zastanawiacie się nad wyborem mojego przyszłego męża? Może i nie mogę nic zrobić, ale mam prawo znać szczegóły.

– Masz rację. Powinienem być powiedzieć ci o tym wcześniej – przyznał Kwintus. – Wybacz mi.

Niespodziewanie oczy Aurelii zaszyły łzami.

– Nie chcę aranżowanego małżeństwa – odezwała się cicho. – Matka mówi, że nie będzie tak źle, ale skąd może wiedzieć, co mnie czeka?

Kwintus był poruszony. Koligacje małżeńskie były dobrą okazją, aby pomóc rodzinie w dostaniu się na wyższy poziom w hierarchii społecznej. Jeśli tak się stanie, ich sytuacja może ulec diametralnej zmianie. Czuł się jednak nieswojo na myśl o cenie tego sukcesu. Świadomość, że Aurelia znajduje się tuż obok i czeka na jego odpowiedź, wcale mu nie pomagała. Kwintus nie chciał uciekać się do zwykłego kłamstwa, dlatego spuścił głowę i przyspieszył kroku.

– Pospieszmy się. Agesandros zostawił nas w tyle.

Aurelia w lot przejrzała jego grę.

– Widzisz? Myślisz tak samo.

Zaskoczony Kwintus stanął jak wryty.

– Matka i ojciec wzięli ślub z miłości. Dlaczego nie ja? – Aurelia nie dawała za wygraną.

– Naszym obowiązkiem jest wykonywanie ich poleceń. Rozumiesz to – powiedział Kwintus, chociaż czuł się okropnie. – Oni wiedzą najlepiej. A my musimy akceptować ich wybory.

Agesandros odwrócił się, zmuszając rodzeństwo do przerwania dalszej wymiany zdań. Kwintus z ulgą zauważył, że dotarli już do targu niewolników, który zorganizowano na dużym, przestronnym placu w pobliżu południowej bramy. Panujący tu zgiełk utrudniał jakkolwiek rozmowę. Aurelia zamilkła, zacisnąwszy gniewnie usta.

– Jesteśmy na miejscu. – Sycylijczyk rozłożył ręce. – Rozejrzyjcie się.

Rodzeństwo wodziło wokół wzrokiem w milczeniu. Chociaż wiele razy przebywali na tym rynku, teraz ujrzeli go jakby w nowym świetle. Ze swoimi straganami, na których oferowano owoce i warzywa, czy kramami rzeźników sprzedających mięso świeżo ubitych jagniąt, kóz

i świń był on częścią codziennego życia. Kwintus nieoczekiwanie stwierdził, że dziś *dostrzega* różnicę. Tu można było kupić też ludzi! Głównie jeńców wojennych lub przestępców, niemniej ciągle byli to *ludzie*.

Jak okiem sięgnąć, otaczały ich setki nagich mężczyzn, kobiet i dzieci, w kajdanach lub powiązanych linami. Wszyscy mieli nogi pokryte pyłem i kredą. Ludzie o czarnej skórze, brązowej lub jasnej, chyba z każdego zakątka na ziemi. Obok wysokich, muskularnych Galów o blond włosach tłoczyli się niscy, szczupli Grecy. Wyróżniający się szerokimi, dużymi nosami, potężnie zbudowani Nubijczycy górowali nad żylastymi Numidyjczykami i Egipcjanami. Można tu było kupić galijskie kobiety o bujnych kształtach i wąskie w biodrach niewolnice z Judei lub Illyricum. Wiele z nich szlochało, inne głośno narzekały na swój los. Do lamentujących kobiet dołączały też płaczące niemowlęta i małe dzieci. Wielu niewolników, najwyraźniej po traumatycznych przejściach, wpatrywało się pustym wzrokiem w przestrzeń, zdając się nie zauważać otaczającego ich świata. Kręcący się po rynku handlarze głośno zachwalali swój towar liczным nabywcom chodzącym między kolumnami powiązanych niewolników. W pewnej odległości od najgęstszej cizby można było zauważyć grupki twardych, uzbrojonych mężczyzn, strażników targu, i *fugitivarii*, czyli łowców niewolników.

– Wybór jest ogromny, dlatego musisz wcześniej wiedzieć, czego szukasz. W przeciwnym razie można chodzić i wybierać cały dzień. – Agesandros spojrział wyczekująco na Kwintusa.

Chłopak pomyślał o wytatuowanym Galu. Jego głównym zajęciem była praca w polu. Umiejętność radzenia sobie z psami myśliwskimi stanowiła tylko dodatkową zaletę.

– Musi być młody i sprawny fizycznie. Zęby w dobrym stanie też są ważne. – Zamilkł, zastanawiając się nad innymi cechami.

– Co jeszcze? – Z tonu pytania Agesandrosa przebijało zniecierpliwienie.

Kwintus był zaskoczony zmianą, jaka dokonała się w Sycylijszyku. Po typowej dla niego dobroduszości nie zostało ani śladu.

– Chcemy kogoś, kto nie ma żadnych oczywistych defektów czy oznak choroby. Przepukliny, źle zrosniętych złamań, zabrudzonych ran i tym podobnych wad.

Aurelia skrzywiła się z niesmakiem.

– Czy to wszystko?

Zirytowany Kwintus pokiwał głową.

– Tak. Tak myślę.

Agesandros szybkim ruchem wyciągnął sztylet. Zaskoczona Aurelia ze świstem wciągnęła powietrze.

– Zapominasz o najważniejszym – stwierdził Sycylijszyk, unosząc nóż. – Spójrz mu w oczy i zastanów się, czy jest hardy. Zadaj sobie pytanie: czy ten skurwysyn kiedykolwiek spróbuje poderżnąć ci gardło? Jeśli uznasz, że to prawdopodobne, odejdz i wybierz innego. W przeciwnym razie pewnej bezksiężycowej nocy możesz pożałować, że tego nie zrobiłeś.

– Mądre słowa... – powiedział spokojnie Kwintus. *A teraz go zaskoczę.* – Co pomyślał mój ojciec, gdy spojrział w twoje oczy?

Agesandros faktycznie nie spodziewał się takiego pytania. W jego oczach zamigotał jakiś płomień, po czym Sycylijszyk opuścił rękę, w której trzymał sztylet.

– Myślę, że zobaczył w nich innego żołnierza – odpowiedział krótko. – Chodźcie. – Odwrócił się na pięcie i zaczął przeciskać się przez tłum.

– Bawi się ze mną, to wszystko. Próbuje wyprowadzić mnie z równowagi – kłamał Kwintus, w międzyczasie zwracając się uspokajająco do Aurelii. Tak naprawdę myślał, że Agesandros stara się go przestraszyć. Właściwie to mu się udało. Tymczasem jego siostra

zareagowała nieładnym grymasem. Złościła się jeszcze, że nie dokończyli rozmowy o jej szansach na szczęśliwe zamążpójście. Kwintus ruszył za Sycylińczykiem. *To może poczekać. Później wrócimy do tej rozmowy.*

Agesandros odrzucił pierwsze propozycje, a potem zatrzymał się przy szeregu Nubijczyków, badając kilku z nich. Jednemu zajrzał nawet do ust. Szybko pojawił się przy nich właściciel, smukły Fenicjanin ze złotymi kolczykami w uszach. Zaczął zachwalać swój towar słodkim głosem. Kwintus zbliżył się do Sycylińczyka, zostawiając za plecami kipiącą ze złości Aurelię. Agesandros szybko uciął jednak rozmowę z handlarzem, ignorując jego kolejne oferty.

– Ten Nubijczyk miał zepsute wszystkie zęby – mruknął do Kwintusa, gdy odchodzili. – Nie przetrwałby dłużej niż kilka lat.

Przemierzali targ wzdłuż i wszerz. Sycylińczyk odzywał się coraz rzadziej, pozwalając Kwintusowi decydować, którzy niewolnicy spełniają przyjęte założenia. Chłopak zwrócił już uwagę na kilku, ale za każdym razem Agesandros znajdował jakiś powód, aby odrzucić jego propozycję. Kwintus zaczął się irytować i postanowił, że przy kolejnej okazji pokaże, że jest stanowczy i umie postawić na swoim. Chwilę później zauważył dwóch ogorzałych od słońca młodych mężczyzn, wyróżniających się ciemnymi, mocno kręconymi włosami. Wcześniej jakoś nie wpadli mu w oko. Żaden z nich nie grzeszył wzrostem, ale obaj byli niezłe umięśnieni. Jeden wpatrywał się w ziemię, a drugi, o nieco zadartym nosie i zielonych oczach, spojrzał na Kwintusa, po czym szybko odwrócił wzrok. Rzymianin zatrzymał się, aby lepiej przyjrzeć się chłopcom. Byli skrupowani, ale łańcuch miał taką długość, że ich właściciel mógł bez trudu wypchnąć ich nieco do przodu przed pozostałych niewolników. Sycylińczyk uważnie obserwował poczynania Kwintusa.

Młody niewolnik był w jego wieku i w doskonałej kondycji fizycznej. Uzębienie miał ładne i kompletne. Podczas całej sesji badania chłopak ani razu nie spojrzał mu w oczy, co wzbudziło jego zainteresowanie. Pamiętał, co mówił mu Agesandros, dlatego chwycił brodę niewolnika i zmusił go do podniesienia wzroku. Zaskoczyło go to, że tęczówki chłopaka też były zielone, takie same jak jego towarzysza. Kwintus nie widział w nich buntu. Raczej bezdenne smutek. *Doskonale.*

– Wezmę tego – powiedział do Agesandrosa. – Spełnia twoje wymagania.

Sycylińczyk zmierzył młodego niewolnika od stóp do głów.

– Skąd jesteś? – zapytał po łacinie.

Niewolnik mrugnął, ale nie odpowiedział.

*Zrozumiał pytanie* – skonstatował zaskoczony Kwintus.

Agesandros najwyraźniej niczego nie podejrzewał. Powtórzył pytanie po grecku, ale i tym razem nie uzyskał odpowiedzi.

– To Kartagińczyk. Jego przyjaciel też. Obaj silni jak woły – wyjaśnił handlarz, który wyczuł ich zainteresowanie.

– *Guggast homo?* – Agesandros splunął na ziemię. – Do niczego się nie nadają!

Kwintus i Aurelia otworzyli szeroko oczy ze zdziwienia na widok zmiany, jaka zaszła w Sycylińczyku. Obrażliwe wyrażenie *gugga* znaczyło mniej więcej tyle, co „mały szczur”. Kwintus zaczął podejrzewać, że miało to jakiś związek z przeszłością Agesandrosa. Kartagińczykowi jednak sprzedali Sycylińczyka w niewolę. To jednak nie był wystarczający powód, aby zrezygnować z zakupu dobrego niewolnika.

– Miałem na nich wielu chętnych od rana – odezwał się handlarz. – Wyglądają na dobry materiał na gladiatorów.

– Tylko jakoś nie udało ci się ich sprzedać – odparł kpiąco Kwintus. Stojący obok niego Agesandros prychnął, całkowicie zgadzając się z jego osądem. – Ile kosztują?

– Solinus jest uczciwym sprzedawcą. Każdy po sto pięćdziesiąt didrachm albo trzysta za obu.

Kwintus wybuchnął nieudawanym śmiechem.

– Prawie dwa razy więcej, niż wynosi cena niewolnika do pracy w polu. – Chciał już odejść, podobnie zresztą jak Agesandros, ale zatrzymał się po paru krokach. Był już zmęczony negatywnym nastawieniem Sycylijczyka. Kartagińczyk był *równie dobrym* wyborem, jak wszyscy, których oglądali wcześniej. *Dlaczego mielibyśmy go nie kupić? Może uda mi się coś wynegocjować?* Zawrócił. – Potrzebujemy tylko jednego – stwierdził krótko. Skuci kajdanami kartagińscy chłopcy wymienili spojrzenia, w których czaił się lęk, tym samym potwierdzając przeczcucie Kwintusa, że znają łącinę.

Solinus uśmiechnął się szeroko, odsłaniając rząd zepsutych zębów.

– Którego, panie?

Kwintus wskazał Solinusowi chłopaka, któremu wcześniej tak długo się przyglądał, ignorując przy tym zmarszczone czoło Agesandrosa.

Kupiec łypnął na niego chytrze.

– Co powiesz na sto czterdzieści didrachm?

Kwintus wykonał gest lekceważenia, słysząc tak niepoważną propozycję.

– Co najwyżej sto.

Solinus spoważniał.

– Muszę zarobić na życie. Sto trzydzieści. Więcej nie spuszczę.

– Mogę dać dziesięć więcej, ale zapomnij o wyższej cenie.

Solinus potrząsnął głową. Kwintus kątem oka zarejestrował niezadowolone rysujące się na twarzy Agesandrosa, które było dla niego wystarczającym bodźcem, aby trwać przy swoim i nie odpuszczać.

– Dam ci sto dwadzieścia pięć.

Agesandros zbliżył usta do jego ucha i kwaśno stwierdził szeptem:

– Nie mam nawet tyle...

– W takim razie sprzedam skórę niedźwiedzia. Jest warta co najmniej dwadzieścia pięć didrachm. – Chciał zrobić z niej narzutę na łóżko, ale w tej sytuacji bardziej zależało mu na zwycięstwie w tej próbie sił.

Solinus nieoczekiwanie zmienił zdanie. Zrobił krok do przodu.

– To uczciwa cena – powiedział.

Agesandros zacisnął palce na sakiewce.

– Daj mu pieniądze – rozkazał Kwintus. Kiedy Sycylijczyk w pierwszej chwili nie zareagował, zadygotał ze złości. – Jestem twoim panem. Zrób, jak mówię!

Agesandros wreszcie go posłuchał i z ociąganiem przekazał sakiewkę kupcowi.

To niewielkie zwycięstwo bardzo ucieszyło Kwintusa.

– Tu jest sto. Mój niewolnik później przyniesie ci resztę. – Solinus, który właśnie chował sakiewkę za pazuchę, otworzył już usta, chcąc zaprotestować. – Moim ojcem jest Gajusz Fabrycjusz, ekwita – warknął Kwintus. – Brakujące pieniądze zostaną ci wypłacone przed zmrokiem.

Solinus natychmiast zrezygnował z dalszych protestów.

– Oczywiście, oczywiście... – wyciągnął zza pasa kółko z kluczami. Wybrał jeden, po czym sięgnął do żelaznej obręczy na szyi Kartagińczyka. Rozległo się delikatne kliknięcie i chłopiec był wolny. Po zdjęciu kajdan zachwiał się lekko i odsunął się na pół kroku od pozostałych niewolników.

Aurelia wreszcie mogła przyjrzeć się bliżej ich nowemu nabytkowi. *Nigdy nie widziałam*

*tak przystojnego chłopaka.* Na widok nagiego ciała Kartagińczyka serce dziewczyny zaczęło bić mocniej.

Zaskoczenie w oczach chłopaka było wyraźnym sygnałem, że nie do końca zdawał sobie jeszcze sprawę z tego, co się właśnie stało. Dotarło to do niego chyba dopiero wtedy, gdy jego towarzysz wyrzucił z siebie kilka słów w dziwnym języku. Do oczu napłynęły mu łzy. Zwrócił się do Kwintusa.

– Proszę, kup też mojego przyjaciela – odezwał się płynnie po łacinie.

*Miałem rację!* Kwintus triumfował.

– Znasz moją mowę.

– Tak.

Agesandros przyglądał się im bacznie, ale zarówno Kwintus, jak i Aurelia zupełnie go teraz ignorowali.

– Jak to możliwe? – zapytała Aurelia.

– Mój pan ojciec nalegał, żebym się jej nauczył. Znam też grekę.

Aurelia nie kryła podziwu. Kwintus był zachwycony, uświadomiwszy sobie, że zrobił dobry interes.

– Jak cię zwą?

– Hanno – odpowiedział Kartagińczyk, po czym szybko wskazał ręką na towarzysza. – A to jest Suniaton. Jest moim najlepszym przyjacielem.

– Dlaczego nie odpowiedziałeś na pytanie naszego nadzorcy?

Hanno po raz pierwszy nie odwrócił wzroku, wpatrując się w oczy Kwintusa.

– A ty byś odpowiedział na moim miejscu?

– Nie... Przypuszczam, że nie. – Kwintus był zaskoczony bezpośredniością chłopaka. Ośmielony Hanno zwrócił się teraz do Aurelii.

– Kupcie nas obu. Błagam. W przeciwnym razie mój przyjaciel zginie na arenie.

Rodzeństwo wymieniło zaskoczone spojrzenia. To nie byli zwykli chłopcy z jakiejś odległej ziemi. Hanno był wykształcony. Musiał pochodzić z dobrej rodziny. Podobnie jak jego przyjaciel. Ta sytuacja wydała im się dość dziwna. Nagle poczuli się niepewnie.

– Potrzebujemy tylko jednego niewolnika. Nie dwóch. – Jasny i pewny głos Agesandrosa przywołał ich do rzeczywistości.

– Jestem pewien, że moglibyśmy się dogadać – wtrącił się Solinus.

– Nie, nic z tego. – Sycylijszyk zgromił go wzrokiem, zmuszając, by zamilkł. Zwrócił się do Kwintusa. – Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy teraz w gospodarstwie, jest dodatkowa gęba do wyżywienia. Twój ojciec i tak pewnie zażąda wyjaśnień. Może lepiej nie szastać tak jego srebrem?

Kwintus gotów był się spierać, ale zdał sobie sprawę, że Agesandros ma rację. Potrzebowali tylko jednego niewolnika. Spojrzał na Aurelię bezradny. Ledwo zauważalne wzruszenie ramionami jego siostry oznaczało, że czuje się tak samo.

– Nic nie mogę zrobić – zwrócił się do Hanno.

Mały uśmiezek satysfakcji na ustach Agesandrosa został zauważony chyba tylko przez Hanno.

Dwaj niewolnicy długo patrzyli sobie w oczy.

– Niech bogowie strzegą twojej drogi – powiedział Hanno po kartagińsku. – Bądź silny. Będę modlił się za ciebie każdego dnia.

Broda Suniatona drżała od powstrzymanego z trudem płaczu.

– Jeśli kiedykolwiek wrócisz do domu, powiedz mojemu ojcu, jak bardzo żałuję tego, co się stało – powiedział ze smutkiem ściszonego głosem. – Poproś go, żeby mi wybaczył.



– Przysięgam – obiecał Hanno, chociaż miał trudności z mówieniem. – Wybacz ci, możesz być pewien.

Ani Kwintus, ani Aurelia nie rozumieli słów pożegnania w obcym języku, ale znaczenie tej sceny było dla nich aż nadto jasne. Szybko zauważyli, że pełne emocji pożegnane stanowi dla przyjaciół bardzo trudne doświadczenie. Kwintus chwycił siostrę za rękę.

– Chodźmy. Nie możemy kupować wszystkich niewolników z targu. – Pociągnął ją za sobą, nie patrząc już na Suniatona.

Agesandros poczekał, aż rodzeństwo trochę się od nich oddali, a potem wyszeptał po kartagińsku do ucha Hanno:

– Nie ja zdecydowałem, by kupić takiego *gugga* jak ty. Ale spędzimy razem dużo miłych chwil w gospodarstwie. I nie myśl, że uda ci się uciec. Widzisz tamtych ludzi? – Hanno spojrzął na wskazaną przez Sycylijczyka grupę nieogolonych, niedbale ubranych mężczyzn, stojących w grupach w pewnej odległości od oferowanych na targu niewolników. Każdy z nich był dobrze uzbrojony i każdy uważnie obserwował to, co dzieje się na rynku. – To *fugitivarii* – wyjaśnił Agesandros. – Za odpowiednią opłatę gotowi są wytropić każdego uciekiniera. I dostarczyć go z powrotem jego panu. Żywego lub martwego. Z jajami lub bez. Nawet w małych kawałkach. Rozumiesz?

– Tak. – Hanno poczuł nieprzyjemne łaskotanie w żołądku.

– Dobrze, że się rozumiemy. Ruszaj! – Sycylijczyk uśmiechnął się krzywo i popchnął Hanno przed sobą.

Ten odwrócił się, aby po raz ostatni spojrzeć na Suniatona. Było mu tak ciężko na sercu, jakby miało za chwilę pęknąć. Bolał go każdy oddech. Bez względu na to, co go czeka, los Suniego niewątpliwie będzie o wiele gorszy.

– Nie możesz mi pomóc – wyszeptał Suniaton. Co ciekawe, na jego twarzy znów zagościł spokój. – Żegnaj.

Gorące łzy zamazały obraz Suniatona. Hanno odwrócił się i ruszył przed siebie.

## Rozdział V



### Kartagina

Od jakiegoś czasu każdy jego poranek wyglądał tak samo. Po śniadaniu po prostu wychodził z domu i długo nie wracał. Bostar wyruszył już do Iberii, ale Sapho jeszcze nie opuścił Kartaginy. Najczęściej przebywał jednak w kwaterach garnizonu. Kiedy już się pojawiał, rzadko wspominał Hanno. Malchus uważał, że to nieco dziwne. Przyjął jednak, że w ten nietypowy sposób jego najstarszy syn radził sobie z żalem po stracie brata. On sam unikał kontaktu z ludźmi. Właściwie to jedynymi świadkami jego żałoby byli niewolnicy – oczywiście jeśli nie liczyć rzadkich okazji, gdy w domu pojawiali się goście. Od zniknięcia Hanno minęło kilka tygodni. Niewolnicy dobrze znali swojego pana, jego temperament, ale byli również świadomi jego żałoby, dlatego chodzili na palcach i starali się nie zwracać na siebie uwagi. Tyle że Malchus dostrzegał te zachowania i złościł się jeszcze bardziej! Chociaż miał ochotę na kims się wyżyć, wiedział, że niewolnicy nie byli niczemu winni, dlatego tłumił w sobie rozdrażnienie i zgrzyotę. Nie mógł jednak usiedzieć w zamkniętych pomieszczeniach. Cóż miał czynić? Wpatrywać się w puste ściany, obsesyjnie rozmyślając o Hanno, najbardziej kochanym, najmłodszym synu, swoim wspaiałym chłopcu, którego nigdy już nie zobaczy?

Malchus znów wybrał się do bliźniaczych portów. Sam. *Powiedzenie, że smutek znika wraz z upływem czasu, nie ma absolutnie nic wspólnego z rzeczywistością* – pomyślał gorzko. Tak naprawdę jego smutek z każdym dniem stawał się coraz bardziej przygnębiający. Czasem zastanawiał się, czy dojdzie do tego, że stanie się nie do wytrzymania. Czy sprawi, że nie będzie mu się już chciało żyć? Niespodziewanie w tłumie przechodniów dostrzegł znajomą postać. Bodesmun. Zaklął pod nosem. Coraz trudniej było mu nawet patrzeć na ojca Suniatona. Wydawało się natomiast, że kapłan zachowuje się zupełnie inaczej – szuka jego towarzystwa przy każdej okazji.

Bodesmun uniósł rękę, oficjalnie go pozdrawiając.

– Malchusie. Jak się dziś masz?

Malchus spojrzał na niego chmurnie.

– Tak samo. A ty?

Na twarzy Bodesmuna pojawiły się zmarszczki bólu. Malchus westchnął. Każde ich spotkanie przebiegało według tego samego schematu. Kapłani mają prowadzić lud. Dawać wiernym dobry przykład, a nie załamywać się zdarzeniami, którymi doświadczają ich bogowie. Malchus miał wystarczająco dużo własnych problemów, żeby jeszcze przejmować się samopoczuciem Bodesmuna. Czyż już nie dźwigał ciężaru dwóch strat? Racjonalna strona

Malchusa wiedziała, że nie jest odpowiedzialny za śmierć Arishat, swojej żony, ani za śmierć Hanno, ale ta druga strona, kierująca się emocjami, miała w tej kwestii zupełnie inne zdanie. Podczas częstych bezsennych nocy spędzanych na rozmyślaniach Malchus dochodził do wniosku, że zachowanie Hanno nie wzięło się z niczego. Dlatego po części on także ponosił za nie winę. Po odejściu Arishat zaczął zachowywać się jak fanatyk. Interesowały go jedynie plany Hannibala. W domu zabrakło jasności, śmiechu i zabawy. Sapho i Bostar, bądź co bądź dorośli mężczyźni, nie ucierpieli z powodu jego melancholii, ale wszystko skupiło się na Hanno. Malchus od czasu, gdy to sobie uświadomił, ciągle walczył z poczuciem winy. *Powinienem był spędzać z nim więcej czasu. Może nawet chodzić na ryby, zamiast smęcić na temat dawno przegranych bitew.*

– Jest ciężko... – powiedział, starając się okazać mu serdeczność. Objął kapłana ramieniem i delikatnie pociągnął tak, aby zejść z drogi przed zbliżającym się wozem. – Bardzo ciężko.

– Ten ból... – wyszeptał Bodesmun. – Jest coraz gorszy.

– Wiem – zgodził się Malchus. – Tylko dwie rzeczy trochę mi pomagają.

W brązowych oczach kapłana natychmiast zapalił się jasny ogień zainteresowania.

– Powiedz mi, proszę.

– Przy zdrowych zmysłach utrzymuje mnie nienawiść do Rzymu i wszystkiego, co jest związane z republiką. – Malchus splunął. – Przez wiele lat wydawało się, że nigdy nie pojawi się szansa, żeby wyrównać rachunek krzywd. Hannibal wszystko zmienił. W końcu Kartagina ma szansę odplacić Rzymowi pięknym za nadobne!

– Ale od czasu wojny o Sycylię minęły ponad dwie dekady – zaprotestował Bodesmun. – To już pokolenie.

– To prawda. – Malchus pamiętał, jak osłabły w nim płomień nienawiści przed pojawieniem się Hannibala. Teraz, w związku z tym, co się stało z Hanno, nagromadzona energia, złość i żal musiały znaleźć ujście i podsyciły jego nienawiść. – A zatem jeszcze ważniejsze jest to, aby nie zapomnieć.

– To mi nie pomoże. Przemoc nie idzie w parze z przykazaniami Eshmuna – mruknął kapłan. – A ta druga rzecz?

– Przemierzam ulice w pobliżu portu handlowego, słucham, o czym rozmawiają ludzie, i przyglądam się twarzom. – Kapłan popatrzył na niego pytającym wzrokiem, dlatego wyjaśnił. – Szukam jakiejś podpowiedzi. Najmniejszej wskazówki, czegokolwiek, co mogłoby mi pomóc w zrozumieniu tego, co stało się z Hanno i Sunim.

Bodesmuna to, co usłyszał, wprawiło w zdumienie.

– Przecież wiemy, co się stało! Starzec nam wszystko powiedział.

– No tak... – mruknął Malchus, zawstydzony, że musiał wyjawić swój najgłębiej skrywany sekret. Wydał fortunę w świątyni Melkarta zwanego Królem Miasta, prosząc boga tylko o jedno: aby zaopiekował się chłopcami i zadbał o to, żeby ich łódź nie zatoniła. Oczywiście nie otrzymał żadnego znaku, ale nie porzucił nadziei. – Istnieje jeszcze mała szansa, że przeżyli sztorm. Że ktoś ich odnalazł.

Bodesmun otworzył szeroko oczy z niedowierzania.

– Niebezpiecznie jest wierzyć, że ktoś może być obdarzony aż taką łaską bogów. Strzeż się grzechu pychy.

Malchus zdawkowo skinął głową.

– A ty jak sobie radzisz?

Bodesmun spojrział w niebo.

– Modlę się do mojego boga. Proszę go, aby zaopiekował się nimi w raj.

Malchus miał dość. Takie słowa świadczyły, że Bodesmun był przekonany o śmierci chłopców, czego Malchus mimo wszystko nie chciał zaakceptować.

– Muszę już iść – powiedział cicho. Ruszył w dalszą drogę, nie oglądając się na kapłana.

Szybko znalazł się na agorze. Zaklął pod nosem, widząc zgromadzonych tam wielu znajomych senatorów i polityków. Zapomniał, że tego dnia rano miała odbyć się ważna debata. Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien zmienić plany i zostać. Zdecydował, że nic się nie stanie, jeśli z niej zrezygnuje. Większość przedstawicieli senatu obstawała teraz twardo przy strategii Hannibala, a jakakolwiek zmiana w tej kwestii w dającej się przewidzieć przyszłości wydawała się mało prawdopodobna. Hannibal postarał się nie tylko o odbudowanie kartagińskiej dumy poprzez podporządkowanie sobie plemion iberyjskich i zastraszenie Saguntum, rzymskiego sojusznika, ale i pomógł stolicy, do której trafiały wielkie bogactwa z całego regionu. Mimo że nie obnosił się ze swoimi dalszymi planami, tylko kilku starszych nie domyślało się, co się święci.

Malchus skrzywił się, zauważywszy Hostusa. Był to jeden z tych polityków, którzy spodziewali się wojny z Rzymem, i zawsze opowiadał się przeciwko niej. *Glupiec. Gdy sytuacja Kartaginy się poprawiła i odzyskałiśmy naszą dumę, konflikt z Rzymem stał się nieunikniony.* Ostatni zatarg, który doprowadził do zajęcia Sardynii przez republikę, został przyjęty jako kolejne upokorzenie i stał się podstawowym argumentem przemawiającym za negatywną oceną polityki Rzymu. W ostatnich latach republika wielokrotnie pokazywała, że za nic ma Kartagińczyków. Dzięki licznym emisariuszom wysyłanym do Iberii, która znajdowała się poza obszarem wpływów Rzymu, republice udało się nawiązać sojusz z Saguntum, grecką kolonią leżącą wiele setek mil od Italii. Potem Rzym bezczelnie narzucił Kartaginie jednostronny traktat, na mocy którego zabraniał jej przesuwania granic swojego terytorium na północ, w kierunku Galii.

Zamyślony Malchus nie zauważył, że Hostus go rozpoznał. Gdy tęgi, pewny siebie senator kierował się w jego stronę, było już za późno na uniknięcie spotkania. Malchus przywitał Hostusa zdawkowym skinieniem głowy, żałując swojej decyzji o obraniu krótszej drogi do portu.

Hostus nie zamierzał jednak na tym poprzestać. Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Nie wybierasz się na debatę, Malchusie?

– Nie – krótko odpowiedział Malchus, próbując wyminąć Hostusa. Ten jednak przesunął się błyskawicznie, mimo swojej tuszy, tak aby zablokować drogę.

– Zauważyliśmy, że ostatnio rzadko pokazujesz się na sali debat. Brakowało nam twoich cennych rad.

Te słowa zatrzymały Malchusa. Hostusa nie obeszłoby nawet to, gdyby rozstał się z tym światem, nie mówiąc o tym, czy jest obecny na posiedzeniach starszych miasta. Wbił w niego twarde spojrzenie.

– Czego chcesz?

– Wiem, że ostatnio miałeś na głowie ważniejsze sprawy niż Kartagina. – Hostus uśmiechnął się chytrze półgębkiem. – Sprawy rodzinne...

Malchus już teraz miał ochotę dusić swojego rozmówcę tak długo, aż wypłynęłyby mu gałki oczne, ale wiedział, że Hostus na razie tylko zarzuca na niego przynętę. Nie dał się podejść.

– Oczywiście ty zawsze robisz wszystko dla Kartaginy – odciął się. – Nigdy po to, aby zarobić na srebrze z iberyjskich kopalni.

Czerwone, puciołowate policzki Hostusa przybrały ciemniejszą barwę.

– Miasto nie ma bardziej lojalnego sługi ode mnie – odpowiedział oburzony.

Malchus miał dość. Próbował precyzyjnie się obok swojego rozmówcy bez słowa.

Ten jednak nie dawał za wygraną.

– Jeśli zmęczysz się wizytami w świątyni Melkarta, zawsze możesz odwiedzić tophet Baala Hammona.

Malchus odwrócił się i spojrział na niego.

– Coś powiedział?

– Słyszałeś. – Uśmiech Hostusa przeszedł w kwaśny grymas. – Teraz możesz ofiarować tylko zwierzę... ale w slumsach znajdzie się wielu gotowych sprzedać za garść monet noworodka lub małe dziecko. – Uwadze Hostusa nie uszedł fakt, że Malchus zatrzęsł się z oburzenia. Spojrzał na niego z wyższością. – Takie ofiary ocaliły już wcześniej Kartaginę. Może odpowiedni dar zadowoliłby Baala Hammona i przekonałby go do zwrócenia ci syna?

Jadowity ton drwiny w głosie Hostusa dotknął go do żywego, ale Malchus jak mało kto wiedział, że najlepszą formą obrony jest atak. Nie zamierzał dać mu satysfakcji.

– Hanno nie żyje... – syknął. – Wie to każdy głupiec. – Hostus aż się wzdrygnął, gdy Malchus wbił palec wskazujący w jego pierś. – W przeciwieństwie do ciebie ja nie potrafiłbym zabić czyjegoś dziecka, żeby prosić o coś boga. Nigdy też nie mógłbym ofiarować swojego. Nie tak jak inni. Taka ofiara jest barbarzyństwem. Nie przystoi nikomu, kto naprawdę kocha Kartaginę i gotów jest oddać za nią życie.

Odwrócił się i odszedł, zostawiając Hostusa z rozdziawionymi ustami.

Zwyczajowa eskapada w okolice portu nie przyniosła tego ranka żadnego przełomu. Nowe informacje nie zawierały więcej wskazówek, niż się spodziewał. Podszuchiwał rozmowy o warunkach pogodowych na morzu między Kartaginą a Sycylią, poznał najlepsze miejsce na złożenie ofiary Skylli, a także przysłuchiwał się dyskusji na temat tego, który z lupanarów w mieście jest najlepszy. Obserwował swoiste tańce kapitanów różnych jednostek, którzy zwykle starali się zdobyć jak najwięcej istotnych informacji, nie zdradzając przy tym własnych sekretów. Pijani marynarze śpiewali głośno sprośne piosenki, wracając na swoje statki. Na progach wielu domów siedziały kobiety, gospodynie domowe z kołowrotkami, dziwki jednak pochowały się już, zapewne odsypiając pracowitą noc. Nad dachami kilku pobliskich warsztatów garncarskich wznosiły się dymy z kominów. Otwarte od strony ulicy liczne tawerny o tej porze dnia były jeszcze pustawe, czego nie dało się powiedzieć o obleganych stoiskach ze świeżym chlebem. Malchus zatrzymał się przy takim straganie, aby kupić bochenek, dzięki czemu nawiązał znajomość z inwalidą wojennym, weteranem walk na Sycylii. Zapłacił mu kilka monet za wieści, które mogłyby go zaciekawić. Na razie jednak mężczyzna nie powiedział mu niczego ciekawego.

Malchus zdecydował się też zapłacić za chleb dla weterana. Zadbanie o dobre samopoczucie biedaka niewiele go kosztowało. Hostus nigdy by tego nie zrozumiał. Teraz przemierzali ulicę, ignorując małe dzieci żebrzące o skórki. Malchus najpierw patrzył, jak mężczyzna błyskawicznie połyka swój chleb, po czym bez słowa oddał mu także własny bochenek. Ten też szybko zniknął w ustach weterana. Przyglądając się pooranej zmarszczkami, zmęczonej twarzy mężczyzny, zastanawiał się, czy kiedykolwiek miał żonę. Rodzinę? Czy kiedyś jakaś kanalia podobna do Hostusa złożyła mu propozycję poświęcenia bogom jednego ze swoich dzieci? To nie były przyjemne myśli. Malchus cieszył się, że te przerażające praktyki, które dawniej zdarzały się w tophecie, nie miały już zbyt wielu zwolenników w Kartaginie.

– Dziękuję – wymamrotał weteran, ocierając usta.

Malchus skinął głową. Cekał. Bardziej z przyzwyczajenia niż dlatego, że naprawdę spodziewał się jakichś sensacji.

Weteran kaszlnął niepewnie, jakby zakłopotany, po czym podrapał się po czerwonej, błyszczącej bliźnie na kikucie prawej nogi.

– Widziałem wczoraj wieczorem coś dziwnego. Może to nic takiego, ale...

Malchus zeszywniał.

– Mów.

– Tam dalej, w dokach, stoi birema, której nigdy wcześniej tu nie widziałem – przerwał na chwilę. – To jeszcze nic nie znaczy, ale moim zdaniem załoga tego okrętu jest jakby... Są zbyt nieokrzesani jak na zwykłych kupców. Chodzi o to, że starają się trochę za bardzo, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Tak jakoś za głośno, na pokaz, chwalili się swoimi towarami i pieniędzmi, które chcieliby zarobić.

Serce Malchusa zaczęło bić szybciej.

– Możesz pokazać mi ten statek?

– Lepiej. Dziś rano widziałem kapitana i kilku ludzi z jego załogi. W tawernie. Może ze cztery ulice stąd. Tylko że... to nie jest zbyt ciekawe miejsce. – Weteran się zawahał. Najwyraźniej było mu chyba trochę niezręcznie o tym mówić.

*Nawet najbiedniejsi przedstawiciele nizin społecznych mają swoją dumę* – pomyślał Malchus.

– Zostaniesz dobrze nagrodzony.

Weteran uśmiechnął się i złapał swoją prowizoryczną kulę. Zebrał się w sobie i z wielką energią, kuśtykając, ruszył w dół ulicy.

Malchus szedł tuż za nim.

Faktycznie szybko dotarli na miejsce. Tawerna – niska ceglana konstrukcja z ławami z nieociosanego drewna i stołami na zewnątrz, pod chmurką – naprawdę robiła kiepskie wrażenie. Co ciekawe jednak, mimo wczesnej pory pękała w szwach. W spelunie było mnóstwo żeglarzy, kupców i różnych typów spod ciemnej gwiazdy, przedstawiciele chyba każdej nacji pod słońcem. Obsiedli zydle i ławki. Pili do siebie, ramię przy ramieniu, unosząc raz za razem gliniane kubki, od czasu do czasu zrywając się do śpiewu. prostytutki o mocno umalowanych twarzach siedziały na kolanach mężczyzn, szepcząc im coś do ucha, a także nagabywały klientów, aby zarobić parę miedziaków. Na podłodze posypanej trocinami, wśród kawałków rozbitej błyszczącej ceramiki, chude kundły walczyły o jakieś nieogryzione dokładnie kości. Malchus poczuł, że od zapachu taniego wina i moczu żołądek podchodzi mu do gardła. Niemniej trzymał się weterana, któremu udało się znaleźć jakieś wolne miejsca przy stole. Usiedli. Żaden z nich nie próbował od razu rozglądać się po tym przybytku. Usiłowali na razie przez dłuższy czas skupić na sobie uwagę gospodarza tawerny lub jego pomocnicy, ostrej w obejściu kobiety w mocno wydekoltowanej sukni.

Trwało to trochę, ale w końcu im się udało. Przy ich stole pojawił się właściciel z czerwonym szklwionym dzbankiem i dwoma kubkami. Przyglądał się obu przez chwilę, uznając ich zapewne za dość dziwną parę, ale szybko przywołał go ktoś inny i nie zdążył zdecydować, co ma o nich myśleć. Weteran rozlał wino do kubków i jeden podał Malchusowi.

Ten upił łyczek, po czym skrzywił się z obrzydzeniem.

– To gorsze niż końskie szczyny!

Weteran pociągnął spory haust i tylko wzruszył ramionami.

– Mnie tam smakuje...

Zamilkli, dając sobie czas na wsłuchanie się w panujący gwar.

– Są za mną... – wyszeptał w pewnej chwili weteran. – Czterech mężczyzn. Jeden wygląda na Egipcjanina. Ten drugi to najbrzydsze pod słońcem indywiduum, jakie rzadko się widzi, z bliznami na całej gębie. Dwaj pozostali mogą być Grekami. Widzisz ich, panie?

Malchus niby od niechcienia spojrzął ponad ramieniem rozmówcy. Przy następnym stole zobaczył chudego mężczyznę o bladej karnacji i czarnych włosach, siedzącego obok innego, pękatego niczym beczka, z poznaczoną bliznami twarzą, która wyglądała niczym kawał z grubsza tylko ociosanego granitu. Ich dwaj towarzysze siedzieli odwróceny plecami do

Malchusa, ale po ciemnej karnacji i kruczoczarnych włosach wnioskował, że weteran może mieć rację. Ubrani w żółtobrunatne i szare wełniane tuniki, ze sztyletami za pasem, niewiele różnili się od pozostałych gości tej speluny. A jednak coś było nie tak. Malchus obserwował ich uważnie kątem oka. Na twarzach całej czwórki widział ślad okrucieństwa, ostre rysy zdradzały upodobanie do przemocy. To nie były twarze kupców.

Malchus skupił się na dochodzących do jego uszu dźwiękach i po chwili potrafił już rozpoznawać głosy czwórki podejrzanych mężczyzn. Rozmawiali po grecku, co akurat nie było niczym niezwykłym w tej sytuacji – załogi często składały się z marynarzy o różnym pochodzeniu. Greka była językiem powszechnie stosowanym przez ludzi morza.

– Dobrze tak zawinąć do dużego portu – odezwał się jeden z mężczyzn zwróconych plecami do Malchusa – a nie do jakiejś wszawej dziury, gdzie zwykle rzucamy kotwicę. Przynajmniej tu mamy jakiś wybór tawern.

– I możemy przebierać w burdelach z całkiem znośnymi kobietami – zgadzał się z nim siedzący obok towarzysz.

– Lub chłopcami – dodał mężczyzna z bliźniami, uśmiechając się lubieżnie.

Egipcjanin nieprzyjemnie zarechotał.

– Nigdy się nie zmienisz, co Varsaco?

Zapytany prychnął. Lekko ściszył głos.

– Chcę po prostu poużywać sobie na jakimś kartagińskim zadku.

Egipcjanin ostrzegawczo pomachał mu palcem przed nosem.

Jeden z ich towarzyszy parsknął kpiąco, a Varsaco spojrział na niego wilkiem.

– Jesteś pamiętliwy. To ma być zemsta za tamtego, który ci się wywinął?

– Uważaj na słowa – warknął Egipcjanin. Malchus słusznie podejrzewał, że to właśnie on jest liderem grupy. Przez chwilę mężczyźni siedzieli w milczeniu, a potem Varsaco i Egipcjanin przysunęli się do siebie i zaczęli szeptać, rzucając często spojrzenia w kierunku innych stołów.

Malchus od razu spuścił wzrok. Zastanawiał się nad tym, co usłyszał i co już zdążył zaobserwować. Ci ludzie niezbyt często pojawiali się w większych miastach. Rzeczywiście wyglądali na twardszych niż zwykli kupcy. Weteran twierdził, że podobne wrażenie robiła cała załoga jednostki. Najwyraźniej niedawno na pokładzie ich okrętu znajdował się jakiś Kartagińczyk. Członek załogi. A może raczej więzień? W jego głowie zaczęły rozbrzmiewać ostrzegawcze dzwonki. Nie czuł się tak od czasu zniknięcia Hanno. Może nie miał pewności, zaledwie jakieś przeczucie, ale gotów był mu zaufać. Wysupłał z mieszka monetę i przesunął ją po stole palcem. Widział, że oczy weterana robią się wielkie jak spodki.

– Zostań tutaj – wyszeptał. – Jeśli wyjdą, zanim wrócę, pójdziesz za nimi. Wyślesz do mnie jakiegoś chłopaka z ulicy z wiadomością, gdzie się udali.

– A dokąd się wybierasz, panie?

Malchus uśmiechnął się złowieszczo.

– Po małą pomoc...

Malchus udał się prosto do dowódcy Sapho. Cieszył się w armii tak wielkim szacunkiem, że oficer dowodzący wychodził z siebie, by mu pomóc. Od razu oddał do dyspozycji Malchusa kilkunastu libijskich włóczników, którzy choć nie wiedzieli, z jaką misją wysłała się ich do miasta, cieszyli się na myśl, że unikną trudnej musztry.

Gdy Malchus pojawił się w koszarach, Sapho spał, ale wystarczyła wzmianka o Hanno, żeby jak oparzony wyskoczył z łóżka. Podczas gdy Bostar walczył z poczuciem winy, że nie wymusił na Hanno i Suniatonie zmiany planów, Sapho męczyła świadomość, że powinien był sprzeciwić się bratu. Głęboko w sercu Sapho ukrywał jednak inny, ciemny sekret – poczucie, że jakaś jego część wręcz cieszyła się ze zniknięcia Hanno. Jego młodszy brat nigdy przecież nie

robił tego, czego chciał od niego Malchus, podczas gdy on, Sapho, starał się ze wszystkich sił zasłużyć na uznanie ojca, całkowicie się mu podporządkowując. A mimo to właśnie Hanno sprawiał, że w oczach ich ojca pojawiał się błysk dumy i zadowolenia. Oczywiście Bostar nie znał mrocznych myśli zaprzatających głowę Sapho. Starsi bracia i bez tego nie mogli dojść do porozumienia w kwestii odpowiedzialności za decyzje z tamtego feralnego poranka i ich konsekwencje. Wkrótce ich konflikt stał się na tyle poważny, że właściwie przestali ze sobą rozmawiać. Problem rozwiązał się sam wraz z rozkazem wyjazdu do Iberii dla Bostara. Wieści, które przyniósł Malchus sprawiły, że ledwo zabliźniona rana w sercu Sapho znów się otworzyła. Zakładał długą tunikę i brązowy napierśnik z odwzorowaną muskulaturą, tracki hełm i nagolenniki, zasypując ojca pytaniami. Na większość z nich Malchus nie znał odpowiedzi.

– Im szybciej znajdziemy się na miejscu, tym szybciej się czegoś dowiemy.

Nie minęło pół godziny, a Malchus pojawił się z powrotem pod tawerną w towarzystwie Sapho i oddziału włóczników. Libijczycy nosili proste, stożkowe hełmy z brązu, a każdy z nich ubrany był w czerwoną, długą do kolan tunikę i uzbrojony w krótką włócznię do walki wręcz.

Malchus odetchnął z ulgą, widząc, że weteran i czterej mężczyźni, których obserwowali, nie opuścili tawerny i wciąż siedzą przy stole. Grecy drzemali, opierając głowy na rękach. Varsaco dyskutował o czymś z Egipcjaninem, ale gdy Malchus i jego towarzysze zatrzymali się przed tawerną, obaj odwrócili głowy w ich stronę. Na ich twarzach pojawił się grymas niepewności, ale nie wykonali żadnych gwałtownych ruchów.

– Gdzie oni są? – dopytywał się Sapho.

Nie było już powodu, aby zachowywać ostrożność. Malchus wskazał Sapho podejrzanych. Z zadowoleniem stwierdził, że Egipcjanin i Varsaco skoczyli na równe nogi i gotowi byli do ucieczki.

– Złapać ich! – wykrzyknął.

Żołnierze natychmiast rozsypali się w tyralierę i otoczyli szemraną dwójkę. Ze wszystkich stron kierowane były w nich teraz ostre groty włóczni. Ich pogrążonych w pijackim śnie towarzyszy obudzono kopniakami, a potem wyciągnięto zza stołu. Całą czwórkę dokładnie obszukano i pozbawiono broni. Malchus ignorował zaciekawione spojrzenia klientów tawerny. Zbliżył się do więźniów. Libijczycy rozstąpili się, aby mógł swobodnie przejść.

– O co tu chodzi? – Egipcjanin mówił płynnie po kartagińsku. – Nie zrobiliśmy nic złego.

– To ja o tym zdecyduję – odparł Malchus. Kiwnął głową w kierunku Sapho, że czas się zbierać.

– Wracamy do koszar – wydał rozkaz jego syn. – Biegiem marsz!

Weteran śledził w osłupieniu przebieg wypadków. Patrzył na oddalających się, dobrze pilnowanych więźniów, gdy jego uwagę zwrócił metaliczny brzęk. Na stole przed nim leżały cztery złote monety, których awers zdobiła głowa Hannibala Barkasa.

– Po jednej za każdego z tych skurwysynów – wyjaśnił Malchus. – Jeśli okaże się, że wiesz coś na interesujący mnie temat, dostaniesz drugie tyle. – Weteran zaczął się jękać, dziękując, ale Malchus już go nie słuchał. Ruszył za Sapho i żołnierzami.

Miał pilną sprawę do załatwienia.

Dotarcie do koszar Libijczyków na wschód od agory nie zajęło im wiele czasu. Jednostka zajmowała pomieszczenia na dwóch poziomach długich murów skierowanych ku morzu. Z koszar można było dostać się bezpośrednio do żołnierskiej kantyny i łaźni. Pokoje oficerów znajdowały się między zbrojownią a pomieszczeniami administracyjnymi i izbami kwatermistrzów. Jak w każdej tego typu budowli, nie mogło tu również zabraknąć kwater pełniących funkcje aresztów i więzień. Sapho od razu skierował się właśnie ku celom więziennym. Przywitał się z zaprzyjaźnionymi oficerami straży, po czym nakazał całej kolumnie



skierować się do dużego pomieszczenia z prostą kamienną podłogą. Było puste, jeśli nie liczyć łańcuchów zwisających pod umieszczonymi w ścianie żelaznymi obręczami, kosza grzewczego z rozpalonym ogniem i szerokiego stołu, na którym leżał stos różnych śmiercionośnych instrumentów i narzędzi tortur.

Kiedy ostatni włócznie znalazł się w środku, Sapho zatrzasnęła drzwi i zasunęła rygiel.

– Związać ich! – rozkazał Malchus. Włócznie, jak na ćwiczeniach, odłożyli broń w tym samym czasie i zajęli się unieruchomieniem więźniów w kajdanach. Ci szarpali się wprawdzie, ale nie mieli żadnych szans na skuteczny opór. Wkrótce stali skrępowani jeden obok drugiego pod ścianą. Grecy od razu zalali się łzami. Malchus widział w ich oczach przerażenie. Varsaco i Egipcjanin trzymali fason, robiąc dobrą minę do złej gry. Udawali, że zachowują spokój, nie przerywając przy tym litanii pytań i wyrzutów. Malchus ignorował ich, przyglądając się narzędziom tortur tak długo, aż wreszcie zapadła cisza.

– Co robicie w Kartaginie?

– Jesteśmy kupcami – wymamrotał Egipcjanin. – Uczciwymi ludźmi.

– Och! Naprawdę? – odezwał się lekkim głosem, niemal przyjaźnie, Malchus.

– Tak! – Egipcjanin wyglądał na zdeorientowanego.

Malchus przyglądał się kolejno twarzom towarzyszy Egipcjanina. Potem spojrzał na Sapho.

– Jak ci się wydaje?

– Myślę, że kłamie.

– Ja też. – Malchus czuł, że intuicja go nie zawodzi. To na pewno nie byli kupcy. Niezmiennie żywił nadzieję, że mają informacje na temat Hanno. Malchus musiał wydusić z nich wszystko, co wiedzieli. Szybko. Jak to robi, nie miało większego znaczenia. Wskazał jednego z Greków.

– Połamcie mu ręce i nogi.

Sapho zacisnęła zęby i sam chwycił ciężki młot. Podszedł do mężczyzny, którego wybrał Malchus. Nieszczęśnik jęczał ze strachu. Sapho uderzał metodycznie, w milczeniu. Najpierw zajął się rękoma, a potem roztrzaskał kości nóg ofiary, która skrępowana łańcuchami nie mogła nawet zmienić pozycji przy ścianie. Krzyki Greka wkrótce przeszły w cienki pisk, który wibrował w powietrzu.

Minęło sporo czasu, nim biedak się uspokoił. Malchus czekał cierpliwie.

– Zadam teraz inne pytanie – powiedział zimno. – Kim był ten Kartagińczyk, o którym wcześniej rozmawialiście?

Egipcjanin rzucił Varsaco spojrzenie pełne wyrzutu.

Malchus czuł, jak krew w jego żyłach zaczyna krążyć szybciej. Czekał, ale nikt nie udzielił mu odpowiedzi.

– No więc?

– Nikt ważny. Jeden z naszej załogi. – Varsaco mówił lęklwym, niepewnym głosem. – Nie podobały mu się moje awanse, to zdezerterował w jakiejś dziurze na wybrzeżu Numidii.

Malchus spojrzał na syna.

– Ciągłe kłamie... – stwierdził ochryłym głosem Sapho.

– Kiedy to prawda! – zaprotestował Varsaco. Spojrzał na Egipcjanina. – Sam powiedz.

– Było, jak mówi. – Egipcjanin zaśmiał się nerwowo. – Chłopak uciekł.

– Dlaczego bierzesz mnie za totalnego głupca? Ukrywacie o wiele więcej... – warknął Malchus. Wskazał ruchem głowy na Varsaco. – Odetnijcie mu jądra.

Sapho odłożył młot i chwycił długi, zakrzywiony sztylet.

– Nie!!! Proszę... – błagał o łaskę Varsaco.

Sapho z kamienną twarzą odpiął pas Varsaco i rzucił go na podłogę. Potem przeciął tunikę, odsłaniając bieliznę. Włożył ostrze pod tkaninę po każdej stronie pachwiny, wykonując dwa cięcia z góry na dół. Materiał opadł na podłogę, sprawiając, że marynarz był teraz nagi od pasa w dół. Bełkotał ze strachu.

– Było ich dwóch – udało mu się wreszcie powiedzieć coś z sensem. Wił się to w jedną, to w drugą stronę. – Dryfowali w pobliżu Sycylii.

– Zamknij się, głupcze! – zaczął krzyczeć wściekły Egipcjanin. – Tylko pogarszasz sprawę.

Varsaco jakby nie słyszał tych ostrzeżeń. Po jego policzkach spływały łzy.

– Wszystko opowiem – powiedział cicho.

Sapho przez chwilę poczuł się naprawdę winny. Odetchnął głęboko i obejrzał się przez ramię.

Malchus skinął na syna, aby ten się odsunął. Miał wrażenie, że jego krew zamienia się we wrzącą lawę, a ściany zbliżają się do niego, chcąc go zamknąć w pułapce i zadusić. W uszach czuł pulsowanie.

– Gadaj!

Varsaco pokiwał głową z nową energią.

– Kilka tygodni temu złapał nas sztorm. Nie zdążyliśmy dobić do brzegu. Mało brakowało, a nasza birema poszłaby na dno. Na szczęście przetrwaliśmy dzięki łasce bogów. Następnego dnia natknęliśmy się na małą łódź wiosłową z dwoma młodzieńcami.

Sapho skoczył do Varsaco, przyciskając mu szyję do gardła.

– Skąd byli? Jak się nazywali?

– Pochodzili z Kartaginy. – W oczach Varsaco zamigotały płomyki, niczym u złapanego w matnię szczura. – Nie pamiętam ich imion.

– Jak wyglądali? – zapytał cicho Malchus, który był teraz oazą spokoju.

– Jeden wysoki. Dobrze zbudowany. Drugi niższy. Obaj mieli ciemne włosy. – Varsaco pomyślał przez chwilę. – I zielone oczy.

– Hanno i Suniaton! – Sapho wykrzywił się w grymasie udręki. Mimo że zniknięcie Hanno przyniosło mu w jakimś sensie ulgę, teraz nie mógł znieść strasznej prawdy.

Malchus nagle poczuł fizyczne zmęczenie.

– Co z nimi zrobiliście?

Twarz Varsaco poszarzała.

– Naturalnie mieliśmy dostarczyć ich do Kartaginy – zająknął się – ale po burzy nasz statek zaczął przeciekać. Musieliśmy skierować się do najbliższego portu. Na Sycylii. Oni wysiedli... To była Heraklea. Tak mi się wydaje... – Spojrzał na Egipcjanina, który przytaknął.

– Tak, Heraklea.

– Rozumiem – odezwał się lodowatym głosem Malchus. – Jeśli tak się stało, dlaczego nie wrócili? W porcie na południowym wybrzeżu Sycylii bez problemu znaleźliby jakiś statek zmierzający do Kartaginy.

– Kto to wie? Wszyscy młodzi, którzy wyrrywają się na wolność, są tacy sami. Interesują ich tylko wino i kobiety. – Varsaco wzruszył z lekceważeniem ramionami, starając się okazać pewność siebie.

– Wyrwali się na wolność?! Mówisz tak, jakby sami chcieli znaleźć się na pełnym morzu w jakiejś łupince. Twierdzisz, że to nie ma żadnego związku? Jeśli wy wypuściliście ich w Heraklei, to ja nazywam się Aleksander Macedoński. – Malchus spojrział na Sapho. – Wykastruj go!

Sapho zrobił krok do przodu, opuszczając rękę z nożem.

– Tylko nie to! Proszę, nie! – pisnął Varsaco. – Powiem prawdę!

Malchus uniósł rękę, żeby powstrzymać Sapho.

– Pewnie już wiesz, że ty i reszta z was, szczury, jesteście właściwie martwi. Sami wydaliście na siebie wyrok. – Przerwał na chwilę, żeby dać więźniom czas na uświadomienie sobie sytuacji, w jakiej się znaleźli. – Powiedźcie, co naprawdę zrobiliście z moim synem i jego przyjacielem, a pozwolę wam zachować męską godność. Będziecie mogli liczyć też na szybką śmierć.

Varsaco pokiwał posępnie głową, jakby godząc się na swój los.

– Sprzedaliśmy ich na targu niewolników – wyszeptał. – W Neapolis. Kapitan mówił, że dostaliśmy za nich świetną cenę. Dlatego skierowaliśmy się do Kartaginy. Żeby porwać kogoś, kogo dałoby się sprzedać za podobne pieniądze.

Malchus odetchnął głęboko. Jego podejrzenia się potwierdziły.

– Komu ich sprzedaliście?

– Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Zajmował się tym kapitan. – Spojrzał na Egipcjanina, który splunął z pogardą na podłogę.

– Więc ty jesteś odpowiedzialny za te okropności, o których tu słyszymy? – Malchus zwrócił się do mężczyzny, którego słusznie uznał za lidera. Znów poczuł, że zbiera w nim furia. – To jego jądra wytnijcie! – ryknął.

Sapho szybko pozbawił Egipcjanina odzienia. Chwycił mosznę i pociągnął w dół, aby naciągnąć skórę. Potem spojrzał po raz ostatni na Malchusa, który skinął głową.

– To za mojego brata – wysyczał zza zaciśniętych zębów, dociskając ostrze sztyletu. Modlił się, aby ten czyn stał się zadośćuczynieniem, które zmniejszy jego poczucie winy.

– Varsaco zamierzał go zgwałcić – krzyknął Egipcjanin. – To ja go powstrzymałem!

– Jakże szlachetnie z twojej strony – warknął Malchus. – Nie miałeś jednak później żadnego problemu ze sprzedażem chłopaków, prawda? Kto ich kupił?

– Jakiś Rzymianin. Nie znam imienia. Zamierzał zabrać ich do Kapui. I odsprzedać, bo uznał ich za dobry materiał na gladiatorów. Naprawdę nic więcej nie wiem. – Egipcjanin rzucał niespokojne spojrzenia to na Sapho, to na Malchusa, ale w ich oczach dostrzegał tylko bezgraniczną nienawiść. – Obiecacie mi szybką śmierć jak Varsaco – błagał.

– Spodziewasz się, że dotrzymam słowa, wiedząc, co zrobiłeś z dwójką niewinnych, młodych chłopców? Ci, którzy wybierają drogę piractwa, zasługują na najgorszą karę. – Malchus mówił z pogardą. Zwrócił się do żołnierzy. – Sami słyszeliście, co te kanalie zrobiły z moim synem i jego przyjacielem.

Z ust Libijczyków wydostał się gniewny pomruk. Jeden z nich wystąpił krok do przodu.

– Co mamy z nimi zrobić, panie?

Malchus przyglądał się dłuższą chwilę całej czwórce, przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

– Wykastrujcie ich wszystkich, ale wypalcie rany, żeby się za szybko nie wykrwawili. Potem połamcie im ręce i nogi, a następnie ukrzyżujcie. Kiedy z nimi skończycie, znajdźcie resztę załogi tej pirackiej biremy i zróbcie z nią to samo.

– Tak jest! – Wszyscy włócznicy zaszalowali jak jeden mąż, nie zważając na pełne przerażenia protesty więźniów.

Malchus i Sapho chcieli osobiście dopilnować wykonania rozkazów. Na ich twarzach nie drgnął nawet jeden mięsień. Żołnierze podzielili się na trzyosobowe grupy. Każda z nich zajęła się jednym więźniem. Światło pochodni błyskało na obnażonych klingach. Krzyki ofiar wkrótce stały się tak głośne, że zagłuszały wszystkie inne odgłosy, ale żołnierze nie przerwali swojej makabrycznej pracy nawet na jeden oddech. Krew spływała strumykami z ran w pachwinach

i zbierała się w klejące kałuże na nierównościach podłogi. Gdy włócznicy zaczęli używać rozpalonych do czerwoności prętów, aby zasklepić rany, w powietrzu zaczął się unosić odór przypalanego mięsa. Ból spowodowany kastracją i zabliznianiem ran żywym ogniem był tak wielki, że wszyscy piraci stracili przytomność. Nie na długo. Chwilę później bowiem kolejne fale bólu wywołane rozbijaniem kończyn wielkimi młotami wyrwały ich z mgły nieświadomości. Regularne głuchoe uderzenia mieszały się z jękami, przeistaczając się w nową, przerażającą kakofonię makabrycznych dźwięków męczarni.

Malchus pochylił się do ucha Sapho.

– Widziałem już dość. Chodźmy.

Nawet w korytarzu na zewnątrz, za zamkniętymi drzwiami, krzyki ciągle utrudniały rozmowę. Ojciec i syn długo patrzyli na siebie w milczeniu. Malchus odezwał się pierwszy.

– Może jeszcze nie wszystko stracone. Może jeszcze żyją. Obaj. – Jego oczy szklily się od zbierających się łez.

W tej chwili Sapho jeszcze bardziej żałował Hanno. Śmierć w odmętach morza to jedno, ale śmierć na arenie... to już zupełnie coś innego. Nie miał złudzeń.

– Nie pożyją długo. W pewnym sensie to miłosierny sposób rozstania się z tym światem. Przynajmniej zginą z bronią w ręku.

Malchus nieświadomy motywów, którymi kierował się Sapho, zacisnął zęby.

– Masz rację. Możemy mieć tylko nadzieję, że umrą z honorem. Tymczasem powinniśmy dołączyć do armii Hannibala Barkasa w Iberii. Odpłacimy się Rzymianom. Pewnego dnia pożoga wojny, zniszczenie, ogień i śmierć dotrą też do Kapui. Wtedy będziemy mogli się zemścić.

Sapho otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Hannibal chce najechać Latynów?

– Tak – odparł Malchus. – Tak wyglądają jego długoterminowe plany. Pokonać wroga na jego własnej ziemi. Jestem jednym z niewielu ludzi, którzy je znają. A ty jesteś kolejnym wtajemniczonym.

– Zachowam tę informację dla siebie – szepnął Sapho. Oczywiście ani on, ani Bostar nie mogli poznać wszystkich tajemnic przekazywanych ojcu przez posłańca Hannibala. Wreszcie zrozumiał znaczenie groźby najechania Kapui. – Nadejdzie dzień zemsty – powiedział cicho, myśląc już o tym, jak wiele będzie miał wspinających okazji, aby udowodnić swoją wartość.

– Powtarzaj za mną – rozkazał Malchus. – Składam tę przysięgę przed Melkartem, Baalem Saphonem i Baalem Hammonem. Ze wszystkich sił będę wspierał Hannibala Barkasa w jego misji. Znajdę Hanno albo umrę, aby go pomścić.

Sapho powoli powtórzył przysięgę.

Zadowolony Malchus skierował się ku wyjściu.

Krzyki, które słyszeli za plecami, jeszcze długo niosły się w noc.

## Rozdział VI



W pobliżu Kapui, Kampania

Hanno włożył się ze spuszczoną głową za mułem Agesandrosa, wdychając pył z drogi wzbijany w powietrze przez idących przed nimi ludzi i zwierzęta. Bezpośrednio przed Sycylińczykiem znajdowała się niesiona przez niewolników lektyka z Atią i Aurelią, a przodem konno jechali Fabrycjusz z Kwintusem. Był to pierwszy poranek jego nowego życia w roli niewolnika Kwintusa. Poprzednią noc Hanno spędził w domu Martialisa, a teraz cała rodzina – jego nowi właściciele – wracała do swojego gospodarstwa rolnego. Dla Hanno znalazło się miejsce w kuchni, w której nocowali również niewolnicy właścicieli rzymskiej willi. Oszołomiony Hanno, który wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że został rozdzielony z Suniatonem, po prostu osunął się w kącie na podłogę i szlochał. Nikt nie próbował go pocieszać, a jedynym dowodem świadczącym o tym, że ktoś go zauważył, była nowa przepaska biodrowa, kubek z wodą i talerz z jedzeniem, które przed nim postawiono. Hanno pamiętał jednak rzucane później w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Niewątpliwie wielu niewolników z tego domu widziało podobne sceny mnóstwo razy: nowy niewolnik, który właśnie zdał sobie sprawę, że jego życie już nigdy nie będzie takie samo, jak dawniej. Prawdopodobnie każdy z obserwujących go teraz przeżywał kiedyś coś podobnego. Na szczęście Hanno w końcu zapadł w sen. Może noc nie przyniosła mu ukojenia i nie obudził się wypoczęty, ale przynajmniej sen, choć niespokojny, stał się dla niego sposobem ucieczki od przykrej rzeczywistości.

Teraz jednak, w chłodnym świetle poranka, musiał się z nią zmierzyć.

A fakty były takie, że należał do ojca Kwintusa, mężczyzny o imieniu Fabrycjusz. Tak jak zapomniał o swojej rodzinie, musiał zapomnieć o Sunim.

Hanno nie zdążył wyrobić sobie jeszcze opinii na temat swojego nowego właściciela. Od czasu pierwszego spotkania i pobieżnego badania po przybyciu do domu Martialisa Fabrycjusz niespecjalnie zwracał na niego uwagę. Przyjął do wiadomości argumenty syna, który stwierdził, że ze względu na jego znajomość języków oraz umiejętność czytania i pisania Kartagińczyk był wart swojej ceny, choć nie była ona mała. Zresztą Kwintus sam zobowiązał się, że pokryje różnicę. Fabrycjusz powiedział wtedy: „To twoja sprawa, jak wydajesz pieniądze”. Hanno uznał, że Fabrycjusz zachowuje się przyzwoicie, podobnie zresztą jak Kwintus. Aurelia? To jeszcze dziecko. Za to Atia, żona Fabrycjusza, wciąż była dla niego wielką niewiadomą. Do tej pory raczyła go jedynie zdawkowymi spojrzeniami, ale Hanno miał nadzieję, że okaże się ludzką panią.

Dziwnie się czuł, myśląc o sobie jako o niewolniku, z jakąś „panią”, i zastanawiał się, jak

będzie traktowany przez ludzi, których przecież od dawna uważał za swoich wrogów! Najbardziej niepokoił go Agesandros. Od samego początku najwyraźniej nie spodobał się Sycylijczykowi. Pocieszał się, że on przynajmniej *może* doszukiwać się jakichś jaśniejszych stron swojej niedoli. To jednak znowu prowadziło do ogromnego poczucia winy, ciągle bowiem nie wiedział, jaki będzie los Suniatona. Hanno mógł tylko prosić wszystkich bogów o łaskę dla przyjaciela. Chciał się za niego wstawić, prosić, aby przynajmniej pozwolili mu umrzeć z honorem.

Usłyszawszy słowo „Saguntum”, Hanno nastawił uszu. To greckie miasto w Iberii sprzymierzone z republiką od miesięcy skupiało na sobie uwagę Hannibala. Północno-wschodnie obszary wybrzeża Iberii miały stać się punktem zapalnym przyszłej wojny z Rzymem.

– Myślałem, że senat uznał, iż nie ma żadnego realnego zagrożenia dla Saguntum? – pytał zdziwiony Kwintus. – Gdy Saguntyńcy zażądali zadośćuczynienia za ataki na ich ziemie, Hannibal po prostu wysłał im odpowiedź na piśmie z pewnymi wplecionymi w tekst niecenzuralnymi słowami.

Hanno ukrył swój ironiczny uśmiezek, który mimowolnie pojawił się na jego ustach. Jeszcze kilka tygodni temu w Kartaginie powtarzano treść tej odpowiedzi i obelgi, jakimi obrzucał Hannibal mieszkańców Saguntum: „Parszywe, zapchlone dzikusy...”. Wszyscy wiedzieli, że było to preludium do ataku na miasto.

– Politycy czasami nie doceniają wodzów – stwierdził Fabrycjusz z ciężkim westchnieniem. – Hannibal nie ograniczył się do rzucania obelg. Najnowsze wieści są takie, że pod Saguntum dotarła wroga armia. Hannibal nakazał wzniesienie pierścienia fortyfikacji wokół miasta. Możemy spodziewać się oblężenia. Najwyraźniej Kartagina w końcu odzyskała siły i znowu staje się niebezpiecznym wrogiem.

Kwintus spojrzał gniewnie w stronę Hanno, który natychmiast spuścił wzrok.

– Nic się nie da zrobić?

– Nie w tym roku – odrzekł Fabrycjusz. – Hannibal nie mógł wybrać lepszego momentu.

Obie armie konsularne są zaangażowane na wschodzie.

– Masz na myśli groźbę ze strony Demetriusza z Faros?

– Tak.

– Czy on do niedawna nie był przypadkiem uważany za naszego sojusznika?

– Był. Parchaty pies uznał, że piractwo jest bardziej opłacalne. Zagraża całej naszej wschodniej flance i wybrzeżom. Zagraża również miastom Ilirii znajdującym się pod ochroną republiki. Do jesieni powinniśmy jednak poradzić sobie z tym problemem. Demetriusz nie ma szans przeciwko czterem legionom i dwa razy większej liczbie *socii*.

– Przegapię tę wojnę... – Kwintus nie potrafił ukryć rozczarowania w głosie.

– Nie bój się. Nic straconego. Doczekasz się kolejnej. – Fabrycjusz uśmiechnął się rozbawiony.

Nie wyglądało na to, aby te słowa w pełni zadowolily Kwintusa.

– W tym czasie Saguntum nie otrzyma żadnej pomocy?

– To nie jest w porządku, wiem. Tylko że frakcja posiadająca większość w senacie zdecydowała, że właśnie tak trzeba uczynić. Reszta musi się podporządkować.

*To tyle, jeśli chodzi o rzymskie fides* – pomyślał Hanno z pogardą.

Ojciec i syn jechali chwilę w milczeniu.

– Co zrobi senat, jeśli Saguntum zostanie zdobyte? – spytał Kwintus.

– Wyobrażam sobie, że będzie domagać się od Kartaginy wycofania wojsk. I przekazania Hannibala do dyspozycji Rzymu.

Zaskoczony Kwintus uniósł brwi.

– Czy coś takiego naprawdę może się zdarzyć?

*Nigdy!* – pomyślał wściekły Hanno.

– Nie sądzę – odparł Fabrycjusz. – Nawet Kartagińczycy mają swoją dumę. Poza tym ich rada starszych musiała zostać uprzedzona, że Hannibal nosi się z zamiarem oblężenia Saguntum. Nie wierzę, że opowiedzieli się po jego stronie tylko po to, żeby potem się z tego wycofać.

Hanno odwrócił się i splunął na drogę tak, żeby nikt tego nie zauważył.

– A żebyście wiedzieli, że nie... – wyszeptał pod nosem.

– A zatem wojna jest nieunikniona! – wykrzyknął Kwintus. – Senat nie pozwoli, aby taka zniewaga nie została ukarana.

Fabrycjusz westchnął.

– Nie, nie pozwoli. Mimo że po części ponosi winę za trudną sytuację, w której znalazł się Rzym. Kontrybucje narzucone Kartaginie pod koniec ostatniej wojny doprowadziły ją do ruiny, ale zajęcie Sardynii wkrótce potem miało jeszcze gorsze konsekwencje. Nie było żadnego uzasadnienia dla takich działań.

Hanno nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Oto Rzymianin wyraził żal w związku z tym, co stało się z jego ludem. *Może jednak nie wszyscy Rzymianie są potworami?* Natychmiast jednak doszła do głosu pielęgnowana nienawiść płynąca prosto z jego trzewi. *To nie zmienia faktu, że są wrogami.*

– Tamten konflikt miał miejsce niemal generację wstecz – powiedział spokojnie Kwintus.

– Teraz to co innego. Nawet jeśli przyjdzie naszym sojusznikom poczekać, Rzym musi ich bronić, zwłaszcza że zostali zaatakowani bez powodu.

Fabrycjusz skinął głową.

– To prawda.

– A zatem wojna z Kartaginą zbliża się wielkimi krokami – powiedział Kwintus. Spojrzał jeszcze raz na Hanno, który jednak, pogrążony w myślach, nawet tego nie zauważył.

– Prawdopodobnie. Może nie w tym roku, ale jest bliska...

– Mógłbym wziąć w niej udział! – krzyknął rozgorączkowany Kwintus. – Muszę tylko najpierw dobrze opanować walkę na miecze.

– Dobrze radzisz sobie z łukiem i włócznią – przyznał Fabrycjusz. Przerwał, świadomy, że Kwintus wsłuchuje się w każde jego słowo. – Rzecz jasna umiejętność fechtunku nie jest wymagana od każdego jeźdźca, ale przypuszczam, że odrobina dodatkowej wiedzy nie zawadzi.

Kwintus uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Dziękuję, ojczu. – Uniósł rękę do ust. – Mamo! Aurelio! Słyszaliście? Mam uczyć się szermierki!

– To rzeczywiście dobra wiadomość. – Głos Atii dochodzący z głębi lektyki wydawał się przytłumiony, ale Kwintus stwierdził, że miał w sobie jakiś smutek.

Aurelia za to uniosła osłonę lektyki i wystawiła głowę na zewnątrz.

– Jak cudownie – powiedziała z wymuszonym uśmiechem. Z jej twarzy można było wyczytać zazdrość.

– Zaczniemy jutro – skomentował Fabrycjusz.

– Doskonale! – Kwintus nie zastanawiał się dłużej nad reakcjami matki i Aurelii. Już wyobrażał sobie, jak razem z Gajuszem pędzą na wierzchowcach po sławę i chwałę. Dla siebie i dla Rzymu.

Hanno miewał się lepiej, mimo że wciąż jeszcze dręczyło go poczucie winy z powodu Suniatona. Chociaż musiał liczyć się z różnymi nieprzyjemnościami ze strony Agesandrosa, wiedział przynajmniej, że nie zginie na arenie. I chociaż nie będzie mu dane uczestniczyć w kolejnej wojnie z Rzymem, dowiedział się, że Kartagina dąży do konfrontacji, a Hannibal

Barkas ma poprowadzić armię do zwycięstwa. Człowiek, którego jego ojciec uważał za najlepszego przywódcę w historii.

Po raz pierwszy od długiego czasu w sercu Hanno pojawiła się isierka nadziei.

Któregoś letniego poranka do Bostara dotarła wiadomość, że do portu właśnie zawinął okręt, którym podróżowali Malchus i Sapho. Krzyknął z radości na tę wieść. Przemierzając w pośpiechu ulice Nowej Kartaginy, miasta założonego przez Hasdrubala dziewięć lat wcześniej, nie przestawał się uśmiechać na myśl o rychłym spotkaniu z ojcem i bratem. Gdy jego uwagę przyciągnęła kopuła świątyni Eskulapa, która stała na wielkim wzgórzu na wschód od murów, Bostar szybko zmówił modlitwę, dziękując bogu medycyny i jego wyznawcom. Gdyby nie rana ręki, którą odniósł podczas jednego z bardziej intensywnych treningów z użyciem prawdziwej broni, byłby teraz z resztą armii pod Saguntum. Tymczasem na wyraźne polecenie Alete, swojego dowódcy, Bostar został w mieście. Usłyszał wtedy: „Widziałem zbyt wiele podobnych ran, które zaogniły się, gdy wdało się zakażenie. Zostaniesz w koszarach pod opieką kapłanów. Dołączysz do nas, gdy odzyskasz siły. Saguntum nie padnie ani jutro, ani za miesiąc”. Wtedy Bostar nie był zbyt szczęśliwy. Teraz jednak nie posiadał się z radości.

Dotarcie do portu nie zajęło mu wiele czasu. Morze w zatoce było spokojne. Miejsce na port wybrano wręcz idealnie – w naturalnej, zamkniętej zatoce, na wzniesieniu oddalonym nieco od morza, a mimo to otoczonym niemal ze wszystkich stron wodą. Zatoka zabezpieczała miasto od wschodu i południa, a od północy i zachodu Nową Kartaginę osłaniała wielka laguna ze słoną wodą. Jedyne połączenie z resztą ładu stanowiła wąska, ufortyfikowana grobla, której pokonanie było niesamowicie trudne. Sprawiało to, że miasto wydawało się prawie nie do zdobycia. Nic dziwnego, że stolica iberyjskiej prowincji Kartaginy została przeniesiona tu z Gades.

Bostar szybko minął statki cumujące najbliżej głównej kei. Nowi przybysze musieli znaleźć miejsce przy nabrzeżu nieco dalej. Jak zawsze w porcie panował spory ruch. Zdecydowana większość armii wymaszerowała już z miasta, prowadzona przez Hannibala, ale codziennie pojawiały się nowe oddziały i regularnie przyływały okręty z zaopatrzeniem. Wynoszone z czeluści ładowni oszczepy składowano w stosach. Słońce odbijało się od wypolerowanych powierzchni nowiutkich hełmów. Na nabrzeżu przygotowywano do transportu zabezpieczone woskiem wielkie amfory z oliwą z oliwek i winem, bele tkanin i worki gwoździ. Drewniane skrzynie ze szklwionymi naczyniami ustawiano obok pękatych worów z orzechami. Żeglarzom przy pracy – zwijaniu lin czy szorowaniu pokładów swoich jednostek – nie zamykały się usta. Rybacy, którzy opuścili port przed świtem, teraz właśnie wracali z połowu. Spoceni taszczyli skrzynie pełne ryb.

– Bostar!

Rozglądał się wokół, szukając ojca i brata wśród gęstego lasu masztów i olinowania. W końcu dostrzegł ich na pokładzie triremy, która znajdowała się dwa statki od nabrzeża.

Wskoczył na pokład pierwszej jednostki i po krótkiej chwili już się z nimi witał.

– Tak się cieszę!

Wreszcie razem! Bostar zdziwił się ogromnie zmianą, jaka zaszła w Malchusie i Sapho. Tak bardzo różnili się teraz od ich obrazu, jaki zachował w pamięci. Głębokie zmarszczki i ostre rysy twarzy sprawiały, że wydali mu się zimni i bezwzględni. Surowi. Skłonił się przed Malchusem, postanawiając nie zdradzić się ze swoimi spostrzeżeniami.

– Ojczy! Jestem szczęśliwy, że mogę cię widzieć.

Spojrzenie Malchusa na chwilę stało się odrobinę cieplejsze.

– Bostarze, co z twoim ramieniem?

– To tylko zadrapanie, nic więcej. Głupi błąd podczas treningu. Chyba mogę powiedzieć, że szczęśliwy, bo tylko dzięki temu mogę was powitać osobiście. Codziennie muszę odwiedzać



świętynię Eskulapa, żeby zmieniać opatrunek. – Odwrócił się do Sapho i ze zdziwieniem stwierdził, że jego brat wyglądał, jakby z jakiegoś powodu znów się na niego złościł. Od razu zrozumiał, że jego nadzieje na pojednanie były płonne. Najwyraźniej Sapho nie potrafił zapomnieć o podstawowym powodzie ich zwady: kłótni o to, czy słusznie postąpili, puszczając Hanno z Suniatonem na morze, gdy mieli szansę mu tego zabronić. *Tak jakbym nie dość tego żalował.* Dlatego zamiast objąć brata, pozdrowił go po żołniersku, oficjalnie salutując.

– Bracie... – Sapho sztywno i sztucznie powtórzył ten gest. – Jak podróż?

– Minęła całkiem przyjemnie – odparł Malchus. – Nie napotkaliśmy rzymskich trirem, co można chyba uznać za dobry znak. – Z jakiegoś powodu, może przywoławszy przykrą myśl, ojciec się skrzywił. – Wystarczy. Mam ci do powiedzenia coś ważnego. Odkryliśmy, co się stało z Hanno.

Bostar zamrugał. Czy się przesłyszał?

– Co? Nie rozumiem...

– Słyszałeś – warknął Sapho. – Oni wcale nie utonęli.

Bostar aż otworzył usta ze zdziwienia.

– Skąd ta wiedza?

– Nigdy nie straciłem wiary w Melkarta. I poznaliśmy prawdę dzięki temu, że miałem oczy i uszy otwarte w porcie na wszystko, co się działo – wyjaśnił Malchus. Uśmiechnął się gorzko na widok zdumienia rysującego się na twarzy Bostara. – Kilka miesięcy temu jeden z moich szpiegów trafił w dziesiątkę. Podслуchał podejrzaną rozmowę i uznał, że jej treść mogłaby mnie zainteresować. Wzięliśmy parę osób na spytki...

Bostar chłonał każde słowo ojca. Gdy usłyszał, że Hanno i Suniaton zostali pojmani przez piratów, nie potrafił powstrzymać łez. Sapho i ojciec zachowywali dystans, co tylko pogłębiało jego smutek. Jeszcze gorzej poczuł się wówczas, gdy okazało się, że chłopcy zostali sprzedani na targu niewolników. *Myślałem, że moja zgoda tamtego feralnego dnia będzie miłym gestem. Jakże się myliłem!*

– To jeszcze gorzej, niż gdyby utonęli. Mogli trafić wszędzie. Mógł ich kupić każdy.

– No właśnie... – mruknął Sapho. – Zostali sprzedani w Italii.

– Nie! – Bostar spojrział na brata z przerażeniem.

– Tak – syknął jadowitym głosem Sapho – i to wszystko twoja wina. Gdybyś ich powstrzymał, Hanno byłby teraz z nami.

– I kto to mówi? Przyganiał kocioł garnkowi! – Bostar zadrzał z oburzenia.

– Natychmiast przestańcie! – Głos Malchusa ciął powietrze niczym nóż. – Sapho? Ty i Bostar podjęliście tę decyzję razem, prawda?

Sapho rzucił bratu chmurne spojrzenie.

– Tak, ojczu.

– Więc obaj jesteście tak samo odpowiedzialni za to, co się stało. Podobnie jak ja czuję się odpowiedzialny za to, że nie poświęcałem Hanno więcej czasu. – Malchus zignorował zaskoczone spojrzenia synów, którzy zdali sobie sprawę, że ich ojciec właśnie się przyznaje do tego, że też czuje się winny zaginięcia Hanno. – Nie ma go już z nami, a wyklócanie się o jego pamięć nie przysłuży się żadnemu z nas. Nie życzę sobie więcej uczestniczyć w takich sprzeczkach. Teraz naszym zadaniem jest wsparcie Hannibala i zdobycie Saguntum. Jeśli będziemy mieli szczęście, bogowie dadzą nam okazję do zemsty. Musimy skoncentrować się tylko na tym i usunąć inne myśli z naszych głów. Czy wyrażam się jasno?

– Tak, ojczu – powtórzyli bracia głucho, choć nie spojrzeli na siebie.

– Co się stało z piratami? – Bostar musiał o to zapytać.

– Zostali wykastrowani, a potem rozkazałem, aby połamano im kości w kończynach.

Ostatecznie wszyscy wyzionęli ducha na krzyżu – odrzekł Malchus tonem niezdradzającym emocji. Bez słowa wspiął się na pomost i pierwszy ruszył do centrum miasta.

Sapho zamarudził trochę i celowo został z tyłu.

– To i tak była dla nich za mała kara. Należało też wyłupić im oczy – dodał ze złowrogim uśmiechem. Można było odnieść wrażenie, że mówi to entuzjastycznie, ale w jego oczach czaił się mrok i strach. Wydawało mu się wtedy, że makabryczny widok okaleczonych piratów stanie się czymś w rodzaju odkupienia i przestanie czuć chorobliwą satysfakcję z powodu zniknięcia Hanno. Mylił się. Widok młodszego brata przywołał wszystkie demony. Chciał krzyknąć: *To ja będę faworytem ojca!* – Ciesz się, że nie było cię przy tym. Nie zniósłbyś tego.

Chociaż Bostar zrozumiał, że jego brat zarzuca mu brak odwagi, zachował spokój. Nie zamierzał się licytować. Nie miał pewności, jak zareagowałby, gdyby znalazł się na miejscu Sapho i miał okazję zemścić się na tych, którzy wysłali Hanno na pewną śmierć. Gdzieś głęboko w sercu cieszył się, że nie doszło do tego sprawdzianu. Wątpił, czy jego ojciec albo Sapho by go zrozumieli. *Melkarcie, proszę cię o dobrą śmierć dla mojego brata i pomoc w zjednoczeniu naszej rodziny, mimo dzielących nas różnic.* Krótka modlitwa niewiele mu pomogła, ale na razie musiała wystarczyć.

Miał tylko tę nadzieję. Jeśli nie liczyć wojny.

Zanim Hanno zatrzymał muły, rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy w pobliżu nie ma przypadkiem Agesandrosa. Spocone zwierzęta nie protestowały. Słońce zbliżało się do zenitu, a temperatura stale rosła. Upał stawał się już trudny do zniesienia. Hanno kiwnął głową na jednego z niewolników, z którymi zajmował się młóceniem pszenicy.

– Wody...

Gal też szybko sprawdził, czy może bezpiecznie przerwać pracę, po czym odłożył widły i złapał za bukłak leżący przy szopie. Pociągnął kilka dużych łyków, założył zatyczkę i rzucił skórzany worek Hanno.

Ten skinął głową w niemym podziękowaniu. Przyłożył bukłak do ust, ale pił ostrożnie, żeby zostawić jeszcze trochę ciepłej cieczy dla innych. Po chwili przekazał wodę Galowi o imieniu Cingetoryks.

Gdy Gal skończył pić, otarł usta wierzchem dłoni.

– Bogowie, ależ gorąc... – Używał łaciny, jedyne go języka, w którym Galowie mogli porozumieć się z Hanno. – Czy w tym przeklętym miejscu nigdy nie pada? W naszych stronach... – Nie było mu dane dokończyć.

– Taak, wiemy... – zacharczał Galba, niski mężczyzna, którego spalony słońcem tors pokryty był wytatuowanymi znakami, tworzącymi jakieś skomplikowane zawijasy. – Pada o wiele częściej. Nie przypominaj nam.

– Nie tak, jak w Kartaginie – odezwał się Hanno. – Tam jest tak samo sucho jak tutaj.

– W takim razie musisz czuć się tu jak w domu. – Cingetoryks się skrzywił.

Hanno mimowolnie uśmiechnął się na ten komentarz. Przez mniej więcej dwa miesiące Galowie, z którymi przyszło mu dzielić sypialnię, zupełnie go ignorowali. Porozumiewali się tylko ze sobą, własnym, szybkim, gardłowym językiem. Robił, co mógł, aby ich do siebie przekonać, ale długo mu się to nie udawało. Kiedy w końcu przełamał ich niechęć, zmiana nastawienia była stopniowa. Hanno nie miał pewności, czy przypadkiem nie wynikało to z wyjątkowego zainteresowania nim, jakie przejawiał Agesandros, który uprzykrzał mu każdą chwilę, ale już się nad tym nie zastanawiał. Dzięki więzom, które powstały z dzielenia wspólnej ciężkiej doli, codzienna egzystencja stawała się łatwiejsza do zniesienia. No i jego nastroj poprawiały ponadto wiadomości z Iberii o Hannibalu, który trzymał w stalowym uścisku Saguntum. Wyglądało na to, że miasto padnie jeszcze w tym roku. Hanno co wieczór modlił się

o sukces kartagińskiej armii. Prosił też bogów, aby któregoś dnia dane mu było pozbyć się Agesandrosa.

Pracowali w pięciu na dziedzińcu gospodarstwa. To było w pewnym sensie ukoronowanie ciężkiej pracy, która rozpoczęła się kilka tygodni wcześniej wraz z nadejściem żniw. Teraz lato zbliżało się ku końcowi, a Hanno przyzwyczał się już do życia w gospodarstwie rolnym, w harmonii z naturą, co wymagało od niewolników codziennego, nieludzkiego wręcz wysiłku. Praca stawała się też nieznośna z powodu ciężkich żelaznych kajdan zamocowanych u kostek, które uniemożliwiały swobodne poruszanie się. Wcześniej wydawało mu się, że jest silny i poradzi sobie z ciężką pracą, ale szybko wyzbył się złudzeń. Praca w upale po minimum dwanaście godzin dziennie z kajdanami na nogach i bez odpowiedniego żywienia sprawiła, że stał się chudym i żyłastym cieniem samego siebie sprzed kilku miesięcy. Długie kręcone włosy opadały mu po obu stronach brodatej twarzy. Za to mięśnie jego ramion, klatki piersiowej, rąk i nóg urosły oraz stwardniały, przypominając teraz grube węzły sznura. Każda część odsłoniętej skóry przybrała ciemnobrązową barwę. Galowie wyglądali podobnie. *Przypominamy dzikie bestie. Nic dziwnego, że rzadko mamy okazję widzieć Fabrycjusza i członków jego rodziny.*

Gwizdnął ostrzegawczo, gdy tylko zauważył zbliżającego się Agesandrosa. To był sygnał uzgodniony z towarzyszami. Bukłak z wodą szybko wrócił na swoje miejsce, a on popędził muły. Zwierzęta ciągnęły ciężkie sanie po zebranej z pola pszenicy, ułożonej na płask na twardym klepisku. Galowie zajmowali się oddzielaniem lekkich resztek i oczyszczaniem zboża – podrzucali je w powietrze tak, aby lekka bryza wywiewała plewy. Ta praca była czasochłonna i ogłupiająca, ale konieczna, żeby można było uzyskać czyste ziarno, a potem zmagazynować je w pobliskiej szopie, wzniesionej na ceglanych szczudłach, co uniemożliwiało dostanie się do składu gryzoni.

Agesandros zatrzymał się kilka chwil później w cieniu rzucanym przez budynki i obserwował ich w milczeniu. Zaniepokojeni niewolnicy przykładali się teraz do pracy ze zdwojoną energią, starając się nie zwracać uwagi na Sycylińczyka. Wkrótce z ich ciał ponownie zaczęły spływać pot.

Za każdym odwróceniem sanek Hanno zerkał kątem oka na Agesandrosa, który uparcie obserwował jego pracę. Nie był zaskoczony, gdy nadzorca ruszył w jego stronę.

– Za bardzo pogoniasz te muły! Zwolnij, bo połowa pszenicy zostanie na łądygach.

Hanno szarpnął za sznur, który pozwalał prowadzić zwierzęta.

– Tak, panie – wymamrotał.

– Słucham? Chyba cię nie usłyszałem! – ryknął Agesandros.

– Natychmiast, panie – powtórzył Hanno głośno.

– Śmierdzący gugga. Wszyscy jesteście tacy sami. Bezużyteczni! – Agesandros uniósł bicz.

Hanno napiął mięśnie w oczekiwaniu na cios. Wyglądało na to, że absolutnie nie miało znaczenia, co robił – tempo mułów było tylko kolejnym pretekstem. Źle posługiwał się kosą i widłami, za długo czerpał wodę ze studni. Wszystko robił nie tak, jak chciał Sycylińczyk. Źle. A reakcja nadzorcy za każdym razem była taka sama.

– Wszyscy jesteście bezużytecznymi bękartami. – Agesandros jakby od niechcenia przesuwiał długim rzemieniem z niegarbowanej skóry po ziemi. – Bezpańskie kundle. Tchórze. Szkodniki.

Hanno cmoknął na muły, usiłując w ten sposób zagłuszyć te wszystkie obelgi, którymi obsypywał go Sycylińczyk.

– Ty może jednak miałeś matkę... – dotarło do uszu Hanno. Nagle Agesandros zmienił ton. Milczał przez chwilę. – Musiała być najbardziej parszywą ladacnicą w Kartaginie, aby

wydać na świat coś takiego jak ty.

Wściekły Hanno zacisnął palce na sznurze, naprężył mięśnie ramion. Kątem oka widział Galbę, który stał za Sycylińczykiem i potrząsał głową na boki, w geście mówiącym: „Nie, nie daj się sprowokować”. Hanno z wielkim trudem rozluźnił zaciśnięte szczęki, ale Agesandros widział już, że jego słowa przyniosły oczekiwany efekt i poruszyły czułą strunę.

– Nie spodobało się? – Roześmiał się i uniół prawą rękę do ciosu. Jedno uderzenie serca, później bicz zaśpiewał w powietrzu i spadł na plecy Hanno, zakręcając aż pod prawą pachę. *Traaach!* Wąska końcówka rozdarła skórę pod sutkiem. Ból był niesamowicie intensywny. Hanno zeszywniał i zwolnił kroku. Tyle wystarczyło Agesandrosowi.

– Czy kazałem ci zwolnić?! – Pociągnął bykowiec do siebie, a potem uderzył jeszcze raz. Hanno liczył. Trzy, sześć, tuzin uderzeń. Chociaż starał się nie wydać żadnego dźwięku, w końcu bez udziału woli jego usta opuścił przeciągły jęk.

Nadzorca uśmiechnął się na ten dowód słabości Hanno. Przestał go bić. Agesandros posługiwał się biczem umiejętnie – zadawał bolesne ciosy, ale krwawiący niewolnik ciągle nadawał się do dalszej pracy.

– To powinno sprawić, że zaczniesz się ruszać we właściwym tempie.

– Tak jest, panie.

Zadowolony Agesandros rzucił Galom groźne spojrzenie i zamierzał odejść. W każdym razie na to wyglądało.

Hanno wiedział, że to nie koniec. Nie mógł jeszcze odetchnąć. Zawsze było coś więcej.

Nie mylił się i tym razem. Agesandros obrócił się i rzucił przez plecy jakby od niechcenia:

– Dziś w nocy pewnie zauważysz, że twoje łóżko będzie jakby miększe – powiedział niemal poufałym tonem. Hanno unosił wzrok powoli, aby spojrzeć prosto w oczy Sycylińczyka. – Naszczałem na nie!

Hanno zacisnął zęby. To było gorsze niż naplucie do jedzenia lub zmniejszenie racji wody o połowę. Gniew, który tlił się małym ognikiem głęboko w jego duszy, nagle przerodził się w biały, spalający wszystko żar gniewu i upokorzenia. Z najwyższym trudem udało mu się zachować nieruchomą twarz. *To jeszcze nie czas. Poczekaj!*

– Nie masz nic do powiedzenia? – Agesandros nie zamierzał przestać z niego szydzić.

*Nie dam draniowi satysfakcji.*

– Dziękuję, panie.

Rozczarowany Agesandros parsknął głośno i odszedł.

– Pieprzony skurwysyn – wyszeptał Galba, gdy Sycylińczyk nie mógł ich już usłyszeć. Inni niewolnicy zaszemrali gniewnie. Wszyscy nienawidzili nadzorcy. – Weźmiesz od nas trochę siana z sienników. Wyrzucimy to mokre rano, na wypadek gdyby próbował jeszcze dziś do czegoś się przyczepić.

– Dziękuję... – odpowiedział Hanno z roztargnieniem. Oczyma wyobraźni widział siebie, jak biegnie za nadzorcą i rozbija mu czaszkę. Agesandros nieświadomie obudził w nim wojowniczego ducha. Jeśli spotka się z Suniatonem w innym świecie, chciałby móc trzymać głowę wysoko. To musi się źle skończyć. Prędzej czy później. Trudno. Śmierć będzie lepsza niż te codzienne upokorzenia.

Któregoś poranka Kwintus stwierdził zaskoczony, że nie ma żadnych zajęć. Przez całą noc padało, temperatura spadła i poranek był o wiele chłodniejszy niż zwykle w ciągu ostatnich miesięcy. Rześki ranek i świeże powietrze sprawiły, że uznał, iż czas rozmówić się z Aurelią. Przez kilka ostatnich miesięcy jego siostra, wyraźnie niezadowolona, spędzała czas z surowym nauczycielem, Grekiem o wiecznie skwaszonej minie, udostępnionym Atii przez Martialisa.

Przyzwyczajona do swobodnego dokazywania musiała teraz przesiadywać długie godziny przy stoliku, ucząc się języka greckiego i matematyki. Atia również jej nie folgowała, przyjmując na siebie obowiązki nauczycielki tkania i szycia oraz etykiety. Na nic zdały się protesty Aurelii. Matka była nieugięta. Wielokrotnie powtarzała: „Nadszedł czas, abyś nauczyła się, jak być damą. Koniec i kropka. Jeśli będziesz protestować, złożę ci skórę”. Aurelia wybrała drogę posłuszeństwa, ale uparcie milcząc przy obiedzie, dawała wszystkim jasno do zrozumienia, co na ten temat myśli.

Fabrycjusz wolał trzymać się z dala i nie mieszać się w sprawę żony, co sprawiło, że Kwintus stał się jedynym sojusznikiem Aurelii. Tyle że on znalazł się między młotem i kowadłem. Z jednej strony walczył z poczuciem winy, że w jakiejś części jest współodpowiedzialny za nie do pozazdrosczenia los siostry. Z drugiej – był przekonany, że zaaranżowane małżeństwo będzie najlepsze dla rodziny. Dotąd wszystkie jego wysiłki, aby poprawić humor Aurelii, spełzały na niczym, więc Kwintus zaczął – po wykonaniu wszystkich obowiązkowych prac – unikać jej towarzystwa. Zraniona Aurelia spędzała coraz więcej czasu w swoim pokoju. Sytuacja przypominała błędne koło: jego działania napędzały niechęć siostry i odwrotnie.

W tym czasie Kwintus zaangażował się bardzo w pomoc ojcu. Wykonywał różne prace administracyjne, wyjeżdżał do Kapui, a ponadto regularnie pobierał lekcje walki na miecze. Prawda była jednak taka, że Kwintus bardzo tęsknił za siostrą. Za taką, jaka była dawniej. I tego ranka podjął decyzję. Jest jej winien przeprosiny, a potem muszą ułożyć jakoś swoje relacje. Na nowo, w nowej rzeczywistości. Od tak dawna nie rozmawiali szczerze. Choć Fabrycjusz nie znalazł jeszcze Aurelii odpowiedniego kandydata na męża, Kwintus dobrze wiedział, że podjął już stosowne kroki w czasie pobytów w Rzymie.

Wrzucił do worka trochę jedzenia, po czym ruszył do pokoju znajdującego się tuż przy perystylu, gdzie odbywały się lekcje Aurelii. Przystanął, żeby zapukać, ale wszedł do środka, nie czekając na odpowiedź. Nauczyciel podniósł wzrok, a na jego czole pojawiła się mała zmarszczka dezaprobaty.

– Pan Kwintus. Czemu zawdzięczamy tę przyjemność?

Kwintus się wyprostował. Był zaledwie trzy palce niższy od ojca, co oznaczało, że mógł spoglądać z góry na większość ludzi.

– Zabieram Aurelię na obchód gospodarstwa – oznajmił pewnym głosem.

Nauczyciel spojrział na niego zdziwiony.

– Kto udzielił na to zgody?

– Ja... – odparł Kwintus.

Niezadowolony nauczyciel wyduł policzki.

– Twoi rodzice, panie...

– Zgodziliby się ze mną bez wahania. Wszystko im później wytłumaczę. – Kwintus zbył nauczyciela lekceważącym gestem, zanim ten zdążył ponownie zaprotestować. – A ty chodź ze mną – zwrócił się do Aurelii.

Aurelia poderwała się na równe nogi. Z jej twarzy natychmiast zniknął udawany dąs. Rysik i tabliczka do pisania spadły na podłogę, co wywołało u nauczyciela kolejny nerwowy tik. Ostatecznie jednak starszy Grek nie próbował kwestionować decyzji Kwintusa i rodzeństwo bez przeszkód opuściło pomieszczenie.

Od czasu polowania na niedźwiedzia Kwintus nabrał mnóstwo pewności siebie. I dobrze się z tym czuł. Uśmiechnął się teraz promiennie do siostry.

Aurelia nagle przypomniała sobie, że powinna się na niego gniewać.

– O co chodzi?! Od kilku tygodni najwyraźniej mnie unikasz, a teraz niespodziewanie

przerywasz mi zajęcia.

Kwintus chwycił siostrę za rękę.

– Przepraszam, że zostawiłem cię z tym wszystkim samą. – Ku jego przerażeniu w oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, jaką jej sprawił przykrość. – To, co miałem ci do powiedzenia, i tak niczego by nie zmieniło. Nie potrafiłem znaleźć sposobu, aby ci pomóc. Wybacz mi.

Aurelia uśmiechała się przez łzy.

– Ja też źle zrobiłam, że złościłam się przez tyle dni. Ale dajmy już spokój. Jesteśmy razem. – W jej oczach błysnęła jakiś psotny chochlik. – Obchód gospodarstwa? Czego jeszcze nie widziałam tysiąc razy?

– Nic lepszego nie byłem w stanie wymyślić tak na szybko, żeby cię stamtąd wyciągnąć – odrzekł zakłopotany.

Śmiejąc się, szturchnęła go w bok.

– Wystarczyło, aby zamknąć usta temu staremu safandule. Dziękuję. Nie ma znaczenia, gdzie pójdziemy.

Ruszyli pewnym, równym krokiem po ścieżce prowadzącej do gaju oliwnego.

Uwadze Hanno nie uszło, że Agesandros od jakiegoś czasu ciągle miał kiepski humor. Dostawało się każdemu, kto choćby tylko pomylił krok. Dziesięciu niewolników z wiklinowymi koszami tworzyło kolumnę podążającą przed Sycylińczykiem. Na szczęście Hanno znajdował się na przedzie, dzięki czemu nie rzucał się w oczy. Zmierzali ku tarasom ze śliwami, które w tym roku nadzwyczajnie obrodziły, a dzięki dobrej pogodzie owoce szybko dojrzały. Trzeba je było co prędzej zebrać. W porównaniu z harówką w poprzednich tygodniach zbieranie soczystych śliwek było zadaniem łatwym i przyjemnym. Hanno już się cieszył na myśl o mięsistych, pysznych owocach. Agesandros nie był w stanie upilnować wszystkich jednocześnie. Nim nadejdzie noc, śliwki wypełnią wreszcie jego burczący brzuch.

Nie spodziewał się, że tak szybko przyjdzie mu przeklinać swoją przedwczesną radość.

Galba, który szedł tuż za nim, nagle potknął się i upadł niezgrabnie na ziemię. Hanno usłyszał jego pełen bólu jęk, a gdy się obrócił, zobaczył krwawiącą, głęboką ranę na prawej nodze Gala. Pewnie rozciął sobie skórę o ostry kawałek skały. Krew ściekała strużką po łydce Galby, szybko wsiąkając w suchą ziemię.

– Twój dzień pracy właśnie się skończył... – powiedział cicho Hanno.

– Wątpię, że Agesandros się na to zgodzi – odparł Galba z grymasem bólu. – Pomóż mi wstać.

Hanno pochylił się nad nim z wyciągniętą ręką, ale było już za późno.

Sycylińczyk błyskawicznie znalazł się przy nich.

– Co tu się dzieje na Hades!?

– Galba upadł i zranił się w nogę – zaczął wyjaśniać Hanno.

Agesandros spojrział na niego chmurnie i zmrużył oczy, które przypominały teraz ostre kawałki krzemienia.

– Daj tej łajdzie mówić... – syknął, zanim odwrócił się z powrotem w stronę Galby. – No więc?

– Było tak, jak powiedział, panie – odezwał się niepewnym głosem Gal. – Straciłem równowagę i upadłem na tę skałę.

– Zrobiłeś to celowo, żeby na parę dni wyłgać się od pracy – warknął Agesandros.

– Nie, panie.

– Kłamca! – Sycylińczyk wyjął zza pasa bicz i zaczął okładać nim Gala.

Hanno miał dość.

– Zostaw go! Nic nie zrobił!

Agesandros zadał Galbie jeszcze kilka ciosów. Na koniec, zanim przestał się nad nim znęcać, wymierzył mu jeszcze potężnego kopniaka. I wtedy spojrzął na Hanno wzrokiem, w którym był błysk szaleństwa. Dyszał ciężko i wciągał powietrze przez rozchylające się szeroko nozdrza.

– Co powiedziałaś?

– Zbieranie śliwek to łatwa robota. Dlaczego miałby się od tego wymigiwać? Potknął się.

I tyle.

Sycylińczyk otworzył szeroko oczy z niedowierzaniem i wściekłością.

– Masz czelność mówić mi, co mam robić? Ty? Takie ścierwo drażone przez czerwie?!

Hanno oddałby w tej chwili wszystko za miecz. Nie miał w zasięgu niczego, czym mógłby się obronić. Tylko swój gniew. W tej chwili, gdy w jego żyłach krążyła adrenalina, miał złudne wrażenie, że to wystarczy.

– Tym według ciebie jestem? – Splunął. – Ty zaś jesteś tylko nisko urodzonym sycylijskim śmieciem! Nawet gdybym wdepnął w gówno, nie chciałbym o ciebie wytrzeć stopy.

Agesandros stracił nad sobą kontrolę. Coś w nim pękło. Uniósł bicz i uderzył Hanno prosto w twarz uchwytem okutym metalem.

Rozległo się głośne chrupnięcie. Pękła chrząstka w jego nosie. Hanno na wpół oślepiiony intensywnym bólem zatoczył się do tyłu, unosząc przed siebie ręce w obronnym geście. Chciał zasłonić się przed ciosami, które – wiedział to – musiały zaraz na niego spaść. Nie miał szansy chwycić za jakiś kamień czy cokolwiek, co mogłoby stać się jego bronią. Agesandros osaczył go jak lew, który ma już pod swymi łapami bezbronną ofiarę. Chłostał go biczem po ramionach raz za razem. Zakończona ciężarkiem końcówka bykowca co chwila owijała barki Hanno w taki sposób, że wyszarpywała płaty skóry. Potem odskakiwała, aby powrócić ze śpiewem jedno uderzenie serca później. Każdy cios otwierał nową ranę. Hanno cofał się niezdarnie, ale śmiejący się teraz szaleńczo Sycylińczyk nie odstępował. Kiedy Hanno potknął się o wystający korzeń, Agesandros obalił go na ziemię potężnym uderzeniem w pierś. Zdezorientowany chłopak był zupełnie bezradny. Sycylińczyk pochylił się nad nim z triumfem w oczach. Wymierzył Hanno kopniaka w klatkę piersiową, co zapewne spowodowało pęknięcie kilku żeber, które ledwo zdążyły się zrosnąć po przejściach z Varsaco. Ból był tak trudny do zniesienia, że Hanno zaczął krzyczeć, chociaż od razu się za to zniechęcił. Zwinął się, przybierając obronną pozycję, bo nie zanośliło się, że to cierpienie szybko się skończy. Sycylińczyk okładał go tak długo, że Hanno znalazł się na granicy utraty świadomości. Wreszcie Agesandros przewrócił swoją ofiarę na plecy.

– Spójrz na mnie! – Hanno z trudem otworzył oczy. Sycylińczyk uniósł prawą nogę obutą w ciężki sandał umocniony gwoździami. – To za wszystkich moich towarzyszy. I moją rodzinę – wyszczał.

Hanno nie miał pojęcia, o co chodziło Agesandrosowi. *Ten skurwysyn mnie zabije.* Był oszołomiony, ale ta myśl jakoś przedostała się do jego świadomości. Najgorsze było to, że w tej chwili zupełnie się tym nie przejął. *Przynajmniej moje cierpienie wreszcie dobiegnie końca.* Poczł paraliżujący smutek, gdy przemknęło mu przez myśl, że już nigdy nie zobaczy rodziny. Nie będzie też miał okazji przeprosić ojca. *Trudno. Niech się stanie.* Zrezygnowany zamknął oczy. Czekał na śmierć.

Cios nie nadszedł, bo w tej samej chwili powietrze zawibrowało od władczego głosu:

– Agesandros! Stój!

W pierwszej chwili Hanno nie rozumiał, co się dzieje, ale gdy ten sam okrzyk usłyszał ponownie, a potem wyczuł, że Sycylińczyk odstępuje, dotarło do niego, że jest uratowany. Ktoś

interweniował. Kto? Leżał na plecach, czując pod plecami twardą skałę, i nie mógł zrobić nic więcej poza łapaniem małych haustów powietrza. Każdy ruch klatki piersiowej wiązał się z bólem, jakby setki ostrzy przeszywały każdą część jego jaźni. I tylko dzięki temu świdrującemu bólowi nie stracił jeszcze przytomności. Zdawał sobie sprawę z tego, że Agesandros rzuca w jego stronę nienawistne spojrzenia, ale jego życie nie było już zagrożone.

Uderzenie serca później w polu widzenia Hanno pojawiły się dzieci Fabrycjusza. Wyglądały na mocno wzburzone zachowaniem Agesandrosa.

– Coś ty narobił?! – zawołała Aurelia, opadając na kolana przy Hanno. Choć z trudem rozpoznała zakrwawionego chłopaka, poczuła takie samo dziwne drżenie serca jak wtedy, gdy zobaczyła go po raz pierwszy na targu.

Hanno próbował się do niej uśmiechnąć. Przypominała mu teraz nimfę czy podobną istotę z baśni dla dzieci, która przysłała mu z pomocą.

– Słucham... – odezwał się twardym głosem Kwintus. – Czekam na wyjaśnienia.

– Twój ojciec powierzył mi zarządzanie gospodarstwem i niewolnikami – wyrzucił z siebie Sycylijczyk. – Tak to wyglądało na długo przed twoim urodzeniem.

– A co by było, gdybyś zabił niewolnika? Co by na to powiedział? – spytała Aurelia.

Agesandros spojrzał na nią szczerze zaskoczony.

– Dajmy temu spokój... – odezwał się pojednawczym tonem. – Po prostu wymierzyłem karę, nic więcej.

Kwintus zaśmiał się kpiąco.

– Zamierzałeś właśnie nadepnąć na jego głowę. Na tej skale zmiażdżyłbyś mu czaszkę. – Agesandros nie odpowiedział. – Mam rację? – Kwintus domagał się odpowiedzi. Rozzłościł się nie na żarty, gdy uświadomił sobie, kim jest ofiara Sycylijczyka. Miał poczucie, że resztki szacunku, jakim darzył Agesandrosa, w tej chwili znikły. – Odpowiadaj mi, na wszystkich bogów!

– Przypuszczam, że tak mogło się stać – przyznał Agesandros ponuro.

– Tego właśnie chciałeś? – Aurelia nie wytrzymała.

Sycylijczyk zerknął na Hanno.

– Nie – powiedział spokojnie, składając ręce na piersi. – Po prostu straciłem nad sobą kontrolę, to wszystko.

*Kłamca* – pomyślał Hanno. Na twarzy pochylającej się nad nim Aurelii również zauważył niedowierzanie. Był pewien, że Sycylijczyk chciał się go pozbyć na dobre.

Kwintus także nie wierzył Agesandrosowi, ale oskarżanie go o kłamstwo w obecności niewolników mogłoby mieć konsekwencje, których nie dało się przewidzieć. Nie czuł się jeszcze na tyle pewnie, aby ryzykować bezpośrednią konfrontację z nadzorcą.

– Jak do tego doszło?

Agesandros wskazał Kwintusowi Gala.

– Ten niewolnik celowo zranił się w nogę. Chciał zrobić sobie wolne od pracy. To stara sztuczka. Ale ja go przejrzałem. Wymierzyłem temu kundlowi kilka razy, aby dać mu nauczkę. A ten tu *gugga* zaczął krzyczeć, żebym przestał. Że niby to był zwykły wypadek – parsknął. – Nie można tolerować takiego zachowania. Musiałem ukarać go na miejscu.

Kwintus spojrzał na Hanno.

– Myślę, że ci się udało – skonstatował sarkastycznie. – Jest w połowie drogi do Hadesu.

Kącik ust Agesandrosa uniósł się ku górze.

Zauważył to jedynie Hanno. *Agesandros chce mojej śmierci. Dlaczego?*

To była ostatnia spójna myśl, jaka pojawiła się w jego głowie.

Zatarg z Agesandrosiem dodał Kwintusowi jeszcze więcej pewności siebie. Nie zgodził



się, aby ranny Hanno został zaniesiony – jak chciał Sycylijezyk – do willi niczym worek zboża. Uparł się, aby posłać po lektykę. Galba mógł sam dokuśtykać do gospodarstwa, ale Hanno nie był w stanie utrzymać się na nogach. Agesandros krzywił się, ale nie mógł nie wykonać polecenia i od razu wysłał jednego z niewolników do willi. Potem, nie kryjąc niezadowolenia, obserwował, jak Aurelia próbuje jakimś kawałkiem tkaniny oczyścić z krwi twarz Hanno. Po jej policzkach płynęły łzy, ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku. Nie chciała dać Agesandrosowi tej satysfakcji.

Gdy Hanno został przeniesiony do lektyki, Aurelia w końcu wstała z kolan. Cała dolna część jej ubrania była poplamiona krwią i pyłem. Choć oczy miała mocno zaczerwienione, był w nich płomień gniewu. Spojrzała Agesandrosowi prosto w oczy.

– Jeśli on umrze, zadbam, aby ojciec ci za to odpłacił. Przysięgam.

Agesandros próbował zbagatelizować to ostrzeżenie.

– To było za mało, by zabić kartagińskiego szczura – oświadczył.

Aurelia nie spuściła wzroku. Dziwnie się czuła. Bała się, a jednocześnie była pewna siebie.

– Chodźmy... – odezwał się Kwintus, delikatnie obejmując ją ramieniem.

Agesandros chciał pójść z nimi, ale Kwintus miał już go dosyć.

– Ty wracaj do swoich spraw. Zajmiemy się rannymi niewolnikami.

Hanno został ułożony na kocach i słomianym materacu w pustej stajni obok głównych budynków gospodarstwa. Leżał bez ruchu, jak trup. Kwintusa zaniepokoiła bladość jego twarzy. Gdyby Kartagińczyk umarł, oznaczałoby to poważną stratę finansową dla ojca, więc od razu polecił, aby przyniesiono z kuchni gorącą wodę i butelki z *acetum*, octem stosowanym do odkażania ran, a także by przygotowano pasy tkaniny na bandaże. Zaskoczyła go reakcja Aurelii. Nie chciała, żeby ktoś inny zajmował się obmywaniem ran Kartagińczyka. Galbą zajęła się Elira. Kwintus wysoko cenił umiejętności Iliryjki. Znała się na leczeniu i opatrywaniu ran, gdyż już jako dziecko pobierała odpowiednie nauki w tym kierunku. Wyjaśniła Kwintusowi, że wszyscy członkowie plemienia prosili jej matkę o pomoc w związku z różnymi dolegliwościami. Elira najpierw przemyła ranę Galby, nie szczędząc ciepłej wody. Potem, ignorując głośnie jęki Gala, spryskała ją *acetum*, osuszyła i założyła opatrunek. Na koniec zwróciła się do Kwintusa:

– Dwa dni odpoczynku i przez tydzień tylko lekkie prace.

– Zadbam, żeby Agesandros to wiedział.

Gal wybąkał pod nosem zdawkowe podziękowania i pokuśtykał na zewnątrz.

Kwintus usłyszał zza pleców cichy jęk. Odwrócił się. Hanno patrzył przez chwilę, co robi Aurelia, i rysy jego twarzy złagodniały.

– Żyje... – stwierdził z ulgą Kwintus.

– To nie zasługa Agesandrosa – rzuciła gwałtownie Aurelia. – Wyobraź sobie, co by się stało, gdybyśmy się nie pojawili! On ciągle jeszcze może umrzeć. – Z każdym słowem jej głos stawał się cichszy. Załkała.

Kwintus poklepał siostrę pocieszająco po ramieniu. Nie rozumiał, dlaczego tak bardzo ją dotknął ten wypadek. *W końcu ten chłopak jest tylko niewolnikiem.*

Elira zbliżyła się do materaca, na którym leżał Hanno.

– Niech mu się przyjrzę. – Ku zaskoczeniu Kwintusa Aurelia odsunęła się na bok. Obserwowali w milczeniu, jak Iliryjka ostrożnie przesuwając palcami po ciele Hanno, delikatnie sprawdzając stan żeber i szukając innych złamań. – Nie ma ciężkiego urazu poza złamanym nosem – powiedziała w końcu. – Trzy pęknięte żebra, a wszystkie te rany są od bicia. – Wskazała wyraźnie rysujące się pod skórą kości żeber i wklęsły brzuch chłopaka. – Wygląda na to, że nie dostawał dość jedzenia. Ale jest silny. Dobra opieka i przyzwoite posiłki postawią go

na nogi w ciągu tygodnia.

– Dzięki niech będą Jowiszowi! – zawołała Aurelia.

Kwintus odetchnął z ulgą i poszedł szukać ojca. Musi mu natychmiast powiedzieć o tym brutalnym pobiciu. Podejrzał, że ojciec nie ukarze dotkliwie Sycyljczyka, a ten, jeśli będzie musiał, na pewno odeprze wszystkie oskarżenia. Już wyobrażał sobie, co powie Fabrycjusz na jego rewelacje. Jednym z zadań nadzorca jest utrzymywanie dyscypliny i żaden z niewolników nie ma prawa podważać jego autorytetu, a Hanno to uczynił. Agesandros przesadził dopiero po raz pierwszy, a pracuje u nich już wiele lat. Dlatego Fabrycjusz uzna to zdarzenie za wypadek przy pracy. Kwintus o tym wszystkim dobrze wiedział. Zaciśnął zęby.

*Od tej chwili trzeba będzie uważnie obserwować Agesandrosa.*

Hanno obudził się z powodu uporczywego bólu promieniującego od żeber. Tępe pulsowanie przy każdym oddechu przypominało mu o złamanym nosie. Uniósł ręce i obmacał ciężkie bandaże na piersi. Ktoś zdjął kajdany unieruchamiające jego kostki. To raczej nie był pomysł Agesandrosa. *Pewnie Kwintus nalegał.* Zdziwił się jeszcze bardziej, gdy otworzył oczy. Nie leżał na wilgotnej słomie w swojej nędznej klitce, ale na kocach w pustej stajni. Od czasu do czasu dochodziło do niego stłumione rżenie koni. Zerknął na stołek stojący obok jego pośłania. Ktoś go pilnuje.

Na próg stajni padł cień. Hanno zobaczył Elirę z glinianym dzbankiem i dwoma kubkami w dłoniach.

Jej twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

– Obudziłeś się! – Powoli skinął głową, chłonąc wzrokiem kobiece kształty swojej opiekunki. Dziewczyna podbiegła do niego. – Jak się czujesz?

– Wszystko mnie boli...

Schyliła się po tykwę i przytknęła mu ją do ust.

– Wypij trochę.

– Co to jest? – spytał podejrzliwie.

Elira uśmiechnęła się.

– Rozcieńczony roztwór *papaverum*. Ukoi ból.

Był zbyt słaby, aby się sprzeciwić. Pociągnął duży łyk. Skrzywił się, czując w ustach gorzki smak płynu.

– Szybko zacznie działać – powiedziała Elira łagodnie. – Najlepiej będzie, jak jeszcze trochę pośpisz.

Niespodziewanie w głowie Hanno pojawił się obraz Sycyljczyka. Spróbował się podnieść. To było jednak ponad jego siły.

– Co z Agesandrosem?

– Nie martw się. Fabrycjusz widział, co ci zrobił, i nakazał mu, aby zostawił cię w spokoju. Bogowie musieli być w dobrym humorze, bo zgodził się też, żebym się tobą opiekowała. Trzeba go było trochę przekonywać, ale Aurelia dopięła swego. – Elira otarła pot z twarzy Hanno. – Nie wysilaj się. Jesteś słaby jak mały kociak – zbeształa go. – Śpij.

Hanno nie opierał się. *Dlaczego Aurelia tak się mną przejmuje? Papaverum* zaczynało działać. Zamknął oczy. Poczul ulgę, wiedząc, że jedno z dzieci właściciela jest dla niego bardzo dobre. Wątpił jednak, że Aurelia jest w stanie obronić go przed Agesandrosem. To w końcu tylko młoda dziewczyna. Co by nie mówić, jego sytuacja uległa poprawie. Może bogowie jeszcze raz okazali mu względy? Hanno uspokoił się podniesiony na duchu. Pozwolił, aby zabrał go sen.

## Rozdział VII



Przez trzy kolejne dni Hanno nie robił nic innego, tylko jadł i spał. Elira z zadowoleniem patrzyła, jak pochłania kolejne posiłki przynoszone mu prosto z kuchni. Siły wracały, a ból stopniowo odchodził w niepamięć. Wkrótce mógł poprosić dziewczynę o zdjęcie opatrunków z piersi. Narzekał, że utrudniają mu oddychanie. Czwartego dnia czuł się już wystarczająco dobrze, aby wyjść o własnych siłach na zewnątrz. W ostatniej chwili obleciał go jednak strach.

– Gdzie jest Agesandros?

Pełne usta Eliry rozciągnęły się w promiennym uśmiechu.

– Na szczęście ten sukinsyn wyjechał do Kapui.

Hanno odetchnął z ulgą. Wyszedł przed stajnię. Dziedziniec był pusty. Wszyscy niewolnicy pracowali w polu. Usiedli z Elirą w słońcu, opierając się plecami o kamienną podmurówkę stajni. Hanno ucieszył się, że w pobliżu nikogo nie ma. Oznaczało to, że może być sam na sam z Elirą, której fizyczną atrakcyjność z każdym dniem było mu coraz trudniej nie zauważać. Napięcie w okolicach krocza wyraźnie przypominało mu, że od miesięcy nie miał kobiety. W jego sytuacji niebezpieczna była jednak sama myśl o uciechach cielesnych. Nawet jeśli Elira byłaby skłonna obdarzyć go względami, niewolnikom zabraniano kontaktów cielesnych. Co więcej, uwadze Hanno nie uszło, jak odnosili się do siebie Elira i Kwintus. *Trzymaj się od niej z daleka. Zbliżenie się do ulubienicy syna właściciela nie jest dobrym pomysłem.* Były inne sposoby radzenia sobie z napięciem seksualnym. Nie tak przyjemne, ale na pewno bezpieczniejsze.

Potrzebował czegoś, co pomogłoby mu odciągnąć myśli od sfery erotycznej.

– Jak to się stało, że zostałam niewolnicą?

– Pierwszy raz ktoś zadaje mi to pytanie. – Zdziwienie Eliry po chwili przemieniło się w smutek.

– Pewnie dlatego, że wszyscy mamy do opowiedzenia taką samą smutną historię – odezwał się Hanno łagodnie. Uniósł brwi, sygnalizując, że czeka na odpowiedź.

Elira patrzyła przed siebie, była jakby nieobecna.

– Dorastałam w małej nadbrzeżnej wiosce w Illyricum. Większość mieszkańców zajmowała się rybołówstwem lub pracowała na roli. To było spokojne miejsce. Aż do dnia, gdy pojawili się piraci. Miałam dziewięć lat. – Na jej twarzy malował się gniew i smutek. – Mężczyźni walczyli do upadłego, ale nie byli wojownikami. Ojciec i starszy brat, oni... – Głos Eliry załamał się. – Zostali zabici. Ale to, co stało się z matką, było jeszcze gorsze. – W jej oczach zbierały się łzy.

Oślupiały Hanno uściśnął dłoń Eliry. Nie spodziewał się, że niewinne pytanie przywoła takie bolesne wspomnienia.

– Przykro mi – wyszeptał.

Potrząsnęła głową, a ten ruch sprawił, że łzy popłynęły jej po policzkach.

– Zabrali nas na statki. Przywieźli do Italii i sprzedali na targu w jakimś portowym mieście. Od tamtej pory nie widziałam ani matki, ani sióstr.

Elira szlochała, a Hanno przeklinał się w duchu za to, że nie umie trzymać języka za zębami. Smutek Iliryjki sprawiał, że stała się w jego oczach jeszcze bardziej pociągająca. Trudno mu było nie wyobrazić sobie, że chwytą ją w ramiona i próbuje ukoić. Dlatego ucieszył się, gdy ujrzał zbliżającą się do nich od strony willi Aurelię. Szturchnął Elirę ostrzegawczo, a sam zerwał się na równe nogi. Elira zdążyła ukryć twarz we włosach i szybko obetrzeć łzy.

Aurelia poczuła ukłucie zazdrości, gdy zobaczyła Elirę siedzącą tak blisko Hanno.

– Odzyskałeś siły, jak widzę? – zapytała cierpkim głosem.

Hanno pokiwał głową.

– Tak.

– I jak się czujesz?

Hanno uniósł rękę do żeber, marszcząc brwi.

– Dużo lepiej niż przed paroma dniami, dziękuję.

Współczucie na widok Hanno, który najwyraźniej wrócił myślami do tego, co go spotkało przed paroma dniami, wzięło górę nad zazdrością.

– Powinieneś być wdzięczny Elirze. Jest cudowna.

– To prawda – zgodził się Hanno, posyłając Iliryjce porozumiewawczy uśmiech. Zarumieniła się.

– Juliusz pewnie się zastanawia, gdzie jestem – powiedziała cicho. Zebrała swoje rzeczy i szybko odeszła.

Aurelia przez chwilę znów poczuła rozdrażnienie, ale zirytowana własną reakcją, szybko je opanowała.

– Jesteś Kartagińczykiem, dobrze pamiętam?

– Tak – odparł ostrożnie Hanno. Do tej pory nie miał jeszcze tak naprawdę okazji do dłuższej rozmowy z Fabrycjuszem czy kimkolwiek z jego rodziny. Oni wciąż byli dla niego wrogami.

– Opowiedz mi o swoim mieście.

– Jest ogromne! W Kartaginie mieszka chyba z ćwierć miliona ludzi. – Nie potrafił ukryć dumy w głosie.

– To o wiele więcej niż w Rzymie! – Aurelia nieświadomie otworzyła szeroko oczy ze zdumienia.

– W rzeczy samej... – Hanno miał dość rozsądku, aby nie wypowiedzieć sarkastycznej uwagi, która cisnęła mu się na usta.

Aurelia była szczerze zainteresowana jego opowieścią, więc opisywał swoje miasto, przywołując obrazy, które zawsze miał pod powiekami. W pewnym momencie zdał sobie jednak sprawę, że trochę się zagalopował... Zapadła cisza.

– Kartagina wydaje się wspaniała – przyznała Aurelia. – A ty jesteś taki szczęśliwy, gdy o niej opowiadasz! – Hanno, udręczony tęsknotą, wbił wzrok w ziemię. – Nic w tym dziwnego, jak sądzę – dokończyła uprzejmie Aurelia. Zaciekawiona przechyliła głowę w bok. – Czy dobrze pamiętam, że znasz nie tylko łacinę, ale i grekę? W Rzymie tylko dobrze urodzeni nobile uczą się tego języka. W Kartaginie pewnie jest tak samo. Jak to się stało, że ktoś tak wykształcony został niewolnikiem?

Hanno spojrział na nią chmurnie.

– Zapomniałem poprosić o błogosławieństwo naszą najpotężniejszą boginię, zanim wybrałem się na ryby z przyjacielem, Sunim. Widziałaś go w Kapui – dopowiedział, dostrzegłszy jej pytające spojrzenie. – Nałapaliśmy mnóstwo tuńczyków, wypiliśmy trochę wina i zmorzył nas sen. Fale zabrały nas daleko w morze. Szczęśliwym trafem przetrwaliśmy sztormową noc, ale następnego dnia wpadliśmy w łapy piratów. Sprzedali nas w Neapolis. Potem trafiliśmy do Kapui, gdzie znów zamierzali nas sprzedać jako kandydatów na gladiatorów. I tam kupił mnie twój brat. – Głos Hanno stwardniał. – Nikt nie wie, co się stało z moim przyjacielem. – Z zadowoleniem zauważył, że dziewczyna zadrżała.

Rozzłoszczona chwilą słabości Aurelia szybko jednak odzyskała rezon. *To nadal jest niewolnik, przystojny, ale niewolnik... Opanuj się!* – skarciła samą siebie.

– Za każdym niewolnikiem na targu stoi jakaś dramatyczna historia. To nie znaczy, że powinniśmy wykupić wszystkich. Możesz uważać się za szczęśliwca – zauważyła rezolutnie.

Hanno pochylił głowę. *Może i jesteś młodą dziewczyną, ale masz charakter.*

Zapadła niezręczna cisza... Przerwał ją głos Atii.

– Aurelia!

Przez twarz dziewczyny przemknął cień, jakby na moment przemieniła się w ścigane zwierzę.

– Jestem na podwórzu, matko.

Atia pojawiła się chwilę później. Miała na sobie prostą lnianą stolę i gustowne skórzane sandały.

– Co ty tutaj robisz? Powinnaś ćwiczyć grę na lirze. – Przeniosła wzrok na Hanno. – Czy to jest ten niewolnik, którego pobił Agesandros? Ten Kartagińczyk?

– Tak, mamu. – Policzki dziewczyny lekko się zarumieniły. – Przyszłam do Eliry, żeby sprawdzić, czy wraca do zdrowia.

– Rozumiem. Dobrze, że interesujesz się takimi rzeczami. Z takich obowiązków składa się zarządzanie gospodarstwem domowym. – Atia przyjrzała się Hanno z większym zainteresowaniem. – Ten złamany nos jeszcze nie jest wyleczony, ale poza tym wygląda dobrze.

Hanno przestępował z nogi na nogę. Nie czuł się dobrze, gdy kobiety rozmawiały o nim tak, jakby go w ogóle z nimi nie było.

Aurelia wydawała się trochę speszona.

– Tak sędzę... Elira nie mówiła, kiedy będzie mógł wrócić do pracy.

– To jak? Czy czujesz się już wystarczająco dobrze? – Atia wreszcie zwróciła się bezpośrednio do Hanno, władczym głosem domagając się odpowiedzi.

– Tak, pani – wymamrotał. Nie mógł powiedzieć nic innego.

– Ale... ma pęknięte trzy żebra – zaprotestowała Aurelia.

– To nie przeszkodzi mu w pracy w kuchni – odpowiedziała Atia. Spojrzała na Hanno. – Mam rację?

*To o wiele lżejsza praca niż w polu* – pomyślał Hanno.

Pochylił głowę.

– Nie, pani. Nie przeszkodzi.

Atia skinęła głową usatysfakcjonowana.

– Dobrze. Chodź teraz z nami do domu. Juliusz znajdzie ci zajęcie.

Aurelia ruszyła za matką. W duchu cieszyła się z takiego obrotu sprawy. Nie będzie musiała szukać pretekstów, aby zobaczyć się z Hanno.

– Kwintus chce, żebyśmy popatrzyły, jak sparuje z ojcem – powiedziała Atia z dumą, ale też i z jakimś nieokreślonym smutkiem.

– Och... – W tym jednym słowie Aurelia zdołała zamknąć całą swoją zazdrość i niechęć. Atia spojrzała na nią z dezaprobatą.

– Dość tego! Wolisz spędzić ten czas, grając na lirze? Czy może na greckich rozmówkach z twoim nauczycielem?

– Nie, mamó – odpowiedziała Aurelia ściszym głosem, mimo że była bardzo wzburzona.

– Dobrze... – Oblicze Atii się wypogodziło. – No to chodź już wreszcie.

Ta wymiana zdań sprawiła, że Hanno spojrzał na Aurelię zupełnie inaczej niż dotychczas. Wszystkie dobrze urodzone dziewczęta, które znał, byłyby zadowolone, gdyby mogły zajmować się tylko kobiecymi sprawami. Wyglądało na to, że Aurelia miała zupełnie inne upodobania.

Weszli do domu przez małą boczną furtkę, która stanowiła część wielkich drewnianych odrzwi bramy. Hanno rozglądał się z zaciekawionym. Nigdy wcześniej nie był w willi, w której mieszkali gospodarze. Prosta elegancja, z jaką została urządzona, bardzo mu się spodobała. Domy w Kartaginie były zazwyczaj budowane z myślą o funkcjonalności, a nie o estetyce. Piękne mozaiki i barwne malunki na ścianach stanowiły raczej wyjątek niż regułę.

W perystylu trwały przygotowania do walki. Fabrycjusz i Kwintus krążyli wokół siebie niecierpliwie. Byli ubrani w proste tuniki z pasami, a uzbrojeni w drewniane miecze i okrągłe tarcze, używane przez jeźdźców.

Zatrzymali się obaj na widok Atii i Aurelii.

Fabrycjusz uniósł miecz, pozdrawiając po żołniersku swoją żonę. Atia zareagowała uśmiechem.

– Wreszcie... – Kwintus najwyraźniej czekał na siostrę.

Aurelia bardzo się starała, aby wyglądać na entuzjastycznie nastawioną do tego widowiska. *To naprawdę jest lepsze niż lekcje muzyki* – mówiła sobie.

– Już jestem...

Kwintus spojrzał na ojca.

– Gotów?

– Jeśli ty jesteś gotowy. Zaczynamy!

Zbliżyli się do siebie, unosząc miecze.

Końcówki mieczy zetknęły się z matowym trzaskiem. Walczący przez dłuższą chwilę pozostali nieruchomi – każdy starał się odgadnąć, jakie plany miał przeciwnik.

Atia klasnęła w dłonie.

– Przynieś sok owocowy – poleciła Hanno. – Kuchnia jest tam. – Wskazała mu drogę.

Hanno oderwał wzrok od walczących.

– Tak jest, pani.

Ruszył niespiesznie w kierunku kuchni, w tempie, do którego przyzwyczał się jako niewolnik skrzepowany kajdanami. Szedł wolno, odmierzając kroki. Dzięki temu mógł kątem oka obserwować przebieg walki.

Pierwszy zaatakował Kwintus. Zatoczył mieczem łuk ku dołowi, odrzucając broń ojca ku ziemi. Wydłużył ten ruch i po szybkim piruecie mierzył prawą ręką w pierś przeciwnika. Fabrycjusz błyskawicznie zablokował ten cios tarczą. Stęknął głośno, gdy ją unosił. Waga miecza przy takim zamachu sprawiła, że Kwintus nie mógł wystarczająco szybko cofnąć ręki, odsłaniając swoje prawe ramię. Wiedząc, że ojciec od razu wykorzysta jego słabość, zrobił rozpaczliwy unik w lewo, zawirował i wycofał się o kilka drobnych kroczków. Fabrycjusz ruszył za nim, zasypując go prostymi, krótkimi ciosami niczym kłusującym wężem. Kwintus musiał wykazać się nie lada refleksem, odbijając te wszystkie pchnięcia.

– Nieźle... – pochwalił go Fabrycjusz. Cofnął się, aby obaj mogli złapać oddech przed

wznowieniem walki.

Kwintus był zadowolony, gdy ujrzał u swojego przeciwnika pierwszą krew. Udało mu się to dzięki zaskakującemu atakowi barkiem, który umożliwił wyprowadzenie ciosu gladiusem ponad krawędź tarczy. Końcówka miecza drasnęła lewą część tułowia Fabrycjusza. Chociaż sztych treningowego miecza nie był tak ostry, jak ten w broni wykonanej ze stali, jednak przeciął tkaninę, rozplątał skórę, rachując Fabrycjuszowi żebra. Starszy Rzymianin krzyknął z bólu, zachwiał się i zrobił kilka niepewnych kroków do tyłu. Kwintus uznał, że powinien czym prędzej wykorzystać przewagę, gdyż jego ojciec może mieć trudności z uniesieniem miecza. Już gotował się do ataku, chcąc jak najszybciej zakończyć pojedynek.

– Wszystko w porządku, ojcze? – zapytała zaniepokojona Aurelia.

Fabrycjusz nie odpowiedział córce.

– No dalej... Myślisz, że możesz mnie wykończyć? – prowokował chrapliwym głosem Kwintusa.

Rozeźlony Kwintus złapał przynętę. Zacisnął mocno palce na rękojeści miecza i ruszył naprzód. Kiedy znalazł się o krok od ojca, zrobił zwód w prawo i natychmiast w lewo. Uderzył na odlew tak szybko, że Fabrycjusz ledwo zdołał zablokować cios, nim dosięgnął jego głowy. Kwintus krzyknął triumfalnie. Natarł z jeszcze większym impetem, ale Fabrycjusz wycofał się błyskawicznie, schodząc z linii ciosu, co całkowicie zaskoczyło przeciwnika. Kwintus stracił równowagę i wylądował na ziemi. Wtedy Fabrycjusz okręcił się szybko wokół własnej osi i dotknął ostrą końcówką miecza karku Kwintusa.

– Jesteś martwy – powiedział spokojnie.

Kwintus wstał z kolan. Był zły i zawstydzony. Gdy jego wzrok padł na obserwującego ich Hanno, krzyknął w jego stronę:

– I co się patrzysz? Zajmij się swoimi sprawami!

Hanno odwrócił głowę, aby ukryć gniewny grymas na twarzy. Natychmiast ruszył do kuchni.

– Nie wyżywaj się na niewolniku! – zawołała Aurelia. – To nie jego wina, że dałeś się pokonać.

Kwintus zgromił siostrę wzrokiem.

– Uspokój się. Przegrałeś przez zbytnią pewność siebie – odezwał się Fabrycjusz. Kwintus poczerwieniał. – Wcześniej radziłeś sobie świetnie – pochwalił go ojciec. – Stojąca za nim Atia pokiwała głową na znak, że zgadza się z mężem. – Nie miałbym szans, gdybyś tylko się tak nie spieszył. Uniósł lewą rękę i pokazał Kwintusowi długie krwawiące nacięcie, ciągnące się przez pierś. – Nawet takie draśnięcie spowalnia przeciwnika. Pamiętaj.

– Będę pamiętać, ojcze. – Kwintus uśmiechnął się zadowolony z pochwały.

W tej chwili pojawił się Hanno z polerowaną tacą z brązu, na której stał wspaniały szklany dzban i cztery kubki, wykonane podobną techniką. Kwintus skinął na niego władczo.

– Chodźże tu! Chce mi się pić!

*Mały, arogancki skurczybyk* – pomyślał Hanno, ale miał dość oleju w głowie, by wykonać polecenie bez zwłoki.

Fabrycjusz zaczekał, aż każdy członek rodziny będzie miał w ręku kubek, i dopiero wtedy uniósł rękę.

– Toast! Na cześć Marsa, boga wojny. Aby jego tarcza zawsze osłaniała nas obu.

Hanno w myślach sprzeciwił się temu życzeniu i skierował swoją modlitwę do kartagińskiego boga wojny: *Niech Baal Saphon prowadzi armię Hannibala do zwycięstwa pod Saguntum. I do wiktarii w wojnie z Rzymem.*

Spragniony Fabrycjusz szybko opróżnił swój kubek i dał znak, by mu dolać. Zmarszczył

brwi, gdy poznał Hanno.

– Już całkiem zdrów?

– Prawie, panie – odpowiedział Hanno.

– Świetnie.

– Aurelia pozytywnie mnie zaskoczyła. Uznała za stosowne sprawdzić, jak zdrowieje nasz niewolnik – odezwała się Atia. – Nie ma jeszcze dość sił, aby wrócić do prac polowych, ale sądzę, że Juliusz mógłby skorzystać z jego pomocy w kuchni.

– Dobrze. To znaczy, że może też przenieść się z powrotem do pomieszczeń dla niewolników. – Widząc, że Aurelia otworzyła usta, żeby zaprotestować, Fabrycjusz uniósł ostrzegawczo rękę. – Nie jest koniem. A stajnia jest potrzebna. Powinien też zostać zakuty w kajdany. – Widząc cień niepewności na twarzy Hanno, dokończył bardziej stonowanym głosem. – Wykonuj polecenia, a Agesandros cię nie tknie. Masz moje słowo.

Hanno wymamrotał podziękowanie, ale myślami był gdzie indziej. Wiedział, że mimo zapewnień Fabrycjusza jego kłopoty się nie skończyły. Nie ulegało wątpliwości, że z jakiegoś powodu Agesandros wyjątkowo go nie lubi. Musi się mieć na baczności. Zamyślony nie ruszał się z miejsca.

Chwilę później Kwintus wyczuł jego obecność za plecami. Odwrócił się. Ich oczy się spotkały. *Wiele bym dał, aby stanąć z tobą do walki na miecze. Już ja zadałbym ci bobu.* Kwintus jakby czytał w jego myślach. Wydał wargi z pogardą.

– Co tu jeszcze robisz? Biegiem do kuchni.

Hanno, nie zwlekając, wykonał polecenie. Z wdzięcznością przyjął wysłany mu przez Aurelię ciepły uśmiech.

Mężczyźni wrócili do rozmowy.

– Czy jutro też możemy poćwiczyć, ojcze? – zapytał zapalczywie Kwintus.

– To się nazywa młodzieńczy entuzjazm! Wątpię, czy stan moich żeber by mi na to pozwolił. – Fabrycjusz skrzywił się, dotykając swojego boku. – Niemniej i tak jutro nic z tego nie będzie.

– Dlaczego?!

– Wyjeżdżam do Rzymu. Senatorzy mają debatować nad tym, jak zareagować na upadek Saguntum. Chcę tam być, żeby wiedzieć, co planują.

*Wojna!* Myśl o konfrontacji Rzymu z Kartaginą rozpałała wyobraźnię Hanno. *Mam nadzieję, że opowiedzą się za wojną. Bo i tak będą ją mieli. Prędzej czy później.*

Kwintus opuścił nos na kwintę. Wiedział, że nic na to nie poradzi.

– Jak długo cię nie będzie?

– Co najmniej dziesięć dni. Może dłużej. To zależy, czy uda mi się doprowadzić do szczęśliwego zakończenia również inną misję. – Fabrycjusz spojrzał swoimi szarymi oczyma znacząco na Aurelię. – Mówię o znalezieniu dla ciebie odpowiedniego małżonka.

Aurelia zbladła, ale nie odwróciła wzroku.

– Rozumiem. A zatem nie pozwolicie mi na luksus miłości? Takiej, jaka połączyła ciebie i mamę?

– Zrobisz to, czego od ciebie oczekujemy, do diaska! – Fabrycjusz był nieugięty.

Aurelia spłoszyła i opuściła głowę.

– Dość już tego marudzenia, dzieci – wtrąciła się energicznie Atia. – To będzie dobra okazja, aby nadgonić zaległości. Kwintusie, twój nauczyciel twierdzi, że nie radzisz sobie za dobrze z geometrią.

Kwintus jęknął z rezygnacją.

Atia zwróciła się następnie do Aurelii.



– A ty nie myśl, że ci się upiecze...

Aurelia skrzywiła się na myśl o czekającym ją pojedynku z matematycznymi równaniami. Po chwili jednak zaświtał jej w głowie pewien pomysł. Krew w żyłach zaczęła jej krążyć szybciej, gdy analizowała szczegóły swojego fantastycznego planu. Gdyby udało się go zrealizować, ani ona, ani Kwintus nie narzekaliby na dodatkowe lekcje. I przestaliby myśleć o konsekwencjach misji ojca.

Plan Aurelii był, jak wszystkie dobre plany, fenomenalnie prosty. Nie miała stuprocentowej pewności, czy uda się jej do niego przekonać Kwintusa, więc nie zdradziła mu szczegółów, aż nie minęło kilka dni od wyjazdu Fabrycjusza i frustracja brata z powodu braku ćwiczeń nie sięgnęła zenitu. Aurelia musiała wybrać właściwy moment. Gdy matka zajęła się swoimi obowiązkami, a Kwintus skończył poranne zajęcia, odszukała brata – przechadzał się znudzony, szurając sandałami, w pobliżu fontanny w centralnej części perystylu. Był zirytowany, gdyż nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

– Coś się stało?

Spojrzał na nią nachmurzony.

– Nic. Poza tym, że musiałem spędzić dwie godziny, próbując bezskutecznie obliczyć objętość walca. To niemożliwe! I żeby mi to jeszcze kiedykolwiek było potrzebne. Jakie to typowe. Po co w ogóle ci cholerni Grecy wymyślili coś tak głupiego?

Aurelia westchnęła, żeby okazać mu swoje współczucie. Sama też nie lubiła geometrii.

– Tak się zastanawiam... – zaczęła, ale celowo nie dokończyła zdania.

– Nad czym?

– Och, właściwie nad niczym... Pewnie to głupi pomysł.

Na twarzy Kwintusa pojawił się cień zainteresowania.

– Powiedz mi.

– Tak bardzo narzekasz, że ojciec wyjechał...

Skinął głową poirytowany.

– Tak. Bo nie mogę ćwiczyć walki na miecze.

– Może znajdzie się na to jakaś rada... – Aurelia uśmiechnęła się niepewnie.

Kwintus spojrzał na nią z politowaniem.

– Nie mogę codziennie jeździć do Kapui i z powrotem, żeby ćwiczyć z Gajuszem. To zabiera za dużo czasu.

– Nie o tym myślałam... – Aurelia się zawahała. *Powiedz to wreszcie! Nie masz nic do stracenia!* – Mogłabym pomóc ci w ćwiczeniach.

– Słucham? – Kwintus uniósł brwi zdziwiony tym pomysłem. – Nigdy wcześniej nie używałaś miecza.

– Szybko się uczę. Sam tak mówiłeś, gdy uczyłeś mnie strzelać z procy. – Wstrzymała oddech. Modliła się w duchu, aby się zgodził.

Usta Kwintusa powoli rozciągały się w uśmiechu. A gdy uświadomił sobie w pełni, o co Aurelii chodzi, śmiał się już od ucha do ucha.

– To może się udać! Moglibyśmy pójść na spacer do lasu. Na polankę, gdzie trenuję.

– Właśnie o tym myślałam! – zawołała zadowolona Aurelia. – Matka nie będzie się interesować tym, co robimy, jeśli tylko odrobimy pracę domową i spełnimy wszystkie obowiązki.

Kwintus zmarszczył brwi.

– Ale co ci z tego przyjdzie? Nie będziesz mogła dalej ćwiczyć, gdy już... – Spojrzał na nią. Uśmiechnął się niepewnie, z poczuciem winy.

– No właśnie! – odparła entuzjastycznie Aurelia. – Najprawdopodobniej za rok będę już mężatką. Wtedy zostanie mi tylko wychowywanie dzieci i zarządzanie gospodarstwem

domowym. Czy będę miała lepsze zajęcie, by zapomnieć o swoim losie?

– Matka cię zabije, jeśli się dowie – ostrzegł Kwintus.

W oczach Aurelii pojawił się wesoły ogień.

Kwintus nie miał wątpliwości, że jego siostra gotowa jest do końca obstawać przy swoim. Skinął głową. Tak naprawdę cieszył się, że może jej pomóc, nawet jeśli będzie to tylko pomoc tymczasowa. Nie chciałby takiej przyszłości, jaka jest jej przeznaczona.

– Zgoda.

Aurelia doskoczyła do niego i cmoknęła w policzek.

– Dziękuję. Nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy.

Następnego dnia po spełnieniu wszystkich obowiązków spotkali się w atrium. Kwintus niósł na ramieniu stary worek. W środku miał dwa drewniane *gladii*, a także kilka wnyków na zwierzynę na wypadek, gdyby matka zaczęła zadawać jakieś niebezpieczne pytania.

– Gotowy? – zapytała szeptem wyraźnie podekscytowana Aurelia.

Kiwnął głową.

Zrobili zaledwie kilka kroków, gdy z *tablinum* wyłoniła się Atia z rulonem pergaminu w ręce. Spojrzała na nich zdziwiona.

– Gdzie się wybieracie?

– Chcemy się przejść... – odpowiedziała szybko Aurelia. Uniosła wiklinowy kosz, który trzymała w prawej ręce. – Pomyślałam, że ucieszysz się z grzybów, mamo.

– A ja muszę założyć kilka pułapek – dodał Kwintus. Poklepał dłonią łuk. – To na wypadek, gdybym wytropił jelenia.

– Tylko wróćcie, zanim zrobi się ciemno. – Atia odeszła kilka kroków, po czym odwróciła się do nich. – Właściwie... możecie wziąć ze sobą tego nowego niewolnika... Hanno... Chyba tak się nazywa. Pracuje w kuchni, więc może nauczyć się czegoś o łowiectwie i dzikiej zwierzynie na naszych terenach – powiedziała z roztargnieniem.

– Dobry pomysł – rozpromieniła się Aurelia. Mimo że Hanno pracował w domu, nadal nie miała zbyt wielu okazji, żeby z nim porozmawiać.

– Naprawdę? – spytał poirytowanym głosem Kwintus. – Może uciec.

Atia wybuchnęła śmiechem.

– W kajdanach na nogach? Nie sądzę. I oboje możecie poćwiczyć z nim grekę. W ten sposób wszyscy skorzystacie.

– Tak, matko – mruknął niezadowolony Kwintus.

Atia odeszła, uśmiechając się do swoich myśli.

Aurelia szturchnęła Kwintusa.

– Niczego nie podejrzewa!

– Nie, ale musimy zabrać tego Kartagińczyka. – Kwintus się skrzywił.

– No i co? Będzie niósł worek.

– Może i masz rację... – przyznał Kwintus. – Idź po niego. Lepiej, żebyśmy się tu za długo nie kręcili.

Wkrótce szli we trójkę wąską ścieżką prowadzącą przez pola na skraj gospodarstwa. Skonsternowany Hanno zamykał pochód, szurając nogami z powodu krępujących go łańcuchów. Aurelia mile zaskoczyła go propozycją wycieczki do lasu. Mimo że przeniesienie do kuchni w pewnym stopniu chroniło go przed gniewem Agesandrosa, Hanno brakowało otwartych przestrzeni. Tęsknił też za towarzystwem Galby, Cingetoryksa i pozostałych Galów. Juliusz i inni niewolnicy pracujący w domu... No cóż, wszyscy byli mili, ale jak dla Hanno... zbyt miękcy. Tylko by plotkowali. Dzisiaj nie zobaczy się z Galami, ale ucieszył się na myśl o zbieraniu grzybów. W Kartaginie nigdy tego nie robił. No i polowanie! To mu się bardzo podobało! Dziś

nie będzie miał czasu na smutne rozmyślenia.

Kiedy jednak dotarli do dużej polany, na której rodzeństwo się zatrzymało, zaczął podejrzewać, że cel ich wycieczki jest inny. Wprawdzie Aurelia pokazywała mu po drodze grzyby, które rosły w zacienionych miejscach pod nisko zwisającymi konarami drzew, ale tylko głupiec zakładałby wnyki lub zasadzał się na jelenie na otwartej przestrzeni, jaką była rozległa polana.

Kwintus podszedł do niego.

– Daj mi worek – rozkazał.

Hanno wykonał polecenie. Chwilę później ze zdumieniem stwierdził, że w środku znajdowały się dwa drewniane miecze, które Kwintus wbił w miękką ziemię. *Bogowie! Kiedyż to ostatni raz trzymałem broń w ręku!* Gdy młody Rzymianin rzucił jeden miecz Aurelii, ciągle tak naprawdę nie rozumiał, co się właściwie dzieje.

– Uderzenie takim mieczem będzie bardzo bolało, ale jest mało prawdopodobne, że zobaczysz swoje wnętrze na ziemi.

Aurelia zamachała mieczem kilka razy.

– Wydaje się bardzo nieporęczny.

– Waży dwa razy tyle, co prawdziwy. Nie bez powodu. Dzięki temu ciężarowi budują się mięśnie. – Kwintus zauważył, że siostra marszczy brwi. – Wiesz, że nie musimy tego robić?

– Przeciwnie. Musimy – odparowała. – Pokaż mi, jak to cholerstwo poprawnie trzymać.

Kwintus uśmiechnął się szeroko, złapał nadgarstek Aurelii, żeby wzmocnić jej chwyt, gdy powoli przesuwała ręką w powietrzu.

– Jak pewnie wiesz, *gladius* zaprojektowano tak, aby nadawał się równie dobrze do cięcia, jak i do pchnięć. Ale można zamachnąć się nim też szeroko, z impetem, jak robią to jeźdźcy.

– Czy nie powinniśmy mieć tarcz?

Roześmiał się.

– Oczywiście, że tak. Tylko myślę, że gdybyśmy je wzięli, matka od razu domyśliłaby się, co planujemy. Daj mi kilka dni. Jak nadarzy się dobra okazja, na przykład gdy będzie odpoczywać w łaźni, wyniosę je z domu i schowam gdzieś na polanie.

Kwintus zaczął uczyć Aurelię, jak powinno wyglądać pchnięcie gladiusem.

– Gdy się przesuwasz do ciosu, rób to tak, żeby stopy były blisko siebie i zapewniały ci pewne podparcie. Musisz pamiętać o tym, żeby przeciwnik nie złapał cię na wy kroku.

Po jakimś czasie Hanno zaczął się nudzić. Chętnie zająłby miejsce Aurelii, ale o tym mógł tylko pomarzyć. Spojrzał na prawie pusty kosz i zakasłał, żeby zwrócić na siebie uwagę rodzeństwa.

Kwintus odwrócił się w jego stronę, marszcząc brwi.

– O co chodzi?

– Po drodze nie znaleźliśmy wiele grzybów. Może powinienem ich poszukać?

Kwintus skinął głową. Był wyraźnie zdziwiony.

– Świetnie. Tylko nie odchodź daleko. I nie myśl o ucieczce.

Aurelia spojrzała na Hanno z wdzięcznością.

– Dziękuję.

Zostawił ich. Przeszukał cały brzeg polany, wszystkie miejsca, gdzie zaczynały się drzewa, ale nic nie znalazł. Niezauważony przez Kwintusa i Aurelię zagłębił się w zarośla. Z czasem głosy rodzeństwa stawały się coraz bardziej stłumione, aż w końcu w ogóle ich nie słyszał. Promienie słoneczne przebijały się przez gęsty, zielony baldachim nad jego głową, tworząc nieregularne, jasne łaty na ciemnym mchu. Powietrze było ciężkie. Hanno wystraszył

stado ptaków, które teraz przeskakiwały z gałęzi na gałąź, pogwizdując na alarm. Po jakimś czasie poczuł się tak, jakby był jedyną osobą na świecie. Jakby był wolny. Jednak głośnie pbrzękiwanie łańcucha pętającego mu nogi przywołało go do rzeczywistości. Zaklął. Nawet gdyby spróbował ucieczki, nie zaszedłby daleko. Gdyby tylko wiadomość o jego ucieczce dotarła do Agesandrosa, ten spuściłby ze smyczy psy myśliwskie, które znalazłyby go w mgnieniu oka. No i przede wszystkim miał wobec Kwintusa dług, który należało spłacić. Westchnął i skupił się na szukaniu grzybów.

Miał szczęście. Pełny kosz uzbierał w ćwierć godziny i wrócił na polanę.

Pierwsza zobaczyła go Aurelia.

– Dobra robota! Te delikatne z płaskimi kapeluszami są naprawdę smaczne po usmażeniu. Musisz spróbować.

Hanno uśmiechnął się zdawkowo. Kwintus rzucił okiem na koszyk, ale nic nie powiedział.

– Kto pierwszy do strumienia – zawołał. – Możemy się schłodzić przed powrotem.

Aurelia nie czekała ani chwili. Zachichotała i ruszyła pędem w kierunku, z którego dochodził szmer strumyka.

– Hej! – krzyknął Kwintus. – Oszukujesz!

Aurelia nie odpowiedziała i nie zamierzała się zatrzymywać. Rzucił się za nią w pogoń.

Hanno przyglądał się ich zabawie z zazdrością, przypominając sobie stare, dobre czasy, gdy podobnie zachowywali się z Suniatonem. Potem jednak jego wzrok przyciągnęły dwa drewniane miecze, które rodzeństwo pozostawiło na ziemi. Łuk i kołczan Kwintusa leżały obok. Hanno bez zastanawiania się podniósł ćwiczebny gladius. Jak mówiła Aurelia, jego ciężar sprawiał, że trzymało się go niezbyt pewnie. Nie przeszkadzało mu to. Chwycił mocno za rękojeść. Wyprowadził cios prostą ręką. Najbardziej naturalną rzeczą było wyobrażenie sobie, że dźga w brzuch Agesandrosa.

– Co robisz?

Hanno struchlał. Odwrócił się i ujrzał ociekającego wodą Kwintusa, który przyglądał mu się podejrzliwie.

– Nic takiego – mruknął.

– Niewolnikom nie wolno używać ostrej broni. Rzuć to!

Hanno upuścił miecz, choć robił to z wielką niechęcią.

Kwintus natychmiast podniósł gladius.

– Pewnie myślałeś, jak nas wszystkich wymordować, gdy będziemy spali – powiedział twardym głosem.

– Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił – zaprotestował Hanno. *Agesandros to oczywiście inna sprawa.* – Dwa razy uratowałeś mi życie. Nigdy o tym nie zapomnę.

Kwintus nie wyglądał na przekonanego.

– Kupiłem cię przede wszystkim dlatego, żeby dać nauczkę Agesandrosowi, który tego nie chciał. A jeśli chodzi o to pobicie... Takie uszkodzenie niewolnika to marnowanie pieniędzy.

– Może i tak... – wycedził Hanno. – Ale gdyby nie ty, już dawno bym nie żył.

Kwintus wzruszył ramionami.

– Nie miej wielkich nadziei, że kiedyś uda ci się spłacić ten dług. Co mi tu może grozić?

– Kwintus wskazał ręką na worek. – Pozbieraj nasze rzeczy. Znalazłem na skraju polany dobre miejsce na wnyki.

Hanno odwrócił się, żeby Kwintus nie widział, jak się krzywi. Chwycił worek. *Niech Hades weźmie jego i jego arogancję. Powiniennem uciec. Tylko że moja duma mi na to nie pozwala. Dług to dług.*

Zanim wrócił Fabrycjusz, rodzeństwu udało się powtórzyć wypad na polanę jeszcze trzykrotnie. Atia tak bardzo ucieszyła się z grzybów, że Kwintus nie musiał jej zbyt przekonywać do tego, aby Hanno im towarzyszył. Hanno też nie miał nic przeciwko temu. Aurelia zachowywała się przyjaźnie, a i Kwintus trochę zmienił swoje nastawienie do niego. Nie była to jakaś diametralna zmiana, ale już nie patrzył na niego z góry. Hanno nie wiedział, co było tego przyczyną. Może fakt, że przyznał się, iż ma dług wobec Kwintusa?

Powrót Fabrycjusza oznaczał przerwanie sekretnych zajęć na polanie, zatem Hanno z radością przyjął wiadomość, że ojciec Aurelii i Kwintusa zaplanował kolejne wyjazdy do stolicy. Przysłuchując się rozmowom członków rodziny przy stole, Hanno zrozumiał, że debaty w senacie na temat działań przeciwko Hannibalowi planowano teraz przeprowadzać regularnie, izba bowiem nie miała w tej sprawie wypracowanego stanowiska. Niektóre frakcje opowiadały się za podjęciem negocjacji z Kartaginą, a inne domagały się natychmiastowego wypowiedzenia wojny.

– Wszyscy o wiele chętniej rozmawiają o zbliżającej się konfrontacji niż o zamążpójściu dobrze urodzonej córki republiki – zażartował Fabrycjusz w rozmowie z Atią.

Aurelia z trudem ukryła zadowolenie z takiego obrotu rzeczy, ale jej matka zacisnęła usta z rozczarowaniem.

– Naprawdę nie wpadł ci w oko nikt odpowiedni?

– Znalazłem wielu dobrych kandydatów. Po prostu potrzebuję więcej czasu.

– Chciałabym poznać tych najlepszych kawalerów. Mogę napisać do ich matek.

Zorganizować spotkanie.

Fabrycjusz kiwnął głową.

– Dobry pomysł.

*Niech to trwa jak najdłużej* – modliła się w duchu Aurelia. *W tym czasie będę mogła ćwiczyć z Kwintusem.* Z satysfakcją stwierdziła, że posługiwanie się mieczem przyszło jej całkiem naturalnie. Bardzo chciała dalej trenować. A teraz okazuje się, że będzie mogła!

Tymczasem jej brat nie zareagował na te wieści z podobnym zadowoleniem.

– Jak długo cię nie będzie, ojcze? – dopytywał się ponurym głosem.

– Nie jestem pewny. Ale to mogą być tygodnie. Na pewno wrócę do domu na Saturnalia.

Kwintus otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Saturnalia? Przecież to jest za kilka miesięcy!

– Ale to nie koniec świata – skwitował pogodnie Fabrycjusz, poklepując go po ramieniu.

– Tak czy inaczej, wkrótce i tak zaczniesz szkolenie wojskowe.

Kwintus miał coś jeszcze powiedzieć, ale interweniowała Atia.

– Ojciec ma o wiele ważniejsze obowiązki niż trening z tobą. Ciesz się, że teraz jest tu z nami.

Kwintus zamilkł, choć widać było, że ma ochotę dalej protestować.

Jego rodzice zaczęli coś szeptać, pochylając głowy.

*Pewnie dyskutują o wyborze mojego przyszłego męża* – pomyślała Aurelia z wściekłością. Kopnęła Kwintusa pod stołem i bezgłośnie wysłała mu wiadomość: „Będziemy częściej chodzić na polanę”. Kiedy jej brat uniósł brwi, jakby nie rozumiał, powtórzyła ją jeszcze raz, dodając gest wskazujący na pchnięcie mieczem – jakby trzymała go w dłoniach.

W końcu zrozumiał. Ta myśl wyraźnie poprawiła mu humor.

Hanno miał nadzieję, że Kwintus i Aurelia o nim nie zapomną. Agesandros był bezradny, jeśli on przebywał z rodzeństwem. Co więcej, naprawdę bardzo cieszył się na te wyprawy.

– Czy nadal uważasz, że to dobry pomysł? – zapytała Atia, kiedy zostali sami.

Fabrycjusz uniósł pytająco brwi.

– Co masz na myśli?  
– Sam powiedziałeś, że teraz niewielu arystokratów zajmuje się szukaniem małżonki.  
– Tak. I co z tego wynika?  
– Może powinniśmy poczekać jeszcze z sześć miesięcy. Może rok?  
Teraz Fabrycjusz się skrzywił.  
– Co nam to da? Nie mów mi, że zaczniesz mieć wątpliwości?  
– Ja po prostu...  
– Tak?  
– Czy pamiętasz, dlaczego się pobraliśmy, Fabrycjuszu? – zapytała delikatnie.  
Na jego twarzy pojawił się skurcz wywołany poczuciem winy.  
– Oczywiście, że tak.  
– Czy to tak ciężko zrozumieć, że trudno mi pogodzić się z tym, że zmuszamy Aurelię do wyjścia za męża wbrew jej woli?  
– Dla mnie to też nie jest łatwe – wyznał Fabrycjusz. – Ale wiesz, dlaczego tak postępuję.  
– Atia westchnęła. – Staram się poprawić byt naszej rodziny. A nie mogę tego zrobić z tak wielkim długiem wiszącym nam nad głową.  
– Zawsze możesz poprosić Martialisa o pomoc.  
– Może i jestem winien tysiące didrachm lichwiarzowi z Kapui, ale nadal mam swoją dumę!  
– Martialis na pewno nie zmieniłby o tobie zdania.  
– Nie obchodzi mnie to! Nie byłbym w stanie spojrzeć mu w oczy.  
– Przecież nie straciłeś tych pieniędzy przez zakłady na wyścigach rydwanów! Potrzebowałeś ich z powodu straszliwej suszy, jaka nawiedziła te tereny przed dwoma laty. To nie wstyd przyznać się, że nie mieliśmy żadnych zbiorów, które dałoby się sprzedać.  
– Martialis nie jest rolnikiem – odezwał się Fabrycjusz, ciężko wzdychając. – Może zrozumiałby, gdyby problemy dotyczyły nieruchomości, ale...  
– Możesz spróbować – powiedziała cicho Atia. – W końcu jest twoim najstarszym towarzyszem broni.  
– Najgorzej pożyczać od przyjaciela. Nie zrobię tego. – Spojrzał jej poważnie w oczy i nie spuścił wzroku. – Jeśli nie chcemy stracić gospodarstwa, jedynym sposobem zapewnienia naszej rodzinie szczęśliwej przyszłości jest wydanie Aurelii za jakiegoś zamożnego nobila z dobrej rodziny. Już samo zaaranżowanie takiego związku będzie trzymało tego zdziercę na dystans.  
– Może i tak, ale to nie jest sposób na wyczarowanie pieniędzy ot tak, z niczego.  
– Nie. Jednak z łaską bogów zdobędę więcej uznania w czasie tej wojny niż podczas poprzedniej. Kiedy się skończy, z pewnością dostanę wysokie stanowisko w lokalnej administracji.  
– A jeśli nie?  
Fabrycjusz zamrugnął nerwowo.  
– Wówczas wszystko będzie zależało od Kwintusa. Dzięki właściwemu patronowi łatwo zostanie trybunem. Roczne wynagrodzenie na tym stanowisku sprawi, że nasze długi będą wydawać się kropelką w morzu. – Pochylił się i pocałował żonę. – Widzisz? Wszystko przemyślałem.  
Atia nie miała serca do tego, aby się sprzeciwiać. Nie mogła zmusić Fabrycjusza, aby poprosił Martialisa o pomoc, a żaden inny pomysł nie przychodził jej do głowy. Uśmiechnęła się promiennie, próbując nie myśleć o innym, całkowicie możliwym scenariuszu.  
*A jeśli nie wrócisz z wojny? Co, jeśli Kwintus nigdy nie zostanie trybunem?*

Przez następne tygodnie Kwintus i Aurelia regularnie chodzili na polanę ćwiczeń. Atia nie protestowała. Cieszyła się z ciągłych dostaw grzybów czy orzechów. Czasami Kwintus przynosił z lasu ustrzeloną sarnę lub jelenia. Ponieważ Aurelia twierdziła, że Hanno ma wielki udział w zdobywaniu tych dóbr, Kartagińczyk mógł towarzyszyć rodzeństwu w wyprawach. Ku zaskoczeniu Hanno Aurelia naprawdę coraz lepiej posługiwała się mieczem. Do tego stopnia, że Kwintus zdecydował, iż mogą już używać tarcz. Niebawem przyniósł też dwa ostre gladiusy.

– Chcę, abyś po prostu wiedziała, czym różni się walka na prawdziwe miecze – powiedział, wręczając broń Aurelii. – Dlatego teraz proszę bez żadnych niemądrych zabaw.

Hanno z ogromną przyjemnością przyglądał się długiemu, zwężającemu się w środku ostrzu. Gladius nie różnił się bardzo od broni, której używał w Kartaginie.

Kwintus dostrzegł jego zainteresowanie gladiusem i zmarszczył brwi.

– Wiesz, jak się tym posługiwać?

Hanno błyskawicznie wrócił do rzeczywistości.

– Tak – odezwał się cicho z nutką niechęci. – Ojciec mnie uczył.

Hanno celowo nie wspominał o braciach.

– Jest żołnierzem?

– Był – skłamał Hanno. *Im mniej wie, tym lepiej.*

– Walczył na Sycylii?

Hanno z ociąganiem skinął głową.

Kwintus wyglądał na zaskoczonego.

– Tak jak mój! Kilka lat służył w kawalerii. Mówił mi, że twoi ludzie byli godnymi przeciwnikami, którym brakowało tylko przyzwoitego przywódcy.

*Już nie brakuje! Hannibal wszystko zmieni.* Walcząc o zachowanie kamiennej twarzy, wzruszył ramionami.

– Może...

Kwintus chciał zapytać o coś jeszcze, ale przeszkodziła mu Aurelia.

– No, dalej! Ćwiczmy!

Hanno z ulgą przyjął słowa Aurelii, bo Kwintus jej posłuchał. Zaczęli ostrożnie ćwiczyć posługiwanie się prawdziwymi gladiusami.

Hanno uznał, że warto sprawdzić wnyki. W pewnej odległości od polany natknął się na ślady dzika. Wrócił do rodzeństwa tak szybko, jak tylko pozwoliły mu na to kajdany. Mięso z dzika było bardzo cenione z powodu bogatego smaku. Zwierzęta te rzadko pokazywały się ludziom i trudno je było wytropić. Uznał, że warto na niego zapolować. Wieści przyniesione przez Hanno przekonały Kwintusa do przerwania zajęć z Aurelią. Rzymianin schował *gladii* do pochew, a potem zawinął je w koc i włożył do plecaka.

– Chodźcie! – zawołał, chwytając łuk.

Aurelia ruszyła za nim. Ona również cieszyła się na myśl o podchodzeniu dzika.

Przeszli może ze sto kroków i okazało się, że Hanno za nimi nie nadąża.

– Szybciej nie dam rady – wyjaśnił poirytowanemu rodzeństwu, które musiało zwolnić, żeby je dogonił.

– Równie dobrze możemy teraz zrezygnować – odezwał się niezadowolony Kwintus. – Chyba, że tu zostaniesz. – Miał choć tyle wstydu, że zarumienił się, gdy to mówił.

Hanno zacisnął pięści. *To ja znalazłem te cholerne tropy. Nie ty!*

Przez chwilę zapanowała konsternacja. Zapadła nieprzyjemna cisza.

– Może uda mi się coś z tym zrobić... – oświadczyła nagle Aurelia. Sięgnęła za pazuchę i wyciągnęła pęk kluczy. Przyklękła obok Hanno i zaczęła je wypróbować jeden po drugim, aż w końcu zamek przy łańcuchach ustąpił, metalicznie klikając.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Kwintus, nie dowierając własnym oczom. Aurelia go zignorowała. Uśmiechnęła się szeroko do Hanno, po czym szybko otworzyła drugi zamek. Nie mogła pozbyć się myśli, że niewolnik z tej perspektywy wyglądał jak rzeźba greckiego atlety.

Hanno uniósł najpierw jedną, potem drugą nogę, jakby sprawdzając ich ciężar bez stalowych kajdan.

– Na brodę Baala Hammona! To niesamowicie przyjemne uczucie.

Kwintus zrobił krok w kierunku Aurelii.

– Jak, na Hades, udało ci się zdobyć te klucze?!

Aurelia pęczniała z dumy.

– Wiesz, że Agesandros lubi wieczorami trochę popić. Często jeszcze przed *vespera* chrapie jak zabity. Należało tylko zakraść się do niego, wziąć klucze i zrobić ich odlew w wosku. A potem kowal zrobił mi kopie. Powiedziałam mu, że chcę klucze do skrzyń ojca i dałam mu kilka monet, aby nikomu nie mówił.

Kwintus słuchał osłupiały, coraz szerzej otwierając oczy ze zdziwienia. Uznał, że ten fortel był nad wyraz śmiały. Nie wyglądało jednak na to, że jest zadowolony.

– Ale dlaczego to zrobiłaś?

Aurelii już od dłuższego czasu nie podobały się kajdany na kostkach Hanno, ale nie miała zamiaru wyjawiać prawdziwych powodów swego postępcu. Większość niewolników nosiła kajdany przez wiele lat, nie zdejmowano ich do czasu, aż ryzyko ucieczki znacznie nie spadło, a niewielkiej grupie nigdy do tego stopnia nie zaufano. Naturalnie Agesandros postarał się przekonać Fabrycjusza, że Hanno należy właśnie do tej kategorii niebezpiecznych niewolników.

– Na wypadek takiego dnia jak dziś – odezwała się hardo, unosząc brodę. – Żebyśmy mogli normalnie polować.

– On ucieknie!

– Nie, nie zrobi tego – żywo zaprotestowała Aurelia. – Prawda? – zwróciła się do Hanno.

– Nie... nnnie, oczywiście, że nie. – Hanno zająknął się zaskoczony tą dziwną sytuacją i zachowaniem Aurelii. Próbował zebrać myśli.

– I masz! – Aurelia spojrzała z triumfem na brata.

– Wierzysz w to? Jest niewolnikiem!

Oczy Aurelii zapłonęły.

– Hanno jest wykształconym człowiekiem honoru, Kwintusie. I ty to wiesz!

Kwintus przyglądał się jej przez chwilę.

– Dobrze... – Przeniósł wzrok na Hanno. – Dasz słowo, że nie uciekniesz?

– Przysięgam. Niech Tanit, Baal Hammon, Melkart i Baal Saphon będą moimi świadkami – powiedział już spokojnie Hanno.

– Jeśli kłamiesz – mruknął Kwintus – sam będę cię ścigał. I odnajdę.

– W porządku. – Hanno patrzył na niego z powagą.

Kwintus skinął głową.

– No to ruszajmy.

Hanno popędził jak na skrzydłach do miejsca, gdzie znalazł ślad dzika, ciesząc się z odzyskanej swobody. Minęło już kilka miesięcy od czasu, kiedy mógł normalnie biegać. Oczywiście myślał o ucieczce, ale nie mógł złamać danego słowa.

Niestety, zwierzyna okazała się bardzo trudna do wytropienia, co niezmiernie frustrowało młodych myśliwych.

Minęła godzina, a im ciągle nie udawało się dopaść dzika. Tropy zaprowadziły ich do miejsca na stromym zboczu góry, w którym las stawał się rzadszy. W końcu zupełnie zgubili ślady. Duże płyty gołej skały oznaczały, że szanse na odnalezienie zwierzyny były coraz



mniejsze. Kwintus uniósł głowę, spoglądając na ciemniejące niebo. Zaklął.

– Niedługo będziemy musieli wracać. Nie podoba mi się myśl o spędzeniu tu nocy. Rozdzielmy się i poszukajmy śladów. To chyba najlepsze, co możemy zrobić.

Jako że Aurelia skierowała się w lewo, a Kwintus szedł środkiem, Hanno ruszył w prawo. Pokonał jakieś dwieście kroków z nosem przy ziemi, ale nie znalazł śladów dzika. Podniósł głowę, żeby przyjrzeć się zbocz. Duża jego część była pokryta niską suchą trawą. Odpowiedniął dla owiec lub kóz.

Zmarszczył brwi. Trochę wyżej stała niewielka drewniana chatka, częściowo zasłonięta przez nieregularny las sosnowy i krzaki jałowca. Z dziury w dachu unosiła się leniwie wąska smuga dymu. Otaczające domek ogrodzenie z drewnianej kraty pozwalało mu się domyślać, że ma do czynienia z owczarnią. Nie zdziwiło go to. Fabrycjusz, podobnie jak większość właścicieli ziemskich, miał kilka stad owiec, które wiosną i latem wypasali samotni pasterze, wspomagani przez specjalnie szkolone psy. W okolicy znajdowało się wiele prowizorycznych szałasów, drewnianych chatynek i byle jak skleconych szop dla zwierząt, a ich zadaniem było zapewnienie schronienia w przypadku złej pogody lub ochrona stada przed zakusami drapieżników takich jak wilki. Ku swojemu zdumieniu Hanno usłyszał charakterystyczne beczenie owiec. Spojrzał na niebo. Było jeszcze za wcześnie, aby wracać ze zwierzętami z pastwisk. Odszukał wzrokiem Kwintusa, który ciągle zajęty był tropieniem dzika. Dostrzegł też Aurelię, ona również niczego podejrzanego nie zauważyła.

Hanno już miał ostrzec ich gwizdem, ale coś kazało mu się powstrzymać. Potruchtał w stronę Kwintusa.

Młody Rzymianin spojrział na niego podekscytowany.

– Znalazłeś coś?

– Wydaje mi się, że słyszałem owce w zagrodzie – powiedział Hanno. – Chyba trochę za wcześnie?

Kwintus uniósł rękę do oczu.

– Na Jowisza! Masz rację – przyznał, zirytowany, że sam niczego podejrzanego nie zauważył. – Tutaj mieszka Libo. To dobry pasterz. Nie miga się od pracy.

Hanno poczuł skurcz żołądka.

– Nie wiem, czy to dobre rozwiązanie, ale... – Kwintus zdjął plecak i opróżnił go, wysypując zawartość na ziemię. Rozwinął płaszcz. Ostrożnie przymocował pochwę jednego z gladiusów do swojego pasa, a drugi miecz podał Aurelii, która właśnie do nich dołączyła. – Pewnie nie będziesz go potrzebowała – powiedział, uśmiechając się nieprzekonująco. Potem docisnął łączysko kolanem, żeby założyć cięciwę. W kołczanie miał dziesięć strzał. *Wystarczy* – pomyślał.

– Co się stało? – zapytała zaniepokojona Aurelia.

– Pewnie to nic takiego – odparł uspokajająco Kwintus. – Ale mam zamiar sprawdzić z Hanno tamtą chatę.

W oczach Aurelii dostrzegł lęk, ale kiedy dziewczyna się odezwała, miała pewny głos.

– Co mam robić?

– Zostań tutaj – rozkazał Kwintus. – Ukryj się. Pod żadnym pozorem nie idź za nami. Jasne?

Skinęła głową.

– Jak długo mam czekać?

– Ćwierć godziny. Nie więcej. Jeśli po tym czasie nas nie będzie, wróc do gospodarstwa tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. Znajdź Agesandrosa i powiedz mu, żeby zabrał ze sobą dużo ludzi. Dobrze uzbrojonych.

Usłyszawszy to, Aurelia zaniepokoiła się nie na żarty.

– Nie idź tam... – szepnęła. – Powiedzmy o wszystkim Agesandrosowi.

Kwintus zastanawiał się przez chwilę.

– Libo mogło się coś stać. Muszę to sprawdzić – oświadczył. Poklepał uspokajająco Aurelię po ramieniu. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

Dziewczyna zrozumiała, że nie przekona brata. Chciała podejść do Hanno, ale zatrzymała się w pół kroku.

– Niech Mars ochroni was obu – wyszeptała, złoszcząc się na siebie z powodu drżącego głosu.

*Niech Baal Saphon spojrzy na mnie łaskawym okiem* – pomyślał Hanno, oddając się pod opiekę kartagińskiego boga wojny.

Zostawili Aurelię za pnem dużej sosny, skąd śledziła ich poczynania, a sami zaczęli wspinać się po ostrym stoku. Kwintus z zaskoczeniem przyjął ledwo dostrzegalną zmianę, która właśnie zaszła w jego relacjach z młodym niewolnikiem. Chociaż nie zauważyli żadnego ruchu w pobliżu zagrody, zbliżając się do chaty pasterza obaj instynktownie wykorzystywali naturalne osłony, krzewy i drzewa. Zachowywali się tak, jak żołnierze podchodzący wroga. *Nie bądź głupi. On jest tylko niewolnikiem.*

– To jakies zbiry – mruknął do siebie pod nosem Kwintus. – Bo któż by inny?

– Gdybym był u siebie pod Kartaginą, zakładałbym to samo – odezwał się Hanno.

Kwintus zaklął.

– Ilu ich może być?

Hanno wzruszył lekko ramionami. Żałował, że nie ma żadnej broni. Nie zaskoczyło go, że Kwintus dał drugi miecz Aurelii, i starał to sobie wytłumaczyć, ale czuł z tego powodu irytację.

– Obaj możemy tylko zgadywać.

Kwintus nagle uświadomił sobie, że zaschło mu w ustach.

– A co, jeśli będzie ich zbyt wielu?

– Postaramy się nie narobić w gacie i czołgając się na brzuchach, wycofamy się stamtąd – odpowiedział spokojnie Hanno, jakby nie targały nim skrajne emocje. – A potem ściągniemy pomoc.

– To chyba dobry plan. – Kwintus mimo woli się uśmiechnął.

Nadal wspinali się w milczeniu. Ostatnią osłoną przed budynkiem, w którym przebywał pasterz, było karłowate drzewo cyprysowe. Dotarli do niego bez trudności. Niezauważeni. Oczekali dłuższą chwilę, aby uspokoić oddechy. Co chwilę na zmianę zerkali zza drzewa na zagrodę i lichą przybudówkę ze skośnym dachem. Kwintus zaczął liczyć owce, poruszając przy tym ustami.

– Wychodzi mi ponad pięćdziesiąt – szepnął. – To całe stado Libo.

*Myśl logicznie* – kołatało się w głowie Hanno.

– Może jest chory?

– Wątpię. Libo to twardy pasterz. Zawsze był zdrowy jak koń. Przez całe życie mieszka w górach.

– Poczekajmy zatem chwilę – zaproponował Hanno. – Nie ma sensu się spieszyć. Mamy czas. Musimy ocenić sytuację i wykorzystać przewagę.

Kwintus się zachnął. *Niewolnicy nie doradzają swoim właścicielom!* A jednak Kartagińczyk radził dobrze. Przygryzł wargę i wyciągnął z kołczana ulubioną strzałę z lotkami z gęsich piór. Zabijał nią wiele razy. *Tylko nigdy nie strzelałem do człowieka* – pomyślał z obawą. Kwintus wciągnął głęboko powietrze, a potem powoli je wypuszczał. *Może do tego nie dojdzie.* Wolał być przygotowany. Wyjął trzy kolejne strzały i wbił je w ziemię u swoich stóp.

Nagle uświadomił sobie, że jeśli w chacie rzeczywiście są bandyci, to może być ich cała zgraja. A jego łuk był jedynym atutem. I może nie wystarczyć. Kwintus był świadomy, że ta sytuacja niesie ze sobą poważne zagrożenie, ale niepokoiło go też, że naraża na nie siostrę. Odwrócił się do Hanno.

– Jeśli coś mi się stanie, musisz się stąd wydostać i odprowadzić Aurelię w bezpieczne miejsce. Rozumiesz?

*Już za późno, żeby ci powiedzieć, że powinieneś być dać ten miecz mnie* – pomyślał gniewnie Hanno. Wtedy byłoby nas dwóch przeciwko tym zbirom w chacie. Skinął głową.

– Oczywiście.

Nie musieli długo czekać na ruch w chacie, która oddalona była może ze dwadzieścia kroków od nich. Usłyszeli kasłanie i chrząkanie, jakby ktoś właśnie się obudził. Kwintus zeszytniał. Próbował wsłuchać się w odgłosy. Hanno robił to samo. Potem usłyszeli skrzypnięcie drzwi po drugiej stronie chatynki. Pojawiła się jakaś niewysoka postać w kamizelce z owczej skóry, założonej na zwykłą tunikę. Mężczyzna przeciągał się i ziewał, po czym rozsypał sznurek u spodni i zaczął się załatwiać. Promienie słońca rozświetlały żółty łuk jego moczu.

Kwintus zaklął pod nosem.

Mimo że ta reakcja nie pozostawiała złudzeń co do tego, kim był mężczyzna, Hanno musiał mieć pewność.

– Czy to ten pasterz? – wyszeptał.

Wargi Kwintusa ułożyły się w słowo „nie”. Ostrożnie założył swoją ulubioną strzałę na cięciwę i wycelował.

– Czy to może być inny pasterz?

– Nie rozpoznaję go. – Kwintus napiął cięciwę, aż gęsie pióra u podstawy strzały prawie dotknęły jego ucha.

– Czekaj! – Hanno syknął. – Musisz być pewny.

Kwintus znów poczuł ukłucie złości spowodowane tonem Hanno. Niemniej jednak nie zwolnił strzały. On też nie chciałby zabić przez przypadek niewinnego człowieka.

– Cecyliusz? Gdzieżeś polazł? – pytał drugi mężczyzna z wnętrza chaty.

Chłopcy zamarli.

Mężczyzna wzdrygnął się i zaczął podciągać spodnie.

– Tutaj – odparł leniwie. – Leję na pasterza. Chcę się upewnić, że na pewno nie żyje.

Z chaty usłyszeli głośny ryk śmiechu.

– Mała szansa, żeby ten skurkowaniec jeszcze dychał po tym, co mu zrobiłeś.

– No akurat ty, Balbus, masz w tym swój udział – powiedział ktoś trzeci. – Wrzeszczał najgłośniejszy, kiedy użyłeś rozpalonego do czerwoności żelaza.

Kwintus rzucił Hanno przerażone spojrzenie.

Mężczyzna nazwany Balbusem miał głęboki, nieprzyjemny śmiech.

– Jak myślisz, Pollio? – Na to pytanie nie było odpowiedzi, ale po chwili usłyszeli odgłos przypominający kopnięcie. – Obudź się, opoju!

– Jak mu zaraz wjadę butem w rzyć, to szybko wstanie! – ryknął Cecyliusz, kierując się w stronę drzwi.

Hanno miał już powiedzieć Kwintusowi, żeby strzelał, zanim będzie za późno, ale dostrzegł kątem oka rozmytą smugę strzały, która błysnęła mu jasnymi lotkami przed oczyma. Poszybowała w sam środek klatki piersiowej Cecyliusza. Mężczyzna otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, po czym opadł na kolana i przechylił się na bok. Wydał z siebie kilka stłumionych dźwięków i szybko przestał się ruszać.

– Świetny strzał – szepnął Hanno. – Jeszcze trzech.

– Przynajmniej... – Kwintus starał się nie myśleć o tym, co zrobił. Założył kolejną strzałę i czekał. Drewniana chatynka stała tak, że jeśli ktoś z wewnątrz tylko wystawiłby głowę za próg, od razu zauważyłby ciało Cecyliusza, nie narażając się na strzały. *Jowiszu, największy i najlepszy* – błagał w duchu Kwintus – *niech następna szumowina wyjdzie prosto pod moją strzałę.*

Hanno zacisnął zęby. On też dobrze wiedział, jak wielkie grozi im niebezpieczeństwo.

– Cecyliusz? Potknąłeś się o swojego kutasa? – spytał Balbus.

Nikt mu nie odpowiedział. Chwilę później w polu widzenia pojawił się dobrze zbudowany mężczyzna o długich, przetłuszczonych włosach. Wystarczyła chwila, aby zauważył ciało kompana i dostrzegł promień wystający z jego piersi. Krzyknął ostrzegawczo. Odwrócił się i szybko skrył w bezpiecznej chacie.

Kwintus wypuścił drugą strzałę. Leciąca prosto i pewnie, wbijając się z mięsistym odgłosem w prawy bok Balbusa. Zbir zaklął z bólu, ale zdołał ukryć się za drzwiami.

– Pomóżcie mi! Oberwałem.

Ze środka chaty dobiegły ich odgłosy zamieszania i gniewne krzyki. Hanno słyszał, jak Balbus woła:

– Cecyliusz nie żyje. Dostał prosto w serce. Nie, Sejanusie, nie wiem do ciężkiej cholery, kto to zrobił. – Potem słyszeli już tylko niedające się zrozumieć szemranie.

– Wiedzą, że jestem niedaleko – wyszeptał Kwintus, nagle zastanawiając się, czy nie ugryzł przypadkiem za dużego kawałka, którego nie da się przełknąć. – Ale nie mają pojęcia, że jestem sam. Jak zareagują?

Hanno spojrział na niego gniewnie. *Nie jesteś sam, arogancki głupcze.*

– A ty co byś zrobił?

– Spróbowałbym uciec – powiedział Kwintus, zakładając kolejną strzałę.

Gdy tylko wybrzmiały te słowa, usłyszeli głośnie trzaski. Tylne ściana chaty przestała istnieć – rozpadła się w chmurze drzazg i pyłu. Z otworu wyskoczyło trzech oprychów, kierując się prosto na nich. Prowadził chudy bandzior w poplamionej winem tunice, który trzymał w dłoniach włócznię używaną do polowań. *To musi być Pollio* – pomyślał Hanno. Tuż za nim zobaczyli wielkiego draba uzbrojonego w okutą metalem pałkę. Hanno mrugnął, nie wierząc w to, co widzi. To nie był Balbus, gdyż ten znajdował się dwa kroki za nim. Jedną ręką trzymał się za bok, z którego wciąż wystawała strzała, a w drugiej ścisnął porzuciwiony miecz. Chociaż drugi zbir był dwa razy większy od Balbusa, wyglądał jak jego wierna kopia. Ci mężczyźni musieli być braćmi.

Przez jedno uderzenie serca cała piątka gapiła się na siebie oniemiała.

Pierwszy zareagował Pollio.

– To tylko dzieciaki! Jeden nie jest nawet uzbrojony – krzyknął. – Zabić ich!

Jego towarzysze nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Wyjście wniebogłosy, cała trójka ruszyła bez wahania do ataku.

Dzieliło ich może z piętnaście kroków.

– Szybko! Musisz trafić chociaż jednego z nich! – Hanno popędzał Kwintusa.

Serce Kwintusa szalało. Miał problem z dobrym osadzeniem tyłca promienia. Gdy już udało mu się wsunąć cięciwę w osadę, śpiesząc się, uwolnił ją za wcześnie. Strzała odbiła się bokiem od ramienia Pollio i trafiła w rumowisko, w które zamieniła się chata. Nie miał już czasu, aby sięgnąć po kolejną. Atakujący znajdowali się za blisko. Odrzucił łuk i dobył miecza.

– Uchodź! Wiesz, co zrobić!

Hanno zdawał sobie sprawę, że jeśli zostanie, bez broni czeka go pewna śmierć.

– Nie gońcie go! – zawołał Pollio. – Ten chmyz wygląda, jakby mógł iść z wiatrem

w zawody.

Kwintus ledwie zdążył pomyśleć o krótkiej modlitwie do Jowisza, a Pollio już przeskoczył przez leżącą na ziemi kłodę i był obok niego.

– Więc to ty wykończyłeś człowieka, który wyszedł się tylko odlać – warknął oprych i rzucił się na niego z włócznią.

Kwintus zrobił unik.

– Dostał to, na co zasłużył.

Pollio atakował go uparcie, dźgając raz za razem.

– Pasterz nie mógł liczyć na tak szybką śmierć.

Próbował nie myśleć o Libo ani o tym, że napastników było trzech, a on jeden. Trzymając gladius wysoko obiema dłońmi, koncentrował się na odbijaniu włóczni. Sejanus, ten wielki, znajdował się jeszcze parę kroków za pierwszym atakującym, Kwintus jednak stracił gdzieś z oczu Balbusa. *Gdzie zniknął ten sukinsyn? Może i jest ranny, ale nadal ma broń.* Zrobiło mu się niedobrze. *Ten pies może za chwilę dźgnąć mnie w plecy.* Przyszło mu do głowy, że powinien zająć lepszą pozycję, przy drzewie, tak aby pień chronił jego tyły. Przejął inicjatywę i kilka razy spróbował zaatakować Pollio, aby zyskać czas na decyzję, kiedy się od niego oderwać. We właściwej chwili odskoczył kilka kroków w kierunku drzewa, które znajdowało się najbliżej. Był to duży cyprys z szerokim pniem. *Tam przynajmniej będę miał jakąś szansę.*

Udało mu się dopaść pnia.

Problem polegał jednak na tym, że chwilę później został otoczony przez szczerzących zęby bandytów.

– Poddaj się teraz, a obiecuję ci szybką śmierć – powiedział Pollio. – Nie zginiesz w męczarniach, jak ten tam biedak.

Nawet ranny Balbus się roześmiał.

*Co ja zrobiłem?* Kwintus przełykał dławiącą gulę strachu.

– Pieprzone szumowiny! Zabiję was wszystkich!

– Tak ci się wydaje? – szydził Pollio. – Dokonałeś wyboru.

Pollio zaatakował bez ostrzeżenia, tym razem niesygnalizowanym ruchem prosto w brzuch. Kwintus skoczył w bok. Już wiedział, że zareagował za późno, Sejanus bowiem zamachnął się pałą, celując w miejsce, gdzie próbował uskoczyć. W akcie absolutnej desperacji spróbował jeszcze ugiąć kolana i znaleźć się bliżej ziemi. Okuty drąg trafił w pień drzewa z głośnym łomotem. Świadomość tego, że cios – gdyby go trafił – roztrzaskałby mu czaszkę, dodała mu sił. Energicznie wybił się z ugiętych nóg, wykorzystując cały impet, i przejechał ostrzem miecza po ramieniu Sejanusa. Z przyjemnością obserwował, jak z rozcięcia na rękę wielkoluda tryska krew. Rana nie była śmiertelna, ale wystarczyła, aby przeciwnik zasyczał z bólu i odstał. Kwintus nie cieszył się jednak zbyt długo swoim sukcesem. To było za mało, aby wyeliminować tego dryblasa na dłużej. Jeśli myślał o przetrwaniu, to musiał natychmiast poważnie zranić lub zabić przynajmniej jeszcze jednego.

I wtedy otrzymał uderzenie głownią miecza w bok głowy. Było tak mocne, że zobaczył gwiazdy. Nogi mu zmiękły i padł na ziemię na wpół przytomny.

Hanno przebiegł mniej więcej pięćdziesiąt kroków, zanim odważył się spojrzeć za siebie. Zadowolony, że nikt go nie ściga, pokonał kolejne pięćdziesiąt, po czym znów odwrócił głowę. Był sam. Nic mu nie groziło. Był bezpieczny. Aurelia też.

*Ale co z Kwintusem?* – pomyślał z przerażeniem.

*Uciekłeś. Tchórz!* – odezwało się sumienie Hanno.

*Kwintus mi kazał – bronił się. Ten dureń nie potrafił zaufać mi na tyle, żeby dać broń do ręki.*

*Czy to znaczy, że powinienem zostawić go na pewną śmierć? Jego sumienie nie dawało za wygraną. Jaką ma szansę sam przeciwko trzem dorosłym zbirom?*

Zatrzymał się gwałtownie. Zawrócił i zaczął wspinać się pod górę tak szybko, jak tylko potrafił. Pilnował kroków. Gdy doliczył do osiemdziesięciu, zwolnił do truchtu. Między drzewami widział już, że trzech oprychów pochyla się nad nieruchomą postacią. Gdy chował się za krzakiem, strach znów zatopił swe pazury w jego żołądku. *Nie! On nie może być martwy!* Kiedy kopnięcie Pollio sprawiło, że Kwintus jęknął, Hanno odetchnął z ulgą. *Jeszcze żyje. Ale nie wiadomo, jak długo. Zacisnął bezsilnie pięści. Co mam robić, na Baala Saphona!?*

– Zabierzmy go do chaty – powiedział Pollio.

– Po co? – zdziwił się Balbus. – Możemy po prostu zabić tego skurwiela tu, na miejscu.

– Tam mamy rozpalony ogień, głupełu! Jeszcze nie zgasł – odrzekł Pollio ze śmiechem. – Jesteś ranny. My z Sejanusem damy radę.

Balbus rozciągnął usta w okrutnym uśmiechu.

– Słusznie. Z pewnością zabawimy się lepiej w odrobinie cieplejszej atmosferze. Patrzył, jak towarzysze chwycili Kwintusa pod pachy i zaczęli go ciągnąć w stronę chaty. Młody Rzymianin nie opierał się, ale oni trzymali broń w pogotowiu.

*To moja szansa* – pomyślał Hanno. Wszyscy trzej byli teraz odwrócenii do niego plecami, a Balbus szedł jakieś pół tuzina kroków za swoimi kompanami. Hanno poczuł suchość w ustach. Prawdopodobieństwo, że się uda, było naprawdę niewielkie. Jeśli nie da rady uratować brata Aurelii, zginie albo czekają go tortury, jak Kwintusa. Ciągle jeszcze może uciec. Zalała go fala pogardy do samego siebie. *Uratował cię przed Agesandrosem, pamiętasz?*

Hanno zacisnął zęby i opuścił bezpieczne miejsce za krzakiem. Na szczęście gęsty, wilgotny mech tłumiał jego kroki i mógł szybko niezauważony dopaść najbliższego opryszka. Balbus ociągał się trochę, zostając w tyle za kompanami, którzy na przemian to narzekali, że Kwintus jest za ciężki, to rozwodzili się nad tym, jakim torturom go poddadzą. Hanno nie spuszczał z oka miecza pokrytego plamami rdzy, który Balbus trzymał w prawej ręce i wywijał nim nonszalancko. Najpierw *musiał* zdobyć broń. Potem zabije jednego z tych rzezimieszków. A potem... Nie wiedział. Będzie musiał zaufać boskiej opatrności.

Na szczęście jego pierwszy cel nie wyczuł, że się zbliża. Dobrze przymierzył, a następnie wyprowadził cios w okolice rany, tam gdzie wbiła się strzała Kwintusa. Gdy wyjący z bólu oprych wypuścił miecz z ręki, złapał go pewnie i przerzucił do prawej ręki, niemal nie przerywając biegu. Teraz już pędził w kierunku dwóch pozostałych członków szajki.

– Hej, wy!

Na twarzach oprychów najpierw pojawiło się zaniepokojenie, a potem strach. Upuścili Kwintusa na ziemię, jakby był workiem zboża. *Bogowie, nie pozwólcie, żeby go zranili. Proszę.*

– Ty musisz być niewolnikiem – syknął Pollio. – Wcześniej byłeś nieuzbrojony. Dlaczego do nas nie dołączysz?

– Pozwolimy ci zabić swojego właściciela. Zrobisz to tak, jak będziesz chciał – zaproponował Sejanus.

Hanno nie skomentował tej propozycji ani słowem. Sejanus znajdował się najbliżej, więc to właśnie na nim skupił się w pierwszej kolejności. Wielki drab może i cierpiał z powodu rany, ale wciąż z pałąką w ręku był śmiertelnie niebezpieczny. Hanno uchylił się przed potężnym ciosem, potem uniknął kolejnego, ale już widział, że Pollio mierzy w niego włócznią. Zdesperowany cofnął się o kilka kroków. Sejanus skoczył za nim, ale tym samym zasłonił Hanno przed Pollio. Jego towarzysz zaklął, co trochę zbiło z tropu Sejanusa.

Hanno musiał wykorzystać ten moment zawahania. Wielkolud otworzył szeroko oczy, zaskoczony, gdy Hanno zagłębił sztych w jego brzuchu. Rozległ się okropny odgłos zasysania,

gdy ostrze wysunęło się z ciała zbira. Ziemię zrosiła fontanna krwi. Sejanus ryknął w agonii. Pałka wypadła mu z pozbawionych czucia palców, gdy instynktownie złapał się obiema rękami za brzuch.

Hanno już zwił się w piruecie, aby stawić czoła Pollio. Krótka włócznia wystrzeliła w jego stronę, mijając prawe ramię o palec. Serce waliło mu jak młotem. Uskoczył do tyłu. Musiał zorientować się, co robi Balbus. A ten, z grymasem bólu, już gotował się do walki. Trzymał w dłoniach jakiś konar. *Nie zabije mnie, ale jeśli trafi, z pewnością zwali z nóg*. Panika już zaciskała mu gardło, a ręka, w której trzymał miecz, niezauważalnie zadrżała.

*Weź się w garść! Kwintus cię potrzebuje.*

Hanno wyrównał oddech. Patrzył Balbusowi prosto w oczy.

– Chcesz skończyć z mieczem w kiszczach? Mało ci strzały?

Balbus drgnął. Hanno wiedział, że jeden z nich zginie. Jego ojciec lubił powtarzać: „Jeśli sprawisz, że wróg struchleje ze strachu, wykonałeś połowę roboty, aby wygrać walkę”.

– Kartagina! – ryknął i zaatakował. Nawet jeśli Pollio wbije mu włócznię w plecy, Balbus umrze.

Balbus przestraszył się śmierci patrzącej na niego oczami Hanno, który rozpoczynał właśnie samobójczą szarżę. Opuścił kloc drewna i uniośł ręce w powietrze na znak, że się poddaje.

– Nie zabijaj!

Hanno nie mógł sobie pozwolić na zaufanie zbirowi. Nie wiedział poza tym, co robi Pollio. Opuścił prawy bark i z całym impetem uderzył w pierś Balbusa, zwalając go z nóg.

Kiedy odwrócił się, żeby zlokalizować ostatniego przeciwnika, okazało się, że chudy rzezimieszek czmychnął. Machając rękami i nogami, jakby gonił go sam Cerberus, wspinał się już na stok ponad chatką pasterza. Hanno wkrótce stracił go z oczu. *Niech sukinsyn zwiewa* – pomyślał zmęczony. *Już nie wróci*. Parę kroków od niego Balbus jęczał i zwił się z bólu na ziemi. Trochę dalej leżał Sejanus, półprzytomny z upływu krwi.

Walka dobiegła końca.

Przez moment pozwolił sobie na upajanie się zwycięstwem, potem pomyślał o Kwintusie.

Podbiegł do młodego Rzymianina. Ku jego wielkiej uldze Kwintus uśmiechnął się do niego.

– Wszystko w porządku? – zapytał Hanno.

Kwintus uniośł rękę, macając się po głowie, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu.

– Oprócz guza wielkości jabłka. I mam wrażenie, że Jowisz rzuca piorunami wewnątrz mojej czaszki. Poza tym... będę żyć. Tak mi się wydaje.

– Niech dzięki będą bogom – odparł gorliwie Hanno.

– Nie. Podziękowania należą się tobie. Za to, że wróciłeś. Za to, że nie wykonałeś moich poleceń.

Hanno poczerwieniał.

– Nie byłbym w stanie żyć z poczuciem winy, gdybym nie spróbował.

– Wcale nie musiałeś tego robić. Nawet gdy wróciłeś, mogłeś zgodzić się na propozycję tych łotrów. I wystąpić przeciwko mnie. – W głosie Kwintusa dało się wyczuć zawahanie. – Zdecydowałeś się walczyć z całą trójką. I wygrałeś.

– Ja... – Hanno nie wiedział, co powiedzieć.

– Przeżyłem tylko dzięki tobie – ciągnął Kwintus. – Dziękuję.

Hanno pochylił głowę w reakcji na szczere wyznanie Kwintusa.

– Nie ma za co.

Gdy dotarło do nich, że udało im się wyjść cało z tak ciężkiej opresji, że przeżyli, mimo

iż nie mieli wielkich szans, zaczęli się śmiać jak wariaci. Obaj czuli, że sytuacja jest nad wyraz dziwna. Arystokrata uratowany przez niewolnika. Rzymianin w sojuszu z Kartagińczykiem. Jednak obaj też zdawali sobie sprawę z tworzącej się między nimi więzi. Z powstającego braterstwa typowego dla towarzyszy broni.

I dobrze się z tym czuli.



## Rozdział VIII



Pod murami Saguntum, Iberia

Malchus po raz kolejny powiódł wzrokiem po potężnych fortyfikacjach. Splunął.

– Są zdeterminowani. Nie ma innego wyjścia. Teraz muszą już wiedzieć, że nie otrzymają żadnej pomocy z Rzymu. Ale uparci jak ich osły Grecy i tak się nie poddadzą.

– My też nie zamierzamy zrezygnować – odpowiedział z powagą Sapho. Niska temperatura i jesienna aura sprawiały, że nad jego ustami unosił się obłoczek pary. – A kiedy wdrzemy się do miasta, obrońcy będą żałować tego, że zamknęli przed nami bramy. Sukinsyny nie zauważą nawet, skąd nadejdzie cios, a już będą martwi. Prawda, Bostarze? – szturchnął brata łokciem w żebra.

– Im szybciej padnie miasto, tym lepiej. Hannibal znajdzie sposób – odparł spokojnie Bostar, unikając konfrontacji z Sapho. Od czasu ostatniej kłótni w Nowej Kartaginie minęło już kilka miesięcy i relacje między braćmi uległy pewnej poprawie, ale Sapho nigdy nie rezygnował z okazji, by podkopać jego pewność siebie lub zakwestionować oddanie dla sprawy. *I to wszystko dlatego, że nie lubię torturować jeńców* – pomyślał Bostar smutno. *Co się z nim stało?*

W pewnym sensie nie dziwił się jednak, że Sapho stosował tortury, aby uzyskać cenne informacje, które miały pomóc im zdobyć twierdzę wroga. Minęło prawie sześć miesięcy od czasu, gdy ogromna armia Hannibala rozpoczęła oblężenie, a mimo to wcale nie była bliżej swego celu. Saguntum, miasto oddalone o milę od morza, rozciągało się na długiej, nagiej skale, która wznosiła się na jakieś trzysta, czterysta kroków nad równiną. Jego położenie sprawiało, że oblężenie i zdobycie wcale nie było prostym zadaniem. Pod grube mury można było podejść w miarę bezpiecznie tylko od zachodu, gdzie stok był najłagodniejszy, ale też to ten właśnie odcinek był najlepiej obsadzony przez obrońców. W miejscu, gdzie skała była najwyższa, wzniesiono otoczoną grubą opaską murów potężną wieżę. Hannibal postanowił zbudować obóz dla większości swoich sił w jej pobliżu, a także wzniesć długi wał, który okalał podstawę skały. Pierścień fortyfikacji wykonanych przez oblegających uzupełniały specjalne wieżyczki obserwacyjne. Siedzący w nich żołnierze mieli przede wszystkim zadbać o odcięcie miastu komunikacji. Żaden człowiek nie mógł dostać się do twierdzy ani się z niej wydostać.

– Jeśli bogowie pozwolą, to *my* będziemy tym sposobem – zauważył Malchus.

Obaj jego synowie skinęli głowami. Hannibal uhonorował rodzinę Malchusa, powierzając ich jednostkom zadanie poprowadzenia zbliżającego się ataku. Reszta wojsk – tysiące Libijczyków i Iberów – miała wejść do bitwy po nich, gdyby udało się dokonać wyłomu. Oddziały były już ustawione poniżej na stoku na pozycjach wyjściowych do szturm.

Przez twarz Sapho przebiegł skurcz. Wskazał dłonią szeregi włóczników chroniących się za masywnymi konstrukcjami czterech wień, ustawionych tak, by tworzyć „bezpieczne korytarze”, dzięki którym można zbliżyć się pod mur lub basztę z potężnym taranem. To one zadecydują, czy szturm się powiedzie.

– Ludzie są zdenerwowani. Nie dziwię się. Czekamy już godzinę. Gdzie on jest?

Bostar wiedział, że Sapho ma rację. Część ich podwładnych rozmawiała ze sobą odrobinę głośniejsz niż zazwyczaj. To była oznaka niepewności. Inni milczeli, ale ich usta poruszały się w cichej modlitwie. Powietrze nad falangą stało się tak ciężkie, że można je było ciąć nożem. *Hannibal zaraz się pokaże* – przekonywał sam siebie.

– Cierpliwości... – odezwał się Malchus.

Sapho jeszcze raz odetchnął głęboko, żeby się uspokoić. Z trudem, bo drżał z niecierpliwości, chcąc wreszcie udowodnić, ile jest wart! Pokazać ojcu, że jest najodważniejszym z jego synów.

Chwilę później ich uwagę zwrócił przytłumiony szum, który z każdą chwilą narastał, przeradzając się w groźny pomruk, rozprzestrzeniający się od tylnych szeregów.

– Słuchajcie! – odezwał się triumfalnie Malchus. – Hannibal rozmawia z wojskiem i zmierza w naszym kierunku. Od wielu rzeczy zależy, czy dowódca stanie się prawdziwym liderem. A to jest jedna z nich. Chodzi nie tylko o to, aby generał dowodził z pierwszej linii. Musi też umieć rozmawiać z ludźmi, trafiać do serc swoich podwładnych. – Skinął Bostarowi głową z aprobatą. Sapho mrknął coś pod nosem niewyraźnie.

Bostar nie wytrzymał. Sam starał się naśladować styl dowodzenia Hannibala.

– Co się krzywisz? – zwrócił się do brata. – Gdybyś tylko spróbował tak postępować, zamiast karać każde drobne naruszenie regulaminu, może twoi ludzie bardziej by cię szanowali.

Twarc Sapho pociemniała, ale nawet gdyby chciał coś odpowiedzieć, jego słowa z pewnością nie przebiłyby się przez narastający tumult. Mężczyźni zaczęli tupać nogami w regularnym, udzielającym się rytmie. Oficerowie nie próbowali nawet interweniować, bo wszyscy na to czekali. Wrzawa rosła i rosła, aż w końcu jedno słowo wybiło się z tego zgiełku: Hann-i-bal! Hann-i-bal! Hann-i-bal!

Bostar uśmiechnął się od ucha do ucha. Nie można było nie poddać się fali entuzjazmu żołnierzy. Nawet Sapho wyciągał szyję, aby zobaczyć generała.

W końcu najbliższy stojący włócznicy rozstąpili się, aby zrobić przejście małej grupce. Około dwudziestu *scutarii* tworzyło pusty kwadrat, chroniący jednego człowieka. Ta piechota iberijska była jednym z najlepszych oddziałów Hannibala. Żołnierze gwardii wodza wyróżniali się czarnymi płaszczami narzuconymi na proste tuniki oraz małymi napierśnikami. Jak zawsze byli uzbrojeni po zęby, między innymi w specjalny typ ciężkich, żelaznych włóczni zwanych *saunion* oraz długie, proste miecze i sztylety. W środku formacji znajdowała się postać, której nie widzieli jeszcze dokładnie zza szpaleru straży przybocznej. To na niego wszyscy czekali. Wreszcie w pobliżu Malchusa i jego synów *scutarii* rozstąpili się na dwie linie. I w końcu go ujrzeli w całej okazałości.

Hannibal Barkas.

Bostar wpatrywał się w generała z nieskrywanym podziwem. Hannibal nosił prosty, złożony hełm helleński z brązu jak większość wyższych rangą oficerów kartagińskich. Promienie słońca odbijały się od jego wypolerowanej powierzchni, rzucając odblaski na otaczających go żołnierzy. Padające pod niekorzystnym kątem promienie słoneczne utrudniały przyjrzenie się twarzy wodza, chociaż wyraźnie widać było jego okazałą brodę. Szerokie ramiona przykrywał ciemnopurpurowy płaszcz generalski. Pod nim Hannibal nosił tunikę w takim samym kolorze, a także bogato zdobiony srebrem, ukształtowany anatomicznie napierśnik z brązu. Pachwiny

osłaniały ułożone w warstwy płócienne paski, a łydki – lśniące brązowe nagolenniki. Na nogach miał solidne skórzane sandały. Od prawego ramienia do lewego biodra zwisał pas z niewyprawionej skóry, na którym wisiała falcata w znoszonej pochwie. Poruszał się, lekko utykając.

Dowódca *scutarii* wydał rozkaz, po którym jego żołnierze równocześnie opuścili swoje jaskrawo pomalowane tarcze, uderzając krawędziami o skałę. Charakterystyczny trzask natychmiast uciszył otaczających ich żołnierzy.

– Generał! Lew Kartaginy. Hannibal Barkas! – wykrzyknął oficer.

Żołnierze stanęli na baczność i zaszalutowali.

– Generale! – odezwał się Malchus. – Zaszczycasz nas swoją obecnością.

Końcówki ust Hannibala uniosły się ku górze w stonowanym uśmiechu.

– Spocznij. Panowie? – Zbliżył się do Malchusa. – Gotowi?

– Tak jest! Dwa razy sprawdziliśmy wszystkie maszyny oblężnicze. Każdy człowiek wie, co ma robić.

Synowie Malchusa potwierdzili jego słowa zgodnym pomrukiem.

Hannibal przyjrzał się każdemu z nich z osobna, po czym skinął głową.

– Poradzicie sobie.

– Niech Baal Saphon powali nas swoją mocą, jeśli nam się nie uda – zawołał gorliwie Sapho.

Hannibal wyglądał na lekko zaskoczonego.

– Mam nadzieję, że tak się nie stanie. Miasto kiedyś w końcu padnie, ale do tej pory oblężenie nie przynosiło powodzenia. Kto ma pewność, że dziś będzie inaczej? A cenni oficerowie są trudni do zastąpienia.

Ignorując niepewny wyraz twarzy Sapho, uśmiechnął się do Malchusa.

– Musisz wiedzieć, że dostajesz tę szansę tylko dlatego, bo ja mam trudności z biegiem.

– Dotknął dłońią ciężkich opatrunków na prawym udzie.

– Ta rana jest bardzo niefortunna, wodzu. Niemniej my jesteśmy wdzięczni za ten zaszczyt, który stanie się dziś naszym udziałem.

– Wasz zapał jest godny pochwały. – Hannibal znów się uśmiechnął.

Bostar wciąż jeszcze miał przed oczyma dramatyczne sceny sprzed kilku tygodni ze szturm podobenego do dzisiejszego. Hannibal, nienawykły do dowodzenia z tyłów, otrzymał postrzał w udo. Bostar żałował, że to nie przytrafiło się jemu, tylko głównodowodzącemu.

– Jak się goi, generale?

– Zbyt wolno jak na mój gust – oświadczył Hannibal, krzywiąc się. – Cieszę się jednak, że obrońcy tego miasta nie mają lepszych łuczników.

Ojciec i synowie roześmiali się nerwowo. Nikt nie chciał nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby rzeczywiście doszło do jakiegoś nieszczęścia.

– Nie będę was dłużej zatrzymywał. Mieszkańcy Saguntum nie mogą się już doczekać. – Hannibal wskazał dobrze obsadzone mury, a potem powiodł ręką po stromym zboczach, na którym ustawiły się do ataku oddziały kartagińskie: odwody, które miały wejść do akcji, gdy uda się zrobić wyłom w murach. – Tak samo jak oni.

– Na rozkaz! – Malchus wzniósł miecz.

Jego ludzie, którzy uważnie przysłuchiwali się tej wymianie zdań, wyprostowali się, ponownie przyjmując postawę zasadniczą.

– Bogowie! Żałuję, że nie ma z nami Hanno – szepnął Bostar.

– Że co? Czemu? – Sapho zeszywniał.

– Przez całe życie marzył o takiej chwili.

– No cóż... On nie żyje – odpowiedział mu wściekłym szeptem Sapho. – Więc tylko tracisz czas na takie rozmyślania.

– Nie brakuje ci go? – Bostar spojrział na niego gniewnie.

Sapho nie dane było odpowiedzieć.

– Na co czekacie? – zapytał Malchus, który nie słyszał tej wymiany zdań. – Na pozycje!

Bostar i Sapho zasalutowali i pospieszyli do swoich oddziałów. Każdy odpowiadał za jedną z winei, a coraz bardziej zacięta rywalizacja między nimi sprawiała, że obaj chcieli za wszelką cenę dowodzić tym oddziałem ochraniającym machinę, któremu uda się zrobić wyłom w murach umożliwiający zdobycie twierdzy. *Oczywiście wcale nie musi się mnie to udać czy Sapho* – pomyślał Bostar. Ojciec dowodził trzecią, a Alete, waleczny weteran i uczestnik wielu wojen, którego obaj bracia również podziwiali, trzymał pieczę nad czwartą osłoną.

Malchus poczekał, aż jego synowie dotrą do swoich oddziałów, i dopiero wtedy opuścił ramię.

– Naprzód!

Oficerowie zaczęli dmuchać w gwizdki, dając libijskim włócznikom sygnał do ataku. Specjalnie dobrani ludzie przekazali swoje włócznie towarzyszom, po czym zajęli pozycje przy wineach – opierali się o nie plecami lub łapali za koła. Setki żołnierzy osłaniały ich tarczami, tworząc ochronne ekrany wokół tych, którzy teraz mieli do wypełnienia ważne zadanie. Padły kolejne rozkazy powtarzane przez oficerów. Żołnierze odpowiedzialni za poruszanie machin oblężniczych naprężyli mięśnie. Winee poruszyły się i zaczęły przesuwać z głośnym skrzypieniem tuż przed obserwującym wszystko Hannibalem. Gdy pokonały około pięćdziesięciu kroków w górę zbocza, linie libijskiej piechoty drgnęły i ruszyły w ich ślady.

Z każdym krokiem znajdowali się coraz bliżej murów. Bostar poczuł żelazną obręcz, która ścisnęła mu brzuch. Teraz widział już wyraźnie twarze obrońców, którzy tylko czekali, aby rozpocząć festiwal śmierci. Aby zabić jego i jak najwięcej szturmujących. Jego ojca i brata. *Baalu Saphonie, pozwól przedrzeć się przez mury. Trzymaj swoją tarczę nad nami wszystkimi.* Gdy powietrze wypełniło się świstem pierwszych pocisków, nie mógł nie zadać sobie pytania, czy Sapho prosi o podobną ochronę dla niego.

Miał wątpliwości.

Bostar ostrożnie wystawił głowę ponad krawędź osłony. Szturm trwał może z godzinę i wyglądało na to, że idzie im całkiem nieźle. Tarany podwieszane pod dachem winei wybijały wielkie dziury w podstawie muru. Dzięki wzmocnionym i pokrytym mokrymi skórą zadaszonym machiny nie zostały uszkodzone przez deszcz płonących strzał, grad kamieni czy włócznie. W oddziale Bostara zginęło tylko piętnastu ludzi. Takie straty były jeszcze do przyjęcia. Wyglądało na to, że falangi po obu stronach, te dowodzone przez Sapho i Alete, również radzą sobie niezgorzej.

Duża część muru zawałiła się z wielkim hukiem. Ten widok wywołał na jego twarzy cierpki uśmiech. Wyłom znajdował się w połowie pozycji oddziałów jego i Sapho, więc tego sukcesu nie mógł przypisać sobie żaden z nich. Teraz jednak liczyło się coś innego. Hannibal obserwował każdy ich krok. Bostar ryknął do swoich ludzi, aby zmusić ich do jeszcze większego wysiłku. Zdawało mu się, że w zgiełku bitwy słyszy głos Sapho, który wykrzykuje podobne zachęty do swoich włóczników. Ich wysiłki zostały nagrodzone. Właśnie rozpadły się dwie baszty. A potem jeszcze jedna. Opadły do wewnątrz, dziesiątkując obsadzających ten odcinek muru żołnierzy z garnizonu, ale zabiły również wielu włóczników. W linii murów zionęła teraz wielka wyrwa. Wyłom został zrobiony. Bostar nie czekał, aż opadnie pył. Trzeba kuć żelazo, póki gorące. Zanim oszołomieni obrońcy będą mieli szansę zareagować. Krzycząc do swoich ludzi, aby chwycili za broń, przeskoczył kilka kawałków potrzaskanego muru, które leżały teraz

przed machinami. Z zadowoleniem zauważył, że żołnierze Sapho również ruszyli do ataku. Dostrzegł brata, który znajdował się może z dwadzieścia kroków od niego. Uniósł włócznię w pozdrowieniu.

– Spotkamy się w środku!

– Zaczekam tam na ciebie! – Sapho nie zamierzał dać się wyprzedzić. Odwrócił się do swoich żołnierzy, którzy rwali się do walki niczym myśliwskie psy czekające na sygnał. – Pięć złotych monet dla tego, kto pierwszy wejdzie na mury. Naprzód!

Bostar westchnął. *Nawet teraz musimy ze sobą rywalizować. Niech będzie...* – pomyślał gniewnie.

Zaczął się wyścig.

Wspinali się po stosie gruzu w iście szaleńczym tempie. Żaden z nich nie chciał dać się wyprzedzić któremuś ze swoich ludzi, mimo że każdy krok groził śmiercią. Nie tylko z powodu nieprzerwanego ostrzału z murów po bokach od wyłomu, ale także dlatego, że szybkie poruszanie się po tym niepewnym terenie było niezwykle utrudnione. Niełatwo utrzymać równowagę, trzymając włócznię w jednej ręce i tarczę w drugiej, gdy trzeba skakać z jednego kawałka gruzu na drugi. Bostar skupił się na wybieraniu bezpiecznych miejsc dla swoich stóp. Nie miał żadnego wpływu na pociski wroga, ale mógł przynajmniej uchronić się przed skręceniem kostki lub złamaniem nogi. Widział już wcześniej, jak podczas szturmów ci, którzy padali na ziemię, byli tratowani przez towarzyszy albo uśmierceni kilkoma dobrze wymierzonymi strzałami Saguntyńczyków.

Bostar jako pierwszy dotarł do najwyższego punktu obalonego muru. Chmura pyłu utrudniała oddychanie i ograniczała widoczność do kilku kroków. Nie widział obrońców. Przeszło mu przez myśl, że może tam nikogo nie ma. Jego serce skoczyło z radości, ale po chwili nadeszło otrzeźwienie. Rozejrzał się i zaklął. W tym pośpiechu znacznie wyprzedził swoich żołnierzy, którzy oddaleni byli od niego o jakieś dwadzieścia kroków w dół kopca gruzu.

– Ruszać się! To nie spacer! – ryknął.

Chwilę później z chmury pyłu wyłonił się Sapho, prowadzący co najmniej kilkunastu Libijczyków. Za nimi dało się dostrzec kolejnych. Jego brat uśmiechnął się zadowolony, gdy zobaczył, że Bostar jest osamotniony.

– Znów sam? Nie dziwię się, naprawdę. Nic tak nie podnosi morale jak obietnica złota.

Bostar z trudem powstrzymał się, aby nie powiedzieć głośno tego, co instynktownie miał już na końcu języka.

– Nie czas na takie bzdury – warknął. – Zabezpieczmy ten cholerny wyłom. Kłócić możemy się później.

Sapho wzruszył z lekceważeniem ramionami.

– Jak sobie życzysz. – Wskazał włócznią swoich ludzi. – Trzecia falanga! Do mnie! Tworzyć linię!

W międzyczasie do Bostara dotarła pierwsza czwórka jego ludzi. Mógł tylko patrzeć z frustracją, jak jego brat prowadzi swoich włóczników w dół. Oczywiście zaraz do niego dołączy, ale to w pewnym sensie była jego porażka. Chwilę później jednak Bostar dziękował bogom, że to nie on pierwszy minął linię murów. Z chmury pyłu po drugiej stronie wyskoczyły chmury wrzeszczących obrońców. Każdy z nich był uzbrojony w *falarica*, długi, ciężki oszczep, w którego środkowej części tkwiła kula zwiniętego, nasączonego smołą materiału. Oszczepy płonęły!

– Uwaga! – Bostar krzyknął, chociaż wiedział, że już za późno na jakiegokolwiek ostrzeżenia.

Saguntyńczycy odprowadzili ręce do tyłu i na rozkaz dowódcy wyrzucili ogniste pociski.

Mierzyli nisko. Powietrze przecięły dziesiątki błyskawic z płomieni. Linia włóczników Sapho drgnęła i się zatrzymała. A potem *falaricae* zebrały swoje śmiertelne żniwo. Przebijały tarcze. Okaleczały. Zabijały na miejscu. Zdaniem Bostara śmierć w płomieniach była chyba najgorszym sposobem rozstania się ze światem.

Zaklął i przeliczył swoich włóczników. Było ich około dwudziestu. Niedużo, ale nie mógł czekać ani chwili dłużej. Jeśli zostanie w miejscu, Sapho zginie, a jego ludzie podadzą tyły. Nie uda się wykorzystać okazji i zabezpieczyć pozycji w wyłomie.

– Naprzód! – Uniósł tarczę i ruszył przed siebie. Nie oglądał się. Ku ogromnej uldze czuł obecność swoich ludzi, którzy szli za nim do boju ramię przy ramieniu. *Śmierć może zabierze dziś wszystkich, ale przynajmniej oni idą za mną z lojalności, nie z powodu złota.*

Skierował się tam, gdzie – jak mu się wydawało – żołnierzom Sapho przyjdzie walczyć z przeważającym wrogiem. Na widok nowej linii kartagińskich żołnierzy Saguntyńscy wycelowali i po chwili niebo zasłoniła nowa chmura *falaricae*. Bostar nie przerywał biegu. Oszczepy śmigały mu nad głową, ciągnąc za sobą smugę płomieni i dymu. Usłyszał zduszony okrzyk. Obejrzał się. Po chwili pożałował, że to zrobił. *Falarica* trafiła biegnącego za nim mężczyznę w ramię, wbijając się głęboko w jego ciało. Kula ognia zsunęła się z drzewca i od razu podpałała tunikę żołnierza. Bąbelki rozpalonej do białości substancji z pakul przylepiały się do jego twarzy i szyi. Krzyki rozdzierały serce. Bostar poczuł mdlący zapach przypiekanego ludzkiego mięsa.

– Zostawcie go! – zawołał do ludzi, którzy instynktownie zwolnili kroku, licząc, że pomogą jakoś towarzyszowi. – Ruszajcie się! – Z jednej strony dziękował bogom, że to nie on został trafiony, z drugiej miał nadzieję, że żołnierz umrze szybko i nie będzie się męczył. Odwrócił głowę.

Jeśliby doszukiwać się jakiejś korzyści z użycia przez wroga tej przerażającej broni, było nią to, że po rzuceniu oszczepów obrońcy przez chwilę byli bezbronni. Ponadto wielu z nich nie nosiło żadnego pancerza. Gotujący się z gniewu Bostar przyskoczył do chudego Saguntyńczyka, który szaleńczo wyszarpywał swój miecz, wciąż jeszcze znajdujący się w pochwie. Nie zdążył. Włócznia Bostara przebiła jego klatkę piersiową, z łatwością przechodząc przez żebra. Oczy mężczyzny prawie wyskoczyły z oczodołów od impetu tego uderzenia. Był już martwy, gdy Bostar odzyskiwał swoją broń. Krew z rany zrosiła białe kamienie.

Bostar ciężko dyszał. Poszukał wzrokiem kolejnego przeciwnika. Młody chłopak. Mógł mieć nie więcej niż szesnaście lat. Mimo że groźnie wymachiwał mieczem i wydawał z siebie mrozące krew w żyłach okrzyki, wyglądał raczej na przerażonego.

Z łatwością sparował kilka jego szybkich, ale słabych ciosów, a potem wbił swoją włócznię w brzuch młodzika. Zabił jeszcze dwóch obrońców i wtedy mógł spokojniej rozejrzeć się wokół, aby ocenić sytuację.

Miał ze sobą może setkę ludzi. Kolejni ciągle wspinali się po gruzach murów. Podobna liczba żołnierzy Sapho również zjawiała się na miejscu i nic nie wskazywało na to, że dadzą się zepchnąć. Nie miał wątpliwości, że falangi ojca i Alete też próbowały do nich dotrzeć. Co ciekawe jednak, ci wszyscy doświadczeni żołnierze byli skutecznie powstrzymywani przez Saguntyńczyków, których walka stanowiła wyraz heroizmu graniczącego z odwagą smobójców. Kartagińczykom nie udało się pozyskać ani trochę wolnej przestrzeni za murami. Bostar uzmysłowił sobie, dlaczego tak się dzieje, gdy zobaczył, że setki zwykłych cywili zaledwie kilka kroków za linią walk zajmowało się już naprawianiem umocnień, dźwigając kawałki murów gołymi rękami. Widział starszków, kobiety, a nawet dzieci, które przerzucały kamienie, wznosząc na nowo ochraniający miasto wał. Poczul do nich ogromny szacunek. Świadomość tego, że znajomi i rodzina znajdują się tak blisko, sprawia, że każdy człowiek, żołnierz czy cywil,

walczy niczym demon o to, by obronić dom. Bostar nie martwił się jednak o przebieg tego starcia. Nawet w tej chwili przecież tysiące żołnierzy kartagińskich wspinało się po zboczu, aby do nich dołączyć i przeważać szalę tej bitwy. Przeciwno przytłaczającej przewadze nawet ci odważni Saguntyńczycy nie utrzymają się długo. Wystarczyło tylko ciągle na nich napierać.

Gwałtownie wrócił do terażniejszości. Poprzez pył i chmury kurzu dostrzegł linię migoczących płomyków zbliżających się od strony cytadeli. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy zaczął rozróżniać sylwetki żołnierzy wroga. Dwie kolejne fale wojowników uzbrojonych w płonące *falaricae*.

– Tarcze w górę! – krzyknął. – Przygotować się na deszcz oszczepów!

Jego ludzie niezwłocznie wykonali rozkaz, chowając się za tarczami.

Tyraliera obrońców zatrzymała się na rozkaz może pięćdziesiąt kroków od nich. Tym razem Saguntyńczycy mierzyli wysoko, aby *falaricae* przeleciały po dużym łuku nad pierwszą linią atakujących. Nad żołnierzami Bostara i Sapho.

– Cwane sukinsyny – mruknął Bostar. – Nie my jesteśmy celem. – Obserwował z niepokojem trajektorię lotu ognistych pocisków, które osiągnęły apogeum i zaczęły już opadać niczym niosące śmierć spadające gwiazdy. Raziły wspinających się po drugiej stronie wzniesienia kartagińskich żołnierzy. Z powodu ograniczającego widoczność pyłu nikt z tej ciżby aż do ostatniej chwili przed uderzeniem nie zdawał sobie sprawy z zagrożenia. Nic dziwnego, że fala *falaricae* spowodowała kompletny chaos w szeregach. Praktycznie każdy ciężki pocisk znajdował cel, przebijał tarcze i kolczugi. Ta salwa miała jednak przede wszystkim druzgocący wpływ na morale atakujących. *Właśnie dlatego celowali w nieświadomych zagrożenia żołnierzy na tyłach* – pomyślał Bostar, gdy wrzaski i krzyki rannych wypełniły powietrze. *Falaricae* napełniły serca wszystkich, którzy znaleźli się na ich drodze, przeraźliwym strachem. Dobrze wiedział dlaczego. Kto zniósłby widok towarzyszy broni zamienianych w płonące pochodnie, gdy ciało pokrywa się pęcherzami i odpada od kości? Żadne szkolenia nie mogą przygotować żołnierzy do tego.

Kolumna posiłków, które miały pomóc im rozbić obrońców w strategicznie ważnym wyłomie, została zatrzymana. W międzyczasie w powietrze pofrunęła druga fala oszczepów. Chwilę później Kartagińczycy poszli w rozsypkę. Mimo prób oficerów, którzy nawoływali do podjęcia szturm, setki włóczyków poddało tyły. Pędzili na złamanie karku. Wielu się przewróciło i zostało zdeptanych. Żołnierze po bokach, którzy nie ponieśli strat w wyniku ostrzału, zawahali się na widok uchodzących towarzyszy. A potem wszyscy, jak jeden mąż, zawrócili i umknęli.

Bostar zaklął. Było już za późno. Nikt, nawet Hannibal, nie potrafiłby w tej sytuacji odwrócić losów starcia. Złapał za ramię najbliższego włóczyka.

– Odwrót! Nasze posiłki się wycofują. Musimy się ratować. Przekaż dalej. – Powtarzając wielokrotnie rozkaz wycofania się przy każdym napotkanym żołnierzu, Bostar zmierzał w stronę oddziału Sapho. Jego brat był zupełnie nieświadomy efektu ataku oszczepami i właśnie wskazywał czwórce włóczyków garstkę słabo uzbrojonych obrońców.

– Sapho! – wrzasnął Bostar. – Sapho!!!

W końcu go usłyszał.

– Co? – warknął przez ramię.

– Musimy się wycofać!

Sapho skrzywił się gniewnie.

– Oszalałeś? Lada chwila te łachudry pękną. I wtedy będziemy ich mieli. Zwycięstwo jest w zasięgu ręki!

– Nie, nie jest! Wycofujemy się. Natychmiast!

Niektórzy żołnierze Sapho zaczęli zerkać na nich z niepokojem.

Sapho z oczu ciskał pioruny, ale po chwili zdał sobie sprawę, że Bostar nie żartuje. Wykrzykując słowa zachęty do swoich ludzi, utorował sobie drogę na tyły, aby powiedzieć, co o tym myśli. Z ramionami i twarzą pokrytą krwią wyglądał jak demon z podziemi.

– Czy ty całkiem postradałeś rozum? – syknął. – Wróg w końcu się cofa. Jeszcze jeden atak, a oni wezmą nogi za pas.

– Już za późno – odpowiedział Bostar, siląc się na spokojny ton. – Czy nie zauważyłeś, co pieprzone *falaricae* zrobiły z oddziałami, które miały nas wesprzeć?

– Nie. Bardziej interesowało mnie to, co się dzieje w pierwszej linii – odpowiedział bez zastanowienia.

Bostar zacisnął pięści, bo zrozumiał, co jego brat ma na myśli.

– No cóż... Pozwól, że ci wyjaśnię. Atak się załamał.

Sapho zacisnął zęby.

– No i co? Te sukinsyny zaraz rzucają się do ucieczki. Wtedy będziemy mieli przyczółek za murami.

– Gdzie zostaniemy odcięci i unicestwieni. – Bostar dźgnął Sapho wyprostowanym palcem w pierś, aby zaakcentować swoje słowa. – Nie rozumiesz? Zostaliśmy tu sami!

– Tchórz! Boisz się i tyle!

Bostar nie potrafił już kontrolować gniewu.

– Kiedy nadejdzie czas, będę walczyć i umrę za Hannibala! Co więcej, oddam swoje życie z honorem. Ale widzę różnicę między dobrą i głupią śmiercią. Poświęcenie naszych ludzi, twoja czy moja śmierć teraz tu nie mają żadnego sensu.

Sapho splunął na ziemię i chciał odejść.

– Stać! – rozkaz Bostara zabrzmiał jak trzask bicia. Sapho zeszywniał i zatrzymał się, ale nie odwrócił się w stronę brata. – Jako starszy stopniem oficer rozkazuję ci natychmiast wyprowadzić stąd ludzi! – krzyczał głośno, aby usłyszała go jak największa liczba żołnierzy.

Sapho uznał się za pokonanego. Odwrócił się.

– Tak jest – warknął. Podniósł głos. – Słyszeliście rozkaz. Odwrót!

Ludzie Sapho nie musieli długo czekać, aby na własnej skórze przekonać się o tym, w jak trudnej znaleźli się sytuacji. Morale obrońców znacznie wzrosło, gdy uświadomili sobie, jak dwie ostatnie fale *falaricae* dotknęły wspinające się po wzniesieniu wojska kartagińskie. Za linią pieszych wojowników znów błysnęły ognie. Do żołnierzy dołączali teraz podniesieni na duchu cywile. Nawet oni zaczęli rzucać w kierunku atakujących kawałki pokruszonych kamieni i cegieł.

To tylko zwiększyło poziom upokorzenia i podsyciło gniew Sapho, tym bardziej że sam się już zorientował, iż Bostar postąpił słusznie, wydając rozkaz wycofania się.

– Głupiec... – Nawet teraz nie był jeszcze gotów tego zaakceptować. – Tak niewiele brakowało. Wystarczyło tylko sięgnąć.

U podnóża stoku na dowódców falang czekał Hannibal z Malchusem i Alete. Generał ciepło powitał obu braci.

– Zaczynaliśmy się o was martwić – oświadczył.

Malchus zamruczał na znak, że też się niepokoił.

– Sapho do ostatnich chwil nie chciał przerwać walki – Bostar postanowił przedstawić swojego brata w dobrym świetle.

– Ostatni na polu bitwy? – Hannibal poklepał Sapho po ramieniu. – A mimo to miał dość oleju w głowie, żeby się wycofać. Dobra robota! Kiedy te francy zmusiły do odwrotu odwody, nie było sensu trwać w wylomie, co?

Sapho zaczerwienił się i zwiesił głowę.



– Nie, generale.  
– Świetnie się obaj spisaliście – powiedział Malchus zachęcająco. – Mimo że szturm się nie powiódł.

Hannibal uznał reakcję Sapho za wyraz rozczarowania.

– Nie przejmuj się, człowieku. Moi szpiedzy mówią, że obrońcom wyczerpują się zapasy. Wkrótce zdobędziemy miasto! A teraz idźcie do rannych. – Machnął ręką na znak, że mogą odejść.

– Chodź... – Bostar odprowadził Sapho i stanęli z dala od generała.

– Puść mnie! Nie jestem dzieckiem.

– To przestań się zachowywać jak dziecko! – odpowiedział Bostar, uwalniając jego ramię. – Przynajmniej mógłbyś podziękować. Nie musiałem cię tłumaczyć.

Sapho się skrzywił.

– Niech mnie szlag, jeśli to zrobię.

Bostar uniósł oczy ku niebu.

– Oczywiście, że nie zrobisz! Dlaczego miałbyś przyznać, że właśnie uchroniłem cię przed ciężką reprimendą?

– Pieprz się, Bostar! – Sapho czuł się jak w potrzasku. – Zawsze masz rację, co? Wszyscy cię kochają. Po prostu cholerny oficer doskonały! – Odwrócił się na pięcie i ruszył w swoją stronę.

Bostar odprowadzał go wzrokiem. *Dlaczego to nie on poszedł na ryby zamiast Hanno?* Od razu poczuł wyrzuty sumienia, ale ta myśl wracała do niego, gdy był zajęty organizowaniem zespołów zbierających rannych z przedpoła.

Przez następne dwa miesiące nie doszło do przełomu. Każdy kolejny frontalny szturm Kartagińczyków kończył się niepowodzeniem, ponieważ mieszkańcy miasta bronili się zawzięcie i wytrwale, zdeterminowani, aby nie wpuścić atakujących za mury. Winee regularnie wybijały kolejne dziury w murach zewnętrznych, ale armia Hannibala nie mogła skutecznie wykorzystać przewagi liczebnej. Relacje Bostara i Sapho nie poprawiły się, ale na szczęście byli ciągle zajęci i bez trudu się unikali. Gdy nie walczyli, spali lub zajmowali się rannymi. Malchus, który miał na głowie nie tylko swoją falangę, ale i dodatkowe obowiązki powierzone mu przez Hannibala, był nieświadomy konfliktu między synami.

Niezadowolony z postępów oblężenia Hannibal nakazał w końcu budowę kolejnych machin: winei, które chroniłyby ludzi, oraz ogromnej, wielopiętrowej wieży oblężniczej na kołach. Ta machina, mieszcząca w sobie katapulty i setki żołnierzy na różnych poziomach, mogła zostać zastosowana w dowolnym miejscu, które w danym dniu uznano by za najsłabiej bronione. Dysponowała tak dużą siłą ognia, że można było bardzo szybko oczyścić blanki z obrońców, dzięki czemu z większą łatwością transportowano drewniane osłony, które miały ochraniać atakującą piechotę. Na szczęście dla Kartagińczyków wały zbudowano na podbudowie z gliny, a nie cementu. Robotnicy i żołnierze z kilofami ryli bez trudu w podstawie murów i udawało im się wykonać kolejne wyłomy, co na krótko poprawiło morale atakujących. Jednakże nie wszystko wyglądało tak różowo, jak mogłoby się здаwać. Zwykle w miejscu, gdzie zniszczono kawałek muru, Saguntyńczycy wznosili szeroki wał ziemny w kształcie półksiężyca. Zza tej osłony atakujących znów zasypywały przerażające *falaricae*.

Niemniej wraz z upływem czasu, mimo deszczu płonących oszczepów, nieugięta determinacja Kartagińczyków sprawiała, że szala zwycięstwa zaczęła przechylać się na ich stronę. Saguntyńczycy nie mieli czasu, aby naprawiać zniszczone mury, a powtarzające się szturmy wreszcie pozwoliły przedostać się za mury i stworzyć przyczółek. Heroiczny kontratak załamał się i pozycja została utrzymana. Kolejne dni przyniosły następne sukcesy, ale przed

zbliżającą się zimą Hannibal został wezwany do stłumienia wielkich buntów dzikich plemion nad Tagiem. Tymczasowo zastąpił go Maharbal, który z wielką energią kontynuował szturm. Oddziały kartagińskie wdarły się do miasta, a pobici obrońcy wycofali się do cytadeli. Ich sytuację pogarszał fakt, że w mieście pojawiły się ogniska cholery i innych chorób, które dziesiątkowały obrońców. Było to po części efektem zatrważająco niskich zapasów pożywienia i braku dostaw z zewnątrz.

Zanim Hannibalowi udało się zdusić powstanie i wrócić pod Saguntum, było już jasne, że koniec oblężenia jest bliski. Kartagiński generał przedstawił obrońcom warunki kapitulacji, ale, co dziwne, przywódcy Saguntyńczyków od razu je odrzucili. Koniec roku przyniósł przygotowania do ostatecznego, decydującego szturmu. W uznaniu zasług Malchusa jego synom i ich oddziałom przypadł honor uczestniczenia w ostatnim ataku. Hannibal z korpusem *scutarii* również nie zamierzał obserwować wszystkiego z bezpiecznej odległości.

Na długo przed tym, nim zimowe słońce zabarwiło wschodni horyzont, wybrane oddziały znalazły się na pozycjach wyjściowych do ataku, jakieś pięćdziesiąt kroków od linii naruszonych murów. Za nimi, aż do końca stoku, rozlokowano jednostki wszelkich możliwych rodzajów z wyjątkiem jazdy. Żołnierze zachowywali ciszę. Czasami tylko zdarzało się jakieś okazjonalne szcęknięcie metalu lub zduszone kaszlnięcie. Para oddechów tysięcy wojowników była w tym wilgotnym porannym powietrzu jedyną oznaką emocji ludzi, czekających z podekscytowaniem na to, co przyniesie bitwa. W ramach nagrody za długie oblężenie i ze względu na odmowę kapitulacji Hannibal obiecał swoim oddziałom, że będą mogły splądrować miasto, gdy cytadela zostanie zdobyta. Oczywiście część łupów planowano wysłać do Kartaginy, ale cała reszta, w tym mieszkańcy: mężczyźni, kobiety i dzieci... miała być oddana zwycięskim wojskom.

Żołnierze w zwartych szeregach czekali w świetle pochodni na ustawienie drewnianych osłon. Nie było już powodów, aby używać ogromnej wieży, obsadzonej strzelcami, włócznikami i katapultami. Obrońcy zrezygnowali z wszelkich prób zniszczenia kartagińskich machin oblężniczych ze względu na brak albo ludzi, albo amunicji. Dzięki temu prace mające na celu osłabienie fortyfikacji mogły przebiegać znacznie szybciej. Zdaniem głównego inżyniera mury cytadeli miały runąć najpóźniej wczesnym rankiem.

Jego obliczenia okazały się poprawne. Gdy pierwsze pomarańczowe promienie słońca rozświetliły niebo, rozległy się złowieszcze grzmoty. Po chwili nad cytadelą zaczął wznosić się dym z pożarów. Wyraźnie słychać było również trzask palącego się drewna. Kartagińczycy nie zwracali na to uwagi. Nie przejmowali się już specjalnie poczynaniami mieszkańców. Padły rozkazy. Większość żołnierzy pracujących przy podkopach została błyskawicznie wycofana. Niebezpieczeństwo zgniecenia przez rozsypujące się mury było zbyt wielkie. Mimo to część z nich została, aby dokończyć dzieła.

Nie musieli długo czekać. Wielki płat muru cytadeli nagle odpadł i runął na ziemię z przerażającą prędkością. Jakby uwolnił reakcję łańcuchową, powodując od razu gwałtowny upadek innych, większych elementów. Cegły i rzeźbione kamienie konstrukcji, która przetrwała dziesięciolecia, a nawet całe wieki, spadały z przeraźliwym odgłosem pękania, kruszyły się i ustępowały. Spadek z wysokości pięciu kondygnacji wiązał się z ogłuszającym hałasem. Niektórzy robotnicy, osłonięci tylko drewnianymi płotami, nie zdążyli uciec. Tak więc krótkie okrzyki ginących stały się akcentem dźwiękowym towarzyszącym temu przerażającemu spektaklowi. Bostar zacisnął zęby. To było do przewidzenia. Jak mawiał ojciec, zwykłych żołnierzy łatwo zastąpić. Utrata pewnej ich części nie miała znaczenia. A jednak Bostar się tym przejmował. Nie podobała mu się też myśl, że wkrótce po tym, jak padnie ostatni punkt oporu, rozpocznie się straszliwy czas gwałtów, tortur i zabijania cywilów. Mroczna natura Malchusa, a także ciemna strona charakteru Sapho sprawiały, że nie wydawali się przejęci zbliżającym się

festiwalem śmierci. Bostar jednak cierpiał. Mimo wszystko nie chciał pozwolić, aby jego determinacja osłabła. Stawka była za duża. Pokonanie Rzymu. Zemszczenie się za niedolę ukochanego młodszego brata, Hanno. Poprawa relacji z Sapho. Nie mógł być pewien, czy kiedykolwiek uda się osiągnąć któryś z tych celów. A ten ostatni wydawał się najmniej prawdopodobny.

Wielkie tumany pyłu zasłoniły cytadelę, ale gdy wreszcie zaczęły opadać, oczekujący na sygnał do ataku Kartagińczycy ujrzeni, że w murach cytadeli powstał wyłom, którego nie dało się już obronić. Z tysięcy gardeł wyszedł jeden potężny okrzyk. Oddziały ruszyły i zaczęły wolno przesuwać się po zboczu. Wreszcie zwycięstwo było w zasięgu ręki.

Bostar poczuł przyływ entuzjazmu. Rzucił Sapho zdawkowy uśmiech, ale ten tylko skrzywił się do niego w odpowiedzi.

Hannibal wyciągnął falcatę i poprowadził atak osobiście.

W tym momencie, może w reakcji na ostrzeżenia ocalałych obrońców na murach, powietrze wypełniły potworne krzyki, zawrota i rozpaczliwe lamenty, z których mimo wszystko jakoś przebijała godność w obliczu śmierci. Oczy Kartagińczyków skierowały się na cytadelę. Nikt nie był w stanie zignorować tych wrzasków.

– Arystokraci zdecydowali, że raczej zginą w płomieniach, niż się poddadzą. – W głosie Malchusa można było wyczuć szacunek. – Są zbyt dumni, aby stać się niewolnikami. Niechaj nigdy coś takiego nie powtórzy się w Kartaginie.

– Ha! Nie nadejdzie taki dzień! – wykrzyknął Sapho.

Instynktowną reakcją Bostara było zmówienie modlitwy do Baala Hammona. *Czuwaj zawsze nad naszym miastem. Spraw, aby nigdy nie wpadło w ręce takich dzikusów jak Rzymianie.*

Hannibal nie słuchał tych krzyków. Dla niego liczyła się tylko bitwa zakończona zwycięstwem.

– Naprzód! – zawołał po iberyjsku, a potem wypowiedział rozkaz w języku zrozumiałym dla Libijczyków. Otoczony swoimi wiernymi *scutarii* ruszył truchtem w stronę wielkiej dziury w murach cytadeli. Malchus, Sapho i Bostar powtórzyli komendy. Za nimi rozkaz przekazano w pół tuzinie innych języków. Podobna do setek tysięcy mrówek armia zaczynała wlewać się do miasta i wspinać ku cytadeli.

Rywalizacja między Sapho i Bostarem weszła na nowy, ryzykowny poziom. Kto pierwszy dotrze do szczytu wyłomu, zostanie pochwalony przez Hannibala i zyska szacunek całej armii. Bracia wyprzedzili swoje oddziały i biegle, przeskakując zdradzieckie stosy gruzu i popękanych cegieł. Z włóczniami w jednej ręce i tarczami w drugiej nie mogli liczyć, że w jakiś sposób uda im się złagodzić ewentualny upadek. To było szaleństwo, ale teraz nie mogli się już wycofać. Hannibal prowadził, a oni musieli go naśladować. Wkrótce bracia dogonili wodza, który wyprzedzał swoich *scutarii* o dwa kroki. Generał rzucił im zachęcający uśmiech, który odwzajemnili, zanim spojrzeli na siebie.

Bostar zerknął przez ramię na armię Kartaginy. Szeroko otworzył oczy. Z miejsca, w którym się znajdował, miał świetny widok na wszystko, co działo się poniżej. To był wspaniały i zarazem straszny obraz, który musiał sprawiać, że serca obrońców na murach zdrząły. Zresztą wątpił, czy ktokolwiek miałby w sobie tyle odwagi, aby zostać teraz na murach. Gdy liderzy i dowódcy woleli śmierć od niewoli, zwykli żołnierze pewnie pochowają się w domach z rodzinami, a tam może także wybiorą samobójstwo.

Mylił się. Nie wszyscy Saguntyńczycy zrezygnowali z walki.

Kiedy przeniósł wzrok z powrotem na stok, jego uwagę przykuł ruch po prawej stronie, wysoko nad ziemią, w części nienaruszonych blanek. Dostrzegł sześciu ludzi mocujących się z ogromnym kamieniem. Próbowali przepchnąć go w kierunku kończącego się wyrwą chodnika

biegnącego wzdłuż górnej krawędzi muru. Wyobraził sobie drogę upadku tego kamiennego bloku i... Jego serce chyba zatrzymało się na pół uderzenia. Chociaż Saguntyńcy planowali spowodować jak największe straty, to potencjalne niebezpieczeństwo dla Kartagińczyków było znacznie większe, niż mogli marzyć. Bostar widział, że za kilka uderzeń serca Hannibal znajdzie się na drodze toczącego się kamienia. Wystarczyło jedno spojrzenie na Sapho, a potem na Hannibala, aby uświadomić sobie, że jest jedynym człowiekiem, który dostrzega grożące wodzowi niebezpieczeństwo.

Kiedy znów podniósł wzrok, nieregularny blok skalny znajdował się już na krawędzi muru. Gdy Bostar otworzył usta, aby wszystkich ostrzec, kamień przechylił się i zaczął opadać. Niewiarygodnie szybko nabierając prędkości, odbijał się i skakał, pędząc w dół po zboczu. Tocząc się, wzbijał w powietrze kawałki cegieł i mniejszych kamyków, z których każdy mógł z łatwością rozbić ludzką czaszkę. Mężczyźni, którzy wprawili w ruch to narzędzie zniszczenia, krzyknęli z radości, po czym zniknęli za blankami, przekonani, że ich ostatni wysiłek przyniesie śmierć dziesiątkom atakujących Kartagińczyków.

Nie było czasu do stracenia. Bostar zareagował instynktownie. Cisnął włócznię i rzucił się w kierunku Hannibala. Do jego uszu dotarł grzmot. Nie podniósł oczu, skupiając wzrok na wodzu, bo bał się, że sparaliżuje go to, co może zobaczyć. Kilku *scutarii*, którzy zauważyli jego dziwne zachowanie, odprowadzało go zdziwionymi spojrzeniami. Kilku innych cedziło jakieś przekleństwa. Bostar nie zwracał na nich uwagi. Modlił się tylko, aby żadnemu z nich nie przyszło do głowy zagrozić mu drogę do Hannibala. Sześć kroków. Tuzin. Hannibal, jakby powodowany szóstym zmysłem, odwrócił głowę. Zaskoczony zmarszczył brwi.

– Co robisz? W imię Baala Hammona...

Bostar nie tracił czasu na wyjaśnienia. Skoczył z wyciągniętym ramieniem, aby obalić Hannibala, i po chwili obaj już turlali się po ziemi. Bostar przygniótł generała swoim ciałem i zdążył jeszcze unieść lewą ręką tarczę, tak by ochronić ich głowy. Uderzenie serca, a potem zatrzęsała się ziemia. W uszach zadźwięczało mu tak, że bał się, iż ogłuchnie. Na szczęście dźwięk odpłynął w dół razem z turlającym się kamiennym blokiem.

Przeżyli? W pierwszej kolejności musiał wiedzieć, czy udało mu się osłonić generała.

– Jesteś ranny, wodzu?

– Nie sędzę... – odpowiedział głucho Hannibal.

*Dzięki bogom!* Bostar ostrożnie poruszył rękami i nogami. Ku jego ogromnej uldze wyglądało na to, że on też nie odniósł żadnych obrażeń. Teraz odrzucił tarczę i usiadł, pomagając podnieść się także Hannibalowi.

Generał zaklął szpetnie. Jakies trzy kroki od nich leżał *scutarius*. Albo raczej to, co pozostało z tego żołnierza. Mężczyzna został nie tyle zabity, ile dosłownie rozsmarowany na nierównym gruncie. Jego hełm z brązu zdał się na nic. Szare pasma mózgu ciągnęły się na skałach niczym pasta, ostro kontrastując z jasnoczerwoną krwią, która rozlewała się teraz powoli ze splątanej kuli ciała i kości, będącej kiedyś człowiekiem. Z pleców ofiary wystawały ostre kawałki cegły, które podziurawiły tunikę. Nogi i ręce zgięte były pod nienaturalnymi kątami, zaakcentowane w wielu miejscach białymi, lśniącymi końcówkami potrzaskanych kości.

A to była tylko pierwsza ofiara. Za nim, jak okiem sięgnąć, leżało więcej ciał – był to okropny obraz totalnego zniszczenia. Bostar nigdy nie widział czegoś podobnego. Dziesiątki żołnierzy, a być może więcej, leżało na stoku niczym porzucane kukielki. *Nie. Starte na miazgę.* Poczul nudności. Z trudem powstrzymał się, żeby nie zwymiotować.

Drgnął zaskoczony na dźwięk głosu Hannibala.

– Wygląda na to, że zawdzięczam ci życie. – Bostar skinął sztywno głową. – Dziękuję. Jesteś dobrym żołnierzem – powiedział Hannibal, podnosząc się z ziemi. Po chwili wyciągnął

rękę do Bostara i pomógł mu wstać.

W tej samej chwili nadbiegli oszołomieni *scutarii* Hannibala. Na ich twarzach rysował się grymas strachu i niepewności przemieszany z gniewem. Oczywiście to niespodziewane zajście spowodowało wstrzymanie szturm. Iberyjczycy dopytywali się, czy ukochanemu wodzowi na pewno nic się nie stało. Hannibal szybko zbył gwardzistów. Podniósł z ziemi falcatę, po czym spojrzał Bostarowi prosto w oczy.

– Gotów, żeby doprowadzić do końca to, co zaczęliśmy?

Bostara zaskoczyła szybkość, z jaką Hannibal odzyskał kontenans, bo on ledwo stał na miękkich, drżących nogach. Udało mu się skinąć głową.

– Oczywiście, wodzu.

– Doskonale – odparł Hannibal, obdarzając go zdawkowym uśmiechem. Wskazał, że Bostar powinien wznowić szturm u jego boku.

Młody Kartagińczyk najpierw musiał jednak odnaleźć swoją włócznie. Kątem oka dostrzegł uśmiech zadowolenia na twarzy Malchusa, a potem jeszcze kwaśną minę Sapho.

Teraz jednak znowu ogarnęło go uniesienie. Sprawy z bratem załatwi później.

Najważniejszy był Hannibal.

Prawdziwy przywódca.

## Rozdział IX



W pobliżu Kapui, Kampania

Hanno opierał się o ścianę kuchni, delektując się widokiem Eliry pochylającej się właśnie nad stołem zastawionym misami z jedzeniem. Jej suknia uniosła się lekko, odsłaniając zgrabne łydki i opinając jędrne pośladki. Poczł nagłe poruszenie w kroczu i musiał zmienić pozycję, aby nikt nie zauważył jego podniecenia. Elira i Kwintus nadal byli kochankami, ale to wcale nie znaczyło, że Hanno nie mógł podziwiać pięknej Iliryjki z daleka. Niepokoiło go tylko to, że Elira zauważyła jego zainteresowanie i zdarzało się jej nawet odwzajemniać gorące spojrzenia. Hanno jednak nie ryzykował i nie zdecydował się na żaden ruch. Niedawno nawiązana, cenna przyjaźń z Kwintusem była zbyt krucha, aby przetrwać konflikt o kobietę.

Od czasu walki przed chatą pasterza warunki bytowania Hanno uległy znacznej poprawie. Fabrycjusz był pod wielkim wrażeniem jego zachowania, gdy wysłuchał relacji Kwintusa, którą potwierdzili zresztą dwaj ranni uczestnicy tego starcia. W nagrodę Hanno został na stałe oddelegowany do prac w domu. Zdjęto mu kajdany i pozwolono spać w willi. Na początku Hanno był zachwycony. Agesandros nie miał teraz nad nim żadnej władzy. Kilka tygodni później nie był już tak pewny, czy zmiana wyjdzie mu na dobre. Sytuacja, w jakiej się znalazł, wydawała się teraz coraz trudniejsza do zniesienia.

Trzy razy dziennie Hanno musiał usługiwać przy posiłkach rodziny. Naturalnie nie wolno mu było jeść razem z gospodarzami. Codziennie widywał Aurelię i Kwintusa, a mimo to nie mógł z nimi normalnie rozmawiać, gdyż obawiał się, że w pobliżu jest ktoś, kto mógłby ich zdradzić. A nawet jeśli mieli okazję zamienić ze sobą kilka słów, zwykle odbywało się to pod presją czasu. Jakże te pospieszne wymiany zdań różniły się od czasu spędzonego razem na polanie i podczas wspólnych wypraw! Pomimo tego wymuszonego dystansu Hanno cieszył się, że zbudowane na ostatnich wspólnych przeżyciach braterstwo stało się faktem. Teraz jego dni rozświetlały okazjonalne porozumiewawcze mrugnięcia okiem Kwintusa i nieśmiałe uśmiechy Aurelii. No i była jeszcze Elira, której posłanie znajdowało się na podłodze atrium nie dalej niż dwadzieścia kroków od jego koca. Nie miało to jednak znaczenia, bo nie odważył się do niej zbliżyć. Hanno zdawał sobie sprawę, że powinien być wdzięczny losowi za te zmiany, ponieważ ilekroć natykał się na Sycylijczyka, wszystko wskazywało na to, że wciąż życzy mu śmierci.

– Ojczy! – usłyszał dochodzący z perystylu radosny głos Aurelii. – Wróciłeś!

Zaciekawieni niewolnicy wylegli z kuchni. Hanno do nich dołączył. Nikt nie spodziewał się Fabrycjusza w domu przez najbliższe dwa tygodnie.

Ubrany w opasaną tunikę i sandały pan domu stał przy głównej fontannie, szeroko się

uśmiechając i czekając z otwartymi ramionami na biegnącą do niego Aurelię.

– Jestem brudny – ostrzegł. – Dużo czasu spędziłem na trakcie.

– Nie obchodzi mnie to! – Aurelia przytuliła się do niego, obejmując ramionami. – Tak się cieszę!

– Ja też za tobą tęskniłem. – Fabrycjusz mocno uściskał córkę.

Hanno poczuł ukłucie smutku, ale od razu odsunął od siebie negatywne emocje.

– Mężu... Dziękuję bogom za twój bezpieczny powrót – stateczna Atia dołączyła do męża i córki, uśmiechając się dystyngowanie. Aurelia odsunęła się trochę, aby Fabrycjusz mógł pocałować żonę w policzek. Spojrzeli na siebie wzrokiem, który mówił wszystko. – Musisz być spragniony.

– Gardło mam suche jak koryto rzeki na pustyni.

Atia spojrzała w stronę kuchennych drzwi na grupę obserwujących powitanie niewolników. Najszybciej złapała spojrzenie Hanno.

– Przynieś wino! Reszta wracać do pracy.

Przejście opustoszało błyskawicznie. Każdy niewolnik dobrze wiedział, że należy uważać, by nie podpaść Atii, która rządziła gospodarstwem twardą ręką. Hanno szybko zgarnął z półki cztery najlepsze szklanki i postawił je na tacy. Juliusz, niewolnik odpowiadający za kuchnię, z którym zdążył się zaprzyjaźnić, już sięgał po amforę. Hanno obserwował, jak na rzymską modłę rozcieńcza wino z wodą w stosunku jedna część do czterech.

– Idź – popędził go Juliusz, stawiając na tacy pełny dzbanek. – Zanim zawoła po raz drugi.

Hanno nie zamierzał się ociągać. Chętnie dowie się, co sprawiło, że gospodarz wrócił wcześniej do domu. Nastawił uszu i ruszył powoli w kierunku fontanny, starając się zachować równowagę z ciężką tacą na ręku.

Kwintus, który właśnie dołączył do reszty rodziny, również wyszczerzył zęby w szerokim, radosnym uśmiechu, zanim przypomniał sobie, że teraz jest mężczyzną i powinien zachowywać się poważniej.

– Ojciec – odezwał się uroczyście. – Dobrze cię widzieć.

Fabrycjusz uszczypnął syna w policzek.

– Jak widzę, w czasie mojej nieobecności jeszcze zmężniałeś.

Kwintus poczerwieniał. Aby ukryć zakłopotanie, obrócił się do Hanno.

– No chodź. Nalej.

Hanno zeszywniał trochę, wychwyciwszy nutę władczego tonu w głosie chłopaka, ale zrobił to, co mu polecił. Jego ręka na chwilę zatrzymała się nad czwartą szklanką. Hanno zawahał się i spojrzał pytająco na Atię.

– Tak. Nalej też Aurelii. Jest już właściwie dorosła.

Aurelia pojaśniała tylko na chwilę, bo na jej twarzy nagle pojawił się cień.

– Wybrałeś dla mnie męża? To dlatego wróciłeś? – zapytała oskarżycielskim tonem.

Atia zmarszczyła brwi.

– Nie bądź impertynencka!

Aurelia spąsowiała. Zwiesiła smętnie głowę.

– Chciałbym, żeby to było takie proste, córko – odezwał się Fabrycjusz. – Chociaż poczyniłem pewne postępy w tej kwestii, na świecie dzieją się rzeczy tak ważne, że przyćmiewają sprawę twojego zamążpójścia. – Strzelił palcami na Hanno, który z drzeniem serca podchodził z tacą do każdego z członków rodziny.

– Co się stało? – spytała Atia.

Fabrycjusz nie odpowiedział, tylko uniósł rękę ze szklanką.

– Toast! Niech bogowie i nasi przodkowie mają naszą rodzinę w opiece.

Atia drgnęła niemal niezauważalnie, ale przyłączyła się do toastu, unosząc dłoń.

Kwintus był bardziej bezpośredni, gdyż nie musiał martwić się o dobre maniere jak matka. Wykorzystał moment ciszy, gdy ojciec przełykał wino.

– Powiedz nam, dlaczego wróciłeś!

– Saguntum padło.

Krew napłynęła do uszu Hanno. Czuł, że czerwienieją. Był aż nazbyt świadomy, że Kwintus obrócił się, aby uważnie się mu przyjrzeć. Skoncentrował się na ostrożnym wytarciu wilgotną szmatką dziubka dzbanka, po którym powoli spływała kropla wina. Jak kropla krwi. Każda komórka jego ciała wypełniła się bezgraniczną radością. *Hannibal! Hannibal!* – słyszał w głowie radosne skandowanie.

Kwintus przeniósł wzrok na ojca.

– Kiedy?

– Tydzień temu. Wygląda na to, że nie oszczędzili właściwie nikogo. Zginęli prawie wszyscy obrońcy. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Nielicznych ocalałych z pogromu zakuto w łańcuchy.

Atia zacisnęła usta.

– Wyjątkowe dzikusy.

Hanno zauważył, że Aurelia wpatruje się w niego wielkimi oczyma, szeroko otwartymi z przerażenia. *Jakby wasi legionieści robili co innego po zdobyciu miasta wrogów* – pomyślał z wściekłością. Oczywiście nie mógł nic powiedzieć, więc odwrócił twarz.

W przeciwieństwie do siostry Kwintus wyglądał na rozzłoszczonego.

– Złe się stało, że przez osiem miesięcy senat nie zrobił nic, aby pomóc jednemu z naszych sojuszników. Ale teraz bez wątpienia zaczną działać?

– Tak. Już podjęto kilka ważnych decyzji.

Cisza, która zapadła po tych słowach, wydawała się głośniejsza niż dźwięk trąbki.

– Wysłano do Kartaginy specjalnego emisariusza, który ma przekazać żądanie natychmiastowego przekazania do dyspozycji Rzymu Hannibala i jego wyższych oficerów. Mają ponieść konsekwencje swoich haniebnych działań.

Hanno ścisnął trzymaną w dłoni ściereczkę tak mocno, że na mozaikę u jego stóp spadło kilka kropel wody.

Nikt tego nie zauważył. A nawet gdyby... Hanno był w takim stanie, że pewnie by się nie przejął. *Bezczelni, zuchwali Rzymianie!*

– Nie zrobią tego – stwierdziła Atia stanowczo.

– Oczywiście, że nie – odparł Fabrycjusz, nieświadomy silnych emocji targających Hanno. – Nie mam wątpiwości, że Hannibal ma swoich wrogów, ale Kartagińczycy to dumna nacja. Będą pragnęli zadośćuczynienia za to, jak upokorzyliśmy ich po wojnie na Sycylii. To jest dla nich okazja.

Kwintus milczał przez chwilę, zastanawiając się nad znaczeniem uwagi ojca.

– Mówisz o wojnie?

Fabrycjusz skinął głową.

– Tak. Myślę, że to skończy się wojną. W senacie są ludzie, którzy się ze mną nie zgadzają, ale myślę, że nie doceniają Hannibala. Człowiek, który osiągnął tak wiele w ciągu ostatnich lat, nie rozpoczyna oblężenia Saguntum ot tak, bez przemyślenia kolejnych posunięć. Hannibal od początku dążył do konfrontacji z Rzymem.

*Święta racja!* – pomyślał Hanno z radością.

Kwintus także wyglądał na rozradowanego.



– Będziemy mogli z Gajuszem zaciągnąć się do jazdy!

Duma bijąca z twarzy Fabrycjusza kontrastowała z powściągliwością Atii. Nawet ona nie była w stanie ukryć smutku, który wycierał z jej oczu. Szybko jednak odzyskała typowy dla siebie dystans.

– Będziesz świetnym kawalerzystą.

Usatysfakcjonowany Kwintus wyprostował plecy i napiął mięśnie klatki piersiowej.

– Muszę powiedzieć Gajuszowi. Mogę jechać do Kapui?

Fabrycjusz skinął głową

– Jedź. Ale powinieneś się spieszyć. Zaraz zacznie się ściemniać.

– Wrócę jutro. – Kwintus uśmiechnął się zadowolony i już go nie było.

Atia westchnęła.

– A ta druga sprawa?

– Mam kilka dobrych wiadomości... – zaczął Fabrycjusz, ale widząc zainteresowanie Aurelii, postanowił przełożyć tę rozmowę. – O wszystkim opowiem ci później.

Aurelii zrzędała mina.

– To wszystko jest takie niesprawiedliwe! – krzyknęła i pobiegła do swojego pokoju.

Atia dotknęła ramienia Fabrycjusza, aby uprzedzić jego reakcję.

– Pozwól jej odejść. To musi być dla niej trudne.

Hanno nie zwracał już uwagi na to, co się dzieje w perystylu. Nagle jego pragnienie ucieczki, dotarcia do Iberii i dołączenia do rodaków walczących przeciwko Rzymowi stało się trudne do zniesienia. Marzył o tym od tak dawna! Był jednak boleśnie świadomy, że ma wielki dług wobec Kwintusa. Czy spłacił go tam, pod chatą pasterza? Trudno powiedzieć. No i jeszcze sprawa Suniatona. Jak może w ogóle myśleć o ucieczce, nie biorąc pod uwagę najlepszego przyjaciela? Na szczęście z rozmyślań o tych trudnych sprawach wyrwał go Juliusz, który zawołał go do kuchni. Kotłowanina skrajnych i przeciwstawnych emocji w jego głowie groziła wybuchem.

Czas mijał. Hanno w dalszym ciągu pracował w kuchni. Chociaż nie potrafił rozstrzygnąć dylematu związanego z Kwintusem, nie wyobrażał sobie ucieczki z gospodarstwa, jeśli nie będzie w stanie znaleźć Suniatona. Nie miał jednak pojęcia, jak się do tego zabrać. Czy ktoś poza nim w ogóle przejmował się losem niewolnika? Jak miał się dowiedzieć, co stało się z Sunim? Myśli te często nie pozwalały mu w nocy zasnąć. Ba! Zastąpiły nawet, tak częste wcześniej, pełne żądy obrazy, w których główną rolę odgrywała Elira. Nie wysypiał się i był stale rozdrażniony. Nic dziwnego, że w pierwszej chwili nie przejął się podekscytowaniem Juliusza, który pewnego dnia obwieścił, że pani domu zażyczyła sobie wyjątkowo wyrefinowanego menu na wieczór.

– Otóż Atia i pan spodziewają się ważnego gościa – stwierdził Juliusz ostentacyjnie. – Będzie nim Kajusz Minucjusz Flakkus.

– A któż to jest, na Hades? – spytał jeden z kucharzy.

Juliusz spojrział na niego z dezaprobatą.

– Ważna persona rodu *Minucii*, a także brat niedawnego konsula.

– To znaczy arogancki kutas... – mruknął kucharz.

Juliusz zignorował śmiechy, które wywołała ta uwaga.

– Flakkus jest także jednym z członków grupy emisariuszy, która właśnie wróciła z Kartaginy – oświadczył z taką dumą, jakby ta sprawa miała naprawdę dla niego jakieś znaczenie.

Tymczasem Hanno poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

Juliusz zacisnął usta.

– Słyszałem, co mówiła pani. Wracać do pracy! – uciął dalszą rozmowę.

Gdy Hanno szedł po produkty do magazynu, jego serce szamotało się niczym trzepoczący skrzydłami o pręty klatki uwięziony ptak. *Czy gość Fabrycjusza opowie, co widział w Kartaginie?* Hanno błagał bogów, żeby tak się stało. Przechodząc obok nagrzonej łaźni, zauważył rozbierającego się Kwintusa. *Jak ja mu zazdrościć* – pomyślał gorzko. *Nie kąpałem się w gorącej wodzie od czasu opuszczenia Kartaginy.*

Tymczasem Kwintus, zupełnie nieświadomy emocji Hanno, myślami był już przy uroczystej kolacji. Chciał wypaść jak najlepiej. Wykąpał się, a potem pozwolił sobie na odrobinę relaksu w czasie masażu wykonanego przez niewolnika. Rozmyślał o Flakkusie – o tym, czy uchyli rąbka tajemnicy, wyjawiając jakieś szczegóły na temat misji w Kartaginie – i nie zauważył, że w łaźni pojawił się jego ojciec.

– Ta wizyta jest bardzo ważna. Wiesz o tym?

Kwintus otworzył oczy.

– Tak, ojczu. A my spełnimy nasz obowiązek w czasie wojny. Jeśli do niej dojdzie.

Fabrycjusz pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– To się rozumie samo przez się. Kiedy Rzym wzywa, my stawiamy się na wezwanie. – Założył ręce za plecy i milcząc, zaczął się przechadzać po pomieszczeniu.

Dotyk strygli na skórze zaczął irytować Kwintusa. Pokazał niewolnikowi gestem, aby przestał.

– O co chodzi?

– Aurelia... – Fabrycjusz był najwyraźniej nieco rozkojarzony.

– Czy mam rozumieć, że obiecałeś komuś jej rękę? – Spojrzał na ojca z goryczą.

– To jeszcze nie jest przesądzone. Ale Flakkusowi spodobało się to, co mówiłem mu o Aurelii podczas ostatniego pobytu w stolicy. Teraz chce się przekonać, czy jest tak piękna, jak ją opisywałem.

Kwintus zgarbił się, uświadamiając sobie własną naiwność. Dlaczego polityk wysokiego szczebla miałby składać wizytę rodzinie ekwity tak niskiego stanu?

– Daj spokój – powiedział Fabrycjusz ze smutkiem. – Wiedziałeś, że to się prędzej czy później stanie. Robię to dla dobra rodziny. Flakkus to mężczyzna w sile wieku, a jego ród jest potężny i z dobrymi koligacjami. Dzięki wsparciu Minucjuszów Fabrycjusze mogliby liczyć na duży awans społeczny. – Spojrzał na Kwintusa. – Myślę o Rzymie. Rozumiesz, co mówię?

Kwintus westchnął.

– Czy Aurelia już wie?

– Nie – odrzekł Fabrycjusz niepewnie. – Pomyślałem, że najpierw porozmawiam z tobą.

– Chcesz mnie w to wciągnąć?

– Nie mów do mnie w ten sposób. Na tym małżeństwie skorzystasz również i ty – zachnął się ojciec.

Kwintus poczuł dreszcz ekscytacji. Natychmiast się za to znienawidził. Widział, jak Aurelia wodzi tęsknie oczyma za Hanno. Takie dziecięce zauroczenie... Zupełnie nieprawdopodobne. A jednak nie próbował przemówić jej do rozsądku. A teraz jeszcze to. Zaręczyny.

– Co sprawiło, że przekonałeś się do Flakkusa?

– Pracuję nad zaaranżowaniem małżeństwa od dwóch lat. Szukałem właściwego człowieka, który mógłby stać się częścią rodziny i byłby dobrym mężem dla Aurelii. To skomplikowana sprawa, ale myślę, że Flakkus to dobry wybór. Miał podróżować pobliskim traktem po powrocie z Kartaginy. Wystarczyło, że zadbałem o to, aby w porcie czekało na niego

zaproszenie.

Kwintus z zaskoczeniem uświadomił sobie, że ojciec zachował się bardzo przebiegle. *Bez wątpienia matka maczała w tym palce.*

– Ile ma lat?

– Około trzydziestu pięciu. Jest o wiele młodszy od niektórych capów przejawiających zainteresowanie Aurelią. Mam nadzieję, że to doceni. – Zapadła cisza, a po chwili Fabrycjusz dodał: – Jeszcze jedna sprawa. – Kwintus uniósł głowę zaciekawiony. – Nie zadawaj żadnych pytań o to, jak przebiegały rozmowy dyplomatyczne w Kartaginie – ostrzegł ojciec. – To kwestia tajemnicy państwowej. Jeśli Flakkus uzna, że może wyjawić nam kilka szczegółów, to będzie jego decyzja. Jeśli tego nie robi, nie powinniśmy nalegać.

Gdy Fabrycjusz wyszedł, Kwintus ułożył się na ciepłym kamiennym stole. Pójdzie do Aurelii, gdy tylko ojciec skończy z nią rozmawiać. Co jej powie? Nie miał pojęcia. Zaczął się ubierać, ale jego dobry nastrój rozwiął się bez śladu. Drzwi pokoju Aurelii najlepiej widoczne były z narożnika tablinum. Przeszedł do obszernego holu willi. Po kilku chwilach pojawił się w nim Hanno z tacą pełną naczyń.

Na widok Kwintusa Hanno uśmiechnął się i zapytał:

– Cieszysz się na dzisiejszy wieczór?

*Bo ja tak!* – odpowiedział sobie w myślach, uśmiechając się pod nosem.

– Nie bardzo – odparł cierpko Kwintus.

– Dlaczego nie? Nie miewacie zbyt wielu gości. – Zdziwiony Hanno uniósł brwi.

Kwintus z zaskoczeniem skonstatował, że jego ekscytacja wieściami z Kartaginy w jakiś sposób nie pasowała do relacji z Hanno.

– Trudno to wytłumaczyć – odparł wymijająco.

W tej chwili w drzwiach pokoju Aurelii pojawił się Fabrycjusz. Zatrzasnął je i gniewnie zacisnął szczękę.

To oznaczało, że nie dokończą rozmowy. Kartagińczyk w milczeniu obserwował Kwintusa podążającego do pokoju siostry. Hanno lubił Aurelię. Jakaś jego część chciała poznać powód tego niezwykłego poruszenia, ale tak naprawdę to go nie obchodziło. Kartagina znów znajdowała się w stanie wojny z Rzymem.

Wojny, w której on zamierzał odegrać ważną rolę.

Aurelia leżała na łóżku, trzęsąc się z płaczu. Kwintus przyklęknął przy niej.

– Wszystko będzie dobrze – wyszeptał, dotykając jej głowy. – Flakkus wydaje się dobrym człowiekiem.

Dziewczyna znów załapała się łzami, a Kwintus zmiał w ustach przekleństwo. Wymówienie tego imienia było najgorszą rzeczą, jaką mógł zrobić. Nie wiedział, jak ją pocieszyć, dlatego zaczął głaskać siostrę po plecach. Długo nie ruszał się z miejsca. Wreszcie Aurelia odwróciła się do niego. Jej policzki były czerwone i pokryte plamami, a oczy spuchnięte od płaczu.

– Muszę wyglądać strasznie.

Kwintus uśmiechnął się do niej figlarnie.

– Wciąż jesteś piękna.

– Kłamca. – Aurelia pokazała mu język.

– Może kąpiel ci pomoże? – zapytał, starając się przybrać jak najdelikatniejszy ton. – Jak myślisz?

Aurelia nie potrafiła przejść do porządku dziennego nad tym, czego się właśnie dowiedziała.

– I co ja mam uczynić? – wyszeptała ze smutkiem.

– To kiedyś musiało się stać. Może przynajmniej dasz mu szansę? Jeśli naprawdę ci się

nie spodoba, ojciec nie będzie naciskać.

– Może i nie... – Głos Aurelii był pełen zwątpienia. Przez chwilę milczała. – Wiem, że muszę robić to, czego chce ojciec. Ale to takie trudne, zwłaszcza teraz, kiedy... – nie dokończyła, a do oczu znów napłynęły jej łzy.

Kwintus uniósł palec do ust, nakazując jej milczenie.

– Nie mów tego – szepnął. – Nie możesz. – On też nie chciał usłyszeć słów, które cisnęły się Aurelii na usta.

Dziewczyna uspokoiła się, choć nie przyszło jej to bez trudu.

– Lepiej zacznę się przygotowywać. – Zdecydowanie pokiwała głową. – Muszę dziś wieczorem wyglądać oszałamiająco.

Kwintus objął ją opiekuńczo.

– To się nazywa mieć charakter – szepnął. Zdał sobie właśnie sprawę, że odwaga nie jest cechą przynależną wyłącznie mężczyznom. Nie była też ograniczona do pola bitwy czy polowania. Aurelia pokazała, że ma w sobie mnóstwo męstwa.

Flakkus przybył po południu wraz z dużą grupą niewolników i żołnierzy. Został natychmiast poprowadzony do najlepszego pokoju gościnnego, aby mógł się odświeżyć. Jeśli nie liczyć jego osobistych niewolników, większość orszaku pozostała na zewnątrz, na dziedzińcu gospodarstwa. Hanno był zajęty w kuchni i przez jakiś czas nie mógł obserwować, co się dzieje wokół gościa. Po godzinie z dziedzińca ponownie zaczęły dobiegać hałasy, co oznaczało zapewne, że do gospodarstwa dotarł Martialis z Gajuszem. Nowi goście zostali serdecznie powitani przez Fabrycjusza, który od razu zabrał ich do *triclinium*, do którego przechodziło się z perystylu. Tam, zgodnie z rzymską tradycją, podano im najpierw *mulsum*, mieszaninę wina i miodu. Gości obsługiwała Elira, a Hanno czekał niecierpliwie w kuchni na wezwanie. Gdy zaczęło się ściemniać, zajął się zapalaniem wykonanych z brązu lamp oliwnych, które zwisały u każdego filaru w perystylu. W pewnym momencie wyczuł ruch w narożniku najbardziej oddalonym od *tablinum*. Odwrócił się i przez kilka uderzeń serca miał możliwość obserwowania przystojnego mężczyzny w todze, o gęstych czarnych włosach, zanim nie zniknął w *triclinium*. Na końcu do gości dołączyli również wystrojeni Kwintus z siostrą. Hanno nigdy nie widział makijażu na twarzy Aurelii. Zaskoczony uznał, że prezentuje się naprawdę wyjątkowo. Zrobiła na nim wielkie wrażenie.

Przygotowanie posiłku dobiegło końca i Hanno razem z innymi niewolnikami pomagał w podawaniu potraw. Cieszył się, że miał zostać w *triclinium* na czas uroczystej kolacji, usługując przy stole, bo pozwalało mu to przysłuchiwać się rozmowom. Gotowy na każde skinienie stał po lewej stronie za kanapą, gdzie ułożyli się Fabrycjusz z Martialisem i Gajuszem. Flakkus dostąpił honoru zajmowania centralnego leża, podczas gdy Atia, Kwintus i Aurelia – robiąca wrażenie nieobecnej – zajęli prawą kanapę. Tradycyjnie leża ustawiono wokół stołu, w układzie przypominającym literę U, a czwarta strona pozostawała otwarta, by ułatwić donoszenie posiłków i wina.

Flakkus poświęcał Aurelii wiele czasu i uwagi, komplementując jej urodę i próbując zainteresować ją rozmową. Wszystkie te wysiłki na początku nie przynosiły efektów. Sytuacja zmieniła się dopiero po interwencji Atii, która zaczęła demonstracyjnie przyglądać się córce. Hanno dobrze wiedział, że wszystkie uśmiechy i słowa Aurelii były nieszczerze i stanowiły raczej ukłon w stronę matki. Wyglądało jednak na to, że Flakkus się nie zorientował. Obecni przy stole goście, poza Fabrycjuszem, nie mieli odwagi, by zwracać się bezpośrednio do emisariusza senatu. Kwintus i Gajusz rzucali tylko w jego stronę nieśmiałe spojrzenia, w próżnej nadziei, że usłyszą jakieś nowiny na temat misji w Kartaginie. A Flakkus, pochłaniający wielkie ilości *mulsum* i wina, w miarę upływu czasu wydawał się coraz bardziej skoncentrowany na Aurelii.

Gdy podano talerze ze słodkim deserem, Flakkus pochylił się i szepnął Fabrycjuszowi do ucha:

- Gratuluję ci córki. Jest tak piękna, jak mówiłeś. Ba! Piękniejsza.
- Dziękuję. – Fabrycjusz skromnie kiwnął głową, zachowując powagę.
- Myślę, że rano możemy porozmawiać o tej sprawie. Uważam, że dojdziemy do satysfakcjonującego porozumienia.

Fabrycjusz nieznacznie się uśmiechnął.

- To byłby dla nas wielki zaszczyt.

Atia zamruczała na znak zgody.

- Doskonale. – Flakkus skierował wzrok na Hanno. – Więcej wina.

Chłopak czym prędzej uzupełnił puchar, oblekwszy twarz w nieporuszoną maskę. Nie wiedział, co ma myśleć o słowach, które właśnie usłyszał. *To nie ma żadnego znaczenia. Tu jestem niewolnikiem.* Znów poczuł wielkie przygnębienie, uświadamiając sobie, teraz bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, swój los. Zapomniał o obawach dotyczących zaręczyn Aurelii. Więzy, które łączyły go z gospodarstwem, słabły z każdym dniem. Gdyby Aurelia wyszła za mąż za Flakkusa, wyjechałaby do Rzymu. Kwintus zawsze mówił, że marzy o karierze wojskowej. Kiedy i on opuści gospodarstwo, Hanno zostanie bez przyjaciół. Całkiem samotny. Myśląc o tym, podjął decyzję o ucieczce.

Kwintus uznał, że Flakkus jest całkiem sympatyczny. Od czasu do czasu zerkał na Aurelię. Z zadowoleniem stwierdził, że nie widzi na jej twarzy żadnych oznak niepokoju. Zdumiał go jej spokój i opanowanie. Potem zauważył, że ma lekko zarumienione policzki i pusty puchar. Czy nie piła za dużo? Nie potrzebowała wiele, aby się upić. Aurelia rzadko miała okazję raczyć się winem. Mimo wszystko Kwintus nie mógł przestać myśleć o możliwościach, jakie otwierały się po zawarciu sojuszu rodów *Fabricii* i *Minucii*. *Aurelia i Flakkus z czasem lepiej się poznają* – mówił sobie w duchu. *Tak właśnie działo się z większością małżeństw.* Wyciągnął rękę, aby dotknąć dłoni Aurelii. Uśmiechnęła się, a on poczuł się pewniej.

Przez jakiś czas rozmowy dotyczyły błażych spraw, takich jak pogoda, uprawy i różnice w igrzyskach organizowanych w Rzymie i Kapui. Nikt nie poruszał tematu, o którym wszyscy chcieli rozmawiać – jak przebiegła misja w Kartaginie?

Wreszcie Martialis nie wytrzymał. Jak zwykle pił dużo, a alkohol dodawał mu odwagi. Opróżniwszy kolejny puchar, zawołał do Flakkusa.

- Mówią, że kartagińskie wina są całkiem przyjemne.
- Owszem – zgodził się Flakkus. – W przeciwieństwie do ludzi, którzy je robią.

Martialis zdawał się nie zauważać Fabrycjusza, który zgromił go wzrokiem.

– Czy w Italii będziemy mieli okazję częściej ich kosztować? – kontynuował, mrugając przy tym porozumiewawczo.

Flakkus oderwał wzrok od Aurelii.

- Nie rozumiem.

– Opowiedz nam, co się stało w Kartaginie – prosił Martialis. – Wszyscy umieramy z ciekawości.

Hanno wstrzymał oddech. Widział, że Kwintus zareagował tak samo.

Flakkus rozejrzał się po osobach zgromadzonych przy stole. Rysy jego twarzy zmieniły się. Wyglądał, jakby delektował się tą chwilą. Uśmiechnął się z wyższością.

- Nic, co powiem, nie może wyjść poza te mury.

– Oczywiście, że nie – zachrypiął Martialis. – Możesz być pewny, że potrafimy zachować dyskrecję.

Nawet Fabrycjusz dołączył do chóru obietnic.

Zadowolony Flakkus zaczął swoją opowieść.

– Byłem tylko mało ważnym członkiem tej grupy emisariuszy, chociaż chyba mogę powiedzieć, że mój wkład został zauważony. Przewodzili nam dwaj konsulowie, Lucjusz Emiliusz Paulus i Marek Liwiusz Salinator. Funkcję rzecznika pełnił były cenzor Marek Fabiusz Buteo. – Zamilkł na chwilę, aby nazwiska wpływowych patrycjuszów dobrze zapisały się w pamięci słuchających. – Na początku sądziliśmy, że mamy dobre podstawy, aby liczyć na sukces misji. Omeny były dobre, a droga z Lilybaeum nie przyniosła żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Dotarliśmy do Kartaginy równo przed trzema tygodniami.

Hanno zamknął oczy i wyobraził sobie, jaki widok na miasto mieli członkowie misji. Potężne mury lśniące w zimowym słońcu. Wspaniała świątynia Eshmuna dominująca nad miastem na wzgórzu Byrsa. Bliźniacze porty pełne statków. *Dom*. Tęsknota dała o sobie znać. *Czy kiedykolwiek jeszcze go zobaczę?*

Sprowadziły go na ziemię dalsze słowa Flakkusa.

– Aroganckie skurwysyny! – Flakkus nie przebierał w słowach. Spojrzał na Atię. – Wybacz, pani, moje słownictwo... Wyobraźcie sobie, że najwięksi z wielkich mężów stanu republiki przybywają pod mury miasta i kto ich wita? Młodszy oficer straży miejskiej.

Martialis poczerwieniał z wściekłości i niemal zakrzuszył się winem.

Fabrycjusz zareagował o wiele spokojniej.

– To musiała być jakaś pomyłka – powiedział.

Flakkus zgromił go wzrokiem.

– Przeciwnie. To zachowanie było przemyślane. Oni wiedzieli, jakiej odpowiedzi nam udzielą, zanim zeszlśmy z trapów. Zamiast dać nam czas na ablucję i pozwolić odpocząć po podróży, zaprowadzono nas prosto na posiedzenie ich senatu.

Martialis gotował się ze złości.

– Typowe dla cholernych guggasów. Żadnego poloru.

Aurelia rzuciła Hanno szybkie, pocieszające spojrzenie.

Kartagińczyk był zbyt podenerwowany, aby ośmielić się spojrzeć w jej stronę. Wyobrażał sobie, że rozbija trzymany w dłoniach gliniany dzban na głowie Martialisa, ale oczywiście nawet nie drgnął. Nie chodziło już nawet o karę, jaką by otrzymał, ale o to, że słowa Flakkusa były teraz dla niego najważniejsze.

– A gdy dotarliście na miejsce... – dopytywał się Kwintus.

– Fabiusz wyjaśnił, kim jesteśmy i z czym przybywamy. Nikt nam nie odpowiedział. Po prostu stali tam i patrzyli na nas w ciszy. Czekali. Jak wataha szakali gromadząca się wokół trupa. Fabiusz zażądał odpowiedzi na pytanie, czy Hannibal uderzył na Saguntum za zgodą senatu Kartaginy. – Flakkus przerwał swoją opowieść. Ciężko oddychał. – I wiecie, co oni wtedy zrobili? – Żył na jego skroni mocno pulsowała. – Zaczęli się z nas śmiać.

Martialis uderzył pucharem w stół. Fabrycjusz zmiał w ustach przekleństwo, a Kwintus i Gajusz popatrzyli po sobie oszołomieni i zdziwieni, że ktoś śmiał tak potraktować najwybitniejszych rzymskich mężów stanu. Atia wykorzystała okazję, żeby wyszeptać kilka słów do ucha Aurelii. A Hanno z trudem powstrzymał się od parsknięcia śmiechem. *Kartagina nie straciła całej swojej godności, chociaż musiała pogodzić się z utratą na rzecz Rzymu Sycylii i Sardynii* – pomyślał z dumą.

– Niemniej wśród senatorów znaleźli się tacy, którzy otwarcie opowiadali się przeciwko Hannibalowi – zdradził Flakkus. – Najgłośniejszym z nich był pewien postawny członek rady, niejaki Hostus. – *Zdradziecki bękart!* – pomyślał Hanno. *Ileż bym dał, by wrazić mu ostrze noża w brzuch.* – Oni jednak zostali zakrzyczani przez zdecydowaną większość. Ludzi, którzy zakwestionowali podpisany przez Hasdrubala sześć lat temu traktat i nie przyjęli do wiadomości

sojuszu Saguntum z Rzymem. Krzyczeli i obrażali nas, ile dusza zapragnie. Naradziliśmy się i uznaliśmy, że możemy odpowiedzieć tylko w jeden sposób.

Kwintus spojrział na Hanno. Nie miał pojęcia, że Kartagińczycy skłonni są reagować tak ostro. Zaskoczony tym, co zobaczył na twarzy niewolnika, zaczął mu się uważniej przyglądać. Znał język ciała Hanno na tyle, aby zdać sobie sprawę, że on *wiedział*. Flakkus przerwał jego dywagacje.

– Fabiusz wyszedł na środek sali posiedzeń. To wreszcie uciszyło te śmierdzące szczury! Chwycił fałdy togi i powiedział, że oto trzyma w jednej ręce wojnę, a w drugiej pokój. Otrzymają to, co sami wybiorą. Po tych słowach rozpętało się piekło. Trudno było nawet usłyszeć własne słowa.

– Wybrali wojnę? – zapytał Fabrycjusz.

– Nie. Przewodniczący posiedzeniu rady sufet odpowiedział Fabiuszowi, że sam może wybrać. – Wszyscy obecni w pomieszczeniu, nawet Elira, wstrzymali oddechy, chłonąc każde słowo Flakkusa. – Fabiusz odwrócił się do nas, aby potwierdzić, że jesteśmy jednomyślni, a potem powiedział tym małym szczurom, że daje im wojnę. – Flakkus roześmiał się krótkim, nieprzyjemnym śmiechem. – Muszę przyznać, że mają jaja. Ledwo Fabiusz skończył mówić, niemal wszyscy członkowie rady senatu wstali, krzycząc: „Przyjmujemy!”.

Hanno uznał, że nie potrafi już dłużej ukrywać swojej radości. Zebrał ze stołu tyle talerzy, ile tylko zdołał, i ruszył do kuchni. Nikt oprócz Aurelii nie zwrócił uwagi na jego wyjście. Jednak gdy tylko minął próg, pragnienie poznania całej historii przeważało, dlatego wrócił i stanął niezauważony za rzeźbą. Podśluchiwał.

– Zawsze miałem nadzieję, że uda się uniknąć kolejnej wojny z Kartaginą. – Fabrycjusz westchnął ciężko. Zaciśnął zęby. – Ale nie dali nam wyboru. Znieważenie ciebie, panie, i twoich towarzyszy, a zwłaszcza konsulów... I to w taki sposób! Niewybaczalne.

– Masz absolutną rację – oburzył się Martialis. – Tym kundlom trzeba dać nauczkę lepszą niż ostatnim razem.

Flakkus z zadowoleniem przyjął ich reakcje.

– Słusznie. Może byście wybrali się ze mną do Rzymu? Czeka nas mnóstwo pracy, a będziemy potrzebować ludzi, którzy już walczyli z Kartagińczykami.

– To byłby dla mnie zaszczyt – odparł Fabrycjusz.

– Podobnie jak dla mnie – dodał Martialis, który jednak po chwili zawahał się i niemal przepaszającym tonem dokończył, poklepując prawą nogę. – Tylko że... To stara kontuzja, jeszcze z Sycylii. Z trudem udaje mi się przejść więcej niż ćwierć mili bez odpoczynku.

– Spełniłeś swój obowiązek wobec Rzymu z nawiązką – powiedział Flakkus, pocieszając go. – W takim razie pojedę tylko z Fabrycjuszem.

Kwintus nie potrafił już usiedzieć w miejscu. Bez zastanowienia wstał i wykrzyczał:

– Ja też chcę walczyć!

Błyskawicznie poderwał się również Gajusz.

Flakkus uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Widzę, że młodzieńcy rwą się do walki, co? Obawiam się jednak, że jesteście jeszcze za młodzi. Tę wojnę trzeba wygrać szybko. Najlepsi będą weterani.

– Mam siedemnaście lat! – zaprotestował Kwintus. – Tak samo jak Gajusz.

– Pamiętaj, do kogo mówisz! – Flakkus pociemniał na twarzy.

– Kwintusie! Usiądź! – nakazał Fabrycjusz. – Ty też, Gajuszu. – Gdy młodzi Rzymianie niechętnie usłuchali, zwrócił się do Flakkusa. – Przepraszam. Obaj są po prostu w gorącej wodzie kąpani.

– Nic się nie stało. Przyjdzie i na nich czas – odparł Flakkus, rzuciwszy Kwintusowi pełne

jadu spojrzenie. Wszystko działo się tak szybko, że nikt inny poza Kwintusem nie zwrócił uwagi na tę dziwną zmianę w zachowaniu patrycjusza, a nawet i on przez chwilę zastanawiał się, czy mu się to nie przywidziało. Od tego momentu zaczął jednak uważniej przyglądać się emisariuszowi i już chwilę później dostrzegł coś, co go bardzo zaniepokoiło. Aurelia przeprosiła wszystkich i wstała od stołu z zamiarem udania się na nocny odpoczynek. Flakkus wodził za nią wzrokiem węża, który śledzi swoją ofiarę – jakby chodziło o polną mysz. Kwintus zamrugał, próbując odzyskać jasność umysłu, najwyraźniej zaburzoną przez wino. Kiedy znów spojrzął na Flakkusa, ten wyglądał już całkiem niewinnie. *Mam jakieś omamy*. Był rozczarowany tym, że starsi mężczyźni zaczęli rozmawiać ze sobą ściszonymi głosami. Atia kiwnęła głową, dając mu wyraźny znak, że też powinien się oddalić. Sfrustrowany spojrzął na Gajusza, pokazując mu, że chciałby się przejść po wewnętrznym dziedzińcu willi.

Nagle pojawienie się Gajusza i Kwintusa w perystylu zaskoczyło Hanno. Chciał się ukryć przed wzrokiem Aurelii, dlatego, przesuwając się w cieniu posągu, wpadł prosto na młodych Rzymian. Spuścił głowę, jakby był złoczyńcą złapanym na gorącym uczynku, i szybko wycofał się do kuchni.

Gajusz zmarszczył brwi.

– Co to miało być, na Hades?

Kwintus nie był pewien, dlaczego zachował się tak, jak się zachował. Czy powinien winić za to swój gniew z powodu tego, jak potraktował go emisariusz Rzymu, czy tłumaczyć swoje zachowanie dużą ilością wypitego wina. A może po prostu chciał się na kimś wyładować?

– Kogo to obchodzi? Przecież to *gugga*. Daj mu spokój – odpowiedział.

Pożałował tych słów już w chwili, gdy opuszczały jego usta. Chciał pójść za Hanno i go przeprosić, ale Gajusz, który zareagował śmiechem, pociągnął go na kamienną ławkę przy fontannie.

– Porozmawiajmy... – wychrypiął Gajusz. Nie było wątpliwości, że przesadził z winem.

Kwintus wiedział, że nie powinien zostawić go samego w takim stanie. Ukrył w cieniu twarz, na której pojawiło się wahanie.

Kark Hanno zesztyniał z tłumionej wściekłości. Nie spojrzął za siebie. Od kuchni dzieliło go dziesięć kroków. Ze złością odstawił naczynia do zlewu. *To tyle, jeśli chodzi o przyjaźń z Rzymianinem* – pomyślał z goryczą, która płynęła w jego żyłach niczym zabójczy jad. Wiedział, że Aurelia jest mu życzliwa, i zastanawiał się, czy ona nie była tutaj jedyną przychylną mu osobą. Z pewnością nie mógł tak myśleć o Kwintusie. Gniew, jaki po wysłuchaniu rewelacji Flakkusa słyszał w głosach zgromadzonych przy stole, był w pewnym sensie zrozumiały, aczkolwiek całkowicie zmieniał jego sytuację. W zasadzie w tej chwili stał się ich nieprzyjacielem. Musiał głęboko ukrywać radość z powodu coraz bliższej konfrontacji Kartaginy z jej odwiecznym wrogiem. Wiedział, że w zamkniętym ścianami domu będzie to bardzo trudne. Powoli wypuścił powietrze. Podjął właśnie ważną decyzję. Powinien stąd uciec. Jak najszybciej. Kwestią otwartą pozostawało, czy powinien zmierzać do Kartaginy, czy do Iberii? I czy istnieje jakaś szansa, że wcześniej odnajdzie Suniatona?



## Rozdział X



Następnego dnia rano Kwintus cierpiał katusze z powodu potwornego kaca, a wspomnienia dotyczące dziwnego wyrazu twarzy Flakkusa wydawały mu się co najmniej niepewne. Jednak obraz, który utkwił mu w pamięci, był na tyle frapujący, że postanowił porozmawiać z ojcem. Okazało się, że Fabrycjusz przebywa – jakżeby inaczej – w towarzystwie Flakkusa w pomieszczeniu pełniącym funkcję gabinetu. Był zajęty podpisywaniem dokumentów zaręczynowych Aurelii i wydał się zirytowany tym, że syn przeszkadza mu w pracy. Usłyszawszy cichą prośbę Kwintusa o to, aby zamienił z nim słowo na osobności, odmówił. Złagodniał jednak nieco, widząc nieskrywane rozczarowanie syna.

– Porozmawiamy później – obiecał.

Niezadowolony Kwintus zamknął za sobą drzwi. Miał też inne rzeczy na głowie. Bardzo obraził Hanno i wstydził się tego. To, że był Kartagińczykiem, a przede wszystkim niewolnikiem, oznaczało, że mógł go traktować jak chce, ale oczywiście oficjalne relacje nie miały w tym przypadku znaczenia. *Uratował mi życie. Teraz jesteśmy przyjaciółmi. Winien mu jestem przeprosiny.* Próba naprawienia błędu zakończyła się równie frustrującą porażką, jak próba rozmowy z ojcem. Bez trudu znalazł Hanno, ale Kartagińczyk udawał, że nie słyszy głosu Kwintusa i uciekał wzrokiem. Kwintus nie chciał robić scen. Zresztą tyle się wokół działo! I tak nie znalazłby żadnego spokojnego miejsca, gdzie mogliby porozmawiać. Decyzja Fabrycjusza o towarzyszeniu Flakkusowi w drodze do Rzymu, a stamtąd prawdopodobnie prosto na wojnę, sprawiła, że w gospodarstwie zapanował wielki rozgardiasz. Niewolnicy uwijali się, wykonując swoje obowiązki. Trzeba było spakować ubrania, meble i koce, wyczyścić ekwipunek i przygotować broń.

Niepocieszony Kwintus udał się zatem na poszukiwanie Aurelii. Nie wiedział, czy powinien mówić jej o swoich podejrzeniach wobec Flakkusa. Bo jakie miał dowody? Dwa dziwne spojrzenia, które dostrzegł, będąc pod wpływem alkoholu. Postanowił, że zanim cokolwiek powie, sprawdzi, w jakim nastroju jest Aurelia. Jeśli nadal jest pozytywnie nastawiona do małżeństwa, nie powie ani słowa. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz chciał, było zaburzenie delikatnej równowagi, którą osiągnęła jego siostra, gotowa zaakceptować swój los.

Okazało się, że Aurelia ma doskonały humor.

– Jest taki przystojny... No i wcale nie taki stary – szczebiotała. – Myślę, że będziemy bardzo szczęśliwi. – Kwintus odsunął od siebie czarne myśli i uśmiechnął się pogodnie. – Uderzyło mnie to, że jest dość arogancki, ale jaki człowiek na jego stanowisku nie byłby? Jego lojalność wobec Rzymu jest bezdyskusyjna i to się liczy przede wszystkim. – Na twarzy Aurelii

na chwilę zagościł niepokój. – Wczoraj wieczorem było mi bardzo żal Hanno. Te wszystkie wyzwiska, jakimi obrzucali jego krajanów... To nie było potrzebne. Rozmawiałaś z nim?

Kwintus uciekł wzrokiem.

– Nie.

– Co się stało? – Aurelia wyróżniała się typową dla kobiet wyjątkową intuicją.

– Nic takiego. Mam kaca, to wszystko.

Pochyliła się, aby spojrzeć bratu prosto w oczy.

– Rozmawiałaś z Hanno?

– Nie. Tak. Nie wiem.

Aurelia zmarszczyła brwi i Kwintus już wiedział, że nie zostawi go w spokoju, zanim nie powie jej wszystkiego.

– Kiedy wyszedłem z Gajuszem, zobaczyłem Hanno. Wyglądało na to, że nas podsłuchiwał.

– Dziwisz się? Rozmawialiśmy o wojnie Kartaginy z Rzymem – zauważyła ponuro Aurelia. – Ale jakie to właściwie ma znaczenie? Był w środku, przy stole, gdy Flakkus przedstawił nam najważniejszą część tej historii.

– No wiem... – mruknął Kwintus. – Niemniej to było podejrzane. Gajusz chciał przeprowadzić coś w rodzaju konfrontacji, a ja powiedziałem, żeby się nim nie przejmował. Że Hanno to tylko kolejny *gugga*.

Ręka Aurelii powędrowała do ust.

– Kwintusie! Jak mogłeś?

Zwiesił głowę.

– Chciałem go od razu przeprosić, ale... Gajusz chciał ze mną porozmawiać – dokończył niepewnie. – Nie mogłem go zostawić.

– Mam nadzieję, że zrobiłeś to dziś rano? – zapytała ponurym głosem Aurelia.

Kwintus nie potrafił zrozumieć, kiedy Aurelia stała się tak rezolutną młodą damą. Zupełnie jakby te zaręczyny sprawiły, że wydorosła i w jeden wieczór stała się dojrzała i starsza o pięć lat.

– Próbowałem. Ale tak dużo się dzieje, że nie udało mi się spokojnie z nim porozmawiać.

Aurelia zacisnęła usta.

– Ojciec odjeżdża za parę godzin. Potem będzie mnóstwo czasu.

– Nie martw się. Zajmę się tym. – Kwintus wreszcie spojrział jej w oczy.

Po wyjściu od Aurelii Kwintusowi niespodziewanie nadarzyła się okazja do rozmowy z Flakkusem i ewentualnej konfrontacji swoich przeczuc z rzeczywistością. Gdy wszelkie niezbędne dokumenty kontraktu przedmałżeńskiego zostały podpisane, ciemnowłosego polityk próbował zaskarbić sobie przychylność przyszłego szwagra.

– Nie mam wątpliwości, że wojna z Kartaginą szybko dobiegnie końca. Może nawet zanim skończysz szkolenie wojskowe – oświadczył, obejmując Kwintusa poufale ramieniem. – Nie bój się. Będą inne. I zdobędziesz chwałę. Galowie na naszych północnych granicach zawsze sprawiają kłopoty. Podobnie jak plemiona z Illyricum. Nie można też ufać Filipowi Macedońskiemu. Śmiały, młody oficer, jak ty, może zająć naprawdę wysoko. Może nawet zostać trybunem.

Kwintus uśmiechnął się od ucha do ucha. Chociaż ród *Fabricii* miał w swoich szeregach ekwitów, jego status nie był na tyle dobry, aby mógł marzyć, że któregoś dnia zostanie trybunem. Jednak pod patronatem wpływowej osoby ze świata politycznego ta droga stawała się znacznie prostsza. To, co usłyszał od Flakkusa, pomogło mu jakoś zapomnieć o rozczarowaniu i pogodzić się z myślą, że nie będzie towarzyszył ojcu.

– Czekam na szansę służenia na chwałę Rzymu – powiedział dumnie. – Gdziekolwiek pośle mnie republika.

Flakkus poklepał go po plecach.

– O! I taka postawa mi się podoba! – W tej samej chwili, dostrzegłszy Aurelię, Flakkus odepchnął Kwintusa. – Pozwól, że porozmawiam przed wyjazdem z moją narzeczoną. Do czerwca jeszcze tyle czasu!

Radość z perspektywy kariery wojskowej sprawiła, że Kwintus uznał to odepchnięcie przez Flakkusa jedynie za efekt podekscytowania kawalera na widok swojej oblubienicy. Aurelia rozkwitła i stawała się piękną młodą kobietą. Któż nie chciałby się z nią ożenić? Zostawił Flakkusa samego, bo uznał, że powinien wrócić do rozmowy z ojcem.

– Aurelia! – zawołał Flakkus, wchodząc na wewnętrzny dziedziniec.

Dziewczyna, która właśnie rozmyślała o tym, jak będzie wyglądać jej życie małżeńskie, podskoczyła zaskoczona. Ukłoniła się sztywno.

– Flakkusie?

– Chodź ze mną. – Zrobił zapraszający gest.

Na policzkach dziewczyny wykwitły bliźniacze czerwone rumieńce.

– Nie jestem pewna, czy matka zgodziłaby się...

– Za kogo mnie bierzesz? – Flakkus udawał poruszonego. – Nigdy bym ci nie uchybił, zabierając poza willę bez opiekuna. Miałem na myśli spacer tutaj, na dziedzińcu, gdzie wszyscy mogą nas widzieć.

– Ach! Naturalnie – odparła zdumiona Aurelia. – Przepraszam.

– To moja wina, że wprowadziłem cię w zakłopotanie – powiedział z uśmiechem. – Pomyślałem, że dobrze byłoby przed ślubem spędzić trochę czasu razem. Idzie wojna, więc wkrótce takie chwile będziemy tylko wspominać.

– Tak, oczywiście. – Zajęła miejsce przy nim.

Flakkus nie mógł oderwać od niej wzroku.

– Bachus może sprawić, że najbardziej zmurszałe jędze wyglądają atrakcyjnie, a bogowie wiedzą, że poprzedniego wieczoru wypilem tyle jego nektaru, że mógłbym dać się omamić. Ale twoje piękno jest jeszcze bardziej widoczne w świetle dnia. To *rzadko* się zdarza.

Nienawykła do takich komplementów Aurelia znów zarumieniła się aż po cebulki włosów.

– Dziękuję... – wyszeptwała.

Spacerowali po perystylu. Aby przerwać krępujące milczenie, Aurelia zaczęła pokazywać Flakkusowi różne rośliny i drzewa, których rosła tu prawdziwa obfitość. Na dziedzińcu zasadzono bowiem drzewa cytrynowe, migdałowe i figowe. Winorośle, poprowadzone po drewnianych podporach, tworzyły przyjemnie zacieniony korytarz.

– O tej porze roku trudno sobie wyobrazić, jak nasz ogród wygląda w pełnej krasie. Ale latem to miejsce jest wprost przepiękne! Do czasu Vinalia Rustica trudno się nawet po nim poruszać, by nie trącić jakichś owoców.

– Jestem pewien, że ogród robi kolosalne wrażenie, ale nie mam zamiaru rozmawiać o winogronach. – Widząc zażenowanie Aurelii, zaczął wyjaśniać. – Opowiedz mi coś o sobie. Co lubisz robić?

Aurelia zastanawiała się przez chwilę, co jej rozmówca chciałby usłyszeć.

– Lubię prowadzić rozmowy po grecku. I jestem lepsza w algebrze i geometrii od Kwintusa.

– Naprawdę? Wspaniale. A zatem mam do czynienia z wykształconą dziewczyną. – Kąciki ust Flakkusa zadrgały.

– Sądzę, że można tak powiedzieć. – Aurelia znów się zarumieniła.  
– Prawdopodobnie mogłabyś mnie wiele nauczyć. Matematyka nigdy nie była moim ulubionym przedmiotem.

– A co z filozofią? – Aurelia poczuła się nieco pewniej.

Teraz Flakkus spojrział na nią nieco z góry.

– O *pietas* i *officium* słyszałem jeszcze, zanim odstawiono mnie od piersi. Ojciec zadbał o to, aby idea służenia Rzymowi była dla mnie i dla mojego brata wszystkim. Oczywiście wysłano nas na nauki. Zanim mogliśmy rozpocząć zajęcia wojskowe, trafiliśmy do szkoły stoików w Atenach. Nie spodobało mi się tam. Wszyscy tylko siedzieli w dusznych salach i rozprawiali. Ten obraz jako żywo przypomina obrady senatu. – Flakkus się rozpromienił. – Spodziewam się otrzymać awans na jedno z wyższych stanowisk w legionach. Jestem pewien, że to będzie dla mnie bardziej odpowiednie miejsce.

Aurelia uznała jego entuzjazm za ujmujący. Przypomniała sobie, że Kwintus przedstawiał jej jasną wizję tego, co mogłaby osiągnąć, gdyby została poślubiona przez mężczyznę z wpływowej rodziny patrycjuszy.

– Twój brat, panie, służył już jako konsul, prawda?

– Tak – odparł dumnie Flakkus. – Cztery lata temu rozbił plemię Bojów.

Aurelia nigdy nie słyszała o Bojach, ale nie zamierzała się do tego przyznawać.

– Słyszałam, jak ojciec wspominał o tej kampanii. To było wielkie zwycięstwo – powiedziała pewnie, udając, że naprawdę wie, o czym mówi.

– Jeśli bogowie pozwolą, pewnego dnia taka wiktoria stanie się również moim udziałem.

– Flakkus wyraźnie się ożywił. Przez chwilę spoglądał niewidzącymi oczyma przed siebie, po czym znów spojrział na Aurelię. – Nie mówię, że nie lubię zwykłych przyjemności, takich jak oglądanie wyścigów rydwanów, jazdy konnej czy polowań.

– Ja też! – rzuciła bez namysłu Aurelia.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wyścigi organizowane w Rzymie nie mają sobie równych w całej Italii. Będę cię zabierał ze sobą tak często, jak będziesz chciała.

– Nie o to mi chodziło – odpowiedziała Aurelia lekko zirytowana.

– Nie rozumiem.

Nagle opuściła ją odwaga. Po chwili pomyślała jednak naiwnie, że jeśli ten mężczyzna ma zostać jej mężem, powinna mu mówić o wszystkim.

– Ja też uwielbiam jazdę konną.

Flakkus zmarszczył brwi.

– Chcesz powiedzieć, że lubisz oglądać ojca lub Kwintusa na koniach?

– Nie. Umiem jeździć. – Zachwyciło ją jego zdumienie.

– Jak to? Kto cię nauczył? – Tym razem to Flakkus lekko się zirytował.

– Kwintus. Mówi, że mam naturalny talent.

– Twój brat uczył cię jeździć na koniu?

– Tak – wymamrotała przyszpilona spojrzeniem Flakkusa. – Właściwie to... Zmusiłam go.

Flakkus wybuchnął urywanym śmiechem.

– *Zmusiłaś go?* Fabrycjusz nie wspominał o takich niespodziankach, kiedy wymieniał twoje zalety i wychwalał pod niebiosa.

Aurelia spuściła głowę. *Powinnam była trzymać język za zębami.* Gdy podniosła wzrok, stwierdziła, że Flakkus uważnie się jej przygląda. Poczuła się niepewnie.

– Może umiesz też walczyć? – Otworzyła usta, zdziwiona taką zaskakującą taktyką.

Flakkus wyprostował prawą rękę, udając, że dźga mieczem. – Potrafisz posługiwać się gladiusem?

Zaskoczona własną śmiałością Aurelia wołała się już nie odzywać.

– Zadałem ci proste pytanie. – Głos Flakkusa był miękki, ale w jego oczach widziała twarde upór.

*To, co zrobiłam, nie jest żadną zbrodnią* – pomyślała Aurelia gniewnie.

– Tak, potrafię! – odparowała. – Ale o wiele lepiej radzę sobie z procą.

Flakkus uniósł ręce nad głowę.

– Bogowie! Mam poślubić amazonkę! – zawołał. – Czy twoi rodzice o tym wiedzą?

– Oczywiście, że nie.

– Nie. Nie sądzę, aby Fabrycjusz był z tego zadowolony. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak zareagowałaby Atia.

– Nie mów im, proszę. Kwintus miałby kłopoty.

Obserwował ją przez chwilę, po czym na jego ustach pojawił się wilczy uśmiech.

– Dlaczego miałbym zdradzić cię choćby jednym słowem?

Aurelia nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Nie masz nic przeciwko?

– Nie! To pokazuje tylko twój hart ducha godny Rzymu. A to oznacza, że nasi synowie będą wojownikami. – Flakkus uniósł palec ostrzegawczo. – Nie spodziewaj się jednak, droga panno, że będziesz mogła używać broni, gdy zostaniemy małżeństwem. Takie zachowanie w Rzymie jest nie do przyjęcia.

– A co z jazdą konną? – zapytała szeptem Aurelia.

– Zobaczymy... – Zauważył, że jej twarz okryła się cieniem, i wtedy w jego oczach pojawił się dziwny błysk. – Moja posiadłość na przedmieściach stolicy jest bardzo duża. Nikt nie wie, co się tam dzieje, jeśli nie uznam za stosowne tego powiedzieć.

Uradowana reakcją Flakkusa Aurelia nie zwróciła uwagi na delikatny akcent, jaki jej narzeczony położył na ostatnie słowa. *Być może małżeństwo nie będzie tak złe, jak mi się wydawało.* Chwyciła jego dłoń.

– Teraz twoja kolej, żeby coś mi o sobie opowiedzieć.

Spojrzał na nią z zadowoleniem. Nie zamierzał przegapić tej okazji.

Kwintus znalazł ojca zajętego nadzorowaniem załadunku bagażu na muły. Fabrycjusz uśmiechnął się na jego widok.

– Chciałeś wcześniej ze mną porozmawiać?

– To nie było nic ważnego – odparł Kwintus. Uznał, że Flakkus zasłużył na kredyt zaufania. Zerkał na zwierzęta ustawione w rzędzie, które obciążono pakunkami ze wszystkimi chyba elementami sprzętu wojskowego jego ojca. – Ile twoim zdaniem, ojczco, potrwa ta wojna? Flakkus wydaje się przekonany, że tylko kilka miesięcy.

Fabrycjusz rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu kogoś mogącego ich usłyszeć.

– Myślę, że on jest trochę zbyt pewny siebie. Wiesz, jacy są politycy.

– Planuje też ślub na czerwiec.

Fabrycjusz mrugnął porozumiewawczo.

– Chciał ustalić datę. Nie sprzeciwiałem się. Czy może być jakaś lepsza pora niż najpopularniejszy miesiąc w roku? A jeśli do ślubu nie dojdzie, bo kampania się przedłuży, umowa zaręczynowa gwarantuje, że któregoś dnia małżeństwo tak czy owak zostanie zawarte.

Kwintus wyszczerzył zęby na myśl o tej sztuczce. Po dłuższym zastanowieniu uznał, że jego ojciec prawdopodobnie lepiej ocenia perspektywy czasowe tej wojny.

– Jestem już w odpowiednim wieku, żeby zaciągnąć się do wojska.

Fabrycjusz spojrział na niego poważnie.

– Wiem. Poprosiłem Martialisa, aby miał na ciebie oko. Ale nie tylko. Ma przypilnować formalności w sprawie wciągnięcia cię na listę rekrutów lokalnej jednostki kawalerii. Tej samej, w której będzie służył Gajusz. Podczas mojej nieobecności matka oczywiście przejmie odpowiedzialność za Aurelię i spadnie na nią też obowiązek zarządzania całym gospodarstwem, dlatego będziesz musiał jej pomagać w każdy możliwy sposób. Jednak nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś też rozpocząć szkolenia wojskowego.

Oczy Kwintusa błyszczały z radości.

– Pamiętaj tylko, że nie życzę sobie żadnych szalonych pomysłów – ostrzegł go ojciec. – Nie sądzę, abyś w najbliższej przyszłości otrzymał powołanie. Na razie ta jazda, którą zapewnia Rzym i okoliczne miejscowości, wystarczy.

Kwintus starał się nie okazywać rozczarowania.

Fabrycjusz chwycił go za ramiona.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wojna to nie tylko gloria i chwała. Wręcz przeciwnie. To krew, brud i walka do upadłego, do chwili, kiedy z trudem już utrzymujesz miecz w zdrętwiałych palcach. Zobaczysz straszne rzeczy. Mężczyzn wykrwawiających się na śmierć z powodu braku opasek zaciskowych. Towarzyszy i przyjaciół umierających na twoich oczach i wzywających swoje matki. – Kwintus z trudem wytrzymał spojrzenie ojca. – Jesteś wspaniałym młodzieńcem – ciągnął Fabrycjusz z dumą. – Przyjdzie twój czas i będziesz mógł walczyć na pierwszej linii. Obiecuj mi jednak, że zanim ten czas nadejdzie, zdobędziesz tyle doświadczenia, ile tylko się da. Jeśli to będzie oznaczało, że nie weźmiesz udziału w wojnie z Kartaginą, niech tak się stanie. Te tygodnie szkolenia mają kluczowe znaczenie, jeśli chcesz przeżyć i przetrwać już choćby pierwsze chwile bitwy.

– Tak, ojciec. Obiecuję.

– Dobrze – Fabrycjusz wyglądał na usatysfakcjonowanego. – Niech bogowie zadbają o twoje bezpieczeństwo i zdrowie.

– I twoje również. – Kwintus bardzo się starał, ale i tak w jego głosie dało się wyczuć drżenie.

Atia czekała, aż syn zniknie w drzwiach domu. Dopiero wtedy podeszła do Fabrycjusza.

– To już prawie dorosły mężczyzna – powiedziała ze smutkiem. – A mam wrażenie, że jeszcze jedno mrugnięcie oka temu bawił się drewnianymi zabawkami.

– Wiem, co czujesz – Fabrycjusz uśmiechnął się ciepło. – Lata lecą, prawda? Pamiętam, jak żegnałem się z tobą przed wyjazdem na Sycylię. Zupełnie jakby to było wczoraj. I spójrz na nas. Znow jesteśmy w takiej samej sytuacji.

Atia dotknęła jego twarzy.

– Musisz do mnie wrócić. Słyszysz?

– Zrobię wszystko, żeby tak się stało. Zadbaj, by na ołtarzu zawsze znajdowały się podarki dla bogów – poprosił. – Lary muszą być zadowolone.

Udała, że jest urażona.

– Wiesz, że robię to codziennie.

Fabrycjusz wybuchnął niemal młodzieńczym śmiechem.

– Wiem. I ty wiesz, że codziennie będę modlić się do Marsa i Jowisza, prosząc ich o ochronę.

– Czy nadal jesteś przekonany, że Flakkus jest odpowiednim kandydatem? – zapytała poważnym głosem.

– Ech? – Uniósł brwi.

– Czy on jest właściwym mężczyzną dla naszej córki?

– Myślałem, że wczoraj zrobił na tobie całkiem dobre wrażenie. – Fabrycjusz nie ukrywał zdziwienia. – Oczywiście jest trochę arogancki, ale tego można się było spodziewać po arystokracji. Wyglądało na to, że Aurelia go ujęła. To dobrze. Jest ambitny, przystojny i zamożny. – Spojrzał znacząco na Atię. – Czy to nie wystarczy? – Atia zacisnęła usta i długo nie odpowiadała. – Żono?

– Nie mogę go rozgryźć – odezwała się w końcu. – Jakoś mu nie ufam.

– Musisz mieć chyba jednak coś więcej niż mgliste przeczucie, żeby zerwać zaręczyny z tak wartościowym kandydatem? – spytał Fabrycjusz nieco poirytowanym głosem. – Pamiętaj, ile pieniędzy jesteśmy winni!

– Nie twierdzę, że powinieneś odwołać zaręczyny – powiedziała pojednawczym tonem.

– No to o co chodzi?

– Po prostu obserwuj uważnie Flakkusa w Rzymie. Będziecie spędzać ze sobą dużo czasu. Poznasz go lepiej i dowiesz się więcej, niż można to zrobić w ciągu jednego wieczoru. – Poglądziła go po ramieniu. – To chyba nie jest zbyt wielka prośba?

– Nie... – wymruczał. Uśmiechnął się łagodnie, a potem pochylił się, aby ją pocałować. – Zawsze miałaś świetną intuicję. Zaufam po raz kolejny twojemu osądowi.

– Nie drocz się ze mną – zawołała. – Mówię poważnie.

– Wiem, że nie żartujesz, moja miłości. I zrobię tak, jak mówisz. – Dotknął nosa palcem wskazującym. – Flakkus nie będzie miał pojęcia, że obserwuję każdy jego ruch.

Atia wyraźnie się rozpogodziła.

– Dziękuję.

Fabrycjusz położył dłonie na jej pośladkach i delikatnie je ścisnął.

– A teraz może jednak pożegnamy się, jak należy?

Atia spojrzała na niego uwodzicielsko.

– Świetny pomysł. – Złapała go za rękę i poprowadziła do domu.

Godzinę później nad gospodarstwem zawiła grobowa cisza. Fabrycjusz i Flakkus wyjechali, obiecując wszystkim szybką wiktoryę. Przygnębiony Kwintus uznał, że najwyższy czas odszukać Hanno. Po wyjeździe pana domu niewolnicy mieli chwilę na odpoczynek, dlatego Kartagińczyk nie mógł odmówić, gdy Kwintus poprosił go na rozmowę do perystylu.

Gdy znaleźli zaciszne miejsce, przez długi czas żaden z nich nie wiedział, co powiedzieć.

*Nie zamierzam odzywać się pierwszy* – pomyślał Hanno. Wciąż był wściekły na zachowanie Kwintusa.

Kwintus zaczął niepewnie szurać sandałem po mozaice perystylu.

– Jeśli chodzi o ostatni wieczór...

– Tak? – zapytał Hanno wyzywającym tonem, który nie pasował do niewolnika. W tej chwili w ogóle się tym nie przejmował.

Kwintus już miał zareagować agresywnie, ale ugryzł się w język.

– Przepraszam cię – powiedział zaczepnie. – Byłem pijany. Nie myślałem na serio tego, co powiedziałem.

Hanno spojrzał głęboko w oczy Kwintusa. Przekonał się, że mimo lekkiego tonu, jego przeprosiny były szczerze. Od razu znalazł się w defensywie. Nie spodziewał się tego, ale jeszcze nie był gotów pogodzić się z Kwintusem.

– Jestem tylko niewolnikiem – warknął. – Możesz się do mnie zwracać, jak chcesz.

Kwintus poczuł niemal fizyczny ból.

– Przede wszystkim jesteś moim przyjacielem. I nie powinienem był używać takich słów jak wczoraj.

Hanno w milczeniu analizował to, co usłyszał. Zanim trafił do niewoli, każdy

cudzoziemiec, który ośmieliłby się nazwać go tak, jak nazwał go Kwintus, skończyłby z rozbitym nosem albo gorzej. Teraz jednak musiał się uśmiechać. Zaakceptować to. *Już niedługo* – powiedział sobie. *Na razie muszę udawać*. Skinął głową, jakby zgadzał się ze słowami Kwintusa.

– Bardzo dobrze. Przyjmuję twoje przeprosiny.

– Dziękuję. – Kwintus uśmiechnął się od ucha do ucha.

Żaden z nich nie wiedział, co dalej. Mimo wysiłków Kwintusa trudno było zasypać przepaść, jaka ich dzieliła. Kwintus jako obywatel Rzymu, patriota całym sobą opowiadał się za decyzją senatu, który zdecydował o rozpoczęciu wojny z Kartagimą. Hanno, choć nie mógł brać w niej udziału, służąc w armii Hannibala, czuł podobną powinność wobec Kartaginy. Ta sprawa różniła ich i uniemożliwiała jakąkolwiek przyjaźń. Nie wiedzieli, jak rozwiązać ten problem.

Cisza się przeciągała. Nikt nic nie mówił. Kwintus nie chciał wspominać o zbliżającej się wojnie, gdyż ten temat wiązał się ze wielkimi emocjami każdego z nich. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zaproponować Hanno trochę ćwiczeń z mieczem, ale uznał, że to też jest kiepski pomysł. Mimo że mu ufał, taka walka stałaby się w pewnym sensie symbolem konfliktu Rzymu i Kartaginy. Zirytowany czekał na to, co zrobi Hanno. Ten jednak wciąż jeszcze był zły. Poza tym bał się, że przypadkowo mógłby się zdradzić z planami ucieczki, dlatego milczał.

Obaj żalowali, że w pobliżu nie ma Aurelii. Roześmiałyby się i sprawiła, że gęsta atmosfera oczyściłaby się w mgnieniu oka. Po Aurelii nie było jednak ani śladu.

Hanno uznał wreszcie, że takie czekanie jest bezcelowe. Zrobił krok w stronę kuchni.

– Lepiej wróć już do pracy.

Poirytowany Kwintus przesunął się, żeby nie blokować mu drogi.

– Tak – odezwał się oschle.

Odchodząc, Hanno ze zdziwieniem stwierdził, że czuje wielki smutek. Mimo ostatnich zdarzeń łączyła go z Kwintusem silna więź, która zaczęła się kształtować już wtedy, gdy spotkało go wielkie szczęście i trafił właśnie do tej rodziny. Wydawało się, że tamta walka na śmierć i życie przy chacie pasterza uczyniła tę więź nierozzerwalną. Nagle do głowy przysłała mu inna myśl. Odnalezienie go i przeproszenie musiało Kwintusa wiele kosztować. Zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę ich obecną różnicę pod względem statusu społecznego. A jednak to *on* zostawił go samego, wyniośle odchodząc, jakby był panem, a nie niewolnikiem. Hanno się odwrócił. Chciał szczerze przeprosić za swoje zachowanie, ale było już za późno.

Kwintus zniknął.

Minęło kilka tygodni. Zrobiło się słonecznie i każdy dzień był coraz cieplejszy. Wśród żołnierzy stacjonujących w namiotach pod murami Nowej Kartaginy rozeszły się wieści – za sprawą oficerów – o dalszych planach Hannibala. Również ten sposób powiadomienia armii był dobrze przemyślany przez generała. Ze względu na jej wielkość niemożliwe byłoby przekazywanie bezpośrednio wszystkim żołnierzom informacji o dalszych etapach kampanii. A w ten sposób – to znaczy za pośrednictwem oficerów – wieści rozchodziły się lotem błyskawicy. Zanim jeszcze Hannibal zwołał dowódców poszczególnych oddziałów na naradę, zwykli żołnierze wiedzieli, że ruszą do Italii.

Nadszedł jednak dzień, w którym cała armia, podzielona na formacje, została zgromadzona przed drewnianą platformą niedaleko jednej z bram miasta. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się długie szeregi żołnierzy: tysiące Libijczyków i Numidyjczyków, jeszcze większe liczby Iberów z dziesiątków różnych plemion, skąpo ubrani procarze z Balearów, długie rzędy dumnych Celtyberów, setki Ligurów i Galów. Ludzie ci opuścili swoje domy wiele tygodni wcześniej, aby dołączyć do armii wielkiego generała, który rzucił wyzwanie Rzymowi. Tylko część żołnierzy będzie mogła zobaczyć i usłyszeć wodza, który miał pojawić się na drewnianym



podwyższeniu, ale rozmieszczeni w regularnych odstępach między rzędami tłumacze przekażą reszcie to wszystko, co usłyszą. W ten sposób zgromadzeni dowiedzą się, choć z niewielkim opóźnieniem, co ma do powiedzenia Hannibal.

Malchus, Sapho i Bostar dumnie przeżyli się przed szpalerem swoich libijskich włóczników. Brązowe hełmy i wypolerowane umba tarcz odbijały poranne promienie słońca. Ta trójka dobrze wiedziała, co ma się wkrótce wydarzyć, ale im też udzieliło się nerwowe wyczekiwanie. Od powrotu spod Saguntum kilka tygodni wcześniej Bostar i Sapho starali się zapomnieć o animozjach, przygotowując się na tę właśnie chwilę. Bo tu, na ich oczach, tworzyła się historia. Hannibal miał dokonać czegoś, co będzie można porównać chyba tylko do niezwykłej epepei Aleksandra Macedońskiego sprzed ponad stu lat. Stali na progu największej przygody ich życia. Pojawiła się też, jak przekonywał Malchus, okazja do zemsty za to, co stało się z Hanno. Chociaż Malchus nie śmiał mówić o tym głośno, tak naprawdę gdzieś głęboko w sercu podsycał niewielki płomyk nadziei, że jego syn jeszcze żyje. W skrytości ducha liczył na to również Bostar. Natomiast Sapho pogodził się już z myślą, że jego brat odszedł na zawsze. W gruncie rzeczy wciąż się z tego cieszył. Malchus poświęcał mu teraz więcej uwagi i chwalił częściej niż wcześniej. A Hannibal znał jego imię!

Armia nie musiała długo czekać na swojego wodza. Hannibal pojawił się przed żołnierzami w towarzystwie swoich braci, Hasdrubala i Mago, dowódcy jazdy Maharbala oraz najstarszego stopniem oficera piechoty o imieniu Hanno. Zbliżył się do platformy i wspiął się na nią, aby można go było zobaczyć z większej odległości. Na końcu ukazała się grupa trębaczy, która ustawiła się w rzędzie poniżej platformy, przed generałem, żeby przekazywać sygnałami jego rozkazy. Pojawienie się lidera wywołało spontaniczne wiwaty, które wznosili zgromadzeni żołnierze. Do tego chóru dołączyli również niektórzy oficerowie. Mężczyźni gwizdali i wyli, tupali nogami i uderzali bronią o tarcze. Wkrótce, gdy swoje poparcie dla Hannibala okazywali już wszyscy, również ci stojący w ostatnich rzędach, wrzawa zamieniła się w niewyobrażalnie głośny ryk. Zgiełk narastał bardziej i bardziej, zamieniając się w jeden wielki szum, w którym trudno było rozróżnić poszczególne języki. Hannibal zachowywał się jak zwykle przy podobnych okazjach. Nie próbował uspokajać ludzi. Uniósł ramiona, pozwalając, aby tumult czyniony przez żołnierzy opływał go i napełniał energią. To była jego godzina. Chwila, do której przygotowywał się przez wiele ostatnich lat. A tego rodzaju pokaz siły i potęgi armii zwiększał morale wojska znacznie bardziej niż kilka małych zwycięstw na polach bitew.

Wreszcie Hannibal dał znak sygnalistom. Ci unieśli trąbki do ust i za chwilę rozległa się seria krótkich dźwięków: wezwanie do broni. Takie same dźwięki ostrzegały żołnierzy przed bliską obecnością sił wroga. Sygnał spełnił swoje zadanie. Zapadła pełna oczekiwania cisza. Podeksycytowany Bostar trącił Sapho łokciem, a ten odwdzieczył się mu takim samym kuksańcem. Malchus zgromił ich wzrokiem i to wystarczyło, aby obaj wyprężyli się w postawie na baczność, wyprostowani jak na paradzie. To nie był najlepszy czas na takie dziecinne zachowania.

– Żołnierze Kartaginy! – zaczął swoje przemówienie Hannibal. – Stajemy u progu wielkiej przygody. W Rzymie są ludzie, którzy od samego początku rzucają nam kłody pod nogi. – Uniósł rękę, aby uciszyć gniewne okrzyki. – Czy chcielibyście usłyszeć, z jakimi żądaniami przybyli do Kartaginy rzymscy emisariusze? – Kilka chwil zajęło tłumaczom przekazanie pytania do ostatnich szeregów. W międzyczasie narastał potężny okrzyk, przeciągłe „Taak!”. – Oto co powiedzieli: „Haniebny i niczym nieuzasadniony atak na Saguntum nie może pozostać bez naszej odpowiedzi. Dostarczcie nam w łańcuchach człowieka, którego nazywają Hannibalem Barkasem oraz wszystkich jego wyższych oficerów, a Rzym uzna tę sprawę za zamkniętą. Jeśli Kartagina nie spełni tego warunku, może zakładać, że znajduje się w stanie wojny z republiką”. – Przerwał,

umożliwiająca tłumaczom wykonanie swojej pracy. Wściekłość żołnierzy rosła. Hannibal wykonał dramatyczny gest, wskazując na mężczyzn stojących za nim na platformie. – Czy... ci mężczyźni i ja sam... czy powinniśmy oddać się do dyspozycji najbliższego rzymskiego sojusznika, aby tej... rzekomej sprawiedliwości stało się zadość?

Ponownie nastąpiła krótka przerwa, a potem pod niebo wzniósł się jeden wielki ryk: „Nie!”.

Hannibal pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech.

– Dziękuję wam za lojalność – powiedział, omiatając ręką całą armię, wszystkie szeregi, od lewej do prawej. Ten gest spowodował kolejny głośny okrzyk poparcia. – Dlatego zamiast przyjąć ofertę Rzymu, poprowadzę większość z was do Italii, aby zanieść pożogę wojny na terytorium naszych wrogów! – Słowa Hannibala przyjęto ogłuszającą owacją. – Część naszych oddziałów musi zostać na miejscu pod dowództwem mojego brata Hasdrubala. Waszym zadaniem będzie zabezpieczenie Iberii. Reszta pomaszeruje ze mną. Ponieważ Rzymianie mają przewagę na morzu, ruszymy lądem i zaskoczmy wrogów w ich domach. Może wam się wydawać, że znajdziemy się w Italii sami, otoczeni przez wrogów. Nie lękajcie się. Italia jest bogata i wszystko, czego potrzebujemy, zdobędziemy na miejscu. Co więcej, zyskamy wielu sojuszników. Rzym kontroluje mniejszą część półwyspu, niż wam się wydaje. Plemiona z Galii Przedalpejskiej obiecały do nas dołączyć, a ja nie mam wątpliwości, że z podobną sytuacją spotkamy się w centralnej i południowej części Italii. Niemniej to nie będzie wcale żaden spacer i chcę, aby towarzyszyli mi tylko ci, którzy gotowi są z własnej woli zaangażować się w to przedsięwzięcie. – Hannibal zaczął przyglądać się poszczególnym formacjom, wychwytyjąc spojrzenia pojedynczych żołnierzy. – Z waszą pomocą republika zostanie zmieciona z powierzchni ziemi. Unicestwiona, aby nigdy więcej już nie zagroziła Kartaginie! – Dokończył i spokojnie czekał, aż jego przesłanie dotrze do wszystkich żołnierzy.

To nie trwało długo.

Okrzyk z ponad stu tysięcy gardeł wyrażający poparcie dla tego wielkiego przedsięwzięcia przypominał huk grzmotu, rozchodzący się po równinach. Malchus, Sapho i Bostar czuli drżenie powietrza, które wprawiało ich ciała w wibracje.

Hannibal uniósł zaciśniętą pięść.

– Czy pójdziecie ze mną do Italii?

Odpowiedź na to pytanie mogła być tylko jedna. I gdy każdy żołnierz starał się ją wykrzyczeć najgłośniej, jak potrafił, Hannibal Barkas zrobił krok do tyłu, uśmiechając się do swoich myśli.

Minęło kilka tygodni od ich kłótni, ale nie udało im się jeszcze ułożyć na nowo swoich relacji. Mimo kilku – trzeba przyznać niezbyt przekonujących – prób żadnemu się to nie udało. Każdy z nich czuł się urażony postawą drugiego i przez swoją młodzieńczą zarozumiałość żaden nie miał zamiaru ustąpić. Wkrótce właściwie w ogóle przestali ze sobą rozmawiać. To było błędne koło. Aurelia starała się pełnić rolę mediatorki, ale wszystkie jej wysiłki okazały się daremne. Mimo rozżalenia Hanno znów zaczął mieć wątpliwości, czy powinien zdecydować się na ucieczkę z gospodarstwa. Nie zapominał o ostatnich animozjach, ale miał pełną świadomość, jak wiele zawdzięcza Kwintusowi i Aurelii. Stąd też, mimo coraz większego przygnębienia, boleśnie świadomy zagrożenia ze strony Agesandrosa, nie zdecydował się na żaden ruch. W tym czasie Kwintus skoncentrował się niemal wyłącznie na szkoleniu wojskowym z *socii*. W związku z tym niewiele czasu spędzał w domu, często znikając na kilka dni. Bardzo mu to odpowiadało, gdyż nie miał wielu okazji, by spotkać Hanno, nie mówiąc o rozmowach.

Wiosna rozgościła się już na dobre, gdy przyszedł pierwszy list od Fabrycjusza. Atia wyszła na wewnętrzny dziedziniec willi zalany promieniami słońca. Za nią dreptała Aurelia, nie

mogąc się już doczekać wieści od ojca. Kwintus, który kręcił się gdzieś w gospodarstwie w towarzystwie Agesandrosa, dowie się wszystkiego później.

Aurelia z podekscytowaniem patrzyła, jak matka otwiera kopertę.

– Co pisze? – Nie mogła ukryć ciekawości.

Atia uniosła wzrok znad tekstu. Na jej twarzy rysowało się rozczarowanie.

– Pismo typowego mężczyzny. Mnóstwo informacji na temat polityki i tego, co dzieje się w Rzymie. Nawet jakaś uwaga dotycząca wyścigów rydwanów, na które wybrał się któregoś dnia, ale prawie nic na temat tego, jak się czuje. – Przesunęła palcem w dół strony. – Ojciec pyta za to o nasze samopoczucie. Moje, twoje i Kwintusa. Ma nadzieję, że nie mamy żadnych problemów na gospodarstwie. – Atia wreszcie się uśmiechnęła. – Flakkus prosił go o przesłanie najserdeczniejszych pozdrowień i poinformowanie cię, że chociaż ślub trzeba będzie przełożyć, nie może się już doczekać powrotu. Twój ojciec pozwolił mu napisać do ciebie bezpośrednio, a to znaczy, że możesz spodziewać się wkrótce listu od narzeczonego.

Aurelia z zadowoleniem przyjęła wiadomość o odroczeniu ślubu, ale myśl o tej ceremonii – i nocy poślubnej – sprawiła, że spąsowiała. Gdy jej uwagę zwrócił krzątający się przy drzwiach do kuchni Hanno, jej twarz przybrała jeszcze ciemniejszy odcień czerwieni. To, że Hanno był niewolnikiem, wcale nie spowodowało, że przestała myśleć o tym wyjątkowo przystojnym, mimo skrzywionego nosa, chłopaku z Kartaginy. Przez chwilę wyobraziła sobie, że zamieniają się z Flakkusem miejscami... Musiała stłumić westchnienie i odepchnęła od siebie ten niepokojący obraz.

– To miłe. Co jeszcze pisze ojciec?

Hanno był całkowicie nieświadomy emocji targających dziewczyną. Uśmiechał się pod nosem, bo Juliusz kazał mu właśnie pozamiatać podwórko i dzięki temu mógł podsłuchać rozmowę Aurelii z matką. Nastawił uszu i zajął się wymiataniem piasku ze szczelin między płytkami mozaiki.

Atia czytała list na głos. Teraz wydawała się bardziej zaintrygowana.

– Większość listu dotyczy reakcji republiki na działania Hannibala. *Minucii* i ich sojusznicy pracują bez wytchnienia przy przygotowaniach do wojny. Flakkus ma nadzieję zostać trybunem w jednym z nowych legionów. Co najważniejsze, pisze, że przydzielono prowincje nowym konsulom, Tytusowi Semproniuszowi Longusowi i Publiuszowi Korneliuszowi Scypionowi. Otrzymali oni odpowiednio prowincje Sycylii i Afryki oraz Iberii. Pierwszy ma zaatakować Kartaginę, a drugi otrzymał zadanie uderzenia na Hannibala i pokonanie go. Ojciec jest zadowolony, że razem z Flakkusem ma służyć w armii Scypiona.

– To dlatego, że cała chwała spadnie na armię, która pokona Hannibala – domyśliła się Aurelia. Czasami żałowała, że nie urodziła się mężczyzną i nie może iść na wojnę.

– Wszyscy mężczyźni są tacy sami. Nam, kobietom, pozostaje siedzieć w domach i się martwić. – Atia westchnęła. – Poprośmy bogów, aby sprowadzili ich obu bezpiecznie z powrotem.

Hanno nie spodobało się to, co usłyszał. Gorzej. To były naprawdę okropne wieści. *Podstępni, cholerni Rzymianie!* W Kartaginie nie pozostał ani jeden uzdolniony wódz, co oznaczało, że senat może odwołać Hannibala i nakazać mu zorganizowanie obrony miasta, niwecząc tym samym cały misterny plan inwazji na Italię. Jeśli tak się stanie, Iberia, najbogatsza kolonia Kartaginy, znajdzie się na łasce rzymskiej armii. Zacisnął z wściekłością palce na miotle. Wyglądało na to, że wojna skończy się, zanim jeszcze na dobre się zaczęła.

Aurelia zmarszczyła brwi.

– Czy dobrze pamiętam, że w czasie pierwszej wojny mało brakowało, a bezpośrednie uderzenie na Kartaginę doprowadziłoby do zakończenia walk?

– Tak. Fabrycjusz pisze, że niezależnie od umiejętności Hannibala Rzym sięgnie po zwycięstwo. Nie mamy powodu, by sądzić, że wola walki Kartagińczyków jest teraz większa niż dwadzieścia lat temu.

Hanno sposepniał. Fabrycjusz miał rację. Kartagina naprawdę kiepsko radziła sobie z armią rzymską, która została wysłana do Afryki. Oczywiście, jeśli Hannibal wróci do stolicy, sytuacja będzie wyglądała inaczej. Ale czy to wystarczy? Nie zabierze ze sobą całej armii. Nawet gdyby Rzymianie nie panowali na morzu, Kartagina nie posiadała wystarczającej liczby statków transportowych, żeby przerzucić dziesiątki tysięcy żołnierzy do Afryki.

W tej właśnie chwili w perystylu pojawił się Kwintus. Widząc pochyloną nad listem Atię i przysłuchującą się jej Aurelię, od razu zorientował się, że przyszedł list od Fabrycjusza.

- Wieści od ojca?
- Tak – potwierdziła jego domysły Atia.
- Co pisze? – zapytał rozentuzjasmowany. – Czy senat przygotował strategię działania?
- Zaatakujemy Kartaginę i Iberię jednocześnie – odparła Aurelia.
- Fantastyczny pomysł! Nawet się nie obejrzą, jak będą pokonani – wykrzyknął Kwintus.
- Gdzie wyślą ojca?
- Do Iberii. Tak samo jak Flakkusa – wyjaśniała cierpliwie Atia.
- Mówcie! Co jeszcze?
- Atia podała pergamin Kwintusowi.
- Przeczytaj sam. Tutaj życie toczy się swoim torem. Muszę porozmawiać z Juliuszem o produktach, które trzeba kupić w Kapui. – Atia minęła Hanno, nie obdarzając go nawet spojrzeniem.

A Hanno czuł rodzący się w nim gniew, który szukał ujścia. Jakiego długu by nie miał, nadszedł czas, aby porzucić to miejsce. Kartagina wkrótce będzie potrzebowała każdego miecza. Nic i nikt inny się nie liczył. *A co z Sunim?* – pytało jego sumienie. *Przecież nie mam pojęcia, gdzie on jest* – bronił się rozpaczliwie. *Czy mam szansę na odnalezienie go?*

- Kwintus szybko omiatał wzrokiem kolejne akapity listu.
- Ojciec i Flakkus udadzą się do Iberii – mruknął podekscytowany. – A ja prawie skończyłem szkolenie...
- Co ci chodzi po głowie? – zapytała podejrzliwie Aurelia.
- Spojrzał na nią zdumiony.
- Nic. Nic takiego...
- Aurelia za dobrze знаła swojego brata.
- Nie rób nic głupiego – ostrzegła. – Ojciec powiedział, że masz tu czekać.
- Wiem... – Kwintus się skrzywił. – Wygląda jednak na to, że wojna *rzeczywiście* skończy się w ciągu kilku miesięcy. Nie chcę tego przegapić. – Spojrzał przez dziedziniec w stronę Hanno, który akurat podniósł wzrok. Przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy. Kwintus szybko odwrócił głowę, ale było już za późno.
- Hanno nie potrafił już powstrzymać wybuchu.
- Zadowolony? – syknął.
- O co ci chodzi? – Kwintus próbował się bronić.
- Te kartagińskie szczury zostaną pokonane. Znowu. Pokażecie im ich miejsce. Spodziewam się, że jesteś zachwycony.
- Kwintus zaczął robić się czerwony na twarzy.
- To nie o to chodzi.
- Nie? – Hanno nie potrafił się powstrzymać. Odchrząknął i splunął.
- Jak śmiesz?! – ryknął Kwintus, po czym zrobił krok w stronę Hanno. – Jesteś tylko...

– Kwintus! – zawołała przerażona Aurelia.

Jej brat opanował się nadludzkim wysiłkiem. Nie dokończył zdania.

To jednak wystarczyło, aby na twarzy Hanno pojawił się wyraz pogardy.

– Tylko niewolnikiem? Albo po prostu *gugga*! To właśnie chciałeś powiedzieć?

Twarz Kwintusa przybrała głęboki odcień szkarłatu. Zacisnął pięści w przypiływie wściekłości. Odwrócił się.

– Mam tego dość. – Hanno zacisnął palce na miotle tak, że zbiełały mu kłykcie.

Aurelia nie wytrzymała.

– Natychmiast przestańcie! Obaj! Zachowujecie się jak dzieci.

Nie udało się jej jednak przemówić im do rozsądku. Kwintus wybiegł z domu, a Aurelia ruszyła za nim. Hanno wycofał się do kuchni. Nigdy jeszcze chyba nie czuł się tak podle. Wieści sprzed kilku miesięcy – te o zakończonym sukcesem oblężeniu Saguntum i o wyzwaniu, jakie Hannibal rzucił republice – podniosły go na duchu. Dały siłę, aby znosić swój los. Jednak list Fabrycjusza zniweczył to. Plan Rzymu wydawał się doskonały. *Nawet jeśli uda mi się dołączyć do armii Hannibala, w żaden sposób nie zapobiegnę klęsce.*

Aurelia odszukała Hanno, gdy tylko wróciła do willi. Pograżony w ponurych myślach siedział na stołku w kuchni. Ignorując zaciekawione spojrzenia pozostałych niewolników, wyciągnęła go na zewnątrz.

– Rozmawiałam z Kwintusem – rzekła, gdy zostali sami. – Nie chciał cię urazić. To była tylko spontaniczna reakcja na twoje zachowanie... naplułeś na podłogę. – Spojrzała na Hanno z wyrzutem. – Zachowałeś się po chamsku.

Hanno poczerwieniał ze wstydu, ale nie zamierzał przeproszać.

– Naśmiewał się ze mnie.

– Wiem, że mogło to tak wyglądać. Ale nie sądzę, żeby właśnie taki miał zamiar.

– Naprawdę? – Hanno nie dawał za wygraną.

– Nie – odparła delikatnie. – Kwintus nie jest taki.

– To czemu wtedy, za pierwszym razem, nazwał mnie *gugga*?

– Ludzie plotą różne rzeczy, gdy są pijani. A ty od tamtej pory nie obrzucałeś go w swoich myślach różnymi wyzwiskami? – zapytała podchwytliwie Aurelia.

Zdziwiony jej przenikliwością nic nie odpowiedział.

Aurelia rozejrzała się ostrożnie, a potem wyciągnęła dłoń, żeby dotknąć jego twarzy.

Zaskoczony tym intymnym gestem chłopak poczuł, że jego gniew zaczyna się ulatniać. Spojrzał jej głęboko w oczy.

Aurelia zaniepokojona tym, jak szybko zaczęło jej bić serce, opuściła rękę.

– Na pierwszy rzut oka powody tej kłótni wydają się całkiem prozaiczne. Gdyby nie nieszczęśliwy przypadek, byłbyś wolnym człowiekiem. Według wszelkiego prawdopodobieństwa służyłbyś w armii Kartaginy. Tak jak Kwintus w legionach. W zasadzie nie byłoby w tym nic dziwnego. Różnica jest taka, że Kwintus może robić to, co chce, a ty jesteś niewolnikiem.

*Całkiem trafne podsumowanie* – pomyślał Hanno ze złością.

Aurelia nie skończyła.

– Tylko że tak naprawdę prawdziwym powodem tej kłótni jest to, że najpierw ty, a potem Kwintus poczuliście się zranieni swoimi słowami. Obaj jesteście tak cholernie dumni, że nie stać was na szczerze przeprosiny i pozostawienie tego za sobą. – Wpatrywała się w niego z uporem. – Mam już tego serdecznie dość!

Hanno poddał się, zaskoczony logiką wyводу i bezpośredniością Aurelii. *Ten konflikt trwa już zdecydowanie za długo.*

– Masz rację. Przepraszam.

– To nie mnie powinieneś przeproszać.

– Wiem... – Hanno ważył słowa. – Przepraszę go. Ale Kwintus musi wiedzieć, że niezależnie od prawa obowiązującego na tej ziemi nie jestem niewolnikiem. I nigdy nie będę.

– Myślę, że w głębi duszy on to wie. Dlatego tym razem powstrzymał się przed wypowiedzeniem przykrych słów. – Aurelia posmutniała. – Oczywiście ja też nie myślę o tobie w ten sposób, ale dla każdego innego Rzymianina *jestes* niewolnikiem.

Hanno już miał wtajemniczyć Aurelię w swoje plany, gdy kątem oka wyczuł bardziej, niż dostrzegł, podejrzany ruch. Przez otwarte drzwi *tablinum* widział część atrium. Poza kwadratową plamą jasności, spowodowaną padającymi na mozaikę przez otwór w dachu promieniami, wszystko inne kryło się w cieniu, w którym zamajaczył niewyraźny kształt. Jakaś wysoka postać przypatrywała się im z bezpiecznej odległości. Instynktownie odsunął się od Aurelii. Kiedy Agesandros stanął w świetle, żołądek podszedł Hanno do gardła. *Co mógł widzieć lub słyszeć? Jak wykorzysta tę wiedzę?*

Aurelia dostrzegła Sycylijczyka w tym samym momencie. Wyprostowała się dumnie, gotowa do konfrontacji.

Ku ich zaskoczeniu Agesandros nie zbliżył się do nich. Zobaczyli jego chytry uśmiešek, który równie szybko zniknął, jak się pojawił.

Hanno i Aurelia spojrzeli na siebie, ale w tej samej chwili z kuchni wyłoniła się Elira z innym domowym niewolnikiem. Krótka chwila magii, która stała się ich udziałem, rozplynęła się w oparach strachu.

– Porozmawiam z Kwintusem – powiedziała Aurelia uspokajająco. – Cokolwiek się zdarzy, musisz pamiętać, że łączą was więzy przyjaźni. Tak jak i nas.

Hanno uznał, że dobrze zrobić porządek z tą sprawą, zanim opuści gospodarstwo na zawsze, dlatego kiwnął głową.

– Dziękuję.

Niestety, Aurelia nie mogła tego samego dnia rozmówić się z bratem. Później przekazała Hanno, że Kwintus wyjechał do Kapui, nie informując o tym nikogo poza stajennym. Minęło popołudnie i zapadła noc. Stało się pewne, że Kwintus szybko nie wróci. Hanno nie wiedział, czy powinien się złościć, czy martwić.

– Nie bój się... – Aurelia pocieszała go, zanim udała się na nocny odpoczynek. – Kwintus tak czasami robi, kiedy potrzebuje czasu do namysłu. Jedzie do Gajusza i wraca po kilku dniach.

Hanno nie był w stanie nic zrobić. Ułożył się na posłaniu i zaczął marzyć o ucieczce.

A sen długo do niego nie przychodził.

## Rozdział XI



Po upadku Saguntum Bostar co rano odwiedzał rannych żołnierzy ze swojej falangi. Rozmawiał z tymi, którzy nie stracili świadomości, ścisnął dłonie tym, którzy spali po zażyciu środków nasennych, i tym, którzy już mieli się nigdy nie obudzić. W dużym namiocie medyków znajdowało się ponad trzydziestu żołnierzy z oddziału, którym dowodził. Połowa z nich prawdopodobnie nigdy już nie będzie mogła walczyć. Mimo że widok pokiereszowanych towarzyszy broni nie należał do przyjemnych, Bostar dziękował bogom za to, że Kartagińczycy podczas oblężenia ponieśli stosunkowo nieduże straty, tak się przynajmniej wydawało po zbadaniu stanu osobowego wojsk. Gdy żołnierze Hannibala wtargnęli do miasta, niczym watahy wściekłych wilków, paląc, grabiąc i mordując, zginęło o wiele więcej Saguntyńczyków. Przez cały dzień nad miastem unosiły się krzyki mordowanych mężczyzn, kobiet i dzieci. Bostar zamknął oczy i starał się odsunąć od siebie te straszliwe obrazy, ale nie potrafił. Zabijanie bezradnych, nieuzbrojonych cywilów i masowe gwałty? Nie tak chciał prowadzić działania wojenne. Choć nie próbował powstrzymać swoich ludzi – wszak Hannibal obiecał im to przed zdobyciem miasta – sam nie brał udziału w tej rzezi. Podobnie jak Malchus, któremu generał powierzył zadanie pilnowania skrzyń pełnych złota i srebra znalezionych w cytadeli. Bostar westchnął. Za to Sapho... To zupełnie inna sprawa.

Drgnął, gdy Malchus dotknął jego ramienia, przerywając mu rozmyślenia.

– Dobrze, że wstałeś wcześniej, żeby ich odwiedzić – powiedział, wskazując na rannych leżących na kocach.

– To mój obowiązek – odpowiedział skromnie Bostar. Wiedział, że jego ojciec też już sprawdził, jak mają się ranni żołnierze z podległych mu oddziałów.

– Prawda. – Malchus przyglądał mu się poważnie. – Myślę, że Hannibal ma dla ciebie kolejne zadanie. A właściwie dla nas...

– Skąd te domysły, ojcze? – Bostar poczuł szybsze bicie serca.

– Zostaliśmy wezwani do namiotu generała. Nie powiedziano mi, o co może chodzić.

– Sapho wie? – zapytał podekscytowany Bostar.

– Nie. Pomyślałem sobie, że możesz mu powiedzieć.

– Naprawdę? – Bostar starał się zachować lekki ton. – Jak sobie życzysz.

Malchus spojrzał na niego znacząco.

– Czy myślisz, że nie zauważyłem waszych ostatnich seysji?

– To nic poważnego... – skłamał Bostar.

– To dlaczego unikasz mojego wzroku? Chodzi o Hanno, prawda?

– Od niego się zaczęło. – Bostar miał zamiar wszystko mu tłumaczyć, ale ojciec go powstrzymał.

– Mam teraz tylko was dwóch – powiedział ze smutkiem. – Życie jest krótkie. Pogódźcie się, bo inaczej któryś z was wkrótce może uznać, że jest za późno na pojednanie. Na cokolwiek. Śmierć zawsze nas zaskakuje.

– Masz rację, ojciec – odparł stanowczo Bostar. – Zrobię, co tylko będę mógł.

– Jak zawsze. – W głosie Malchusa dała się wyczuć duma.

Tymczasem Bostar poczuł w sercu ukłucie smutku. *Czy zrobiłem dobrze, pozwalając Hanno wypłynąć na morze?*

– Spotykamy się przed namiotem dowodzenia za pół godziny – powiedział Malchus i odszedł.

Bostar najpierw wezwał ordynansa i polecił mu wyczyścić wszystkie elementy zbroi, a sam skierował się do namiotu Sapho. Nie mieli za dużo czasu, żeby się przygotować, nie mówiąc już o poważnej rozmowie, która mogłaby wreszcie zakończyć ich konflikt. Ojciec w niego wierzył, więc musiał przynajmniej spróbować.

Bostar rozpoznał linię namiotów falangi Sapho po porożcach. Szybko znalazł największy z nich, który musiał należeć do dowódcy. Podobnie jak w jego obozie, znajdował się po prawej stronie obszaru wydzielonego dla falangi. Główne wejście do namiotu było zasznurowane, co oznaczało, że jego brat albo jeszcze wylegiwał się, albo wypełniał już swoje obowiązki. Biorąc pod uwagę ostatnie zachowania Sapho, Bostar uznał, że najbardziej prawdopodobne jest to pierwsze.

– Sapho? Jesteś tam?! – zawołał, stając przed klapą namiotu.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi, więc powtórzył pytanie, tym razem głośniejszym głosem.

Nic. Cofnął się o krok.

– Musi być jednak ze swoimi ludźmi – powiedział sam do siebie odrobinę zdziwiony.

– Kto tam? – W tej samej chwili dobiegł do niego poirytowany głos.

– A jednak nie... – Bostar prychnął pod nosem, zbliżając się do wejścia.

Rozwiązał rzemień, który trzymał osłonę wejścia do namiotu.

– Sapho! To ja.

Chwilę później odrzucił zamaszystym gestem skórę blokującą przejście. Światło słoneczne zalało wnętrze namiotu, a Bostar musiał unieść dłoń, żeby zatkać nos. Odór stęchłego potu i wina przytłaczał. Wszedł do środka, ostrożnie stawiając stopy między porzucanymi elementami garderoby i wojskowego rynsztunku. Ze zdziwieniem skonstatował, że ekwipunek był niemiłosiernie brudny. Jeśli nie liczyć tarczy, włóczni i miecza opartych o drewniany stojak z boku. Bostar podszedł do legowiska Sapho, które sprawiało wrażenie hałdy rozrzuconych bezładnie koców i skór zwierzęcych. Wśród nich dostrzegł zaczerwienione oczy brata, który wyglądał, jakby jeszcze się nie obudził.

– Dzień dobry. – Bostar próbował ignorować przytłaczający zapach. *Nawet się nie umył* – pomyślał z niesmakiem.

– Czemu zawdzięczam ten honor? – zapytał cierpkim głosem Sapho.

– Zostaliśmy wezwani na naradę z Hannibalem.

Sapho wykrzywił usta w grymasie pełnym niechęci.

– Generał powiedział ci o tym przy śniadaniu?

Bostar westchnął.

– Wbrew temu, co myślisz, nie uratowałem mu życia po to, aby zyskać sobie jego względy, czy po to, żebyś mi zazdrościł. Wiesz, że nie jestem taki. – Z zadowoleniem stwierdził, że brat spuścił wzrok. Nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, Bostar kontynuował. – Przysłał



mnie ojciec. Mamy niecałe pół godziny.

Sapho w końcu się podniósł. Usiadł i się skrzywił.

– Bogowie... Łeb mi pęka. Mam w ustach taki smak, jakby mi coś tam zdechło.

Bostar kopnął amforę walającą się pod nogami.

– Pewnie wypijeś trochę za dużo tego...

Sapho uśmiechnął się skruszony.

– Nawet nie połowę! Gdy miasto wpadło w nasze ręce, moi ludzie włamali się do magazynu jakiegoś handlarza winem. Od tej pory pilnujemy tego miejsca. Powinieneś się tam wybrać. W środku znajdziesz roczniki najprzeróżniejszych trunków z całego basenu Morza Śródziemnego! – Na jego twarzy pojawił się jastrzębi wyraz. – Szkoda, że jego trzy córki już nie żyją. Mieliśmy z nimi niezłą zabawę, mówię ci...

Bostar miał ochotę zdzielić Sapho między oczy, ale zamiast tego wyciągnął do niego rękę.

– Wstawaj. Nie powinniśmy się spóźnić. Ojciec uważa, że Hannibal ma dla nas specjalne zadanie.

Sapho przyglądał się wyciągniętej w jego kierunku dłoni i po chwili uznał, że powinien przyjąć pomoc. Stojąc już, lekko się kołysał. Rozejrzał się po namiocie.

– Chyba zacznę czyścić hełm i napierśnik. Nie mogę pojawić się przed Hannibalem w brudnym rynsztunku, co?

– Twój adiutant nie może się tym zająć?

– Nie. Pochorował się.

Bostar zmarszczył brwi. Sapho był w takim stanie, że pewnie z trudem przyjdzie mu się umyć, nie mówiąc o przygotowaniu na czas oporządzenia. Przez chwilę miał ochotę zostawić go w tym stanie. *Sam sobie na to zasłużył.* Coś mu jednak podpowiadało, że ich wojna ciągnie się już za długo. Podjął decyzję. Jego adiutant nie będzie miał problemu z dokończeniem czyszczenia oporządzenia i założeniem mu rynsztunku, więc nie musi się spieszyć z powrotem do namiotu.

– Idź i wsadź głowę do beczki z wodą. Ja wyczyszczę twoją zbroję i hełm.

Zdziwiony Sapho uniósł brwi.

– Miło z twojej strony – mruknął.

– Nie myśl, że będę tak robił codziennie – ostrzegł go Bostar i wypchnął brata z namiotu.

– Pospiesz się. Nie możemy się spóźnić. Mówię ci, że Hannibal ma dla nas coś wyjątkowego.

Ten argument sprawił, że Sapho zaczął ruszać się trochę szybciej.

– Dobrze... – odparł. Stanął w wejściu do namiotu.

Zajęty już czyszczeniem zapaskudzonego napierśnika Bostar uniósł wzrok.

– Co jest?

– Dziękuję.

Bostar kiwnął głową.

– W porządku.

Atmosfera wyraźnie się poprawiła. Po raz pierwszy od wielu miesięcy uśmiechali się do siebie całkiem szczerze.

Ojciec czekał na nich w pobliżu namiotu Hannibala. Przyjrzał im się uważnie, oceniając, jak się prezentują, i po krótkiej inspekcji kiwnął z aprobatą głową.

– O co może chodzić, ojcze? – zapytał Sapho.

– Chodźmy. Zaraz się dowiemy – odparł Malchus. Skierował się do namiotu dowodzenia, którego pilnowały dwa tuziny świetnie prezentujących się *scutarii*. – Generał czeka.

Oficer straży zaszalutował, rozpoznawszy Malchusa, a potem gestem zaprosił ich do

namiotu.

– Proszę za mną.

Gdy znaleźli się w środku, Bostar mrugnął porozumiewawczo do Sapho, który odpowiedział mu tym samym. Obaj nie mogli opanować drżenia z emocji. Mimo że mieli już okazję przebywać z Hannibalem w małym gronie, pierwszy raz zostali zaproszeni do namiotu dowodzenia.

W głównej części namiotu Hannibal z braćmi, Hasdrubalem i Mago, oraz dwoma wyższymi rangą oficerami pochylali się nad stołem, na którym rozwinięto wielką mapę. *Scutarius* zatrzymał się i złożył krótki raport.

Hannibal odwrócił się do przybyłych.

– Malchus, Bostar i Sapho. Witamy!

Nazwani po imieniu przybysze zasalutowali.

– Poznajcie mojego brata Hasdrubala. – Hannibal wskazał na pogrążonego w myślach korpulentnego człowieka o rumianej cerze i pełnych ustach. – A to Mago – przedstawił wysokiego, chudego mężczyznę o jastrzębim wyrazie twarzy i przenikliwym spojrzeniu. – Oto Maharbal, dowodzący jazdą, i Hanno, jeden z najlepszych oficerów piechoty. – Maharbal wyróżniał się czarną szopą niesfornych, skołtunionych włosów i szerokim uśmiechem, drugi z kolei wyglądał na nieco wycofanego, ale wzbudzał zaufanie.

Bracia i Malchus ponownie zasalutowali.

– Przez wiele lat Malchus był moimi uszami i oczami w Kartaginie – wyjaśnił Hannibal.

– Gdy nadeszła godzina próby, najpierw jego synowie, a potem on dołączył do mnie tutaj, w Iberii, i nie było chyba w armii osoby bardziej zadowolonej z tego stanu rzeczy ode mnie. Wszyscy trzej są urodzonymi oficerami i niejednokrotnie sprawdzili się w czasie oblężenia Saguntum. Zwłaszcza jeden z nich, Bostar, który uratował mi życie.

Wyżsi oficerowie wyrazili swoje uznanie chrapliwymi pomrukami.

Malchus skłonił się, a Bostar poczerwieniał, nieprzyzwyczajony do takich pochwał. Czuł na sobie ciężkie spojrzenie Sapho. Zaklął w duchu, nie chciał bowiem, żeby po tej odprawie krucho zawieszenie broni między nimi zostało zerwane.

Hannibal klasnął w dłonie.

– Do rzeczy! Podejdźcie i dołączcie do nas.

Ochoczo zbliżyli się do stołu. Zrobiono im miejsce.

Bostar od razu rozpoznał pofałdowane wybrzeże Afryki oraz zlokalizował Kartaginę, stolicę imperium oraz swoje rodzinne miasto. Sycylia stanowiła granicę między ich ojczyzną i ziemią arcywroga, republiki rzymskiej.

– Nasza armia znajduje się tu, pod Saguntum. – Hannibal postukał palcem punkt na mapie znajdujący się po prawej stronie, w połowie wschodniego wybrzeża Półwyspu Iberyjskiego. – A zmierzamy tu. – Wskazał kształt podobny do buta. Italię. – Pytanie brzmi: jak uderzyć na wroga, aby go najbardziej zabolalo?

Zapadła cisza. Każdy dumny Kartagińczyk poczytywał za obrazę narodu żeglarzy to, że Rzym przejął kontrolę nad zachodnimi akwenami Morza Śródziemnego, które historycznie zawsze były uważane za strefę wpływów Kartaginy. Obecnie próba przetransportowania wojska drogą morską musiała być uznana za skrajną głupotę. A mimo to nikt nie odważył się zasugerować jedynej alternatywy.

Hannibal przejął inicjatywę.

– Nie będziemy atakować od strony morza. Nawet jeśli wybierzemy najkrótszą drogę, w kierunku Genui, jedna bitwa mogłaby przekreślić całe plany. – Przeniósł palec na północny wschód, nad rzekę Iberus, ku wąskiemu przesmykowi, który oddzielał Iberię od Galii. –

Podążymy tym szlakiem. – Przesuwał go dalej, aż do Alp, gdzie na chwilę znieruchomiał przed dotarciem do Galii Przedalpejskiej, a stamtąd do północnych ziem Italii. Puls Bostara przyspieszył. Chociaż Malchus opowiedział mu wcześniej o zamierzeniach Hannibala, plan wydawał się tak śmiały, że ciągle zapierał dech w piersiach. Rzut oka na Sapho wystarczył, aby przekonać się, że on też podzielał jego zachwyty. Za to ojciec miał nieprzenikniony wyraz twarzy. Bostar zastanawiał się, jak wiele zna szczegółów tej misji. On sam zupełnie nie potrafił wyobrazić sobie, o ile spraw trzeba zadbać, aby wprowadzić w życie tak odważną strategię.

Jego brat wyprężył się, co zwróciło uwagę generała. Hannibal uniósł brwi zaskoczony.

– Kiedy wyruszamy, wodzu? – zapytał Sapho.

– Na wiosnę. Nasi sojusznicy z Iberii otrzymali teraz pozwolenie, by wrócić do domów, a reszta armii będzie odpoczywać na leżach w pobliżu Nowej Kartaginy. – Na widok rozczarowania na twarzy Sapho roześmiał się szczerze. – Daj spokój, żołnierzu! Zima nie jest najlepszym okresem do prowadzenia działań wojennych. I tak wiele trudu będzie nas kosztować rozwiązanie wszystkich problemów logistycznych.

– Oczywiście, generale. – Sapho się speszył.

– Mamy jednak parę atutów, które zaskoczą naszych wrogów. Na początku roku wysłałem swoich ludzi do Galii Przedalpejskiej. Właściwie wszystkie zamieszkujące te tereny plemiona chętnie przyjęły naszych posłańców. Bojowie i Insubrowie obiecali nawet niezwłoczne udzielenie pomocy, gdy tylko nasza armia pojawi się na ich ziemiach.

Malchus i jego dwaj synowie spojrzeli na siebie z zadowoleniem. To były nowe, bardzo dobre informacje. Towarzyszący Hannibalowi oficerowie nie zareagowali jednak na te wieści. Pewnie już o tym wiedzieli. Przyglądali się teraz badawczo całej trójce.

Hannibal uniósł ostrzegawczo palec.

– Po drodze trzeba będzie pokonać wiele przeszkód, zanim dotrzemy do ziem kontrolowanych przez sojuszników. Pokonanie Alp będzie zdecydowanie największym wyzwaniem, ale z pewnością musimy spodziewać się reakcji dzikich plemion na północ od rzeki Ebro. Niewątpliwie będą stawiać zdecydowany opór. Poczyniliśmy już pewne ustalenia dotyczące trasy przemarszu, ale jest obszar, o którym wiemy wyjątkowo mało. – Hannibal postukał palcem wskazującym miejsce na mapie przedstawiające pasmo górskie dzielące Iberię od Galii.

Bostar poczuł suchość w ustach.

Hannibal spojrział na Malchusa.

– Potrzebuję kogoś, kto wybada nastawienie lokalnych plemion i dowie się, jak zareagują na przechodzącą przez ich terytorium ogromną armię. Przed nadejściem wiosny musimy wiedzieć, ile z nich podejmie z nami walkę. Czy jesteś gotów przyjąć tę misję?

W oczach Malchusa zapaliły się entuzjastyczne ogniki.

– Oczywiście, generale!

– Świetnie! – Teraz Hannibal przeniósł wzrok na Bostara i Sapho. – Stary lew może przewodzić grupie, ale potrzebuje pomocy młodych samców, aby odnieść sukces. Czy zgodzicie się towarzyszyć ojcu?

– Tak jest! – krzyknęli chórem bracia.

– Powierzenie tego zadania naszej rodzinie jest ogromnym zaszczytem – dodał Sapho.

Generał uśmiechnął się szeroko.

– Jestem pewien, że z nawiązką odpłacisz za moje zaufanie.

Zachwycony kierowanymi do niego słowami Sapho posłał bratu uśmiech. Ten zareagował pewnym skinieniem głowy.

– Co o tym myślisz, Malchusie?

– Musimy wyruszyć natychmiast, generale. Do Ebro długa droga.  
– Prawie trzy tysiące *stadia* – zgodził się Hannibal. – Tereny leżące na południowym brzegu rzeki są uważane za spokojne. Jednak potem, aż do granicy z Galią... to zupełnie inna sprawa. To trudne, góryste obszary, poprzecinane przełęczami i dolinami. Zamieszkujące je plemiona podobno wysoko cenią swoją niezależność. Ilu ludzi chcesz ze sobą zabrać?

– Naszym celem nie jest siłowe wyrąbanie drogi przy użyciu armii ani zabezpieczenie jej garnizonami. Jak rozumiem, mamy pełnić rolę emisariuszy, a nie dowodzić ekspedycją. Dlatego istotniejsza będzie szybkość poruszania się, a mały, mobilny oddział ma jedynie zniechęcać lokalne bandy rzezimieszków. – Malchus spojrział na synów, którzy pokiwali głowami na znak zgody. – Dwa tuziny moich włóczników i taka sama liczba *scutarii* powinna wystarczyć, generale.

– Będziesz mógł wybrać tych ludzi osobiście. A teraz? Wznieśmy toast za sukces tej misji! – Hannibal strzelił palcami. Na ten sygnał natychmiast pojawił się niewolnik. – Wina! – Gdy sługa zniknął w tylnej części namiotu, aby przygotować puchary, generał przyjrzał się uważnie wszystkim doradcom zgromadzonym wokół stołu. – Prośmy Melkarta i Baala Saphona, Tanit oraz Baal Hammona, aby prowadzili i chronili naszych dzielnych oficerów podczas tej wyprawy.

Gdy w pomieszczeniu rozbrzmiewały pomruki poparcia i zgody, Bostar jeszcze się modlił. Dodał swoją prośbę. *Niech konflikt z Sapho skończy się raz na zawsze. I żebyśmy odłożyli na bok dzielące nas animozje.*

Droga nad Iberus prowadziła po zmrożonym, błotnistym, omiatanym lodowatymi wiatrami szlaku. Północnym plemionom nie można było ufać, dlatego Malchus poprowadził ekspedycję najpierw wzdłuż bezpieczniejszego traktu nadmorskiego, przez gęsto zaludnione tereny, gdzie co rusz natykali się na wioski i miasta, których ludność była już przyzwyczajona do widoku kupców czy w ogóle obcych gości zza morza. Podróżowali przez Adebę i Tarraco, aż bezpiecznie dotarli do Barcino, miasta przy ujściu rzeki zwanej Ubricatus.

W tym miejscu szlaki do Galii wiodły przez góry, a ponieważ Hannibal wspominał, że zamierza podzielić armię na kilka kolumn, konieczne okazało się zapewnienie wsparcia plemion, które kontrolowały każdą przełęcz. Okres wyjątkowo dobrej pogody i brak opadów śniegu zachęciły Malchusa do zbadania w pierwszej kolejności szlaków górskich na północy. Najkrótsze, najbardziej oczywiste drogi do Galii, prowadzące przez takie miasta, jak Gerunda i Emporiae, zostawili sobie na koniec. Zatrudniwszy miejscowych przewodników, emisariusze Hannibala przez wiele dni przemierzali wąskie ścieżki, które to wiły się po stokach, to zniknęły w ukrytych wśród wzgórz dolinach. Nieuchronnie jednak pogarszała się pogoda. Tego można się było spodziewać o tej porze roku. Niestety, misja, którą w sprzyjających warunkach można było wypełnić w ciągu kilku tygodni, trwała już dwa miesiące. Na szczęście niemal we wszystkich wioskach udało im się uzyskać poparcie lub przynajmniej obietnicę neutralności wobec działań Hannibala. Lokalni wodzowie przyjmujący kartagińskich emisariuszy byli pod wrażeniem opowieści o dokonaniach Hannibala, o jego zwycięstwach w całej Iberii, oraz opisów wielkiej armii. Co najważniejsze jednak, ludzie ci z satysfakcją przyjmowali prezenty oferowane im przez Malchusa: worki srebrnych monet oraz kunsztownie wykonane *kopides*, a także celtyberyjskie krótkie miecze.

W końcu pozostało im do wykonania ostatnie zadanie: nawiązanie kontaktu z ludem Ausetani, kontrolującym nadbrzeżny szlak do Galii. Po powrocie do Emporiae, gdzie podkuli konie i zaopatrzyli się w zapasy na drogę, Malchus wybrał na odpoczynek dużą karczmę, w której mogli pomieścić się jego ludzie. Od razu wezwał do siebie przewodników, trzech myśliwych o smagłych twarzach. Wkrótce po zachodzie słońca wszyscy zebrali się przy stole

w izbie Malchusa. Małe, owalne lampy oliwne rzucały ciepły, bursztynowy blask na brudny tynk w pomieszczeniu. Jego synowie zajęli miejsca naprzeciw. Ich relacje uległy poprawie. Teraz można je było nazwać chyba nawet poprawnymi. I to musiało wystarczyć. Bostar nie starał się zmuszać brata do przyjaźni na siłę. Za każdym razem, gdy próbował się do niego zbliżyć, Sapho reagował obojętnością. Bostar uznał, że może faktycznie najlepiej będzie, jak zostawi te sprawy własnemu biegowi. To lepsze niż ciągła walka. Rozważanie tego zawsze nieuchronnie przywoływało wspomnienie Hanno, a także poczucie winy, bo czasem przyłapywał się na myśli, że wolałby, żeby to Sapho zginął na morzu.

Malchus poczęstował przewodników winem.

– Opowiedzcie nam o tym plemieniu. – Dowódca misji mówił po iberyjsku dość słabo, z wyraźnym akcentem.

Przewodnicy spojrzeli po sobie niepewnie. Przemówił najstarszy, żyłasty mężczyzna z orzechową, ogorzałą od słońca twarzą. Wychylił się do przodu na krześle.

– Ich główne siedlisko znajduje się u podnóża gór, na północ od miasta, panie. Prowadzi tam prosta droga.

– Czy to znaczy, że nie będziemy musieli się już wspinać po wysokich górach jak poprzednio?

– Nie, panie. Nic z tych rzeczy.

Bostar i Sapho odetchnęli z ulgą. Żaden z nich nie wspominał dobrze dni spędzonych na górskich, krętych i zdradliwych ścieżkach, gdzie jedno potknięcie mogło oznaczać śmierć na dnie przepaści.

– Jak to daleko?

– Niecały dzień drogi.

– Doskonale! Wyruszymy o świcie – ogłosił Malchus. Spojrzał na synów. – Wystarczy noc po powrocie i ruszamy na południe. Wiosna zbliża się wielkimi krokami i powinniśmy wracać do Hannibala, bo może się już niecierpliwić.

Starszy przewodnik odchrząknął.

– Jedna sprawa, panie... Chodzi o to, że zastanawialiśmy się, czy... – Widzieli, że jest zdenerwowany. Zamilkł.

– O co chodzi? – zareagował błyskawicznie Sapho, z zadowoleniem stwierdzając, że jest szybszy niż Bostar.

Mężczyzna przez dłuższą chwilę zbierał się w sobie i wreszcie zapytał:

– Zastanawialiśmy się, czy moglibyście nam już zapłacić i udać się do Ausetani bez nas...

– Jego głos falował. – Spędziliśmy już tak wiele czasu z dala od naszych żon i rodzin, rozumiecie, panie? – Malchus zmarszczył brwi. – Łatwo traficie na miejsce. Nie ma mowy, żebyście się zgubili. – Przeniósł wzrok na swoich towarzyszy, którzy pokiwali energicznie głowami.

Malchus nie odpowiedział. Zamiast tego spojrzął na Bostara i Sapho.

– Co o tym myślicie? – zapytał po kartagińsku.

Sapho skrzywił się nieprzyjemnie, odsłaniając wyszczerzone zęby.

– On kłamie – rzucił po iberyjsku, nie próbując robić tajemnicy ze swojej opinii. – Sądzę, że powinniśmy przywiązać tego drania do stołu i zobaczyć, co powie, jak zaczniemy ciąć pasy z jego skóry. – Powolnym ruchem wyciągnął sztylet i położył go na stole przed sobą. – Ten śmieć szybko zacznie śpiewać.

– Bostar? – Malchus zwrócił się do drugiego syna.

Bostar przyglądał się uważnie przewodnikom, którzy wyglądali na absolutnie przerażonych. Potem spojrzął na brata, który zaczął ciąć stół czubkiem sztyletu. Nie chciał

otwarcie sprzeciwić się Sapho, ale nie podobała mu się myśl o sprawianiu cierpienia niewinnym ludziom zupełnie bez powodu.

– Nie sądzę, żeby trzeba było stosować tortury – powiedział wreszcie, ignorując grymas Sapho. – Ci ludzie spędzili z nami wiele tygodni. Nie mieliśmy jak dotąd żadnych powodów, aby oskarżyć ich o zdradę. Myślę, że po prostu boją się tych Ausetani. Jednocześnie nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy zwolnić ich z obowiązku przed czasem. Przysięgali, że będą nam służyć aż do chwili, gdy sami uznamy, że ich nie potrzebujemy.

Malchus zastanawiał się nad sugestiami swoich synów w milczeniu. W końcu zwrócił się do najstarszego przewodnika.

– Czy mój syn ma rację? Boicie się Ausetani?

– Tak, panie. Taki już u nich zwyczaj, że lubują się w rozbojach. – Po krótkiej przerwie dodał. – Albo gorzej.

Teraz Bostar zaniepokoił się nie na żarty. Zanim jednak zdążył zareagować, Sapho zadał pytanie, które i jemu cisnęło się na usta.

– A kiedy zamierzaliście nam o tym powiedzieć?

Nikt nie odpowiedział.

Sapho spojrzał na Bostara triumfalnie.

– Gdy już wydobędziemy z nich siłą wszystkie wskazówki, może po prostu ich zabijemy?

*Może Sapho ma rację...* – pomyślał Bostar z niechęcią. Nie chciał przyznać się przed samym sobą, że popełnił błąd w ocenie przewodników.

Zaskoczyły go słowa Malchusa, który zwrócił się do Sapho.

– A gdyby nas wcześniej ostrzegli? Co byśmy zrobili?

Na twarzy Sapho pojawił się ciemny rumieniec, który po chwili objął również jego kark i szyję.

– I tak udalibyśmy się do tej wioski – mruknął zrezygowany.

– Właśnie – odpowiedział spokojnie Malchus, który po chwili przeniósł wzrok na przewodników. – Nie cieszcie się, bo sam gotów jestem zakończyć wasze nędzne żywota za zatajenie istotnych informacji. Jednak nie widzę powodu, aby was zabijać w sytuacji, gdy bez względu na wszystko musimy wybrać się do tej wioski.

Trójka stropionych mężczyzn zaczęła dukać jakieś podziękowania.

– Będziemy zaszczytzeni, prowadząc was jutro do wioski Ausetani, panie – odezwał się starszy przewodnik.

– Zgadza się. Będziecie. – Ton głosu Malchusa był jedwabiście miękki, ale nikt nie mógł mieć żadnych wątpliwości, że czai się w nim groźba. – Myrcan! Do mnie!

W izbie natychmiast pojawił się włócznik z szerokim torsem, który pilnował korytarza.

– Na rozkaz.

– Zabierz tym ludziom broń. Odprowadźcie ich na kwatery. Wystaw straż przy oknie i drzwiach, aby nie próbowali ucieczki.

– Tak jest! – Myrcan wyciągnął rękę, a mężczyźni, zanim wyszli z pomieszczenia, bez oporu oddali mu kilka noży.

– Wydaje mi się, że obydwaj musicie jeszcze się sporo nauczyć, jeśli chodzi o ocenę ludzkich charakterów – zwrócił się do synów Malchus. – Nie każdy jest tak honorowy, jak ty, Bostarze. I nie wszyscy zasługują na tortury, Sapho.

Młodzi Kartagińczycy opuścili głowy, jakby nagle bardzo zainteresował ich układ słożeń na drewnianym blacie stołu.

– A teraz odpoczywajcie – odezwał się już łagodniejszym głosem Malchus. – Czeka nas długi dzień.

– Tak, ojcze. – Bracia równocześnie odsunęli krzesła, jakby byli jednym, zsynchronizowanym mechanizmem, po czym, milcząc, skierowali się do drzwi.

Nie odzywali się też w drodze do swojej izby.

Okazało się, że przewodnicy właściwie ocenili odległość dzielącą ich od osady Ausetani. Po całym dniu jazdy, gdy słońce zaczęło się już chylić ku zachodowi, dotarli do umocnionego grodziska na końcu długiej, wąskiej doliny. Leżało może z pół mili dalej, na szczycie wysokiego, łatwego do obrony wzniesienia. Jak wiele podobnych miejsc w Iberii, gród był otoczony drewnianą palisadą. Wyraźnie widzieli sylwetki strażników patrolujących wały. Na stokach wzniesienia spokojnie pasły się stada owiec i kóz. Ten widok wydawał się sielski, ale przewodnicy Kartagińczyków nie wyglądali na spokojnych.

Malchus rzucił im przeciągłe, pełne pogardy spojrzenie.

– Możecie odejść!

Trzej mężczyźni wytrzeszczyli oczy, jakby nie rozumiejąc usłyszanych słów.

– Macie dobry słuch – warknął Malchus. – Idźcie, chyba że wolicie spędzić trochę czasu w towarzystwie Sapho.

Nie potrzebowali dodatkowej zachęty i mieli dość rozsądku, aby nie wspominać o zapłacie za usługi. Zawrócili muły i uciekli.

– Coś mi się wydaje, że za chwilę znajdziemy się w leżu wygłodniałych wilków. – Malchus przyglądał się chwilę synom. – Co robimy?

– Skierujemy się prosto do naczelnika plemienia. – Sapho jak zwykle opowiadał się za śmiałym rozwiązaniem. – Tak samo, jak robiliśmy do tej pory w każdej innej miejscowości.

– Nie możemy wrócić do Hannibala, nie zasięgając języka – przyznał Bostar – ale też nie powinniśmy głupio sami kłaść głów na pieńku przed katem.

Górna warga Sapho wykrzywiła się szyderczo.

– Boisz się nawet wejść do tego grodu z imitacją umocnień?

– Nie! – zaprzeczył energicznie Bostar. – Mówię po prostu, że nic nie wiemy o tych suczych synach. Jeśli to, co powiedzieli o nich przewodnicy, jest prawdą, władowanie się do środka niczym stado rozjuszonych byków już na początku postawi nas w trudnej sytuacji.

Sapho spojrział na niego z niedowierzaniem.

– No i co? Jesteśmy emisariuszami Hannibala Barkasa, a nie jakiegoś obszczanego iberyjskiego kacyka.

Bracia patrzyli na siebie chmurnie.

– Uspokójcie się! – Malchus zdecydował się wreszcie przerwać tę wymianę zdań. – Jak zwykle obie propozycje mają swoje zalety. Gdybyśmy mieli trochę więcej czasu, zalecałbym zasadzenie się na jakąś grupę ich myśliwych. Kilku zakładników pozwoliłoby nam zapewnić sobie niezłą kartę przetargową przed konfrontacją. Tylko że potrzebowalibyśmy na to kilku dni, których nie mamy. Musimy działać natychmiast. – Spojrział na Sapho. – Jednak nie do końca tak, jak proponujesz. Wybierzemy rozwiązanie bardziej pokojowe. Pamiętaj, że kot, którego drapiesz za uchem, rzadziej pokazuje pazury. Musimy być jednak pewni siebie albo oni, podobnie jak ten kot, zwrócą się przeciwko nam.

Malchus wyjaśnił sytuację eskortującym ich żołnierzom, używając przy tym prostych sformułowań w językach iberyjskim oraz kartagińskim. Włócznicy libijscy i *scutarii* niespecjalnie się przejęli. Ci ludzie zostali wybrani ze względu na wysoki poziom lojalności i odwagę. Gotowi byli walczyć, a jeśli to konieczne, oddać życie za Hannibala. Zawsze i wszędzie, gdziekolwiek ich pośle.

– Który z was dwóch lepiej radzi sobie z iberyjskim? – Malchus zwrócił się do synów. Chociaż sam posługiwał się lokalnym językiem stosunkowo dobrze, co zwykle wystarczało do

komunikacji, teraz lepiej było ograniczyć możliwość pojawienia się jakichś nieporozumień.

– Ja – Bostar odezwał się bez wahania. Choć obaj z Sapho spędzili w Iberii z grubsza tyle samo czasu, to właśnie on miał większy talent w tym kierunku i szybciej uczył się melodyjnych lokalnych języków, które niewtajemniczonym przypominały tonalny śpiew, przeplatany dużą ilością szybko wypowiedzianych słów.

Sapho nie oponował i niechętnie skinął głową.

– Dlatego wcielił się w rolę tłumacza – zaordynował Malchus.

Bostar nie próbował ukryć uśmiešku wyższości.

Ruszyli, nie zwlekając. Malchus prowadził, a za nim szli Bostar i nachmurzony Sapho. Eskorta maszerowała z tyłu. Najpierw włócznicy, a na końcu *scutarii*. Nie uszli za daleko, gdy z najbliższego wzgórza wzniósł się w niebo ostrzegawczy dźwięk rogu. Sygnał szybko powtórzono z jakiegoś punktu obserwacyjnego położonego bliżej grodu. Wkrótce słyszeli już wyraźnie okrzyki wojowników na wałach. Gdy znajdowali się w odległości około czterystu kroków od osady, odrzwia bramy rozwarły się ze skrzypnięciem i wylała się z nich fala mężczyzn niczym komitet powitalny – niekształtna masa wojowników, którzy zablokowali wejście do grodu, czekając na zbliżających się Kartagińczyków.

Bostar nie mógł pozbyć się wrażenia, że na jego żołądku zaciska się żelazna obręcz. Spojrzał z ukosa na Sapho, który sprawdzał właśnie, czy jego miecz gładko wychodzi z pochwy: wyciągał go do połowy i wciskał z powrotem. *On też się niepokoi*. Jediną oznaką zdenerwowania ich ojca, który szedł z przodu, były jego usztywnione, wyprostowane jak struna plecy. Nie wyglądał jednak na bardzo zaniepokojonego i Bostar pragnął brać z niego przykład. *Nie okazuj strachu* – powiedział sobie. *Oni go wyczują, tak jak wilk wyczuwa szybko bijące z trwogi serce swojej zdobyczy*. Wziął głęboki oddech i postarał się, by twarzy nadać spokojny, nieprzenikniony wyraz. Sapho musiał dojść do podobnych wniosków, bo przestał gładzić rękojeść miecza. Ich eskorta maszerowała równym, pokrzepiającym krokiem, który dawał im pewność, że w razie kłopotów, zanim przyjdzie im się pożegnać z tym światem, nie zawahają się użyć przemocy.

Malchus prowadził swojego konia prosto przez sam środek grupy. Kilku wojowników, wyraźnie zaskoczonych jego pewnością siebie i rozmiarami wierzchowca, cofnęło się. To jednak nie stało się regułą. Pełne wściekłości pomruki ich towarzyszy sprawiły, że wrócili na swoje pozycje, tym razem groźnie unosząc broń. Z grupy posypały się złorzeczenia, ale Malchusowi nie drgnął nawet jeden mięsień.

Jak w większości plemion iberyjskich członkowie plemienia Ausetani nosili najrozmaitsze odzienia. Wojownicy raczej nie mieli żadnego nakrycia głowy. Rzadko można było zobaczyć kogoś, kto nosił skórzaną mykę, brązowy hełm lub hełm z potrójnymi kitami. Większość z nich miała przy sobie tarcze, choć były to elementy uzbrojenia o różnych rozmiarach i najprzeróżniejszych kształtach: od długich i smukłych, przez takie o prostych bokach i zaokrąglonych końcówkach, po owalne, okrągłe z żelaznymi umbami. Pokryto je jaskrawymi rysunkami wijących się węży, prostymi rombami lub naprzemiennie umieszczonymi pasami w różnych kolorach. Trzeba było przyznać, że byli uzbrojeni po zęby. Każdy miał co najmniej jeden *saunion*, ale wielu nawet po dwa. Ponadto każdy wojownik uzbrojony był w sztylet oraz *kopis* lub typowy celtyberyjski miecz prosty.

Malchus spojrzał przez ramię, przyciągając wzrok Bostara.

– Powiedz im, kim jesteśmy i co nas tu sprowadza.

– Jesteśmy Kartagińczykami. – Bostar podniósł głos. – Przychodzimy w pokoju. – Zignorował prychnięcia, z jakimi zgromadzeni przyjęli jego oświadczenie. – Przynosimy wiadomość od naszego wodza Hannibala Barkasa.



– Nigdy nie słyszałem o takim fagasie! – ryknął jakiś wielki mężczyzna o długiej, czarnej brodzie. Jego uwaga wywołała rechot towarzyszy. Zachęcony takim poparciem wojownik przepchnął się na skraj grupy. Spod hełmu z brązu wystawały długie, posklejane warkocze. Czarna, pikowana tunika podkreślała jego wielkie mięśnie klatki piersiowej i ramion, a wzmocnione prasowanymi ścięgnami skórzane nagolenniki ledwo obejmowały jego grube łydki. Był tak wielki, że tarcza i *saunion*, którego drzewce ścisnął w dłoni, wyglądały jak dziecięce zabawki. Wojownik obrzucił Libijczyków i *scutarii* pogardliwym uśmiechem, po czym przeniósł zimne spojrzenie na Bostara.

– Podaj mi jeden dobry powód, dlaczego nie mielibyśmy po prostu was wszystkich zabić? Jego słowa spotkały się z pełnymi akceptacji pomrukami. Ausetani przesunęli się łąwą o krok do przodu.

Bostar sprężył się cały, w każdej chwili gotów do działania, ale udało mu się zachować spokój i nie puścić trzymany w dłoniach wodzy, aby sięgnąć po miecz. Zerknął z ukosa na Sapho i z ulgą stwierdził, że jego brat również obserwuje tylko uważnie przeciwników, nie wykonując niepotrzebnych nerwowych ruchów.

– Przewodnik mówił prawdę – stwierdził pragmatycznie Malchus, ale cicho, pod nosem. Potem podniósł głos. – Powiedz mu, że przynosimy wiadomość i prezenty od naszego generała dla naczelnika plemienia. Jego starszyzna nie będzie zadowolona, gdy nie usłyszy osobiście tego, co mamy do powiedzenia.

Bostar powtórzył to, co powiedział ojciec, uważnie dobierając słowa przy tłumaczeniu na język iberyjski. Wyglądało na to, że ten argument zrobił na wojownikach właściwe wrażenie. Na twarzy olbrzyma pojawił się grymas i gniewu, i zmieszania, ale po kilku uderzeniach serca rozsądek chyba zwyciężył. Cofnął się. Gdy jeden z jego towarzyszy zapytał go, dlaczego to robi, po prostu odepchnął go na bok, wydając poirytowane mruknięcie. Bostar odetchnął. Udało się pokonać pierwszą przeszkodę. Atmosfera przypominała trochę chwilę przed osunięciem się kamieni ze zbocza góry. Najpierw z drogi zszedł im jeden mężczyzna, potem drugi i trzeci, i jeszcze paru kolejnych. Umożliwiano im przejście. Wkrótce grupa wojowników rozpadła się na połowę, tworząc korytarz, który prowadził do bramy. Pusty, jeśli nie liczyć wojownika z czarną brodą, który potruchał przodem, niosąc zapewne naczelnikowi wieść o ich przybyciu.

Malchus patrzył prosto przed siebie, wbił piętę w boki konia, popędzając go w górę zbocza.

Reszta emisariuszy podążyła za nim pod baczny okiem masy wojowników.

Osada nie różniła się wiele od setek innych, które Bostar miał okazję widzieć. Centralny plac otaczały dziesiątki jednopoziomowych drewnianych i murowanych chat, a na zewnętrzny krąg składały się domy opierające się ścianami o palisadę. Nad dachami chatynek unosiły się pióropusze dymu. Małe dzieci i psy dokazywały w błocie, nie widząc jeszcze zbliżających się gości. Wszędzie widać było kury i świnie poszukujące pożywienia. W progach domów pojawiały się kobiety i starcy, beznamiętnie obserwując przybyszów. Powietrze niesło ostrą woń odchodów ludzkich i zwierzęcych. Na końcu placu na wprost bramy stało krzesło z wysokim oparciem, które zajmował starszy człowiek, a otaczało go dziesięciu wojowników w kolczugach i hełmach z czerwonymi grzebieniami. Brodaty olbrzym był już przy wodzu i pochylał się nad jego uchem.

Malchus bez zbędnej zwłoki ruszył w kierunku tej grupy. Tuż przed nią zsiadł z konia, nakazując swoim synom, aby uczynili to samo. Natychmiast zbliżyło się do nich trzech Libijczyków, aby zająć się końmi. Malchus skłonił się nisko wodzowi plemienia. Bostar szybko powtórzył ten gest. Uznał, że powinno się mimo wszystko potraktować wodza Ausetani z szacunkiem. Człowiek ten w końcu decydował o losach całego plemienia, chociaż... wyglądał raczej na niegodnego zaufania łotra. Mógł mieć na sobie czerwoną tkaninę przynależną

arystokracji, nosić przy pasie świetnej jakości miecz i sztylet, ale związane w warkocze tłuste włosy i ospowate policzki jasno mówiły, z kim naprawdę mają do czynienia. Podobnie jak płaskie, martwe oczy, które przypominały Bostarowi ślepią jaszczurki. Sapho uklonił się ostatni. Nie tak głęboko, jak brat i ojciec. Jego zachowanie nie pozostało niezauważone. Kilku wojowników syknęło wściekle i zaszurało nogami. Bostar spojrzął na brata z wyrzutem, ale szkoda już została poczyniona.

Trzech Kartagińczyków z wodzem plemienia Ausetani przez jakiś czas mierzyli się wzrokiem w milczeniu. Każdy próbował ocenić swojego rozmówcę. Naczelnik wioski przemówił pierwszy. Skierował swoje słowa do Malchusa, który został mu chyba już wskazany jako lider emisariuszy.

– Mówi, że nasze przesłanie musi być rzeczywiście ważne, skoro udało nam się powstrzymać jego ludzi przed zaangażowaniem w ulubione zajęcie – Bostar przetłumaczył słowa, które usłyszał z ust wodza.

– Bawi się z nami. Chce sprawić, aby w naszych sercach zagościł strach – mruknął pogardliwie Malchus. – Nie ma zamiaru zabić nas szybko, bo jego wojownicy zrobiliby to już wcześniej. Musiał wcześniej dowiedzieć się o naszej obecności w okolicy i chce wysłuchać tego, co mamy mu do przekazania. Powiedz mu to samo, co przekazaliśmy naczelnikom innych plemion. Opisz ze szczegółami, jak wielką armię prowadzi Hannibal.

Bostar zrobił to, o co prosił go ojciec, spokojnie wyjaśniając, że ich misja poprzedza przybycie armii Hannibala, który powinien pojawić się w ciągu najbliższych kilku miesięcy, i pragną jedynie zapewnić mu bezpieczne przejście do Galii. Kartagińczycy chętnie zapłacą wojownikom Ausetani za pomoc w roli przewodników, a wszystkie zapasy żywności zostaną zakupione. Grabieże i kradzież własności plemienia będą karane śmiercią. Podczas całej tej przemowy Bostar obserwował twarz naczelnika, szukając wskazówek, które pozwoliłyby mu odgadnąć, o czym ten człowiek myśli. Na próżno. Pozostawało mu tylko skoncentrowanie się na tym, aby przekazać wszystkie informacje pewnym głosem, licząc na jak najlepsze przyjęcie.

Przeszedł do przedstawiania oddziałów składających się na ogromne siły Hannibala. Mówił o tysiącach włóczników i *scutarii*, takich jak ci towarzyszący im w tej misji, o procarzach i harcownikach, mających za zadanie osłabienie wroga przed bitwą, niezrównanej numidyjskiej jeździe, której szarzy nie jest w stanie powstrzymać żadna armia na świecie, oraz sioniach bojowych, potrafiących zdeptać całe formacje niczym suchy chrust. Bostar dopiero się rozkręcał, gdy wódz uniósł rękę stanowczym gestem, powstrzymując potok jego słów.

– I mówisz, że jak duża jest ta armia?

– Liczy sto tysięcy ludzi. Co najmniej.

Już w chwili, gdy wybrzmiały te słowa, Bostar wiedział, że naczelnik plemienia Ausetani mu nie uwierzył. Sposepniał. To była wielka liczba, ale inne plemiona, z którymi się kontaktowali, nie powątpiewały w te zapewnienia. *Być może to dlatego* – zastanawiał się Bostar – *że tamte plemiona były znacznie mniejsze niż Ausetani i już pięćdziesięciu kartagińskich żołnierzy robiło na nich bardzo duże wrażenie. Tutaj będzie inaczej.* Teraz sytuacja była inna. Podobno Ausetani żyli w wielu podobnych do tego grodu siedliskach rozrzuconych po okolicy. Gdyby zebrali wszystkie drużyny, może byliby w stanie wystawić siły liczące dwa lub trzy tysiące wojowników, co na warunki Iberii byłoby dużym osiągnięciem. Obraz armii trzydzieści czy pięćdziesiąt razy większej musiał wymagać sporej wyobraźni.

I rzeczywiście, wódz i jego przybocznicy spojrzeli po sobie z niedowierzaniem.

– Co za hołota – wysapał wściekle po kartagińsku Sapho. – Posrają się, kiedy zobaczą hufce Hannibala.

Bostar nie wiedział, jak powinien zareagować, dlatego uznał, że najlepiej będzie udawać,

że niczego nie zauważył. Kontynuował.

– A oto dowód naszej dobrej woli.

Strzelił palcami. Czwórka *scutarii* natychmiast znalazła się przed szeregiem, dźwigając ciężkie, brzęczące worki i całe naręcza ciasno zwiniętych skór. Ułożyli podarunki przed krzesłem wodza, po czym wrócili na swoje miejsca.

Dary zostały zbadane i obmacane z nieprzyzwoitą prędkością. Gdy srebrne monety posypały się na ziemię, na twarzach wszystkich wojowników zobaczyli nieskrywaną chciwość. A gdy po odwinieciu skór zgromadzonym ukazały się lśniące miecze i inna broń, rozległy się głośne pomruki uznania.

Malchus zachowywał pewność siebie lub umiejętnie ją udawał.

– Zapytaj naczelnika plemienia, jaką odpowiedź mamy zanieść Hannibalowi – poinstruował Bostara.

Ten natychmiast wykonał polecenie.

Wódz Ausetani się zamyślił. Przez dwadzieścia uderzeń serca wodził wzrokiem po leżących przed nim przedmiotach. Wreszcie zadał jakieś krótkie pytanie.

– On chce wiedzieć, na ile więcej mogą liczyć, gdy pojawi się Hannibal. – Bostar nie był w stanie ukryć niechęci w głosie.

– Chciwy sukinsyn... – syknął Sapho.

Malchus zmarszczył brwi z dezaprobatą, ale nie wyglądał wcale na zaskoczonego.

– Mogę mu obiecać równie hojne dary i wtedy ten pies pewnie pozwoli nam odejść. Nie mam jednak pojęcia, czy Hannibal zaakceptuje moją obietnicę. I tak to, co już mu daliśmy, warte jest fortunę. – Spojrzał na synów. – Co o tym sądzicie?

– Hannibal uzna nas za głupców nad głupcami – mruknął Sapho, którego nozdrza rozszerzyły się ze wściekłości. – Wszystkie inne plemiona przyjęły nasze dary, a ten tutaj chce dwa razy tyle!

– Nie możemy zaoferować mu więcej, bo albo ten skurwysyn uzna nas za słabeuszy, albo ci dranie pomyślą, że mogą sobie z nami pogrywać – przyznał Bostar i się skrzywił. – Dobra wola Hannibala powinna mu wystarczyć z nawiązką!

– Nie sądzę, że wystarczy... – powiedział Malchus ponurym głosem. – Jeśli takie ilości srebra i broni go nie przekonały, to mgliste obietnice tym bardziej.

Bostarowi do głowy nie przychodziło żadne rozwiązanie, które nie wiązałoby się z utratą twarzy. Chociaż razem z nimi do wioski Ausetani przybył tylko nieliczny oddział, to *oni* byli tą silniejszą stroną, a nie ci obszarpańcy, którzy ich otaczali. Jeśli ugną się przed żądaniem naczelnika, Ausetani uznają, że są słabi i po prostu się ich boją. Zmrużył oczy, bo wpadł na pewien pomysł.

– Możesz obiecać mu spotkanie z Hannibalem – zaproponował. – Zasugerować, że sojusz jego ludu i Kartaginy może okazać się korzystny dla obu stron.

– Nie mamy prawa proponować takiego rozwiązania w imieniu Hannibala – zaprotestował Sapho.

– Oczywiście, że nie – odpowiedział pewnie Bostar – ale nie jest to propozycja równoznaczna z naszym wycofaniem się z rozmów.

– Podoba mi się. – Malchus odetchnął. Spojrzał pytająco na Sapho, który z rezygnacją wzruszył ramionami. – Myślę, że to najlepsze wyjście. Zaproponuj takie rozwiązanie.

Bostar spokojnie wyłuszczył szczegóły ich propozycji.

Jednak twarz wodza od razu wykrzywiła się w jakimś dzikim grymasie, po czym zaczął w szybkim tempie wypluwać długie, pełne irytacji zdania, które nie wróżyły niczego dobrego. Mówił tak szybko, że Malchus i Sapho mieli trudności ze zrozumieniem tego potoku słów.

Bostar nawet nie próbował tłumaczyć, zanim nie odpowiedział. Na jego słowa straż przyboczna wodza i brodaty olbrzym przesunęli się kilka kroków do przodu. Jednocześnie ludzie, którzy towarzyszyli ich pochodowi, rozstawili się wokół, zamykając ich w okrążeniu.

– Co, na wszystkich bogów, powiedziało to bydlę? – zażądał wyjaśnienia Malchus.

Bostar się wykrzywił.

– Stwierdził, że Ausetani nie potrzebują sojuszu z wszawym synem fenickiej dziwki.

– I co na to odpowiedziałeś? – Sapho zacisnęła pięści.

– Powiedziałem mu, że natychmiastowe, szczerze przeprosiny *mogą* sprawić, że Hannibal okaże łaskę, kiedy przybędzie tu z armią. W przeciwnym razie on i całe jego plemię zostaną unicestwieni.

Malchus położył rękę na jego ramieniu.

– Dobrze powiedziane!

Nawet Sapho spojrział na niego z podziwem.

Malchus zmierzył wzrokiem otaczający ich krąg wojowników.

– Wydaje się, że nasza droga kończy się tutaj – powiedział ciężkim głosem. – Nie będziemy mieli okazji pomścić Hanno. Możemy jednak dobrze umrzeć. Jak mężczyźni! – Zwrócił się do eskorty i powtórzył swoje słowa. Z zadowoleniem stwierdził, że wszyscy, jak jeden mąż, chwycili za broń.

– Na rozkaz, dowódcu – potwierdzili swoją gotowość do podjęcia walki oficerowie.

– Poczekajcie. Mam pewien pomysł – odezwał się Sapho. Nie pytając nikogo o zdanie, dobył miecza i stanął przed tym olbrzymem, który jako pierwszy śmiał się z nich, gdy pojawili się przed bramą. Wojownik uśmiechnął się nieprzyjemnie. – Czy ten drągał potrafi w ogóle walczyć? – Zapytał w znośnym iberyjskim.

Wódz Ausetani wybałuszył oczy, nie mogąc uwierzyć własnym uszom. Sapho ledwo sięgał barku wojownika.

– To mój najstarszy syn. Nikt nie pokonał go jeszcze w pojedynku.

– Co on wyrabia? – szepnął Bostar do Malchusa, który tym razem wyglądał naprawdę na zaniepokojonego.

– Nie wiem, co zamierza, ale mam nadzieję, że bogowie spoglądają na niego przychylnie.

Sapho podniósł głos.

– Jeśli go pokonam, przeprosisz, przyjmiesz dary Hannibala i pozwolisz nam odejść w spokoju. A gdy przybędzie kartagińska armia, nie będziesz utrudniał przemarszu.

Wódz wybuchnął tubalnym śmiechem. Podobnie jak wszyscy otaczający ich wojownicy.

– Oczywiście. Jeśli przegrasz, weźmie sobie jako trofeum twoją głowę i wszystkich twoich towarzyszy.

– Niczego innego się nie spodziewałem – odpowiedział lekceważąco Sapho.

Naczelnik plemienia wzruszył nonszalancko ramionami. Wydał rozkaz, po którym wojownicy plemienni przesunęli się, tworząc duży okrąg. Malchus wykorzystał chwilę zamieszania, nakazując swoim żołnierzom przesunięcie się do krawędzi, tak aby przynajmniej część tego okręgu składała się z ludzi, na których Sapho mógł liczyć. Razem z Bostarem znaleźli się nieco bliżej, w środku. Wielu Ausetani nie spodobał się ten manewr. Zaczęli się przepychać i szarpać kartagińskich żołnierzy. Uspokoiли się dopiero po gniewnym okrzyku ich lidera. Wódz, otoczony przez straż przyboczną, zajął pozycję naprzeciwko Malchusa.

Sapho chwycił pewnie swój miecz i ruszył, mając po obu stronach same nieprzyjazne twarze. Podążający kilka kroków za nim olbrzym otrzymał głośnie wsparcie. Kiedy obaj znaleźli się w środku kręgu, Ausetani zwarli szeregi. Przeciwników dzieliło teraz tylko kilkanaście kroków. Sapho uzbrojony był w miecz i sztylet. Jego przeciwnik z pogardliwym uśmiechem

odrzucił swoją tarczę i *saunion*, chwytając długi, prosty, obosieczny miecz. Nie wyglądało, aby dzięki temu walka stała się bardziej wyrównana.

Bostar czuł pęczniejącą w gardle kulę. Sapho był utalentowanym szermierzem, ale nigdy jeszcze nie znalazł się w tak trudnej sytuacji. Sądząc po zaciskanej nerwowo szczękę jego ojca i kamiennej twarzy, miał podobne odczucia do Bostara. Niezależnie od ich ostatnich nieporozumień nie chciał, aby jego brat zginął w walce z tym gigantem. Zamknął oczy i modlił się do Baala Saphona, boga wojny, prosząc go o pomoc dla brata. Dla nich wszystkich.

Sapho unosił ramiona, rozgrzewając i rozluźniając mięśnie. Zastanawiał się chwilę, jaką strategię walki przyjąć. Dlaczego tak głupio rzucił wyzwanie temu dryblasowi? Odpowiedź była prosta. Gdy Bostar uratował życie Hannibala, Sapho czuł tak wielką zazdrość, że nie potrafił o tym nie myśleć. Zawsze ze sobą rywalizowali, ale to... Wydawało się, że teraz przesadził. Od czasu, gdy wrócili spod Saguntum, Sapho bardzo starał się zapomnieć o konflikcie z bratem, zgodnie zresztą z życzeniem Bostara, ale nie mógł nic poradzić na to, że te myśli ciągle do niego wracały, zatruwając mu umysł. Być może teraz uda mu się odzyskać choć część urażonej dumy. Przyglądał się uważnie potężnym mięśniom przeciwnika i starał się nie poddać rozpacz. Jakie miał szanse? Wzdrygnął się, gdy uzmysłowił sobie, że ma tylko jedną przewagę. Szybkość.

Wódz Ausetani uniósł rękę. Zapadła cisza, którą przerywały tylko od czasu do czasu napomnienia uciszających się wzajemnie wojowników. Spojrzał na jednego i na drugiego mężczyznę, sprawdzając, czy są gotowi do walki, po czym opuścił rękę.

Olbrzym rzucił się do przodu z ogłuszającym rykiem i wzniesionym mieczem. Chciał szybko i brutalnie zakończyć tę walkę. Zbliżając się do Sapho, wyprowadził potężny cios od góry. Ostrze przecięło ze świstem powietrze i zahaczyło o kamienistą ziemię, krzesząc snop iskier. Sapho już zmienił pozycję, tańcząc zwinnie wokół wielkiego wojownika. Ten ryknął ponownie, tym razem ze wściekłości, i przekręcił się tak, żeby stanąć twarzą do przeciwnika. Wyprowadził kolejny cios, który również trafił w próżnię. Nie było jednak widać, żeby specjalnie się tym przejął. Dysponował większą siłą i większym zasięgiem ramion, więc wydawało mu się, że wszystkie atuty są po jego stronie.

*Szybkość może nie wystarczyć...* Rozpaczliwym unikiem Sapho szedł z linii ciosu, który, gdyby trafił, przeciąłby nie tylko jego napierśnik, ale z pewnością wszystkie kości klatki piersiowej. Na razie pikowana tunika olbrzyma skutecznie neutralizowała słabe ciosy, jakie udawało się wyprowadzić Sapho. Jeśli nie skróci dystansu, co jest niebezpieczne, nie uda mu się zrobić nic więcej. Cofając się tyłem przed uśmiechającym się szyderczo przeciwnikiem, nie zauważył, że jeden z plemiennych wojowników podstawił mu nogę. Potknął się i upadł, uderzając plecami o twardą ziemię. Na szczęście nie wypuścił z dłoni miecza.

Olbrzym znalazł się tuż nad nim. Sapho dostrzegł w jego oczach swoją śmierć. Odczekał, aż ostrze obosiecznego miecza rozpocznie wędrówkę w dół, po czym odepchnął się z całej siły i przeturlał w kierunku środka okręgu. Usłyszał chrupnięcie, gdy miecz jego przeciwnika rozorał twardą ziemię. Bolesnie świadomy, że może liczyć tylko na swoją zwinność, toczył się i toczył, aby znaleźć się wystarczająco daleko i spróbować wstać. Powietrze wypełniły drwiące śmiechy obserwujących walkę wojowników Ausetani, a wielkolud uniósł triumfalnie ręce w geście, który miał świadczyć, że liczy na rychłe zwycięstwo. Sapho czuł ogarniającą go wściekłość, gdy pomyślał, dlaczego znalazł się na ziemi. Wiedział, że tej walki nie wygra, jeśli nie ucieknie się do niestandardowych sztuczek. To była ta chwila, gdy trzeba było zaryzykować i wykorzystać tę jedyną okazję. Wyciągnął sztylet i chwycił go mocno lewą ręką, starając się nie słuchać kpiących gwizdów gawiedzi.

Oddychał głęboko. Czekał. Wystarczyłoby, aby jego przeciwnik wziął duży zamach, zanim wyprowadzi ostatni cios. Musiał być czujny, sprawiając wrażenie, że nie ma już siły się

bronić. Podejmował ogromne ryzyko. Będzie martwy, jeśli przeciwnik zorientuje się w jego zamiarach. Stawiał na szali swoje życie, ale nie miał innego pomysłu na zakończenie tej walki. Naprawdę był już zmęczony ciągłymi unikami. Opuścił ramiona zrezygnowany.

Olbrzym podszedł bliżej, szczerząc zęby.

Sapho zadrżał, gdy zrozumiał, że jego przeciwnik najwyraźniej jest przekonany, że się poddał. Nie poruszył się ani o palec.

– Przygotuj się na śmierć – wojownik zachrypiał. Uniósł prawe ramię, odprowadzając miecz po łuku daleko, aż za plecy. Mierzył w jego kark. Cios został wyprowadzony pewnie i prosto w nieruchomą ofiarę. Obserwujący walkę mieli wszelkie powody, by myśleć, że pojedynek dobiegł końca.

Tyle że Sapho w ostatniej chwili opadł na kolana, dzięki czemu ostrze przecięło tylko powietrze nad jego głową. Błyskawicznie wychylił się do przodu ze sztyletem w wyciągniętej ręce. Trafił w lewe udo wojownika. To nie była śmiertelna rana, ale też nie miała taka być. Gdy opadł na ziemię, usłyszał głośny krzyk bólu. Wykrzywił usta usatysfakcjonowany. Szybko się podniósł, wciąż ściskając w drugiej ręce miecz. Kilka kroków od niego krwawiący wojownik przechylał się na bok niczym okręt idący na dno w czasie sztormu. Całą uwagę skupił na wyciągnięciu sztyletu tkwiącego głęboko w mięśniach uda. Dźgnięcie go teraz w plecy byłoby bardzo łatwe.

Szybkie spojrzenie na twarze otaczających go ludzi pomogło Sapho podjąć właściwą decyzję. W tym przypadku okazanie miłosierdzia będzie o wiele lepszym rozwiązaniem niż bezwzględne zakończenie walki. Podskoczył błyskawicznie do przeciwnika. Przeciągając ostrzem po ścięgno lewej nogi, unieruchomił go na dobre. Gdy wyjący wojownik upadł, Sapho stanął na jego prawej ręce, zmuszając do odrzucenia broni. Oparł czubek sztychu o pierś powalonego przeciwnika i warknął:

– Poddaj się.

Jęczący z bólu wojownik uniósł w górę obie ręce, rozcapierzając palce.

Sapho uniósł wzrok na wodza plemienia, którego twarz wyrażała niedowierzenie.

– No i co? – zapytał bezceremonialnie.

Po chwili naczelnik wioski doszedł do siebie.

– Przepraszam, że obraziłem waszego wodza Hannibala. Ausetani przyjmują te hojne dary z wyrazami wdzięczności – mruknął niezbyt przekonująco. – Ty i twoi towarzysze... możecie odejść.

– Doskonale. – Sapho przyjął te słowa z szerokim uśmiechem. – Twój syn pójdzie z nami.

Naczelnik wioski podskoczył jak oparzony.

– Potrzebuje pomocy medycznej.

– Otrzyma ją. Zostawimy go pod opieką najlepszego lekarza w Emporiae. Masz moje słowo. – Sapho oparł się delikatnie na mieczu, prowokując tym głośny jęk olbrzyma. – Albo mogę wyleczyć go raczej skutecznie tutaj. Jednym ciosem. Twój wybór.

Usta wodza tworzyły teraz jedną kreskę. Był wściekły, ale i bezsilny w obliczu determinacji Sapho.

– Niech tak będzie... – odparł.

Dopiero wtedy Sapho przeniósł wzrok na ojca i Bostara. Obaj z uznaniem pokiwali głowami. Sapho zaczął się cieszyć jak człowiek niespełna rozumu. Udało mu się uratować misję, która w pewnym momencie wydawała się już skazana na porażkę. Zyskał uznanie ojca, a brat patrzył teraz na niego z podziwem. W głębi duszy jednak zdawał sobie sprawę, że aby tę część szlaku przez góry można było uznać za zabezpieczoną, trzeba zmiażdżyć Ausetani.

## Rozdział XII



Następnego ranka obudziło go potężne kopnięcie w zębra. Otworzył oczy i stęknął z bólu. Pochylał się nad nim Agesandros w towarzystwie dwóch największych niewolników w gospodarstwie. Hanno znał tych tępych brutalni. Gotowi byli bez mrugnięcia okiem popełnić każde łajdactwo, jeśli im kazano. Każdy ścisnął w dłoniach metalowe obręcze i łańcuch na kostki. Nie do końca zdawał sobie jeszcze sprawę z tego, co się dzieje, ale czuł lęk. Nigdy tak boleśnie nie odczuwał nieobecności w domu Kwintusa i Fabrycjusza. To musiało być coś więcej niż zwykły zbieg okoliczności.

– Co? O co chodzi? Za co? – wychrypiął.

Sycylijczyk nie raczył odpowiedzieć. Kopnął go mocniej. A potem jeszcze kilka razy. Hanno zwinął się na ziemi w pozycji embrionalnej, chroniąc głowę rękoma. Modlił się, żeby Aurelia usłyszała, co się z nim dzieje.

Jednak Agesandros najwidoczniej tym razem nie chciał go skatować. Nie starał się też zachować ciszy.

– *Gugga!* Syn zawszonej ładacznicy – warknął.

Hanno spojrział w górę przez palce, mrużąc oczy. Jego niepokój wzbudził sztylet w jednej ręce Sycylijczyka i mała torebka w drugiej dłoni.

– Znalazłem te rzeczy w twoim żalosnym dobytku. Chciałeś ukraść pieniądze i broń swojego właściciela? – grzmiał Agesandros. – Pewnie poderżnąłbyś też nam wszystkim gardła w środku nocy, a potem byś uciekł, żeby przyłączyć się do rodaków walczących z Rzymem.

– Nigdy w życiu nie widziałem tych rzeczy! – wykrzyknął Hanno. Natychmiast w jego głowie pojawił się przywołany z pamięci obraz Agesandrosa czającego się w atrium. To właśnie robił ten cholerny Sycylijczyk! – Ty draniu... – wymamrotał Hanno, próbując się podnieść. Nie udało mu się, bo natychmiast został kopnięty w twarz. Zwinął się na swoim legowisku, z trudem znosząc zalewający go falami ból. W ustach poczuł smak krwi. Chwilę później wypluł dwa zęby.

Agesandros roześmiał się złośliwie.

– Zakujcie go w kajdany – rozkazał. – Załóżcie obręcze na szyję i kostki.

Hanno mógł tylko bezsilnie patrzeć, jak niewolnicy mocują ciężkie żelazne pierścienie. Trzy głośne kliknięcia i znów wrócił do miejsca, gdzie zaczynała się jego nieszczęsna przygoda. Na targu niewolników. To wtedy do grubej metalowej kłamy przymocowany był długi łańcuch. Hanno został gwałtownie postawiony na nogi brutalnym szarpnięciem. Potem Sycylijczyk zaczął ciągnąć go w stronę drzwi.

– Stać! – Wszystkie oczy spoczęły na Aurelii, która, jeszcze w nocnej koszuli, stanęła

w drzwiach swojej sypialni. – Co się tu wyprawia? – zapytała piskliwym głosem. – Hanno jest niewolnikiem w gospodarstwie, a nie jednym z robotników rolnych, z którymi możesz robić, na co tylko masz ochotę.

Sycylijczyk skłonił się zamasyżycie. Drwiąco.

– Wybacz mi, panienko, za tak wczesną pobudkę. Gdy poznałem treść listu od Fabrycjusza, martwiłem się, jak zareaguje na wieści ten niewolnik. Podejrzywałem, że gotów jest zrobić krzywdę tobie i innym członkom tej rodziny, a potem uciec. Niestety, okazało się, że miałem rację. – Uniósł obie ręce w górę – To najpewniej nie należy do niego.

Przeżrana Aurelia spojrzała na Hanno. Drgnęła na widok jego zakrwawionej twarzy.

– *Ktoś* mi to podrzucił – powiedział cicho Hanno, rzucając Agesandrosowi spojrzenie pełne nienawiści.

Aurelia od razu zrozumiała, co się święci, i zrobiła krok do przodu.

– Widzisz? To jakieś nieporozumienie.

Sycylijczyk zaśmiał się nieprzyjemnie.

– A co innego miałby powiedzieć? Każdy *gugga* jest kłamcą. – Kiwnął głową na dwóch osiłków. – Chodźmy. Czeką nas długa droga.

– Zabraniam ci! – wykrzyknęła Aurelia. – Ani kroku.

Niewolnicy trzymający Hanno zamarli. Agesandros odwrócił się do dziewczyny.

– Wybacz mi, panienko, ale w tym przypadku muszę podważyć twój autorytet.

Nagle rozległ się ostry głos Atii, który rozciął powietrze niczym trzask bicia.

– Mój też? Pod nieobecność męża to ja zarządzam gospodarstwem. Nie ty.

Agesandros zamrugał.

– Oczywiście, że nie, pani – odparł gładko.

– Wy tłumacz zatem łaskawie, o co tu chodzi.

Agesandros po raz kolejny uniósł sztylet i ścisnął w dłoni torebkę i powtórzył swoje zarzuty.

Atia wyglądała na bardzo zaniepokojoną.

– Co powiedziałyby Fabrycjusz, gdyby dowiedział się, że zostawiłem tak niebezpiecznego niewolnika w gospodarstwie, pani? – zapytał w końcu Sycylijczyk. – Kazałyby mnie oćwiczyć. I miałby rację.

*Cwany z niego sukinsyn. Działa, gdy w gospodarstwie są tylko kobiety, które łatwo wystraszyć.* Fabrycjusz był daleko, a Kwintus... Nikt nie wiedział, kiedy wróci.

Atia skinęła głową.

– Gdzie go zabierasz?

– Do Kapui, pani. Ten pies jest zbyt niebezpieczny, aby sprzedać go jako zwykłego niewolnika, ale słyszałem, że niedawno zmarł jakiś wysoko urodzony arystokrata w służbie republiki. Ceremonia pogrzebowa ma odbyć się za dwa dni, a syn mężczyzny chce uhonorować odejście ojca walką gladiatorów. Dwóch niewolników ma walczyć ze sobą na śmierć i życie. A ten, który przeżyje, zostanie stracony.

Atia zacisnęła usta.

– Rozumiem. Czy mój mąż straci na tej transakcji?

– Nie, pani. Za sprzedaż niewolnika na takie wydarzenie dostanę znacznie więcej, niż za niego zapłaciliśmy.

Po policzkach Aurelii spływały łzy bezsilności. Gorączkowo szukała rozwiązania. Co mogła zrobić?

Atia podeszła do niej, aby ją przytulić.

– Nie martw się, dziecko. On jest niewolnikiem. Na dodatek, jak widać, ma mordercze



skłonności.

– Nie... Hanno nie zrobiłby czegoś takiego.

Atia zmarszczyła brwi.

– Na własne oczy widziałaś dowody. Jest tylko jeden sposób, aby sprawdzić, czy Kartagińczyk jest winny, czy nie. Mamy go oddać na tortury i zobaczyć, co powie? Tego chcesz?

– Nie. – Zrezygnowana Aurelia pokręciła głową.

– W porządku. Sprawa zamknięta. – Atia była stanowcza. – Idę do łaźni. Dołączysz do mnie?

– Nie potrafiłabym... – szepnęła Aurelia.

– Jak chcesz. – Atia zwróciła się do Agesandrosa. – Lepiej już się zbierajcie. Do Kapui długa droga.

– Tak, pani. – Sycylińczyk uśmiechnął się przymilnie.

Usatysfakcjonowana Atia pokiwała głową i zniknęła za progiem.

Hanno był oszołomiony i zaskoczony przebiegłością Sycylińczyka. Zdał sobie sprawę, że Agesandros musiał planować wszystko od czasu, gdy Kwintus i Aurelia wyrwali go z jego szponów. Czekał tylko na odpowiedni moment.

Ale to nie wszystko.

– Zapomniałem wspomnieć... – Agesandros najwyraźniej rozkoszował się chwilą zemsty, przenosząc wzrok z Hanno na Aurelię i z powrotem. – Ten drugi niewolnik. To też *gugga*. Sądzę, że to przyjaciel tego śmiecia.

Hanno poczuł szarpnięcie w żołądku. To wydawało się zbyt nieprawdopodobne.

– Suniaton?

– Tak go wołają. – Agesandros wyszczerzył zęby.

– Nie! – zawołała Aurelia. – To okrutne.

– Moim zdaniem to całkiem niezły pomysł.

Nieoczekiwana ulga, że Suni żyje, szybko została zastąpiona wściekłością. Kontrolę nad ciałem Hanno przejęła oślepiająca furia. Rzucił się na Sycylińczyka. Chciał go dopaść za wszelką cenę. Po trzech krokach jednak pierścień na jego szyi pozbawił go tchu, gdyż wystarczyło, że niewolnik trzymający łańcuch szarpnął nim. Bezradny Hanno zazgrzytał zębami ze złości.

– Zapłacisz za to! Przeklinam cię po wsze czasy. Niech bogowie podziemi będą moimi świadkami.

Niewiele osób potrafiłoby zlekceważyć taką klątwę. Nawet Agesandros się wzdrygnął, ale szybko odzyskał nad sobą kontrolę.

– To ty wkrótce trafisz do Hadesu. Razem ze swoim przyjacielem. Nie ja.

Strzelił palcami na niewolników i ruszył do drzwi.

Hanno nie potrafił spojrzeć Aurelii w oczy. To wiązałoby się ze zbyt wielkim bólem. Ostatnią rzeczą, jaką usłyszał przed wyjściem z gospodarstwa, był odgłos jej szybkich kroków, a potem głos wzywający Elirę. Po chwili znalazł się w jasnym wiosennym słońcu. Skierowali się do Kapui, gdzie będzie musiał stoczyć walkę na śmierć i życie z Suniatonem.

Hanno wwiercał się wzrokiem w szerokie plecy Agesandrosa, prosząc wszystkich bogów o to, aby Sycylińczyka trafiła jakaś błyskawica i zabiła na miejscu. Oczywiście nic takiego się nie stało.

Kartagińczyk stracił resztki nadziei.

A jednak bogowie mieli wobec niego inne plany. Nie dotarli nawet do pierwszego skrzyżowania dróg, gdy usłyszeli głośnie krzyki i płacz dobiegające z gospodarstwa. Agesandros odwrócił się błyskawicznie. Otworzył szeroko oczy z przerażenia. Nie poświęcając Hanno jednego spojrzenia, rzucił się z powrotem ku zabudowaniom gospodarskim. Hanno odwracał się

jakby w zwolnionym tempie. Ujrzał języki dymu unoszące się nad jednym ze spichlerzy. *Aurelia!* – pomyślał radośnie. *To musiała być jej sprawka. Podłożyła ogień?*

Agesandros nie miał innego wyjścia, musiał wrócić do gospodarstwa. Aurelia dała Hanno trochę czasu. *Ale czy to wystarczy?* – zastanawiał się zdesperowany. Czuł ciężar rozpaczliwej rozrywającej mu duszę.

Dopiero po kilku godzinach udało się uporać z ogniem. Agesandros ryczał jak demon na niewolników, dbając, aby każdy z nich dał z siebie wszystko przy noszeniu wody i gaszeniu płonących magazynów zbożowych. Nawet Hanno został rozkuty i zagoniony do roboty. Niewolnicy biegali w tę i z powrotem – od studni do magazynów – wylewając zawartość wiader prosto na szalejące płomienie. Aurelia i Atia obserwowały wysiłki z bezpiecznej odległości. Obie były naprawdę przerażone. Co dziwne, nie zauważył, aby Elira brała udział w gaszeniu pożaru.

Sycylijczyk nie pozwolił nikomu odpocząć, zanim nie upewnił się, że ostatnie płomienie zostały zduszone. Hanno, choć niechętnie, doceniał Agesandrosa. Jak wszyscy walczący z pożarem był cały pokryty popiołem i sadzą. Wydawał się absolutnie wyczerpany. Kamienny fundament spichlerza ostatecznie zapobiegł rozprzestrzenieniu się ognia, ale poważniejszych strat w innych zabudowaniach udało się uniknąć tylko dzięki temu, że Agesandros potrafił wycisnąć z niewolników siódme poty.

Gdy skończyli dogaszać zgliszcza, dawno minęło popołudnie. Nie było już mowy, żeby zdążyli do Kapui przez zmierzchem. Hanno mógł odetchnąć z ulgą, bo Sycylijczyk był już tak zmęczony, że nie miał nawet siły otworzyć do niego ust. Niemniej wkrótce znów polecił założyć mu kajdany, a potem zamknąć w małej izbie tuż obok pomieszczenia, w którym sam spał. Izba nie miała okna, dlatego Hanno osunął się na podłogę w kompletnych ciemnościach i zamknął oczy. Czuł nieludzkie pragnienie, a w brzuchu burczało mu z głodu, jakby ktoś zaszył tam dzikie zwierzę. Nie miał wątpliwości, że nie dostanie ani wody, ani jedzenia. Musiał spróbować zasnąć i mieć nadzieję, że Aurelia znów wpadnie na jakiś świetny pomysł.

Mijały godziny. Hanno zasypiał na krótko, po czym budził się, bo chłód i niewygodne kajdany bardzo mu uwierały. Zostało mu tylko dobrodziejstwo snów. Przemierzał w nich ulice Kartaginy. Był z braćmi, Sapho i Bostarem, sparującymi z mieczami. Widział posłańca Hannibala przemykającego nocą do bramy ich domu. Łowił ryby z Suniatonem. Potem był sztorm. Targ niewolników i ta tak bardzo nieprawdopodobna przyjaźń łącząca go z Kwintusem i Aurelią. Śnił o krwawej wojnie Kartaginy z Rzymem. Dwóch gladiatorów walczyło przed wiwatującym tłumem. Ostatnie obrazy były przerażająco brutalne. Hanno obudził się nagle, mokry od potu.

Boleśnie uzmysłowił sobie swoją przytłaczającą samotność. Tyle czasu marzył o tym, aby odnaleźć Suniatona... I oto jak los z niego zakpił. Umrą tego samego dnia. Ku uciesze tłumu. Uświetniając ceremonię pogrzebową jakiegoś ważnego rzymskiego urzędnika. Nie wiedział, czy czuje większą frustrację, czy gniew. Samotny modlił się w ciemności o to, aby Agesandros chciał zostać na walce. Gdy dostaną z Suniatonem broń do rąk, będą mogli spróbować swoich sił w samobójczym ataku na Sycylijczyka – zemścić się na nim, zanim zginą. To było mało prawdopodobne, ale Hanno rozpaczliwie uchwycił się tej myśli.

Po jakimś czasie z kolejnego krótkiego snu wyrwał go odgłos klucza wkładanego do zamka w drzwiach. *Do świtu jeszcze trochę brakuje?* Hanno wycofał się w najdalszy kąt pomieszczenia, unosząc ręce, żeby osłonić się przed światłem, które go oślepiło. Zaskoczony zobaczył, że odwiedzającą go osobą jest Kwintus, osłonięty ciężkim płaszczem. W jednej ręce ścisnął pęk kluczy, a w drugiej niewielką lampę oliwną z brązu. Z pasa przełożonego przez prawe ramię zwisał schowany w pochwie gladius.

– Co ty tu robisz? – zapytał oszołomiony Hanno.

– Pomagam przyjacielowi – odparł Kwintus, jakby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Postawił lampę na podłodze i próbował znaleźć odpowiedni klucz do kajdan. Pierwszy nie pasował, dobry okazał się drugi. Następnie młody Rzymianin otworzył żelazną obręcz na szyi Hanno. W mroku błysnęły białe zęby uśmiechającego się Kwintusa.

– Chodźmy...

Hanno z trudem powstrzymał się, aby nie krzyknąć z radości.

– Jak się dowiedziałeś?

Kwintus uśmiechnął się krzywo.

– Możesz podziękować Aurelii. Gdy Agesandros wyprowadził cię z domu, natychmiast wysłała do mnie Elirę. A potem podpałiła spichlerz.

Hanno nadal był lekko dezorientowany.

– A klucze? Nie było czasu, żeby zrobić kopie.

– Są oryginalne – odparł Kwintus. Po chwili rozwiał wątpliwości Hanno. – Pochwaliłem Agesandrosa za to, że świetnie spisał się przy pożarze i dałem mu dzban najlepszego wina z piwniczki ojca. Głupiec był zachwycony. Nie wiedział jednak, że zmieszałem je z taką ilością *papaverum*, że wystarczyłoby do uspienia słonia. Potem po prostu zaczekałem, aż się upije i zaśnie. No i zabrałem mu klucze.

– Jesteś genialny. Tak samo jak Aurelia. – Hanno złapał Kwintusa za ramię. – Dziękuję. Po raz drugi ratujecie mi życie.

Kwintus pokiwał głową.

– Wiedziałem, że Agesandros zmyślił tę całą historię o tym, że planujesz nas zabić. Gdybyś chciał to zrobić, nie wróciłbyś po mnie wtedy przy chacie. Wiem też, że pomógłbyś mi, gdybyś był na moim miejscu. – Ruszył w kierunku drzwi. – A teraz musimy się stąd wynieść. Niewiele czasu zostało do świtu. Aurelia czeka przy zagrodzie dla zwierząt. Karmi psy, aby nie zaczęły szczeleć, ale nie może zostać tam zbyt długo sama. Prosiła, bym ci powiedział, że będziesz w jej modlitwach. – Kwintus postanowił nie wspominać o tym, ile łez przy tym wylała jego siostra. *Po co? To zadurzenie jest zupełnie nierealną fantazją.*

Hanno posmutniał na myśl, że nie zobaczy Aurelii. Nieświadom tego, co Kwintus myśli o sympatii, jaką darzyła go Aurelia, wyszedł za nim na zewnątrz. Gospodarstwo spowijała całkowita cisza, jeśli nie liczyć dźwięków chrapania Agesandrosa. Po stu krokach zarysy zabudowań znikły. Kierowali się wzdłuż pasa drzew cyprysowych, wysokich i groźnych w ciemnościach. Ich gałęzie delikatnie skrzypiały na lekkim wietrze. Jasny, wąski sierp księżyca wisiał nisko na niebie, przywołując u Hanno melancholijne myśli o bogini Tanit i domu. A to z kolei sprawiło, że zaczął myśleć o Suniatonie. O ogromna ulga, jaka go ogarnęła, gdy pojawił się Kwintus, powoli usuwała się w cień. On może i cieszy się wolnością, ale jego przyjaciel nie.

Gdy weszli w głęboki mrok pod drzewami, Kwintus się zatrzymał. Zdjął pas z ramienia i podał Hanno gladius.

– Będziesz tego potrzebował. – Potem dał mu swój gruby, wełniany płaszcz i skórzaną torbę. Hanno podziękował mu cicho. – W środku znajdziesz jedzenie na kilka dni i dwadzieścia pięć didrachm. Kieruj się na wybrzeże i spróbuj dotrzeć do Syrakuz. Powinieneś znaleźć tam jakiś statek handlowy, który zabierze cię do Kartaginy.

– Nigdzie nie popłynę bez Suniatona.

– Zwariowałeś? – syknął Kwintus. Spoglądał na Kartagińczyka z dziwnym wyrazem twarzy. – Nawet nie wiesz, gdzie go trzymają.

– Znajdę go – odparł Hanno beznamiętnie.

– A potem zginiesz.

– Czy mógłbyś zostawić Gajusza, gdybyś był na moim miejscu?

– Oczywiście, że nie.

– Sam widzisz...

– Uparty kartagiński osioł! Czy ty nie rozumiesz? – Kwintus się skrzywił. – Jeśli zdecydujesz się dotrzeć sam do Kapui, to będzie równoznaczne z popełnieniem samobójstwa. Nie mogę ci na to pozwolić. Nie po tym wszystkim, co zrobiłem, żeby cię uwolnić. – Przerwał na chwilę i się zamyślił. – Trafisz do szałasu pasterza, gdzie walczyliśmy z bandytami?

Hanno wbił w Kwintusa pytające spojrzenie.

– Myślę, że tak.

– To idź tam i poczekaj na mnie. Może uda mi się dowiedzieć, gdzie znajduje się twój towarzysz.

Do Hanno wreszcie dotarło, na co Kwintus się dla niego decyduje.

– Nie musisz tego robić...

– Wiem. – Kwintus spojrzał na niego poważnie. – Ale jesteś moim przyjacielem.

– Dziękuję. Jeśli kiedykolwiek będę miał okazję spłacić ci ten dług, zrobię to bez wahania. Masz moje słowo. – Hanno poczuł dławiącą kulę w gardle.

– Prośmy bogów, żebyś nigdy nie musiał spełniać tej obietnicy. – Kwintus popchnął go delikatnie, kierując ku wzgórzom. – Idź już.

Hanno zniknął w szarości nocy. Po raz pierwszy od opuszczenia Kartaginy czuł w sercu tak wielką lekkość.

Nie minęły dwie godziny po wschodzie słońca, gdy bez problemów dotarł do chatki. Podczas wspinaczki rozmyślał o tym, że po raz drugi udało mu się uciec przed Agesandrosem. Zawdzięczał to tylko Kwintusowi i Aurelii. Po raz kolejny przyznawał w duchu, że Rzymianie potrafili być zdolni do okazywania wielkiej życzliwości. Trudno mu było zatem uznać, że są tylko podstępными potworami, jak zwykł mawiać jego ojciec. Niemniej wystarczyła chwila, a przypomniał sobie Flakkusa, jego opowieść o tym, jakie warunki postawił Kartaginie Rzym, i aroganckie podejście misji dyplomatycznej wysłanej do Kartaginy w celu wyjaśnienia oblężenia Saguntum. Nawet łagodny Martialis nie lubił Kartagińczyków i często mawiał: „Typowe guggasy”.

Z drugiej strony pocieszające było to, że inny Rzymianin, Kwintus, właśnie w tej chwili próbował uwolnić Suniatona, Kartagińczyka skazanego na śmierć. Ta gonitwa myśli nie pomagała mu, bo w miarę jak mijały kolejne godziny, czuł coraz większą ochotę ruszenia do Kapui, nie oglądając się na nikogo i nie zważając na nic. Powstrzymywała go jedynie obietnica złożona Kwintusowi. Zajął się naprawianiem chatynki. Od czasu tamtego feralnego wydarzenia nikt przy niej nic nie zrobił. Najpierw zebrał wszystkie kawałki drewna, które nadawały się do ponownego wykorzystania. Potem, posługując się starymi, ale wciąż nadającymi się do użytku narzędziami, które znalazł, docinał i dopasowywał odzyskane kawałki drewna. Nigdy nie zajmował się stolarstwem, ale praca przy tej konstrukcji nie wymagała wielkiego talentu. Musiał tylko przyjrzeć się nieuszkodzonym ścianom i skopiować je, odtwarzając ułożenie drewnianych klocków. Praca nie była ciężka, a przyniosła mu sporą satysfakcję. Gdy słońce zaczęło chylić się ku horyzontowi, mógł podziwiać gotowe dzieło.

Wraz z zapadającym zmierzchem wróciły do niego niepokojące myśli. Nie mógł ignorować faktu, że Kwintus się nie pojawił. Czy to oznaczało, że nie odnalazł Suniatona? Nie miał pojęcia. Przez chwilę zastanawiał się, czy ma jakieś inne możliwości działania. Stwierdził, że powrót do gospodarstwa jest zbyt niebezpieczny. Agesandros mógł rozpocząć już jego poszukiwania. Nie było też sensu ruszać do Kapui. Nie znał tam nikogo, a jeśli nie porozmawia z Kwintusem, nie będzie wiedział, czy od rana sytuacja uległa zmianie. Jedyнным rozsądnym wyjściem było pozostanie na miejscu. Uspokoiwszy się nieco, rozpałił ognisko w miejscu

otoczonym kamiennym pierścieniem, a potem pochłoniął oliwki, ser i chleb, które znalazł w torbie od Kwintusa.

Opatulony w płaszcz Rzymianina wpatrywał się w żółtopomarańczowe płomienie, wracając myślami do bliskich, których kochał najbardziej na świecie: ojca, Sapho i Bostara oraz Suniatona. Zastanawiał się nad dodaniem do tej listy dwóch osób, Kwintusa i Aurelii. Czy kiedykolwiek zobaczy jeszcze kogoś z nich? Smutek, towarzysz nieodstępujący go od czasu tamtego strasznego sztormu, ogarniał Hanno wielkimi falami. Prawdopodobnie nigdy nie będzie miał szansy spotkać się z braćmi i ojcem. Zakładał, że towarzyszyli już Hannibalowi w Iberii i codziennie ryzykowali życie. Chociaż odnalezienie ich było jego największym marzeniem, zdawał sobie sprawę, że w czasie zawieruchy wojennej było to praktycznie niemożliwe. Zdziwiony uświadomił sobie, że ma większe szanse dotrzeć do Suniatona. Jeśli dzięki jakiemuś niesamowitemu zrządzeniu losu to się uda, opuści te ziemie i już nigdy więcej nie zobaczy Kwintusa ani Aurelii. Ta myśl sprawiła mu jeszcze większy ból. Mógł zatem marzyć o spotkaniu wszystkich bliskich mu ludzi tylko w innym świecie. Ta przykra konstatacja była ostatnią świadomą myślą, zanim zmorzył go sen.

Obudził się o świcie w lepszym nastroju. Miał wiele powodów, aby czuć wdzięczność. Przeszedł tak dużo i nie był już niewolnikiem. Ponadto Kwintus miał większą szansę uwolnienia Suniatona niż on. Jeśli misja Rzymianina zakończy się sukcesem, będą mieli duże szanse na dotarcie do najbliższego portu i znalezienie statku, który zabierze ich do Kartaginy. *Nigdy nie trać nadziei. Bez niej życie traci sens.*

Cały poranek spędził na ćwiczeniach z gladiusem i wypatrywanie ruchu na stokach poniżej szalasu. Było już prawie południe, gdy dostrzegł samotną postać na koniu. Na ten widok poczuł mocniejsze bicie serca. Długo nie poznawał, kim jest ów gość. Wycofał się w cień kępy jałowca pięćdziesiąt kroków od chatki. Czekał z zapartym tchem, aż jeździec podjedzie bliżej. Po szerokich barkach wnioskował, że to mężczyzna. Nie widział żadnych psów, co bardzo go ucieszyło. To bowiem oznaczało, że raczej nie jest to ktoś wysłany, aby go odnaleźć.

Wreszcie rozpoznał Kwintusa. Z rozczarowaniem przyjął jednak to, że nie było z nim Suniatona. Gdy jeździec znalazł się wystarczająco blisko, Hanno wyszedł z ukrycia.

Kwintus uniósł rękę w zdawkowym pozdrowieniu.

– Co się stało? Dowiedziałeś się czegoś o Suniatonie?

Kwintus skrzywił usta w przeproszającym grymasie.

– Żyje, ale dwa dni temu podczas treningu został ranny. Dobra wiadomość jest taka, że nie weźmie udziału w *munus*. – Kwintus, widząc zaniepokojone spojrzenie Hanno, pospieszył z wyjaśnieniami. – To tylko powierzchowna rana. Myślę, że za miesiąc będzie zdrow.

Hanno zamknął oczy, oddychając z ulgą. *Suni żyje!*

– Więc syn tamtego urzędnika go nie sprzedał?

– Nie wyglądało na to, żeby przejmował się tym, czy będzie walczył z tobą, czy z kimkolwiek innym – powiedział Kwintus, potrząsając głową. – Niemniej, jak się domyślasz, nie chciał go też sprzedać. Głupio zrobiłem, bo pokazałem mu, jak bardzo mi zależy. Ten kutas kazał mi wrócić, gdy Suniaton wyzdrowieje, żebym mógł w pełni docenić jego umiejętności. Powiedział: „To pokaże jego prawdziwą wartość”. Na twoim miejscu nie liczyłbym jednak na sukces w tych negocjacjach. Gość uważa się za wielkiego eksperta od gladiatorów. Widziałem kilkunastu niewolników trenujących u niego na podwórzu. Przykro mi.

W tej chwili Hanno poczuł, że traci nadzieję, którą żył jeszcze tak niedawno.

Kwintus zerknął niepewnie na stok.

– Myślę, że powinieneś ruszać.

Hanno spojrział na niego pytająco.

– Gdy Agesandros odkrył twoje zniknięcie, wściekł się nie na żarty. Ten arogancki skurczybyk nie przyjął do wiadomości, że uwolniłem cię rozmyślnie. Powiedział, że *manumissio* może potwierdzić tylko mój ojciec. Oczywiście matka się z nim zgodziła. Jest na mnie zła – dodał po chwili, markotniejąc.

– Ale twój ojciec wróci pewnie dopiero za kilka miesięcy.

– No właśnie. – Kwintus skinął głową. – W ten sposób stałeś się uciekinierem, a Agesandros dobrze zna się na polowaniu *na nich*. Powiedziałem mu, że kierujesz się w stronę Kapui i myślę, że mi uwierzył. Wyprawił w tamtym kierunku ludzi. – Mrugnął do Hanno. – Na szczęście Aurelia wysłała Elirę z twoją starą tuniką w górę rzeki. Miała ruszyć potem w wodzie pod prąd, żeby jej śladów nie dało się połączyć z twoimi. Zostawiła koszulę na brzegu. To powinno oszukać psy.

– Twoja siostra jest niesamowita – odezwał się Hanno. Naprawdę był pod wielkim wrażeniem jej inteligencji.

Kwintus pozwolił sobie na zdawkowy uśmiech.

– Najlepiej by było, żebyś nie czekał dłużej. Omiń nasze gospodarstwo szerokim łukiem, aby jutro rano dotrzeć do Kapui. Agesandros pewnie wróci do tego czasu i rozpocznie poszukiwania w innych kierunkach. A tobie może się uda znaleźć jakąś łódź, żeby dostać się na wybrzeże.

Hanno poczuł ciężar formujący się w jego żołądku.

– Nie mogę zostawić Suniatona – mruknął. – Jest tak blisko.

– A jednocześnie tak daleko – odparł szorstko Kwintus. – Równie dobrze mógłby być teraz w Hadesie, bo i tak go nie wydostaniesz.

– Może masz rację, ale... – Hanno nie zamierzał dać za wygraną. – Powiedziałeś przecież, że syn tego urzędnika obiecał, że wrócicie do rozmowy za kilka tygodni.

Kwintus westchnął ciężko. Nie wyglądał na zdziwionego uporem przyjaciela.

– W takim razie zostań tu. Będę przynosił ci jedzenie co dwa, trzy dni. Postaram się mieć oko na Suniatona. Może znajdziemy jakiś sposób, żeby go wydostać.

Hanno poczuł ulgę. Miał ochotę krzyczeć z radości.

Kwintus zawrócił konia i pochylił się ku Hanno, spoglądając na niego ostrzegawczo.

– Bądź ostrożny. Nigdy nie wiadomo, czy nie pojawi się tu Agesandros.

Falanga Bostara maszerowała za jednostką Sapho i ojca, więc posłaniec dotarł do niego pierwszy.

– Jest tu kapitan Bostar? – wykrzyknął głośno pytanie.

– Bywaj tu! O co chodzi?

– Hannibal chce z tobą rozmawiać, panie. Teraz – oznajmił, łatwo dopasowując się do tempa marszu Libijczyków.

Bostar przyglądał się przez chwilę roslemu *scutarius*, który musiał należeć do gwardii generała.

– Wiesz, o co chodzi?

– Nie, panie.

– Czy chce widzieć też mojego ojca lub brata?

– Tylko ciebie, panie – odparł beznamiętnie Iberyjczyk. – Jaką odpowiedź mam zanieść wodzowi? Czeka na ciebie poza kolumną jakąś milę z tyłu.

– Przekaż, że zaraz będę. – Po chwili Bostar zmienił zdanie. – Czeka! Pójdę z tobą.

– Bardzo dobrze, panie. – *Scutarius* wydawał się zadowolony.

Bostar przekazał kilka uwag swojemu zastępcy, który jechał tuż obok, po czym zawrócił konia i opuścił kolumnę. Niektórzy żołnierze podnosili wzrok, gdy ich mijał, reagując jak zwykle

na jego widok uśmiechem. Bostar kiwał głową, pozdrawiając ich kolejno. Cieszył się, że wysiłek poświęcony na zdobycie zaufania żołnierzy przynosi efekty. Wielkie, okrągłe tarcze Libijczyków podskakiwały na ich plecach, a krótkie włócznie tworzyły długi las. Młodszy oficerowie zostali rozlokowani co pięćdziesiąt kroków, a obok każdego z nich kroczyli chorążowie ze sztandarami. Drzewce sztandarów zdobiły czerwone wstążki i dyski symbolizujące słońce oraz półksiężyc.

Bostar lustrował długą, wijącą się kolumnę, maszerującą z południowego zachodu.

– Spójrz tylko – zwrócił się do *scutarius*, który biegł obok jego konia. – Robi wrażenie, prawda?

– Owszem, panie. – Mężczyzna odchrząknął i splunął. – Ta kolumna wyglądałaby o wiele lepiej z czterdziestoma tysiącami moich rodaków.

– Cóż, nie wszyscy są tak lojalni, jak ty i twoi towarzysze – odparł Bostar. W głębi duszy smucił się jednak, że po zaledwie trzech miesiącach kampanii armia Hannibala została uszczuplona o ponad jedną trzecią. W znacznej części wynikało to ze strat poniesionych w czasie potyczek, a także z konieczności wydzielenia części sił na potrzeby lokalnych garnizonów na trasie przemarszu armii z Iberii. Ponadto Hannibal sam odesłał mnóstwo ludzi – może nawet z dziesięć tysięcy – zanim ci zdążyli zdezerterować. Rozmawianie na ten temat ze zwykłymi żołnierzami mogło skutkować obniżeniem morale, dlatego Bostar ugryzł się w język. Lepiej być ostrożnym. Uważał też, że nie ma powodów do niepokoju. Cieszył go widok tak potężnej armii kartagińskiej, która wreszcie mogła przejąć inicjatywę i rozpocząć szeroko zakrojone działania przeciwko Rzymowi. Po raz pierwszy od paru pokoleń.

Gdy minęli ostatnich włóczników, znaleźli się w luce przed kolejną jednostką, która składała się z długich szeregów twardych, wytatuowanych i bosych libijskich harcowników w czerwonych kaftanach z kozłej skóry. Ta lekka piechota była uzbrojona w małe okrągłe tarcze, a każdy wojownik niósł kilka oszczepów. Za nimi na szlaku spotkali balearskich procarzy, dzikich, prawie nagich mieszkańców archipelagu wysp na Morzu Śródziemnym, których umiejętności w posługiwaniu się procami obrosły już legendami. Bostar uważał, że ci ludzie nie budzili zaufania, ale nie mógł zaprzeczyć, że procarze byli jednym z największych atutów armii Hannibala.

Dalej maszerowały oddziały lekkobroջnej piechoty iberyjskiej zwanej *caetrati*, uzbrojonej w falcaty, oszczepy i okrągłe skórzane puklerze. Wreszcie za nimi Bostar dojrzał grupę oficerów otaczających Hannibala. Wokół nich kręcili się jeźdźcy z gwardii wodza, lokalna kawaleria w ozdobionych grzywami hełmach z brązu i w czerwonych płaszczach. Jeszcze dalej można było dostrzec pierwsze szeregi ciężkobroջnej piechoty celtyberyjskiej, czyli *scutarii*.

Bostar nie mógł z tego miejsca zobaczyć jednostek, które zamykały pochód armii, gdyż ostatnie oddziały znajdowały się już za taborem. Na końcu szły tysiące obładowanych pakunkami mułów, prowadzonych przez zwykłych chłopów z Iberii. Wiedział jednak, że straż tylną wzmacnia trzydzieści siedem słoń i kolejne falangi Celtyberów. Bostar uznał, że żołnierze z tych jednostek chyba najbardziej zwracają na siebie uwagę z racji czarnych peleryn, brązowych hełmów z karmazynowymi czubami i nagolenników wykonanych ze sprasowanych ścięgien. Ich tarcze były albo okrągłe, jak te *caetrati*, albo miały kształt płaskich, wydłużonych owali. Żołnierze nosili proste, krótkie miecze i ciężkie żelazne włócznie. Wreszcie nie można zapomnieć o mobilnych, szybkich jednostkach jazdy, które strzegły boków kolumny. Iberyjska i numidyjska kawaleria – najlepsza na świecie jazda, której nikt nie potrafił się oprzeć – stanowiła tajną broń Hannibala.

Szybko znaleźli się w pobliżu grupki otaczającej generała. *Scutarius* podał hasło na wezwanie straży tworzącej ochronny kordon. Bostar zsiadł z konia, przekazując wodze Iberyjczykowi. Podchodząc, czuł na sobie spojrzenie Hannibala. Przyspieszył kroku.

Zasalutował.

– Chciałeś mnie widzieć, generale?

– Tak. Nie spodziewałem się ciebie tak szybko. – Hannibal uśmiechnął się łagodnie.

– Chciałem jak najprędzej poznać przyczynę twego wezwania, panie. – Bostar nie mógł nic poradzić na to, że i na jego twarzy pojawił się uśmiech.

Hannibal zerknął na otaczających go oficerów.

– Gorliwiec. Jak młody lew, nie?

Bostar poczerwieniał, słysząc, że uwaga dowódcy wywołała śmiech. Jednocześnie czuł się wyróżniony tym mianem, bo generała i jego braci – synów Hamilkara Barkasa – powszechnie nazywano lwami.

Hannibal od razu zauważył zmianę nastroju młodego oficera.

– Nie zaperzaj się tak, bo nie chciałem cię obrazić. Żołnierze tacy jak ty tworzą kręgosłup tej armii. W odróżnieniu od tysięcy tych, których musiałem odesłać po naszej ostatniej kampanii. Bojaźliwe chucherka.

– Dziękuję, panie. – Bostar kiwnął głową z wdzięcznością.

– Trudno uwierzyć, że zaledwie kilka dni temu wkroczyliśmy do Galii, nieprawdaż? Mam wrażenie, że dawno już nie wyciągaliśmy mieczy z pochew. – Hannibal spojrzał na południowy zachód, skąd przybyła armia.

– Tempo, w jakim pokonaliśmy ostatni odcinek, robi wrażenie.

Bostar z przyjemnością przyjął fakt, że po długiej przeprawie przez suche i jałowe tereny na północ od rzeki Iberus armia znalazła się na żyznych i zielonych równinach południowej Galii. Teraz przed nimi rozciągały się aż po horyzont pola uprawne. Co chwila mijali duże wioski i pozdrawiające ich grupy przyjaźnie nastawionych tubylców.

Hannibal skinął ponuro głową.

– Ja też będę wspominał tę ciężką przeprawę przez górskie przełęcze. Strata dziesięciu tysięcy ludzi w ciągu trzech miesięcy nie wyszła nam na dobre. Ale nie dało się tego uniknąć. Powodzenie tego manewru zależało od szybkości i ta taktyka się sprawdziła.

Mago spojrzał na brata skwaszonym wzrokiem.

– Nie zapominaj o tym, że tyle samo żołnierzy, w tym także niezwykle potrzebną nam jazdę, trzeba było zostawić, aby spacyfikować te wściekłe psy.

– Ci żołnierze będą bronić tych terenów przed Rzymianami – odrzekł Hannibal. – Po pokonaniu kłopotliwych tubylców powinni poradzić sobie z legionem albo nawet dwoma. – Przechesał palcami brodę i spojrzał na Bostara. – Najgorsze było to plemię, z którym i wy mieliście kłopoty. Te skurczybyki wyróżniłyby moje poselstwo, gdyby nie twój szalony brat.

Bostar ukrył rozbawienie wywołane tym, jak Hannibal określił Sapho.

– Ausetani, panie.

– Tak, ci głupcy nie zamierzali pozwolić naszej armii przemaszerować w spokoju przez ich terytorium. To było niemądre. Z drugiej strony, co by nie mówić, również fanatycznie odważne. Koniec końców żaden z nich nie zhańbił się ucieczką – stwierdził Hannibal.

– Walczyli dzielnie, panie – zgodził się Bostar. – Szczególnie ten, którego Sapho wcześniej pokonał w pojedynku. Naliczyłem dziesięciu naszych żołnierzy wokół jego ciała. A jego rana po walce z Sapho nie zdążyła się nawet zagoić.

– Tak. Malchus pokazywał mi go później. To niewiarygodne, że twój brat zdołał pokonać go w walce. Góra mięśni. Wielki jak sam Herakles.

– To prawda, panie – zgodził się Bostar gorliwie. Wciąż miał przed oczyma żywe obrazy z tej walki. – Tego dnia bogowie pomagali Sapho.

– Owszem. Jednak przy tej całej odwadze twój brat ma skłonność do brawurowych, nie



zawsze rozsądnych zachowań. Najpierw działa, a potem myśli.

– Jeśli tak twierdzisz, panie... – Bostar zgadzał się z oceną generała, ale czuł, że nie powinien mówić tego otwarcie.

Hannibal spojrział na niego przebiegle.

– Twoja lojalność jest godna pochwały, synu. Ale nie myśl, że nie słyszałem o tym, że nie chciał wycofać się podczas tamtego szturm na Saguntum. Gdyby nie twoja postawa, setki ludzi niepotrzebnie straciłyby życie. Dobrze mówię?

Bostar wytrzymał spojrzenie generała.

– To możliwe, panie – odrzekł niechętnie.

– I dlatego tu jesteś. Ponieważ ty najpierw myślisz, a potem zaczynasz działać. – Hannibal powiódł dłonią po okolicy, wskazując pola pszenicy i jęczmienia, które dojrzały już do zbiorów. – Na razie wszystko idzie po naszej myśli. Możemy kupić tyle ziarna, ile nam potrzeba, a resztę zbierzemy po drodze. Jednak nie zawsze tak będzie. Pogoda się pogorszy, a prędzej czy później natkniemy się na plemiona, które znów będą chciały z nami walczyć.

– Rozumiem, panie – odrzekł Bostar rezolutnie.

– Możemy się tylko modlić, aby nie natknąć się na Rzymian, zanim nie dotrzemy do Galii Przedalpejskiej. Mam nadzieję, że te sukinsyny nadal nie mają pojęcia o naszych planach. Dobra wiadomość jest taka, że moi zwiadowcy, którzy właśnie wrócili z rzeki Rodan, nie dostrzegli żadnych śladów Rzymian.

Mago wyszczerzył zęby w wilczym grymasie.

– A trudno nie zauważyć śladów na szlaku legionów, więc mamy o jedno zmartwienie mniej.

– Słyszałeś o rzece, którą Rzymianie zwą Rhodanus? – spytał Hannibal.

– Słyszałem, panie. To duża rzeka u podnóża Alp.

– Tak. Ogólnie rzecz biorąc, większość okolicznych plemion jest do nas dobrze nastawiona. Oczywiście jak zawsze zdarza się jakiś wyjątek. W tym przypadku chodzi o Wolków, którzy kontrolują ziemie po obu brzegach tej rzeki.

– Czy będą próbowali nas zaatakować, panie?

– Na to wygląda – odparł ponuro Hannibal.

– W takim razie przeprawa jest zagrożona i możemy ponieść duże straty. Zwłaszcza w konnicy i słońiach, panie. Dobrze rozumiuję?

– Zgadza się. – Hannibal zmarszczył brwi. – Dlatego, podczas gdy większość armii zacznie przygotowywać się do przeprawy, ty poprowadzisz oddział w górę rzeki i zajmiesz pozycję w jej górnym biegu. Przeprawisz się w nocy i niepostrzeżenie podejdziesz do obozu Wolków. O świcie twój sygnał będzie dla mnie znakiem, że mogę spuszczać łodzie na wodę. – Uderzył pięścią w otwartą dłoń. – Zgnieciemy ich jak chrząszcza pod podszwą. Jak podoba ci się taki plan?

Bostar czuł szybsze bicie serca.

– Możesz na mnie liczyć, wodzu.

– To właśnie chciałem usłyszeć. – Hannibal ścisnął jego ramię. – Później otrzymasz dalsze instrukcje. Teraz możesz wrócić do swoich ludzi.

Bostar zrozumiał, że rozmowa dobiegła końca.

– Tak jest! Dziękuję, panie.

Hannibal zawołał jeszcze do Bostara, gdy ten oddalił się już na dziesięć kroków.

– Tylko ani słowa nikomu o tych rozkazach.

– Tak jest!

Tę część rozkazu przyjął z ulgą, bo oznaczała, że Sapho nie zacznie swojego tańca

zazdrości, narzekając, że nie został wybrany do wykonania tej misji. Już po chwili jednak Bostar zaczął się martwić, jak zareaguje brat, kiedy w końcu się o niej dowie.

## Rozdział XIII



Wkrótce Hanno popadł w rutynę życia w chatynce, która po śmierci pasterza najwyraźniej miała pozostać pusta. Kwintus twierdził, że owce Fabrycjusza wypasano teraz gdzie indziej, a w związku z tym szansa ma to, że w najbliższym czasie pojawi się tu ktoś obcy, była stosunkowo niewielka. Niemniej Hanno wolał zachowywać czujność. Chociaż najbardziej martwił się Agesandrosem, nie chciał, żeby ktokolwiek odkrył jego kryjówkę. Do tej pory to się udawało, bo jedynymi gośćmi w owczarni byli Kwintus i – rzadziej – Aurelia.

Kwintus nie wiedział, co dzieje się z Suniatonem. Nie chciał pokazać, jak bardzo zależy mu na tym niewolniku, dlatego nie zamierzał wracać do syna urzędnika wcześniej, niż się umówili. Pewnego dnia Kwintus przybył z informacją, że Suniaton wrócił do zdrowia. Hanno ucieszył się, gdy to usłyszał, ale Kwintus miał też złe wiadomości.

– Ta szuja nadal nie chce go sprzedać. Mówi, że Suniaton jest zbyt obiecującym zawodnikiem. Zawołał za niego dwieście pięćdziesiąt didrachm. – Kwintus spojrzał na Hanno przepraszająco. – A ja nie mam takich pieniędzy. Gdyby ojciec był na miejscu, to co innego. Chociaż i tak nie jestem pewien, czy dałby mi je, nawet gdyby udało mi się z nim skontaktować.

– Nie możemy teraz rezygnować! Musi być inny sposób – zaperzył się Hanno.

– Moglibyśmy spróbować przekupić kogoś, kto pomógłby Suniatonowi w ucieczce... Tylko że ja po prostu nie wiem, z kim takie rzeczy załatwiać. – Twarz Kwintusa pojaśniała. – Mógłbym zapytać Gajusza. – Uniósł rękę, uspokajając zdenerwowanego jego słowami Hanno, który skoczył na równe nogi. – Przyjaźnię się z nim od czasu, gdy uczyliśmy się chodzić. Nawet jeśli nie pochwali tego, że odegrałem istotną rolę w twojej ucieczce, jestem pewien, że nikomu o tym nie powie. Kto wie, może zdecyduje się nam pomóc?

Hanno zmusił się, aby usiąść. Wyglądało na to, że Gajusz wiedział już o ostatnich wydarzeniach i udowodnił, iż jest człowiekiem godnym zaufania, gdyż nikt jeszcze nie szukał go w chacie pasterza. Co gorsza, chyba stał się teraz ostatnią nadzieją w planie uwolnienia Suniatona.

– Zatem musimy się modlić, żeby się zgodził.

– Zostaw to mnie – powiedział Kwintus, chociaż sam nie był pewien, jak Gajusz zareaguje na jego prośbę. Nie chcąc zasmucać Hanno, ukrył fakt, że już zdrowego Suniatona wysyłano do walki na arenie.

Każda chwila zwłoki mogła oznaczać śmiertelne niebezpieczeństwo.

Gdy Kwintusowi udało się wreszcie porozmawiać z Gajuszem i okazało się, że z dobrym rezultatem, Hanno nie posiadał się z radości. Tymczasem nadeszła jesień. Las zabarwił się

tysiącem kolorów. Znacznie spadła też temperatura, a Hanno budził się w nocy z zimna. Dlatego niezmiernie ucieszył się, gdy pewnego dnia Kwintus kazał mu spakować swoje rzeczy i przygotować się do opuszczenia chaty. Miał nadzieję, że już nigdy tu nie wróci.

– Jaki mamy plan? – spytał, gdy ruszyli w kierunku Kapui.

– Gajusz nie chciał mi nic wyjaśnić – odpowiedział Kwintus, unikając wzroku przyjaciela.

– Dlaczego? – Hanno się zaniepokoił. Czuł jak strach zaciska pazury na jego żołądku.

Kwintus jednak wzruszył tylko ramionami.

– Nie jestem pewien. Myślę, że chce ci to powiedzieć osobiście. – Widząc rozczarowanie na twarzy Hanno, dodał po chwili. – Dowiesz się przecież wszystkiego za kilka godzin.

– Wiem – odpowiedział Hanno, zmuszając się do uśmiechu. – Mam wobec was ogromny dług za to, co zrobiliście.

– Nie chodzi o długi... – odezwał się wielkodusznie Kwintus. – Człowiek stara się pomóc przyjacielowi, jeśli tylko może. Miejmy nadzieję, że pomysł Gajusza jest dobry i wszystko się uda.

Hanno skinął głową. Gdyby tak się nie stało, musiałby dokonać trudnego wyboru. Nie może bez końca kręcić się po tej okolicy.

Dotarli do Kapui o zmierzchu. Podróż minęła bez przygód, ale Hanno zadrżał, gdy na horyzoncie ujrzeli potężne mury miasta. Chciał pomóc Suniatonowi, chociaż to oznaczało, że sam narażał się na niebezpieczeństwo. Bramy do miasta pilnowali strażnicy, którzy mogli zadawać niewygodne pytania. Wyobrażał sobie ogłoszenia z jego opisem na murach domów. Hanno pamiętał, z jaką wytrzymałością ścigano zbiegłych niewolników w Kartaginie. Tutaj pewnie nie jest inaczej. Zatrzymał się.

Kwintus odwrócił się do niego zdziwiony.

– O co chodzi?

– Nie jestem tylko zbiegłym niewolnikiem. Co się stanie, jeśli ktoś rozpozna mnie jako Kartagińczyka?

Kwintus zaśmiał się krótko, ale szybko zamilkł, widząc, że Hanno naprawdę się martwi.

– Nie musisz się niepokoić – próbował go pocieszyć. – W mieście jest całe mnóstwo śniadych niewolników: Greków, Libijczyków, mieszkańców Judei. Nikt nie jest w stanie ich odróżnić. A poza Gajuszem nikt nie wie, co zrobiłeś. Nikogo to nie obchodzi. Zachowuj się na razie jak mój niewolnik. Większość ludzi w ogóle nie zwróci na ciebie uwagi, nie mówiąc już o tym, żeby cię zaczepiać. – Kwintus zsiadł z konia. – Chodź za mną. Opuść głowę i wyglądaj na pogodzonego ze swoim marnym losem. Nie patrz nikomu w oczy.

– Dobrze. – Hanno żałował, że nie ma broni. Czułby się pewniej, gdyby mógł się w razie potrzeby sam obronić.

Wszystko jednak poszło gładko. Strażnicy nawet na niego nie spojrzeli, gdy dreptał za Kwintusem. Podobnie wyglądała sytuacja na ulicach, które z powodu zapadającego zmierzchu szybko pustoszały. Ludzi bardziej interesowało to, żeby wrócić bezpiecznie do domów niż młody arystokrata i jego niewolnik. Gospodynie z koszami pełnymi produktów spożywczych spieszyły się do domów i nie marnowały czasu na plotki, wymieniając tylko między sobą półgłosem jakieś uwagi. Właściciele straganów pakowali niesprzedane produkty i ładowali wszystkie tobołki na muły. Wiele sklepów było właśnie zamykanych na noc.

Szybko dotarli do domu Martialisa. Głośnie pukanie Kwintusa od razu wywołało reakcję. W bramie pojawiła się uśmiechnięta twarz Gajusza. Wpuścił ich do środka, otwierając szeroko drzwi.

– Czekałem na ciebie. – Przez chwilę przyglądał się Hanno, ale nie odezwał się już ani

słowem.

Hanno znów poczuł się niepewnie. Kiwnął głową niezgrabnie, tłumacząc sobie, że Gajusz wie, co robi, i że chce mu pomóc. Po cóż innego by ich tu ściągał?

Jako że przybysze zwrócili na siebie uwagę kilku domowych niewolników, nie mógł teraz zasypywać go pytaniami. Jeden z nich minął go, aby przejąć od Kwintusa wodze i zająć się koniem. Gajusz objął serdecznie Kwintusa.

– Wejdźmy do środka. Ojciec nie może się doczekać. Rozkazał przygotować specjalnie na twoją cześć pieczone prosię. – Gajusz odwrócił głowę w stronę chłopca stajennego. – Zadbaj, żeby nakarmiono niewolnika mojego przyjaciela. Znajdź mu też jakieś miejsce do spania.

– Tak, panie.

Hanno trochę się uspokoił, gdy ujrzał, że Kwintus odwrócił się i mrugnął do niego porozumiewawczo. Próbował rozluźnić spięte mięśnie, gdy brama zamknęła się za młodymi Rzymianami. Czym prędzej ruszył za niewolnikiem, kierującym się za róg, w stronę stajni, które były oddzielone od willi mieszkalnej murem. Młody niewolnik był cichy i brzydki. Obaj zajęli się najpierw koniem Kwintusa. Napoili go i nakarmili w całkowitej ciszy, co bardzo odpowiadało Hanno. Później chłopiec stajenny zaprowadził go do kuchni, która bardzo przypominała kuchnię Juliusza. Było tam gorąco. Zobaczył podobny tłok i rozgardiasz, pełen metalicznych trzasków patelni i krzyków służby. Zapachy przygotowywanej wieprzowiny sprawiły, że Hanno poczuł pustkę w brzuchu i ślinkę spływającą mu do ust. Nie chciał przyciągać uwagi, dlatego znalazł jakieś miejsce w korytarzu, który prowadził do spiżarni. Usiadł tam i czekał cierpliwie.

Kilka chwil później chłopak pojawił się ponownie, niosąc dwa talerze, na których był chleb, pieczone mięsiwo i warzywa. Podsunął jeden z nich Hanno.

– Dziś jest twój szczęśliwy dzień. Ten prosiak wystarczyłby dla dwudziestu osób, więc pan nie zauważy, że jego niewolnicy też dostaną porcje.

– Dziękuję. – Hanno szybko chwycił talerz. Tak dobrego posiłku nie jadł od miesięcy.

Kiedy skończyli zjadać się mięsem, niewolnik spojrzął na Hanno, mrużąc oczy.

– Grasz w kości?

Zdenerwowany Hanno uznał, że za dużo by ryzykował, spoufalając się z nieznanym mu niewolnikiem.

– Nie – odpowiedział krótko.

Chłopak wyglądał na nieco rozczarowanego, ale nie skomentował jego odpowiedzi. Po chwili podniósł się i dał znak, by Hanno poszedł za nim.

– Chodź. Pokażę ci miejsce, gdzie możesz przenocować.

Hanno został zaprowadzony z powrotem do stajni. Chłopak pokazał mu cichy kącik przy drzwiach.

– Nie zostawiamy tu światła. Za duże ryzyko pożaru. – Jego przewodnik po domu Martialisa wskazał dłonią małą lampkę oliwną. – Zabiorę ją ze sobą.

– W porządku.

Niewolnik wzruszył tylko ramionami. Migoczący płomyk lampy oliwnej oddalał się od niego z każdym jego krokiem i w końcu w stajni zapanował niemal całkowity mrok. Nie przeszkadzało mu to. Bardziej martwił się tym, że zamiast spotkania z Suniatonem musiał spędzić te chwile w samotności. Po pewnym czasie cieszył się na każde uderzenie kopyta o ziemię czy stłumione rzenie koni, które stały się jego jedynymi towarzyszami w tej męczarni oczekiwania. W sianie co chwilę coś się poruszało. To musiały być węszące szczury. Uznał wydawane przez nie odgłosy za niewielką niedogodność w porównaniu ze świadomością wolno upływającego czasu.

Ku wielkiej irytacji Hanno wieczór ciągnął się całe eony. Wydawało mu się, że leży tak

już od tygodnia, modląc się o łaskę bogów, o wstawiennictwo w rozmowach z Gajuszem. Sfrustrowany przytłaczającą ciszą próbował się trochę przespać. Tylko że sen nie przychodził. Po jakimś czasie znów jego puls przyspieszył, bo do stajni zbliżyły się trzy osoby. Okazało się, że był to znany mu już chłopak stajenny i dwóch innych niewolników. Weszli do budynku, ale Hanno udawał, że śpi. Chociaż był przygnębiony, przekonał się, że czas *jednak płynął*. Świat nie zatrzymał się w miejscu. Hanno słuchał, jak niewolnicy wdrapują się niezdarnie po drabinie na piętro stajni. Z ich niezbornych ruchów i bełkotliwych głosów wywnioskował, że musieli coś wypić. Trzymana przez jednego z nich lampka zgasła niemal natychmiast i bardzo szybko do uszu Hanno zaczęło dobiegać ich pochrapywanie. Po chwili, która wydawała mu się wiekiem, Hanno wziął swoje rzeczy i ruszył ku drzwiom do kuchni, gdzie miał czekać na Kwintusa.

Gdy drzwi uchyliły się cicho do środka, Hanno dał się zaskoczyć.

– Kto idzie? – szepnął zdenerwowany.

– Sam Pluton przybył po ciebie – odpowiedział półgłosem Kwintus.

Hanno zdrzął. Nawet samo wymienienie imienia rzymskiego boga podziemi w tych okolicznościach mogło przynieść pecha.

Szybko wyrecytował kolejną modlitwę do Eszmuna, prosząc go o ochronę.

Zza pleców Kwintusa wyłonił się Gajusz z małą wiszącą latarnią w uniesionej dłoni. Obaj Rzymianie mieli na sobie ciemne płaszcze.

– Jak to zrobimy? – Hanno nie wytrzymał już tej niepewności.

– Chodźmy na zewnątrz. – Gajusz poprowadził ich do drzwi stajni. Uniósł blokującą je deskę, którą ostrożnie odłożył na ziemię. Chłodne powietrze owiało ich twarze, gdy szeroko otworzył skrzydła. Wychylił się nieco i rozejrzał po ulicy.

– Droga wolna.

Kwintus najpierw wypchnął Hanno, a sam zajął się zamykaniem drzwi.

– Dalej, Gajuszu. Czy wreszcie powiesz nam, co planujesz? – zapytał Kwintus.

Żołądek Hanno się zacisnął.

– Powiem – mruknął Gajusz – ale najpierw wyjaśnię coś twojemu niewolnikowi.

– On nie jest już niewolnikiem – obruszył się Kwintus. – Uwolniłem go.

– Obaj wiemy, że takie tłumaczenie nie jest warte funta kłaków.

Kwintus nie odpowiedział.

Hanno wstrzymał oddech. Gajusz był najwyraźniej ulepiony z innej gliny niż Kwintus. Kusilo go, by w tej chwili po prostu odejść, rozpląnąć się w mrokach nocy, ale uspokoił się, bo to oznaczałoby porzucenie wszelkiej nadziei na uwolnienie przyjaciela. Zacisnął zęby i czekał na słowa Gajusza.

– Kwintusie, gdy powiedziałaś mi, co uczyniłaś, przyjąłem to z niedowierzaniem. Oczywiście nie oponowałem, bo jesteś moim najlepszym i najstarszym przyjacielem. Jednak gdy poprosiłaś mnie, żebym pomógł ci uwolnić innego niewolnika, uznałem, że tego już za wiele i nie mogę milczeć.

– Gajuszu, ja... – Kwintus chciał mu przerwać. W półmroku trudno było dojrzeć coś w jego twarzy, jednak zakłopotania w tonie głosu nie dało się ukryć.

– Jednak zmieniłem zdanie, gdy dowiedziałem się, kto jest właścicielem niewolnika, którym się interesujecie. – Gajusz zamilkł na chwilę. – Ten urzędnik, który umarł... To był jeden z największych prześladowców oskijskiej arystokracji, jakiego kiedykolwiek znali mieszkańcy tego miasta. Ta kupa łajna, jego syn, nie jest o wiele lepszy. Wykradzenie mu... uwolnienie... jednego z jego niewolników to niewielki psikus w porównaniu z tym, jak chciałbym go potraktować.

Hanno westchnął z ulgą, pozwalając, aby długo wstrzymywane powietrze opuściło jego

płuca.

– Dziękuję, Gajuszu – szepnął Kwintus. W tej chwili nie zamierzał zastanawiać się nad motywami postępowania przyjaciela.

Gajusz wyciągnął ręce i pochylił się nieco, zmuszając Hanno i Kwintusa, żeby zrobili to samo, tworząc małe kółko.

– Spędziłem jakiś czas, wystając na ulicy w pobliżu domu tego bękarta. Nie udało mi się zdobyć zbyt wielu informacji, ale przynajmniej nauczyłem się rozpoznawać twarze przebywających tam ludzi. Potem jednak szczęście mi dopisało. Mniej więcej tydzień temu w człowieku wychodzącym z lupanaru w innej części miasta rozpoznałem zarządcę.

– No i co? – Kwintus nie bardzo rozumiał znaczenie tego odkrycia. – Trudno doszukiwać się w tym czegoś wyjątkowego.

– Tylko że gdy zapytałem zarządzającą burdelem kobietę, z kim się pieprzy, ta nabrała wody w usta. – W ciemności błysnęły białe zęby Gajusza. – Włożyłem jej do łapska kilka monet, które sprawiły, że zaczęła śpiewać. Całkiem ochoczo. Wygląda na to, że zarządca ma smaka na młodych chłopców.

– Obrzydliwy knur – mruknął Kwintus.

Ta uwaga sprawiła, że w głowie Hanno pojawił się obraz Hostusa. Zagorzały przeciwnik jego ojca był znany z podobnych upodobań.

– To faktycznie ohydne, ale czy takie zachowanie traktowane jest jak przestępstwo? W Kartaginie, niestety, nie.

– Na takie praktyki wielu patrzy z niechęcią, ale nie są one sprzeczne z prawem, które obowiązuje obywateli takich jak my – wytłumaczył Gajusz. – Niemniej zupełnie inaczej wygląda sprawa z niewolnikami. Wątpię, czy syn urzędnika ucieszyłby się, gdyby dowiedział się o zbrodniach zarządcy odpowiedzialnego za administrowanie domem i niewolnikami w jego nieruchomości. Co więcej, właścicielka lupanaru powiedziała, że ten człowiek czasami traci nad sobą kontrolę. Bywa gwałtowny. Wielokrotnie musiała interweniować, aby ratować swoich chłopców przed poważnymi obrażeniami.

– Co za bydlak! – Z głosu Kwintusa było obrzydzenie.

Hanno podziękował bogom, że on i Suniaton nie trafili do miejsca, w którym sami mogliby stać się ofiarami podobnego procederu.

– To znaczy, że go szantażujesz?

– Zasadniczo tak to właśnie wygląda – odpowiedział Gajusz. – Zgodził się podać środki nasenne niewolnikowi, który pilnuje drzwi, żeby dać szansę Suniatonowi. Oczywiście ten biedak pewnie zostanie stracony na krzyżu za to, że pozwolił uciec innemu niewolnikowi, ale akurat tym zarządca w ogóle się nie przejął. Myśli tylko o własnej skórze.

– A jeśli nie wywiąże się z obietnicy? – zastanawiał się głośno Kwintus. Jego słowa sprawiły, że Hanno znów poczuł ucisk w żołądku.

– Wtedy jego właściciel otrzyma anonimowy donos, w którym zostaną szczegółowo opisane jego bezceństwa, i dostanie adres burdelu, na wypadek gdyby chciał sprawdzić te rewelacje.

– Doskonale – zaszemrał Kwintus.

Przez chwilę ekscytacja Hanno została przyćmiona myślą o tym, że konsekwencją uratowania Suniatona będą cierpienia albo nawet śmierć niewinnego człowieka. Odsunął jednak te myśli. On mógłby zabić, aby ocalić przyjaciela. Czy to jakaś różnica?

– Ten plan wydaje się nie mieć wad – powiedział. – Dziękuję.

– Nie robię tego dla ciebie – odrzekł cicho Gajusz – tylko dlatego, że w ten sposób zaszkodzę synowi tego urzędnika. – Zaśmiał się nieprzyjemnie na widok niezrozumienia

w oczach towarzyszy. – Zanim jutro zajdzie słońce, ucierpi na tym dobre imię jego domu. To nie jest najlepszy sposób rozpoczęcia kariery politycznej, prawda? – Spojrzał na Kwintusa, który wzruszył tylko ramionami. – Ale teraz może lepiej już ruszajmy. Trzymajcie się blisko mnie.

Hanno powtarzał sobie, że motywy postępowania Gajusza nie mają znaczenia. Podążał za dwójką Rzymian pewnie przemierzających ciemne ulice. Jediną istotą, którą spotkali na swojej drodze, był jakiś wychudzony kundel, który na ich widok zjeżył się i warknął groźnie, najwyraźniej gotów bronić swojego terytorium. Gdy Gajusz wymierzył mu mocnego kopniaka, odskoczył od nich z podkulonym ogonem.

Wkrótce przycupnęli pod frontowymi drzwiami jakiegoś niczym niewyróżniającego się domu. Trzy ciemniejsze cienie ledwo zauważalne w mrokach nocy. Wokół panowały niemal kompletne ciemności, jeśli nie liczyć wąziutkiej smugi światła, która wydostawała się ze szczeliny w okiennicach mieszkania znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

Gajusz rozejrzał się jeszcze raz uważnie, sprawdzając, czy na pewno są sami na ulicy, po czym zapukał delikatnie w drzwi. Przez jakiś czas nic się nie działo i Hanno zaczął czuć pierwsze ukłucia niepokoju. Uniósł wzrok ku rozgwieżdżonemu niebu. *Eszmunie* – błagał — *nie zapomnij o Suniatonie, twoim oddanym wyznawcy, synu twojego kapłana w Kartaginie. Wielka Tanit, zmiłuj się nad nami.*

Najwyraźniej jego modlitwy zostały wysłuchane, bo chwilę później drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem.

– Kto tam?

– Gajusz.

Jakiś niski mężczyzna wyjrzał ostrożnie na ulicę. Znieruchomiał na widok Kwintusa i Hanno. Gajusz szybko pospieszył z zapewnieniem, że nic mu z ich strony nie grozi, więc mężczyzna trochę się rozluźnił. Hanno skrzywił się, gdy pomyślał, że jego przerzedzone, cofające się po obu stronach czoła włosy, długi nos i wyłupiaste oczy sprawiają, iż przypomina mu szczura. Nic dziwnego, że był zmuszony do interesowania się młodymi chłopcami. Niemniej pełnił w tym domu ważną funkcję i to dzięki niemu mogli uwolnić Suniatona.

– Gdzie jest Kartagińczyk? – zapytał niecierpliwie Gajusz.

– Czeka w pobliżu. Zaraz po niego pójdę. – Zarządca potrząsnął głową. – Obiecuj jeszcze raz, że nie zdradzisz mnie przed moim panem.

– Daję ci słowo – zapewnił go beznamyślnie Gajusz.

Mężczyzna pokiwał głową niepewnie, świadomy, że nie może liczyć na jakąkolwiek gwarancję.

– Dobrze. Zaraz wracam.

Zniknął za drzwiami. Hanno nie mógł uwolnić się od wrażenia, że ten człowiek zachowuje się podejrzanie. To wszystko działo się trochę za szybko. Po chwili do jego uszu dobiegł odgłos przypominający szuranie stóp. I wtedy dostrzegł w drzwiach zgarbioną postać. Zbliżył się do progu.

– Suniaton?

– Hanno? – odezwał się ochryłym głosem mężczyzna, którego rysów twarzy jeszcze nie rozpoznawał.

Hanno przyłgął mocno do przyjaciela. Jak ktoś, kto próbuje uratować się przed utonięciem. Jego świadomość ledwo zarejestrowała odgłos zamykania drzwi i blokowania ich sztabą. Nie myślał o tym. Gorące łzy radości spływały po jego policzkach. Czuł, że i jego tunika robi się wilgotna od łez Suniatona. Przez chwilę stali tak w milczeniu, obejmując się i dziękując bogom, że zachowali ich przy życiu. Nagle Suniaton zachwiał się. Mało brakowało, a Hanno nie zdążyłby go złapać i uchronić przed zwałeniem się bezwładnie na ziemię. Spojrzał uważnie na



twarz Suniatona. Nie przypominała już puciołowatej twarzy nastolatka, którą pamiętał z Kartaginy. Teraz spoglądał w oczy wymizerowanego mężczyzny o zapadniętych policzkach, długowłosego i nieogolonego.

– Wyglądasz na zagłodzonego!

– To nieważne... – odezwał się Suniaton. Jego oczy wyglądały jak dwa głębokie jeziora pełne bólu. – Jestem ranny.

Nagle Hanno zrozumiał, dlaczego Suniaton tak się garbi.

– Źle z tobą?

– Będę żył... – Chociaż słowa miały wydawać się pocieszające, Suniaton skrzywił się w grymasie, który mówił, że tak naprawdę nie czuje się najlepiej. – Dwa dni temu przegrałem walkę. Odniosłem kilka ran, ale najgorsze jest ukośne cięcie w poprzek prawego uda.

Gajusz dzielił pięścią drzwi.

– Zdradziecki bękart! Nie raczyłeś mi o tym powiedzieć!

Ku jego zdziwieniu z drugiej strony dobiegł głos zarządcy. Widać czekał, żeby zorientować się, jak zareagują, gdy zobaczą rannego gladiatora.

– Kazałeś mi przyprowadzić go na wyznaczoną godzinę. Nikt nic nie mówił na temat jego stanu.

– Skurwysyn! – syknął Hanno. – Powinienem oderznąć ci jaja. – Oparł się plecami o drzwi i westchnął ciężko.

– Tu nie jest bezpiecznie. – Kwintus uznał, że powinien interweniować. Przesunął się tak, żeby Suniaton mógł się oprzeć na jego ramieniu. – Podtrzymuj go z jednej strony, ja stanę z drugiej – zwrócił się do Hanno.

Ten skinął głową. Dobrze wiedział, że nie powinni marnować czasu. Zarządca musi teraz zatroszczyć się o siebie. Tylko bogowie wiedzieli, czy jego właściciel nie dowie się, że maczał palce w uśpieniu strażnika. To nie miało już znaczenia. Musieli przetransportować Suniatona do domu Martialisa, gdzie przynajmniej mogliby zająć się jego ranami.

Na miejscu na szczęście okazało się, że Suniaton nie myli się w kwestii swoich obrażeń. Mimo że cierpiał katusze przy każdym kroku, czyste cięcia od miecza nie zagrażały jego życiu. Jak na gust Hanno nacięcia zostały umiejętnie zszyte. Niepokoiła go jednak ta najdłuższa rana. Największy mięsień czterogłowy prawego uda został poważnie uszkodzony. I tak nic nie mogli z tym zrobić, więc kontynuowali przygotowania do opuszczenia willi. Musieli znaleźć jakieś bezpieczne schronienie przed świtem. Pożegnali się z Gajuszem, uprzednio pomagając Suniatonowi usiąść w siodle. Przekupili strażnika przy bramie kilkoma monetami, dzięki czemu bez problemów wydostali się z miasta. Jednak nawet ruchy wolno poruszającego się konia sprawiały Suniatonowi wiele bólu. Wkrótce stracił przytomność. Hanno mógł tylko iść obok konia i podtrzymywać bezwładne ciało przyjaciela, żeby nie zwałił się na ziemię. Będzie musiał poprosić Kwintusa, aby później załatwił nieco *papaverum* przygotowywanego przez Elirę. Na razie dziękował Tanit i Eszmunowi, prosząc jednocześnie, aby o nich nie zapominali. Miał nadzieję, że Suniaton potrzebuje tylko trochę czasu, żeby dojść do siebie. Hanno chciał wprawdzie czym prędzej ruszyć do Iberii, ale wiedział na pewno, że teraz nigdzie nie pojedzie. Nie opuści przyjaciela.

Wojna będzie musiała poczekać.

Bostar przez dłuższą chwilę przyglądał się punkcikom postaci po drugiej stronie Rodanu. Chociaż głęboki, szybki nurt tej rzeki miał szerokość ponad pięciuset kroków, z tego miejsca dobrze widział wielki obóz plemienia Wolków, ulokowany między drzewami na przeciwległym brzegu. Z liczby namiotów i spętanych koni wnioskował, że na ich drodze stoi kilka setek wojowników. Strażnicy patrolowali bród w dzień i w nocy. Jako że plemię kontrolowało ziemię

po obu stronach rzeki, ich plany były aż nadto jasne. Bostar miał pewność, że zapłacą wysoką cenę za swój upór i wrogie nastawienie. Nie minęła jeszcze godzina od czasu, gdy otrzymał rozkazy Hannibala. Właśnie złożył ofiarę bogom, wiedząc, że nie może odwlekać ich wykonania. Jego falanga i trzystu *scutarii* – generał nalegał, aby ten elitarny oddział wzmocnił jego siły – byli już na pozycjach wyjściowych za linią namiotów Libijczyków. Ich cel, wyspa znajdująca się w miejscu, w którym rzeka trochę się zwężała, znajdował się w odległości dnia marszu na północ.

Głos Sapho sprawił, że Bostar podskoczył.

– Czemuż te głupie dranie nie mogą zachowywać się tak, jak pozostałe plemiona?

– Mówisz, że powinni nam raczej sprzedać łodzie i zapasy? – zapytał Bostar, usiłując zachować spokój. *Co on tu właściwie robi o tak wczesnej porze? Przecież nie może mieć pojęcia o mojej misji. Dlaczego wspomniałem o niej ojcu?* Bostar zaczął panikować. Wziął głęboki oddech. *Uspokój się. Poprosiłem go, aby nikomu o tym nie wspominał. Nie mógł się zdradzić.*

– No tak. Zamiast tego uszczuplą naszą armię o niewielką część, zanim zostaną unicestwieni. Nawet takie dzikusy muszą zdawać sobie sprawę, że nie powstrzymają nas przed przekroczeniem tej rzeki.

Bostar wzruszył ramionami.

– Może po prostu nie różnią się od Ausetani. Obrona ich terytorium to kwestia honoru i dumy plemienia. Nie ma dla nich znaczenia, że posiadamy ogromną przewagę. Żaden z nich pewnie nie ma nic przeciwko śmierci godnej wojownika.

– Popaprani kozojebcy – parsknął zniesmaczony Sapho. – Dlaczego nie mogą zrozumieć, że chcemy tylko przekroczyć tę rzekę i iść dalej?

Bostar powstrzymywał się od wypowiedzenia nasuwającego się naturalnie pytania, czy Sapho na miejscu tego plemienia nie zachowałby się tak samo.

– Jakoś się nad tym nie zastanawiałem. Hannibal dał im szansę. A teraz powiedz, czemu zawdzięczam twoje pojawienie się tutaj. Miałem właśnie zabrać falangę na ćwiczenia z forsownego marszu. – Tylko takie proste kłamstwo przyszło mu do głowy.

– Bogowie! Ależ twoi ludzie muszą cię *kochać*. Czy nie mieliśmy ostatnio dość tego typu zajęć? To wyjaśnia, dlaczego tak wcześnie masz na sobie pełną zbroję. – Sapho machnął lekceważąco. – Miałem ci coś zaproponować, ale to może poczekać. Widziałem wiele zwierzęcych tropów prowadzących nad rzekę. Pomyślałem sobie, że możemy sprawdzić, czy nie natkniemy się na jakąś zwierzynę w pobliżu obozu. Miałbyś ochotę na małe polowanie?

– Myślisz o wspólnym polowaniu na dzika? – Bostar był kompletnie zaskoczony.

– Albo jelenia... – Sapho rzucił mu krzywy, niepewny uśmiech. – Przydałaby się dziczyzna. Obojętnie, byle tylko wprowadzić jakąś odmianę do naszego jedzenia.

– Trochę świeżego mięsa faktycznie mogłoby się przydać – przyznał niepewnie Bostar. Wahał się. Propozycja Sapho najwyraźniej miała coś wspólnego z próbą poprawy ich relacji, ale nie mógł zignorować rozkazów Hannibala ani zdradzić ich bratu. Plan bitwy nadal był ściśle tajny. Co ma mu odpowiedzieć?

– Podobają mi się ten pomysł, ale dzisiaj to się raczej nie uda – odezwał się w końcu. – Nie wiem, kiedy wrócę.

Sapho nie zamierzał się poddać.

– No to może jutro? – zapytał wesoło.

Bostar męczył się, usiłując znaleźć wyjście z tej sytuacji. *Wielki Melkarcie, co zrobiłem, że skazujesz mnie na takie męczarnie? Jutro wieczorem mamy zająć pozycje. Na drugim brzegu.*

– No nie wiem, czy to się uda...

Sapho od razu stracił rezon.

– Więc wolisz spędzać czas ze swoimi ludźmi niż z bratem?  
– Nie o to chodzi – zaprotestował Bostar. – Pomysł polowania jest naprawdę dobry.  
– To w czym problem?  
Nic mądrego nie przychodziło do głowy.  
– Nie mogę powiedzieć – mruknął.  
Sapho skrzywił się mocno.  
– Przyznaj, że nie jestem dla ciebie odpowiednim towarzyszem... Nigdy nie byłem!  
– To nieprawda. Jak możesz tak mówić?! – Wyprowadzony z równowagi Bostar stracił cierpliwość.  
– Bostarze! – Nadejście ojca przerwało ich kłótnię. Zaskoczeni bracia odwrócili się w stronę Malchusa, który najwyraźniej był w świetnym nastroju. Ojciec szedł do nich od linii namiotów. – Myślałem, że już cię nie zastanę w obozie – powiedział, zbliżając się.  
– Właśnie ruszam – odparł niespokojny Bostar. *Baalu Saphonie, spraw, żebym mógł spokojnie wyruszyć.* – Do zobaczenia.  
Najwyraźniej bogowie nie chcieli wysłuchać modlitwy Bostara.  
– Powodzenia! – Malchus mrugnął do niego, nie próbując nawet się z tym kryć.  
– O co tu chodzi? – Sapho uniósł brwi ze zdziwienia. – Czemu życzysz mi szczęścia, ojcze? W czasie ćwiczeń na wytrzymałość?  
– Nigdy nie wiadomo. – Malchus się stropił. – Może skręcić kostkę... Okoliczne szlaki są wyboiste.  
– Coś kręcicie. Czy kiedykolwiek życzyłeś nam powodzenia w takich banalnych sprawach? –zadrwił Sapho. Obrócił się w kierunku Bostara. – Tu chodzi o coś innego, nieprawdaż? To dlatego nie chcesz wybrać się na polowanie!  
Bostar czuł, że się czerwieni.  
– Muszę ruszać – mruknął, unosząc tarczę.  
Wściekły Sapho zablokował mu drogę.  
– Dokąd się wybierasz?  
– Zejdź mi z drogi.  
– Czy to jest rozkaz, *kapitanie?* – Sapho tak zaakcentował ostatnie słowo, że ociekało pogardą.  
– Zostaw go, Sapho! – warknął Malchus. – Rozkazy twojego brata pochodzą od Hannibala.  
– Ach, to tak! – Sapho usunął się na bok, łypiąc zazdrośnie na brata. – Mogłeś powiedzieć. Wystarczyłaby mała sugestia.  
Bostar spojrział w oczy Sapho i już wiedział, że popełnił błąd.  
– Przykro mi.  
– Nie, wcale nie jest ci przykro – syknął Sapho. – Lizus. Cholerny oficer doskonały – dodał cichym szeptem.  
Wściekły Bostar hamował się z trudem.  
– Nie pisałem słówka, bo nie chciałem, żebyś miał wrażenie, że zostałeś pominięty.  
– Jesteś tak cholernie uprzejmy – zawołał Sapho. Żyły na jego szyi nabrzmiały. – Mam nadzieję, że zginiesz marnie tam, gdzie się wybierasz!  
Malchus już otworzył usta, żeby zbesztać Sapho, ale Bostar uniósł rękę. Dziwnie się czuł, bo nagle zamiast gniewu wypełniał go tylko smutek.  
– Ufam, że przynajmniej zależy ci, żeby moja misja zakończyła się sukcesem?  
Sapho poczerwieniał ze wstydu, ale nie miał szansy na odpowiedź.  
Bostar zwrócił się do Malchusa.

– Żegnaj, ojcze.  
Oczy Malchusa przypominały ciemne jeziora pełne smutku.  
– Niech bogowie czuwają nad tobą i twoimi ludźmi.  
Bostar skinął głową i ruszył przed siebie.  
– Bostarze!  
Zignorował krzyk Sapho.

Miał wrażenie, że właśnie stracił kolejnego brata.

Dwa dni później Bostar i jego ludzie zajmowali pozycje wyjściowe do sforsowania rzeki. Po długim marszu pierwszego dnia przewodnicy przywieźli wydzielone siły do miejsca, gdzie rzeka dzieliła się na dwie odnogi. Wyspa znajdująca się w nurcie Rodanu znacznie ułatwiła przeprawę. Jako że nie wiedzieli, czy na przeciwnym brzegu nie czują na nich Wolkowie, czekali z przeprawą do zapadnięcia zmierzchu. Potem, używając tratw zbudowanych ze ściętych drzew i wypełnionych powietrzem zwierzęcych skór, Bostar przeprawił się na drugą stronę rzeki z dziesięcioma specjalnie wybranymi do tej misji żołnierzami. Ku ogromnej uldze wszystkich las po drugiej stronie okazał się pusty. Słyszeli tylko pohukujące sowy i umykające lisy. Wkrótce dołączyli do niego pozostali. Bostar nie omieszkiał podziękować bogom za ten szczęśliwy los. Liczyli na niego Hannibal i cała kartagińska armia. Jeśli misja by się nie powiodła, setki, a nawet tysiące ludzi mogłyby zginąć tego dnia z rąk Wolków.

Tuż po wschodzie słońca ruszyli na południe, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy udało im się zidentyfikować obóz wroga. Bostar zostawił swoich ludzi w gęstym zagajniku na pobliskim wzniesieniu z widokiem na rzekę, a potem z kilkoma żołnierzami długo leżał, obserwując Wolków przy ogniskach. Wojownicy zdawali się zupełnie nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa, co akurat zupełnie Bostarowi nie przeszkadzało. W jakiś sposób ta świadomość nieuchronności ich losu sprawiała, że w tej perspektywie jego kłótnia z Sapho wydawała się tylko mało ważną różnicą poglądów. Bostar naprawdę nie chciał widzieć w bracie wroga. *Obyśmy obaj przeżyli zbliżającą się bitwę i mogli się pogodzić.*

Gdy nadszedł świt, ich oczom na drugim brzegu ukazał się wielki obóz armii kartagińskiej. Coraz bardziej zdenerwowany Bostar czekał, niecierpliwiąc się, aż pierwsze oddziały jazdy zbliżą się do miejsca przeprawy. Jeźdźcy uspokajali konie, wprowadzając je na sporej wielkości tratwy, a piechota zajmowała czółna. Przez chwilę wydawało mu się, że uchwycił spojrzenie samego Hannibala w lśniącym kirysie, chcącego zapewne osobiście dopilnować wypełnienia swoich rozkazów. Bostar jeszcze nie rozpoczął działań. Wybór właściwej chwili miał kluczowe znaczenie. Jeśli ujawni się za wcześnie, jego ludzie mogą ponieść ogromne straty. Jeśli zacznie działać za późno, zginie mnóstwo żołnierzy na łodziach.

Bardzo szybko obserwatorzy Wolków powiadomili dowódców o poruszeniu w obozie kartagińskim. Wojownicy podnieśli alarm. Mężczyźni opuszczali swoje namioty i gromadzili się nad brzegiem. Chodzili teraz to w jedną, to w drugą stronę, wykrzykując pod adresem Kartagińczyków jakieś przekleństwa i pewnie chwając się swoimi dokonaniem. Bostar czuł coś w rodzaju uniesienia. Obóz wroga opustoszał, bo wszyscy koncentrowali się na flotylli łodzi i tratw na drugim brzegu. Najwyższy czas!

– Rozpalcie ogniska – syknął. – Szybko!

Trzech kłęczących włóczników, którzy od dłuższego czasu zerkali na niego nerwowo, zajęło się krzesaniem krzemieni. *Cyk, cyk, cyk...* – usłyszał za plecami suche trzaski. Iskry wylądowały na kępkach hubki leżących przed każdym z mężczyzn. Bostar odetchnął z ulgą, gdy maleńkie płomyczki zaczęły wystrzeliwać najpierw z jednego, a potem z kolejnego miejsca. Po chwili wszystkie trzy hubki zajęły się płomieniami. Żołnierze dmuchali w nie energicznie, aby podsyć ogień.

Bostar obgryzał paznokcie, nie mogąc się już doczekać chwili, kiedy płomienie będą wystarczająco silne.

– Dorzućcie zielonych liści – rozkazał. Obserwował uważnie gęste wiry dymu z wilgotnych liści wzbijające się wysoko w górę. Chmura wkrótce stała się dobrze widoczna ponad wierzchołkami drzew. Bostar przeniósł spojrzenie na drugi brzeg.

– No, dalej! – cedził cicho pod nosem. – Musicie już to widzieć.

Jego modlitwy zostały wysłuchane. Hannibal i jego ludzie rozpoczęli przeprawę. Kolejne łodzie i tratwy były wypychane z brzegu. Większe tratwy, mieszczące po sześciu lub siedmiu kawalerzystów, odbiły od brzegu w górze rzeki. Ich wielkość i liczba w pewnym stopniu wpływały na osłabienie silnego prądu, który mógł powywracać mniejsze czółna z piechotą. Wolkowie szybko zareagowali na rozpoczęcie przeprawy. Wszyscy wojownicy uzbrojeni w łuki i włócznie zajęli pozycje na wznoszącym się lekko brzegu rzeki, czekając, aż wróg znajdzie się w zasięgu ich broni.

– Ruszamy – Bostar zwrócił się do trzech towarzyszących mu włócznie. – Najwyższy czas sprawić tym szumowinom niespodziankę, której nigdy nie zapomną.

Chwilę później zbiegał już na czele swoich ludzi po zboczu w kierunku brzegu. Mniejszy oddział, składający się z setki *scutarii*, zmierzał prosto do obozu wroga. Ludzie biegli w milczeniu, nie zwalniając tempa, przy akompaniamencie głośnych oddechów. Spod brązowego hełmu Bostara ściekał pot, który wkrótce pokrył całą jego twarz. Starał się zignorować ból mięśni, skoncentrowany na liczeniu kroków. Wcześniej, gdy czatowali na skraju zagajnika, obliczył, że od brzegu dzieli ich około pięciuset kroków. Trzysta pięćdziesiąt od namiotów obozu. Wydawało mu się, że biegną już całą wieczność, ale Wolkowie byli tak zajęci obserwowaniem zbliżających się łodzi, że oddział Bostara pokonał już sto kroków i nikt ich jeszcze nie zauważył. Po chwili zrobiło się sto pięćdziesiąt, potem sto siedemdziesiąt pięć. Pierwsze tratwy znajdowały się już w połowie nurtu. Gdy Bostar doliczył się dwustu kroków, dostrzegł, że ktoś obraca się w ich kierunku, zapewne chcąc przekazać jakąś uwagę towarzyszowi. Na widok chmary atakujących ich od tyłu żołnierzy na jego twarz wypełził grymas niedowierzania. Bostar zdążył pokonać jeszcze dziesięć kroków, zanim wojownik wydał z siebie ostrzegawczy krzyk. *O wiele za późno* – pomyślał z zadowoleniem Kartagińczyk.

Bostar przekręcił głowę, żeby spojrzeć na swoich ludzi, i zawołał:

– Do ataku! Za Hannibala i Kartaginę!

Jego ludzie odpowiedzieli gniewnym rykiem, pędząc dalej na złamanie karku ku oszołomionym Wolkom, którzy nagle zdali sobie sprawę, że znaleźli się w potrzasku, atakowani z dwóch stron. Po chwili ich okrzyki stały się jeszcze głośniejsze, a Bostar, który zerknął przez ramię, zorientował się, że spomiędzy namiotów obozu buchają w niebo wielkie płomienie. *Scutarii* spisali się doskonale.

Nie mogło być wątpliwości, że dywersja się udała i znacznie zmniejszyła straty atakujących z drugiego brzegu Kartagińczyków. Wojownicy skupili się raczej na obronie swoich tyłów niż utrudnianiu przeprawy bezbronnych żołnierzy na łodziach. Jednocześnie słabo zdyscyplinowani, spanikowani wojownicy nie byli w stanie poradzić sobie z karnymi, dysponującymi lepszą techniką i działającymi z zaskoczenia oddziałami Bostara. Ostrzał z łuków i nieregularne, niesynchronizowane, przedwczesne fale włócznie nie stanowiły wielkiego zagrożenia dla pierwszych szeregów włócznie. Zanim tubylcy znaleźli się w zasięgu rzutu oszczepem, Bostar stracił mniej niż dwa tuziny żołnierzy.

Wybrał odpowiedni moment i spokojnym głosem wydał rozkaz zasypania wrogów oszczepami. Jakże różne efekty przyniósł ten ostrzał w porównaniu z żałosnymi wynikami osiągniętymi przez plemiennych wojowników! Setki pocisków pofrunęło w niebo, po czym

spadło gęstym deszczem na nieprzygotowanych Wolków, z których większość nie nosiła żadnej zbroi. Wrogowie ponieśli ciężkie straty. Krzyki rannych i umierających pogłębiły tylko zamieszanie wśród wyraźnie przestraszonych wojowników. Bostar uśmiechnął się na myśl o planie Hannibala. Przed chwilą Wolkowie spodziewali się łatwej rzezi żołnierzy zmagających się z nurtem rzeki, teraz musieli stawić czoła atakowi od tyłu, widząc swoje płonące namioty i tabory.

Właśnie w tym momencie pierwsze łodzie Kartagińczyków zaczęły docierać do brzegu. Prowadzeni przez swojego wielkiego wodza *scutarii* i *caetrati* wyskakiwali z czołen i rozpryskując płytką wodę, parli przed siebie, aby jak najszybciej włączyć się do bitwy. Wibrujące w uszach okrzyki bojowe stały się ostatnią kroplą, która przelała czarę. Wolkowie nie potrafili już wzbudzić w sobie dość siły, aby stanąć do walki. Ich linie złamały się, a wojownicy o powykręcanych strachem twarzach rzucili się do ucieczki.

– Miecze w dłoń! – Bostar z radością wykrzyczał rozkaz przygotowujący ludzi do walki na krótkim dystansie, po czym sam poprowadził atak. Odwrót tubylców przemienił się w rzeź. Bród znalazł się w rękach Kartagińczyków, co świadczyło o tym, że bogowie wciąż patrzyli na poczynania Hannibala i jego armii z przychylnością.

Po ćwierć godzinie było już po wszystkim. Setki martwych lub umierających wojowników Wolków leżały w wysokiej trawie i tylko nieliczni uciekinierzy przedostali się do pobliskich lasów. Wydzielone grupy pościgowe Numidyjczyków dobijały maruderów. Bostar uznał, że niewielu wojowników wroga przeżyje ten dzień, aby przekazać swoim współplemioncom relację z tej zasadzki. Niemniej kilku z nich na pewno wyszło z niej cało, a dzięki temu wieści o talentach Hannibala będą rozprzestrzeniać się lotem błyskawicy. Krwawe lekcje, takie jak ta bitwa, miały efekt propagandowy równy legendzie, jaka narosła wokół oblężenia Saguntum. Wysłali jasny przekaz pobliskim plemionom, że wszelki opór jest bezcelowy, a wynik starcia z potęgą wiedzioną przez Hannibala może być tylko jeden. Totalna klęska. Bostar nie miałby nic przeciwko temu, aby starcia z armią rzymską kończyły się tak samo.

Uznawszy, że powierzone mu zadanie zostało wykonane, Bostar pozwolił ludziom odetchnąć, a sam udał się na poszukiwanie Hannibala. Teraz po niewielkim wzniesieniu nad brzegiem rzeki przetaczały się masy wojska, piechoty i oddziałów procarzy. Jeźdźcy odprowadzali swoje konie w miejsca oddalone od wody. Poirytowani tym nieładem oficerowie pokrzykiwali, próbując zaprowadzić porządek w przemieszanych jednostkach. Nurt rzeki na całej szerokości był usiany łodziami i tratwami, przemieszczającymi się w obu kierunkach. Przeprawa trwała długo, gdyż przerzucenie dziesiątek tysięcy ludzi i ogromnych ilości zaopatrzenia na drugi brzeg Rodanu było ogromnym wyzwaniem, które wymagało czasu.

Bostar przebijał się przez gęstą ciżbę żołnierzy, licząc, że znajdzie wśród nich brata i ojca. Serce podskoczyło mu z radości, gdy dojrzał Malchusa. Sapho był przy nim. Bostar zawahał się, ale po chwili stwierdził, że na widok brata w dobrym zdrowiu czuje przede wszystkim ulgę. Ucieszył się, że jego serce potrafi jednak podpowiedzieć mu, co jest najważniejsze, i nic sobie nie robi ze wspomnień kłótni. Niezależnie od tego, w jakich okolicznościach przebiegała ostatnia rozmowa, wiedział przecież, że łączą ich przecież więzy krwi.

Przekonywał się, że wszystko musi skończyć się dobrze. Uniósł dłoń w pozdrowieniu.

– Ojcze! Sapho!

Szybko stało się jasne, że rekonwalescencja Suniatona potrwa kilka miesięcy. I będzie dobrze, jeśli jego rany w ogóle się zagoją. A tego Hanno wcale nie był pewien. Wyglądało na to, że jego przyjaciel już nigdy nie będzie mógł stanąć do walki. Istniało wielkie prawdopodobieństwo, że rana nogi jest na tyle poważna, iż Suniaton będzie kulą, ale – jak często

pocieszał się Hanno – nic nie wskazywało na to, że umrze.

Hanno kiwał głową i uśmiechał się do siebie na myśl o czekającej go wyprawie, starając się ignorować niepokojące uczucie rozżalenia, które powoli zaczynało dominować nad radością z uratowania życia Suniatona. Z każdym dniem przychodziło mu to z większym trudem, ponieważ jego przyjaciel wciąż nie był jeszcze na tyle zdrowy, aby samodzielnie poradzić sobie w podróży. Hanno czuł rosnącą irytację. Wycofał się w świat swoich myśli i spędzał dużo czasu poza chatą, byle dalej od Suniatona. W efekcie czuł się jeszcze gorzej. Gdy wracał do owczarni zdecydowany, aby przeprosić za swoje zachowanie, widok kuśtykającego o kuli Suniatona sprawiał, że gniew wracał.

Czwartego dnia nieoczekiwanie odwiedzili ich Kwintus z Aurelią.

– Nie denerwuj się. Nie przynoszę żadnych niepokojących wieści z Kapui – odezwał się Kwintus, zsiadając z konia.

Hanno nieco się uspokoił.

– Co was tu zatem sprowadza?

– Pomyślałem sobie, że chciałbyś o tym wiedzieć. Ojciec i Flakkus wkrótce wyruszą na zachód. Publiusz Korneliusz Scypion i jego legiony są gotowe do wymarszu.

– Wyruszają do Iberii?

– Tak. Wylądują na północno-wschodnim wybrzeżu. Tam, gdzie według nich znajduje się obecnie Hannibal. – Kwintus starał się zachować neutralny ton.

– Rozumiem... – Hanno miał trudności z zachowaniem pozorów. W środku się gotował, znów myśląc o tym, że powinni jak najszybciej opuścić Italię. – A co z armią, która miała uderzyć na Kartaginę?

– Oni też wkrótce rozpoczną operację. – Kwintus czuł się niezręcznie. – Przepraszam.

– Nie masz za co przeproszać – stwierdził szorstko Hanno. – Nie ty to zaplanowałeś.

Kwintus nadal czuł się nieswojo, gdyż bez komentarza ruszył do chatki, aby sprawdzić, jak wygląda rana Suniatona. Hanno z kolei znów walczył z poczuciem winy, bo to on powinien bardziej zainteresować się stanem zdrowia przyjaciela. *Nawet jeśli to niewiele pomoże – jakaś część jego umysłu sprzeciwiała się temu z całych sił. Bo on już nigdy nie będzie normalnie chodził.*

Jego dywagacje przerwała Aurelia.

– Miną miesiące, zanim zobaczymy ojca – mówiła smutnym głosem. – A Kwintus ciągle powtarza, że zamierza do niego dołączyć. Już wkrótce zostaniemy z matką zupełnie same.

Hanno spojrzał na nią ze współczuciem, pozwalając sobie na drobny gest życzliwości, ale tak naprawdę był bardzo rozkojarzony. Myślał tylko o tym, że powinien ruszyć za armią Scypiona do Iberii.

Aurelia błędnie zinterpretowała jego milczenie, sądząc, że on również smuci się, bo myśli o swojej rodzinie.

– Jak mogę być taka nieczuła. Kto wie, kiedy ty zobaczysz się ze swoimi braćmi...

Hanno skrzywił się, ale nie w reakcji na to, co powiedziała. Hannibal wkrótce będzie musiał stawić czoła rzymskiej armii konsularnej. Tymczasem on utknął tu z Suniatonem.

– Hanno? Co się dzieje?

– Co? Nic takiego...

Aurelia podążyła wzrokiem za spojrzeniem chłopaka, który wpatrywał się w Suniatona, teraz uważnie wsłuchującego się w instrukcje Kwintusa. Od razu zrozumiała. Uderzyła cicho i celnie jak kot.

– Ty też chcesz iść na wojnę – wyszeptała – ale nie możesz, bo jesteś lojalny wobec Suniego. – Zaskoczony jej przenikliwością Hanno wbił wzrok w ziemię. Aurelia dotknęła jego

ramienia. – Nie możesz okazać przyjacielowi większej miłości, gdy wspierasz go wtedy, gdy tego najbardziej potrzebuje. To wymaga prawdziwej odwagi.

Hanno z trudem przełknął ślinę.

– Powinienem się cieszyć, że mogę z nim być. A nie złościć się na niego.

– Na to nic nie poradzisz. – Aurelia westchnęła. – Jesteś żołnierzem, jak mój ojciec i brat.

– Co tak szepczecie? – zapytał zaciekawiony Kwintus, który do nich podchodził. Nie odpowiedzieli. Kwintus się uśmiechnął. – Pewnie chodzi o jakiś wielki sekret? Odgadliście, że mam zamiar podążyć za ojcem?

Aurelia spojrzała na brata, podobnie jak zdębiały Hanno, jednak zanim któreś z nich zdążyło zareagować, usłyszeli Suniatona, który dokuśtykał do nich za Kwintusem. Równie zaskoczony Rzymianin nie protestował, że mu przerwano.

– Wiem, jak ci trudno, Hanno. Czekasz na mnie, gdy tak naprawdę marzysz tylko, aby dołączyć do armii Hannibala.

– Zostanę z tobą tak długo, jak będzie trzeba – odpowiedział Hanno, przytłoczony poczuciem winy. – To wszystko. – Szybko zwrócił się do Kwintusa. – Dlaczego chcesz wyjechać już teraz?

– Muszę opowiedzieć ojcu o zachowaniu Agesandrosa. Władza uderzyła mu do głowy.

– Akurat. Wątpię, że o to chodzi – skwitowała szybko zirytowana Aurelia. – Pozbycie się doświadczonego nadzorca w tych trudnych czasach byłoby szaleństwem. I dobrze o tym wiesz. Poza tym Agesandros nie nabroił tak, żeby jego usunięcie było uzasadnione. Musimy z nim żyć.

Kwintus zacisnął zęby tak mocno, że poczuł ból w szczęce.

– Tak czy inaczej, niedługo wyruszam. Moje szkolenie dobiegło końca. Wojna może się skończyć za kilka miesięcy. Mogę przegapić okazję, jeśli zdecyduję się czekać na wezwanie legionów.

*Nie doceniasz Hannibala* – pomyślał ponuro Hanno.

– Zwariowałaś! – rzuciła Aurelia. – Jak zamierzasz odnaleźć ojca w samym środku działań wojennych?

Po twarzy Kwintusa przemknął grymas niepewności.

– Dotrę do niego, zanim się zacznie – oświadczył przekonującym tonem, który wydał się trochę sztuczny. – Muszę tylko dostać się do portu w Iberii, do którego Scypion skierował flotę. Kupię konia i ruszę za legionami. Gdy odnajdę ojca, będzie już za późno, żeby mnie odesłał. – Spojrzał najpierw na Hanno, a potem na siostrę, prowokując ich do reakcji.

– Chcesz ruszyć samodzielnie w tak daleką, niebezpieczną podróż? To czyste szaleństwo! – zawołała Aurelia. – Nigdy nie byłeś sam dalej niż w Kapui.

– Poradzę sobie – mruknął Kwintus, łypiąc na nią nieco urażony.

– Naprawdę? – Aurelia nie ukrywała sarkazmu w głosie. Sama nie wiedziała, dlaczego tak się złości, bo od dawna czuła, że to prędzej czy później nastąpi.

– Dlaczego nie? – zapytał wyzywająco Kwintus.

Zapadła niezręczna cisza.

Suniaton odchrząknął.

– A nie myślałeś, żeby ruszyć z Kwintusem? – zapytał, wytrącając z równowagi Hanno. – Dwa miecze to zawsze lepiej niż jeden.

Serce Aurelii zaczęło walić jak oszalałe. Zaskoczona siłą własnych emocji musiała zagryźć wargę, żeby głośno nie zaprotestować.

Hanno dostrzegł błysk nadziei w oczach Kwintusa. Ku swojemu zdziwieniu, nieco wstydliwie, stwierdził, że ten pomysł też od razu wzbudził w nim wielkie emocje.

– Nie zostawię cię, Suni.



– Zrobiłeś dla mnie już dość. Myślę, że to rozsądne wyjście, zwłaszcza że tkwisz tu przeze mnie – przekonywał Suniaton. – Całe życie czekałeś na tę wojnę. Ja nie. Dobrze wiesz, że wolałbym zostać kapłanem niż żołnierzem. Dlatego, jeśli Kwintus i Aurelia się zgodzą, zostanę tutaj.– Kwintus od razu skinął głową. – Gdy wreszcie wydobrzeję, spróbuję przedostać się do Kartaginy. Sam.

– Nie wiem, co powiedzieć – zająknął się Hanno, niepewny swoich odczuć, bo myśl o wyprawie napełniała go i smutkiem, i radością.

Suniaton uniósł rękę, nie zważając na jego protesty.

– Nie wyobrażam sobie innego rozwiązania.

Hanno nie wypowiedział słów, które cisnęły mu się na usta. Zwrócił się do Kwintusa:

– Nadal jestem twoim dłużnikiem. Towarzysząc ci w tej wyprawie, być może spłacę część tego długu. Co ty na to?

– Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciał pojechać ze mną. – Kwintus pochylił głowę, chcąc ukryć wyraz ulgi na twarzy.

Tymczasem żaden z nich nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie katusze przeżywała Aurelia. Myślała tylko o tym, że właśnie traci nie tylko brata, ale i Hanno. I nic nie mogła na to poradzić. Zaczęła cicho szlochać. Kwintus objął ją ramieniem, dzięki czemu trochę się uspokoiła.

– Mam nadzieję, że wrócisz cały i zdrowy.

– Oczywiście, że wrócę – szepnął. – Ojciec też.

Zdenerwowana Aurelia spojrzała na Hanno.

– Ty też – wyszeptwała.

Kwintus otworzył usta, gdy te dwa słowa zawisły w powietrzu.

Hanno osłupiał. Aurelia została obiecana innemu mężczyźnie. Na dodatek chodziło o dobrze urodzonego Rzymianina, piastującego wysokie stanowisko państwowe. Czy naprawdę to chciała powiedzieć? Przez chwilę patrzył na nią.

– Wrócę – powiedział wreszcie. – Któregoś dnia.

## Rozdział XIV



Massalia, na południowych wybrzeżach Galii

Fabrycjusz patrzył na greckie kolumny nieodległych świątyń na nabrzeżu. Uśmiechał się na ich widok.

– Niepodobne do tych w Kampanii – stwierdził w końcu głośno. – Czasami dobrze wyrwać się z domu i poznać nieco lepiej obce krainy.

Przed pięcioma dniami flota rzymska z dowódcą armii konsularnej Publiuszem Korneliuszem Scypionem podniosła wreszcie kotwicę. Fabrycjusz i Flakkus znaleźli się na pokładzie jednej z sześćdziesięciu kwinkwerem, które opuszczały rzymski port w Pizie na zachodnim wybrzeżu Italii. Nie oddalając się od linii brzegowej Ligurii aż po grecką Massalę, wieloletniego rzymskiego sojusznika na południowym wybrzeżu Galii, flotylla minęła ramiona pirsów zaledwie dwie godziny temu.

– Zbyt wiele miesięcy straciliśmy na dysputach – zgodził się Flakkus. – Najwyższy czas wyjść w pole przeciwko Kartagińczykom i szybko załatwić tę sprawę. – Przyjrzał się uważnie Fabrycjuszowi, który kiwnął głową.

– Nie lubisz siedzieć z założonymi rękoma, co?

– Zdecydowanie nie. – Ostatni pobyt w Rzymie jasno uzmysłowił Fabrycjuszowi, jak marnym jest politykiem. Został w stolicy tylko dlatego, że naprawdę zależało mu, by jak najszybciej ruszyć do walki. Tyle że jego pragnienie miało się nijak do przedłużających się debat w senacie, których doświadczał. Każda dyskusja ciągnęła się tygodniami. – Wiem, że politycy opóźniali działania wojenne z prostego powodu – przyznał. – Większość legionów została wcześniej rozpuszczona, więc odczekanie do chwili powołania nowych konsulów przed podjęciem ważnych decyzji było logiczne. Ale czy naprawdę musiało to tyle trwać?

– Nie zapominaj o innych kwestiach składających się na ogólnie pojętą politykę zagraniczną. Trzeba było przedyskutować wiele spraw – wyjaśniał Flakkus. – Senat rzymski musi rozwiązywać wiele problemów. Nie tylko tych związanych z wydarzeniami w Iberii.

– Oczywiście... – westchnął Fabrycjusz. Republika to biurokratyczny aparat administracyjny, który musiał zajmować się tysiącami spraw jednocześnie. To wymagało czasu. Zrozumienie tego było jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakie musiał pojąć podczas pobytu w stolicy.

– Filip V z Macedonii nigdy nie był największym przyjacielem Rzymu – kontynuował Flakkus. – Jednak udzielenie schronienia Demetriuszowi z Faros stało się wystarczającym dowodem na to, że życzy nam jak najgorzej.

– To prawda. – Demetriusz, wygnany król Illyricum, zupełnie niedawno sprawił republice wiele problemów. – Jednak czy miesiąc debat na temat tych dwóch ludzi był naprawdę konieczny?

Flakkus spojrział na niego z wyższością.

– Tak działa senat. To tradycja sięgająca trzystu lat. Kimże jesteśmy, aby kwestionować uświęconą tradycję?

Fabrycjusz ugryzł się w język, bo już miał powiedzieć, co naprawdę o tym myśli. Jego zdaniem senatorowie pracowaliby znacznie wydajniej, gdyby tylko debaty były lepiej zarządzane. Uśmiechnął się dyplomatycznie.

– Trzeba przyznać, że zareagował szybko, gdy do Rzymu dotarły wieści o ruchawce wśród galijskich plemion.

Flakkus wyglądał na zadowolonego.

– Gdy okazało się, że proponowane nowe kolonie latyńskie w Piacenzie i Cremonie nie wystarczą, senatorowie zażądali jednego z legionów z naszej ekspedycji. Ale gdy przebywałem w Rzymie, zajmując się rekrutacją i szkoleniem nowych jednostek, ty przynajmniej mogłeś spędzić ten czas aktywnie. – Flakkus skierował palec wskazujący w stronę Fabrycjusza jakby w oskarżycielskim geście. – Trzy miesiące.

Fabrycjusz przywykł już do protekcyjnego tonu Flakkusa, niemniej jego zachowanie niezmiennie go denerwowało.

– Nie było cię tam. Bojowie i Insubrowie to nie chłopcy do bicia – wyjaśnił twardym tonem. – Nie pamiętasz Telamon? Udało nam się zakończyć bunt szybko, ale setki naszych padło, a wielu zostało rannych.

– Przepraszam. – Flakkus lekko zmienił się na twarzy. – Nie chciałem umniejszać twoich dokonań ani obrażać pamięci tych, którzy tam polegli.

– W porządku – odparł Fabrycjusz nieco uspokojony. – To nie zmienia faktu, że powinniśmy być w Iberii trzy miesiące temu!

Flakkus wykonał pojednawczy gest.

– Przynajmniej jesteśmy już w Massalii. Wkrótce pomścimy Saguntyńczyków.

– Nie sądzisz, że trochę za późno? – spytał Fabrycjusz kwaśno. Brak woli politycznej senatu oznaczał pozostawienie Saguntyńczyków ich losowi, a to kłóciło się z wyobrażeniami Fabrycjusza o honorze Rzymu. I nic się w tej kwestii nie zmieniło.

– Już dobrze... Daj spokój. Już nieraz o tym dyskutowaliśmy.

– Wiem. – Fabrycjusz wciąż jeszcze był wzburzony. – Niemniej żaden sojusznik Rzymu nie powinien być traktowany tak, jak potraktowaliśmy Saguntum.

– Wiesz, że się z tobą zgadzam. – Flakkus spuścił z tonu. – Czy podczas moich wystąpień w senacie nie mówiłem dość często o tym, że opuszczenie sojusznika w potrzebie jest plamą na honorze republiki?

– Mówiłeś. – *Mimo że z pewnością wiedziałeś, iż twoje słowa nie będą miały żadnego znaczenia* – pomyślał Fabrycjusz. Niemniej przemówienia Flakkusa zostały dobrze przyjęte, a jego przyszły zięć udowodnił, że ma waleczne serce.

– Niech bogom będą dzięki, że służymy pod Scypionem, a nie pod Tyberiuszem Semproniuszem Longusem. Dzięki temu szybciej wejdziemy do akcji. Według ostatnich wieści z drugiej armii konsularnej flota Longusa nie będzie gotowa do działania przed końcem następnego miesiąca.

– Jakże to musi być frustrujące...

– A my możemy pozełgować dalej od razu po uzupełnieniu zapasów żywności i wody. – Flakkus wysunął nieznacznie z pochwy miecz ze zdobioną głownią.

– Nie zapominajmy, że czekamy na informacje zwiadu lokalnych oddziałów – ostrzegł Fabrycjusz. – Od kilku miesięcy nie było żadnych wieści o Hannibalu.

– Pewnie dlatego, że siedzi na swojej owłosionej szczurzej dupie w Iberii i czekając na nas, popija lokalne wino! – odezwał się kpiąco Flakkus.

– Może i tak... – zgodził się z uśmiechem Fabrycjusz – ale przezorny zawsze ubezpieczony.

Fabrycjusz nie mógł wiedzieć, że nie minie nawet kilka godzin, a jego słowa okażą się prorocze.

Hannibal wcale nie przebywał w Iberii.

Według wyczerpanych posłańców z Massalii, którzy przybyli do portu na koniach toczących pianę po długiej jeździe, armia Hannibala znajdowała się nie dalej jak dzień marszu od miasta.

Flakkus i inni wyżsi stopniem oficerowie otrzymali pilne wezwanie do kwatery głównej Scypiona – wielkiego namiotu znajdującego się w centralnej części tymczasowego fortu jednego z legionów. Niecałą godzinę później wezwanie odebrał także Fabrycjusz, który przyjął je z zadowoleniem, ale również ze zdziwieniem. Gdy pojawił się na miejscu, dostrzegł przed namiotem dowodzenia Flakkusa w otoczeniu oficerów, wśród których rozpoznał również Gnejusza, starszego brata Scypiona, byłego konsula, który towarzyszył legionowi jako *legatus*, pełniąc funkcję zastępcy głównodowodzącego. Fabrycjusz zasalutował i skinął głową Flakkusowi. Ku jego zdziwieniu przyszy zięć obrzucił go tylko przelotnym spojrzeniem. Wyglądał na mocno rozeźlonego. Fabrycjusz zastanawiał się, co takiego zaszło w czasie narady, że tak rozzłościło Flakkusa. Nie miał okazji o to go zapytać. Oficer dyżurny, rozpoznawszy Fabrycjusza, natychmiast poprowadził go do środka.

Fabrycjusz od razu poznał Scypiona, pochylonego nad zwojem mapy leżącej na stole i żywo dyskutującego o czymś z młodym żołnierzem z Massalii. Mężczyźni mieli na sobie brązowe kirysy wykonane na modłę helleńską, warstwowe *pteryges*, które chroniły pachwiny i górną część ud, oraz nagolenniki, również wykonane z brązu. Nawet człowiek, który nie wyznawał się zanadto w sprawach wojskowości, nie mógł mieć żadnych wątpliwości, kto z tej dwójki jest dowódcą. Massalski sojusznik z pełnym oporządzeniem prezentował się wspaniale, ale to Scypion, podobny Herkulesowi, roztaczał wokół aureę władzy i bogactwa. Na stojaku obok niego znajdował się obficie zdobiony hełm attycki z przepięknym pióropuszem. Mimo że rzymski wódz o przyprószonej siwizną głowie był niższy wzrostem, biła od niego tak wielka pewność siebie, że mogło się wydawać, iż to właśnie on góruje nad massalskim dowódcą. Fabrycjusz zdążył już trochę poznać Scypiona, a nawet go polubić. Dzięki wewnętrznemu opanowaniu i bezpośredniości łatwo zjednywał sobie ludzi, zarówno prostych żołnierzy, jak i trybunów. Podobnie zresztą jak jego brat Gnejusz.

Scypion uniósł wzrok znad mapy i przywitał gościa.

– Witaj, Fabrycjuszu! Dziękuję za przybycie.

Fabrycjusz zasalutował.

– W czym mogę być pomocny, panie?

– Poznaj, proszę, dowódcę jednostki, który przybył do nas z tymi niepokojącymi wieściami. Fabrycjuszu, to jest Klearchos. Klearchosie, poznaj Fabrycjusza, o którym ci mówiłem. – Mężczyźni wymienili uprzejme pozdrowienia. – Zapewne słyszałeś już, że poznaliśmy lokalizację armii Hannibala? – spytał Scypion, uśmiechając się przy tym łobuzersko. – Musiałbyś być głuchy, żeby nie słyszeć.

Fabrycjusz nie mógł opanować szczerego uśmiechu. Wszyscy *musieli* słyszeć te wieści, ponieważ ludzie w mieście wykrzykiwali je z poziomu dachów budynków.

– Podobno armia wroga przekroczyła Rodan i rozłożyła obóz na wschodnim brzegu, panie?

– To prawda. – Scypion spojrział wymownie na młodego Massalijczyka. – Klearchosie?

– Gdy dotarły do nas plotki, jakoby Hannibal wdarł się do Galii, wysłaliśmy patrole składające się z małych, mobilnych jednostek jazdy daleko w głąb lądu. Jeden z nich natknął się na Kartagińczyków około dwóch tygodni temu, po czym śledził ruch armii wroga aż do zachodniego brzegu rzeki dobry dzień drogi jazdy od miasta.

Serce Fabrycjusza zabiło mocniej. A więc plotki okazały się *prawdziwe*.

– Siły wroga?

– We wszystkich raportach mówi się o około pięćdziesięciu tysiącach ludzi. Niecała ćwierć tych sił to jazda.

Fabrycjusz uniosł brwi. Podczas walk na Sycylii Rzym stawiał czoła mniejszej armii.

Jego reakcja nie uszła uwadze Scypiona.

– Ja też się mocno zdziwiłem. Wygląda na to, że Hannibal zamierza najechać Italię. Fortuna nam jednak sprzyja i ostrzegła nas o tym zawczasu. Kontynuuj, Klearchosie.

– Kartagińczycy obozowali nad rzeką przez kilka dni, zajmując się gromadzeniem łądzi i konstruowaniem tratw, bez wątpienia przygotowując plan działań przeciwko Wolkom, wrogim tubylcom, którzy zgromadzili się na wschodnim brzegu rzeki. Bitwa, do której doszło, przyniosła zaskakujące wyniki. Hannibal posłał duży oddział w górę rzeki, który, niewykryty, przeprowił się na drugą stronę i zaskoczył Wolków uderzeniem od tyłu. – Klearchos złączył kciuk z palcem wskazującym. – Rozbili ich z łatwością. Potem Rodan pokonała prawie cała armia. Jedyne słonie pozostały na zachodnim brzegu.

– Wyobraź sobie, co by było, gdybyśmy znaleźli się tu tydzień wcześniej i mogli zagrozić im drogę w tym miejscu. Wojna dobiegłaby końca! – Sfrustrowany Scypion podniósł głos. Po chwili jednak na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech. – Niemniej wciąż jeszcze możemy mieć na to szansę. Klearchosie?

– To prawda, panie. Przerzucenie słońi zajmie im co najmniej dwa lub trzy dni. Może więcej. Kilka wcześniejszych prób nie zakończyło się powodzeniem.

– Świetnie. Przejdźmy do meritum. Potrzebuję kogoś, kto dobrze przyjrzy się armii kartagińskiej. Rzymskiego oficera. – Scypion spojrział na Klearchosa. – Chociaż nie jest moją intencją podważanie wiarygodności informacji otrzymanych od naszych sojuszników.

– Rozumiem, panie, i nie zamierzam brać tego do siebie – odpowiedział Klearchos, unosząc rękę.

– Oczywiście moi oficerowie gotowi byli z chęcią podjąć się tego zadania, ale moim zdaniem w tej roli najlepiej sprawdzi się doświadczony weteran walk z Kartagińczykami. Człowiek, który umie zachować rozsądek i opanowanie. Myślałem o tobie, Fabrycjuszu. Co ty na to?

Fabrycjusz zaczął szybciej oddychać. Czyżby Flakkus poprosił o to wyróżnienie i został odrzucony? To mogłoby wyjaśnić jego kwaśną minę.

– Na rozkaz, panie.

Scypion uśmiechnął się zadowolony.

– Ogromne znaczenie ma czas. Jeśli wyruszysz natychmiast, możesz wrócić do nas jutro wieczorem. Najpóźniej następnego dnia. Muszę znać liczebność sił wroga i dokładny skład armii Hannibala.

Fabrycjusz nie zamierzał zrezygnować z takiego wyzwania.

– Zrobię, co tylko będę mógł, panie.

– Ilu masz ludzi?

– Około dwustu pięćdziesięciu, panie.  
– Weź wszystkich. Klearchos cię poprowadzi. – Scypion spojrział na Massalińczyka. – Ilu jeźdźców masz do swojej dyspozycji?  
– Dwustu, panie. To doświadczeni żołnierze.  
– Powinno wystarczyć. – Scypion znów zwrócił się do Fabrycjusza. – Ty dowodzisz. Unikaj kontaktu z wrogiem, chyba że nie będzie innej możliwości. Wracaj szybko. Legiony wymaszerują zaraz po twoim powrocie.  
– Tak jest! – Fabrycjusz zasalutował. Klearchos również uniósł rękę w żołnierskim pozdrowieniu.

Zostawili konsula pochylonego nad mapą.

Fabrycjusz nie marnował czasu. Nie minęła godzina, a już prowadził dziesięć *turmae* – jednostek jazdy – w kierunku północnej bramy Massalii. Żałował, że nie było czasu, aby uzupełnić stan osobowy po ostatniej kampanii, ale jednocześnie cieszył się, że ma pod swoimi rozkazami samych doświadczonych wiarusów, którzy tak dobrze sprawdzili się latem. Jeźdźcy tworzący oddział, którym dowodził, byli rzymskimi obywatelami, ekwitami. Większość z nich ubrana była na grecką modłę, podobnie zresztą jak i on. Mieli beockie hełmy, spłowiałe, białe tuniki, wyróżniające się dwoma wąskimi purpurowymi paskami biegnącymi od ramion aż do samego dołu koszuli. Wszyscy jak jeden mąż nosili buty z utwardzanej skóry, całkowicie przykrywające stopy. Uzbrojeni byli w długie włócznie do dźgania i okrągłe tarcze kawalerii, wykonane z grubej, byczej skóry. Nieliczni dysponowali mieczami. Rzymskich jeźdźców wyróżniał też zwinięty w rulon ciężki płaszcz, zwany *sagum*, przydający się przy gorszej pogodzie, umieszczany za derką.

Klearchos ze swoim oddziałem czekał już na niego za murami miasta. Massalijska jazda była oddziałem nieregularnym, nic dziwnego więc, że trudno było znaleźć w nim dwóch tak samo ubranych żołnierzy. Niemniej hełmy, włócznie i małe tarcze upodabniały jeźdźców do rzymskich kawalerzystów. Fabrycjusz poczuł się pewniej, widząc, w jaki sposób Klearchos dowodzi swoimi ludźmi i jak oni reagują na jego rozkazy. *Wygląda na to, że będzie można na nich liczyć, jeśli doszłoby do starcia z wrogiem* – uznał Fabrycjusz.

Prowadzeni przez Massalińczyków skierowali się na północ. Zatrzymali dopiero wówczas, gdy zrobiło się za ciemno, aby kontynuować jazdę. Klearchos dobrze znał te okolice, ale przekonał Fabrycjusza, że mogą się natknąć na wrogie patrole, dlatego lepiej nie prowokować losu. Nie było sensu wystawiać się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, a nocna eskapada podpadała właśnie pod kategorię niepotrzebnego ryzyka. Fabrycjusz nie zamierzał oponować. Argumentacja Klearchosa wydawała się logiczna. Wydając rozkaz rozłożenia obozu na noc, zabronił rozpalania ognisk. Zadbał też o podwojenie liczby czujek wokół miejsca noclegu. Gdy jego żołnierze już dawno spali, Fabrycjusz zrobił obchód czujek, przysłuchując się odgłosom nocy. Ta misja miała kluczowe znaczenie dla losów przyszłej bitwy. Jeśli to oznacza, że będzie musiał obejść się bez snu, z łatwością się z tym pogodzi. Nie może sobie pozwolić na żaden błąd. Na szczęście jego uszy nie wychwyciły żadnych podejrzanych odgłosów. Ciszę nocy zakłócało tylko sporadyczne pohukiwanie sowy.

Zbudzili swoich ludzi na długo przed świtem. Czuło się rosnące napięcie. Jeźdźcy z obu oddziałów zdawali sobie sprawę, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż dziś natkną się na wroga. Po krótkiej wymianie zdań z Klearchosem Fabrycjusz zgodził się na wysłanie dziesięciu Massalińczyków, którzy jako straż przednia mieli wyprzedzać główne siły o milę. Towarzyszyła im jedna rzymska *turma*, pod dowództwem najlepszego dekuriona. Ludzie ci otrzymali jasne rozkazy: mieli natychmiast wrócić do oddziału, gdyby tylko natknęli się na siły Kartagińczyków.

Ta podyktowana przecuciem decyzja Fabrycjusza okazała się najlepszą, jaką

kiedykolwiek podjął.

Po mniej więcej godzinie Fabrycjusz ujrzał galopującego w ich kierunku jeźdźca. Zwiadowca pociągnął za cugle i ostro osadził konia tuż przed Fabrycjuszem i Klearchosem. Zasalutował.

Fabrycjusz wziął głęboki oddech.

– Raportuj!

– Zauważyliśmy grupę Numidyjczyków, panie. Może dwie mile stąd.

Fabrycjusz milczał. Miał złe wspomnienia z walk z lekko uzbrojonymi jeźdźcami afrykańskimi.

– Widzieli was?

Kawalerzysta się uśmiechnął.

– Nie, panie. Udało nam się schować za drzewami.

Fabrycjusz odetchnął z ulgą. To oznaczałoby, że nieprzyjaciel nie zdawał sobie jeszcze sprawy z istnienia ich oddziału. Na razie.

– Liczebność wroga?

– Łącznie jakieś trzysta ludzi, panie.

– To wszystko?

– Nie, panie. *Decurio* powiedział, żeby przekazać, że w odległości mili znajduje się zagajnik, który idealnie nadaje się na zasadzkę. Jeśli reszta oddziału przyspieszy, może zająć dogodne pozycje, zanim dotrą tam Numidyjczycy.

Fabrycjusz poczuł suchość w ustach. Scypion nakazał mu wystrzegać się konfrontacji za wszelką cenę. Czy jednak w tej sytuacji da się uniknąć starcia? Jeśli pozwoli temu oddziałowi wyjść na swoje tyły, jego misja zwiadowcza może być zagrożona. Fabrycjusz, świadomy tego, że wpatruje się w niego wielu ludzi, zamknął oczy.

– Trzystu mówisz...

– Tak jest, panie.

Fabrycjusz podjął decyzję. Mieli przewagę. Czterystu pięćdziesięciu na trzystu. Wystarczy. Otworzył oczy, położył dłoń na głównej rękojeści miecza i ucieszył się, widząc, że Klearchos kiwa głową energicznie na znak zgody.

– Ruszajmy zatem. Zabierz nas do tego zagajnika.

Niedługo później Fabrycjusz mógł przyjrzeć się miejscu zasadzki z perspektywy niewielkiego wzniesienia nad wąską ścieżką prowadzącą przez mały, rzadki las. Dzięki rozsądnej podpowiedzi Klearchosa cały patrol wszedł w las spory kawałek przed miejscem zasadzki. Numidyjczycy znajdują się w pułapce na długo przed tym, nim dostrzegą ślady kopyt koni z ich większego oddziału. Przynajmniej taką miał nadzieję. Fabrycjusz żałował, że nie mogą ukryć się lepiej ani nie mają dość czasu na zatarasowanie drogi, aby zapobiec ucieczce Numidyjczyków z kolumny. Każda taka próba mogłaby skończyć się przedwczesnym ujawnieniem, dlatego Fabrycjusz wolał dmuchać na zimne. No, ale musieli zaufać bogom. Rozejrzał się na boki. Na twarzach towarzyszących mu rzymskich jeźdźców widział to samo napięcie, które musiało malować się również na jego twarzy.

Wcale im się nie dziwił.

Wkrótce skrzyżują miecze z oddziałem kartagińskim. Zetrą się z wrogiem, który od ponad dwudziestu lat nie podejmował żadnych agresywnych działań przeciwko Rzymowi. Na dodatek nie znajdowali się na Sycylii, która od dawna była kością niezgody i terenem większości walk toczonych przez arcywrogów. Stało się coś, w co Fabrycjusz wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć. Hannibal przemierzył Galię i znajdował się u granic Italii! W myślach strofował się już za to rozkojarzenie. Teraz najważniejsze jest to, aby jego ludzie nie zostali zbyt wcześnie

zauważeni, bo gdy opuści ich szczęście, Numidyjczycy umkną z tak przemyślnie zastawionej pułapki.

Następne ćwierć godziny ciągnęło się w nieskończoność. Wpatrywał się uparcie w punkt, w którym ścieżka skrywała się w cieniu zagajnika, ignorując ciche pobrzękiwanie oporządzenia jeźdźców, podobnie jak śpiew ptaków na gałęziach nad nimi. Nie mógł nic poradzić na odgłosy wydawane przez jeźdźców z oddziału. Jakiś koń uderzył podkową w kamień, najwyraźniej niecierpliwiąc się na równi z dosiadającym go jeźdźcem. Ktoś zakaszłał głośno, ściągając na siebie gromy najbliższego oficera. Fabrycjusz spojrział na ekwitę karcącym wzrokiem, ale szybko znów skupił wzrok na ścieżce. Miał wrażenie, że dostrzegł jakiś ruch. Zamrugał. Uniósł rękę, wskazując kierunek, z którego nadchodzili wrogowie.

– Pssst... – obrócił się do mężczyzn stojących po obu stronach, nakazując gestem, by zachowali ciszę. Przez linię oczekujących na rozkaz do ataku przeszedł dreszcz.

Skonsternowany stwierdził, że parę zwiadowców, którzy zagłębiali się teraz coraz bardziej w las, dzieliła od reszty oddziału niewielka odległość. Numidyjczycy nie różnili się od tych, z którymi Fabrycjusz walczył na Sycylii: ciemnoskórzy, zwinni, atletycznie zbudowani. Dosiadali małych koni bez siodeł, uzd i wędzideł. Ich luźne tuniki były mocno wycięte w okolicach ramion i tam zebrane, a ponadto przepasywali je. Za uzbrojenie służyły im oszczepy oraz lekkie, okrągłe tarcze bez umb. Zamiast rozglądać się za niebezpieczeństwem, zajęci byli rozmową. *Ponieważ okolice wydawały się opuszczone* – pomyślał z zadowoleniem Fabrycjusz – *wcale im się nie dziwię*. Dawniej sam popełniał takie błędy, ale miał to szczęście, że uchodziło mu to płazem.

Zajęci rozmową zwiadowcy nie rozglądali się po łagodnych stokach wzniesienia, na których ukryli się Rzymianie i Massalijczycy. Fabrycjusz wstrzymał oddech, obliczając odległość. Osiemdziesiąt, potem pięćdziesiąt kroków. Pierwsze szeregi Numidyjczyków minęły właśnie drzewa zagajnika. W umyśle Fabrycjusza pojawiły się obrazy z kampanii sycylijskiej. Ci jeźdźcy tworzyli najlepszą jazdę na świecie, mimo że na pierwszy rzut oka wcale nie wyglądali na śmiertelnie groźnych przeciwników. Jako zwinni, niezwykle sprawni konni harcownicy świetnie sprawdzali się w walce na dystans, atakując z zaskoczenia, zadając duże straty i umykając przed sfrustrowanym wrogiem. Fabrycjusz przekonał się na własnej skórze, że Numidyjczycy byli jeszcze bardziej niebezpieczni w czasie pościgu za zdemoralizowanym przeciwnikiem.

Było jeszcze za wcześnie, aby rozkazać atak. Do lasu musiało wjechać możliwie najwięcej Numidyjczyków. Drzewa utrudnią im wydostanie się z pułapki. Jednocześnie z każdą chwilą rosło ryzyko jej odkrycia. Fabrycjusz czuł obręcz zaciskającą się boleśnie na jego żołądku, ale nie ośmielił się poruszyć. Gdy wśród drzew znalazły się dwie trzecie oddziału wroga, rozejrzał się ostrożnie i stwierdził, że ludzie znajdowali się u kresu cierpliwości, gotowi rzucić się na wroga w każdej chwili bez rozkazu. Sam zresztą nie mógł już wytrzymać tego napięcia.

– Do ataku! – wykrzyknął najgłośniejszym głosem, spinając konia. – Za Rzym!

Za nim do ataku ruszyła ława dwustu pięćdziesięciu jeźdźców. Chwilę później również na przeciwległym stoku zaroilo się od kawalerzystów Klearchosa, wyjątych wniebogłosy.

Fabrycjusz z zadowoleniem obserwował, jak na twarzach ciemnoskórych jeźdźców pojawiał się wyraz oszołomienia i niedowierzania. Przecież to oni byli znani z urządzania zasadzek. To oni spadali na nic niepodjętą walkę z wrogiem. A nie odwrotnie! Zaskoczeni, zmuszeni do walki z dominującym liczebnie przeciwnikiem, uderzającym na dodatek szybko i z przewagą wysokości, natychmiast zaczęli zawracać, aby umknąć z kotła. Po kilkunastu uderzeniach serca na trakcie zapanował kompletny chaos. Chociaż część tych jeźdźców, którzy



jeszcze nie zdążyli wjechać do zagajnika, już rzuciła się do ucieczki, zdecydowana większość została uwięziona między krzakami i drzewami zagajnika. Przestraszone konie rżały ze strachu, a oficerowie wykrzykiwali sprzeczne rozkazy. Tylko nieliczni chwyтали za broń i stawiali opór. Cała reszta myślała tylko o tym, jak wyrwać się z matni. Fabrycjusz powstrzymywał się, żeby nie śmiać się w głos, choć i tak odstąpił zęby w radosnym grymasie. Atakujący znaleźli się w odległości trzydziestu kroków od wroga, nie ponosząc żadnych strat, a ich sytuacja poprawiała się z każdym krokiem. Numidyjska jazda świetnie sprawdzała się w roli oddziałów szarpiących i atakujących z zaskoczenia, ale nie radziła sobie najlepiej w walce na krótki dystans.

– Gotuj włócznie! – wykrzyknął Fabrycjusz. – Zabijcie, ilu się da. Rzuć!

Jego ludzie – rycząc w pełnym pędzie – natychmiast wykonali rozkaz.

Ostatni Numidyjczycy umykali, rzucając za plecy pełne strachu spojrzenia. Fabrycjusz liczył pobieżnie ciała leżące pokotem na tracie i w cieniu drzew na poboczach. Wychodziło mu, że ponad stu wrogów zostało zabitych lub poważnie rannych podczas krótkiego pierwszego starcia. Rzymianie i Massalijczycy ponieśli dwa razy mniejsze straty. Biorąc pod uwagę okoliczności, wynik ten można było uznać za bardziej niż zadowolający. Fabrycjusz wychwycił spojrzenie Klearchosa i skinął na niego.

– Musimy ruszyć za nimi. Trzymajcie się blisko, bo w przeciwnym razie nie będziemy mieli szans, aby przyjrzeć się armii Hannibala.

Klearchos kiwnął głową, dając znak, że rozumie plan dowódcy.

– Ranni, panie?

– Poradzą sobie sami. Dogonimy ich w drodze powrotnej.

– Tak jest, panie. – Klearchos spiął konia i ruszył, aby przekazać rozkaz swoim ludziom.

– Klearchosie?

– Tak?

– Nie próbuj już podejmować walki z wrogiem. Przedłużające się starcie w tych warunkach może łatwo doprowadzić do jakiegoś nieszczęścia, zwłaszcza gdy natkniemy się na liczniejszy oddział. Nasza misja jest ważniejsza niż zabicie kilku Numidyjczyków. Zrozumiano?

Klearchos rozciągnął usta w uśmiechu, odsłaniając białe zęby.

– Oczywiście, panie. Scypion czeka na wieści.

Wkrótce wszyscy ludzie zdolni do walki uformowali kolumnę. Fabrycjusz i Klearchos zajęli pozycję na czele. Ruszyli, nie oglądając się za siebie. Tym razem nie próbowali wysłać przodem zwiadowców. Jechali czwórkami najszybciej, jak się dało, świadomi, że istnieje małe prawdopodobieństwo, iż spanikowani Numidyjczycy zawrócą i będą chcieli ich zaatakować. Wkrótce ostatni jeździec wroga zniknął z krzykiem za wzniesieniem. Fabrycjusz od razu wydał rozkaz przerwania pościgu i zmniejszenia tempa. Ulżyło mu, gdy przekonał się, że żołnierze wykonali rozkaz bez sprzeciwu. Jakże często bowiem słaba dyscyplina prowadziła do przegranej w bitwie.

Pokonali około pięciomilowy odcinek wijącego się traktu, podążając śladem Numidyjczyków. Płaski teren i twarda nawierzchnia drogi sprawiały, że pościg nie był trudny. Fabrycjusz nie miał pojęcia, jaka odległość dzieli ich od Rodanu, ale gdy dotarli do niewielkiego, pokrytego skałami wzniesienia, górującego nad zalesioną okolicą, podjechał do niego Klearchos z ostrzeżeniem.

– Rzeka znajduje się po drugiej stronie tej góry, panie.

Fabrycjusz natychmiast uniósł rękę, zatrzymując kolumnę.

– Stać! – Gdy jego rozkaz został przekazany do dalszych szeregów, spojrział poważnie na dowódcę Massalijczyków. – Pojedziemy tam tylko my dwaj.

Klearchos wyglądał na zaskoczonego.

- Jesteś pewien, panie? Na grzbiecie wzniesienia mogą być czujki.
- Ruszyli za uciekającymi Numidyjczykami! – pewnym głosem stwierdził Fabrycjusz. –

A gdy wrócimy pędem na dół, chcę, aby wszyscy byli gotowi do szybkiego opuszczenia tego miejsca, a nie objali się na wąskiej ścieżce.

Klearchos zamrugał. Na jego ustach pojawił się kpiący uśmiešek.

- Myślę, że nasza dwójka przeciwko całej armii jest równie dobra, jak kilkuset jeźdźców.

Fabrycjusz klepnął się w udo i ponownie się uśmiechnął.

– Taka postawa mi się podoba! – Zwrócił się do najbliższego dekuriona. – Pozwól ludziom odpocząć. My sprawdzimy, co kryje się po drugiej stronie wzgórza. Chcę, żebyście byli gotowi do natychmiastowego opuszczenia tego miejsca, gdy wrócimy.

- Tak jest, panie!

Fabrycjusz pierwszy ruszył ścieżką prowadzącą na szczyt wzgórza. Z zaskoczeniem stwierdził, że dawno nie był tak bardzo zdenerwowany. Nigdy nie myślał, że będzie pierwszym Rzymianinem, któremu przyjdzie widzieć armię Hannibala w całej krasie. A mimo to... Właśnie miał się przekonać, czy w doniesieniach zwiadowców z greckiej kolonii było ziarno prawdy.

Gdy zbliżali się do szczytu, zauważyli ślady pozostawione przez obserwatorów z wrogiego posterunku: kamienny krąg wokół żaru, nad którym wciąż unosiła się smużka dymu, a na trawie porzucone najwyraźniej w pośpiechu koce. Zsiadli z koni i je uwiązali, zanim ruszyli na grań. Fabrycjusz natychmiast instynktownie padł na brzuch. Gdy ostrożnie wyjrzał zza wzniesienia, zobaczył grupę rozwrzeszczanych Numidyjczyków pędzących po stoku. Próbowano za nimi nadążyć kilku czy kilkunastu pieszych wojowników. To musieli być strażnicy z opuszczonych posterunków, podobnych do tego, który minęli. Fabrycjusz uśmiechnął się z zadowoleniem, jednak otworzył usta ze zdziwienia, gdy dotarło do niego to, co ujrzał w dolinie.

Środkiem doliny wiała się szeroka rzeka. To musiał być Rodan. Może ze sto kroków od brzegu ustawione były w rzędzie namioty wroga ciągnące się aż po horyzont. Fabrycjusz dobrze znał rozkład obozów legionów, mogących pomieścić pięć lub nawet dziesięć tysięcy ludzi. Gąszcz namiotów, który rozciągał się przed nim, nie przypominał regularnego fortu tymczasowego legionu, był znacznie większy. Ponad dwukrotnie większy niż obóz armii konsularnej, która liczyła około dwadzieścia tysięcy żołnierzy.

– Nie przesadzałeś. Ten obóz jest ogromny! – zwrócił się półgłosem do Klearchosa. – Scypion powinien był wyruszyć, bazując na twoich doniesieniach. Mogliśmy zaskoczyć tych drani w czasie przeprawy.

Massalijczyk był wyraźnie zadowolony z pochwały.

Fabrycjusz z wielką uwagą przyglądał się obozowisku, notując wszystko w pamięci. Hannibal dysponował zdecydowaną przewagą w kawalerii, co Fabrycjusz uznał za stan niepokojący. To była niezwykle ważna wiadomość, wszystkie inne błędy w porównaniu z nią. Poza tym w skład sił zgromadzonych przez Hannibala wchodziły dobrze znane Rzymianom jednostki: libijscy włócznicy i harcownicy, procarze z Balearów, numidyjska i iberyjska kawaleria. Najwięcej było piechoty, w większości składającej się ze *scutarii* i *caetrati*. No i budzące postrach w rzymskich szeregach słonie, używane do przełamywania formacji wroga, w przeszłości z powodzeniem wykorzystywane w konfrontacjach z Rzymianami. Około dwudziestu tych wielkich bestii znajdowało się już na bliższym brzegu rzeki.

– Bogowie... – szepnął Fabrycjusz z wyraźnym respektem. – Jak, na Jowisza, przetransportowali je przez rzekę?

Klearchos dotknął jego ramienia i wyciągnął rękę.

- Użyli tych barek...

Fabrycjusz skupił wzrok na dwóch wielkich drewnianych platformach, przeciąganych

teraz na drugą stronę rzeki przez kilka łodzi wiosłowych. Po drugiej stronie na przeprawę czekało jeszcze kilkanaście słoń. Kartagińczycy skonstruowali ogromną przystań, na którą składała się podwójna linia kwadratowych pomostów, wchodzących jakieś sześćdziesiąt kroków w bystry nurt rzeki. Tę prowizoryczną konstrukcję zabezpieczały dziesiątki lin i sznurów łączących ją z drzewami rosnącymi na brzegu rzeki. Fabrycjusz potrząsnął głową, wyobrażając sobie ogromną pracę, jaką trzeba było włożyć, aby skonstruować takie molo.

– Słyszałem, że słonie są inteligentnymi stworzeniami. Na pewno niełatwo przekonać je do tego, aby weszły na taką niepewną, uginającą się pod ich ciężarem tratwę.

Klearchos zmrużył oczy od słońca.

– Wydaje mi się, że pomost został przysypany warstwą ziemi. Może właśnie po to, aby wyglądał jak część brzegu?

– Cwane skurczybyki... Prowadzą je na nabrzeże, a potem dalej, na tratwy. Uwalniają te pomosty transportowe, a potem po prostu wyprowadzają słonie na drugi brzeg. – Fabrycjusz przyglądał się operacji przerwania zwierząt jak urzeczony. Właśnie jeden z kornaków prowadził słonia powoli po ścieżce po stoku wiodącym ku rzece. Nawet z daleka dobrze widzieli, że stworzenie nie było zbyt szczęśliwe. Co pewien czas dawało wyraz swojemu niezadowoleniu, trąbiąc rozdzierająco. Po przejściu jednej trzeciej długości pomostu słoń zatrzymał się w miejscu i nie chciał ruszyć dalej. Grupa podążających za słoniem mężczyzn usiłowała zmusić go do dalszego marszu. Ludzie zaczęli krzyczeć i uderzać w bębny i cymbały. Tymczasem słoń, zamiast wejść na tratwę przymocowaną na końcu pomostu, wskoczył do wody. Nieszczęsny kornak krzyknął rozpaczliwie i zniknął w wodnej kipieli. Fabrycjusz zamknął oczy. *Co za śmierć.* Gdy znów spojrzał na rzekę, ujrzał słonia uparcie pokonującego fale. Ta scena zupełnie go pochłonęła. Nigdy wcześniej nie miał okazji obserwować czegoś tak niezwykłego.

Nagle Klearchos chwycił go za ramię.

– Numidyjczycy podnieśli alarm, panie.

Fabrycjusz przeniósł wzrok na obóz po ich stronie rzeki i rosnący tam ruch. Wielu z jeźdźców wskazywało na wzgórze, na którym się zaczęli. Dochodziły do nich okrzyki pełne gniewu. Uśmiechnął się żałośnie.

– Czas się zbierać. Scypion czeka na wieści. Dobre i złe.

Fabrycjusz ucieszył się, że Scypion, wysłuchawszy jego relacji, zdecydował się działać błyskawicznie. Konsul nie bał się konfrontacji. Ze względów bezpieczeństwa rozkazał zapakować ciężkie wyposażenie legionu na kwinkweremy, a sam poprowadził armię na północ, aby jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeprawy. Niemniej jednak, gdy legiony oraz sojusznicy Rzymu dotarli do miejsca, gdzie Kartagińczycy przekroczyli rzekę, od czasu potyczki minęły całe trzy dni. Wielce rozczarowani stwierdzili, że wojska Hannibala opuściły obóz. Oprócz tysięcy dawno wygaszonych ognisk jedynym śladem życia były przemykające gdzieś gdzieś szakale, szukające resztek, i niezliczone drapieżne ptaki.

Hannibala nie było. Aby uniknąć bitwy, ruszył na północ.

Scypion z trudem ukrywał zdumienie.

– Kto by pomyślał? – mrucał pod nosem. – Kieruje się w stronę Alp, chce wejść do Galii Przedalpejskiej.

Fabrycjusz również nie mógł wyjść z podziwu. Nie znał nikogo, kto brałby pod uwagę możliwość realizacji takiego planu przez Hannibala. Genialna w swojej prostocie koncepcja była dla nich jednak kompletnym zaskoczeniem. Tylko zrządzenie losu sprawiło, że w ogóle znaleźli się w tym miejscu. Teraz Scypion stanął przed trudnym wyborem.

Konsul natychmiast zwołał radę starszych oficerów na brzegu rzeki. Oprócz Gnejusza, jego legata, uczestniczyło w niej dwunastu *tribuni militi*, po sześciu z każdej regularnej jednostki

legionowej. Zgodnie z tradycją w co drugim legionie służyło trzech starszych trybunów, czyli ludzi, którzy mieli za sobą co najmniej dziesięć lat służby, podczas gdy w pozostałych jednostkach manipularnych znajdowało się dwóch. Z kolei młodszy trybunowie mogli mieć tylko pięć lat służby. Znakiem czasów i wpływów rodziny *Minucii* było to, że Flakkus, który nie uczestniczył jeszcze w żadnej kampanii, otrzymał stanowisko młodszego trybuna. Fabrycjusz brał udział w naradzie jako dowódca patrolu zwiadowczego. Był mocno zdenerwowany z powodu obecności tylu starszych oficerów.

– Mamy do wyboru cztery drogi. Wszystkie trudne – zaczął Scypion. – Możemy ruszyć w pościg za Hannibalem i zmusić go do walki albo wycofać się na wybrzeże i ruszyć z całą armią do Galii Przedalpejskiej. Trzecie rozwiązanie zakłada wysłanie senatowi ostrzeżenia o zamierzeniach Hannibala, zanim udamy się do Iberii zgodnie z pierwotnymi rozkazami. Albo... Mogę osobiście udać się do Rzymu, powierzając legiony Gnejuszowi, który pociągnie na zachód. – Konsul rozejrzał się po twarzach zgromadzonych oficerów, czekając na ich stanowisko.

Fabrycjusz po zastanowieniu uznał, że najlepiej byłoby wybrać drugi lub czwarty wariant, ale nie miał zamiaru odzywać się, zanim nie przemówi któryś ze starszych stopniem. Gdy cisza przedłużała się, stało się jasne, że żaden z nich nie chce odezwać się pierwszy. Fabrycjusz zżymał się na doradców. To był jeden z kluczowych momentów, decydujących o przyszłości Rzymu, a żaden z nich nie chciał przemówić, żeby przypadkiem nie okazało się, że nie ma racji! Żaden... Jeśli nie liczyć młodszego trybuna. Flakkus nie potrafił spokojnie ustać w miejscu, przebierał nogami, jak człowiek opętany przez jakiegoś demona. Fabrycjusz z trudem powstrzymywał złość. Prawdopodobnie Flakkus jeszcze nie otworzył ust tylko dlatego, że nie chciał naruszyć protokołu, wyskakując jak filip z konopi przed pięcioma starszymi trybunami. W końcu Scypion się zniecierpliwił.

– No, dalej! Możecie mówić, nie lękając się kary. Chcę wiedzieć, co naprawdę myślicie.

Gnejusz odchrząknął.

– Zgodnie z teorią sztuki militarnej powinniśmy natychmiast uderzyć na Hannibala. Mam jednak wątpliwości, czy to jest najlepsze rozwiązanie.

– Wiemy, że dysponuje dwukrotną przewagą w ludziach, panie – dodał starszy trybun. – Co by się stało, gdybyśmy nie zdołali go powstrzymać lub przegrali bitwę? Umocnienia Massalii nie wytrzymają oblężenia. Wszystkie legiony są zaangażowane na innych frontach, w Galii Przedalpejskiej i na Sycylii z konsulem Longusem. Nie możemy liczyć na żadne wsparcie.

*Rozsądne słowa* – pomyślał Fabrycjusz. Zaskoczony stwierdził jednak, że Flakkus poczerwieniał z oburzenia.

Wtedy zabrał głos inny trybun, mężczyzna zdaje się najstarszy w tym gronie. Wyszedł na środek i przemówił, z trudem hamując wściekłość.

– Czy informacje dotyczące sił wroga naprawdę mają tak wielkie znaczenie, panie? Nasi legionieści to najlepsi żołnierze na świecie! Nieraz już wygrywaliśmy bitwy, gdy musieliśmy mierzyć się z kilkakrotnie większym wrogiem. I jakże często była to właśnie armia kartagińska. Dlaczego nie mielibyśmy sięgnąć po wiktoryę przeciwko temu tam... *Hannibalowi*? – Imię wodza armii kartagińskiej wymówił, nie kryjąc pogardy. – Powiadam wam, że powinniśmy ruszyć za nim i rozgnieść tego zdradzieckiego węża naszymi sandałami, zanim dotrze do Galii Przedalpejskiej i ukąsi Rzym w piętę.

Trudno było zareagować na ostre słowa trybuna, nie ryzykując oskarżenia o sianie niepatriotycznego defetyzmu, a legat i trybun, którzy pierwsi zabrali głos, milczeli teraz jak niepyszni. Nawet Gnejusz wydawał się mniej pewny. Naturalnie Flakkus promieniał i kiwał głową. Zwracał się do swoich młodszych kolegów, licząc na ich wsparcie. Scypion wpatrywał się

w bystry nurt rzeki, pocierając w zamyśleniu ręką brodę. Wszyscy czekali na to, co powie.

*Rzymscy legionści naprawdę nie mają sobie równych – myślał Fabrycjusz – ale siły kartagińskie opuszczające ten obóz były prowadzone przez mężczyznę, który w ciągu niecałego roku opanował znaczną część Iberii, przeszedł przez góry do Galii i mimo broniących drugiego brzegu wrogich mu plemion z powodzeniem przeprowadził całą armię przez ogromną rzekę, włącznie ze swoimi słoniami. Pościg za Hannibalem może okazać się katastrofalny w skutkach.*

Scypion długo milczał. W końcu przeniósł wzrok na oficerów.

– Wydaje mi się, że podążanie za tak licznym wrogiem przez nieznaną terytorium byłoby nierozsądne. Jak już ktoś raczył powiedzieć, jesteśmy tu sami, jeśli nie liczyć naszych sojuszników z Massalii, którzy dysponują siłami nie większymi niż kilka tysięcy ludzi. Musimy pogodzić się z tym, że w ciągu dwóch miesięcy Kartagińczycy wejdą do Galii Przedalpejskiej – ciągnął Scypion, ignorując pełne zaskoczenia sapnięcia bardziej agresywnie nastawionych oficerów. – Nie zapominajmy też o tym, gdzie znajduje się główna baza zaopatrzeniowa Hannibala. Jeśli odetniemy go od zapasów pożywienia i możliwości uzupełnień, jego szanse na zakończoną sukcesem kampanię znacznie spadną. Mając to na uwadze, proponuję przekazanie dowództwa armii konsularnej mojemu bratu, by poprowadził ją do Iberii. – Scypion przerwał na chwilę na widok ukłonu Gnejusza, który przyjął do wiadomości jego decyzję. – Ja wrócę do Italii najszybciej, jak to tylko będzie możliwe. Chciałbym powitać Hannibala, gdy ten zejdzie z alpejskich przełęczy. W ten sposób rozwiążemy oba nasze problemy. Jeśli bogowie pozwolą...

Zdecydowanie Scypiona zostało dobrze przyjęte przez większość trybunów, którzy kiwali głowami na znak, że zgadzają się z oceną wodza. Tylko najstarszy z nich oraz Flakkus wydawali się niepokieszeni. Ten pierwszy był wystarczająco doświadczony, aby wiedzieć, że nie powinien już zabierać głosu, gdy decyzja została podjęta. Flakkus jednak był przeciwnieństwem rozważnego trybuna. Ignorując ostrzegawcze spojrzenie Fabrycjusza, zrobił dwa kroki, zbliżając się do Scypiona.

– Przemysł to jeszcze raz, panie! Hannibal może zyskać wielu sojuszników wśród niezadowolonych plemion w Galii Przedalpejskiej. Gdy następnym razem staniesz przeciwko jego armii, może być znacznie większa niż dziś.

Scypion uniósł brwi na widok zuchwałego wystąpienia Flakkusa.

– Czyżby? – zapytał lodowatym głosem.

Fabrycjusz rozumiał wagę argumentu przyszłego zięcia, ale też dobrze wiedział, że wybrał on niewłaściwy moment na wygłaszanie swojego zdania. To był czas, aby zamilknąć i przyjąć rozkazy. Rozzłoszczenie konsula nie było zbyt mądrym posunięciem. Flakkus udał, że nie zauważył ostrzegawczego spojrzenia Fabrycjusza.

– Tak, panie! Zaklinam cię na honor Rzymu! Musisz ruszyć za Hannibalem i pokonać go. Pomyśl o tym, jakim wstydem się okryjemy, gdy pozwolimy, aby wróg, zwłaszcza kartagiński, postawił stopę na latyńskiej ziemi. – Do Flakkusa powoli zaczęło docierać, że się zagalopował. Rozejrzał się po zdumionych i wystraszonych jego wybuchem oficerach. Zawahał się. Potem uznał, że powinien poszukać wsparcia. Nie znalazł go wśród swoich towarzyszy i jego spojrzenie wreszcie zatrzymało się na Fabrycjuszu. – Zgadzasz się ze mną, prawda?

Nagle Fabrycjusz znalazł się w centrum uwagi. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Gdyby się zgodził, stałby się współwinny rozdrażnienia konsula. Gdyby nie poparł Flakkusa, zaszkodziłby nowo powstałemu sojuszowi z rodziną *Minucii*. Każde wyjście wydawało się złe.

Na szczęście interweniował sam Scypion.

– Najpierw uznałem, że przemawia przez ciebie odwaga, bo mówisz szczerze, co myślisz. Teraz jednak widzę, że to raczej arogancja. Jak śmiesz mówić o honorze Rzymu, gdy nigdy jeszcze nie użyłeś miecza w jego obronie? Jako jedyny z tu zgromadzonych, jak mniemam. –

Krew napłynęła Flakkusowi do twarzy, sprawiając, że poczerwieniał ze wstydu. – Jeśli chcesz wiedzieć, mnie także bardzo nie podoba się wizja wroga na rzymskiej ziemi. Jednak nie ma żadnego wstydu w oczekiwaniu na przeciwnika, aby zmierzyć się z nim na swoich warunkach. W Galii Przedalpejskiej będziemy mieli do dyspozycji całe zasoby republiki.

– Przepraszam, panie – mruknął Flakkus. – Odezwałem się w niewłaściwym momencie.

– Gdy następnym razem zapragniesz się zbłaźnić, nie próbuj się wykpić, prosząc młodszego oficera, takiego jak Fabrycjusz, aby stanął po twojej stronie i sprzeciwił się konsulowi. – Scypion zdawał się nie przyjmować tych przeprosin. – To jest haniebne zachowanie.

Po tych słowach Scypion opuścił namiot narad w towarzystwie Gnejusza. Pozostali trybunowie zaczęli wymieniać między sobą opinie, sprawiając wrażenie, jakby celowo ignorowali Flakkusa.

Na szczęście zawstydzony i zajęty sobą nobil uznał, że Fabrycjusz miał takie samo zdanie jak on. Dołączył do niego w drodze do oddziałów, skarżąc się gorzko, że został publicznie upokorzony. Fabrycjusz dziękował bogom, że nie musiał w tej wymianie zdań zajmować stanowiska. Wcześniej nie przyjmował do wiadomości niepokoju Atii, uznając go za wymysł kobiecej wyobraźni, ale ostatecznie wydarzenia dobitnie pokazały, że Flakkus nie tylko potrafi być zbyt arogancki, ale też chwilami nie umie z zimną krwią trafnie ocenić sytuacji, sprawiając wrażenie jakby zupełnie nieświadomego tego, co się wokół niego dzieje. Czy to była mieszanka, która mogła okazać się niebezpieczna? Do czego jeszcze był zdolny ten człowiek?

## Rozdział XV



Bostar wyłonił się z namiotu – obejmował się ramionami, aby rozgrzać nieco ciało w porannym chłodzie. Spoglądał zafascynowany na wysokie góry, które zdawały się wyrastać wprost przed nim. Szczyty ciągnęły się z północy na południe, górując nad żyzną równiną i przysłaniając cały wschodni horyzont. Niższe stoki wyścielał gęsty dywan drzew sosnowych. Gdzieś tam wśród nich kryły się szlaki do serca Italii. Niebo było bezchmurne i jasne, a ostre granie szczytów ginęły w szarych pasmach nisko przesuwających się chmur. Mimo wszystko widok zapierał dech w piersiach.

– Piękny obrazek, co?

Bostar drgnął. Wprawdzie niewielu żołnierzy kręciło się wokół namiotów, ale nie zdziwił się zbyt, widząc, że jego ojciec był już na nogach.

– Niesamowity, to prawda.

– I musimy je przekroczyć. – Malchus się skrzywił. – Przeprowa przez Rodan wydaje się przy tym spacerkiem, prawda?

Bostar roześmiał się cicho. Niezbyt szczerze. Nie uwierzyłby, gdyby ktokolwiek powiedział mu coś takiego kilka tygodni wcześniej. Niemniej spoglądając na ostre zbocza gór, wiedział, że ojciec ma wiele racji. Pomysł, żeby ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi, tysiące zwierząt jucznych i trzydzieści siedem słoń wdarło się na wysokość przeznaczoną tylko dla bogów i demonów, można było nazwać genialnym. Lub szalonym. Bostar rozejrzał się wokół, czując lekkie ukłucie niepewności, czy taka myśl nie jest przypadkiem aktem nielojalności w stosunku do Hannibala. Zaskoczył go widok zbliżającego się do nich Sapho. Po kłótni nad brzegiem Rodanu bracia się pogodzili. Przynajmniej oficjalnie. Ich pojednanie było jednak właściwie tylko pozorne, gdyż chcieli uspokoić ojca. Unikali się, jeśli tylko mogli. Bostar zmusił się do uśmiechu.

– Witaj, Sapho. – Chociaż bardzo się silił na obojętność, dotknęło go to, że Sapho odpowiedział tylko oficjalnym salutem.

– To chyba nie jest konieczne, co? – zwrócił mu ostro uwagę Malchus.

– Przepraszam – odpowiedział Sapho bez namysłu. – Jeszcze śpię...

– Tak, to niespecjalnie twoja pora, co? – zauważył cierpko Bostar. – Przyjemniej jest budzić się po południu.

– Wystarczy! – uciął krótko ich wymianę zdań Malchus, zanim Sapho zdążył odpowiedzieć w tym samym tonie. – Dlaczego nie możecie w stosunku do siebie zachowywać się jak cywilizowani ludzie? Dzieją się znacznie ważniejsze rzeczy niż te wasze animozje.

Jak zwykle po wybuchu ojca zamilkli. Zupełnie nieoczekiwanie pierwszy odezwał się Sapho.

– O czym rozmawialiście?

– O nich. – Bostar poczuł się zobowiązany do udzielenia odpowiedzi, wskazując góry.

– One przyniosą nam nieszczęście. – Na twarzy Sapho pojawił się grymas niechęci. – Zginie tam mnóstwo ludzi. Czuję to. – Złożył palce w znak ochrony przed złem.

– Od czasu przekroczenia Rodanu szczęście nam sprzyja – zaprotestował Bostar. – Rzymianie nie ruszyli w pościg. Potem plemię Cavares ofiarowało nam żywność, buty i ciepłą odzież. Po wejściu na kontrolowane przez nich terytorium ich wojownicy chronią nas przed atakami Allobrogów. Dlaczego myślisz, że bogowie się od nas odwrócą?

– Rok dobiega końca. Wkrótce nadejdzie zima. To wielkie zadanie, ponad ludzkie możliwości. – Mówiąc to, Sapho pomyślał: *Nieosiągalne do wykonania. Tam czeka nas piekło.* Nigdy nie czuł się zbyt dobrze na dużych wysokościach, a myśl o wspięciu się na szczyty Alp, zwłaszcza późną jesienią, napawała go szarpiącym serce lękiem. Oczywiście nie mógł się do tego przyznać, podobnie jak nie mógł krytykować Hannibala za wybór tak trudnej drogi albo za faworyzowanie Bostara. Wskazał głową południe. – Powinniśmy byli ruszyć do Italii wzdłuż wybrzeża Galii.

– To oznaczałoby konieczność stoczenia walnej bitwy z armią, na którą natknęliśmy się nad Rodanem, czego Hannibal wolał uniknąć. – Mimo że Bostar chciał mocno wierzyć w swoje słowa, sam też miał wątpliwości dotyczące decyzji podjętych przez wodza. Członkowie przyjaźnie nastawionego plemienia Cavares wracali już do domów, a im pozostała tylko jedna droga. Ku szczytom. Nie dało się zaprzeczyć, że czekała ich trudna przeprawa. Na szczęście Malchus postanowił interweniować.

– Nie chcę już słyszeć, że toczycie taką dyskusję. To źle działa na morale armii! – Malchus dzielił obawy swoich synów, ale nikomu by się do tego nie przyznał. – Musimy wierzyć w Hannibala, tak jak on wierzy w nas. Wczoraj wyglądał na przekonanego o słuszności swojej decyzji, czyż nie? – Malchus spojrzał synom w oczy.

– Tak, ojczu – odezwał się Sapho.

– Wcale *nie musi* przechadzać się wśród obozowych ognisk przez pół nocy, dzieląc się z żołnierzami posiłkiem i słuchając historii ich nędznego życia – przekonywał stanowczym głosem Malchus. – Nie sypia z nimi owinięty tylko w płaszcz ze względu na swoje zdrowie! Hannibal robi to, bo kocha swoich żołnierzy tak bardzo, jakby byli jego dziećmi. Powinniśmy odwzajemnić się za tę miłość naszą lojalnością.

– Oczywiście – wymamrotał Sapho. – Wiesz, że moja lojalność nie podlega dyskusji.

– Moja również – dodał Bostar gorliwie.

– Miło mi to słyszeć. – Malchus rozchmurzył się trochę. – Wiem, że przez najbliższych kilka tygodni będziemy poddawani najtrudniejszemu testowi, ale oficerowie tacy jak my muszą dawać przykład. Prowadzić ludzi, którzy się wahają. Nie możemy okazywać słabości, ale zdecydowanie podczas pokonywania każdej przełęczy, którą wskaże Hannibal. Nie zapominajcie, że gdy już zejdziemy z gór, spadniemy na Galię Przedalpejską, a potem na Italię niczym stado wygłodniałych wilków.

Bracia spojrzeli na siebie podniesieni na duchu. Tylko na chwilę, bo potem znów spuścili głowy.

Malchus w tym czasie oddalił się już na dziesięć kroków.

– Ruszajcie się. Hannibal chce, żebyśmy wszyscy uczestniczyli w składaniu ofiary.

Bracia podążyli za nim.

Płaski teren, poprzecinany ciekami wodnymi, na którym rozciągał się obóz



Kartagińczyków, zapewniał dobre warunki odpoczynku ludziom i zwierzętom, zbierającym siły przed czekającym ich wkrótce wysiłkiem. Po chwili Bostar uświadomił sobie, że dzięki naturalnemu ukształtowaniu terenu Hannibal mógł zebrać swoje oddziały w jednym miejscu, aby do nich przemówić, tak jak uczynił to w Nowej Kartaginie przed rozpoczęciem tej kampanii. Mimo że armia była teraz znacznie mniejsza, ciągle składało się na nią zbyt wiele jednostek, aby wszyscy żołnierze mogli usłyszeć, co mówi generał w czasie składania rytualnej ofiary dla bogów. Dlatego też dowódcy wszystkich jednostek otrzymali rozkaz oddelegowania na uroczystą ceremonię grup składających się z minimum dziesięciu osób.

Minęli niezbyt przyjemnie pachnących procarzy z Balearów ubranych w zwierzęce skóry oraz namioty smukłych, ciemnoskórych Numidyjczyków, mających lśniące od oliwy, drobno poskręcane włosy. Krzepcy *scutarii* i *caetrati* w hełmach z utwardzanej skóry i tunikach zdobionych szkarłatnymi pasami trzymali się spokojnie na uboczu, stojąc z założonymi rękoma. Obok nich dostrzegli Alete z dwudziestoma libijskimi włócznikami. Grupy rozebranych do pasa Galów z szyjami i ramionami ozdobionymi złotymi pierścieniami przyglądały się zgromadzonemu, rzucając im wyniosłe spojrzenia.

Przed zebranymi wzniesiono niską drewnianą platformę, na której stanął prowizoryczny ołtarz z kamiennych płyt, zabezpieczony przez pięćdziesięciu elitarnych żołnierzy ze straży przybocznej Hannibala. Na platformę można było dostać się po wznoszącej się ostro rampie, obok której stało sześciu kapłanów w długich szatach oraz spętany wielki, czarny byk. Zwierzę parskło głośno, mocno zaniepokojone. Gdy Malchus poprowadził ich do pierwszego rzędu, tuż obok kapłanów, Bostar zadrżał. To w rękach tych haruspików znalazła się dziś przyszłość kampanii. Od ich wróżb zależeć będzie morale armii. Gdy zaczął przyglądać się twarzom najbliższych stojących żołnierzy, dostrzegł, że oni również dzielają jego niepewność. Ludzie w większości milczeli. Nad całym zgromadzeniem unosiła się atmosfera lęku. Bostar zerknął na Sapho, z którego mimiki potrafił czytać jak z księgi. I on nie wyglądał na pewnego siebie. Albo i gorzej! Westchnął. Chociaż przez kilka ostatnich dni żołnierze mogli odpoczywać i nabierać sił, to gdy każdego dnia budzili się i patrzyli na potężne góry, ich cień padał również na ich serca. *Jest tylko jeden człowiek, zdolny rozjaśnić ten mrok. Hannibal.*

Wódz kartagińskiej armii pojawił się właśnie na rampie prowadzącej na podwyższenie, pokonując ją szybko, jakby była to ostatnia prosta w wyścigu na igrzyskach. Jego przybycie powitano głośnym wivatem. Hełm z brązu i napierśnik zostały wypolerowane tak mocno, że sprawiały wrażenie, jakby rozświetlało je coś od wewnątrz. W prawej ręce dzierżył obnażoną falcatę. W lewej – wspaniałą tarczę, zdobioną wizerunkiem skradającego się lwa. Hannibal bez słowa zbliżył się do brzegu platformy i uniósł rękę, żeby wszyscy mogli dojrzeć rzucający jasne refleksy miecz. Pozwolił, aby żołnierze skupili się na nim, a potem wskazał sztychem znajdujące się za jego plecami góry.

– Tak długo czekaliśmy, aby dotrzeć tak daleko! Przed nami Alpy! – zawołał. – Zatrzymaliśmy się przed przekroczeniem bramy prowadzącej do siedziby naszych wrogów, aby dobrze przygotować się do tego, co nas czeka. Spoglądam na wasze twarze i widzę niepokój. Lęk. A nawet wyczerpanie. – Generał wodził oczyma od żołnierza do żołnierza, licząc, że wytrzymają jego spojrzenie. Wszyscy po kolei spuszczaali wzrok. – Czy mamy się przed nimi cofnąć? Po tak brutalnej kampanii w Iberii? Po pokonaniu Rodanu? Czy są czymś więcej niżli tylko wysokimi górami? – Przerwał, rozglądając się z pytaniem w oczach, a tłumacze przekazywali jego słowa. – Odpowiedzcie mi!

Bostar trochę się zaniepokoił. Hannibal mówił prawdę, ale niewielu żołnierzy wydawało się przekonanych taką argumentacją.

– Nie, panie – odezwał się pewnym głosem Malchus. – To tylko wielkie hałdy skał i lodu.

Hannibal zacisnął wargi, wyraźnie zadowolony z takiej odpowiedzi.

– Zgadza się! Ci, którzy mają serce i siłę, mogą się na nie wspiąć. I wcale nie my pokonamy je pierwsi. Galowie, którzy spustoszyli Rzym, przemierzali tę samą drogę, prawda?

Ponownie trzeba było poczekać chwilę na reakcję wojska, gdy tłumacze wykonywali swoją pracę. Wreszcie w szeregach armii podniósł się pomruk.

– A wy wpadacie w rozpacz, wątpiąc, czy uda nam się dotrzeć do stolicy Rzymu? Powiadam wam, że Galowie prowadzili przez te góry całe rodziny, kobiety i dzieci! My jesteśmy żołnierzami. I zmierzamy do Italii obciążeni jedynie bronią. Czy nie damy rady tego dokonać? – Hannibal znów uniósł miecz, tym razem groźnie nim potrząsając. – Albo przyznajcie się, że macie mniej odwagi niż Rzymianie, których wiele razy pokonywaliśmy w przeszłości, albo uzbrojcie się w wiarę i pomaszerujcie razem ze mną na równinę, która oddziela Tyber i Rzym! Tam znajdziecie niezmiernie bogactwa. Zdobędziecie niewolników, łupy i chwałę!

Malchus zaczekał, aż słowa generała zostaną przetłumaczone na galijski, iberyjski i numidyjski, ale gdy szum pełnych akceptacji okrzyków narastał, tworząc jeden groźny pomruk, uniósł pięść wysoko w górę i zawołał:

– Hannibal! Hannibal!

Bostar szybko dołączył. Zauważył, że Sapho uczynił to dopiero po dłuższej chwili.

Poruszeni słowami generała żołnierze krzyczeli, ile sił w płucach, wyrażając swoją aprobatę. Galowie ryczeli głębokim basem, Libijczycy śpiewali, a Numidyjczycy zawodzili, wydając z siebie różne ostre tony. Kakofonia dźwięków wypełniła powietrze, odbijając się od górujących nad zgromadzonymi potężnych ścian skalnych, a potem wzbijała się w niebo. Zaskoczony byk szarpał bezradnie powróż, którym był skrępowany. Nikt nie zwracał na to uwagi, bo wszyscy patrzyli na Hannibala.

– Wczoraj w nocy miałem dziwny sen – zawołał wódz. Okrzyki ucichły jak ucięte nożem. Zaległa pełna wyczekiwania cisza. – Przemierzałem jakieś nieznanne ziemie, pełne gospodarstw rolnych i wielkich wiosek. Wędrowałem przez wiele godzin, czując się zagubiony i osamotniony, dopóki nie pojawił się duch. – Hannibal kiwnął głową, gdy jego słowa wybrzmiały, a przesądni żołnierze zaczęli zerkać na siebie nerwowo. – Duch młodego mężczyzny. Przystojnego. Ubranego w prostą grecką koszulę. Bił z jego postaci jakiś eteryczny blask. Gdy zapytałem, kim jest, roześmiał się tylko i zaproponował, że będzie mnie prowadził tak długo, jak długo nie obejrzę się za siebie. Chociaż nie byłem pewien, czy robię dobrze, zgodziłem się na jego propozycję.

Wszyscy z zapartym tchem czekali na dokończenie opowieści. Nawet kapłani nie mogli oderwać oczu od Hannibala. Mężczyźni czynili znaki chroniące przed złem. Pocierali amulety mające przynosić szczęście. Bostar czuł, że jego serce wyrywa się z piersi.

– Pokonałszy może z milę, gdy za plecami usłyszałem głośny rumor – kontynuował Hannibal. – Walczyłem ze sobą, żeby się nie odwrócić i nie sprawdzić, co się dzieje, ale po pewnym czasie ten dźwięk zrobił się tak nieznośny, że nie mogłem się opanować. Zerknąłem za plecy. To, co zobaczyłem, sprawiło, że gardło zacisnęło mi się ze strachu. Naszym śladem podążał monstrualny wąż, miażdżąc na swojej drodze każde drzewo czy krzak. Niebo zakryło się ciemnymi chmurami, rozświetlanymi od czasu do czasu blaskiem błyskawic. Zamarłem z przerażenia. – Hannibal zamilkł.

– Co się stało później, panie? – zawołał jeden z Libijczyków Aleta. – Powiedz nam!

Fala podobnych okrzyków znów urosła do wielkich rozmiarów. Bostar też nie stał w milczeniu. Tego rodzaju wizje – bo z pewnością za proroczą wizję można było uznać sen Hannibala – miały moc definiowania przyszłości. Na dobre i na złe. Przez chwilę Bostar zastanawiał się, czy węża za plecami nie można zinterpretować jako grożące im

niebezpieczeństwo.

Sapho nie potrafił ukryć swojego sceptycyzmu wobec przyszłości.

– On to zmyśla. Robi to po to, abyśmy poszli za nim w te cholerne góry – mruknął.

– Nie zrobiłby czegoś takiego. – Bostar spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Naprawdę? – Sapho patrzył na brata z coraz większą zazdrością. – Teraz? Gdy tak wiele ryzykuje?

– Przestań! Rozzłościł bogów!

Sapho, uświadomiwszy sobie poniewczasie możliwe katastrofalne konsekwencje swojego zwątpienia, odwrócił wzrok.

– Czekaj – syknął Malchus. – To jeszcze nie koniec.

– Młodzieniec ze snu wziął mnie za ramię i powiedział, żebym się nie lękał – wykrzyknął nagle Hannibal. – Zapytałem go, czego symbolem jest wąż. Wyjaśnił mi. Chcecie wiedzieć, co powiedział?

Hannibal zrobił krótką przerwę.

– Taaak! – Ryk był głośniejszy niż kiedykolwiek wcześniej.

– Nędza i zniszczenie na szlaku węża jest symbolem tego, co stanie się z Rzymem, gdy moja armia znajdzie się na jego terytorium! – wykrzyknął triumfująco generał. – Bogowie nam sprzyjają!

– Hurra!!! – Bostar przyjął zakończenie opowieści dowódcy z taką radością, że instynktownie objął ramieniem Sapho i uściśnął go. Brat najpierw zeszywniał, po czym z oporami odwzajemnił gest. Poprawa nastroju wśród żołnierzy była niemal namacalna. Nawet na twarzy Malchusa, który zwykle zachowywał wielką powściągliwość, zagościł szeroki uśmiech.

– Hann–i–bal! Hann–i–bal! Hann–i–bal! – skandowali zachwyceni żołnierze.

Podczas gdy jego ludzie gotowi byli ochrypnąć, Hannibal dał znak kapłanom, aby zabrali się do pracy. Z pomocą kilkudziesięciu *scutarii* ryczący byk został zaciągnięty na podwyższenie, następnie pod ołtarz ofiarny. Hannibal stał z boku. Okrzyki zaczęły cichnąć, a na twarze żołnierzy wróciła niepewność. W każdym razie wiedzieli, że nie należy jeszcze być pewnym sukcesu tej kampanii. Równie ważne były znaki, które haruspikowie odczytują z narządów zwierzęcia ofiarnego. Bostar mimowolnie zacisnął pięści.

– O wielki Melkarcie! Przyjmij to zwierzę jako świętą ofiarę, a także jako gest naszej wiary! – zaintonował arcykapłan, starzec z szarą brodą i mięsistymi policzkami. Jego towarzysze powtórzyli wypowiedziane przez niego słowa. Po chwili kapłan naciągnął kaptur na głowę i chwycił długi sztylet. Inny szarpnął byka za rogi, aby rozciągnąć skórę na jego szyi. Nie czekając, starzec wbił ostrze w skórę, a następnie przeciągnął nim z niewiarygodną siłą, sprawnie rozcinając gardło zwierzęcia. Z rany natychmiast zaczęła sikać krew, spryskując nogi kapłana. Wierzgające zwierzę zważyło się na platformę, a niepotrzebni już *scutarii* wrócili ławą na swoje miejsce. Starzec szybko ukląkł pomiędzy przednimi i tylnymi nogami byka. Umiejętnie przecinając skórę i mięśnie brzucha, wydołował wnętrzności ofiary. Parujące pętle jelit wylały się na drewnianą podłogę. Kapłan ledwo na nie spojrział. Ze sztyletem w ręce wsunął obie ręce do jamy brzusznej zwierzęcia.

– Jak dotąd nie dostrzegł żadnego złego omenu. To dobrze – wyszeptał Bostar. *Prawdopodobnie wszystko zostało zaaranżowane* – pomyślał Sapho kwaśno, ale nie ośmielił się wypowiedzieć tych słów na głos.

Chwilę później starzec stanął przed Hannibalem. Jego ręce do ramion były pokryte krwią, a cała szata z przodu przybrała krwistoczerwony kolor. W dłoniach trzymał purpurowy, lśniący kawałek mięsa.

- Wątroba byka, panie – odezwał się poważnym głosem.
- Co z niej wyczytałeś? – W głosie Hannibala dało się wyczuć lekkie drżenie.
- Zaraz się dowiemy – odparł kapłan i przystąpił do oceny organu.

Bostar mocno szturchnął Sapho.

- Mówiłem ci, nawet Hannibal nie ma pewności.

Sapho spojrzał na Hannibala, na którego twarzy rysował się grymas niepewności. Jeśli ich wódz był aktorem, to cholernie dobrym. Nagle Sapho poczuł ogarniający go strach, który prawie go dławił. *Co sobie myślałem, wątpiąc w sen Hannibala?* Sapho nie potrafił wymyślić innego sposobu przebłagania bogów niż przyznanie się do tego, że jest człowiekiem omylnym. Spojrzał na Bostara, który tak często miał rację... Znów poczuł gorączkę.

– Znaki są wyjątkowo wyraźne – oznajmił głośno kapłan. Wszyscy wyciągali szyję, aby dobrze słyszeć słowa haruspika. – Przeprowadzenie przez góry będzie trudne, ale nie niemożliwe. Armia pokona przełęcz i wejdzie do Galii Przedalpejskiej, gdzie pozyska nowych sojuszników. Legiony, które staną nam na drodze, zostaną zmiecione z powierzchni ziemi, tak jak najpotężniejsze drzewa poddają się mocy zimowej burzy. Przed nami wiktoria!

- Zwycięstwo! Zwycięstwo! Zwycięstwo! – krzyczyli żołnierze.

Hannibal uniósł ręce, prosząc o spokój.

– Opowiedziałem wam o swoim śnie. Sami słyszeliście kapłanów. Kto pokona ze mną Alpy?

Szeregi żołnierzy zachwiały się i zafalowały, gdy ludzie wykrzykiwali swoje poparcie. Wśród wiwatujących znaleźli się Malchus i Bostar. Sapho poszedł w ich ślady, przekonując sam siebie, że wszystko będzie dobrze. Strach i niepokój, które czuł w brzuchu, przywodziły jednak na myśl zupełnie inną historię.

Cztery dni później Sapho zaczął się zastanawiać, czy jego instynkt go nie oszukał. Kartagińczycy musieli najpierw złamać opór Allobrogów. Hannibal pokazał im ich miejsce w szeregu, szybko reagując na każde zagrożenie. Życie w górach znów nabrało uspokajającej rutyny, takiej samej jak przez ostatnie kilka miesięcy. Pobudka o świcie. Likwidacja obozu. Zimne śniadania. Apel i przygotowywanie oddziału do wymarszu. Zajmowanie miejsca na czele długiej kolumny. Podążanie traktem na wschód. Marsz wzdłuż kamienistego szlaku. Sapho był niezmiernie dumny, że Hannibal wybrał jego jednostkę do straży przedniej. *Niech Bostar mi zazdrości* – pomyślał. Falanga brata maszerowała za nim. Malchus ze swoim ludźmi zajął miejsce na tyłach, ponad dziesięć mil za nimi.

Wódz powierzył mu bardzo odpowiedzialne zadanie. Przez cały czas czuwał, czy nikt im nie zagraża. Po raz tysięczny owego ranka wpatrywał się w stoki opadające do doliny o płaskim dnie, w której się znajdowali. Nie dostrzegł niczego podejrzanego. Allobrogowie, przestraszeni i zaskoczeni działaniami Hannibala, który zdecydował się przejąć ich główną osadę ze wszystkimi zapasami, uciekli w góry.

- No i bardzo dobrze! Tchórzliwe szumowiny... – mruknął Sapho i splunął z pogardą.

- Panie! – zawołał jeden z przewodników, wojownik plemienia Insubrów. – Spójrz tam!

Ku zdziwieniu Sapho na trakcie przed sobą dostrzegli ludzkie sylwetki. *Skąd oni się wzięli?* Sapho uniósł prawą rękę.

- Stać!

Rozkaz od razu przekazano kolejnym szeregom. Zacisnął ze zdenerwowania szczękę, słuchając powtarzanych komend. Zatrzymał całą armię. Nie miał jednak innego wyjścia. Zanim nie sprawdzi zagrożenia, każdą osobę, którą napotkają, musi traktować jak potencjalnego wroga.

- Czy powinniśmy ruszyć im na spotkanie? – zapytał oficer.

- W żadnym razie. To może być pułapka. Te szuje muszą przyjść do nas.

– A jeśli nie podejną, panie?

– Czemu mieliby tego nie zrobić? Czy jest jakiś inny powód, że wyleźli ze swoich szcurzych nor?

Sapho miał rację. Nie minęło wiele czasu, a przybysze znaleźli się w zasięgu głosu. Grupa składała się z około dwudziestu wojowników. Wyglądali jak typowi Gale – szerocy w barach, z długimi włosami i wąsiskami. Mimo że niektórzy nosili tuniki, kilku spod wełnianych płaszczy wyzierały nagie torsy. Wszyscy jak jeden mąż nosili workowate spodnie. Niektórzy mogli pochwalić się hełmami, ale tylko garstka dysponowała kolczugami. Wszyscy byli wyposażeni w wysokie, owalne tarcze, miecze lub włócznie. Co ciekawe, mężczyźni na przedzie nieśli gałązki wierzby.

– Czy to ma znaczyć, że przychodzą w pokoju? – zastanawiał się głośno Sapho.

– Tak, panie – przewodnik potwierdził jego przypuszczenia. Sądzę, że pochodzą z plemienia Wokoncjów. – Gdy zobaczył pytające spojrzenie Sapho, dodał. – To sąsiedzi Allobrogów. I ich wrogowie.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? – ironizował Sapho. – Czy któreś z tych waszych galijskich plemion potrafi żyć w pokoju z sąsiadami?

– To nie zdarza się za często, panie. – Przewodnik wyszczerzył zęby. – Zawsze znajdzie się ktoś, z kim można się bić.

– Jestem tego pewien – odpowiedział beznamiętnie Sapho. Rozejrzał się po szeregach piechoty za plecami. – Czoło kolumny! Tarcze w górę! Pierwszy i drugi szereg! Gotuj włócznie!

Za ich plecami rozległy się trzaski łączonych krawędzi tarcz, gdy włócznie bez zwlekania wykonali rozkazy. Chwilę później czoło falangi zamieniło się w ścianę zachodzących na siebie tarcz. Ponad nimi widoczne były groty włócznie, upodabniające kolumnę do długiego rzędu jeźowców.

Zaniepokojeni wojownicy stanęli.

Sapho uśmiechnął się krzywo.

– Powiedz im, że jeśli przychodzą w pokoju, nie mają się czego obawiać.

– Tak jest, panie. – Gal wyrzucił z siebie kilka słów w swoim języku.

Po krótkiej pauzie Wokoncjowie zaczęli znów zbliżać się do kolumny. Gdy znaleźli się w odległości dwudziestu kroków, Sapho uniósł dłoń.

– Wystarczy już. – Przewodnik przetłumaczył jego słowa, a tubylcy zatrzymali się posłusznie. – Zapytaj, czego chcą.

Zaczął przyglądać się człowiekowi, który do tej pory odpowiadał na wszystkie pytania ich przewodnika. Mężczyzna w średnim wieku nosił porządną kolczugę, która osłaniała jego szeroką pierś. Trzy złote tarcze świadczyły o bogactwie i statusie. Sapho nie spodobały się jego – jakby trochę zezowate – oczy i przyklejony do twarzy uśmiech.

– Słyszeli o potędze naszej armii i o naszych zwycięstwach nad Allobrogami, panie. Chcą zaoferować nam swoją przyjaźń. Proponują nam pomoc podczas pokonywania ich terytorium. Wskaż nam najłatwiejszą do pokonania przełęcz, którą opuścimy Alpy.

– Jak miło! – odparł sarkastycznie Sapho. – A dlaczego, na Melkarta, mielibyśmy w to uwierzyć?

Przewodzący tubylcom wojownik uśmiechnął się chytrze. Machnął ręką i za jego plecami pojawiło się stado dobrze odżywionych jałówek.

– Wygląda na to, że chcą nam ofiarować sto sztuk bydła, panie.

Sapho nie dał po sobie poznać, jak bardzo ucieszył go ten widok. Taka ilość świeżego mięsa zostałaaby przyjęta z radością przez masy wojska.

– Na nic to się nie zda, jeśli Wokoncjowie planują późniejszą ich kradzież. Hannibal

będzie potrzebował jakiegoś pewniejszego dowodu lojalności. Jakiego rodzaju gwarancję bezpiecznego przejścia przez ziemie plemienia mogą nam zaoferować te śmiecie?

Chwilę później połowa wojowników zrobiła krok do przodu. Wśród nich przyciągał wzrok młody wojownik o szerokiej, płaskiej twarzy z blond warkoczami i kosztownie zdobioną bronią. Wyglądał na bardzo niezadowolonego. Przywódca Wokoncjów wyjaśnił, kim są ci ludzie.

– Najwyraźniej ten młodzieniec jest najmłodszym synem wodza, panie. Reszta to najlepsi wojownicy – przekazał przewodnik. – Zostaną naszymi zakładnikami.

– I to mi się bardziej podoba... – odezwał się Sapho. Zwrócił się do najbliższego oficera. – Idź odszukać generała. Opowiedz mu o wszystkim. Sądzę, że będzie chciał wysłuchać osobiście tego, co ma do powiedzenia ten fircyk.

Gdy oficer pobiegł, by wykonać polecenie, Sapho zaczął przyglądać się otaczającym ich wzniesieniom. Widok nagich szczytów wcale nie podzielał na niego uspokajająco. Instykt podpowiadał mu, że Wokoncjowie są tak samo godni zaufania, jak węże wijące się w gnieździe.

Hannibal pojawił się bardzo szybko. Jeśli nie trzymał się frontu kolumny, zwykle kręcił się w pobliżu ariegardy. Na szczęście dziś towarzyszył przednim formacjom. Sapho poczuł się mile połączony, gdy zobaczył, że z wodzem nie jedzie żaden ze starszych oficerów. Zasalutował sztywno.

– Panie!

– Sapho. – Hannibal szybko zajął miejsce u jego boku. – Więc to są ci wysłannicy od Wokoncjów?

– Tak jest, panie.

– Ten sukinsyn z rozbieganym wzrokiem jest ich liderem.

– Powiedz mi jeszcze raz, co mówili – polecił Hannibal, badając spojrzeniem oczekujących na jego odpowiedź wojowników.

Gdy Sapho powtórzył wszystkie propozycje Wokoncjów, Hannibal potarł w zamyśleniu brodę.

– Sto sztuk bydła i dziesięciu zakładników. Plus przewodnicy, którzy pozostaną z nami. To nie jest zła oferta, nie sądzisz?

– Nie jest, panie.

– Ale tobie to się nie podoba? – stwierdził Hannibal, przyglądając mu się uważnie. – Dlaczego?

– Co powstrzyma ich przed odebraniem nam tych zwierząt, gdy przyjdzie im na to ochota, panie? Skąd mamy wiedzieć, czy zakładnikami nie są zwykli chłopci, których ten kacyk nie będzie wcale żałował?

– Czy powinienem zatem odrzucić ich ofertę?

Żołądek Sapho zrobił salto. Jeśli udzieli złej odpowiedzi, Hannibal najprawdopodobniej nigdy już nie zaproponuje mu prowadzenia armii. Właściwa – poprawi jego notowania u wodza. A Sapho z desperacją pragnął sukcesu.

– Nie ma powodu, żeby to robić, panie.

– Dlaczego nie?

Sapho nie spuścił wzroku, mimo że czuł się jak sparaliżowany pod spojrzeniem wodza.

– Jeśli ją odrzucisz, panie, niewykluczone, że będziemy musieli użyć siły i wyrąbać sobie drogę przez ich terytorium mieczami. Jeśli zgodzimy się na tę propozycję, istnieje pewna szansa, że uda nam się udaremnić ich potencjalne nieczne knowania i będziemy kontynuować marsz bez przeszkód. Jeśli okażą się godni zaufania, tym lepiej. Jeśli nie, nie będziemy żałować, że nie spróbowaliśmy.

Hannibal nie odpowiedział od razu, przez co Sapho zaczął się już martwić, że palnął

jakieś głupstwo. Zastanawiał się, czy aby nie wycofać swoich słów, ale generał przemówił.

– Podoba mi się twoje rozumowanie, Sapho, synu Malchusa. Łatwiej jest uniknąć nastąpienia na węża, gdy przez cały czas go obserwujemy, a nie wpadamy na niego, gdy atakuje nas z zaskoczenia spod jednego z tysięcy kamieni. Głupio byłoby jednak nie podjąć odpowiednich kroków, aby przygotować się na najgorsze. Tabory i jazdę należy przesunąć na pozycję zaraz za awangardą. Największe ryzyko odcięcia istnieje na tyłach.

*To nigdy się nie stanie, gdy zajmą pozycje w czole kolumny* – Sapho przyznał Hannibalowi rację w myślach.

– Tak jest! – Starał się nie okazać rozczarowania, że Hannibal przejmuje kontrolę nad awangardą armii. Miał jednak okazję prowadzić całą armię przynajmniej przez kilka dni.

Hannibal go zaskoczył.

– Niemniej dalej potrzebujemy piechoty na czele, aby nas prowadziła. Świetnie sobie radzisz, chcę więc, żebyś nadal pełnił funkcję dowódcy straży przedniej.

– Dziękuję, panie!

– Masz też strzec zakładników. Wiesz, co robić, jeśli tylko będziesz miał najmniejsze podejrzenia, że planują zdradę.

– Każę ich torturować, a potem ukrzyżuję na widoku, żeby wszyscy ich współplemieńcy mogli zobaczyć, jak karzemy zdradę, panie.

– Doskonale. Rób to, co będziesz uważał za stosowne. – Hannibal klepnął go poufale w ramię. – Rozkaż kawalerii zmianę pozycji. Wznów marsz, gdy tylko znajdą się na miejscu.

– A co z mułami, panie?

– Ta operacja byłaby teraz za bardzo skomplikowana. Dziś pozostaje nam trzymać kciuki, aby z taborem nie stało się nic złego, a jutro uformujemy kolumnę marszową na nowo.

– Tak jest, panie. Dziękuję.

Sapho z zadowoleniem obserwował, jak jego generał znika za pierwszym zakrętem. Wyglądało bowiem na to, że przeprawa przez góry przyniesie poprawę jego notowań u Hannibala, a nie jakieś nieszczęścia, których się spodziewał.

Przez dwa dni grupa wojowników z plemienia Wokoncjów prowadziła Sapho przez swoje ziemie. Jazda i obciążone muły poruszały się za nimi, a potem szła cała armia. Chociaż nie doszło do żadnych ataków na kolumnę, Sapho w dalszym ciągu nie był przekonany do tubylców. Znow poczuł nieprzyjemne ssanie w trzewiach, gdy o poranku trzeciego dnia Wokoncjowie wybrali ścieżkę do doliny znacznie węższą od tej, na której się właśnie znajdowali. Na ostro pnących się w górę stokach nie było wystarczająco dużo miejsca nawet dla wszechobecnych tam sosen, nie mówiąc o utworzeniu szerokiej, zabezpieczonej kolumny. Sapho zatrzymał swoje oddziały i wezwał do siebie zezowatego przewodnika.

– Dlaczego nie zostajemy na tym szlaku? – Sapho wskazał szerszą drogę prowadzącą w prawo, która ciągnęła się daleko i nic nie wskazywało na to, by jej stan miał się pogorszyć. – Ten szlak jest dogodniejszy, prowadzi po bardziej dostępnym terenie.

Przewodnik przetłumaczył jego słowa na lokalny język.

Wojownik zaczął coś zawile klarować, pomagając sobie przy tym gestami.

– Mówi, że ta droga kończy się za jakieś pięć mil ostrym urwiskiem, panie. I tak musielibyśmy wrócić do tego miejsca. Ten szlak, choć jest węższy i pnie się coraz wyżej, doprowadzi nas prosto do najniższej położonej przełęczy w tej okolicy.

Sapho wpatrywał się podejrzliwie w wojownika, który po objaśnieniach po prostu wzruszył ramionami. Jednym okiem spoglądał na niego, a drugie skierowane miał w niebo. Sapho uważał, że to irytujące. Przez to nie potrafił ocenić, czy tubylec go nie okłamuje. Podjął decyzję. Gdyby chciał wysłać gońca do Hannibala, który tego dnia znajdował się bliżej straży

tylnej, musiałyby liczyć się z co najmniej trzygodzinnym postojem.

– W porządku – warknął. – Zrobimy, jak mówi. Powiedz mu jednak, że jeśli to jakieś sztuczki, zginie jako pierwszy. – Sapho zauważył, że gdy jego słowa zostały przetłumaczone, wojownik przełknął nerwowo ślinę. Później jednak poprowadził ich dalej z taką pewnością siebie, że te podejrzenia wydały mu się bezpodstawne.

Nie na długo. Nie chodziło o kamienisty i pełen wybojów szlak. Trudno było mu coś zarzucić, bo nie różnił się wiele od innych górskich szlaków, które pokonywali od czasu wkroczenia w Alpy. Jego niepokój budziły gołe skały, które zdawały się groźnie napierać na nich z każdej strony. Mijały godziny, a wcale nie wyglądało na to, żeby wąwóz miał się poszerzyć. Te zamknięte przestrzenie wzbudzały w nim lęk. Sapho nie wiedział, jak wysokie są ściany po obu stronach, ale były wystarczające, by szlak skrywał się w ich cieniu. Nie tylko Sapho nie podobało się to otoczenie. Słyszał wyraźnie niespokojne szepty swoich ludzi, które zdradzały ich niepewność. Nawet muły za nimi ryczały zdenerwowane. Wielu jeźdźców wołało zsiąść z koni, aby poprowadzić zaniepokojone zwierzęta za uzdy.

Sapho zacisnął zęby. Trudno. To przez niego cała armia znalazła się na tym szlaku. Jako że w wąwozie tkwiła już prawie cała kolumna, rozciągnięta na dziesięć mil, powrót nie wchodził w rachubę. Musieli się z tym pogodzić. Sprawdził, czy miecz łatwo wysuwa się z pochwy, a potem przyspieszył trochę, żeby znaleźć się w pobliżu wodza Wokoncjów. Jeśli wydarzy się coś niedobrego, *zadba* o to, aby spełnić swoją obietnicę.

Poranek przeszedł w przedpołudnie, a kolumna powoli, ale uparcie pięła się coraz wyżej. Morale żołnierzy rosło i nawet zwierzęta przyzwyczajały się z wolna do ograniczonej przestrzeni. Sapho nie pozwalał sobie jednak na relaks i ciągle czujnie przyglądał się otoczeniu, szukając jakichkolwiek oznak zagrożenia. Nie myślał o bólu szyi od ciągłego spoglądania w niebo.

Najpierw zaniepokoił go nie tyle ruch, ile podejrzaną dźwięk. W jednej chwili słyszał hałasy, które zwykle towarzyszyły kolumnie marszowej od czasu, gdy opuścili Nową Kartaginę – rozmawiających ze sobą żołnierzy, śmiechy lub przekleństwa, oficerów wydających rozkazy, skrzypienie skóry i porykiwania metalowych części uprząży, okazjonalne pokasywania tych ze słabszymi płucami, płucie, porykiwania mułów, rzenie koni – a w następnej chwili jego uszy wypełniły straszne, rezonujące piski. Wzdrygnął się mimowolnie. Tego dźwięku – przesuwających się skał – nie dało się pomylić z niczym innym. Wiedziony okropnym przecuciem uniósł głowę.

W pierwszej chwili nie zobaczył niczego niepokojącego, ale niebawem na krawędzi wąwozu ujrzał nieregularną bryłę kamiennego bloku. Uniósł dłoń do ust i zawołał:

– Jesteśmy atakowani! Tarcze w górę! Tarcze!

Już odwracał głowę, szukając wzrokiem zezowatego wojownika. Gdy powietrze wypełniało się okrzykami pełnymi zdumienia, Sapho ujrzał, że mężczyzna przemknął obok swoich kamratów, wołając do nich, żeby ruszyli za nim.

– Ty zdradziecki śmieciu! – Sapho dobył miecza. Spóźnił się. Teraz mógł już tylko zagryzać wargi ze złości i patrzeć, jak Wokoncjowie znikają w skalnej szczelinie nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego. Zaklął szpetnie. Musiał zostać na miejscu i zrobić wszystko, aby ochronić swoich ludzi. Jeśli sam nie zginie. Jednego był pewien: jeśli którykolwiek z zakładników prowadzonych w środku falangi przeżył lawinę skał, umrze natychmiast, gdy tylko się do nich przedostanie.

Powietrze drgało od huku i grzmotu. Sapho znów uniósł głowę. Widział źródło tych przerażających dźwięków, zwielokrotnionych po tysiącokrotnie przez echo odbijające się od ścian wąskiego wąwozu. Zamarł ze strachu i mógł już tylko bez ruchu obserwować, jak kilka głazów, każdy wielkości konia, przetacza się przez krawędź wysoko nad nimi. Opadały z coraz większą



prędkością niżej i niżej, odbijając się od gołej skały urwiska. Ulga walczyła w nim z przerażeniem, gdy zdał sobie sprawę, że żaden z nich nie ma wypisanego jego imienia. Żołnierze znajdujący się tuż pod ścianami wąwozu nie mogli wiele zrobić, aby zejść im z drogi – mogli tylko patrzeć, jak dopada ich śmierć. W ich krzykach czuło się żal i bezradność. Zdrętwiały z przerażenia Sapho nie mógł odwrócić wzroku od wirujących bloków skalnych. W ustach poczuł kwaśny smak podchodzących mu do gardła soków trawiennych, gdy kamienie opadły na kolumnę z ogłuszającym hukiem, uciszając swoje ofiary na zawsze.

Na tym jednak się nie skończyło. Sapho zobaczył też sylwetki mężczyzn na szczycie ściany za pozycjami kawalerii i zwierzętami jucznymi. Oni też przygotowywali się do zepchnięcia kolejnych głazów z krawędzi. Jęknął. Nic nie mógł zrobić dla ludzi i zwierząt na dole. Wziął głęboki oddech. *Najlepiej będzie, jak zajmę się rannymi – pomyślał. Tym przynajmniej mogę pomóc.*

Zanim jednak zrobił pierwszy krok, powietrze wypełnił okrzyk bojowy napastników. Długie rzędy wojowników plemienia Wokoncjów zaczęły wyłaniać się ze szczeliny, w której zniknęli wcześniej przewodnicy. Kolejna grupa wychynęła z innej jaskini obok. Konsternacja Sapho szybko przerodziła się w krwawą mgłę wściekłości, gdy wśród atakujących rozpoznał zezowatego wodza i innych przewodników. Uniósł włócznię i ryknął:

– Na wprost patrz! Wróg atakuje od czoła! – Jego żołnierze zareagowali błyskawicznie, żwawo wykonując rozkazy. – Tarcze w górę! Gotuj włócznie!

Z krzyków dochodzących do niego zza pleców wywnioskował, że kolumna została zaatakowana także w innych miejscach.

– Pięć ostatnich linii! W tył zwrot! – ryknął. – Naprzód marsz. Uderzać na wroga bez rozkazu. – Zadbawszy o tyły formacji, Sapho odwrócił się, by stawić czoło nieprzyjacielowi atakującemu ich z przodu. Wokoncjowie zbliżali się szybko z wysoko uniesioną bronią. Sapho wskazał włócznią wojownika, który wcześniej tak mu podpadł.

– Już nie żyjesz, ty śmierząca dziwko!

W odpowiedzi wódz Wokoncjów wydał z siebie tylko niewyraźne chrząknięcie.

Sfrustrowany Sapho wiedział, że na razie nie będzie mu dane skrzyżować mieczy z upatrzonym przeciwnikiem. Mur tarcz falangi sprawiał, że nie mógł zmienić pozycji, a tamten zaatakował ścianę najeżoną włóczniami w innym miejscu. Sapho musiał na razie o nim zapomnieć, koncentrując się na jakimś plemiennym wojowniku z rudą brodą, który wymachiwał mieczem przed jego twarzą. Zamiast schować się za krawędzią tarczy, tym samym tracąc z oczu swojego wroga, Sapho odrzucił głowę w bok. Usłyszał gwizd ostrza, które przecięło powietrze tuż przy jego lewym uchu, a po chwili wyprowadził cios włócznią. Poczuł, jak ostrze zazgrzytało, ocierając się o żebro, a potem weszło głęboko w niechronioną pancerzem klatkę piersiową przeciwnika. Sapho nie mógł wyrwać broni z ciała umierającego. Zwolnił uchwyt na drzewcu i dobył miecza. Wojownik opadł na kolana, z niedowierzaniem rysującym się na twarzy. Na jego miejscu natychmiast pojawił się kolejny.

Drugim przeciwnikiem Sapho okazał się potężnie zbudowany mężczyzna o grubych wężłach mięśni na byczym karku i równie umięśnionych ramionach. Ku zaskoczeniu Sapho trójkątny grot włóczni przeciwnika przebił osłoniętą brązową blachą i skórą tarczę, dosięgając jego kirysu. W dolnej części brzucha, w który trafiła go włócznia, od razu eksplodowała kula bólu, w wyniku czego Sapho cofnął się zaskoczony kilka kroków do tyłu, opuszczając miecz. Na szczęście żołnierz stojący za jego plecami obserwował walkę i złapał go wpół, zapobiegając upadkowi. Włócznia przeciwnika utkwiała na dobre w tarczy Sapho, a w związku z tym tubylec nie mógł już jej użyć. Błyskawicznie wyciągnął sztylet o długim ostrzu, mierząc ponad krawędź tarczy w szyję wroga. Sapho odrzucił rozpaczliwie głowę do tyłu, unikając kolejnych ciosów.

Zdawał sobie jednak sprawę, jak niewiele brakuje, by lśniące ostrze rozplątało mu gardło.

Po chwili odetchnął z ulgą, gdy z boku wystrzeliła włócznia i przebiła gardło wojownika, który tak bardzo pragnął zagłębić ostrze w jego tchawicy, że zapomniał o własnym bezpieczeństwie. Końcówka włóczni przeszła na wylot, wyłaniając się po prawej stronie w szkarłatnej mgiele. Z otwartych ust Gala wydostał się okropny dźwięk dławienia się krwią, która następnie wystrzeliła w powietrze jasnoczerwonym strumieniem, rozpryskując się na tarczy Sapho i pod jego stopami. Pociągnął za drzewce, pozwalając martwemu wojownikowi opaść na ciało swojego pierwszego przeciwnika.

– Bogowie... – wyszeptał. Nigdy nie czuł tak blisko śmierci. Odwrócił głowę, aby zobaczyć, kto jest jego wybawcą. – Dziękuję.

Szczupły młodzieniec uśmiechnął się szeroko, ujawniając duże szpary między zębami.

– Nie ma za co, kapitanie. Wszystko w porządku, panie?

Sapho obmacał dłonią dolną część kirysu, na którym pojawiło się głębokie wgięcie. Przesunął palcami ku górze i skrzywił się, gdyż poczuł wywołany tym ruchem ból. Kiedy uniosł rękę przed oczy, z ulgą stwierdził, że nie widzi na niej śladów krwi, a więc pancierz nie został przebity.

– Wydaje mi się, że tak – odpowiedział, odetchnawszy z ulgą. Wyciągnął rękę, żeby podnieść miecz. Gdy spojrział na miejsce starcia, z zadowoleniem stwierdził, że atak Wokoncjów rozbił się o solidną ścianę tarcz falangi. Nie był zaskoczony. Mimo że stracił kilku ludzi, to trzeba było czegoś więcej niż szarża plemiennych wojowników, aby rozbić mur Kartagińczyków. *Najwyższy czas ruszyć do kontrataku.* Natychmiast zapomniał jednak o tym, gdy jego wzrok padł na znajdującego się nie dalej niż dwadzieścia kroków od niego zezowatego wojownika, który schylił się właśnie, aby dobić ранnego Libijczyka, mimo że sam się wycofywał. Sapho skoczył na równe nogi. Pragnienie, aby uśmiercić zdrajcę, dodało mu skrzydeł i zdążył pokonać może jedną trzecią dzielącego ich dystansu, nim przeciwnik go dostrzegł. Wystarczyło mu jedno spojrzenie i rzucił się do ucieczki, ratując życie. W ślad za zdrajcą poszli też jego towarzysze.

– Wracaj tu, ty pieprzony tchórze! – krzyknął za nim Sapho. Nie zdawał sobie sprawy, że żołnierze z pierwszych rzędów falangi podążają za nim. Zaczął biec, świadomy, że gdy jego przeciwnik dopadnie ściany wąwozu, będzie uratowany. Miał marne szanse, by go dogonić. Wojownik dostał skrzydeł. Wtedy jednak doszło do interwencji Fortuny. Gal potknął się o wystającą z ziemi skałę, opadając na kolano. Sapho był tuż tuż, jak pies, który zagonił swoją ofiarę do kąta. Zamiast zabić przeciwnika, zdzielił go w tył głowy rękojęścią miecza. Wyprostował się i przy okazji chlasnął jeszcze w ramię innego wojownika, który znalazł się za blisko. Mężczyzna wydał z siebie głośny krzyk i po chwili zniknął w szczelinie.

– Zatrzymajcie się. Nie wchodźcie tam! – zawołał Sapho, gdy najbliższy włócznik zamierzał ruszyć za wrogiem w głąb rozpadliny. – To śmiertelna pułapka. – Żołnierze niechętnie się zatrzymali. – Niech dwudziestu ludzi zabezpieczy tę dziurę, na wypadek gdyby przyszło im do głowy spróbować jeszcze raz. – Sapho kopnął ogłuszonego wojownika, który jęknął. – Niech ktoś pozbiera to gówno z drogi. Zbierzcie wszystkich jego żyjących towarzyszy. Zwiążcie ich ze sobą.

– Co masz zamiar z nimi zrobić, panie – zapytał młodszy oficer.

– Zobaczysz. – Sapho uśmiechnął się w wilczym grymasie. – Najpierw jednak musimy sprawdzić, jak wygląda sytuacja w kolumnie.

Gdy dotarli do ostatnich linii falangi, zorientowali się, że wszędzie atak Wokoncjów został odparty i nie było śladu po wrogach. Na ziemi leżały ciała co najmniej piętnastu napastników, ale ten widok nie sprawiał, że Sapho czuł się usatysfakcjonowany. Tylko na tym odcinku co najmniej pięćdziesięciu żołnierzy kartagińskich zostało poważnie rannych lub

zabitych przez kamienie. Nieco dalej dostrzegł taką samą liczbę leżących mułów i koni. Ziemia czerwieniała się od krwi, która z trudem wsiąkała w skały, sącząc się ze zmiażdżonych głazami ciał ludzi i zwierząt, rozrzuconych wszędzie, jak okiem sięgnąć. Krzyki rannych, zwłaszcza tych, którzy zostali unieruchomieni, gdy głowy wreszcie się zatrzymały, rozsadyły czaszkę. Sapho starał się analizować sytuację na chłodno, ignorując wrzaski. Wśród oficerów, którzy podchodzili do niego z raportami, pojawił się również Bostar.

Spanikowany słoń zabił trzy osoby, które nie zdołały umknąć przed jego trąbą, a potem wycofał się w kierunku kolumny, powodując nieopisany zamęt w jej szeregach. Na szczęście pozostałe zwierzęta nie poczyniły żadnych szkód, uspokojone przez kornaków. Najbardziej frustrującym przeżyciem okazało się odkrycie, że Wokoncjowie ukradli dziesiątki mułów, wprowadzając je tymi samymi stromymi ścieżkami, które tak dobrze posłużyły im jako punkty wypadowe podczas tego śmiałego ataku. Zabrali ze sobą nawet kilku jeńców. Sapho był zdania, że pościg za przeciwnikiem nie miał żadnego sensu. Ważniejsze było oczyszczenie drogi, aby armia mogła wznowić marsz, niż próba ratowania kilku nieszczęsnych żołnierzy. Gdy zostaną uprzątnięte ciała i przesunięte kamienne bloki, kolumna będzie musiała jak najszybciej opuścić to niegościnne miejsce.

Było jednak coś, czym musiał się wcześniej zająć.

Wrócił do miejsca, w którym przetrzymywano wszystkich złapanych Wokoncjów. Z dziesięcioma zakładnikami związane teraz dwunastu jeńców. Mężczyźni siedzieli na ziemi, otoczeni pierścieniem włóczników. Jedynym, który nie wyglądał na przerażonego, był ów wojownik o rozbieganych oczach, który splunął na zbliżającego się Sapho.

– Czy dokonamy egzekucji, kapitanie? – zapytał oficer z zapalem.

Grupa Libijczyków gniewnie zamruczała.

– Nie – odparł krótko Sapho. Zignorował niedowierzające spojrzenia swoich ludzi. – Powiedz im, że mimo iż ich bracia dopuścili się zdrady, nie zostaną zabici – zwrócił się do tłumacza. Gdy ten przekazywał jego słowa, Sapho z zadowoleniem obserwował, jak na twarzach jeńców pojawia się nadzieja. Odczekał trochę, delektując się swoją władzą nad nimi.

– Panie, proszę, rozważ to! – próbował przemówić mu do rozsądku jeden z jego oficerów.

– To nie może im ująć na sucho. Pomyśl o naszych ofiarach.

Sapho skrzywił usta w nieładnym grymasie.

– Czy ja powiedziałem, że nie zostaną ukarani?

– Nie, panie. – Młodszy oficer wyglądał na zdezorientowanego.

– Odpłacimy im się tym samym, czym oni nas uraczyli. Nie tłumacz tego – warknął do tłumacza. Chcę, żeby patrzyli i zastanawiali się, co planujemy.

– Co chcesz uczynić, kapitanie?

– Zwiążcie ich wszystkich w jedną grupę i ustawcie w linii. Potem zawiadom dowódcę oddziału słoń bojowych, że potrzebuję tu jednego z jego kornaków z pupilem. Takiego, który poradzi sobie z uniesieniem dużej skały. Tak wielkiej, że żaden człowiek nie jest w stanie jej poruszyć.

Na twarzy oficera z wolna pojawiał się uśmiech zrozumienia.

– Żeby ich czaszki pękły pod jego ciężarem?

– Nie – odpowiedział Sapho. – Nie zabijemy ich. Pamiętaj, co mówiłem? Chcę, żeby ta skała unieruchomiła ich nogi.

– A potem, panie?

Sapho wzruszył ramionami i spojrział na nieszczęsnych Galów z okrucieństwem w oczach.

– Zostawimy ich.

Oficer wykrzywił usta w uśmiechu.

– Zanim ich towarzysze tu wrócą, zapadną ciemności. Do tej pory będą błagać o śmierć, panie.

– Właśnie. Może dwa razy się zastanowią, zanim zaatakują nas ponownie. – Sapho klasnął w dłonie. – Zajmij się tym!

Obserwował, jak żołnierze zmuszają więźniów do położenia się na skalistej wychodni. Wtrącił się w te przygotowania, polecając im, żeby traktujący go z pogardą wódz plemienia znalazł się ostatni w tym rzędzie. Nastąpiła chwila zwłoki, kiedy czekali, aż dotrze do nich wybrany słoń, który wcześniej szedł w taborze za mułami. Sapho czekał cierpliwie, stojąc wraz z tłumaczem przy pierwszym wojowniku, który wytrzeszczał oczy ze strachu.

Sapho spojrzał na kornaka.

– Czy dasz radę przenieść ten głaz?

– Tak, panie. Gdzie mam go umieścić?

– Opuść go na nogi tych ludzi. Tylko tak, żeby ich nie zabić.

Kornak zrobił wielkie oczy, ale odpowiedział spokojnym tonem:

– Myślę, że mi się uda, panie.

– Dobrze. Zaczynaj.

– Tak jest! – Kornak pochylił się nad uchem słonia, szepcząc jakieś słowa, zanim dotknął jego skóry prętem zakończonym hakiem. Słoń ruszył niezgrabnie w stronę skały, którą wskazał Sapho, po czym chwycił ją za górną część. Nastąpiła chwila ciszy i głaz poruszył się ze zgrzytem. Kornak wymruczał kolejną komendę i słoń przesunął się tak, aby podeprzeć głaz głową, uniemożliwiając mu nabranie szybkości i wysunięcie się z uchwytu. Potem wielkie zwierzę zaczęło się cofać w kierunku więźniów, ostrożnie kontrolując przesuwanie skały po lekko nachylonym terenie. Wojownicy Wokoncjów wreszcie zrozumieli, co ich czeka. Rozległy się ich pełne strachu krzyki.

Sapho śmiał się w głos. Uniósł głowę i przyjrzał się krawędziom wąwozu. Dostrzegł tam jakieś poruszenie.

– Właśnie tak, sukinsyny! – wrzasnął. – Przyglądajcie się! Za chwilę wasi kamraci dostaną to, czym nas poczęstowaliście.

Po pokonaniu kilku kroków słoń zatrzymał się, a kornak spojrzał na Sapho pytającym wzrokiem.

– Zrób to.

Kornak znów pochylił się nad uchem słonia, który teraz przesunął się na bok, pozwalając, aby głaz opadł na nogi trzech pierwszych wojowników w linii. Wojownicy zawyli nieludzko. Ich krzyki zostały przyjęte wiwatami setek obserwujących to wymierzanie kary kartagińskich żołnierzy. W ich oczach czaiła się chęć uzasadnionej zemsty za śmierć licznych towarzyszy. Tymczasem kompani cierpiących tubylców próbowali bez skutku zmienić pozycje i rozerwać krępujące ich więzy.

– Powiedz im, że to zemsta Hannibala za haniebną zdradę – zagrzmiał Sapho.

Błady tłumacz wykonał jego polecenie. Na jego słowa przerażeni tubylcy odpowiedzieli bezładnym trajkotaniem.

– Niektórzy twierdzą, że nie wiedzieli, iż zostaniemy napadnięci.

– Ha! To kłamcy albo głupcy. Albo jedno i drugie.

– Proszą o szybką śmierć.

– W żadnym wypadku nie dostąpią tego przywileju. – Sapho machnął ręką na kornaka. – Jeszcze jeden. Nie przerywaj, zanim nie skończysz.

Kolejne głazy łądowały na nogach jeńców, aż został tylko jeden wojownik Wokoncjów.

Gdy słoń miał już opuścić ostatni blok skały, Sapho nakazał kornakowi przerwać na chwilę. Strzelił palcami w stronę tłumacza, by ruszył za nim, i skierował się do miejsca, gdzie leżał wódz plemienia. Czerwony na twarzy obrzucił go stekiem strasznych wyzwisk.

– Nie kłopotz się... – Sapho z uśmiechem na ustach powstrzymał tłumacza, gdy ten już otwierał usta. – Wiem, co mówi. Powiedz mu tylko, że otrzymuje zapłatę za swoje zdradzieckie knowania i że tchórz, taki jak on, nigdy nie znajdzie spokoju w raju wojowników. Zamiast tego jego dusza będzie gnić całą wieczność w piekle. – Spojrzał na kornaka. – Kiedy tłumacz skończy, opuść głaz.

Opiekun słonia skinął głową.

– Co tu się na wszystkich bogów wyprawia? – głos Bostara przebił się przez kakofonię jęków przytomnych jeszcze ofiar, odbijających się echem od ścian wąskiej gardzieli wąwozu.

Tłumacz przerwał swój monolog, a kornak zastygł nieruchomo. Sztywny z wściekłości Sapho odwrócił się i skupił wzrok na bracie, który nie ukrywał oburzenia. Pochylił głowę i odezwał się szyderczo.

– Wykonuję wyrok na tych bezwartościowych śmieciach. A na co to wygląda?

Bostar skrzywił się z niesmakiem.

– Nie mogłeś wymyślić bardziej okrutnego sposobu ich uśmiercenia?

– Właściwie to przyszło mi do głowy kilka – skontrował Sapho spokojnie – ale wszystkie trwałyby za długo. Ta metoda może wydawać się surowa, ale jest skuteczna. W ten sposób wyślemy przedstawicielom tego wszawego plemienia jasny przekaz, że za nadeptanie nam na odcisk trzeba zapłacić wysoką cenę.

– I już dałeś im to jasno do zrozumienia! – Bostar wskazał rząd jęczących, oszalałych z bólu mężczyzn. – Czemu po prostu nie poderżnąć temu ostatniemu gardła i skończyć tę rzeź jak najszybciej?

– Ponieważ ten tu – Sapho kopnął w głowę zezowatego wojownika – jest ich przywódcą. Zostawiłem go na koniec, żeby mógł się przyjrzeć cierpieniu swoich towarzyszy i pomyśleć o swoim losie.

Bostar cofnął się o krok.

– Jesteś chory – skwitował krótko. – Rozkazuję ci zakończyć to okrutne przedstawienie.

– Może i jesteś wyższy stopniem, *bracie*, ale to mnie Hannibal powierzył dowodzenie strażą przednią, nie tobie – powiedział Sapho, podnosząc głos. – Jestem pewien, że generał chciałby usłyszeć, dlaczego sprzeciwiasz się jego rozkazom.

– Hannibal kazał ci uśmiercić więźniów w ten sposób? – zapytał z niedowierzaniem Bostar.

– Powiedział mi, że mogę załatwić to tak, jak uznam za stosowne – warknął Sapho. – Co też właśnie czynię. A teraz odsuń się i pozwól mi dokończyć!

Z zadowoleniem przyjął to, że Bostar posłusznie zrobił krok w tył, opuszczając bezradnie ramiona. Sapho spojrzał po raz ostatni na zezowatego wojownika, który ponownie próbował go opluć. Niewiele myśląc, pod wpływem impulsu, wyciągnął sztylet. Pochylił się i wsunął końcówkę w prawy oczodół mężczyzny. Zakręcił nadgarstkiem i w jego dłoni znalazła się gałka oczna wojownika. Na twarzy ofiary próżno było teraz szukać odwagi, a z gardła wyrwał się pełen bólu ochrypy jęk. Sapho wytarł zakrwawione dłonie o tunikę wojownika, wstał i powiedział:

– Zostawiam mu jedno oko, żeby mógł widzieć maszerującą najpotężniejszą armię na świecie – zwrócił się do tłumacza. – Powiedz mu to. – Przeniósł wzrok na Bostara. – Patrz i ucz się, mój młodszy bracie. Tak trzeba traktować wrogów Kartaginy. – Nie czekając na odpowiedź, kiwnął głową do kornaka. – Dokończ.

Bostar odwrócił się, gdyż ten widok sprawiał jego duszy udrękę. Nie chciał oglądać

zakończenia tej egzekucji. Niestety, nie mógł nie słyszeć krzyków katowanych więźniów. *Co się stało z moim starszym bratem? – zastanawiał się. Cemu to Hanno został zabrany przez morze?*

Po raz pierwszy Bostar myślał o tym bez poczucia winy.

## Rozdział XVI



Via Appia, główna droga prowadząca do Rzymu, zaczynała się w Kapui. Kwintus ze zrozumiałych powodów nie chciał wchodzić do miasta, dlatego najpierw ominął szerokim łukiem gospodarstwo ojca, a potem ruszył na północ, wybierając mniej uczęszczany szlak, prowadzący przez pola i niezliczone mniejsze obejścia, aby po kilku czy kilkunastu milach zmienić kierunek. Dosiadał konia, a Hanno, jako że miał udawać niewolnika, jechał na rozbrykanym mule, obciążonym wyposażeniem, które zabrali ze sobą. Przez pierwszą godzinę podróżowali w milczeniu. Obaj mieli wiele do przemyślenia.

Kwintus nie wątpił, że uda mu się odnaleźć ojca. Smucił się tym, że musiał rozstać się z Aurelią, ale tłumaczył sobie, że tak jest właśnie świat urządony. Matka się nią zaopiekuje. Kwintus czuł się jednak trochę nieswojo. Ustalili, że gdy uda mu się zrealizować swój cel – czyli gdy odnajdzie ojca – Hanno będzie mógł ruszyć w swoją drogę i dołączyć do armii kartagińskiej. Zastanawiał się nad logiką i konsekwencjami tych założeń. Czy to oznaczało, że już teraz są *wrogami*? Nie podobała mu się ta myśl, więc starał się ją od siebie odsuwać.

Z kolei Hanno modlił się o szybkie wyzdrowienie Suniatona i łatwe odnalezienie Fabrycjusza. Gdy to się stanie, będzie wolny. Prosił bogów, aby pozwolili mu dołączyć do braci i ojca. Oczywiście, jeśli nadal żyją. Hanno starał się być optymistą i wyobrażał sobie, że maszeruje ramię w ramię z Sapho i Bostarem. Jednak i ten obraz łączył się natychmiast z niepokojącymi myślami. Wszak Kwintus i Fabrycjusz będą służyli w legionach. Tych samych, z którymi przyjdzie mu się zmierzyć. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, zamartwiał się tym samym co Kwintus. I reagował tak samo, próbując ukryć tę niepokojącą myśl głęboko w zakamarkach umysłu.

Gdy tylko znaleźli się na Via Appia, natknęli się na oddział piechoty zmierzający na południe.

– Oskowie. Kohorta pomocnicza – wyjaśnił Kwintus, zadowolony, że mają wreszcie jakiś neutralny temat do dyskusji. – Kierują się do portu.

Hanno wiedział, że pobliska rzeka Volturnus biegnie na południowy zachód, przepływa przez Kapuę i wpada do morza.

– A stamtąd do Iberii?

Kwintus pokiwał głową niepewnie. *To jednak nie był neutralny temat.*

Hanno milczał, przyglądając się żołnierzom ze zbliżającej się grupy. Jeśli nie liczyć eskorty Fabrycjusza, nie widział w Italii zbyt wielu jednostek regularnej armii. Ci, którzy się do nich zbliżali, to byli wprawdzie *socii*, a nie legioniści, ale był świadomy, że jednostki

pomocnicze tworzyły połowę armii, którą Rzym wystawił przeciwko Hannibalowi. A zatem to byli jego wrogowie.

Niektórzy żołnierze nie nosili żadnych nakryć głowy, jednak większość miała brązowe attyckie hełmy, ozdobione wspaniałymi kitami z włosów lub piór, zabarwionych na czerwono, czarno, biało lub żółto. Uwagę przykuwały również ich krótkie wełniane tuniki, gdyż miały różne kolory, od czerwieni, przez ochrę, po szarości. Niewielu nosiło jakieś buty czy nieosłonięte sandały, ale wszyscy dźwigali szerokie skórzane pasy, pokryte brązowym materiałem, mocowanym za pomocą skomplikowanych układów haczyków. Żołnierze uzbrojeni byli w lekkie oszczepy i włócznie różnej długości, rzadziej w miecze, zwykle jednosieczne *kopis*, zakrzywioną broń pierwotnie używaną przez Greków. Większość ich tarcz przypominała *scuta*, wklęsłe i żebrowane, ale mniejsze od tarcz legionistów.

– Jeszcze kilka generacji temu ten lud walczył z Rzymem – wyjaśnił Kwintus. – Kapua znajduje się pod rzymskim panowaniem nieco ponad sto lat. Wielu mieszkańców uważa, że powinna odzyskać niezależność.

– Naprawdę? – Hanno zrobił wielkie oczy.

– No tak. To jest ulubiony powód kłótni Martialisa z moim ojcem. Zwłaszcza gdy popiją. – Kwintus zmarszczył brwi, zastanawiając się nie po raz pierwszy, jaki stosunek do tej kwestii ma jego matka. Nigdy nie mówiła o tym za wiele, ale wiedział, że jest dumna ze swojego dziedzictwa.

Hanno nie mógł się nadziwić. Jego wiedza na temat struktury republiki oraz jej relacji z nierzymskimi miastami i narodami Italii była co najmniej niepełna. Najwyraźniej mieszkańcy tak dużego i ważnego dla republiki miasta niezbyt cieszyli się tym, że zostali zdominowani przez Rzym. Zastanawiał się, czy w innych regionach sytuacja jest podobna.

Jako jeden z młodszych trybunów armii konsularnej Flakkus powinien był towarzyszyć swojej jednostce w drodze do Iberii. Po jego nieprzemyślanym wybuchu w obecności Scypiona można było sądzić, że przez pewien czas nie będzie się chciał rzucać w oczy. Tymczasem, jak szybko przekonał się Fabrycjusz, tak nie było. Gdy tylko dowiedział się, że Scypion zabierze do Rzymu – poza jazdą Fabrycjusza – również jedną kohortę piechoty, zaczął błagać generała, aby mógł mu towarzyszyć. Przekonywał, że piechotą powinien dowodzić jeden z trybunów. A skoro tak, to dlaczego nie on? Fabrycjusz ze zdumieniem przyjął fakt, że Scypion nie zrugął Flakkusa, usłyszawszy jego propozycję. Chociaż konsulowi najwyraźniej ten pomysł był nie w smak, ostatecznie zgodził się na tę prośbę.

– Na Jowisza! Muszę przyznać, że masz tupet! – powiedział jasno, co myśli o upartym trybunie. – A teraz znikaj z mojego namiotu.

Fabrycjusz uznał, że warto zapamiętać tę scenę, była bowiem jednoznacznym dowodem świadczącym o potędze rodu *Minucii*. To, który z trybunów będzie towarzyszył Scypionowi, nie miało wielkiego znaczenia, ale gdyby na miejscu Flakkusa był ktoś inny, zostałby surowo ukarany za taką chucpę. Tymczasem konsul nie tylko nie skarcił Flakkusa, ale przychylił się do jego prośby. Jakiś czas temu trybun, komentując to zdarzenie w nieoficjalnej rozmowie z Fabrycjuszem, stwierdził z wyższością:

– *Minucii* mają swoje interesy w różnych projektach. Gdy dotrzemy do Italii, mój ród prawdopodobnie będzie już znał wszystkie szczegóły dotyczące szlaku Hannibala. – Fabrycjusz uznał, że coś takiego mogło być możliwe tylko wówczas, gdyby Flakkus wysłał do Rzymu pismo, w którym ze szczegółami omówiłby ostatnie wydarzenia. Nie mógł w to uwierzyć. *Czy Atia nie myliła się co do Flakkusa?* Fabrycjusz żałował, że jego przyszły zięć nie jest skromniejszym człowiekiem, ale pocieszająca była myśl, iż jego rodzina może skorzystać z wpływów *gens Minucia*, gdy Aurelia wyjdzie za mąż za Flakkusa.



Sam Fabrycjusz niezmiernie cieszył się na myśl, że wróci do stolicy. Mimo że armia konsularna w Iberii będzie zapewne miała pełne ręce roboty, wołał uczestniczyć w działaniach legionów polegających na zażegnaniu większego zagrożenia. Naturalnie chodziło o sławę pokonania Hannibala, a nie podrzędnego dowódcę, którego wódz Kartagińczyków zostawił w Iberii.

Okrutne potraktowanie więźniów przez Sapho nie powstrzymało Wokoncjów przed kolejnymi atakami. Można by rzec, że raczej wzmogło ich upór. Ze stoków spadały kolejne skały, powodując wiele ofiar wśród żołnierzy i zwierząt jucznych. Późnym popołudniem intensywność ataków wzrosła tak bardzo, że awangarda, włącznie z jazdą i taborem, została oddzielona od sił głównych i większości piechoty. Nic nie zmieniło się nocą, którą Sapho ze swoimi ludźmi musiał spędzić w obozie, aby być gotowym do obrony okrężnej. Jednak już następnego ranka – ku radości wszystkich żołnierzy – po Wokoncjach nie było śladu. Większość oficerów uważała, że stało się tak, gdyż poniesione przez nich straty w końcu były na tyle duże, że ataki na straż przednią po to, żeby zdobyć trochę zapasów, przestały się opłacać. Plemienni wojownicy spowodowali jednak szkody, które wykraczały poza zwykłe straty w ludziach. Mniej zmotywowane jednostki cierpiały w wyniku strasznego upadku morale. Każdej nocy pod osłoną ciemności uciekały setki żołnierzy. Hannibal rozkazał, aby nikt nie próbował ich zatrzymać.

– Żołnierze, którzy walczą pod przymusem, są kiepskimi towarzyszami broni – wyjaśniał Malchusowi swoją decyzję.

Armia parła niepowstrzymanie i uparcie naprzód.

Wymęczeni, przemarznięci i ledwo trzymający się na poranionych nogach Kartagińczycy wspinali się coraz wyżej. Nie musieli już stawiać czoła Wokoncjom czy Allobrogom, ich wrogiem była teraz natura, warunki atmosferyczne i szlak, który stawał się coraz bardziej zdradziecki. Zamiecie śnieżne i niskie temperatury powodowały odmrożenia i wyziębienia żołnierzy. Straty rosły. Od świtu do zmierzchu żołnierze padali jak muchy. Gdy osuwali się na ziemię, często już nie wstawali. W nocy po prostu umierali we śnie. Ludzie cierpieli z powodu głodu, wyczerpania, braku ciepłej odzieży lub w wyniku połączenia wszystkich trzech czynników.

Sapho, który zdaniem Hannibala świetnie poradził sobie, dowodząc strażą przednią podczas ataków Wokoncjów, w uznaniu umiejętności został awansowany. Hannibal pozwolił mu również dalej prowadzić kolumnę armii. Sapho z jednej strony cieszył się z tego, że był teraz równy stopniem z Bostarem, ale z drugiej zdawał sobie sprawę, że awans niesie ze sobą mniej przyjemne konsekwencje. Do niego i jego ludzi należało teraz torowanie drogi całej armii, co było zadaniem wymagającym zaangażowania wielkich sił. Trzeba było usuwać z drogi większe głazy, trakt wymagał regularnych napraw lub wzmocnienia. Szeregi oddziałów podległych Sapho topniały w zastraszającym tempie. Po ośmiu dniach Sapho znalazł się na skraju wyczerpania fizycznego i psychicznego. Strach, który odczuwał, myśląc o przeprowieniu się przez góry, okazał się uzasadniony. Jego zdaniem ta eskapada była skazana na niepowodzenie. Obawiał się, że nigdy nie znajdą przełęczy, którą mogliby wreszcie przedostać się na drugą stronę Alp. To, że się nie poddał, zawdzięczał tylko swojej dumie. Poproszenie Hannibala, by zwolnił go z dowodzenia strażą przednią, byłoby gorsze niż skok w przepaść. Nie zamierzał jednak się poddawać. Mimo wszystko wołał życie. Owinięty w pięć koców, pochylał się teraz nad ledwo ciepłym koszem w swoim namiocie i próbował przekonać się, że powinien czuć wdzięczność. Żaden z jego ludzi nie mógł pozwolić sobie na luksus rozpalenia ognia.

Drgnął. Czas sprawdzić posterunki, nawet jeśli była to ostatnia rzecz, na którą miał teraz ochotę. Musiał się przynajmniej pokazać. To było dobre dla morale jego ludzi. Zrzucił koce,

naciągnął na ramiona drugi płaszcz i owinął chustę wokół głowy. Gdy odwiązał skórzane paski przy wejściu i otworzył namiot, uderzył go gwałtowny podmuch zimnego wiatru. Sapho wzdrygnął się, ale zmusił się, aby wyjść. Przy wejściu do namiotu stało dwóch libijskich wartowników. Nasączona smołą pochodnia, ustawiona na niewielkiej kupce kamieni, rzuciła łąche światło. Wartownicy przyjęli postawę zasadniczą, gdy tylko go zobaczyli.

– Panie... – odezwali się chórem, ledwo otwierając sine z zimna usta.

– Meldujcie. Jest coś, co powinienem wiedzieć?

– Nie, panie.

– Czyli tak samo zimno jak zawsze...

– Tak, panie – potwierdził wartownik stojący najbliżej. Po chwili zgiął się w pół od kaszlu.

– Przepraszam, panie – odezwał się nerwowo jego towarzysz. – On nie może nic na to poradzić.

– W porządku – odparł poirytowany Sapho. Przyglądał się uważnie pierwszemu wartownikowi, który wycierał krwawe plwociny z ust. *On już jest martwy, chociaż jeszcze stoi* – pomyślał. Nagle zrobiło mu się go żal. – Zaprowadź towarzysza do mojego namiotu. Niech usiądzie przy żarniku i spróbuje się rozgrzać. Może tam zostać, dopóki nie wrócę z obchodu.

Zaskoczony Libijczyk wymamrotał jakieś podziękowania. Sapho wziął pochodnię i ruszył w ciemność. Nie będzie go mniej więcej ćwierć godziny. Może to wystarczy, aby chory poczuł się trochę lepiej. Na jego spierzchniętych ustach pojawił się cierpki uśmiech. *Robię się miękki jak Bostar*. Sapho nie widział swojego brata od czasu nieporozumienia w sprawie ukarania schwytych Wokoncjów. Nie miał nic przeciwko temu, żeby tak zostało.

Ostrożnie stawiając stopy na zmrożonym podłożu, skierował się ku namiotom żołnierzy. Zerknął na parę słoń, którą Hannibal wysłał dla wsparcia jednostek tworzących awangardę. Wymizerowane, cierpiące z powodu chłodu zwierzęta stały blisko siebie, próbując w ten sposób nie uronić tej odrobiny ciepła, jaką dawały sobie nawzajem. Przykro było na nie patrzeć. Szybko dotarł do pierwszych wartowników, którzy znajdowali się jakieś dwieście kroków od jego namiotu. Czujki zostały rozmieszczone po obu stronach drogi, przy której zatrzymali się na noc. To było najgorsze miejsce do patrolowania, bo eksponowane z trzech stron. Ponadto w tym miejscu nie dawało się rozpaść żadnego ogniska z uwagi na silny, zacinający śniegiem wiatr od szczytów. Aby żołnierze nie zamrzali na śmierć, Sapho rozkazał skrócenie wart do godziny. Mimo to codziennie tracił kolejnych ludzi.

– Dzieje się coś ciekawego? – spytał nieregulaminowo, próbując przekrzyczeć wiatr.

– Nie, panie! Nawet demony są dziś w łózkach!

– Bardzo dobrze. Wytrwałości...

Sapho ucieszył się nawet, że młodszy oficer pozwolił sobie na drobny żart. Teraz chciał wrócić po swoich śladach. Sprawdzi jeszcze tylko czujki na tyłach falangi, a potem zanurkuje pod koce w namiocie. Przedzierał się przez śnieg ze wzrokiem wbitym w ciemność. W którymś momencie ze zdziwieniem zauważył jakąś postać mijającą narożnik skrajnego namiotu. Zmarszczył brwi. Urwisko znajdowało się nie dalej jak dwadzieścia kroków od linii namiotów, a duł tak silny wiatr, że mógł z łatwością porwać mężczyznę w przepaść. Widział to już nie raz i nie dwa. W związku z tym większość jego żołnierzy nauczyła się poruszać między namiotami, a nie po obwodzie. Mężczyzna niósł pochodnię, co oznaczało, że nie mógł być wrogiem. Mimo to obrał najniebezpieczniejszą drogę, taką, żeby nie być zauważonym przez żołnierzy z falangi. Dlaczego? Co miał do ukrycia?

– Hej! – krzyknął Sapho. – Zatrzymaj się! – Mężczyzna wyprostował się, a wiatr zrzucił mu z głowy kaptur.

– Sapho?

– Bostar? – Sapho wpatrywał się w brata z niedowierzaniem.

– To ja. Możemy porozmawiać?

Sapho zachwiał się od silniejszego uderzenia wiatru. Mógł tylko bezradnie obserwować, jak podmuch przygniótł zaskoczonego Bostara, który opadł na kolana. Gdy próbował wstać, kolejne uderzenie zachwiał nim i zmusiło do zrobienia kilku kroków do tyłu, ku rozpadlinie. W mrok.

Sapho nie mógł uwierzyć w to, co rejestrowały jego oczy. Podbiegł do krawędzi przepaści, przypadł do ziemi i wychylił się ostrożnie. Zaskoczony stwierdził, że jego brat trzyma się rozpaczliwie jakiejś cienkiej gałęzi skarłowaciałego krzaka kilka kroków poniżej.

– Pomóż mi!

Sapho nie poruszył się, chłonąc wszystko szeroko otwartymi oczyma. *Dlaczego miałbym mu pomagać? Co na tym zyskam?*

– Na co czekasz? – Głos Bostara załamywał się. – Ta cholerna gałąź długo mnie nie utrzyma! – Zbladł, widząc spojrzenie Sapho. – Chcesz, żebym zginął, prawda? Tak samo jak byłeś zadowolony, gdy zniknął Hanno.

Język Sapho zdrętwiał, przyklejając się do podniebienia. Zalało go poczucie winy. *Skąd Bostar może wiedzieć, co czuję?* Nie ruszył się z miejsca.

Gałąź zatrzęszczała nieprzyjemnie i zaczęła pękać.

– Pieprzę cię! – wykrzyknął Bostar. Uwolnił lewą rękę i rzucił ją w górę, do przodu, szukając po omacku jakiegoś punktu zaczepienia na krawędzi. Za moment ciężar ciała pociągnie go do tyłu, a potem runie w przepaść. Bolesnie świadomy tego, co go czeka, Bostar szaleńczo przebierał palcami, aby przyłgnąć do twardej, pokrytej lodem ziemi. Nie udało mu się. Z rozpaczliwym krzykiem zaczął osuwać się w dół.

I wtedy Sapho zadziałał instynktownie. Wyciągnął rękę, aby złapać brata za ramię. Szarpnął mocno i pociągnął go w górę, poza krawędź. Jeszcze chwila i znaleźli się kilka kroków dalej, już na bezpieczniejszym gruncie. Przez jakiś czas leżeli obok siebie na plecach, z wysiłkiem łapiąc powietrze. Bostar usiadł pierwszy.

– Dlaczego mnie uratowałeś?

Sapho z trudem wytrzymał spojrzenie brata.

– Nie jestem mordercą.

– Nie – odciął się Bostar. – Ale ucieszyłeś się ze zniknięcia Hanno, prawda? Miałeś większą szansę stać się ulubieńcem ojca.

Sapho się zawstydził.

– Ja...

– To dziwne – przerwał mu Bostar. – Gdybym i ja zginął, miałbyś ojca tylko dla siebie. Dlaczego nie pozwoliłeś, abym zsunął się do tej rozpadliny?

– Jesteś moim bratem – zaprotestował cichym głosem Sapho.

– Może i tak, ale stałeś nade mną i tylko patrzyłeś. Niewiele brakowało – odparł z furią Bostar. Powoli odzyskiwał kontrolę nad sobą. – Niemniej muszę ci podziękować za ocalenie mi życia. Jestem wdzięczny. I spłacę dług, jeśli tylko będę miał okazję. – Splunął na ziemię. – A gdy już to zrobię, staniesz się dla mnie martwy.

Sapho otworzył usta ze zdumienia. Patrzył, jak Bostar wstaje i odchodzi.

– Co powiesz ojcu? – zawołał za nim.

Bostar odwrócił się, mierząc go pogardliwie wzrokiem.

– Nie martw się. Nic mu nie powiem. – Po tych słowach rozplynął się w mroku.

W tej samej chwili kolejny mroźny podmuch wiatru uderzył Sapho, przeszywając go do

kości.

Nigdy nie czuł się bardziej samotny.

Gdy Kwintus i Hanno ruszyli w drogę, Aurelia walczyła z ogarniającym ją poczuciem osamotnienia. Z trudem poradziła sobie z wymyśleniem pretekstu do wybrania się na wycieczkę i zajrzenia do Suniatona. Z oczywistych powodów nie mogła zwierzyć się matce. Greckiego nauczyciela, ze względu też na jego wiek, nie lubiła ani mu nie ufała. Mogła liczyć tylko na Elirę, ale Ilirijka ostatnio miała swoje humory, co czyniło z niej niezbyt przyjemną towarzyszkę. Juliusz był jedynym domowym niewolnikiem, z którym Aurelia mogła swobodnie rozmawiać. Niemniej po pełnych emocji eskapadach do lasu dyskusje na temat menu w przyszłym tygodniu wydawały jej się mało atrakcyjne. W związku z tym spędzała większość czasu z matką, która, odkąd zostały na gospodarstwie same, z jeszcze większym poświęceniem koncentrowała się na domowych obowiązkach. Aurelia przypuszczała, że w ten sposób Atia radziła sobie z tęsknotą za Kwintusem.

W jednej z szop na dziedzińcu zgromadzono ogromne zapasy wełny, zebranej jeszcze latem. Przez kilka kolejnych miesięcy niewolnice zajmowały się usuwaniem z niej roślinnych zanieczyszczeń i gręplowaniem. Potem wełnę barwiono na różne kolory: najczęściej czerwony, żółty, niebieski i czarny. Po ufarbowaniu wełna była gotowa do przędzenia, a potem do tkania. Choć większość tej pracy wykonywali niewolnicy, Atia upierała się, że obie z Aurelią powinny także się tym zajmować. Dlatego codziennie wybierały jakieś miejsce na podwórzu, gdzie siadały z krosenkami i wrzecionami w rękach, chowając się do atrium tylko wtedy, gdy padało.

– To do kobiety należy obowiązek dbania o dom i praca przy wełnie – stwierdziła Atia pewnego rzeźkiego poranka. Zręcznie wyciągnęła kilka włókien z kuli runa i wprawiła w ruch kołowrotek. Uniosła wzrok, spoglądając na Aurelię. – Słuchasz mnie, dziecko?

– Tak – odpowiedziała Aurelia, wdzięczna, że Atia nie zauważyła, jak przewróciła oczami. – Powtarzałaś mi to już tysiące razy.

– Bo to prawda – odrzekła Atia, uśmiechając się lekko. – Dobra żona potrafi praść i tkąć. Lepiej, żebyś o tym pamiętała.

– Dobrze, mam – powiedziała Aurelia posłusznie. Wyobraziła sobie jednak, jak ćwiczy z gladiuszem.

– Bez wątplenia ojciec i Kwintus będą wdzięczni za płaszcze i tuniki, które możemy im wysłać. Sądzę, że zimy w Iberii mogą być ciężkie.

Aurelia poczuła się winna i z większym zaangażowaniem przyłożyła się do pracy. Tylko tak teraz mogła pomóc bratu. Zaskoczyło ją to, że pomyślała, iż chce również pomóc Hanno. *On jest teraz jednym z wrogów Rzymu* – zbesztła się w myślach.

– Czy były jakieś nowiny?

– Dobrze wiesz, że nie. – W głosie Atii pojawił się wyraźny ton irytacji. – Ojciec nie będzie miał czasu, aby do nas pisać. Z błogosławieństwem bogów dotarł już pewnie do Iberii.

– Jeśli Kwintus będzie miał szczęście, wkrótce go odnajdzie – odpowiedziała Aurelia.

– Co on sobie myślał? Wybrać się zupełnie sam w taką drogę? – Przez chwilę z twarzy Atii opadła maska opanowania, odsłaniając smutek.

Aurelii czuła ból w sercu na widok cierpiącej matki. Do tej pory nie powiedziała jej, że Kwintus podróżuje z Hanno. Tak było prościej. Teraz jednak zaczynała się wahać.

W tej samej chwili rozległ się dyskretny kaszel, który sprawił, że ugryzła się w język. Zirytowana ujrzała w drzwiach nadzorcę.

– Agesandros? – Atia znów przywdziała maskę pewności siebie.

– Moja pani. – Sycylijczyk się uklonił. – Aurelio.

Aurelia rzuciła nadzorcy kąśliwe spojrzenie. Odkąd oskarżył Hanno o próbę zamachu na

życie rodziny, unikała go jak zarazy. A teraz pojawił się w niewłaściwym momencie, uniemożliwiając jej pocieszenie matki.

– Coś się stało? – spytała Atia. – Jakież problemy przy zbiorze oliwek?

– Nie, pani – zawahał się. – Chciałem... Przeprasić. Aurelię.

Atia uniosła brwi ze zdziwienia.

– Czym zawiniłeś?

– Niczym, czego nie powinienem był robić, pani – powiedział Agesandros, uspokajając Atię. – Ale cała ta sprawa z kartagińskim niewolnikiem okazała się mocno... nieszczęśliwa.

– Tak to widzisz? – wtrąciła kwaśno Aurelia.

Atia uniosła ostrzegawczo dłoń, uciszając córkę.

– Kontynuuj...

W niemal tydzień później Scypion przybył do Pizy i dowiedział się – zaskoczony i rozżłoszczony – że w porcie czeka już na niego posłaniec z wiadomością z senatu. Konsul myślał jedynie o jak najszybszym udaniu się na północ, do Galii Przedalpejskiej, aby przejąć dowodzenie nad legionami, znajdującymi się teraz pod dowództwem pretora Lucjusza Manliusza Wulso. Tymczasem wiadomość dostarczona Scypionowi zawierała jednoznaczny sugestię, że przed podjęciem dalszych działań przeciwko Hannibalowi powinien pojawić się na zgromadzeniu członków senatu. Senatorowie uważali to za konieczne, ponieważ – jak to Scypion wyjaśnił Flakkusowi ociekającym złośliwością głosem – miał rzekomo „przekroczyć swoje uprawnienia konsularne, rezygnując z udania się do Iberii na czele swojej armii”.

Tymczasem Flakkus udawał, że skupia się wyłącznie na swoich dłoniach, uważnie przyglądając się paznokciom.

– Ktoś musiał powiadomić senatorów, zanim opuściliśmy Massalię – rzucił Scypion, wpatrując się bezceremonialnie we Flakkusa. – Jednak nigdzie nie widzę słowa *provocatio*. W gruncie rzeczy mógłbym zignorować tę lekceważącą notę. I prawdopodobnie powinienem to uczynić. Z każdym dniem Hannibal i jego armia bardziej zbliżają się do naszych północnych granic. Nie jest możliwe, aby Semproniusz tak szybko przetransportował swoje oddziały z Sycylii na północ. Wycieczka do Rzymu spowoduje moje opóźnienie o co najmniej dwa tygodnie. Jeśli Hannibal w tym czasie zejdzie z gór, może dojść do katastrofy.

– Nie mam z tym nic wspólnego – odpowiedział gładko Flakkus.

– Ach tak? – Wściekły Scypion wciągał głośno powietrze.

Flakkus miał tyle oleju w głowie, aby nie prowokować konsula.

Scypion pochylił głowę i jeszcze raz przeczytał otrzymany list.

– Wróć do Rzymu, skoro taka jest wola senatu, ale odpowiedzialność za to, co się stanie w związku z tym opóźnieniem, spadnie na głowy rodu *Minucii*, a zwłaszcza na twoją. Jeśli Hannibal wkroczy w granice naszej prowincji, zanim dotrę do Galii Przedalpejskiej, postaram się, abyś znajdował się w pierwszej linii za każdym razem, gdy napotkamy Kartagińczyków. – Flakkus podniósł wzrok przestraszony, a Scypion posłał mu nieprzyjemny uśmiech. – Dzięki temu będziesz miał okazję do zdobycia glorii i chwały, których tak pożądasz. Spodziewam się, że pośmiertnie. – W kolejnych słowach Scypion zwrócił się do Fabrycjusza, ignorując niepewne spojrzenia Flakkusa. – Weźmiemy tylko jedną turmę do Rzymu. Niech każdy jeździec zabierze po dwa konie zapasowe. Ci, którzy zostaną teraz spieszeni, mają kupić nowe wierzchowce, a potem ruszyć na północ, aby dołączyć do Wulso. Jemu też od razu odeślemy kohortę piechoty. Wykonać. Wyruszamy za godzinę.

Flakkus nie odstępował na krok Fabrycjusza, który zajął się nadzorowaniem rozładunku okrętu. Na pirsie portu w Pizie trwała gorączkowa krzątanina. Legioniści, którzy zeszli z okrętu, pobierali swoje wyposażenie ze stosu usypanego z zawartości ładowni triremy. Potem formowali

różne rzędy pod czujnym okiem oficerów. Jeźdźcy podlegający Fabrycjuszowi obserwowali wyładunek koni na specjalnie skonstruowanych, osłoniętych rampach, które – unoszone przez dźwigi – wydostawały ich konie z wnętrza statku, a potem przenosiły je w powietrzu na nabrzeże. Następnie do tych klatek wchodzili stajenni, których zadaniem było uspokojenie wierzchowców przed odprowadzeniem na bok, gdzie kontynuowano przygotowania do wymarszu. Fabrycjusz uznał, że powinien rozmówić się z Flakkusem, więc skorzystał ze sprzyjającej okazji.

– Co się dzieje, na czeluści Hadesu?

– Co masz na myśli? – Flakkus zrobił minę niewiniątka.

– Każdy głupiec wie, że Scypion nie powinien jechać do Rzymu, lecz jak najszybciej ruszyć do Galii Przedalpejskiej. Mimo to spiskowałeś, aby tak się nie stało.

– Skąd wniosek, że to ja zawiadomiłem senat? – Flakkus udawał, że jest dotknięty. – Nie mogę odpowiadać za działania starszych członków mojego rodu. To ludzie o większych wpływach niż moje czy twoje. Ludzie, którzy przede wszystkim stawiają sobie za cel dobro Rzymu. Znają Scypiona i uważają go za aroganckiego generała, którego głównym celem jest zyskanie chwały. Jego ostatnie działania jasno tego dowiodły. Trzeba go zdyscyplinować i pokazać mu, gdzie jest jego miejsce, zanim będzie za późno. Przecież północy strzegą nasze legiony – dodał Flakkus z przekonaniem. – Lucjusz Manlius Wulso jest na miejscu z pełną armią konsularną. Wulso jest doświadczonym dowódcą i nie mam wątpliwości, że potrafi stawić czoła, a nawet pobić tę hołotę prowadzoną przez Hannibala, jeśli ten przedrze się przez górskie przełęcz. Nie zgadzasz się ze mną?

Fabrycjusz zaczął się wahać. Decyzja pewnego siebie Scypiona, który odesłał powierzoną mu armię do Iberii, aby sam mógł wrócić do Italii, była bez wątpienia posunięciem niezwykłym. Na początku Fabrycjusz uważał, że Scypion dał w ten sposób wyraz umiejętności przewidywania, ale słowa Flakkusa zasiały ziarno niepewności w jego głowie. Trudno było uwierzyć w to, że jedna frakcja w Rzymie wystawia republikę na niebezpieczeństwo tylko dlatego, żeby zdobyć kilka punktów przewagi nad politycznym rywalem. *Minucii* muszą mieć swoje powody, aby domagać się powrotu Scypiona. Teoretycznie legiony znajdujące się w Galii Przedalpejskiej były w stanie obronić północną granicę. Fabrycjusz przyjrzał się uważnie Flakkusowi i zobaczył na jego twarzy tylko szczerą troskę.

– Przypuszczam, że tak – zamruczał niepewnie.

– Dobrze. Udajmy się do stolicy, nie martwiąc się o Hannibala, i poczekajmy na to, co więksi od nas mężowie stanu zdecydują w związku ze Scypionem – mówił poważnym głosem Flakkus. – Tymi parszywymi szczurami z Kartaginy można zająć się zaraz potem, jeśli wcześniej Wulso nie zetrze armii Hannibala z powierzchni ziemi. Zgoda? – Flakkus wyciągnął prawe ramię na modłę żołnierską.

Fabrycjusz poczuł się nieswojo. W jednej chwili Flakkus używał wielkich słów, jakby rzymscy senatorowie zawsze działali bezinteresownie, a w następnej zasugerował, że powstrzymanie zapędów Scypiona jest przejawem gry politycznej, bez uwzględnienia niebezpieczeństwa stwarzanego przez Hannibala. *Tu działo się znacznie więcej, niż dało się dostrzec na pierwszy rzut oka.* Zdaniem Fabrycjusza podstawowym problemem był Hannibal i przede wszystkim należało znaleźć sposób, aby sobie z nim poradzić. Ludzie zasiadający w senacie najwyraźniej tego nie rozumieli. A z drugiej strony, czy to naprawdę miało jakieś znaczenie, że najpierw udadzą się do Rzymu, a dopiero potem do zagrożonej dzielnicy? Jeśli Hannibalowi uda się przejść przez Alpy, jego armia będzie potrzebowała dużo czasu, aby odpocząć i zebrać siły. Ostrzeżony wcześniej Wulso będzie przygotowany, aby zagrozić jej drogę, a podróż z Rzymu nie zajmie Scypionowi dużo czasu.

– Zgoda – powiedział, wyciągając rękę do Flakkusa.  
– Doskonale – w oczach Flakkusa błysnęło zadowolenie. – Tak przy okazji, nie bierz sobie do serca wszystkiego, co usłyszysz od mojego brata. Bardzo się cieszy, że pozna cię osobiście.

Lekko zdezorientowany tą uwagą Fabrycjusz skinął tylko głową.

Następnego dnia armia Hannibala dotarła do najwyższego punktu przełęczy. Rozwodniona poświata stworzona przez promienie słońca przebijające przez górskie mgły odłoniła płaskie równiny ciągnące się daleko, aż po odległy horyzont. Bostar pomyślał gorzko, że dla wielu z tych, którym udało się przetrwać trudne górskie warunki, widok ten może się wydawać mirażem, bo tak wiele mil dzieliło ich jeszcze od tych żyznych pól. Ponadto zbocza schodzące w dół, ku Galii Przedalpejskiej, były pokryte zmrożonym śniegiem, który zupełnie ukrył szlak. Dlatego znalezienie bezpiecznej drogi było teraz trudniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, a każda pomyłka przynosiła kolejne śmiertelne ofiary, zupełnie tak samo jak podczas podejścia.

Aby ulżyć trochę w cierpieniu swoim żołnierzom, Hannibal pozwolił im przez dwa dni odpoczywać. Oczywiście nie chodziło tylko o zwykłą życzliwość. W tym czasie do obozu docierały setki maruderów, żołnierzy, którzy zginęliby, gdyby nie zdołali dogonić swoich towarzyszy. Ludzie ci byli witani ciepło, ale bez wielkiej radości. Nawet gdyby chcieli porozmawiać z kimś o tym, co przeszli, nie znaleźliby licznych słuchaczy. W sercach żołnierzy wciąż czaił się mrok niepewności i rozpacz, czyniąc ich niewrażliwymi na cierpienie innych.

Co ciekawe, do obozu dotarli również setki mułów, które zapodziały się gdzieś podczas wspinaczki. I chociaż większość pojawiła się już bez bagażu, ich przybycie stanowiło powód do zadowolenia. W celu podniesienia morale żołnierzy Hannibal pozwolił, aby najśłabsze zwierzęta – łącznie jakieś dwie setki lub więcej – ubito, a mięso upieczono w ogniskach, do których rozpalenia wykorzystano większość kończących się zapasów drewna. Tym sposobem po raz pierwszy od tygodni żołnierze mogli zasnąć z brzuchami wypełnionymi świeżym mięsem.

Tłący się w Bostarze płomyczek nadziei, że Hanno wciąż żyje, oraz obecność ojca pozwoliły mu przetrwać trudy ostatniego dnia i nocy. Starał się w ogóle nie myśleć o Sapho, koncentrując się na niesieniu pomocy swoim ludziom. Jeśli Bostar uważał, że wspinaczka do tego miejsca była trudna, zejście okazało się dwa razy trudniejsze. Po ponad tygodniu spędzonym na dużych wysokościach, gdzie utrzymywał się śnieg, wszyscy żołnierze byli przemarznięci do szpiku kości. Mimo prezentów z ciepłej odzieży i obuwia podarowanych przez Cavares wielu z nich nadal nie było przygotowanych na warunki panujące w górach, gdzie łatwo o odmrozenia. Osłabieni przez zimno Kartagińczycy potykali się na najmniejszych przeszkodach, brodzili w śniegu po pas i wpadali na siebie, z trudem zachowując równowagę na zmrożonym szlaku. Zwykle poślizgnięcie mogło przynieść opłakane skutki, bo często oznaczało upadek w głęboką przepaść czy osunięcie się w śnieg, a potem sen, z którego można się było już nie obudzić.

Żołnierze ginęli na wiele różnych sposobów. Zdarzało się, że wytyczone na kamieniach ścieżki osuwały się pod ciężarem śniegu i ludzi, wysyłając setki żołnierzy prosto w objęcia śmierci. Potem trzeba było na nowo zabezpieczać te fragmenty szlaku, aby kolumna mogła kontynuować marsz. Nieszczęsne muły łatwo wpadały w panikę, a ich szalone wierzganie też było niebezpieczne dla ludzi. Bostar stwierdził, że jedynym sposobem, aby nie oszaleć w tym pochodzie śmierci i zniszczenia, było zachowywanie się tak, jakby nic się nie działo. Trzeba było stawiać jedną nogę przed drugą. Na zmianę. Pozostawało tylko krok po kroku brnąć w tę ponurą rzeczywistość.

Kiedy wydawało się, że już nie może być gorzej, okazało się, iż się pomylił. W okolicach południa następnego dnia zwiadowcy donieśli mu, że osuwisko przed nimi blokuje drogę na

długości około półtora *stadia*. Sapho wysłał do Hannibala wiadomość, że tego odcinka nie pokona ani człowiek, ani żadne zwierzę bez narażenia się na utratę życia. W poprzek ścieżki biegła ogromna zapadlina o szerokości co najmniej pięciuset kroków. Na Hannibalu nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Kazał swoim Numidyjczykom rozpocząć budowę nowej drogi, dzięki której dałoby się obejść przeszkodę. Reszcie armii wydał rozkaz rozbicia obozu na szlaku i zarządził odpoczynek. Wieści o blokadzie sprawiły, że wielu żołnierzy popadło w rozpacz, nie kryjąc się ze swoimi emocjami.

– Czy nasze cierpienia nigdy się nie skończą? – Bostar usłyszał narzekania jednego ze swoich ludzi.

Musiał reagować szybko. Morale żołnierzy było tak niskie, że nie mógł pozwolić na demonstrowanie takich nastrojów.

Pozostało im czekać, wypatrując nielicznych wieści przekazywanych przez żołnierzy z awangardy. Bostar nie wiedział, czy powinien wierzyć we wszystkie plotki, które słyszał. Konie jazdy wykorzystywano do usuwania dużych głazów, jednak większość pracy musiała być wykonana przez ludzi. Hannibal obiecał sto sztuk złotych monet pierwszemu, kto pokona przeszkodę. Dziesięciu ludzi zginęło, gdy doszło do kolejnego osunięcia. Aby przygotować drogę dla słońi, potrzebowano przynajmniej tygodnia.

Gdy zapadły ciemności, Bostar poczuł się pewniej, słysząc młodszego oficera Numidyjczyków, który przechodząc przez szeregi falangi do swojego namiotu, powiedział:

– Zrobiliśmy dzisiaj spore postępy. Nowa ścieżka ciągnie się przez ponad dwie trzecie osuwiska. Jeśli jutro nic się nie zmieni, będziemy mogli ruszyć dalej.

Bostar odetchnął z ulgą. Po prawie miesiącu spędzonym w górach Gallia Cisalpina wydawała się w zasięgu ręki.

Cały jego optymizm ustąpił zwątpieniu po godzinie pracy następnego ranka, gdy inżynierowie odkryli ogromny głaz, który uniemożliwiał dalsze prace, całkowicie blokując drogę. Blok skalny miał średnicę większą niż wysokość dwóch mężczyzn, a znajdował się w takim miejscu, że jednocześnie mogło do niego podejść tylko kilku żołnierzy. Na nic zdały się próby użycia koni, a ścieżka nie była jeszcze dość szeroka, aby wykorzystać siłę słońi.

Godziny mijały, a Bostar obserwował, jak z oczu żołnierzy znika wąty cień nadziei. Chociaż milczeli, dobrze wiedział, co myślą, bo sam czuł się równie przygnębiony. Wkrótce pojawił się Hannibal, który chciał osobiście sprawdzić, na czym polega problem. Tym razem w jego obecności Bostar nie czuł żadnej ekscytacji. Czy ktokolwiek – nawet Hannibal – może znaleźć sposób pokonania tej przeszkody? Wyglądało na to, że bogowie nieźle sobie z nich zażartowali. Pozwolili im dojść tak daleko... Na domiar złego znów zaczął padać śnieg. Zwiesił ramiona.

Chwilę później ujrzał ojca, który również przybył obejrzeć powód ich nieszczęścia, a potem wdał się w ożywioną dyskusję z Hannibalem. Gdy wracał, były od niego determinacja i spokój. Bostar zerkał na żołnierzy, którzy biegli przed nim, mijając kolejne rzędy kolumny. Chwytał ojca za ramię i zapytał:

– Co się dzieje?

– Nie trać wiary... – odparł Malchus z półuśmiechem.

Żołnierze wysłani z rozkazami szybko wrócili, zginając się pod ciężarem drewna opałowego. Przynosili kolejne wiązki, układając je skrupulatnie wokół podstawy bloku skalnego. Gdy ułożyli całkiem duży stos, Malchus kazał go podpalić. Bostar ciągle nie rozumiał, co robią, a ojciec nie odpowiadał na żadne pytania. Pozwolił, aby jego synowie przyglądali się całej operacji z coraz większym zaciekawieniem, a sam stanął u boku Hannibala.

Żołnierze, którzy znajdowali się najbliżej, obserwowali te działania zaintrygowani, ale po



godzinie od podłożenia ognia zaczęli się nudzić. Rozległy się narzekania o marnowaniu ostatnich zapasów drewna. Po raz pierwszy od czasu opuszczenia Nowej Kartaginy Bostar nie zareagował natychmiast na symptomy rozluźnienia w szeregach. Jego zwątpienie osiągnęło poziom krytyczny. Niezależnie od tego, jaki pomysł miał jego ojciec, wyglądało na to, że się nie sprawdził. Równie dobrze mogliby się teraz położyć na ziemi i umrzeć, bo tak się zapewne stanie, gdy zapadnie noc.

Bostar nie śledził już konstruowania drewnianego podestu, który pozwalał znaleźć się ponad górną krawędzią bloku skalnego. Podniósł jednak wzrok, gdy ci sami żołnierze zaczęli dźwigać amfory. Ponownie jego ciekawość okazała się silniejsza od rozpacz. W glinianych naczyniach znajdowało się kwaśne wino, napój będący podstawowym trunkiem żołnierzy. Bostar zobaczył, że jego ojciec znów gestykułuje podekscytowany, a Hannibal obserwuje wszystko z dystansu. Na drewnianą konstrukcję szybko wspięło się dwóch *scutarii* bez broni i pancerzy. Aby osłonić się przed ciepłem promieniującym od skały, obaj zmoczyli ubrania. Gdy dotarli na szczyt, opuścili na ziemię liny. Ktoś zajął się mocowaniem amfor, które następnie zostały wciągnięte na podesty. Bez zwłoki *scutarii* zbili woskowe czopy i zaczęli wylewać zawartość amfor na głaz. Ciecz syczała i przyskała, a powietrze wypełnił mocny zapach wina. Wtedy Bostar doznał olśnienia, które było niczym uderzenie młotem. Odwrócił się, aby podzielić się swoimi domysłami z Sapho, ale w tej samej chwili porzucił ten zamiar i nie powiedział ani słowa.

Opróżnione naczynia wyrzucono, a w ich miejsce pojawiły się kolejne. Operację powtarzano raz za razem. Znów rozległo się głośne bulgotanie wina wylewanego na rozgrzaną skałę. Tylko że nic się nie działo! *Scutarii* zerkali niepewnie na Malchusa.

– Nie przerywajcie! Wylewajcie jak najszybciej! – dodawał im otuchy ojciec Bostara.

Usłuchali i pospiesznie opróżnili dwie kolejne amfory. Potem jeszcze cztery. A skała jak stała, tak stała. Nieporuszona. Drwiąc sobie z ich wysiłków. Malchus ryknął do żołnierzy, którzy stali w pobliżu, aby dorzucili drew do ognia. Płomienie lizały krawędzie kamiennej przeszkody, grożąc tym, że ogień wymknie się spod kontroli i podpali platformę, na której stali *scutarii*. Mimo tego zagrożenia nie pozwolono im na opuszczenie pozycji. Malchus podszedł do konstrukcji i zachęcał żołnierzy do zwiększenia wysiłków. Zawartość kolejnych dwóch amfor została wylana na głaz. Bez efektów. Bostar poczuł, że resztki jego nadziei wyparowują równie szybko, jak gotujące się wino na powierzchni feralnej przeszkody.

I wtedy rozległa się seria ogłuszających trzasków. W powietrze wystrzeliły fragmenty kamienia, a jeden ze *scutarii* zwałił się na ziemię jakby rażony piorunem. Jego czaszka została przecięta ostrym kawałkiem skały, nie większym niż kurze jajko. Wstrząśnięty towarzysz szybko opuścił rampę. Żołnierze, którzy byli odpowiedzialni za utrzymanie ognia, też błyskawicznie odskoczyli na bezpieczną odległość. Wkrótce rozległy się kolejne trzaski i stało się jasne, że blok skalny rozpękł się na wiele dużych kawałków, ale takich, że ludzie wspólnym wysiłkiem będą je mogli przesunąć lub rozbić młotami. Wiwaty żołnierzy wzbijały się wysoko pod niebo. Gdy o tym sukcesie dowiedzieli się żołnierze, w całej kolumnie rozległy się radosne okrzyki, odbijające się od odległych stoków. Można było odnieść wrażenie, że to same góry wiwatują na cześć Kartaginy.

Uśmiechający się od ucha do ucha Bostar i Sapho ruszyli w kierunku ojca, aby mu pogratulować. W uniesieniu obejmowali go kolejno. Dołączył do nich nawet Hannibal, który uściskał Malchusa jak brata.

– To już prawie koniec naszej udręki – zawołał generał. – Droga do Galii Przedalpejskiej stoi otworem.

Potężne Mury Serwiańskie, otaczające stolicę, wywarły na nich niezatarte wrażenie. Fortyfikacje Kapui wydawały się przy nich ledwie palisadą.

– Ta konstrukcja ma już prawie dwieście lat – wyjaśniał podekscytowany Kwintus. – Zostały wzniesione po tym, jak Rzym splądrowali Galowie.

*Niech Hannibal będzie kolejnym, który to uczyni* – pomyślał Hanno.

– Jak prezentują się w porównaniu z murami Kartaginy?

– Słucham? – Hanno został brutalnie przywołany do rzeczywistości. – Duża część naszych umocnień jest stosunkowo nowa. *Ale robią jeszcze większe wrażenie* – dopowiedział w myślach.

– Ale czy są większe?

– Kartagina jest znacznie większa. – Hanno nie zamierzał kłamać w tej kwestii.

Kwintus postarał się, aby nie wyglądać na rozczarowanego tą odpowiedzią. Bez powodzenia.

Hanno ze zdziwieniem przekonywał się, że za murami można było dostrzec znacznie więcej podobieństw między stolicami zwaśnionych imperiów. Ulice miasta nie zostały utwardzone brukiem, a szerokość większości z nich nie przekraczała dziesięciu kroków. Po miesiącach upałów tworzyły się na nich twarde koleiny.

– Gdy nadejdzie zima, te drogi zamienią się w koryta błotnistej mazi. To samo dzieje się w Kartaginie, gdy nadchodzi sezon burz.

– W Kapui jest podobnie – zgodził się Kwintus. – Zmarszczył nos, gdy mijali ulicę, na której znajdowała się wielka hałda kompostu. W powietrzu unosił się ostry fetor ludzkiego kału i moczu. – Na szczęście mamy jesień, a nie środek lata, bo wtedy ten smród musi być nie do zniesienia.

– Dużo budynków ma systemy kanalizacyjne?

– Nie.

– Zupełnie tak samo jak w niektórych dzielnicach Kartaginy. – Hanno stwierdził, że dziwnie jest odczuwać tęsknotę za domem wywołaną fetorem ludzkich ekskrementów.

Nieznosny smród był po części konsekwencją tego, że okoliczne domy, liczące dwie, trzy, a czasami nawet cztery kondygnacje, tworzyły niedoświetlone, słabo wentylowane arterie komunikacyjne. W porównaniu ze świeżym powietrzem i otwartymi przestrzeniami na wsi był to zupełnie inny świat. Większość budowli wyglądała tak samo. Na parterze znajdowały się sklepy i warsztaty, a wyższe piętra pełniły funkcje mieszkalne. Kwintus był zaskoczony, widząc, jak nieuporządkowane i wręcz brudne były te dzielnice.

– I tutaj żyje przeważająca część ludności miasta... – stwierdził nieco zamyślony.

– Większość budynków w Kartaginie wykonana jest z cegieł błotnych.

– Pewnie jest znacznie bezpieczniejsze. Do konstrukcji tych *cenaculae* używa się głównie drewna. To wylęgarnia wszelkich chorób. Trudno je ogrzać i czasami się rozpadają.

– Łatwo zatem o pożary. – Hanno wyobrażał sobie, jak będzie palić się to miasto, gdy pod jego murami pojawi się armia Hannibala.

– No tak... – Kwintus się skrzywił.

Miasto tętniło życiem, jakby mieszkający tu ludzie nie czuli wszechobecnego smrodu ani nie zauważali robiących wrażenie murów. Wokół nich pokrzykiwali kupcy zachwalający swoje produkty, dokazywały dzieci i trajkotały sąsiadki z pobliskich domów. Wszędzie kręciło się mnóstwo żebraków w łachmanach, a ich prośby wtapiały się w miejski jazgot. Na to wszystko nakładały się ostre dźwięki uderzeń kowalskich młotów i obróbki drewna z kilku lokalnych warsztatów stolarskich. Z Forum Boarium dochodziły porykiwania zwierząt.

Oczywiście Rzym nie był celem ich podróży. Zmierzali do portu w Pisae, gdzie zaokrętowała się armia Scypiona zmierzająca do Iberii. Jednak możliwość zobaczenia stolicy była dla obu zbyt kusząca, aby mogli się jej oprzeć. Chodzili ulicami Rzymu przez kilka godzin,

ciesząc oczy nowymi dla nich obrazami. Gdy zgłodnieli, zadowolili się gorącymi kiełbaskami i świeżym chlebem, kupionymi u handlarzy w małych kramach. Na deser zjedli kilka soczystych śliwek i jabłek.

Droga nieuchronnie zawiodła ich do ogromnej świątyni Jowisza, stojącej wysoko, na wzgórzu kapitolijnym. Kwintus nie mógł przestać wpatrywać się w pokryty złotem dach, rzędy kolumn wysokich na dziesięciu mężczyzn i fasadę zdobioną jaskrawo malowaną terakotą. Zatrzymał się pod wielkim posągami brodatego Jowisza, ustawionym na wzniesieniu przed kompleksem świątynnym, jakby celowo po to, aby bóg mógł spoglądać z góry na Rzym.

Hanno niechętnie się zatrzymał, zmuszony do tego zachowaniem Kwintusa.

– Musi być większa niż jakkolwiek świątynia w Kartaginie – odezwał się Kwintus, spoglądając na przyjaciela pytającym wzrokiem.

– Jedna z naszych świątyń jest równie wielka – odparł z dumą Hanno. – Wzniesiono ją na cześć Eshmunu.

– Za co go czcicie? – zapytał zaciekawiony Kwintus.

– Jest uosobieniem siły życiowej. Zapewnia płodność, dobre samopoczucie i zdrowie.

– Czy to najważniejsze bóstwo w Kartaginie? – Zdziwiony Kwintus uniósł brwi.

– Nie.

– To dlaczego jego świątynię uczyniono najbardziej reprezentacyjną?

– Nie wiem... – Hanno wzruszył ramionami, czując się niezręcznie. Pamiętał, jak ojciec mówił mu kiedyś, że różnice między Kartaginą i Rzymem sprowadzają się głównie do tego, że jego lud to przede wszystkim przedsiębiorcy. Kompleks świątynny, na który właśnie patrzył, stanowił dowód, że Rzymianie najbardziej cenią siłę i są wojowniczo nastawieni do sąsiadów. *Dzięki bogom, że mamy wśród nas prawdziwego wojownika w osobie Hannibala Barkasa. Gdyby władzę nad armią sprawowali głupcy pokroju Hostusa, dla Kartaginy nie byłoby żadnej nadziei.*

Z kolei Kwintus doszedł do zgoła odmiennych wniosków. Zastanawiał się, jak lud, który czcił przede wszystkim boga płodności, może liczyć na pokonanie Rzymu. Co się stanie z Hanno, gdy nastąpi to, co nieuniknione? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Dokąd trafi jego przyjaciel? Kwintus nie chciał znać odpowiedzi na to pytanie.

– Chodźmy lepiej poszukać jakiegoś noclegu – zaproponował. – Zanim zrobi się ciemno.

– Dobry pomysł – odpowiedział Hanno, wdzięczny, że mogą zmienić temat.

Agesandros kiwnął głową usatysfakcjonowany i zwrócił się do Aurelii.

– Powinienem być postąpić inaczej. Chciałem przeprosić i zapytać, czy mogę liczyć na to, że zaczniemy od początku.

– Nowy początek? – Aurelia się uniosła. – Ale ty jesteś tylko niewolnikiem! To, czego chcesz, nic dla mnie nie znaczy. – Ucieszyło ją, że dostrzegła w jego oczach ból.

– Dostyc! – Atia uznała za stosowne wtrącić się do tej rozmowy. – Agesandros służy nam lojalnie od ponad dwudziestu lat. Powinnaś przynajmniej wysłuchać, co ma do powiedzenia.

Aurelia zarumieniała się, upokorzona z powodu reprimendy udzielonej jej w obecności niewolnika. *Chyba matka nie wierzy, że ot tak spełnię jego życzenie?*

– Dlaczego w ogóle uważasz, że powinieneś mnie przeprosić?

– To proste. Zanim pan i Kwintus wrócą do domu, może upłynąć dużo czasu. Kto wie? To mogą być nawet lata. Być może z czasem będzie paniąka przejmowała na siebie więcej obowiązków związanych z prowadzeniem gospodarstwa. – Widząc zachęcające skinienie głową Atii, Agesandros dokończył swoją myśl. – Ja chcę tylko jak najlepiej dla ciebie i mojej pani. – Agesandros posmutniał. – Dobre relacje są niezbędne, jeśli ma się nam udać.

– Ma rację – przyznała Atia.

– Zanim zgodzę się na cokolwiek, jesteś mi winien wyjaśnienie – powiedziała

poirytowana Aurelia.

Sycylijczyk westchnął ciężko.

– To prawda. Traktowałem tego chłopaka z Kartaginy dość ostro.

– Ostro? Ale masz tupet! – Aurelia z trudem nad sobą panowała. – Chciałeś sprzedać Hanno komuś, kto zmusiłby go do walki z najlepszym przyjacielem. Na śmierć i życie!

– Mam swoje powody – odparł Agesandros. Na jego twarzy pojawił się cień. – Czy gdybym powiedział, że Kartagińczycy na Sycylii torturowali i zamordowali całą moją rodzinę... czy wówczas zmieniłaby pani zdanie o mnie?

Oczy Aurelii zrobiły się wielkie jak czarki.

– Co ci uczynili? – Atia uznała, że nie czas na domysły.

– Nie było mnie wtedy w domu. Walczyłem po drugiej stronie wyspy, pani. Jeden z oddziałów kartagińskich zaatakował miasto z zaskoczenia, niszcząc wszystko na swojej drodze. – Agesandros z trudem przełknął ślinę. – Zabili wszystkich: mężczyzn, kobiety, dzieci. Starych, chorych. Nawet psy.

– Dlaczego? – Aurelia wstrzymała oddech.

– To miała być kara – odparł Sycylijczyk. – Wcześniej sprzymierzyliśmy się z Kartaginą, ale rada starszych zdecydowała o zmianie obozów. Złożyliśmy przysięgę na wierność Rzymowi. Wiele okolicznych kolonii uczyniło to samo. Nasza osada była pierwszą, którą zdobyto po tym zdarzeniu. Miała być ostrzeżeniem. Jasną wiadomością, którą przekazywano innym.

Aurelia wiedziała, że w czasie wojny dochodzi do różnych okropieństw. Mężczyźni giną lub odnoszą straszne rany. Cierpią tysiące. Ale masakra cywilów to było coś zupełnie innego!

– Mów dalej – powiedziała łagodnie Atia.

– Miałem żonę i dwójkę dzieci. Dziewczynkę i chłopca. Głos Agesandrosa po raz pierwszy wyraźnie zadrżał. – To były tylko małe dzieci, miały dwa i trzy lata. – Oszołomiona Aurelia ujrzała łzy zbierające się w jego oczach. Nie sądziła, że nadzorca jest zdolny do takich ludzkich emocji. Niespodziewanie zrobiło się jej go żal. – Znalazłem dzieci kilka dni później. Martwe. A właściwie zmasakrowane. – Paroksyzm bólu wykrzywił twarz Sycylijczyka. – Czy kiedykolwiek widziałas, pani, co z ciałem dziecka może uczynić grot włóczęgi? Albo jak wygląda kobieta po tym, jak zbezczeszczyło ją kilkunastu żołnierzy?

– Dość! – krzyknęła z niesmakiem Atia. – Tyle wystarczy.

Agesandros zwiesił głowę.

Strwożona Aurelia nie mogła dojść do siebie. W jej głowie wirowały przerażające obrazy. *Nic dziwnego* – pomyślała – że *Agesandros tak źle traktował Hanno*.

– Dokończ to, co masz do powiedzenia – nakazała Atia. – Szybko.

– Po tym wszystkim naprawdę nie miałem po co żyć, ale bogowie nie chcieli udzielić mi łaski honorowej śmierci w bitwie. Zamiast tego zostałem uwięziony, a potem sprzedany w niewolę. Trafiłem do Italii, gdzie kupił mnie pan Fabrycjusz. – Wzruszył ramionami. – I odtąd pracuję na tym gospodarstwie. Ta para młodzieńców z Kartaginy... Po raz pierwszy od dwóch dekad natknąłem się na guggasów.

– Hanno nie ma nic wspólnego z tym, co stało się z twoją rodziną – wycodziła zawzięcie Aurelia. – Walki na Sycylii toczyły się jeszcze przed jego urodzeniem!

– Pozwól, że coś wyjaśnimy – wtrąciła się ostro Atia. – Czy to znaczy, że gdy pierwszy raz go zaatakowałeś, chciałeś się na nim zemścić?

– Tak, pani.

– Rozumiem. Chociaż to nie jest powód usprawiedliwiający twoje działania, przynajmniej tłumaczy, dlaczego to zrobiłeś. – Atia przybrała poważny wyraz twarzy. – Czy okłamałeś nas, mówiąc, że znalazłeś nóż i sakiewkę w rzeczach tego niewolnika?

– Nie, pani! Niech bogowie będą moimi świadkami. Powiedziałem prawdę. – Sycylijczyk starał się być przekonujący.

*Kłamca!* Aurelia gotowała się w środku, ale nie ośmieliła się powiedzieć ani słowa. Jej matka zdawała się wierzyć w słowa Agesandrosa, a to znaczyło, że nie mogła ryzykować otwartego konfliktu. Po chwili jej przypuszczenia okazały się słuszne.

– Agesandros ma rację – stwierdziła Atia. – Najbliższe miesiące będą dla nas wyjątkowo trudne. Warto chyba oczyścić atmosferę. – Spojrzała wyczekująco na Aurelię. Agesandros spoglądał na nią spokojnie, ale też czekał na to, co powie.

– Niech i tak będzie – wyszeptała, czując, że jeszcze nigdy nie była tak bardzo samotna.

## Rozdział XVII



Gdy udało im się znaleźć tani nocleg, wybrali się do najbliższej tawerny. Chcieli wypić trochę wina, bo wydawało im się, że wtedy poczują się bardziej dorośli. Były też jednak mroczniejsze powody tej decyzji. Obaj nie mogli przestać myśleć o tym, jak zmieni się ich życie w najbliższych miesiącach wojny. Świadomość, że każdy z nich jest przedstawicielem innej zwaśnionej strony, sprawiała, że czuli się w Rzymie bardziej niezręcznie niż po kłótni wywołanej wizytą Flakkusa w gospodarstwie. A teraz nie było przy nich Aurelii, która mogłaby im pomóc. Dlatego zdawało im się, że wino w tej sytuacji pomoże. Pomysł okazał się trafiony i teraz rozmawiali swobodnie, zerkając od czasu do czasu na prostytutki, które kręciły się wokół stołów, urabiając klientów.

Alkohol zaczął uderzać im do głowy, bo żaden z nich nie miał z nim zbyt wielkiego doświadczenia. Na szczęście trunki działał raczej rozweselająco, dlatego na razie wieczór wydawał się całkiem przyjemny. Kwintus, zachęcany przez Hanno, poczuł się na tyle swobodnie, że przyciągnął do siebie jedną z prostytutek. Usiadła mu na kolanach, a on pieścił jej piersi. Może posunąłby się dalej, ale stało się coś, co odciągnęło ich uwagę od wina i kobiet. Ważne wieści zawsze rozchodziły się w mieście z prędkością dźwięku. Dosłownie. Ludzie po prostu przekazywali je sobie od sklepów po tawerny, w rozmowach na zatłoczonych rynkach czy podczas pogaduszek sąsiadów. Oczywiście często były to wierutne brednie, chociaż zwykle w każdej plotce tkwiło ziarno prawdy.

– Hannibal prowadzi armię przez Alpy! – usłyszeli krzyki z ulicy, które przebiły się przez panujący w tawernie zgiełk. – Kiedy uderzy na Italię, pozarzyna nas w łózkach!

Gdy rozmowy ucichły, przyjaciele popatrzyli na siebie szeroko otwartymi oczami.

– Wiedziałeś, że Hannibal zamierza najechać Italię? – syknął Kwintus.

– Nie miałem pojęcia – odrzekł szczerze Hanno. – Po cóż miałbym godzić się na podróż z tobą do Iberii, gdybym to wiedział?

Chwilę później w drzwiach tawerny pojawił się mężczyzna w średnim wieku z czerwoną twarzą i wyraźnie rysującym się podwójnym podbródkiem. Jego brudna tunika i spracowane dłonie sugerowały, że mógł to być sklepikarz. Gdy ludzie w tawernie zasypali go gradem pytań, uśmiechnął się tylko z wyższością.

– Niecałą godzinę temu widziałem na własne oczy konsula Scypiona. Wrócił właśnie z Massalii z tą straszliwą wiadomością.

– Co jeszcze słyszałeś? – ktoś zapytał.

– No, mówże! – Klienci tawerny zachęcali go do podzielenia się wiedzą.

Mężczyzna oblizwał usta.

– Bieganie po ulicy jest strasznie męczące. Zwiększa pragnienie... Kubek wina świetnie by nawilżył moje gardło.

Właściciel tawerny nalał wina do kubka, wypełniając go po brzegi. Podszedł szybko do sklepikarza i wcisnął mu naczynie do ręki.

Ten wziął głęboki łyk i szeroko się uśmiechnął.

– Niezłe!

– Gadaj! – zawołał Kwintus.

Mężczyzna znów się uśmiechnął, delektując się swoją tymczasową przewagą nad tłumem.

– Po dotarciu do portu w Massalii, żeby uzupełnić zapasy, Scypion dowiedział się, że w pobliżu miasta może znajdować się Hannibal. Wysłał podjazd, który natknął się na kartagińską armię. – Przerwał, słysząc pełne niedowierzania okrzyki. W tym czasie mógł spokojnie opróżnić kubek. Właściciel tawerny od razu napełnił go ponownie. Mężczyzna uniósł rękę, żeby uciszyć klientów. – Na tę wieść Scypion wyruszył ze swoimi oddziałami na północ najszybciej, jak się dało, aby zmusić wroga do walki. Gdy przybyli na miejsce, Hannibala już tam nie było. Rozpłynął się. Mógł tylko ruszyć dalej na wschód z zamiarem przekroczenia górskich przełęczy i wejścia do Galii Przedalpejskiej. A potem do Italii.

Ta uwaga wywołała okrzyki pełne przerażenia. W sali zapanował chaos. Część klientów zaczęła nawet opuszczać lokal, spiesząc do swoich domów. Kwintus osłupiał, Hanno natomiast z trudem ukrywał radość. *Któż inny miałby tyle śmiałości, co Hannibal?* Zastanawiał się, czy jego ojciec znał szczegóły tego planu. *I nic nie powiedział?* W jednej chwili zmieniły się jego priorytety.

Kwintus też wiedział, że sytuacja uległa diametralnej zmianie.

– Przypuszczam, że teraz mnie zostawisz – odezwał się oskarżycielskim tonem. – Bo po cóż miałbyś udawać się do Iberii? Stąd łatwiej dostać się do Galii Przedalpejskiej.

– To nic nie zmienia... – Hanno zaczerwienił się nagle. Czuł się winny, że w ogóle pomyślał o pozostawieniu Kwintusa.

Kwintus spojrzał Hanno w oczy i uznał, że jego towarzysz mówi szczerze. Zwiesił głowę.

– Przepraszam, że zwątpiłem w twój honor – mruknął. – Te wiadomości są naprawdę porażające...

Miał jeszcze coś powiedzieć, ale usłyszeli znów głos posłańca, który przyniósł te hiobowe wieści.

– Nie chcecie wiedzieć, dlaczego *consul* wrócił do Rzymu? – ryknął basem mężczyzna, który właśnie wychylał czwarty kubek wina. Odczekał, aż w pomieszczeniu znów zrobi się ciszej. – Scypion został wezwany przez senat, ponieważ wysłał swoją armię do Iberii, zamiast ruszyć za Hannibalem. Mówią, że *Minucii* chcą zastąpić go jakimś zaufanym wodzem z *familia*. Jutro ma stawić się w Kurii, aby wyjaśnić, czym się kierował, podejmując tę decyzję.

W tej chwili Kwintus i Hanno zrozumieli, że nie mogą opuścić Rzymu o świcie. Kilkogodzinne opóźnienie nie miało przecież znaczenia, gdy niemal na ich oczach decydowała się przyszłość Rzymu.

Niezależnie od tego, jak Scypion zostanie potraktowany przez senatorów, sprawował funkcję jednego z dwóch konsulów republiki. Przy bramie blokującej Via Ostiensis – drogę z Ostii – czekała na niego wspaniała lektyka i sześciu silnych niewolników, gołych od pasa w górę. Scypion, Flakkus i Fabrycjusz zajęli miejsce w lektyce, przed którą szło dwunastu liktorów z *fascii*. Trzydziestu jeźdźców z oddziału Fabrycjusza musiało pozostać poza *pomerium*, za murami miasta, ale to w żaden sposób nie miało wpływu na tempo poruszania się lektyki po

zatłoczonych ulicach. Już sama obecność liktorów, wyróżniających się czerwonymi płaszczami zamiast zwykłych tog i dzierzonymi wiązkami różg z wetkniętymi w nie toporami, sprawiała, że wszyscy schodzili im z drogi. Wszyscy obywatele rzymscy, poza *virgo Vestalis*, czyli kobietami poślubionymi bogom, zobowiązani byli do ułatwienia przejścia takiej kolumnie. W przeciwnym razie musieli liczyć się z poważnymi konsekwencjami. Liktorów rekrutowano spośród najsilniejszych i najwyższych mężczyzn i uczono używać różg, gdy zajdzie taka potrzeba. Mogli oni również pełnić rolę katów przy wykonywaniu wyroków śmierci.

To nie była pierwsza wizyta Fabrycjusza w Rzymie. Zawsze cieszył się na te chwile. Obecność liktorów sprawiała, że mógł teraz spokojnie skoncentrować się na podziwianiu miasta. Ludzie umykali przed nimi do sklepów i zbijali się w grupki w wąskich bocznych uliczkach. Atmosfera tego miejsca różniła się od tej w Kapui, nie mówiąc już o tym, że nie można było życia tu porównać do życia w gospodarstwie na wsi, chociaż dawało się wskazać podobieństwa. Próbował zagłuszyć tęsknotę za domem. Przemieszczali się tak szybko w stronę Forum Romanum, że nie miał dość czasu, aby rozmyślać o swoich emocjach.

Gdy znaleźli się na forum, uwagę Fabrycjusza przyciągnął budynek Kurii, w którym zbierali się senatorowie. Chociaż nie wyglądał zbyt okazale – zwracały uwagę tylko jego wspaniałe drzwi z brązu – to tu zapadały najważniejsze decyzje, od których zależała przyszłość republiki. Dostrzegał już *graecostasis*, specjalnie wydzielony obszar *comitium* tuż przed budynkiem Kurii, gdzie oczekiwały delegacje z innych krain. Dzisiaj, jako że senatorowie mieli wysłuchać jednego z dwóch najważniejszych ludzi w republice, nie mogło być mowy o jakimkolwiek oczekiwaniu. Liktorzy torowali drogę do wejścia, rozpraszając tłum, który zebrał się na progu Kurii, by przysłuchiwać się toczącym się w środku debatom. Scypion wysiadł z lekyki tuż pod portalem, dając znak, aby Flakkus i Fabrycjusz podążyli za nim. Cała trójka założyła najlepsze togi. Oczywiście Scypion prezentował się najokazalej – miał na sobie najpiękniejszą togę, wełnianą, z purpurowym pasem, której biel aż biła po oczach.

Przed przekroczeniem bramy miejskiej Fabrycjusz schował w fałdach togi niewielki sztylet. Po miesiącach kampanii bez broni czuł się nagi, dlatego uczynił to właściwie bez udziału świadomości. Niemniej teraz zaczął sobie zdawać sprawę, że to było ryzykowne posunięcie. Tylko liktorzy mogli w Kurii posiadać broń. Fabrycjusz przeklinał swoją impulsywną decyzję, chociaż nie było już sposobu, by pozbyć się sztyletu. Musi wnieść go do środka i mieć nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Czuł przyspieszone bicie serca. Scypion poprosił, aby mu towarzyszył, ponieważ był jedynym rzymskim oficerem, który widział armię Hannibala. Jego słowa miały kluczowe znaczenie dla uzasadnienia decyzji podjętej przez Scypiona. Powiedział: „Polegam na tobie. Wiem, że mnie nie zawiedziesz. Powiedz im po prostu, co widziałeś w obozie kartagińskim”. Fabrycjusz obiecał, że tak właśnie uczyni. Rzucił ukradkowe spojrzenie na Flakkusa, który wyglądał raczej na zadowolonego z siebie. To go trochę zdziwiło. *Jaką rolę mam odegrać w tym przedstawieniu?*

Najstarszy z liktorów zamienił słowo ze strażnikami, po czym wszedł do Kurii, aby poinformować senatorów o przybyciu Scypiona. W środku zapadła cisza. Gdy mężczyzna wrócił, liktorowie uformowali dwie kolumny składające się z sześciu osób, prowadząc przybyłych do sali posiedzeń senatu. Fabrycjusz trzymał się za plecami Scypiona i Flakkusa. Musiał bardzo się starać, aby nie zachowywać się jak podekscytowany podlotek. Nigdy jeszcze nie przebywał w centrum demokracji republiki. Ławy senatorów zalewało światło z długich, wąskich okien, rozmieszczonych wysoko na ścianach. Wzdłuż ścian ciągnęły się trzy poziome niskich schodów z marmurowymi siedziskami. Wszystkie były dziś zajęte przez ubranych w togi senatorów. Zebrani wpatrywali się w Scypiona i jego towarzyszy. Fabrycjusz z trudem panował nad łękiem. Starał się nie patrzeć na senatorów. Na końcu sali, na wprost wejścia, znajdował się podest, na



którym stały dwa bogato rzeźbione krzesła z drzewa różanego. To właśnie na nich zasiadali sprawujący najwyższe stanowiska w państwie konsulowie.

Liktorzy dotarli do platformy i rozstąpili się na boki, tworząc wachlarz i umożliwiając przy tym Scypionowi zajęcie swojego miejsca. Flakkus z Fabrycjuszem oczywiście pozostali na niższym poziomie, przed ławami. Gdy Scypion zajął miejsce, liktorzy unieśli *fascii*, po czym uderzyli trzonkami długich drzewców toporów o marmurową podłogę. Ostry trzask odbił się echem od ścian i ucichł.

Zapadła cisza jak makiem zasiał.

Fabrycjusz spojrział na Scypiona, po którego ustach błędził uśmiešek zadowolenia. To właśnie konsul rozpoczął posiedzenia senatu, a milczenie tego mężczyzny miało być dla wszystkich jasnym przekazem dotyczącym jego rangi. Teraz to on kazał na siebie czekać. Cisza się przedłużała. Fabrycjusz widział, że niektórzy senatorowie zaczynają gniewnie szemrać, ale nikt nie odważył się odezwać pierwszy.

Wreszcie Scypion uznał, że pora przemówić.

– W chwili, gdy wypowiadam te słowa, od strony Alp zbliża się do granic republiki największe niebezpieczeństwo od czasu, gdy Rzym nie oparł się barbarzyńskim hordom Brennusa... – Scypion postarał się, aby jego wstrząsające słowa wywarły wrażenie na senatorach. – Mimo to, zamiast pozwolić mi spełnić mój obowiązek, wezwaliście mnie tu, abym wyjaśnił wam powody swojego działania. Cóż... Oto jestem. – Scypion wyciągnął ręce, jakby do powitania, po czym znów zamilkł.

Pytania posypały się z różnych stron. Praktycznie połowa z obecnych senatorów próbowała mówić w tym samym czasie. Wiele pytań dotyczyło Brennusa, galijskiego wodza, który poprowadził swoich wojowników aż do samego wzgórza kapitołińskiego i splądrował Rzym. To wydarzenie pozostawiło niezatarte piętno, stając się dla wszystkich późniejszych mieszkańców tego miasta źródłem wiecznego wstydu i budząc demony kryjące się głęboko w psychice każdego Rzymianina. Fabrycjusz nie wiedział, czy Hannibal jest naprawdę aż tak niebezpieczny, ale już samo wspomnienie imienia Brennusa i najazdu barbarzyńców pozwoliło Scypionowi zyskać przewagę i zdobyć pierwsze punkty w konfrontacji z senatem. Zanim *Minucii* mieli okazję rzucić jedno oskarżenie, uwaga senatorów została umiejętnie przeniesiona na bardziej pierwotne lęki.

Niemniej Scypion jeszcze nie skończył. Uniósł rękę, czekając, aż znowu zapadnie cisza.

– Chcę wiedzieć, dlaczego mnie tu wezwano. Dopiero wtedy opowiem wam o Hannibalu i o ogromnej armii kartagińskiej, którą tu wiecie.

Powietrze wypełniło się krzykami i protestami, ale Scypion tylko złożył ramiona i rozsiadł się wygodnie na krześle.

*Druga runda dla Scypiona* – pomyślał Fabrycjusz. W tej chwili jego szacunek do konsula wzrósł niepomiernie.

Obudzili się późno. Krótka wizyta w łaźniach publicznych pomogła im pozbyć się nieprzyjemnego pulsującego bólu głowy. Na szczęście obaj byli na tyle rozsądni, żeby wypić przy tej okazji dzban wody. Pozbycie się jej z organizmu nie stanowiło problemu. Wystarczyło tylko przejść na jedną z tych alejek, w których znajdowały się wielkie góry odchodów. Kupili trochę chleba i sera, co wystarczyło na szybkie śniadanie w drodze na Forum Romanum. Zajęci przeżuwaniem nie mogli rozmawiać.

Kwintus z przyjemnością omiatał wzrokiem długi prostokąt placu.

– Dawniej było tu bagno, a teraz to największy otwarty obszar w murach miasta. Serce republiki. Centrum życia religijnego i handlowego. Tu też odbywają się najważniejsze ceremonie państwowe. Ludzie gromadzą się w tym miejscu, aby spędzić czas w dobrym towarzystwie, aby

przysłuchiwać się pracy sędziów albo oglądać walki gladiatorów. Tu podawane są też do publicznej wiadomości najważniejsze postanowienia administracyjne.

– Forum przypomina mi trochę kartagińską agorę – odezwał się Hanno uprzejmie. *Chociaż nie jest nawet w połowie tak wielkie, jak nasza agora* – pomyślał.

Na obrzeżach placu znajdowały się setki sklepów. Można się tu było natknąć na zwykłe stragany rzeźników, rybaków i piekarzy, ale i wspaniałe biura uczonych w prawie, skrybów i bankierów. Plac falował od tłumów.

Kwintus dobrze znał układ przestrzenny Forum Romanum.

– Tam znajdują się świątynie Kastora i Polluksa, a także Saturna – zawołał, gdy znaleźli się bliżej dwóch większych budynków. – A dalej okrągła świątynia Westy.

– A to? Co to jest? – Hanno wskazał miejsce z wyróżniającym się prostotą, skromnym budynkiem na północnej pierzei Forum Romanum.

– Myślę, że to *comitium*. Świątynia, która powstała ponad pięćset lat temu, gdy wznoszono pierwsze budynki w Rzymie. – Zniżył głos. – W środku, w miejscu, w którym Romulus, założyciel Rzymu, wstąpił do nieba, znajduje się *lapis niger*, pękata kolumna z czarnego kamienia. Obok ustawiona jest rostra, platforma mówców, ozdobiona dziobami zdobytych okrętów. – Kwintus poczerwieniał i zamilkł, gdyż ostatnie trofea pochodziły z kartagińskich triem, które zostały przejęte w czasie poprzedniej wojny z ludem jego przyjaciela.

Hanno, wyczuwający drugie dno tej wypowiedzi, spojrzał na Kwintusa chmurnie.

Przyjaciele szybko odkryli, że znaleźli się tu już po wejściu Scypiona do Kurii, ale pocieszali się myślą, że przynajmniej zobaczą konsula, gdy będzie ją opuszczał. Przed budynkiem zebrały się nieprzebrane tłumy. Wieści o zagrożeniu ze strony Hannibala dotarły do wszystkich zakątków miasta. Wszyscy Rzymianie chcieli wiedzieć, co postanowią senatorowie. Różne plotki i pogłoski, często zupełnie niewiarygodne, przetaczały się z jednego końca placu na drugi.

– Hannibal prowadzi armię liczącą ponad sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi! – zawołał jakiś mężczyzna o czerwonych, podkrążonych oczach.

– Ma sto słoń i dwadzieścia pięć tysięcy numidyjskich jeźdźców – zawodził kolejny.

– Mówią, że Filip Macedoński zmobilizował armię i zamierza zaatakować nas od północnego wschodu – pierwszy mężczyzna próbował przebić banialuki drugiego. – Połączy się z Kartagińczykami.

– Tak jak wszystkie plemiona w Gali Przedalpejskiej – dodał ktoś trzeci.

Gniew Hanno wywołany widokiem sprzętów zgromadzonych przy rostrze ustąpił miejsca zadowoleniu. Gdyby tylko część z tych plotek okazała się prawdą, Rzym znajdzie się na krawędzi katastrofy. Spojrzał na Kwintusa, który uparcie wpatrywał się w odrzwia Kurii, ignorując ludzi wymyślających coraz bardziej niesamowite teorie.

Między przyjaciółmi znowu dawało się wyczuć dzielące ich emocjonalne napięcie.

W budynku panowała martwa cisza, gdy z ław senatorów podniósł się postawny mężczyzna, wyróżniający się burzą czarnych loków i rumianą twarzą o wydatnym nosie i krzaczastych brwiach nad niebieskimi oczami. Senator obdarzył Scypiona zimnym spojrzeniem, jakby oceniając jego możliwości. Siedzący w tym samym rzędzie mężowie stanu usuwali się z jego drogi. Flakkus skinął delikatnie głową, dzięki czemu Fabrycjusz domyślił się, kto zaczął. Brat Flakkusa, Marek Minucjusz Rufus, był konsulem, był jednym z ważniejszych członków rodu *Minucii* i jednym z najpotężniejszych ludzi w Rzymie. Bez wątplenia to właśnie on odpowiadał za zredagowanie listu do Scypiona.

– Konsulu... – zaczął Rufus i ukłonił się Scypionowi. – Dziękujemy, że zechciałeś

pojawić się w Rzymie. To zaszczyt widzieć cię tu z nami ponownie. – Gdy formalnościom stało się zadość, w jego wyglądzie można był dostrzec coś z jastrzębia. – Z niepokojem przyjęliśmy wiadomość, że twój brat poprowadził legiony do Iberii i że przejął nad nimi dowodzenie, abyś ty mógł wrócić do Italii. Poprosiliśmy cię o przybycie w celu wyjaśnienia tej niezwyklej decyzji, która jest całkowicie sprzeczna z wolą senatu, wyrażoną tu sześć miesięcy temu. Wspólnie z Longusem, drugim konsulem, sprawujecie dowództwo nad armią republiki. Co do tego nie ma wątpliwości. Jednak żaden z was nie jest ponad prawem i musi odpowiadać za swoje czyny, jeśli taka będzie wola ludu. – Rufus wykonał półobrót, uśmiechając się do senatorów, którzy kiwali głowami i popierali go pełnymi akceptacji pomrukami. – Najwyraźniej nie jestem tu odosobniony w swojej opinii.

Scypion uniósł jedną brew.

– O jakiej właściwie opinii mówimy? – zapytał spokojnym, niemalże jedwabieście gładkim tonem.

– Mówię oczywiście o prawie do *provocatio*. – Głos Rufusa ociekał wręcz słodyczą.

Część niezadowolonych senatorów cmokała i syczała, ale byli i tacy, którzy głośno wykrzykiwali słowa poparcia dla Scypiona. Fabrycjusz poczuł nerwowy tik mięśni twarzy. Nigdy wcześniej nie słyszał, aby człowiek zajmujący jedno z najwyższych stanowisk w republice został oskarżony o popełnienie czynu będącego przestępstwem. Rzucił okiem na Flakkusa, ale z jego twarzy nie potrafił niczego wyczytać. Zastanawiał się, dlaczego *Minucii* próbują pozbyć się Scypiona w czasie trwania jego konsulatu? Czemu miałyby to służyć?

– Nie masz nic do powiedzenia, panie? – zapytał Marek Minucjusz Rufus, rozglądając się z chytrą miną po sali zgromadzeń. Głosy tych, którzy go wspierali, zdawały się teraz zagłuszać głosy rozsądnych senatorów, oburzonych takim traktowaniem urzędu konsula.

Fabrycjusz znów zerknął na Flakkusa. Tym razem dostrzegł na jego twarzy grymas samozadowolenia podobny do tego, jaki gościł na twarzy Rufusa. I w tej chwili doznał olśnienia. Flakkus uwierzył, gdy Scypion mówił o tym, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi Rzymowi ze strony Hannibala, a w swoim liście do brata upewnił go, że podziela te obawy. Teraz Rufus, który już wcześniej odnosił sukcesy na polach bitew, liczył na to, że senat jemu powierzy urząd konsula, dzięki czemu będzie mógł zebrać laury i pysznić się pokonaniem armii kartagińskiej, zamiast dać tę szansę Scypionowi. *Coś takiego! Taka możliwość... Nie, bardzo prawdopodobny przebieg wydarzeń* – Fabrycjusz poprawił się w myślach – *choć nie mieścił się w głowie*. Teraz powinno się liczyć tylko pokonanie wroga, który zagrażał republice. Tymczasem niektórym z tych polityków bardziej zależało na okryciu sławą swojego imienia.

Scypion wybuchnął gromkim śmiechem, zaskakując Rufusa.

– Stwierdzam, że to niezwykle, iż ktoś oskarża mnie o przekroczenie kompetencji, gdy w rzeczywistości zrobiłem więcej, niżli ode mnie oczekiwano. Moja armia podążyła do Iberii zgodnie z rozkazami. Jej dowódca, a mój brat, Gnejusz, jest doświadczonym dowódcą, który sprawdził się w boju. Co więcej, gdy uświadomiłem sobie, jakie mogą być konsekwencje przeprawy olbrzymiej armii Hannibala przez Alpy i że drugi *consul*, Longus, nie będzie miał dość czasu, aby zareagować na zagrożenie, wróciłem do Italii z zamiarem zastąpienia drogi Kartagińczykom. Zdecydowałem się ruszyć bez zbędnej zwłoki. Czy to nie dowodzi mojej lojalności wobec Rzymu? Co w takim razie myśleć o tych, którzy próbują uniemożliwić mi wykonywanie obowiązków?

Po tych słowach w sali posiedzeń zapanował niesamowity gwar. Scypion i Rufus patrzyli na siebie z nieukrywaną niechęcią. Rufus jednak szybko zareagował na słowa konsula.

– Zakładam, że widziałeś, panie, tę „olbrzymią”, jak mówisz, armię Hannibala na własne oczy? Oszacowałeś samodzielnie jej liczebność?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi: nie – odpowiedział Scypion lodowatym tonem.  
– To może jesteś haruspikiem, panie? – dociekał Rufus przy akompaniamencie śmiechów swoich zwolenników.

– W żadnym razie – odpowiedział Scypion spokojnie i gestem wskazał na Fabrycjusza. – Wysłałem podjazd dowodzony przez weterana ostatniej wojny z Kartaginy, który przedostał się w pobliże głównego obozu wroga. Ów oficer odpowie na wszystkie wasze pytania.

Rufus przeniósł spojrzenie na Fabrycjusza, ledwo kryjąc pogardę.

– Twoje imię? – spytał.

Fabrycjusz spojrział odważnie prosto w oczy Rufusa. *Nieważne, że mam przed sobą wpływowego człowieka. Nieważne, jak będzie mnie zastraszał. Powiem prawdę.*

– Gajusz Fabrycjusz, panie. Ekwita i właściciel gospodarstwa w pobliżu Kapui.

Rufus wykonał lekceważący gest.

– Czy masz jakieś doświadczenie wojskowe?

– Spędziłem prawie dziesięć lat na Sycylii, walcząc z Kartagińczykami, panie – odparł z dumą. Z zadowoleniem przyjął szmer akceptacji części senatorów. Wielu pokiwało głowami z uznaniem. Inni się cicho naradzali.

Rufus skrzywił się, ale pytał dalej:

– Powiedz nam zatem, co widziałeś. Niechaj senat zdecyduje, czy armia Hannibala rzeczywiście jest tak wielkim zagrożeniem, jak przekonuje nas Scypion.

Fabrycjusz wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać o przebiegu patrolu. Nie patrzył ani na Rufusa, ani na żadnego innego senatora. Skupił wzrok na drzwiach z brązu na drugim końcu sali. Okazało się, że to była dobra taktyka, z każdą chwilą jego opowieść była bardziej przekonująca. Fabrycjusz opisał ze szczegółami wygląd obozowiska Kartagińczyków, podkreślając siłę i liczebność kawalerii wroga, szerokość Rodanu i herkulesowy wysiłek, jakim było przeprowadzenie słoń. Zbliżając się do końca, zerknął na Scypiona. Konsul skinął głową z aprobatą. Na twarzy Flakkusa gościł jednak gorzki grymas. Czyżby jego przyszły zięć uważał, że przemawianie przed całym senatem go przerośnie? Na podstawie pełnych niepokoju spojrzeń wielu senatorów można było raczej wysnuć wniosek, że poszło mu nie najgorzej. Wyglądało na to, że Rufus znalazł się w defensywie.

Scypion przejął inicjatywę, wstając z miejsca i zbliżając się do ław senatorów.

– Fabrycjusz twierdzi, że armia kartagińska jest większa niż dwie armie konsularne. Mówię o pięćdziesięciu tysiącach ludzi, z których co najmniej jedna czwarta to jazda. Numidyjczycy, którzy wielokrotnie pokazali swoją wyższość w starciach z naszą kawalerią na Sycylii. Nie zapominajcie też o słoniach. Nie odnieśliśmy zbyt wielu sukcesów w bitwach, w których przyszło nam z *nimi* walczyć. Nie możemy też zapominać, kim jest dowódca tej armii. Hannibal Barkas, człowiek, który niedawno podbił pół Iberii i zdobył szturmem świetnie ufortyfikowane Saguntum. Generał, który nie boi się poprowadzić swoich żołnierzy przez Alpy, mimo że mamy późną jesień. – Scypion pokiwał głową, widząc wyraz niedowierzania na twarzy kilku senatorów. – Wielu z was zna pretora Lucjusza Manliusza Wulso równie dobrze, jak ja. Jest utalentowanym i godnym szacunku dowódcą. Ale czy potrafi pokonać dwukrotnie większą armię, na dodatek dysponującą słońiami i przewagą w liczniejszych oddziałach jazdy? – Scypion rozejrzał się po twarzach zgromadzonych. – Czy da sobie radę?

Zapadła pełna napięcia i niedowierzania cisza. A potem rozpętało się piekło. Senatorowie mówili jeden przez drugiego, przekrzykiwali się w tym pandemonium, ale nikt nikogo nie słuchał. Rufus starał się uspokoić senatorów stojących najbliżej, ale na nic zdawały się jego wysiłki. Fabrycjusz nie mógł uwierzyć w to, co widzi. I to byli ludzie, którzy rządzą republiką. Kłócili się i wyli jak przerażone dzieci. Spojrzął na Scypiona, który obserwował tylko to

niecodzienne widowisko, czekając na możliwość zabrania głosu. Pod wpływem impulsu Fabrycjusz wyciągnął ukryty w połach togi sztylet i wręczył go ostentacyjnie konsulowi.

– Jest twój, panie – powiedział z pasją – tak jak miecze wszystkich obywateli Rzymu.

Na zdziwionej twarzy Scypiona szybko pojawił się chytry uśmiech. Przyjął broń, a po chwili przekazał jakiś rozkaz dowódcy oddziału liktorów. Uderzenia drzewców toporów o podłogę natychmiast przywołały senatorów do porządku.

Scypion uniósł wysoko otrzymany sztylet.

– To oto ostrze wręczył mi właśnie Fabrycjusz. Ekwita złamał prawo, wnosząc broń do Kurii, ale będzie mu to wybaczone, ponieważ zdecydował się na taki krok przez lojalność wobec republiki. Aby okazać swoją gotowość do przelania krwi, a jeśli okaże się konieczne, do śmierci w walce z Hannibalem. Obiecuję wam, że dzięki tak niezłomnym żołnierzom, jak on pokonamy najeźdźców z Kartaginy! Wiktoria będzie nasza!

Tak jak klucz ptaków płynnie zmienia kierunek lotu, zmieniły się nastroje senatorów. Panika została zastąpiona najwyższym entuzjazmem. Wokół rozlegały się spontaniczne wiwaty. Atmosfera natychmiast uległa poprawie. *Scypion wygrał to starcie* – pomyślał z satysfakcją Fabrycjusz. Tylko głupiec próbowałby teraz odwołać konsula.

Chwilę później zbliżył się do niego Flakkus.

– Jesteś zadowolony? – syknął.

Fabrycjusz miał już tego dość.

– Co niby powinienem być zrobić? Skłamać na temat tego, co widziałem? Armia Hannibala naprawdę jest ogromna. Dobrze uzbrojona. I prowadzi ją bardzo zdeterminowany człowiek. Na nasze nieszczęście nie doceniliśmy go.

Ostre rysy twarzy Flakkusa złagodniały.

– Oczywiście masz rację. Dobrze przemawiałeś. Przekonująco. I z tym zagrożeniem trzeba poradzić sobie jak najszybciej. Wygląda na to, że Scypion dalej ma mandat senatu, aby to uczynić. Dzisiaj wykazał się godnym podziwu uporem i zdecydowaniem.

Spoglądając na kwaśny wyraz twarzy Rufusa, Fabrycjusz niespecjalnie wierzył w szczerść słów Flakkusa. Teraz jednak odsunął od siebie te niewesołe myśli. To już nie miało znaczenia.

Liczy się tylko pokonanie Hannibala.

Fabrycjusz nie był zaskoczony, gdy Scypion rozkazał mu wrócić do bramy miejskiej i przygotować ludzi do wymarszu. Najpóźniej za trzy godziny mieli być gotowi do drogi. Flakkus miał ruszyć z nimi. Mówiąc to, Scypion przewrócił oczami.

– Niektóre rzeczy się nie zmieniają – mruknął.

Fabrycjusz z ulgą przyjął rozkazy. Uważał, że to, czego był świadkiem w Kurii, starczy mu na całe życie i spowoduje, że będzie się trzymał jak najdalej od polityki. Wciąż nie był pewien, co myśleć o Flakkusie i jego bracie. *Może Atia miała rację?* Postanowił, że zanim opuści Rzym, napisze do niej krótki list, zawierający spostrzeżenia z dzisiejszego ranka. Z tą myślą pchnął ciężkie brązowe drzwi Kurii i wyszedł na zalane słońcem Forum Romanum.

## Rozdział XVIII



Tylko dwukrotnie przyjaciele usłyszeli głosy dochodzące zza zatrzaśniętych drzwi Kurii. Za pierwszym razem były to pełne strachu okrzyki, za drugim głośnie wiwaty. Niemalże od razu rozeszły się wieści, że senat udzielił Scypionowi pełnego poparcia. Teraz konsul miał jak najszybciej ruszyć na północ, aby stawić czoła Hannibalowi. Zanim chłopcy zdążyli uświadomić sobie wagę tych ważnych informacji, ujrzeni kilka osób pospiesznie opuszczających Kurię. Kwintus nagle się ożywił, posyłając Hanno mocnego kuksańca.

– Patrz! – Wciągnął powietrze i zrobił krok do przodu. – Przecież to mój ojciec!

– Rzeczywiście... – odezwał się cicho Hanno. Był jeszcze bardziej zdziwiony tym widokiem niż Kwintus. Co tu robił Fabrycjusz? Następna myśl była o wiele bardziej niepokojąca. Jak Kwintus wytłumaczy swoją obecność w stolicy? I zaraz potem poczuł strach. Jaka jest szansa, że Fabrycjusz uzna decyzję Kwintusa o jego uwolnieniu? Naprawdę niewielka. Hanno z trudem opierał się myśli, że powinien teraz rozplątać się w tłumie. Zniknie w mgnieniu oka. Będzie mógł ruszyć na północ sam. Wahał się przez chwilę, ale potem jego duma zwyciężyła. Nie jestem tchórzem, który ucieka i chowa się w mysiej dziurze.

Kwintus wyczuł jego niepokój. Pomimo targających nim emocji nie zamierzał zostawić przyjaciela na łasce losu.

– W porządku – powiedział łagodnie. – Ja nigdzie się nie wybieram.

– Co? Dlaczego nie? To doskonała okazja.

– Może i tak, ale nie dla ciebie.

Hanno zrobił się czerwony. Nie wiedział, co powiedzieć.

– Jaka jest szansa, że ojciec uzna twoje *manumissio*? – uprzedził go Kwintus.

– Nie wiem – mruknął Hanno. – Niewielkie, jak sądzę.

– Właśnie. To dlatego zostaję. Z tobą.

– Dlaczego? – Hanno nie dowierzał.

– Nie pamiętasz już, co działo się wczorajszego wieczoru? – Kwintus wyciągnął rękę i lekko, po przyjacielsku, poklepał go po głowie. – Obiecałeś towarzyszyć mi aż do Iberii, mimo że wcale nie musisz się tam udawać. No i nie próbujesz teraz tego odkręcać i zmieniać zdania, a większość ludzi właśnie to uczyniłaby na twoim miejscu. Muszę ci się odwdziżyć. Uczciwość za uczciwość.

– To nie takie proste. – Hanno wskazał głową na Fabrycjusza, który za chwilę miał zniknąć z pola widzenia. – Może on wcale nie będzie towarzyszył konsulowi.

– Moim zdaniem właśnie będzie, ale możesz mieć rację. Powinniśmy się upewnić... –

Kwintus próbował wydostać się z tłumu. – Chodź, pójdziemy za nim.

Hanno pospieszył za Kwintusem.

– A co, jeśli wybiera się do Iberii?

– Porozmawiamy o tym później – odparł Kwintus. – W takim przypadku, jak sądzę, najlepszym wyjściem będzie, jeśli się rozdzielimy. Jeśli mój ojciec udaje się do Galii Przedalpejskiej, wybierzemy się tam razem.

– Zwariowałaś! – odparł Hanno z uśmiechem.

– To możliwe. – Kwintus się skrzywił. – Ale i tak muszę zrobić to, co trzeba.

– A gdy już dotrzemy na miejsce? – spytał zaniepokojony Hanno.

– Rozdzielimy się. Ja odnajdę ojca, a ty – nastąpiła niezręczna pauza – możesz spróbować dołączyć do armii Hannibala.

– Dziękuję. – Hanno uściśnął ramię Kwintusa.

Kwintus pokiwał głową.

– Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Armia zatrzymała się na zielonych łąkach po drugiej stronie wysokich Alp i niestety była ona cieniem tej, która wymaszerowała z Iberii. Dawno rozpadły się wszelkie formacje marszowe. Żołnierze o wymizerowanych twarzach i zapadniętych policzkach wlekli się powoli, podtrzymując się wzajemnie i wspierając. Wszystkie konie i muły, które przetrwały przeprawę przez góry, wyglądały jak surowe konstrukcje wręg okrętów na pochylniach. Mocno ucierpiały również słonie, ale padło tylko kilka. Bostar stwierdził, że wyglądały jak żywe szkielety obciążone pomarszczoną szarą skórą. Marsz przez góry przyniósł ogromne straty w ludziach i zwierzętach, zarówno jucznych, jak i pociągowych. Na razie trudno było oszacować rzeczywiste szkody, ale nie dało się zaprzeczyć, że armia znajdowała się w bardzo kiepskim stanie. Gdy wymęczeni Kartagińczycy rozbili wreszcie obóz w szerokiej, płaskiej dolinie, Hannibal nakazał oficerom sprawdzenie stanów osobowych. Nawet zakładając duży margines błędu, okazało się, że zdezerterowało, uciekło lub zginęło dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy. Stracono też ponad pięć tysięcy zwierząt jucznych, koni i mułów. Armia składała się z teraz z około dwudziestu sześciu tysięcy żołnierzy. To była zaledwie jedna czwarta wojsk, które opuszczały Nową Kartaginę, i niewiele więcej, niż liczyła jedna rzymska armia konsularna.

Bostar niepokoił się, bo wiedział, że ponieśli ogromne straty. Zwłaszcza że przyjdzie im walczyć nie tylko z rzymskimi legionami. Stał właśnie wraz z innymi wyższymi oficerami przed umocnieniami Taurasii, głównej twierdzy wrogiego plemienia Taurynów, na którego ziemie wkroczył Hannibal, schodząc z górskiej przełęczy. Miejsce po lewej ręce głównodowodzącego zajmowała falanga Sapho, a po prawej stały oddziały dowodzone przez jego ojca. Za Malchusem ustawiły się falangi Alete. W sumie w tej operacji miała wziąć udział połowa Libijczyków, czyli sześć tysięcy najlepszych żołnierzy Hannibala.

– Panowie!

Bostar obrócił głowę, usłyszawszy głos Hannibala. Ledwo rozpoznał człowieka, który stał przed nim. Twarz Hannibala była zmęczona i przeorana zmarszczkami. Ubrany był w znoszony płaszcz, a spod hełmu wypływała kaskada mokrych od potu brązowych włosów, okalając wychudłą twarz pokrytą brudem. Mężczyzna miał na sobie wykonany z kilku warstw lnu kirys, który pamiętał lepsze czasy, włócznię i starą, podniszczoną tarczę. Był najgorzej ubranym libijskim włócznikiem, jakiego Bostar kiedykolwiek widział. A ponadto okropnie śmierdział! Bostar zerknął na pozostałych oficerów, którzy wyglądali na równie skołowanych jak on.

– Czy to ty, panie?

Mężczyzna zaniósł się niskim śmiechem. Tak śmiał się Hannibal.

– To ja. Nie patrz na mnie, jakbym oszalał!

Bostar zrobił się czerwony.

– Przepraszam, panie. Czy mogę zapytać, dlaczego jesteś tak ubrany?

– Z dwóch powodów. Po pierwsze, jako zwykły żołnierz nie wyróżniam się z tłumu i nikt nie próbuje mnie zabić bez względu na cenę. Po drugie, dzięki anonimowości mogę wmieszać się w zwykłych żołnierzy i poznać ich nastroje. Robię to od czasu, gdy zeszedliśmy z gór. – Hannibal powiódł wzrokiem po pozostałych oficerach. – Jak wam się wydaje, czego się dowiedziałem?

Większość oficerów, włącznie z Bostarem, spuściła wzrok, jakby nagle żywo zainteresowały ich własne ręce czy elementy wyposażenia, które zawsze mogły być źle przypięte. Nawet Malchus odchrząknął niepewnie.

– No, dalej! – Hannibal pozwolił sobie na poufały ton. – Naprawdę myślicie, że nie będę próbował sprawdzić osobiście morale? Nastroje wśród kawalerzystów są lepsze, ale to dlatego, że dobrze się nimi w górach opiekowałem. Zginęło mało jeźdźców. To jednak wyjątek. Wielu prostych żołnierzy uważa, że zostaniemy starci z powierzchni ziemi, gdy tylko napotkamy Rzymian, prawda?

– Będą walczyć jak lwy, panie! – wykrzyknął Malchus. – Kochają cię jak nikogo innego.

Hannibal uśmiechnął się ciepło.

– Czcigodny Malchusie, zawsze mogę polegać na tobie i na twoich synach. Wiem, że twoi ludzie pozostaną mi wierni, podobnie jak większość armii. Ale potrzebujemy szybkiego zwycięstwa, aby podnieść morale. Co ważniejsze, potrzebujemy żywności, aby wypełnić brzuchy żołnierzy. Z moich informacji wynika, że magazyny za tymi murami – wskazał fortecę – są pełne ziarna. Kupiłbym go od Taurynów, ale oni od razu odrzucili moją ofertę. Teraz poznają cenę swojej głupoty.

– Co mamy robić, panie. – spytał Sapho.

– Zdobądźcie tę osadę szturmem.

– Jeńcy?

– Nie zostawiajcie przy życiu nikogo. Zabijcie wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci.

– Tak jest, panie – W oczach Sapho zapaliły się ogniki.

Te same słowa powtórzyli wszyscy oficerowie. Tylko nie Bostar.

Hannibal spojrzał mu prosto w oczy.

– O co chodzi? Nie jesteś zadowolony z mojego rozkazu?

– Czy naprawdę wszyscy muszą umrzeć, panie? – Bostar miał w pamięci straszne obrazy po zdobyciu Saguntum.

Hannibal się skrzywił.

– Niestety, tak. Musisz wiedzieć, że nie bez powodu wydaję taki rozkaz. Znajdujemy się teraz w bardzo trudnym momencie kampanii. Jeśli jutro drogę zagrozi nam rzymska armia, szanse na jej pokonanie będą niewielkie. Gdy Bojowie i Insubrowie dowiedzą się o naszej słabości, dwa razy pomyślą, zanim udzielą nam pomocy, którą tak gorliwie obiecywali w zeszłym roku. Jeśli tak się stanie, poniesiemy porażkę. Pogrzebiemy szanse na wykonanie podstawowego zadania, zanim jeszcze się do niego zabierzemy. Czy tego chcesz?

– Oczywiście, że nie, panie – odrzekł zapamiętałe Bostar.

– Dobrze. – Hannibal spojrzał na niego z zadowoleniem. – Wycięcie w pień mieszkańców Taurasii będzie jasnym przekazem dla okolicznych plemion. Z naszą armią trzeba się liczyć i albo staną przy nas, albo będą przeciwko nam. Nie ma miejsca na nic pośrodku.

Bostar spokorniał i spuścił wzrok.

– Przepraszam, panie. Nie znałem prawdziwego znaczenia tego rozkazu.

– Inni pewnie też nie znali jego głębszego sensu – odparł Hannibal – ale nie mieli odwagi zapytać.



– Ja dobrze wszystko zrozumiałem, panie – wyrwał się Sapho.  
– I to jest powód, dla którego jesteś tu dziś z nami – powiedział poważnie Hannibal. – Podobnie jak Monomachus. – Kiwnął głową, spoglądając na przysadzistego oficera o łysej głowie. – Pozostali są tu dlatego, bo wiem, że jako moi najlepsi oficerowie wykonają każdy rozkaz bez zwłoki. Wskazał włócznią palisadę twierdzy tubylców. – Chcę, aby do zmroku to miejsce zostało zrównane z ziemią. Potem waszych ludzi czeka zasłużony odpoczynek.

Tym razem Bostar z większym entuzjazmem dołączył do chóru wiwatujących oficerów. Kątem oka zauważył, że Sapho próbuje przyciągnąć jego spojrzenie, ale uznał, że powinien go zignorować. Wykona rozkazy Hannibala, ale uczyni to z zupełnie innego powodu niż jego brat. Z lojalności, a nie czystego pragnienia rozlewu krwi.

Mimo że propozycję Kwintusa, aby Hanno towarzyszył mu w drodze na północ, można było uznać za łaskawą, podróż okazała się dla Kartagińczyka niezwykle męcząca. Nadal musiał bowiem zachowywać się jak niewolnik. Kwintus jechał konno, a on siedział w niewygodnej pozycji na mule, który miewał swoje humory. Nie mógł jadać z przyjacielem ani dzielić z nim pokoju. Zamiast tego musiał jeść z domowymi niewolnikami i sługami w przydrożnych karczmach, które mijali po drodze. Spał w stajniach razem ze zwierzętami. Co dziwne, ten dystans wpłynął również na odbudowanie dzielącej ich bariery.

W pewnym sensie obaj czuli w związku z tym znaczną ulgę. To, co widzieli i słyszeli w Rzymie, uświadomiło im boleśnie, jak wygląda rzeczywistość, i sprawiło, że łącząca ich w czasie pobytu w gospodarstwie więz braterstwa zanikała. Zmierzali przecież do miejsca, gdzie przyjdzie im zapomnieć o przyjaźni, gdzie Kartagina i Rzym walczyły ze sobą na śmierć i życie. To, że nie musieli ze sobą rozmawiać, pozwalało im nie rozmyślać o przyszłości. Oczywiście ta przyjęta przez nich taktyka niespecjalnie się sprawdzała. Obaj cierpieli, bo wiedzieli, że wkrótce ich drogi się rozejdą. Zapewne na zawsze.

Licząca trzysta mil droga z Rzymu do Piacenzy dłużyła się niemiłosiernie, ale w końcu dotarli do celu bez większych przygód. Łąki i pola pod murami miasta niemal w całości zajmowały rozległe tymczasowe obozowiska, pełne legionistów, *socii* i jazdy. Wszystkie drogi wypełnione były jednostkami piechoty i wozami pełnymi zapasów. Wzdłuż dróg prowadzących do miasta sklepikarze rozstawili kramy i stoiska z jedzeniem, winem i wszelkimi towarami. Haruspikowie reklamowali swoje usługi obok kowali, rzeźników i dziwek. Muzycy walili w bębny albo dmuchali w gwizdki z kości, akrobaci skakali i potykali się, zabawiając tłuszcę, a różnej maści naciągacze obiecywali lekarstwa na każdą chorobę pod słońcem. Wszędzie pełno było zasmarkanych dzieciaków ganiających za chudymi kundlami.

Hanno czuł, że doświadcza chaosu, ale nie mogło być wątpliwości, że Hannibalowi udało się dokonać czegoś, co wydawało się niemożliwe. W okolicy zgromadziły się bowiem dziesiątki tysięcy żołnierzy rzymskich.

Kwintus nie marnował czasu. Zatrzymał przechodzącego obok centuriona.

– Czy konsul przybył już z Rzymu?

– Nie znasz najnowszych wieści? Już cztery dni temu!

Kwintus nie był zaskoczony. W przeciwieństwie do nich Scypion i jego towarzysze codziennie zmieniali wierzchowce.

– Gdzie mieści się jego kwatery?

Centurion spojrzał na niego podejrzliwie, ale nie spytał, dlaczego go to interesuje. Domyślił się, że chociaż wygląda młodo, najwyraźniej jest jeźdźcem, który chce dołączyć do swojego oddziału. Wyciągnął rękę wzdłuż drogi.

– Tam. Natkniesz się na nią za około milę.

Kwintus skinął głową, dziękując.

– Jakie wieści o Hannibalu?

Hanno zeszytniał. Odpowiedź na to pytanie naprawdę go interesowała.

Twarz centuriona pociemniała.

– Możesz wierzyć lub nie, ale temu sukinsynowi udało się przekroczyć Alpy. Kto by pomyślał?

– Niesamowite... – Kwintus nie próbował spojrzeć na Hanno, żeby przypadkiem nie przekonać się, że jego przyjaciel cieszy się z tych wieści. – Wiadomo coś o jego działaniach?

– Uderzył na gród Taurynów i wymordował wszystkich nieszczęśników, którzy schronili się za murami. Najwyraźniej zmierza teraz w kierunku Piacenzy. Blokujemy tę drogę, aby nie dopuścić do miasta jego sprzymierzeńców, Bojów i Insubrów. – Centurion wyciągnął gladius do połowy z pochwy, po czym opuścił go gniewnie. – Bardzo szybko przyjdzie nam toczyć z nimi ciężkie boje.

– Niech Mars i Jowisz będą dla nas łaskawi – powiedział Kwintus.

– No tak... Teraz lepiej już pójdę, zanim mój trybun powiesi mnie za jaja. – Centurion skinął przyjaźnie głową na pożegnanie i poszedł w swoją stronę.

Kwintus i Hanno spojrzeli sobie w oczy. Żaden z nich nie chciał przemówić pierwszy.

– Zajmujecie połowę pieprzonej drogi. Zróbcie miejsce, do cholery! – krzyknął na nich jakiś mężczyzna prowadzący gromadę mułów.

Zatrzymali się na poboczu w luce między dwoma straganami.

– A więc to ta chwila – powiedział Kwintus, który nie wyglądał na zbyt szczęśliwego.

– Tak – mruknął Hanno. On również nie czuł się za dobrze

– Co planujesz?

Hanno wzruszył ramionami.

– Ruszę na zachód, aż dotrę do naszych oddziałów.

*Twoich oddziałów* – pomyślał Kwintus – *nie naszych*.

– Niech bogowie zadbają o bezpieczną drogę.

– Dziękuję. Obyś szybko odnalazł ojca.

– Nie sądzę, że z tym będzie jakiś problem – odparł Kwintus, uśmiechając się.

– Nawet tobie będzie się trudno teraz zgubić – zażartował Hanno. Kwintus roześmiał się szczerze. – Żałuję, że nie rozstajemy się w innych okolicznościach.

– Ja też – odparł z przekonaniem Kwintus.

– Ale obaj musimy wypełniać nasze obowiązki.

– Tak.

– Może spotkamy się pewnego dnia. Gdy nastanie już pokój. – Hanno się wzdrygnął. Te słowa brzmiały fałszywie nawet dla jego uszu.

Kwintus jednak nie próbował go strofować.

– Marzę o tym, ale to się nigdy nie stanie – ważył słowa. – Trzymaj się. Uważaj na siebie. Niech twoi bogowie cię ochronią.

– Tego samego życzę tobie. – W oczach Hanno zalśniły łzy. Niezgrabnie wyciągnął ręce i objął Kwintusa. – Dziękuję za uratowanie mnie i Suniatona. Nigdy tego nie zapomnę – szepnął.

Emocje brały nad Kwintusem górę. Nerwowo poklepał Hanno.

– Ty też ocalałeś mi życie, pamiętasz?

Hanno skinął szybko głową.

– Idź już. – Kwintus odezwał się poważnie, starając się myśleć racjonalnie. – Zanim zapadnie noc, musisz znaleźć się jak najdalej stąd. Nie chcesz chyba tłumaczyć się któremuś z naszych patroli, prawda?

– Nie. – Hanno zrobił krok w tył.

– Pomóż mi tylko... – Kwintus uniósł lewą nogę.

Wdzięczny za to, że przyjaciel zmienił temat, splótł palce, przygotowując Kwintusowi oparcie dla stopy, aby mógł łatwiej wspiąć się na konia. Potem zmusił się do uśmiechu.

– Żegnaj.

– Żegnaj. – Kwintus szybko zawrócił i popędził konia.

Hanno patrzył, jak jego przyjaciel znika w tłumie ludzi poruszających się po pokrytej błotem drodze. Dopiero gdy Kwintus zniknął mu z pola widzenia, zdał sobie sprawę, że zapomniał poprosić, aby pożegnał też Aurelię. Posmutniał. Wgramolił się na swojego muła i ruszył w przeciwnym kierunku. Mimo że to rozstanie było nieuchronne, Hanno czuł pustkę. *Lepiej żebyśmy się nigdy więcej nie spotkali. Chyba że w czasie pokoju.*

Znajdujący się sto kroków od Hanno Kwintus czuł to samo. Dopiero teraz mógł pozwolić sobie na smutek spowodowany utratą przyjaciela. Spędzili ze sobą wiele czasu. *Gdyby Hanno był Rzymianinem – pomyślał Kwintus – byłbym dumny, stojąc obok niego w bitwie. Niestety, bardziej prawdopodobne jest to, że przyjdzie nam walczyć ze sobą. Jowiszu, największy i najlepszy, nie pozwól na to.*

Wkrótce potem Kwintus znalazł kwaterę konsula. Był to duży namiot otoczony mniejszymi, należącymi do drużyn jazdy. Umieszczone przed nim *vexillum*, czerwony proporzec na długim drzewcu, pozwalało wszystkim żołnierzom łatwo zidentyfikować pozycję dowódcy. Kwintus zasięgnął języka i szybko znalazł drogę do kwatery ojca. Zobaczył go stojącego przed namiotem i rozmawiającego z dwoma dekurionami. Ku jego uldze Fabrycjusz nie wybuchł od razu. Zamiast tego spokojnym głosem odesłał młodszych oficerów, ale gdy się oddalili, nie wytrzymał.

– Popatrzcie, któż to do mnie zawitał! – W jego głosie dało się wyczuć sarkazm.

– Ojczy? – Wyraźnie zdenerwowany Kwintus zsiadł z konia. – Jak się miewasz?

– U mnie wszystko w porządku. – Fabrycjusz uniósł brwi, które wygięły się w ostre łuki.

– Chociaż jestem zaskoczony. A na dodatek zły i rozczarowany. Powinieneś być w domu, opiekować się matką i siostrą. Nie tutaj.

Kwintus przebierał nogami zdenerwowany.

– Nic nie odpowiesz? – rzucił groźnie ojciec. – Czemu nie jesteś na pokładzie statku zmierzającego do Iberii? W końcu to właśnie tam powinienem się teraz znajdować.

– Najpierw udałem się do Rzymu – mruknął Kwintus. – Byłem w stolicy, gdy Scypion przemawiał w Kurii. Widziałem cię przed budynkiem.

Fabrycjusz zamarł.

– Na Jowisza! Dlaczego wtedy do mnie nie podszedłeś?

– Na placu panował za duży ścisk, ojczy. Nie wiedziałem, gdzie się zatrzymałeś ani czy ruszasz na północ z konsulem – skłamał Kwintus. – Dowiedziałem się tego później. Podążanie po twoich śladach było łatwe.

– Rozumiem. Fortuna musiała strzec twojej drogi. Plemiona Galii nie zachowują się zbyt przyjaźnie – powiedział Fabrycjusz złowrogo. – Szkoda, że nie udało ci się dotrzeć do mnie w Rzymie. Byłbyś już w Kapui albo nie nazywam się Gajusz Fabrycjusz. – Ojciec przewiercał Kwintusa swoimi ciemnymi oczami. – I tak po prostu przyjechałeś tu sam?

Kwintus zaklął w duchu. *To będzie o wiele trudniejsza przeprawa, niż zakładałem.* Nie potrafił kłamać, gdy ktoś zadawał mu bezpośrednie pytanie.

– Nie, ojczy.

– Kto jest z tobą? Pewnie Gajusz. Ten młokos tak słucha Martialisa, jak ty mnie.

– Nie – wymamrotał Kwintus.

– No to kto?

Kwintus wiedział, że jeśli powie prawdę, jego ojciec nie będzie miał dla niego litości. Nie odpowiadał.

Fabrycjusz powoli tracił cierpliwość.

– Odpowiadaj!

– Hanno.

– Kto?

– Jeden z naszych... twoich... niewolników.

Fabrycjusz zrobił się czerwony na twarzy z wściekłości.

– Któż to taki? Czy spodziewasz się, że pamiętam imiona wszystkich cholernych niewolników?

– Nie, ojcze. – Potem szybko dodał. – Ten Kartagińczyk, którego kupiłem po polowaniu na niedźwiedzie.

– A! Ten! Gdzie jest ten gałgan? Przygotowuje twój namiot?

– Nie ma go tutaj – odparł Kwintus, grając na czas.

Oczy Fabrycjusza otworzyły się szeroko z niedowierzania.

– Nie rozumiem. Jak to?

– On odszedł, ojcze – wyszeptał Kwintus.

– Głośniej! Nie słyszę, co mówisz.

Krzyk Fabrycjusza przyciągnął uwagę przechodzącego obok namiotu oficera. Kwintus czuł się coraz bardziej zażenowany.

– Odszedł, ojcze – powiedział głośniej.

– A to ci niespodzianka! Oczywiście, że uciekł. Co innego miałby zrobić, wiedząc, że w pobliżu znajduje się armia jego pobratymców? Założę się, że czekał do ostatniej chwili, zanim zniknął. Gratulacje! Hannibal właśnie zyskał kolejnego żołnierza.

Kwintus nagle uzmysłowił sobie, że w słowach jego ojca jest wiele prawdy.

– To nie tak – zaoponował cicho.

– Jak to? – Fabrycjusz nie krył wściekłości.

– Hanno nie uciekł.

– To znaczy, że nie żyje? – z tonu Fabrycjusza przebijała ironia.

– Nie, ojcze. – Kwintus uznał, że nie ma już sensu tej sprawy owijać w bawełnę.

– *Cooo?*

– Wyzwoliłem... go. – Kwintus powtórzył swoje słowa, wypowiadając każde kolejne z coraz mniejszą pewnością siebie.

Na twarzy Fabrycjusza pojawiały się zdumienie i niedowierzanie na przemian ze złością.

– Myślałem, że jest źle, ale to się robi tragiczne. Jak śmiałeś coś takiego uczynić?!

Fabrycjusz zbliżył się do syna na krok i uderzył go mocno w twarz.

Głowa Kwintusa podskoczyła.

– Przepraszam...

– Trochę za późno na przeprosiny, nie sądzisz?

– Tak, ojcze.

– Nie miałeś prawa uwolnić niewolnika – ryknął Fabrycjusz. – Moi niewolnicy należą do mnie, nie do ciebie!

– Wiem, ojcze – wymamrotał niewyraźnie Kwintus.

– No to dlaczego to zrobiłeś? Co ty sobie, na Hades, myślałeś?

– Zawdzięczam mu życie.

– Masz na myśli to, co stało się przy chacie Libo? – Fabrycjusz zmarszczył brwi.

– Tak, ojcze. Kiedy Hanno przyszedł z powrotem na tę polanę, mógł zwrócić się

przeciwko mnie. Dołączyć do tamtych szumowin. Zamiast tego uratował mi życie.

– To jeszcze nie powód, aby go ot tak wyzwolić. Na pewno nie bez mojej zgody – warknął Fabrycjusz.

– To nie wszystko...

– Otóż wyobraź sobie, że taką mam nadzieję! – Fabrycjusz popatrzył na niego pytająco. – Słucham.

Kwintus dostrzegł światełko nadziei.

– Agesandros. Wyżywał się na Hanno od początku. Nie pamiętasz, co się stało, gdy Gal skaleczył się w nogę?

– Pobicie też nie jest powodem, aby myśleć o wyzwoleniu niewolnika – odciął się Fabrycjusz. – Gdyby tak było, w całej cholernej republice nie mielibyśmy ani jednego.

– Wiem, ojciec – Kwintus próbował spokojnie wyłuszczyć swoje argumenty. – Ale po twoim liście, który otrzymaliśmy wiosną, Agesandros ukrył w rzeczach Hanno sakiewkę i sztylet. Potem oskarżył go o kradzież i o to, że planuje nas zamordować i uciec. Zamierzał sprzedać Hanno temu samemu właścicielowi, który kupił wcześniej jego przyjaciela. Powiedział, że będą walczyć przeciwko sobie jako gladiatorzy podczas najbliższego *munus*. Ale te oskarżenia były wysane z palca!

Fabrycjusz się zamyślił.

– Jak zareagowała twoja matka?

– Uwierzyła Agesandrosowi – przyznał niechętnie Kwintus.

– I to powinno ci wystarczyć – wyjaśnił twardo Fabrycjusz.

– Ale on kłamał, ojciec!

– Dlaczego miałby to robić? – Na czole Fabrycjusza pojawiło się kilka zmarszczek.

– Nie wiem, ojciec. Wiem za to, że Hanno nie jest mordercą!

– Nie możesz tego *wiedzieć* – stwierdził oschle Fabrycjusz. Kwintus zauważył, że jego ojciec przestał się złościć i zaczął podchodzić do sprawy racjonalnie. – Nigdy nie ufaj całkowicie niewolnikowi.

Kwintus zebrał się na odwagę, żeby wykorzystać to stwierdzenie i przejąć inicjatywę.

– W takim razie, jak możesz polegać na słowach Agesandrosa?

– Służy mi dobrze od ponad dwudziestu lat – odrzekł ojciec nieco defensywnie.

– Więc ufasz bardziej jemu niż mnie?

– Uważaj na słowa! – syknął Fabrycjusz. Przez chwilę obydwaj milczeli. – Zaczynaj od początku. Niczego nie pomijaj.

Kwintus zdał sobie sprawę, że właśnie jego los zawisł na włosku. Wyrok został chwilowo odroczone. Wziął głęboki oddech i zaczął opowiadać. Co ciekawe, jego ojciec mu nie przerywał; nie zrobił tego nawet wtedy, gdy Kwintus wyjął, że Aurelia podłożyła ogień w spichlerzu i wspólnie z Gajuszem przeprowadzili akcję uwolnienia Suniatona. Gdy skończył, Fabrycjusz milczał i tylko niespokojne szuranie nogą zdradzało, że jest bardzo zdenerwowany.

– Dlaczego zdecydowałeś się pomóc drugiemu Kartagińczykowi?

– Ponieważ Hanno by go nie zostawił – odparł. – On jest moim przyjacielem. Nie mógłbym go zdradzić – dodał z przekonaniem.

– Hamuj się, chłopcze! – W głosie Fabrycjusza znów pojawił się dobrze znany gniewny ton. – Nie mówimy tutaj o Gajuszu. Wyzwolenie niewolnika bez zgody jego właściciela jest przestępstwem, a ty zrobiłeś to dwa razy! To bardzo poważna sprawa.

Kwintus ugiął się pod gniewem ojca.

– Oczywiście, ojciec. Przepraszam.

– Obaj pewnie już dawno się gdzieś zaszyli. Jeśli tylko mieli dość rozumu w głowach –

myślał na głos Fabrycjusz. – Dzięki twojej pobłażliwości straciłem ponad sto didrachm. Tak samo jak syn tego oficjela z Kapui.

Kwintus chciał powiedzieć, że Gajusz próbował wykupić Suniatona, ale wolał nie ryzykować kolejnego wybuchu gniewu ojca. Zaciśnął zęby i kiwał głową niepokieszony.

– Jako twój ojciec mam prawo ukarać cię tak, jak uznaję za stosowne – ostrzegł Fabrycjusz. – Mogę nawet przekazać cię w ręce kata.

– Oddaję się do twojej dyspozycji, ojczu – powiedział Kwintus, zamykając oczy. Co by się nie stało, nie żałował ofiarowania wolności Hanno.

– Chociaż ty i twoja siostra zachowaliście się skandalicznie, słyszałem prawdę w twoich słowach, a przynajmniej wiarę w to, że znasz prawdę. Innymi słowy, zrobiłeś, co uważałeś za słuszne i sprawiedliwe.

Zaskoczony Kwintus otworzył oczy.

– Tak, ojczu. Tak samo jak Aurelia.

– Dlatego na razie nie będziemy ciągnąć tego tematu. To jednak jeszcze nie koniec tej sprawy. – Fabrycjusz wykrzywił usta. – A Agesandros będzie musiał mi coś wyjaśnić, gdy tylko wrócę do domu.

*Mam nadzieję, że będę przy tym* – pomyślał Kwintus, który poczuł, jak odżywa w nim niechęć do Sycylijczyka.

– Nadal jednak nie wyjaśniłeś mi, dlaczego porzuciłeś matkę i siostrę, żeby się tu dostać. – Fabrycjusz mierzył go ciężkim wzrokiem.

– Myślałem, że wojna skończy się za kilka miesięcy, jak powiedział Flakkus, ojczu. Nie chciałem przegapić tej okazji – tłumaczył bez przekonania Kwintus.

– I uważasz, że to jest wystarczający powód, aby zignorować moje polecenia?

– Nie. – Kwintus zaczerwienił się jeszcze bardziej.

– A jednak to właśnie zrobiłeś! – rzekł oskarżycielskim tonem Fabrycjusz, wpatrując się w przestrzeń. – Tak jakbym nie miał teraz innych problemów...

– Nie będę ci przeszkadzał. Wrócę do domu.

– Nic z tych rzeczy! Okolica jest zbyt niebezpieczna. – Fabrycjusz zauważył jego zdziwienie. – Scypion postanowił poprowadzić armię na drugą stronę Padu, na wrogie terytorium. Inżynierowie przygotowali już tymczasowy most. Jutro rano ruszamy na zachód, na spotkanie armii Hannibala. Żadne rzymskie oddziały nie zostają na tyłach, a lokalnym plemionom galijskim nie można ufać. Jeśli wyruszysz sam, ktoś poderżnie ci gardło, zanim pokonasz pięć mil.

– Co mam zatem uczynić? – zapytał niepokieszony Kwintus.

– Będziesz musiał zabrać się z nami. – Fabrycjusz wyglądał na tak samo niezadowolonego z takiego obrotu wydarzeń jak on. – W naszym obozie będziesz bezpieczny i zostaniesz tu, dopóki nie pojawi się możliwość odesłania cię z jakimś oddziałem do Kapui.

Kwintus zwiesił głowę. Będzie musiał najeść się wstydu! Dołączył do armii Scypiona, a jednak nie będzie walczył. Chociaż w gruncie rzeczy nie powinien się dziwić. Jego postępowanie sprawiło, że nadużył zaufania ojca. *Przynajmniej Hanno robi to, co zaplanował* – pomyślał Kwintus, ciesząc się w głębi duszy, że Fabrycjusz tak naprawdę nie ukarał go boleśnie.

– Fabrycjuszu? Gdzie jesteś? – usłyszeli donośne wołanie.

– Na Marsa nad nami, tego mi jeszcze było trzeba... – mruknął Fabrycjusz.

Zaskoczony reakcją ojca Kwintus odwrócił się i dostrzegł zbliżającego się do nich Flakkusa.

– A! Tu jesteś! Scypion zwołuje kolejne spotkanie w związku z... – przerwał, wyraźnie zaskoczony. – Ooo! Kwintus? Co za miła niespodzianka!

Kwintus, skruszony, pozwolił sobie na delikatny uśmiech. Przynajmniej Flakkus ucieszył się na jego widok.

– Posłałeś po Kwintusa? Doskonały pomysł! – Flakkus nie czekał na odpowiedź Fabrycjusza. – Nie mógł chyba wybrać lepszego momentu. – Uniósł zaciśniętą pięść. – Jutro damy tym bękartom lekcję, której nigdy nie zapomną.

– Nie posłałem po niego – odparł oschle Fabrycjusz. – Kwintus uznał, że może zostawić swoją matkę i siostrę same i przybyć tu nawet bez mojej zgody.

– Ach! Awanturicza młodość! – wykrzyknął Flakkus z uśmiechem. – Mimo to pozwolisz mu towarzyszyć nam jutro rano?

– Nie myślałem jeszcze o tym, ale raczej nie – odpowiedział krótko Fabrycjusz.

– Co? – Flakkus spojrział na niego z niedowierzaniem. – Chcesz odmówić swojemu synowi szansy utoczenia krwi nieprzyjacielowi? Wzięcia udziału w bitwie, która może być jednym z największych zwycięstw naszej jazdy? Chłopak Scypiona bierze udział w tej eskapadzie, a nie jest starszy od Kwintusa.

– Nie o to chodzi...

– To o co w takim razie?

– To nie twoja sprawa. – Fabrycjusz nie ukrywał gniewu.

Flakkus nawet nie raczył skomentować tej ostrej uwagi.

– Daj spokój... Jeśli ten chłopak nie popełnił morderstwa, to powinieneś dać mu szansę. Może nigdy nie będzie miał lepszej okazji? To mógłby być świetny początek jego kariery, zwłaszcza gdy zwiąże swoje losy z rodziną *Minucii*.

Wyraźnie rozszłoszczony Fabrycjusz zastanawiał się, co należy uczynić. Znalazł się w tej sytuacji wyłącznie z powodu głupiego uporu Flakkusa, ale teraz postąpiłby arogancko, gdyby odrzucił jego radę. Mógłby tym zaszkodzić przyszłości Kwintusa. Nawet po poślubieniu Aurelii Flakkus nie miałby żadnego obowiązku, aby pomagać szwagrowi. Wszystko będzie się sprowadzało do jego dobrej woli. Przywdział zatem maskę zadowolenia.

– Bardzo dobrze. Poproszę konsula o zgodę na dołączenie Kwintusa do mojego oddziału.

– Doskonale! Scypion nie pogardzi jeźdźcem tak zdolnym, jak twój syn.

Kwintus nie mógł jeszcze uwierzyć w odmianę swojego losu.

– Dziękuję – powiedział, szczerząc się radośnie. – Nie zawiodę cię, ojcze.

– Możesz uważać się za szczęśliwca – skomentował Fabrycjusz. Dźgnął Kwintusa wyprostowanym palcem w klatkę piersiową. – Pamiętaj też, że jeszcze z tobą nie skończyłem.

– Chwała, którą zdobędzie jutro, sprawi, że zapomnisz o wszystkich jego przewinieniach – oświadczył pewnym głosem Flakkus, mrugając do Kwintusa porozumiewawczo. – Ale teraz lepiej nie każmy czekać Scypionowi ani chwili dłużej.

– Słusznie – odparł Fabrycjusz. Wskazał mu pobliski namiot. – Tam znajdziesz wolne miejsce. Powiedz żołnierzom, że to mój rozkaz. Potem dostaniesz odpowiednie wyposażenie.

– Tak, ojcze. Dziękuję.

Fabrycjusz nie odpowiedział.

– Do jutra – pożegnał się z nim Flakkus. – Sprawimy, że ziemia poczerwienieje od krwi Kartagińczyków.

Kwintus od razu pomyślał o Hanno. Zmuszając się do uśmiechu, zrobił wszystko, aby odsunąć od siebie tę wizję. Liczy się tylko pokonanie nieprzyjaciela, który ośmielił się podnieść rękę na Rzym.

## Rozdział XIX



Hanno nie ośmielił się zaryzykować przedostania się na drugą stronę rzeki po prowizorycznym moście na Padzie. Wystarczająco już kusił los, opuszczając rzymski obóz na mule. Każdy łatwo bowiem mógłby go uznać za niewolnika. Drogi wiodącej do mostu strzegły przynajmniej dwie centurie legionistów. Niezależnie od tego, jak nudne były ich obowiązki, Hanno wątpił, że byliby na tyle głupi, aby pozwolić przejść na drugą stronę ciemnoskóremu mężczyźnie, który mówił po łacinie z wyraźnym obcym akcentem. Dlatego skierował się wzdłuż południowego brzegu na zachód, szukając jakiegoś brodu.

Zimowe wichry sprawiły, że drzewa w okolicy nie miały już liści. Hanno wodził oczami po rozległych równinach, bezskutecznie szukając jakiegoś punktu zaczepiania. Horyzont tonął w szarościach. Na pustych przestrzeniach łatwo było dostrzec najmniejszy ruch. To bardzo odpowiadało Hanno. Jeśli nie liczyć sztyletu, nie miał żadnej broni. Wolał nie spotkać nikogo na swojej drodze, przynajmniej dopóki nie przekroczy rzeki i nie stanie na terytorium Insubrów. To plemię było wrogo nastawione do Rzymian, jednak nawet na ich terenie Hanno wolałby unikać kontaktu z ludźmi. Nie mógł przecież ufać nikomu oprócz swoich pobratymców lub żołnierzy, którzy walczyli dla Hannibala. Chociaż na pewno nie powinien jeszcze czuć się bezpieczny, nie potrafił ignorować coraz żywszego ognika wewnętrznej radości. Intuicyjnie wyczuwał bliską obecność wojsk Hannibala.

Wolał nie rozmyślać nad tym, czy ojciec i bracia wciąż znajdują się wśród żywych. Czy w ogóle są w tej armii? Nie miał absolutnie żadnej pewności. Równie dobrze mogli znajdować się w Iberii. Może nawet zostali odesłani do Kartaginy? Co zrobi, jeśli okaże się, że tak właśnie się stało? Z kim powinien się wtedy skontaktować? Teraz jeszcze nie przejmował się tym, że może się okazać, iż nikt mu nie uwierzy. Uciekł z niewoli, a jeśli bogowie pozwolą, wkrótce znajdzie się pod komendą Hannibala jako kolejny żołnierz kartagiński.

Przez dwa dni i dwie noce Hanno zmierzał na zachód. Unikał wszelkich osad i gospodarstw rolnych. Odpoczywał w zagłębieniach i obniżeniach terenu, dbając o to, aby nie wpaść przypadkiem na ludzi. Mimo że nocą temperatura znacznie spadała, nie odważył się rozpalic ogniska. Musiały mu wystarczyć koce. Zapobiegały odmrożeniu palców, niemniej przenikliwe zimno nie pozwalało mu się dobrze wyspać. To nie miało znaczenia. Najważniejsze było zachowanie czujności. Pomimo coraz większego zmęczenia Hanno z każdym dniem wolności czuł się coraz lepiej.

Szczęście go nie opuszczało. Już trzeciego dnia rano znalazł bród, który wyglądał obiecująco. Po obu stronach nurtu stało kilka rozsypujących się chatynek, ale wokół nich nie



zauważył żadnego człowieka. O tej porze roku dni były już krótkie, a prace na roli miały być wznowione dopiero wiosną. Podobnie jak większość chłopów, mieszkańcy tego siola pewnie kładli się spać o zachodzie słońca i wstawali późno. Gdy Hanno zaczął się rozbierać na brzegu, poczuł się bardzo bezbronny. Schował swoje ubranie do plecaka, zawinął go w mocno naoliwioną skórę i związał sznurowadłami. Całkiem nagi wprowadził opierającego się muła do rzeki. Woda była straszliwie zimna. Wiedział jednak, że jeśli nie pokona brodu wystarczająco szybko, mięśnie odmówią mu posłuszeństwa i utonie. Zimowe opady sprawiły, że poziom wody podniósł się niebezpiecznie. Przez jakiś czas jego muł z trudem walczył z silnym prądem. Hanno jedną ręką trzymał wodze, a drugą machał szaleńczo, czując przez chwilę, że ogarnia go panika. Na szczęście muł miał dość siły, aby pomóc i sobie, i jemu, dzięki czemu wkrótce szczęśliwie wylądowali na płyciźnie na drugim brzegu. Po wyjściu z wody silny wiatr sprawił, że Hanno zaczął szczerkać zębami. Szczęśliwie do zabezpieczonego plecaka dostało się niewiele wody, więc jego ubrania były właściwie suche. Ubrał się prędko, a potem, owinąwszy się w koc, aby szybciej się rozgrzać, dosiadł muła i ruszył w dalszą drogę.

Mijały kolejne godziny, a emocje Hanno rosły. Zapuścił się daleko w głąb terytorium Insubrów. Armia Hannibala musiała być tuż tuż. Marzył o tej chwili od czasu, gdy pojмали go piraci, chociaż wtedy wydawało mu się to tak mało realne. Dzięki Kwintusowi marzenie zamieniło się w rzeczywistość. Modlił się, aby jego przyjaciel przeżył wojnę. Niemniej znów skoncentrował się na myśli o połączeniu z rodziną. Po raz pierwszy stracił koncentrację i pozwolił sobie na rozproszenie uwagi.

Bardzo szybko został gwałtownie sprowadzony do rzeczywistości. Gdy znajdował się w połowie niewielkiego parowu, usłyszał krzyk kosa, alarmujący, ostry i intensywny. Powiódł wzrokiem po zadrzewionych stokach, ale nie dostrzegł żadnego powodu do niepokoju. A jednak ptaki nie zachowywały się tak bez przyczyny. Poczuł w brzuchu pazury strachu. To było idealne miejsce na zasadzkę. Bandyci z łatwością mogliby zasadzić się wśród drzew, aby zaatakować i zabić samotnego wędrowca.

Przeraził się nie na żarty, gdy w tym samym momencie z krzaków po jego lewej stronie wystrzeliła w powietrze salwa oszczepów, które przeleciały nad jego głową. Modląc się, aby napastnicy nie mieli koni, wbił pięty w boki muła, aby zmusić go do niezgrabnego biegu. Zwierzę zaryczało ze strachu i zaczęło szybciej przebierać kopytami, żeby wydostać się z parowu. Kilka kolejnych oszczepów przecięło powietrze ze świstem. Gdy Hanno zerknął przez ramię, wszelkie nadzieje na uniknięcie tej konfrontacji rozwiały się niczym mgła. Zza drzew po jego obu stronach wyłoniło się kilku mężczyzn. Było ich co najmniej sześciu, no i dosiadali koni! Nie mógł liczyć, że uciekną im na mule. Zaklął szpetnie. To z pewnością był największy kaprys przewrotnego losu od czasu, gdy zabrało go z Sunim morze. Pokonał tyle przeszkód, aby dać się zamordować jakimś brygantem kilka mil od miejsca, gdzie obozowała armia Hannibala.

Nie zdziwił się nawet bardzo, gdy na drodze przed nim pojawiła się kolejna grupa jeźdźców. Chwycił za sztylet, który był jego jedyną bronią. Przygotował się, aby nie oddać tania skóry. Gdy jeźdźcy zbliżyli się na tyle, że mógł rozpoznać ich twarze, poczuł, że jego serce skacze z radości. Jazdę numidyjską widział ostatnio jeszcze w Kartaginie, ale nie dawało się jej pomylić z żadną inną jednostką. Jacy inni jeźdźcy pogardzali siodłami, uzdami i wędzidłami? Kto inny nosił nawet zimną odsłoniętą z boków tuniki?

Tylko że w chwili, gdy otworzył usta, aby przywitać Numidyjczyków, w jego kierunku pofrunęła chmara oszczepów. Tym razem dwa minęły go o włos. Hanno uniósł obie ręce w górę, pokazując otwarte dłonie.

– Stójcie! Jestem Kartagińczykiem! – krzyknął w swoim ojczystym języku. – Jestem z Kartaginy!

Krzyki Hanno nie zrobiły na nich żadnego wrażenia. Jeźdźcy znów użyli oszczepów i tym razem jeden z nich trafił muła. Zwierzę zaryczało z bólu, wierzgnęło i zrzuciło Hanno. Chłopak rąbnął plecami o ziemię i stracił dech, a potem zwinął się z bólu. Zobaczył jeszcze swojego muła, który puścił się klusem, mocno utykając. W mgnieniu oka wokół leżącego na ziemi nieszczęśnika utworzył się krąg naśmiewających się z niego Numidyjczyków. Trzech zsiadło z koni. Zbliżyli się teraz do niego z włóczniami w dłoniach. *Co za głupia śmierć! Dać się zabić swoim, bo nie rozumieją ani słowa w języku ludu, któremu służą.*

W tej samej chwili poczuł przyływ inspiracji. Przecież znał kilka słów w tym dziwnym języku jeźdźców, pełnym świszczących głosek.

– Stać! – wymamrotał z wahaniem. – Ja... przyjaciel.

Trzech zdezorientowanych Numidów popatrzyło po sobie zdziwionym wzrokiem. Zasypali Hanno gradem pytań. Zrozumiał jedno na dziesięć.

– Ja nie Rzymianin. Przyjaciel – powtarzał raz za razem.

Wyglądało na to, że mu nie uwierzyli. Jeden z Numidów kopnął Hanno w brzuch tak mocno, że zobaczył gwiazdy. Mało brakowało, a straciłby przytomność z bólu. Później posypały się na niego kolejne ciosy. Starał się chronić głowę, spodziewając się, że w każdej chwili poczuje grot oszczepu przebijający jego ciało.

Zamiast tego usłyszał pełne złości okrzyki, które musiały być rozkazami.

Numidyjczycy od razu przestali go kopać.

Hanno ostrożnie zerknął w stronę oprawców. Zobaczył pochylającego się nad nim mężczyznę z przylegającymi do głowy warkoczykami. Różnił się od pozostałych Numidów, bo miał przypasany miecz. *To musi być oficer.*

– Czy mi się wydawało, że mówiłeś po kartagińsku?

– Tak. – Hanno usiadł, czując ulgę, ale też lekkie zaskoczenie, że ktoś z tej grupy Numidów mówi jego językiem. Skrzywił się, czując ból w całym ciele. – Jestem z Kartaginy.

Mężczyzna zdziwił się niepomiernie, unosząc brwi.

– Co, na Melkarta, robisz w pojedynkę w samym środku tej zapomnianej przez bogów zamarznętej krainy?

– Jakiś czas temu sprzedano mnie Rzymianom w niewolę. Uciekłem na wieść o tym, że Hannibal najechał Italię.

– Jak się nazywasz? – Oficer nie wyglądał na przekonanego.

– Hanno – powiedział z dumą. – Jestem synem Malchusa, który dowodzi libijskimi włócznikami. Miałem nadzieję, że znajdę go i... moich braci... w armii Hannibala.

Nastąpiła dłuższa cisza, a Hanno znów poczuł macki strachu. *Nie opuszczaj mnie teraz, wielka Tanit!*

– Mało wiarygodna ta historyjka. Kto wie? Może jesteś szpiegiem? – zastanawiał się na głos oficer. Kilku co gorliwszych Numidów uniosło w górę włócznie, jakby sposobiąc się do zadania śmiertelnych ciosów. Hanno zwiesił głowę. Jeśli teraz zginie, nikt z jego bliskich nawet się o tym nie dowie. – Stać! – Na szczęście oficer interweniował w porę. – Jeśli ten chłopak rzeczywiście spędził dużo czasu wśród Rzymian, może posiadać wiedzę, która przyda się Hannibalowi. – Wyszczrzył się do Hanno. – A jeśli mówisz prawdę, podejrzewam, że twój ojciec, niezależnie od tego, czy jest jednym z dowódców w naszej armii, czy nie, chciałby zobaczyć cię żywego.

Hanno nie posiadał się z radości.

– Dziękuję!

Oficer rzucił jakiś rozkaz, a Numidyjczycy otoczyli Hanno, podrywając go na równe nogi. Unieruchomili mu sznurem nadgarstki, ale nie stosowali już przemocy. Gdy wojownicy

wsiedli na konie, Hanno został przerzucony przez grzbiet jednego z nich przed jeźdźcem. Nie protestował. Ponieważ jego muł został ranny, nie było innego sposobu, aby mogli szybko wrócić do obozu. Przynajmniej nie ciągnęli go za którymś z wierzchowców.

Gdy skierowali się na zachód, Hanno modlił się, dziękując wszystkim bogom, jacy przychodzili mu do głowy, ale przede wszystkim Tanit, o której zapomniał przed wypłynięciem na połów tego feralnego dnia w Kartaginie.

Nie był jeszcze całkiem bezpieczny, ale miał wrażenie, że bogini znów się do niego uśmiecha.

Po dotarciu do obozu Hannibala Hanno został bezceremonialnie rzucony na ziemię. Niemniej rozglądał się zaciekawiony i podekscytowany po kartagińskim obozowisku, rozłożonym tak blisko granicy republiki. Jego serce skakało z radości. Znów był wśród swoich ludzi! Poczuł jednak ukłucie niepokoju, bo spodziewał się, że obóz będzie dużo większy. To znaczyło, że armia wcale nie jest tak liczna, jak sądził. Posmutniał też, gdy przyjrzał się twarzom żołnierzy. Cierpienie odcisnęło na nich niezatarte piętno. Większość z nich miała długie, nieporządne brody i wyglądała na głodujących. Zwierzęta, a zwłaszcza słonie, robiły jeszcze gorsze wrażenie. Hanno spojrzał zaniepokojony na numidyjskiego oficera.

– Przejście przez Alpy musiało być strasznym przeżyciem – powiedział.

– Nawet nie wyobrażasz sobie jak wielkim. – Numidyjczyk skrzywił się na samo wspomnienie ostatnich wydarzeń. – Wrodzy tubylcy. Osuwiska. Lód. Śnieg. Głód. Z powodu dezercji i niesprzyjającej aury straciliśmy w ciągu miesiąca prawie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Praktycznie połowę naszej armii.

Hanno otworzył usta z osłupienia. Od razu pomyślał o ojcu i braciach, którzy mogli przecież też znaleźć się wśród ofiar. Uświadomił sobie, że oficer patrzy na niego podejrzliwie.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Mogę ci powiedzieć, co tylko chcę. Rzymianie nigdy się o tym nie dowiedzą – odparł Numidyjczyk niemal przyjacielskim tonem. – Nie sądzę, żebyś mógł uciec moim ludziom na piechotę.

Hanno ciężko przełknął ślinę.

– No nie...

– I przecież upierasz się, że mówisz prawdę o tym, kim jesteś.

Hanno nie spuścił wzroku, chociaż nagle opadły go wątpliwości. Opadł go strach. Bo co się stanie, jeśli nie będzie mógł udowodnić, kim jest?

– Właśnie tak... – warknął, modląc się, aby bogowie znów nie zażartowali sobie z niego, gdy jest już tak blisko. – Zaprowadź mnie do namiotów libijskich włóczników.

Numidyjczyk prześmiewczo skłonił się nisko i ruszył pierwszy. Zagadał spotkanego niebawem włócznika.

– Szukamy oficera o imieniu... – Spojrzał pytająco na Hanno.

– Malchus.

Ku ogromnej radości Hanno mężczyzna uniósł kciuk i wskazał za plecy.

– Jego namiot jest trzy szeregi dalej. Ten większy.

– Na razie idzie nieźle... – podsumował oficer, z wdziękiem zsiadając z konia. Pokazał Hanno, żeby szedł za nim. Trzej jego wojownicy z włócznikami trzymanymi na podorędziu zabezpieczali tyły. Ostrożnie przeciskali się między zbitymi rzędami namiotów.

– Zdaje się, że to ten. – Oficer zatrzymał się przed dużym namiotem, a właściwie pawilonem, który miał ściany ze skór. Ciężkie skóry napięte były za pomocą wielu lin zamocowanych do palików wbitych w ziemię. Przed wejściem do namiotu stało dwóch strażników.

Hanno zalała potężna fala różnych emocji. Strach, gdy zastanawiał się, czy to na pewno kwatery jego ojca. Radość na myśl o spotkaniu. Ulga, że po tych wszystkich trudach wreszcie dołączy do rodziny. Odwrócił się do oficera.

– Zostań tutaj.

– Że co? Chłopcze, nie ty tu dowodzisz – ofuknął go Numidyjczyk. – Dopóki ktoś nie potwierdzi twojej wersji, jesteś cholernym więźniem.

– Mam związane ręce! Gdzie miałbym uciec? – Hanno nie pozostawał dłużny. – Jeśli spróbuję, możesz wbić mi tę włócznię w plecy. Ale wejdę tam sam.

Numidyjczyk widział stalowy upór w oczach Hanno. Nagle zdał sobie sprawę, że jego jeniec może się okazać synem jakiegoś arystokraty. Skinął bez przekonania głową.

– Poczekamy tu – powiedział.

Hanno nie odpowiedział.

Zbliżył się do namiotu na sztywnych nogach. Jeden z włóczników zrobił krok w jego stronę, zagradzając mu drogę.

– Czego tu szukasz? – zapytał obcesowo.

– Czy to jest kwatery Malchusa? – Hanno starał się być uprzejmy.

– A kto pyta?

Hanno nie miał już cierpliwości, żeby znów wszystko tłumaczyć.

– Mam gdzieś twoją butę – warknął. – Ojczy! Jesteś tam?

Włócznik, który ruszył już w jego stronę, nagle zatrzymał się w pół kroku.

– Ojczy? – zawołał ponownie Hanno.

Z namiotu dobiegł stłumiony kaszel.

– Bostar? To ty?

Hanno nie mógł opanować radości. *Bostar też przeżył!*

Chwilę później poła wejścia do namiotu uniosła się i w progu pojawił się Malchus w pełnej zbroi, jakby właśnie miał stoczyć jakąś bitwę.

Najpierw spojrzął na swoich wartowników i zmarszczył brwi.

– Kto mnie wzywał?

– To ja, ojczy – odparł Hanno radośnie, robiąc krok do przodu. – Wróciłem.

Malchus zbladł jak płótno.

– Ha... Hanno? – zająknął się.

Hanno skinął głową. Łzy szczęścia napłynęły mu do oczu.

– Chwalcie bogów. To jest prawdziwy cud! – zawołał Malchus. – Ale dlaczego jesteś związany?

Hanno skinął głową, wskazując Numidyjczyków stojących za jego plecami, którzy teraz musieli czuć się bardzo niezręcznie.

– Nie wiedzieli, czy uwierzyć w moją historię.

Malchus dobył sztyletu i przeciął linę na nadgarstkach Hanno. Gdy tylko kawałki sznura opadły na ziemię, wziął syna w ramiona. Targały nim tak wielkie emocje, że przez dłuższy czas po prostu nie wypuszczał go z żelaznego uścisku. A Hanno ścisnął równie mocno jego. W końcu Malchus cofnął się o krok, aby mu się przyjrzeć.

– To naprawdę ty... – westchnął ciężko. Z twarzy nie schodził mu tak rzadki u niego uśmiech. – Wyrosłeś. Jesteś mężczyzną!

Za to Hanno nie mógł uwierzyć, że jego ojciec tak bardzo się postarzał. Głębokie zmarszczki pokrywały teraz jego czoło i policzki. Worki pod oczami świadczyły o zmęczeniu, a jego włosy były już bardziej siwe niż czarne. Jednocześnie miał wrażenie, że od Malchusa bije nowa energia, której nie pamiętał od czasu śmierci matki. Zadrżał, gdy zdał sobie sprawę, że

źródłem tej siły jest jego powrót. Słyszałem, że wypowiadałeś imię Bostara. Czy Sapho też jest z wami?

– Tak, tak! Obaj służą Hannibalowi. Powinni pojawić się lada moment – odparł Malchus, sprawiając Hanno jeszcze więcej radości. Spojrzał na Numidyjczyków. – Komu jestem winien podziękowania?

Oficer jazdy zasalutował i wystąpił przed szereg

– Zamar, dowódca drużyny. Na twoje rozkazy, panie.

– Gdzie go znaleźliście?

– Około dziesięciu mil na wschód, panie. – Zamar spojrzał zaniepokojony na Hanno. – Przykro mi z powodu srogiego potraktowania przez moich ludzi...

– Nic się nie stało. Nie mogli się spodziewać, że natkną się na Kartagińczyka. Przynajmniej powstrzymałeś ich przed zabiciem mnie i wysłuchałeś moich wyjaśnień.

Zamar skromnie spuścił wzrok.

– Zaczekaj tu – rozkazał Malchus.

Zniknął na chwilę w namiocie, ale bardzo szybko pojawił się z powrotem, dźwigając sporych rozmiarów skórzany worek.

– To na dowód mojej wdzięczności – powiedział, podając ją Numidyjczykowi.

Oczy Zamara zrobiły się wielkie jak spodki, gdy zważył w dłoni ten wspaniały dar, a jego ludzie wymienili zaskoczone spojrzenia. Nie miało znaczenia, co znajdowało się w środku. Waga tego worka wiele mówiła o zawartości.

– Dziękuję, panie. Cieszę się, że mogłem pomóc. – Zamar skłonił się nisko, a potem zrobił dwa kroki do tyłu.

– Wejdz do środka – odezwał się ciepło Malchus do syna. Biła od niego serdeczność, o której istnieniu dawno zapomniał. – Jesteś głodny? Spragniony?

Hanno z wdzięcznością przyjął puchar z winem, siadając na stołku o trzech nogach, który pamiętał z domu w Kartaginie. Malchus usiadł naprzeciwko. Nie potrafili oderwać oczu od siebie ani przestać się uśmiechać.

– Wspaniale cię widzieć – odezwał się Hanno.

– I ciebie też. Straciłem nadzieję, że żyjesz. Przede wszystkim przetrwać taką burzę na morzu... Dobrze, że Melkart miał was w swojej opiece. – Zmarszczył brwi. – Czy Suni nie żyje?

– Nie! – Hanno się uśmiechnął. – Nie mógł ruszyć w drogę razem ze mną, bo był ranny, ale jest teraz po opieką przyjaciela. Wkrótce pewnie będzie próbował przedostać się do Kartaginy.

Malchus pojaśniał na twarzy.

– Bogom niech będą dzięki. Teraz musisz mi opowiedzieć, co się z tobą działo.

Hanno zaśmiał się szczerze.

– Mógłbym powiedzieć to samo, ojczu, widząc cię po tej stronie Alp.

– To historia godna wspaniałej opowieści... – zgodził się Malchus. – Ale najpierw chcę wysłuchać twojej. – Pokręcił głową. Do wnętrza namiotu dotarły głosy zbliżających się ludzi. – Myślę, że lepiej chwilę zaczekaj. Przynajmniej nie będziesz powtarzać tego samego dwa razy.

Hanno się rozpromienił.

– To Sapho i Bostar?

– Tak. – Ojciec mrugnął do niego. – Usiądź tam. Nie odzywaj się ani słowem, zanim cię nie zobaczą.

Hanno obserwował podekscytowany, jak Malchus zmierza w stronę wejścia do namiotu.

Chwilę później w środku pojawiły się dwie znajome osoby. Hanno musiał mocniej chwycić stołek, żeby nie paść natychmiast w ramiona braci.

– Przynosimy dobre nowiny, ojcze. Wkrótce przyłączy się do nas ponad dziesięć tysięcy galijskich wojowników – obwieścił Bostar.

– To istotnie wspaniałe wiadomości – odpowiedział Malchus beznamiętnie.

– Nie cieszysz się? – spytał Sapho.

– Mamy niespodziewanego gościa...

Sapho prychnął zniecierpliwiony.

– Co jest bardziej interesujące niż ta informacja?

Malchus nie odpowiedział, tylko odwrócił się w stronę Hanno.

Sapho zbladł.

– Hanno?

– Nie! – zawołał Bostar. – Nie może to być!

Hanno nie potrafił hamować się już ani chwili dłużej. Skoczył na równe nogi i popędził do wejścia. Śmiejąc się i płacząc równocześnie, Bostar zamknął go w ramionach i długo nie wypuszczał.

– Myśleliśmy, że nie żyjesz!

Hanno udało się jakoś wydostać z uścisku Bostara.

– Powinienem nie żyć, ale bogowie nie spisali mnie na straty. – Wyciągnął ramiona do Sapho, który objął go niezgrabnie. Hanno zaświtała myśl: *Przecież nie może złościć się jeszcze za to, co stało się w Kartaginie?*

Jego brat cofnął się dość szybko.

– Jak do diaska udało ci się tu dotrzeć?!

– Gdzie Suniaton? – pytał Bostar.

Zasypali go pytaniami, aż Malchus musiał interweniować.

– Pozwólmę mu zacząć od początku...

Hanno odchrząknął. W tej chwili myślał tylko o tym, jak skrycie opuścił dom tamtego feralnego poranka. Spojrzał na Malchusa z poczuciem winy.

– Przepraszam, ojcze – powiedział. – Nie powinienem był uciekać z domu. Trzeba było zostać, aby spełnić swój obowiązek.

– Tamto posiedzenie rady starszych wcale nie było tak istotne, jak mi się wydawało. Podobnie jak większość mu podobnych – przyznał Malchus, wzdychając. – Gdybym z kolei ja wykazał się większą wyrozumiałością, nie nudziłbyś się podczas takich obrad. Zostawmy to. Opowiedz nam, jak przeżyłeś ten sztorm.

Wziął głęboki oddech i zaczął swoją opowieść. Ojciec i bracia pochłaniali jego każde słowo. Gdy przeszedł do tego, jak zostali pojmani przez piratów, Sapho zaśmiał się nieprzyjemnie i stwierdził:

– Koniec końców dostali to, na co zasłużyli.

– Co? – Hanno spojrział na brata skonfundowany.

– Wyjaśnię to później – powiedział Malchus. – Co było dalej?

Hanno pohamował swoją ciekawość. Wściekłość, z jaką bracia i ojciec przyjęli historię o piratach, była niczym w porównaniu z ich reakcją na opis wydarzeń na rynku niewolników i tego, jak został kupiony przez Kwintusa.

– Rzymski bękart! – Sapho splunął. – Chciałbym go dostać w swoje łapy.

Hanno zaczął bronić Kwintusa i sam zdumiał się swoją reakcją.

– Nie wszyscy Rzymianie są źli. Nie byłoby mnie tu, gdyby nie on i jego siostra. – Sapho skrzywił się na te słowa. Nawet Bostar wydawał się nieprzekonany. Tylko Malchus nie zareagował. – To prawda! Nie wysłuchaliście jeszcze całej historii.

– Słusznie... – przyznał Bostar.

– Zaskocz nas... – Sapho uniósł brew.

Zdziwiony tym, jak szybko wracają do niego dobrze znane emocje w stosunku do najstarszego brata, Hanno opowiadał dalej. Wyjaśnił im, że Kwintus nie tylko zaplanował jego ucieczkę, ale pomógł także Suniatonowi. Potem podkreślił, że młody Rzymianin zdecydował się towarzyszyć mu do Galii Przedalpejskiej, mimo że spotkali jego ojca w Rzymie.

– Faktycznie wydaje się, że to honorowy młodzieniec. Podobnie jak jego siostra, chociaż jest jeszcze dzieckiem. To z kolei oznacza, że ich ojciec musi być człowiekiem godnym szacunku – zgodził się Malchus. Zacisnął zęby, aż uwypukliły się kości jego szczęki. – Szkoda tylko, że rzymscy senatorowie nie mogą pochwalić się takimi samymi cnotami charakteru. Sam słyszałeś, że zażądali wydania Hannibala, aby wymierzyć mu rzymską „sprawiedliwą karę”, ponadto skłamali, że to niby my złamaliśmy traktat, który ograniczał naszą strefę wpływów do obszarów znajdujących się na południe od rzeki Iberus. Arogancji tych psów nie da się z niczym porównać! A wcześniej przecież ukradli nam Sycylię, Sardinie i Korsykę.

Sapho i Bostar zamruczeli gniewnie.

Przez chwilę Hanno czuł smutek. Nadszedł chyba czas, aby zapomnieć o życzliwości, którą go obdarzono. Słowa ojca przypomniały mu o dawnych źródłach niechęci do Rzymu. Wziął głęboki oddech i powoli, stopniowo wypuszczał powietrze z płuc. *Wreszcie jestem tu, gdzie chciałem być. Z rodziną. W armii Hannibala. Jestem żołnierzem Kartaginy. Rzymianie są naszymi wrogami. Niech tak będzie.*

– Masz rację, ojcze. Jaki plan ma Hannibal?

Malchus uśmiechnął się drapieżnie.

– Chce uderzyć na Rzymian! Jutro będziemy przemieszczać się dalej na wschód, prąc do konfrontacji z legionami.

– Wiem, gdzie są – odparł Hanno, starając się przy tym nie myśleć o Kwintusie. Bez powodzenia.

– W takim razie powinniśmy razem udać się do Hannibala – powiedział Malchus z zadowoleniem.

– Naprawdę?

– Oczywiście! Chętnie wysłucha, co masz do powiedzenia.

Hanno spojrzał na braci.

– Mam spotkać się z Hannibalem! – Bostar uśmiechnął się szczerze, ale Sapho zerkał na niego chmurnie. Naprawdę wyglądało na to, że Sapho ani trochę się nie zmienił. – O co chodzi? Nie jesteś zadowolony?

Sapho zamrugał.

– Cieszę się... – mruknął.

– Wcale na to nie wygląda – powiedział zaczepnie Hanno.

– To dlatego, że faktycznie wcale się nie cieszy – warknął Bostar. – Nasz starszy brat staje się zazdrosny za każdym razem, gdy ktoś może wkupić się w łaski naszego generała.

Żył na szyi Sapho mocno pulsowały.

– Pieprz się – rzucił.

– Sapho! – krzyknął Malchus. – Panuj nad swoim językiem! A ty, Bostarze, zastanów się najpierw, a potem mów. Czy możemy zapomnieć o swarach w ten najbardziej radosny z radosnych dni?

Sapho i Bostar spuścili głowy zawstydzeni.

Malchus wziął Hanno za rękę.

– Chodźcie ze mną – rzucił do synów przez ramię. Sapho i Bostar ruszyli za nimi, nie kryjąc się z tym, że się ignorują.

Hanno nie mógł zrozumieć, skąd wzięła się tak wielka wrogości między braćmi. Co się stało? Jednocześnie był też zaskoczony tym, z jaką łatwością Sapho odzyskał rezon. Przestał zupełnie myśleć o konflikcie braci, gdy zobaczył namiot Hannibala w oddali. Miał stanąć oko w oko z najlepszym kartagińskim wodzem w historii. Człowiekiem, który odważył się zaatakować Rzym na jego terytorium.

*Z bandą obszarpańców, składającą się na wycieńczoną, głodującą armię* – odezwała się ta bardziej cyniczna jego połowa. Nie mógł pozbyć się tej niepokojącej myśli, gdy jego ojciec prowadził go z braćmi do generała. Jak mają stawić czoła tym masom, które powoła pod broń Rzym?

Wkrótce znaleźli się na otwartej przestrzeni przed siedzibą generała. Panował tu spory tłok! Hanno otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. Mieli dobry widok na całe obozowisko z setkami, tysiącami najlepszych wojowników z całego basenu Morza Śródziemnego, żołnierzy, o których słyszał, ale których jeszcze nigdy nie widział. Numidyjska i iberyjska piechota mieszała się z wojownikami Luzytan. Galowie z postawionymi na sztorc włosami i nagimi klatkami piersiowymi stali ramię przy ramieniu z procarzami z Balearów i wojownikami liguryjskimi. Jazda również składała się z oddziałów wywodzących się z kilku narodowości: Iberów, Galów i Numidów. Przed wielkim namiotem zgromadziła się spora grupa starszych oficerów, wspaniale prezentujących się w wypolerowanych, lśniących kirysach, ukształtowanych tak, aby odwzorowywały kształt muskulatury, udekorowanych *pteryges*, i w hełmach z kolorowymi kitami. Purpurowy płaszcz Hannibala sprawiał, że łatwo było dojrzeć generała w tym tłumie. W niewielkiej odległości od kadry oficerów stała grupa muzyków z instrumentami – zakrzywionymi rogami ceramicznymi i *carnyxes*, pionowymi trąbkami z brązu, wszystkie z wyrytym symbolem dzika – na podporządku.

Hanno zerknął na ojca.

– Co się dzieje?

Nawet Sapho i Bostar wyglądali na dezorientowanych.

Malchus nie odpowiadał, co tylko zwiększyło ich ciekawość. Zbliżył się do grupy młodszych oficerów. Pochylił się do ucha jednego z ludzi ze straży przybocznej Hannibala, a ten poprowadził ich prosto do namiotu wodza. Rozpoznawszy Malchusa, Hannibal uśmiechnął się szeroko. Hanno miał wrażenie, że oto właśnie spełniają się wszystkie jego marzenia.

Malchus zaszalutował.

– Czy mogę prosić cię, panie, o chwilę rozmowy?

– Oczywiście. Ale mamy dosłownie chwilę – odparł Hannibal.

– Tak jest! Znasz dwóch moich synów, Sapho i Bostara. A oto mój trzeci potomek,

Hanno.

Hannibal spojrział na Hanno z zaciekawieniem.

– Wydaje mi się, że słyszałem tragiczną opowieść o zaginięciu twego syna.

– Masz świetną pamięć, panie. Po jakimś czasie odkryłem, że Hanno, dzięki łasce bogów, nie utonął. Dryfującą łódź, w której się znajdował z przyjacielem, znaleźli piraci. Sprzedali chłopców jako niewolników. W Italii.

Hannibal uniósł brwi.

– To nie może być on!

Malchus się uśmiechnął.

– Ale stoi tu przed nami, panie.

– Bogowie! – wykrzyknął Hannibal. – Podejdz no, młodzieńcze!

Hanno zrobił krok do przodu, czując się jak we śnie, na wpół świadomy – w swoim złachanym, brudnym odzieniu wyglądał jak żebrak.



Hannibal mierzył go przez chwilę wzrokiem.

– Podobieństwo do Malchusa jest niezaprzeczone. – Hanno nie odważył się odezwać. Jego serce tłukło się niczym ptak w klatce. – Jak uciekłeś?

– Syn właściciela mnie uwolnił, panie.

– Naprawdę? Na brodę Melkarta! Dlaczego?

– Uratowałem mu życie, panie.

– Ciekawe... – Hannibal przeciągnął ręką po brodzie. – Tę długą drogę pokonałeś sam?

– Nie. Rozstaliśmy się w pobliżu Piacenzy.

– Cieszę się z twojego powrotu. Twój ojciec i bracia są świetnymi oficerami. Mam nadzieję, że ty również pójdiesz ich drogą.

– Zrobię, co w mojej mocy, panie. – Hanno uklonił się sztywno.

Hannibal uniósł rękę na znak, że uważa rozmowę za zakończoną.

– Chwileczkę, panie – interweniował przejęty Malchus. – Hanno jest pod tak wielkim wrażeniem tego spotkania, że w tej chwili nie myśli trzeźwo. Nie powiedział ci, że to właśnie pod Piaceną stacjonuje armia Scypiona.

Na twarzy Hannibala znów pojawiło się zainteresowanie.

– Scypiona, powiadasz? Jednego z tych Scypionów?

– Tak, panie – odrzekł Hanno, świadomy, że przysłuchują się im teraz wszyscy oficerowie, którzy znajdowali się na tyle blisko, aby słyszeć, co mówi. – Po tym, jak nie zdążył zagrozić ci drogi nad Rodanem, wrócił czym prędzej do Italii.

– Z całą armią? – zapytał cicho Hannibal.

– Nie, panie. Wysłał swoje legiony do Iberii, przekazując dowództwo swemu bratu.

– Mądre posunięcie... – Hannibal wypuścił powoli powietrze. – Hasdrubal będzie miał pełne ręce roboty. Tego się jednak można było spodziewać, jak sądzę. – Wpatrywał się teraz w Hanno swoimi ciemnymi oczami. – Co ze Scypionem?

– Nakazał wybudowanie mostu na Padzie i tego dnia, gdy zostałem uwolniony, zamierzał ruszyć na zachód.

Hannibal pochylił się lekko w jego stronę.

– Kiedy to było?

– Trzy dni temu, panie.

– Nie może być daleko. Doskonałe wieści! – Hannibal uderzył pięścią w dłoń. – Jakie ma ze sobą siły?

Hanno starał się przywołać z pamięci wszystko, co widział i słyszał od czasu opuszczenia Rzymu.

– Świetna robota, młodzieńcze – pochwalił go Hannibal, gdy skończył. Hanno zaczerwienił się po czubki włosów. – Wkrótce czeka nas pierwszy z wielkich testów. To, co za chwilę się stanie, będzie miało o wiele większe znaczenie, niż sądziłem. Zostańcie ze mną i obserwujcie.

Hanno wymamrotał cicho podziękowania, a przed oblicze Hannibala przyprowadzono grupę składającą się z kilku dziesiątek więźniów.

– Kim oni są? – zapytał Hanno.

– Allobrogowie i Wokoncjowie, jeńcy wzięci w czasie przeprawy przez Alpy – wyjaśnił mu ojciec.

Hanno poczuł ucisk na żołądku. Ci ludzie wyglądali na przerażonych.

Dźwięki rogów i *carnyxes* uniemożliwiły dalszą rozmowę. Gdy trąby zamilkły, Hannibal stanął przed zgromadzonymi. Zapadła cisza pełna oczekiwania. Wszyscy patrzyli, jak niewolnicy wnoszą duże tace z brązu, na których znajdowały się różne elementy wyposażenia, pancerze,

hełmy i kolczugi. Na innych z kolei leżały złote bransolety, wykonane z tego samego kruszcu krążki, przepiękne płaszcze z wilczych skór i miecze ze wspaniałymi ornamentami na głowicach i jelcach.

Zanim Hannibal przemówił, pozwolił, aby więźniowie mogli dobrze przyjrzeć się tym skarbowom.

– Znaleźliście się tu, aby dokonać prostego wyboru. – Przerwał, żeby tłumacze mogli przełożyć jego słowa. – Dam szczęście z was szansę wywalczenia sobie wolności. Zostaniecie podzieleni na pary i będziecie ścierać się ze swoimi pobratymcami na śmierć i życie. Zwycięska trójka otrzyma dobre konie, będzie mogła wybrać sobie wyposażenie spośród tego, które tu widzicie. Zwycięscy dostaną też listy żelazne, gwarantujące, że nikt nie przeszkodzi im w opuszczeniu tego obozu. Ci, którzy nie zechcą walczyć, zostaną sprzedani w niewolę. – Hannibal znów zamilkł, czekając na przetłumaczenie jego słów jeńcom.

Chwilę później wojownicy zaczęli wznosić okrzyki, wyciągając w górę zaciśnięte pięści.

Główny tłumacz zwrócił się do Hannibala.

– Wszyscy pragną dostąpić tego honoru, panie. Wszyscy, co do jednego.

Hannibal uśmiechnął się szeroko.

– Przekaż to głośno moim ludziom – rozkazał.

Gdy okrzyki Allobrogów zostały przetłumaczone, zgromadzeni żołnierze przyjęli je z zadowoleniem, pomrukami okazując swój szacunek.

Malchus pochylił się, aby wyszeptać kilka słów do ucha Hanno.

– Walka na śmierć i życie uważana jest przez Galów za honorową. Taki sposób pożegnania się z tym światem wydaje im się ze wszech miar lepszy od życia w niewoli.

Hanno nadal nie rozumiał, co Hannibal chce dzięki temu zyskać.

– Nie mogę pozwolić, aby wszyscy dostąpili tego zaszczytu – oznajmił Hannibal. – Uformujcie z jeńców dwa rzędy. – Odczekał chwilę, gdy strażnicy ustawiali wojowników. – Wybierzcie co czwartego, aż zbierzecie szóstkę – rozkazał głośno. Jego polecenie natychmiast wykonano. Pozostali jeńcy zostali przesunięci na bok. Pół tuzina wybranych przez los wojowników otrzymało miecze i tarcze. Mieli rozpocząć walkę po usłyszeniu sygnału. Od razu rzucili się na siebie z szaleńczą odwagą. Bardzo szybko na twardej ziemi pojawiły się pierwsze kałuże krwi.

– Po co to wszystko? – mruknął po chwili Sapho. – Powinniśmy ich zabić i mieć to z głowy.

– Twój cholerny sposób rozwiązywania wszystkiego... – odezwał się gniewnie Bostar.

– Sza! – syknął Malchus. – Hannibal nie robi niczego przypadkiem.

Hanno znów zaskoczyło to, jak bardzo iskrzyło między jego braćmi, ale w tej chwili nie mógł się nad tym dłużej zastanawiać.

Pojedynki Galów były krótkie i brutalne. Wkrótce trzech zakrwawieni wojownicy stali nad ciałami powalonych przeciwników, czekając na spełnienie obietnicy przez Hannibala. I tak się stało. Każdy mógł wybrać sobie oporządzenie ze stosów na tacach, a potem też konia. Następnie wśród głośniejszych wiwatów obserwatorów tych walk pozwolono im opuścić obóz.

– Wy będziecie mieli szansę zdobyć o wiele więcej niż oni – krzyknął Hannibal do swoich ludzi. – Dla was nagrodą za zwycięstwo nie będą konie i płaszcze. Możecie stać się tymi, którym wszyscy będą zazdrościć wielkich bogactw Rzymu.

Potężny okrzyk sprawiał, że chłodne zimowe powietrze zadrżało.

Hanno zerknął na Bostara. Teraz rozumiał zamysł generała. I był pod wielkim wrażeniem jego taktyki.

– Zabierze nas pod same bramy stolicy znienawidzonego wroga – powiedział jego brat.

- Zgadza się – potwierdził Malchus.
- I pozwoli zabić każdego brudnego skurwysyna, który schowa się za murami Rzymu – warknął Sapho.

Hanno poczuł, że rozpiera go duma. Rzym *zostanie* pokonany. Teraz był tego pewien.

## Rozdział XX



Minęło kilka dni. Kwintus kulił się przy ognisku z kilkoma nowymi towarzyszami. To było paskudne, zimne popołudnie. Silny wiatr gnał ciężkie chmury nisko nad obozem, grożąc opadami śniegu, co dodatkowo źle wpływało na i tak niskie już morale.

– Wciąż nie mogę w to uwierzyć! – jęknął Liciniusz, smukły chłopak z okolic Tarentu, który był kompanem Kwintusa z jednego namiotu. – Przegrać pierwszą bitwę z *gugga*. Taki wstyd.

– To była tylko potyczka – przekonywał ponurym głosem Kwintus.

– Może i masz rację – zgodził się Calatinusz, kolejny z mężczyzn, z którymi dzielił namiot. Mocno zbudowany, był rok starszy od Kwintusa i bardzo do niego podobny. – Ale jeśli tak, to cholernie duża. Założę się, że wszyscy, jak tu siedzicie, cieszyście się, że udało się wam wyjść z tego cało, co? – Pokiwał głową, a jego towarzysze zgodzili się z nim. – Pomyślcie o naszych stratach! Zginęła większość jeźdźców i setki *velites*. Sześćset legionistów trafiło do niewoli, a Scypion został ciężko ranny. Trudno powiedzieć, żeby to był dobry prognostyk na przyszłość, prawda?

– Słusznie prawisz – potwierdził Cinciusz, ostatni z mężczyzn, chłop na schwał, o rudej grzywie i wiecznie czerwonej twarzy. – Od tej pory tylko się wycofujemy. Co pomyśli o nas Hannibal?

– No właśnie! Dlaczego w ogóle, na Hades, ciągle uciekamy? – Liciniusz szukał jakiejś logiki w taktyce stosowanej przez Scypiona. – Gdy zniszczyliśmy most, Kartagińczycy nie mieli możliwości przeprawienia się przez rzekę Ticinus, aby się do nas dostać.

Calatinusz rozejrzał się wokół, upewniając się, że nikt niepowołany go nie usłyszy.

– Moim zdaniem konsul spanikował. I nie ma się co dziwić po tym, jakie odniósł rany i w ogóle...

– Skąd możesz znać plany Scypiona? – zapytał poirytowany Kwintus. – On z pewnością nie jest głupcem.

– Bo sam pewnie lepiej wiesz, co myśli konsul, młodziaku – odciął się Cinciusz.

Kwintus spojrział na niego chmurnie, ale wołał wycofać się z niechybnej konfrontacji. Cinciusz wyglądał na kogoś, kto nie unika bitki, a był dwa razy większy od niego.

– Dlaczego Scypion nie zaryzykował, gdy Hannibal wyprowadził swoje oddziały i stanął w szyku do bitwy przed obozem, tuż pod naszym nosem? – ciągnął Cinciusz. – To była niezła okazja. Siedzący przy ognisku zaczęli mruzczyć na znak, że się zgadzają. – Mówię wam, że to tchórz. – Cinciusz wyraźnie się rozkręcał.

Kwintus miał dość już tych bezsensownych dywagacji.

– Najlepiej walczyć na swoich warunkach. Samemu wybierać czas i miejsce starcia – powiedział, przypominając sobie, co mówił mu kiedyś ojciec. – Wszyscy to wiecie! W tej chwili nie możemy decydować ani o jednym, ani o drugim, a ponieważ Scypion jest ranny, nie prawdopodobnie nie zmieni się w najbliższej przyszłości. Zadbanie o bezpieczeństwo armii jest o wiele łatwiejsze w ufortyfikowanym obozie. Zastanówcie się, co mogłoby się stać z nami na odkrytym terenie.

Cinciusz zmarszczył brwi i popatrzył na Kwintusa, ale zmilczał, widząc, że inni nie podejmują tematu.

To wcale nie poprawiło humoru Kwintusowi. Choć nie wątpił w odwagę Scypiona, to jego ocena postawy Flakkusa wyglądała już zgoła odmiennie. W gruncie rzeczy uznał, że powinien zdecydowanie zmienić swoje zdanie o przyszłym szwagrze, którego wcześniej uważał za bohatera. Jednak to, co widział na własne oczy nad rzeką, nie pozwalało mu zaprzeczyć, że Flakkus spisał się fatalnie. Wyruszył z kawalerią na misję rozpoznawczą na własną prośbę, mimo że rokowania były niekorzystne. Pełen entuzjazmu Kwintus wziął udział w tym wypadku. Widział Flakkusa jedynie przed starciem, a potem pojawił się w polu widzenia dopiero wówczas, gdy resztki patrolu wycofywały się z drugiego brzegu rzeki Ticinus i kierowały do rzymskiego obozu. Okazało się, że kiedy trwały najcięższe walki, on myślał tylko o swoim bezpieczeństwie. Widząc, że Kartagińczycy mają przewagę, udał się po pomoc. Oczywiście starsi trybunowie odmówili poprowadzenia legionów przez tymczasowy most, tłumacząc, że piechota nie jest w stanie wesprzeć jazdy po drugiej stronie rzeki i odrzucić oddziały nieprzyjaciela, gdy ten również wysłał do boju jedynie kawalerię. Starał się brzmieć przekonująco, gdy pytał, co jeszcze miałby zrobić.

Oczywiście nikt nie ośmielił się kwestionować jego słów. Później wszystko potoczyło się szybko. Musieli zaakceptować rzeczywistość. Choć Fabrycjusz nie rozmawiał na ten temat z Kwintusem, ten znał ojca na tyle, że wiedział, iż jest wyraźnie zaniepokojony postawą przyszłego zięcia. Istniały bowiem przesłanki, aby uznać go za tchórza. Kwintus zresztą czuł się równie skonfundowany. Choć podczas starcia był przerażony, nie rzucił się do panicznej ucieczki. Walczył z wrogiem z uporem i zaciekłością. Aurelia nie może poślubić mężczyzny – choć byłby bardzo ustosunkowany – który nie potrafi walczyć ramię w ramię ze swoimi towarzyszami. Kwintus włożył kawałek drewna do ognia i próbował o tym nie myśleć. Gdy powrócił do rzeczywistości, przekonał się, że jego towarzysze ciągle rozpamiętują klęskę.

– Mój sługa pił z kilkoma legionistami, którzy strzegą namiotu Scypiona – powiedział Licinius. – Mówią, że wielka flota kartagińska zaatakowała Lilybaeum na Sycylii.

– Niemożliwe! – wykrzyknął Cinciusz.

Liciniusz skinął głową ze smutkiem.

– Nie ma szans, aby Semproniusz Longus przyszedł nam z pomocą.

– Skąd wiesz, że to prawda? – zapytał podejrzliwie Kwintus.

– Tamci przysięgali na groby matek.

– Dlaczego więc o tym nie słyszeliśmy? – Kwintus nie był przekonany.

– To podobno tajemnica – mruknął Liciniusz.

– Cóż... *ja* za to słyszałem, że całe plemię Bojów maszeruje na północ, aby dołączyć do Hannibala – wtrącił Cinciusz. – Jeśli to prawda, tkwimy w bagnie po same uszy.

Kwintus z kolei przypomniał sobie, o czym niedawno opowiadał mu ojciec. Na pobliskiej farmie trzeba było pomóc krowie, która nie mogła samodzielnie wydać na świat cielaka. Młode, gdy już opuściło łono matki, bardziej przypominało potwora, bo wszystkie organy zamiast wewnątrz znajdowały się na zewnątrz. Co więcej, ten wybryk natury żył jeszcze po wyjęciu!

Oficer, którego Fabrycjusz znał, podobno był świadkiem tego zdarzenia podczas patrolu. *Przestań!* – upomniął się Kwintus, zaciskając zęby.

– Nie ekscytujcie się tak – poradził. – Nie wyciągajmy daleko idących wniosków z takich dziwacznych plotek.

– Naprawdę? A jeśli bogowie się na nas gniewają? – dopytywał się Licinius. – Wczoraj byłem w świątyni w Piacenzie, aby złożyć ofiarę. Kapłani mówili, że święte kury nie chcą jeść. Jakiego lepszego dowodu potrzebujesz?

Kwintus wściekł się nie na żarty.

– Czy mamy po prostu poddać się Hannibalowi?

– Oczywiście, że nie! – Licinius poczerwieniał ze wstydu.

Kwintus zaatakował teraz Cinciusza, który pokręcił głową.

– No to się zamknijcie, do cholery! Takie gadanie ma fatalny wpływ na morale. Jesteśmy ekwitami, pamiętacie? Prości żołnierze patrzą na nas, powinniśmy dawać przykład, a nie napęniać ich serca lękiem.

Wszyscy jak jeden mąż spuścili głowy, okazując nagle zainteresowanie swoimi sandałami.

– Wystarczy mi już waszego bzdurzenia – mruknął Kwintus i wstał. – Zobaczmy się później.

Oddalił się, nie czekając na reakcję. Jego ojciec pewnie będzie w stanie rzucić więcej światła na te niepokojące plotki. Kwintus naprawdę na to liczył, bo sam walczył ze zwątpieniem. Dobrze się krył, ale efekt starcia ze śmiertelnie niebezpiecznymi Numidyjczykami bardzo nim wstrząsnął. Właściwie wszyscy, którzy wyszli z tej potyczki cało, powinni się cieszyć, bo na końcu przemieniła się w klęskę. Nic dziwnego, że jego towarzysze wierzą w pogłoski krążące po obozie. Kwintus musiał bardzo się starać, aby nie pokonały go lęki.

Nie zastał Fabrycjusza w jego namiocie. Jeden z wartowników poinformował go, że jest w kwaterze konsula. Kwintus uznał, że spacer dobrze mu zrobi. Przewietrzy sobie głowę. Trasa do kwatery konsula wiodła przez strefę zajęta przez miejscowe galijskie plemię Cenomanów, którzy zdecydowali się poprzeć w tej wojnie Rzym. Oddziały galijskie liczyły koło dwóch tysięcy wojowników. Była to głównie piechota, ale wspierana też przez garstkę jeźdźców. Mężczyźni ci trzymali się trochę na uboczu, a bariera językowa powiększała ten dystans, choć dawało się odczuć braterstwo broni między nimi i legionistami, co cieszyło Kwintusa. Pozdrowił pierwszego wojownika, którego zobaczył. Nagi od pasa mężczyzna siedzący na stołku przed namiotem ku zdziwieniu Kwintusa odwrócił wzrok, koncentrując się na mieczu, który właśnie ostrzył. Kwintus nie analizował tego zachowania, ale chwilę później miała miejsce podobna reakcja. Kilku włóczników, oddalonych o niecałe dziesięć kroków, patrzyło na niego zimno, bezmyślnie, a potem odwróciło się plecami.

*To nic takiego* – przekonywał się Kwintus. *Niedawno zginęły przecież setki ich towarzyszy. Połowa z nich pewnie straciła już kogoś bliskiego.*

– Aurelia! Aurelia!

Głos Atii wyrwał ją z miłego snu z Hanno i Kwintusem w rolach głównych. Co ważne, w jej śnie nadal byli przyjaciółmi. Świadoma nierealności tej sytuacji, a ponadto zaniepokojenia w głosie matki Aurelia się ocknęła. Była w dobrym nastroju.

– Co się stało, matko?

– Przyjdź tu proszę do nas!

Aurelia wyskoczyła z łóżka. Gdy otworzyła drzwi, zaskoczona zorientowała się, że matce towarzyszy w atrium Gajusz. Z ich min wywnioskowała, że stało się coś ważnego. W jednej chwili resztki marzeń sennych się ulotniły. Aurelia cofnęła się szybko do komnaty, żeby zarzucić

na nocną koszulę lekką tunikę. Potem opuściła sypialnię.

– Gajusie! – zawołała. – Miło cię widzieć.

Chłopak pokiwał głową niezręcznie.

– Ciebie również, Aurelio.

Poważny ton jego głosu sprawił, że na ramionach poczuła gęsią skórę. Spojrzała na matkę i z przerażeniem stwierdziła, że w jej oczach lśnią łzy.

– O cooo chodzi? – wybełkotała niepewnie.

– Dotarli do nas wieści z Gali Przedalpejskiej – powiedział Gajusz. – Nie mam dobrych nowin.

– Czy nasza armia została pokonana? – spytała zaskoczona Aurelia.

– Niezupełnie. Nad rzeką Ticinus stoczono dużą potyczkę. Numidyjczycy Hannibala spowodowali duże straty w oddziałach jazdy i harcówników.

Aurelia poczuła, że robi się jej słabo.

– Czy ojciec jest cały i zdrowy?

– Tego nie wiemy. – Oczy Atii zmieniły się w ciemne studnie smutku.

– Nie znamy do końca sytuacji – tłumaczył Gajusz. – Prawdopodobnie nic mu się nie stało.

– Mówisz, że ponieśliśmy ciężkie straty – powtórzyła powoli Aurelia. – Jak ciężkie?

Dokładnie.

Nie usłyszała odpowiedzi.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– Gajuszu?

– Mówią, że z trzech tysięcy jazdy tylko około pięciuset kawalerzystów wróciło do obozu – odpowiedział, unikając jej wzroku.

– Jak zatem, na Hades, możesz mówić, że z moim ojcem wszystko w porządku?!

Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że nie żyje!

– Aurelio! – Atia próbowała przywołać ją do porządku. – Gajusz stara się powiedzieć, że nie powinniśmy zakładać najgorszego.

– Przepraszam – młodzieniec się zaczerwienił.

Atia wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń.

– Nie masz za co przeproszać. Musiałeś wyruszyć z Kapui o świcie, aby przekazać nam te wieści. Jesteśmy bardzo wdzięczne.

– Ja nie jestem! Jak mogę być wdzięczna za takie okropne wiadomości? – krzyknęła Aurelia. Zaczęła szlochać i pobiegła w stronę drzwi wejściowych do willi. Zignorowała zdumionego odźwiernego, otworzyła je szeroko i wyszła na podwórze. Nie chciała słyszeć krzyków, które ją goniły.

Nogi zaprowadziły ją do stajni. To miejsce od dawna było jej schronieniem, gdy czuła się źle. Poszła prosto do boksu konia należącego do jej ojca, który nie chciał zabrać go ze sobą do Rzymu. Wytrzymały siwek okulał przed wyjazdem ojca. Koń zarżał łagodnie na jej widok. Wtedy smutek Aurelii wystąpił z brzegów i spłynął w powodzi łez. Stała tak przez dłuższy czas, szlochając i przywołując obrazy ojca, którego może już nigdy nie zobaczyć. Dopiero gdy poczuła, że koń zaczął skubać jej włosy, zdołała odzyskać kontrolę nad emocjami.

– Chcesz jabłko, prawda? – szepnęła, głaszcząc konia po pysku. – A ja, głupia, przysłałam z pustymi rękami. Poczekaj chwilę. Zaraz coś ci przyniosę.

Zadowolona z tego, że może czymś zająć swoje myśli, poszła do magazynu na owoce, znajdującego się na końcu stajni. Wybrała największe jabłko i szybko wróciła do siwka. Ten zastrzygł uszami i parsknął cicho raz za razem z emocji, co sprawiło, że znów poczuła ogarniający

ją smutek. Uspokajała ją teraz tylko jedna myśl.

– Przynajmniej Kwintus jest bezpieczny w Iberii – dzieliła się z koniem swoimi przemyśleniami. – Niech bogowie nad nim czuwają.

Fabrycjusz przebywał w namiocie generała, gdzie Kwintus nie miał wstępu, dlatego okazja do rozmowy z nim nadarzyła się dopiero późnym popołudniem. Gdy opowiedział o nastrojach wśród towarzyszy, Fabrycjusz zareagował z typową dla siebie pewnością siebie.

– Wbrew krążącym po obozie strasznym plotkom Scypion ma się dobrze. Za kilka miesięcy odzyska pełną sprawność. Pogłoski o kartagińskiej flocie atakującej Semproniusza Longusa są wyssane z palca. Scypion powiedziałby mi o tym, gdyby to była prawda. Poinformowałby również swoich oficerów, gdyby miał jakieś sprawdzone wiadomości na temat powstających przeciwko nam Bojów. A co do tych złych omenów, to czy którykolwiek z twoich towarzyszy rzeczywiście był ich naocznym świadkiem? – Fabrycjusz roześmiał się szczerze, gdy Kwintus potrząsnął przecząco głową. – Oczywiście, że nie. Jeśli nie liczyć tego cielaka, który naprawdę okazał się jakimś wybrykiem natury, nikt nie widział żadnego znaku świadczącego o tym, że popadliśmy w niełaskę bogów. Kury w świątyni Jowisza mogą nie chcieć jeść, ale czy naprawdę kogoś to dziwi? One są bardzo wrażliwe. Zdarza się, że chorują, szczególnie w taką pogodę. – Przystawił palec do głowy, potem do serca, a następnie położył rękę na mieczu. – Najpierw odwołaj się do tych rzeczy i zaufaj swojemu rozumowi, zanim zaczniesz martwić się tym, co mówią inni.

Kwintus był zbudowany postawą Fabrycjusza. Cieszył się, gdyż uświadomił sobie, że ojciec nie wspominał już o odesłaniu go do domu. Nie wracał do tego tematu od czasu klęski nad brzegami rzeki Ticinus. Kwintus nie wiedział, czy to z powodu wielkich strat, czy dlatego, że pogodził się z myślą, że jego syn służy w kawalerii. Ale też wcale się nad tym nie zastanawiał. Humor poprawiało mu też pożywienie w postaci gęstego, smacznego gulaszu i wino, którym poczęstował go ojciec. W każdym razie wrócił do namiotu w znacznie lepszym nastroju.

Jego dobre samopoczucie szybko jednak prysło. Gdy wracał do namiotu, wiatr zaczął się wzmacniać. Pogoda pogarszała się z każdą chwilą. Opatulił się szczelniej płaszczem, bo zimne podmuchy pozbawiały go resztek ciepła. Widząc taką pogodę, łatwo było wyobrazić sobie, że to bogowie zesłali burzę, aby ukarać Rzymian. W śniegu, który po chwili zaczął sypać, była jakaś straszna nieuchronność. Czarne myśli, których niedawno udało mu się pozbyć, wróciły z większą siłą wraz z ciemnymi chmurami.

Nieliczni żołnierze, którzy jeszcze jakiś czas temu wystawali przed namiotami, szybko się pochowali. Kwintus nie mógł się już doczekać, kiedy sam wsunie się pod koce, spróbuje zapomnieć o wszystkim i zaśnie. Z zaskoczeniem przyjął zatem widok wojowników Cenomanów, którzy nie chowali się przed śniegiem. Zbierali się wokół ognisk i tworzyli kręgi, obejmując się przy tym ramionami i śpiewając niskimi głosami jakieś smutne pieśni. *Prawdopodobnie oplakują swoich zmarłych* – pomyślał Kwintus. Zadrżał i postanowił im nie przeszkadzać.

Gdy Kwintus rozluźnił rzemienie kłapy namiotu, Liciniusz pierwszy przyciągnął jego spojrzenie.

– Przepraszam za wcześniej – mruknął stłumionym głosem, ledwo wychylając nos spod koców. – Powiniennem był trzymać język za zębami.

– Nie przejmuj się. Wszyscy byliśmy w kiepskim nastroju – odparł Kwintus, zrzucając wilgotny płaszcz. Stał nad swoim posłaniem, które znajdowało się obok posłania Calatinusza. Ten również rzucił mu spojrzenie, z którego przebijało poczucie winy. – Może zainteresuje was wiadomość, że Scypion nic nie wie o flocie kartagińskiej atakującej Sycylię.

Na twarzy Calatinusza pojawił się pełen zażenowania uśmiech.



– No cóż, jeśli on nic nie wie, nie musimy się martwić.

– A co z Bojami? Słyszałeś coś na ten temat? – odezwał się wyzywająco Cinciusz.

Kwintus znów się uśmiechnął.

– Nie. To chyba dobra wiadomość?

Cinciusz powoli się rozpogadzał.

– Doskonale – ocenił Calatinusz, unosząc się ze swojego legowiska. – Musimy zatem tylko poczekać na Longusa.

– Myślę, że powinniśmy wypić za to toast – ogłosił Cinciusz. Skinął głową w stronę Kwintusa, jakby chciał powiedzieć, że ich sprzeczkę można uznać za niebyłą. – Ktoś ma ochotę?

Zgodny chór głosów świadczył o tym, że nikt nie ma nic przeciwko zacnemu trunkowi.

– Już czuję tego kaca – zażartował Kwintus.

– Kogo to obchodzi? Nie wygląda na to, żebyśmy szybko mieli podjąć działania zaczepne! – Cinciusz podskoczył do stołu, gdzie trzymali jedzenie i wino.

– Racja – mruknął Kwintus. – To czemu nie?

Zasnęli późno w nocy. Mimo dużych ilości alkoholu, który powinien zapewnić mu mocny sen, dręczyły go mary. W jednym koszmarze uciekał przed oddziałem Numidów po otwartej równinie. Obudził się mokry od potu. Usiadł. W namiocie było ciemno, że oko wykol, i strasznie zimno. Mimo to z przyjemnością przyjął strumień chłodnego powietrza, które owiało jego twarz i ramiona, tłumiąc nieco bębnienie w głowie. Zerknął na kosz żarnika, w którym dopalały się resztki drewna. Ziewnął i odrzucił koce. Jeśli dołoży teraz do ognia, wystarczy do rana. Wyprostował się, bo nagle do jego uszu dobiegł jakiś podejrzanym odgłos z zewnątrz. Zaskoczony nastawił uszu. To niewątpliwe było skrzywienie śniegu pod butami, ale w odróżnieniu od miarowego, regularnego kroku strażnika, ten był kogoś, kto starał się poruszać cicho. Kogoś, kto nie chciał być zdemaskowany.

Ręka Kwintusa instynktownie powędrowała w kierunku głowni miecza. Z każdej strony sąsiednie namioty znajdowały się w odległości około połowy tuzina kroków. Z przodu wąska ścieżka komunikacyjna zwiększała tę odległość do jakichś dziesięciu. To właśnie stamtąd dochodziły owe podejrzanym dźwięki. Kwintus zrobił kilka kroków w stronę wejścia do namiotu, ostrożnie wybierając miejsca, gdzie stawia gołe stopy. Wszystkie jego zmysły były wyostrzone do granic. Usłyszał szept. Poczul przyływ adrenaliny. Instynkt podpowiadał mu, że coś jest nie tak. Wrócił w ciemności do posłań towarzyszy i potrząsnął Calatinusza za ramię.

– Obudź się – szepnął.

Jedyną odpowiedzią było porytowane mruknięcie.

Głosy dochodzące z zewnątrz nagle umilkły.

Kwintus czuł, że jego serce zaczyna ze strachu bić coraz szybciej. Może właśnie przyciągnął uwagę tych, którzy znajdowali się na zewnątrz namiotu. Puścił fałdy tuniki Calatinusza i zaczął desperacko szukać po omacku swoich sandałów. Jego palce ześlizgnęły się po sznurowadłach. Zaklął bezgłośnie. W końcu jednak udało mu się je zawiązać.

Gdy prostował się nad posłaniem, znów usłyszał cichy odgłos. Jakby ktoś się dławił. I kolejny. Znów jakieś szepty i stłumiony krzyk, który urwał się nagle i niespodziewanie. Rzucił się do posłania Liciniusza. Może on nie zareaguje tak gniewnie. Położył dłoń na jego ustach, żeby zapobiec niepotrzebnym dźwiękom i potrząsnął nim mocno.

– Obudź się! – syknął. – Jesteśmy atakowani! – Zobaczył, że Liciniusz otwiera szeroko oczy, zaskoczony, ale po chwili kiwa głową na znak, że rozumie, i Kwintus mógł zabrać rękę z jego ust. – Posłuchaj – wyszeptał.

Przez chwilę nic się nie działo. A potem usłyszeli zduszony jęk, który szybko umilkł. Po nim coś, czego nie można było pomylić z niczym innym – odgłos ostrza przechodzącego przez

ciało. Kwintus i Liciniusz wymienili przerażone spojrzenia i obaj skoczyli na równe nogi.

– Do broni! Do broni! – krzyczeli zgodnym chórem, ile sił w płucach.

Calatinusz nie mógł się nie obudzić. Rozglądał się właśnie niepewnie po namiocie.

– Co się dzieje? – wymamrotał.

– Niech to szlag! Wstawaj! Łap za miecz – krzyknął Kwintus. – Ty też Cinciuszu.

Szybko! – Przeklinał się w duchu, że nie wszczął alarmu szybciej.

W reakcji na ich okrzyki ktoś przeciął mieczem połę namiotu. Ostrze przesunęło się szybko w dół. Gdy w płótnie pojawiła się długa szpara, napastnik próbował wejść do środka. Kwintus nie namyślał się wiele. Skoczył do niego błyskawicznie i zagłębił ostrze w jego brzuchu. Gdy mężczyzna zgiął się wpół, rycząc z bólu, do środka wtargnął drugi intruz. Kwintus ciął go z góry w kark. Napastnik zwałił się na ziemię, a krew z jego arterii spryskała wnętrze namiotu. Niestety, tuż za nim do środka wtargnął już trzeci. A po nim czwarty. Głośne, gardłowe krzyki dochodzące z zewnątrz świadczyły o tym, że między namiotami roi się od ludzi.

– To ci pieprzeni Galowie! – wykrzyknął Liciniusz.

Kwintus zdał sobie sprawę, że jego towarzysz ma rację. *Co tu się dzieje? Czy Kartagińczycy przedarli się skrycie przez palisadę fortu?* Kucnął, schodząc z linii ciosu przeciwnika, po czym wyprowadził krótkie pchnięcie gladiusem i z zadowoleniem przyjął głośny okrzyk bólu. Liciniusz po chwili stanął obok niego. Walczyli ramię w ramię, rozpaczliwie odpierając ataki kolejnych wojowników próbujących dostać się do namiotu. Szybko zrozumieli, że nie mają szans. Ich wrogowie mieli tarcze, a oni stali w półmroku bez jakiegokolwiek osłony, tylko w ubraniach, w których położyli się spać.

W pewnej chwili Kwintus usłyszał dochodzący z lewej strony odgłos cięcia. Próbował nie panikować.

– Te sucze syny próbują wziąć nas z dwóch stron. Calatinuszu! Cinciuszu! Zróbcie dziurę w tylnej ścianie – krzyknął przez ramię. – Musimy się stąd wydostać. – Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Żołądek podjechał mu do gardła. *Czy oni już nie żyją?*

– Gotowe! Chodźcie – chwilę później oświadczył Calatinusz.

Wypuścił powietrze, wdychając z ulgą.

– Gotowy? – zwrócił się do Liciniusza.

– Tak!

– Wycofujemy się! – Kwintus wyprowadził rozpaczliwą serię ciosów, odrzucając najbliższego przeciwnika, po czym odwrócił się i skierował ku tylnej ścianie namiotu. Wyczuwał, że Liciniusz jest krok za nim. Zlokalizował dziurę i skoczył, lądując z łoskotem pod stopami towarzyszy. Kiedy chwycili go pod ramiona i podnieśli z ziemi, zerknął za siebie. Z przerażeniem stwierdził, że Liciniusz – który znajdował się tuż tuż, niemal na wyciągnięcie ręki – potyka się i pada na kolana. Nie było czasu na pomoc. Galowie, wyjący niczym zgraja psów, które osaczyły dziką, opadli go ze wszystkich stron. Liciniusz padł pod ciosami mieczów, sztyletów, a nawet toporów. Słabe światło księżyca wystarczyło, aby Kwintus zobaczył strumienie krwi sikające z każdej straszliwej, śmiertelnej rany. Liciniusz opadł na podłogę namiotu bez słowa.

– Dranie! – zawył Kwintus. Za wszelką cenę chciał zemścić się za śmierć przyjaciela, więc od razu rzucił się z powrotem w kierunku dziury w ścianie namiotu.

Czyjeś silne ramiona szarpnęły go do tyłu.

– Nie bądź głupi. On nie żyje. Sami musimy się ratować – warknął Cinciusz. Towarzysze odciągnęli go w ciemność.

Nikt ich nie ścigał.

– Puśćcie mnie!

– Nie będziesz tam wracał? – Calatinusz chciał mieć pewność, że Kwintus nie zrobi niczego głupiego.

– Przysięgam – mruknął z wściekłością Kwintus.

Puścili go. Rozejrzał się wokół oczami szeroko otwartymi z przerażenia. Obozowisko zamieniło się w totalne pandemonium. Niektóre namioty płonęły, oświetlając sceny pełne chaosu i śmierci. Grupy wojowników galijskich biegały we wszystkich kierunkach i uśmiercały zdezorientowanych rzymskich kawalerzystów i nielicznych legionistów, którzy przybywali na ratunek, na wpół odziani, dysząc ciężko, z obłokami pary wokół ust w zimnym nocnym powietrzu.

– To mi nie wygląda na atak z zewnątrz – stwierdził po chwili. – Napastników jest niewielu.

– Niektórzy już uciekają. – Calatinusz zaklął, wskazując najbliższą grupkę Galów.

Kwintus zmrużył oczy, próbując dostrzec więcej szczegółów w migotliwym świetle płomieni.

– Co oni niosą? – Gdy uświadomił sobie, na co patrzy, poczuł, że żołądek znów podchodzi mu do gardła. Kwaśne soki trawienne sprawiły, że zgiął się wpół i wymiotował ledwo strawionym winem.

– Wszawe psy! – zawołał Cinciusz. – To głowy! Naszych, tych, których zamordowali!

Kwintus się wyprostował. Widział teraz jak przez mgłę, bo do oczu napłynęły mu łzy. Skupił wzrok na strużkach krwi na nietkniętym białym śniegu.

Cinciusz i Calatinusz wydali z siebie pełne strachu jęki.

Kwintus szybko się pozbierał.

– Cicho! – syknął.

Ku jego zdziwieniu towarzysze posłuchali go i zamilkli. Spojrzeli na niego niepewnie. Mieli twarze białe ze strachu i czekali, aż przemówi.

Kwintus odsunął od siebie instynktowną myśl, żeby jak najszybciej poszukać ojca. Teraz był odpowiedzialny za życie dwóch mężczyzn. W tej chwili to musiało być dla niego priorytetem.

– Kierujmy się na *intervallum* – powiedział. – Z pewnością to właśnie tam zbiorą się nasi ludzie. W większej grupie łatwiej damy odpór tym suczym synom.

– Ale my jesteśmy boso – stwierdził płaczącym tonem Cinciusz.

Kwintus się żachnął. Jeśli jednak nie pozwoli im przynajmniej założyć *caligae* zdartych z nóg zabitych towarzyszy, podmrażają sobie stopy.

– Dalej! Znajdźcie sobie po *scutum* – rozkazał. Tarcza przyda się w walce.

– A co z koczugą? – Calatinusz przewracał już na plecy martwego legionistę. – Wygląda na to, że ta będzie na mnie pasować.

– Nie, głupcze! Nie mamy na to czasu. Miecze i tarcze muszą wystarczyć – Kwintus drżał z niecierpliwości, czekając, aż jego towarzysze będą gotowi. – Za mną! – Kwintus sadził wielkie susy, wypatrując galijskich wojowników.

Poprowadził ich prosto na *intervallum*, pas otwartej przestrzeni wokół palisady obozu. Zwykle w tym miejscu gromadziły się oddziały przed wyruszeniem na patrol lub do bitwy. Teraz mogli się tam zebrać i przegrupować ci z legionistów, którzy przeżyli tę krwawą zasadzkę. Wielu z nich bowiem wpadło na taki sam pomysł jak Kwintus. Na placu roiło się od setek zdezorientowanych żołnierzy piechoty i spieszonych kawalerzystów. Tylko nieliczni mieli na sobie kompletne wyposażenie, ale większość zdążyła się uzbroić podczas ucieczki z namiotów.

Na szczęście pojawiało się coraz więcej oficerów. Dekurionowie i centurionowie odróżniali się od pozostałych, nawet gdy nie mieli charakterystycznych hełmów. Wykrzykiwali

rozkazy i formowali żołnierzy w regularne linie. Kwintus wraz z towarzyszami dołączyli do najbliższej grupy. W tych okolicznościach nie miało znaczenia, że nie służą w piechocie. Wkrótce centurionom udało się zaprowadzić jakiś ład i utworzono oddziały, które miały przeczesywać obóz. Co szósty żołnierz otrzymał jedną z nielicznych pochodni. Musiały wystarczyć do czasu odparcia ataku.

Żołnierze od razu ruszyli w głąb alejek między namiotami, szukając Galów. Ku ich ogromnej frustracji nie natknęli się na żadnego napastnika, choć wszyscy marzyli o zemstce na ten zdradziecki akt, który przyniósł śmierć wielu ich towarzyszy. Okazało się, że gdy tylko atakujący napotykali bardziej zorganizowany opór zaalarmowanych legionistów, wtedy przeważnie po prostu uciekali. Niemniej poszukiwania kontynuowano, dopóki cały obszar nie został dobrze sprawdzony.

Najgorszym odkryciem były liczne ciała bez głów. Mówiło się, że Galowie lubili zbierać głowy zabitych jako trofea wojenne, ale Kwintus nigdy nie widział tego na własne oczy. Nigdy też jeszcze nie widział tak wiele krwi! Ogromne ciemnoczerwone plamy na śniegu otaczały każde zwłoki, a ślady krwi prowadziły do bram, przez które musieli ująć zdradzieccy Galowie.

– Na Jowisza! Za dnia to miejsce będzie wyglądało jak rzeźnia – powiedział cicho Calatinusz.

– Biedacy – odezwał się Cinciusz. – Większość z nich nie miała żadnych szans na obronę. Myśl o ojcu, który spał w swoim namiocie, znowu wywołała u Kwintusa odruch wymiotny. W żołądku nie zostało mu już jednak nic, co mógłby zwrócić, poza żołąć.

Calatinusz spojrzął na niego zaniepokojony.

– Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest – rzucił Kwintus. Przełykał ślinę, walcząc z nudnościami, ale dokładnie przyglądał się każdemu ciału, które znajdowali. Błagał bogów, żeby w żadnym z nich nie rozpoznał swojego ojca. Na szczęście wśród zabitych nie natknął się na ciało Fabrycjusza. To jednak nie miało żadnego znaczenia, bo przecież oni przeczesywali tylko niewielką część obozu. Będzie miał pewność dopiero, gdy nadejdzie świt.

Centurionowie utrzymywali stan pogotowia przez całą noc. Jedynym kompromisem było umożliwienie tymczasowym centurionom kolejno wypraw do namiotów po odzież i wyposażenie. Żołnierze w pełnym uzbrojeniu czekali potem do świtu, kiedy stało się jasne, że nie będzie już ataków. Wtedy pozwolono im wrócić do swoich jednostek. Operacja oczyszczania obozu miała zająć cały dzień. Kwintus postanowił, że w tym czasie poszuka ojca. Odetchnął z ulgą, gdy zastał go w jego namiocie. Gdy go ujrzał, do oczu napłynęły mu łzy.

– Żyjesz!

– Cieszę się, że cię widzę! – powiedział Fabrycjusz, zachęcając gestem, aby usiadł obok niego. Właśnie zabierał się do śniadania. – Masz ochotę na pajdę chleba?

Kwintus nie potrafił przestać się uśmiechać. Mimo pozornej nonszalancji ojca zdawało mu się, że dostrzegł też w jego oczach błysk ulgi.

– Dziękuję. Umieram z głodu. To była długa noc – odparł.

– To prawda. Przez tych zdradzieckich Cenomanów zginęła ponad setka dobrych żołnierzy.

– Wiecie zatem, kto to zrobił? Galowie?

– A któż by inny? Nie było żadnych śladów sforsowania bramy, a strażnicy na murach niczego nie widzieli.

– To dlatego wczoraj tak się boczyli... – Kwintus nagle zrozumiał zachowanie Galów. Gdy zobaczył zdziwienie malujące się na twarzy ojca, opowiedział mu o swoich obserwacjach.

– To wiele tłumaczy. A teraz pewnie udali się do obozu Kartagińczyków. Bez wątplenia

pokażą Hannibalowi te „trofea”, gdy zaoferują mu swoje usługi – stwierdził gorzko Fabrycjusz. – Na dowód, że nas nienawidzą.

Kwintus usiłował nie myśleć o bezgłowym trupie Liciniusza, na którego natknął się w zniszczonym namiocie.

– Co zrobi Scypion?

– Zgadnij. – Fabrycjusz się skrzywił.

– Znów się wycofamy?

Ojciec skinął głową.

– Dlaczego? – zawołał Kwintus.

– Uważa, że po tej stronie Trebii jest zbyt niebezpiecznie. Po tym, co wydarzyło się ostatniej nocy, trudno się z nim nie zgodzić. – Fabrycjusz zdał sobie sprawę, że Kwintus zaciska pięści ze złości. – Jednak chodzi nie tylko o to. Ukształtowanie terenu na drugim brzegu utrudniałoby ataki kartagińskiej jazdy. Będziemy też blokować drogi, które prowadzą na południe przez Ligurię do ziem Bojów.

Kwintus uznał, że nie ma powodów, by się z tym nie zgadzać. Te argumenty przynajmniej wydawały się rozsądne.

– Kiedy wyruszamy?

– Jeszcze tego popołudnia, gdy zacznie się ściemniać.

Kwintus westchnął ciężko. Sam sposób przeprowadzania odwrotu wydawał mu się tchórzliwy, ale nie mógł zaprzeczyć, że Scypion zachowuje *ostrożność*.

– A potem siedzimy spokojnie? – zgadywał. – Powstrzymujemy i spowalnimy Kartagińczyków?

– Właśnie tak. Semproniusz Longus zmierza do nas najszybciej, jak się da. Jego armia dotrze tu w ciągu miesiąca. – Na twarzy Fabrycjusza zagościł dziki grymas. – Hannibal nigdy nie pokona dwóch armii konsularnych.

Po raz drugi od ataku Cenomanów Kwintus miał powód, aby się uśmiechnąć.

– Tu jesteś! Twoja matka się martwi. Mówiła, że pewnie cię tu znajdę, pani.

Aurelia odwróciła się, słysząc głos Eliry. Iliryjka stała w drzwiach stajni. Od razu poczuła, że zachowuje się infantylnie.

– Czy Gajusz wciąż tu jest?

– Nie, wyjechał. Wydaje się, że jego jednostka ma wkrótce zostać zmobilizowana. Powiedział, że będziesz w jego myślach i modlitwach.

Te słowa sprawiły, że Aurelia poczuła się jeszcze gorzej.

Elira zbliżyła się do niej.

– Słyszałam nowiny – powiedziała cicho. – Wszyscy wiedzą. Wszystkim nam jest przykro.

– Dziękuję. – Aurelia rzuciła jej wdzięczne spojrzenie.

– Kto wie? Równie dobrze twój ojciec, panienko, mógł przeżyć tę potyczkę.

– Nie zaczynaj... – przerwała jej Aurelia.

– Przepraszam – powiedziała szybko Elira.

– Przynajmniej Kwintus ma się dobrze. – Aurelia zmusiła się do uśmiechu.

– I Hanno.

Słyszając to imię wypowiedziane przez Elirę, Aurelia odsunęła od siebie ukłucie zazdrości. Wzmianka o Hanno sprawiła, że od razu pomyślała o Suniatonie. Przez cztery dni nie była u niego z pożywieniem. Pewnie jego zapasy się kończą. Szybko się zdecydowała. Jeśli zobaczy Suniego, poprawi sobie humor. Spojrzała z ukosa na Elirę.

– Lubiłaś Hanno, prawda?

Na policzkach uśmiechającej się Iliryjki pojawiły się dołki.

– Tak – przyznała cicho.

– Czy pomogłabyś mu jeszcze raz?

– Oczywiście – odparła zdziwiona Elira. – Ale on odszedł z Kwintusem.

Aurelia się uśmiechnęła.

– Idź do kuchni i weź trochę jedzenia. Chleb, ser, jakieś mięso. Jeśli Juliusz zacznie zadawać pytania, powiedz mu, że to na wycieczkę do lasu. Weź też kosz.

– A jeśli pani będzie chciała wiedzieć, gdzie się wybieramy?

– Powiedz, że chcemy nazbierać orzechów i grzybów.

Na twarzy Eliry pojawiła się jeszcze większa dezorientacja.

– Jak to ma pomóc Hanno?

– Zobaczysz... – Aurelia klasnęła w dłonie. – No, rusz się! Spotkamy się na ścieżce prowadzącej na wzgórze.

Elira spojrzała jeszcze raz na nią z zaciekawioną, a potem pospieszyła do kuchni.

Aurelia nie czekała długo na Elirę, która pędziła ku niej przez rzadki zagajnik. W jednej ręce trzymała skórzany worek, w drugiej płaszcz, podobny do tego, jaki miała na sobie młoda Rzymianka.

– Czy ktoś pytał, co robisz? – spytała nerwowo Aurelia.

– Juliusz. Ale tylko się uśmiechnął na moje wyjaśnienia. Poprosił, żebyśmy były ostrożne.

– Och! Z niego czasami wychodzi taka stara zrzęda... – Aurelia spuściła wzrok i uświadomiła sobie, że nie ma ani sztyletu, ani procy. *To nie ma znaczenia. Szybko wrócimy.* – Chodź – powiedziała energicznie.

– Gdzie się wybieramy?

– Tam... – odrzekła Aurelia, wskazując niekonkretnie wzniesienia, które zaczynały się zaraz za gospodarstwem. W tej samej chwili zdała sobie sprawę, że nie musi już ukrywać niczego przed Elirą. – Czy wiedziałas, że Hanno miał przyjaciela, którego złapano razem z nim? – Elira skinęła głową. – Nazywa się Suniaton. Został sprzedany jakiemuś trenerowi gladiatorów w Kapui.

– Och... – Iliryjka nie miała odwagi powiedzieć nic więcej, ale smutek w jej głosie mówił więcej niż tysiąc słów.

– Kwintus i Gajusz pomogli mu uciec.

Teraz dziewczyna zaskoczona patrzyła na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Dlaczego?

– Bo Hanno jest przyjacielem Kwintusa.

– Rozumiem. – Elira zmarszczyła brwi. – Czy Suniaton ma coś wspólnego z tym, dokąd się wybieramy?

– Tak. Gdy go znaleźli, okazało się, że jest ranny, więc biedaczyna nie mógł odejść z Hanno. Teraz jest o wiele lepiej, dzięki bogom.

– Gdzie on jest? – Elira spytała zaintrygowana.

– W szałasie pasterza. Tam, gdzie Kwintus i Hanno walczyli wtedy z oprychami.

– Jesteś pełna niespodzianek, pani – wyszeptala Elira, chichocząc.

Aurelia poczuła się trochę lepiej i uśmiechnęła się pod nosem.

Rozprawiając o tym i owym, dotarły do granicy gospodarstwa Fabrycjusza. Otaczające ich pola o tej porze roku były puste i nagie i czekały na wiosnę. Widziały na nich jedynie kawki. Całe stada regularnie przelatywały im nad głowami, a ich charakterystyczny skrzek wwiercał się w chłodne powietrze. Wkrótce weszły w cień lasu, który porastał okoliczne wzgórze. Odgłosy

ptaków natychmiast zostały wygłuszone przez drzewa. Aurelia nie lubiła tego klaustrofobicznego wrażenia, kiedy drzewa pochylały się nad nią, jakby zawłaszczając przestrzeń.

Gdy na ścieżce przed nimi niespodziewanie pojawił się Agesandros, krzyknęła ze strachu. Podobnie jak Elira.

– Nie chciałem cię przestraszyć, panienko – odezwał się apologetycznie. Aurelia starała się uspokoić szalejące serce.

– Co tu robisz?!

Agesandros uniósł trzymany w dłoniach łuk z nałożoną już na cięciwę strzałą.

– Poluję na jelenie. A ty, panienko?

– Szukamy orzechów. I grzybów. – Aurelia czuła, że zrobiło się jej sucho w ustach.

– Rozumiem. Nie powinniście oddalać się za bardzo od gospodarstwa w swoich poszukiwaniach.

– Dlaczego nie? – spytała niewinnie Aurelia, usiłując robić wrażenie pewnej siebie.

– Nigdy nie wiadomo, kogo możecie spotkać. Bandytów. Niedźwiedzia. Zbiegłego niewolnika.

– To mało prawdopodobne – powiedziała odważnie Aurelia.

– Być może. Ale nie macie żadnej broni. Mógłbym wam towarzyszyć... – zaproponował Sycylijczyk.

– Nie! – Aurelia od razu pożałowała swojego wybuchu. – Dziękuję, ale poradzimy sobie same.

– Skoro jesteś pewna, panienko... – powiedział Agesandros, cofając się.

– Jestem. – Kiwnęła głową na Elirę i minęła Agesandrosa.

– Trochę późno na grzyby, nieprawdaż?

– Można jeszcze coś znaleźć, jeśli wie się, gdzie szukać. – Aurelia zwołniała kroku.

Agesandros pokiwał głową.

– Jestem tego pewien...

Oddalając się, Aurelia poczuła dreszcze.

– Czy on wie? – wyszeptła Elira.

– Niby skąd miałby wiedzieć? – syknęła w odpowiedzi.

Tak naprawdę wcale nie była tego taka pewna.

Dni mijały. W końcu stało się jasne, że do żadnej bitwy nie dojdzie. Jak powiedział Fabrycjusz, dowódca nie zdecyduje się świadomie wydać bitwy, jeśli nie może wybrać odpowiadającego mu miejsca i właściwego czasu. Scypion nie zamierzał opuszczać wzniesień, dzięki którym dysponował przewagą. A Hannibal nie próbował bezpośrednich ataków na ufortyfikowaną pozycję. Doszło do impasu. Choć Kartagińczycy mogli swobodnie plądrować równiny na zachód od Trebii, Rzymianie nie oddalali się od obozu. Na tym etapie kampanii w Italii Hannibal miał znaczną przewagę nad kawalerią rzymską. Wysyłanie patroli wiązało się z tak wielkim ryzykiem, że zdecydowano się na to bardzo rzadko. Mimo świadomości trudnej sytuacji armii konsularnej Kwintusowi z trudem przychodziła akceptacja tej wymuszonej bezczynności. Nadal miewał koszmary, w których pojawiały się obrazy umierającego Liciniusza. Miał nadzieję, że walka pomoże oczyścić mu umysł z niepokojących wspomnień.

– Chyba zaczynam wariować – zwierzył się pewnego wieczoru ojcu. – Jak długo mamy jeszcze czekać?

– Nie zrobimy nic, zanim nie dołączy do nas Longus – powtórzył cierpliwie Fabrycjusz. – Gdybyśmy dziś ruszyli na równinę i stanęli do walki, te sukinsyny starłyby nas na proch. Nawet jeśli zapomnisz na chwilę o braku osłaniającej nasze skrzydła jazdy, Hannibal ma nad nami przewagę liczebną w piechocie. Wiesz o tym.

– No tak... – przyznał niechętnie Kwintus.

Fabrycjusz odchylił się do tyłu na krześle, zadowolony, że jego syn potrafi okiełznać emocje i uznać w dyskusji o strategii wyższość logicznych argumentów.

Tymczasem Kwintus wpatrywał się z ponurą miną w płomienie liżące brzegi kosza grzewczego. Jego myśli pofrunęły do Aurelii. Kiedy dotrze do niej list, który niedawno napisał? Jeśli Fortuna okaże się przychylna, może dostanie odpowiedź w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Tak długo musi czekać! Przynajmniej może przebywać i ćwiczyć u boku ojca. Jego siostra nie miała tyle szczęścia. Tęsknił za nią.

– Tutaj jesteście! – jego rozmyślania przerwał znajomy tubalny głos.

– Flakkusie! A gdzie mielibyśmy być? – Fabrycjusz natychmiast się uśmiechnął, jakby ucieszył się na widok nobila.

Kwintus zerwał się z miejsca i zasalutował. *Czego on chce?* Od czasu klęski nad rzeką Ticinus prawie nie widzieli narzeczonego Aurelii. Wszyscy dobrze wiedzieli, że powodem tego stanu rzeczy było jego zachowanie podczas tej katastrofalnej w skutkach potyczki. *Trudno pozbyć się podejrzeń, gdy takowe zaczynają kiełkować w sercach.* Kwintus nie potrafił teraz wyzbyć się nieufności w stosunku do przyszedłego szwagra. I wiedział, że jego ojciec również traktuje go z dużą podejrzliwością.

– No cóż... co racja, to racja. Któż chciałby wychodzić w taką pogodę, jeśli nie musi pełnić warty. Tylko szaleńcy. – Zadowolony z własnego żartu Flakkus wręczył Fabrycjuszowi małą amforę.

– Miło z twojej strony – odezwał się niepewnie Fabrycjusz, przyjmując dar. – Masz ochotę skosztować?

– Tylko jeśli zechcesz wypić ze mną.

Fabrycjusz wprawnie otworzył amforę.

– Kwintusie?

– Tak, chętnie.

Szybko znalazły się trzy szklane kubki.

Gdy zostały napełnione, mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, zastanawiając się, który z nich powinien wznieść toast. W końcu pierwszy odezwał się Fabrycjusz:

– Za szybkie przybycie Semproniusza Longusa i jego armii.

– I za szybkie zwycięstwo nad Kartagińczykami po jego przybyciu – dodał Flakkus.

Kwintus pomyślał o Licyniuszu.

– Za pomszczenie naszych poległych towarzyszy.

Fabrycjusz pokiwał głową i uniósł kubek jeszcze wyżej.

– To się nazywa wysokie morale! – Flakkus się rozpromienił. – Właśnie to chciałem usłyszeć. – Mrugnął porozumiewawczo. – Właśnie wracam ze spotkania u Scypiona.

Fabrycjusz taksował go pytającym wzrokiem.

– Czego dotyczyło?

– Wysłania patrolu.

– Że jak? – Fabrycjuszowi jakoś trudno było w to uwierzyć.

– Nikt nawet nie próbował przekroczyć rzeki od ponad tygodnia.

– To dlatego, że taka wyprawa jest obecnie zbyt niebezpieczna – wyjaśnił spokojnie Fabrycjusz. – Wróg pilnuje całego brzegu.

– Posłuchajcie mnie... – zaczął przymilnym tonem Flakkus. – Kiedy przybędzie Longus, będzie potrzebował świeżych informacji wywiadowczych dotyczących terenu na zachód od Trebii. Przecież to właśnie tam staniemy do bitwy.

– Dlaczego nie mielibyśmy po prostu poczekać na jego przybycie? – zapytał rezolutnie



Fabrycjusz. – Jego zwiadowcy łatwo wykonają to zadanie.

– Musimy to zrobić teraz – przekonywał Flakkus. – Jeśli dostarczymy konsulowi wszystkich danych, których potrzebuje, będzie mógł podjąć błyskawiczne działania. Pomyślcie tylko o tym, jak dobrze wpłynie to na morale żołnierzy, gdy wrócimy bezpiecznie!

– My? Ty też chcesz wybrać się za rzekę? – ważył ostrożnie słowa Fabrycjusz.

– Oczywiście.

Nie po raz pierwszy Fabrycjusz zaczął się zastanawiać, czy zaręczyny Aurelii z Flakkusem to był dobry pomysł. Z drugiej jednak strony, jak tchórz może sam domagać się udziału w tak szalonym przedsięwzięciu?

– No nie wiem... – mruknął. – To będzie niezwykle ryzykowne.

– Niekoniecznie – zaprotestował Flakkus. – Obserwowałem Kartagińczyków z naszej strony rzeki. Przed *hora decima* każdego popołudnia ostatni patrol zawsze zniknął. Zwiadowcy wracali dopiero najwcześniej o *hora quarta* następnego dnia rano. Gdybyśmy przeprawili się przez rzekę w nocy i zaczęli zwiady przed świtem, mielibyśmy około dwóch godzin na rozpoznanie okolicy. Wrócimy, zanim Numidyjczycy skończą się iskać.

Kwintus nie mógł opanować śmiechu.

Fabrycjusz jednak krzywił się na myśl o tak wielkim ryzyku.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Scypion wyraził już zgodę. Nie znam nikogo lepszego od ciebie, komu można by powierzyć dowodzenie oddziałem zwiadu. Scypion zatwierdził twoją osobę. No, dalej! Co powiesz?

*Niech cię szlag! To właśnie powiem!* – pomyślał Fabrycjusz. Wiedział, że Flakkus go przechytrył. Odrzucenie tej propozycji mogło być postrzegane jako afront wymierzony w samego Scypiona, co nie było mądrym krokiem. Wściekły Fabrycjusz zmienił zdanie.

– To może być tylko mały oddział. Nie więcej niż jedna turma – powiedział. – Ja i tylko ja dowodzę. Możesz się z nami zabrać, ale tylko jako obserwator.

Flakkus nie protestował.

– Twój ojciec jest doskonałym wzorem dla każdego rzymskiego oficera – zwrócił się do Kwintusa – Odważny, rzutki i gotowy wypełnić każdy rozkaz.

– Ja też idę – powiedział Kwintus.

– Nie, nie idziesz – burknął jego ojciec. – To będzie zbyt niebezpieczna misja.

– To nie jest w porządku! Robiłeś takie rzeczy, gdy byłeś w moim wieku. Sam mi to mówiłeś! – nie zamierzał odpuścić Kwintus.

Flakkus odezwał się, zanim Fabrycjusz zdążył zareagować.

– Jak możemy pozbawić Kwintusa takiej okazji na zdobycie cennego doświadczenia? I pomyśl o chwale, która stanie się udziałem ludzi, którzy dostarczą Longusowi informacji pozwalających mu pokonać Hannibala!

Fabrycjusz spojrział na syna i widząc jego zapał, westchnął ciężko.

– Niech będzie...

– Dziękuję, ojczu – odpowiedział Kwintus, szeroko się uśmiechając.

Fabrycjusz w głębi duszy czuł strach. *To będzie jak spacerowanie przed głodnymi lwami i liczenie na to, że żaden nas nie wyczuje.* Teraz jednak już nie mógł się wycofać.

Dał słowo, że poprowadzi ten zwiad.

## Rozdział XXI



Któregoś ranka, niedługo po tym, gdy Kartagińczycy przepędzili Rzymian na drugi brzeg Trebii, Malchus został wezwany do namiotu Hannibala. Chociaż miał już wiele okazji do tego, aby przyzwyczaić się do obecności w pobliżu wodza, zawsze czuł dreszczyk emocji, gdy przybywał po nowe rozkazy. Czekał tyle lat, bo jak dotąd zemsta znajdowała się tylko w sferze marzeń. To dzięki tak wielkiemu człowiekowi, jak Hannibal Barkas pojawiła się szansa odpłacenia Rzymowi za wszystkie krzywdy.

Gdy Malchus wszedł do namiotu wodza, zamyślony Hannibal ledwo podniósł wzrok, by go powitać. Jak zwykle pochylał się nad mapą kampanii. Obok stał Maharbal, dowódca jazdy, który cichym głosem zdawał raport z sytuacji. Skorego do śmiechu, szczupłego Maharbala, mężczyznę o długich, kręconych czarnych włosach, lubili i szanowali nie tylko prości żołnierze, ale i kadra oficerska.

Malchus zatrzymał się kilka kroków od stołu. Stał na baczność.

– Na rozkaz, panie!

Hannibal się wyprostował.

– Witaj, Malchusie.

– Wzywałeś mnie, panie?

– Owszem. – Wciąż zamyślony Hannibal pocierał palcami usta. – Chciałem cię o coś zapytać.

– Do usług, panie.

– Razem z Maharbałem wpadliśmy na pewien pomysł. Chodzi o niewielką zasadzkę.

– Zamieniam się w słuch, panie – odpowiedział Malchus ochoczo.

– Liczymy na to, że Rzymianie wyślą ludzi na zwiad za rzekę. Maharbal oddelegował oddział jazdy, który ma stanąć im na drodze, ale chcę wesprzeć ich piechotą. Mają zasadzić się nad głównym brodem i uniemożliwić niedobitkom powrót na drugą stronę.

Malchus uśmiechnął się zawadiacko.

– Będę zaszczycony, panie.

– Nie myślałem o tobie... – Dostrzegłszy zawód na twarzy Malchusa, Hannibal wyjaśnił.

– Nie zamierzam wysłać jednego z moich najbardziej doświadczonych oficerów po to, żeby dowodził tak niewielkimi siłami. Myślałem raczej o twoich synach, Bostarze i Sapho.

Malchus próbował nie okazać rozczarowania.

– Obaj świetnie nadają się do tego zadania, panie. Jestem też pewien, że ucieszy ich ten rozkaz.

Hannibal się zamyślił.

– I tu przechodzimy do mojego pytania. A co z twoim trzecim synem?

Malchus mrugnął zaskoczony.

– Hanno?

– Czy jest przygotowany do walki?

– Wysłałem go na szkolenie zaraz, gdy tylko pojawił się w obozie, panie. Jako że nie jesteśmy w Kartaginie, zajęcia są trochę improwizowane, ale dobrze sobie radzi. – Malchus się zawahał. – Sądzę, że jest gotów do promocji oficerskiej.

– Dobrze. Bardzo dobrze. Czy mógłby poprowadzić falangę?

Malchus zrobił wielkie oczy.

– Mówisz poważnie, panie?

– Nie mam charakteru żartownisia, Malchusie. Przeprowa przez góry została okupiona utratą wielu doświadczonych oficerów. Wiele oddziałów nie ma dowódców.

– Oczywiście, panie. Rozumiem. – Malchus zbierał myśli. – Gdybyś zadał mi to pytanie, panie, zanim Hanno został porwany, miałbym poważne zastrzeżenia.

– Dlaczego? – Hannibal wpatrywał się w Malchusa niczym jastrzęb w swoją ofiarę.

– Był... nicponiem, panie. Interesowało go głównie łowienie ryb i dziewczęta.

– To nie jest żadne przestępstwo, prawda? – Hannibal zaśmiał się cicho. – Myślałem, że wtedy był za młody, aby służyć w wojsku.

– To też prawda, panie – przyznał Malchus. – Prawdę mówiąc, świetnie radził sobie na lekcjach z taktyki. Ma też wyjątkowy talent do polowań.

– To wartościowe cechy. Jak rozumiem, zmieniłeś o nim zdanie, gdy się odnalazł?

– Tak, panie – odparł Malchus pewnie. – To inny chłopak. To, co przeżył i czego doświadczył, mogłoby złamać wielu ludzi. Ale nie Hanno. Teraz jest prawdziwym mężczyzną.

– Jesteś pewien?

– Tak, panie. – Malchus nie spuścił oczu, wpatrując się odważnie w Hannibala.

– W porządku. Wróć do mnie ze wszystkim synami za godzinę. To na razie tyle. – Hannibal obrócił się w stronę Maharbala.

– Dziękuję, panie. – Malchus zasalutował, zrobił w tył zwrot i odmaszerował z uśmiechem na ustach.

Hanno nie bardzo wiedział, jak zareagować, gdy ojciec przyniósł mu rozkaz Hannibala.

– Czego może chcieć od młodszego oficera, takiego jak ja?

– Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie – odparł wymijająco Malchus.

Żołądek Hanno skręcił się w węzeł.

– Czy Sapho i Bostar też zostali wezwani?

– Tak.

Ta wiadomość wcale nie zadziałała na Hanno uspokajająco. *Czy coś przeskrobałem?*

– Zostawiam cię teraz. Ale za pół godziny zameldujesz się pod namiotem Hannibala.

– Dobrze, ojczu.

Bijąc się z myślami, Hanno zaczął polerować nowy hełm i napierśnik. Przerwał dopiero wtedy, gdy poczuł ból w mięśniach. Potem zabrał się do smarowania rzemieni sandałów. Gdy już lśniły, pośpieszył do namiotu ojca, gdzie wisiało duże lustro z brązu. Na szczęście Malchusa już nie było. Przyjrzał się swojemu odbiciu, szukając niedociągnięć.

– Musi wystarczyć – mruknął.

Maszerując do namiotu Hannibala, Hanno cieszył się, że żaden z żołnierzy, których mijał, nie zwrócił na niego uwagi. Sytuacja zmieniła się dopiero wówczas, gdy stanął przy posterunku *scutarii* przed wielkim pawilonem wodza.

– Imię, stopień i powód przybycia! – Oficer dowodzący wartownikami nie bawił się w wymianę uprzejmości.

– Hanno, młodszy oficer falangi libijskiej, panie. Zostałem wezwany przez generała. – Hanno zamrugał, spodziewając się wręcz, że oficer powie mu, że to jakaś pomyłka i ma nie zwracać mu głowy.

Nic takiego się nie stało. Mężczyzna skinął głową z powagą.

– Jesteś oczekiwany. Chodź za mną.

Chwilę później Hanno wkroczył do dużego pomieszczenia z nielicznymi sprzętami. Poza biurkiem i kilkoma krzesłami ze skórzanymi oparciami zauważył tylko stojak na broń. Hannibala otaczali wyżsi dowódcy. Wśród nich znajdowali się również jego ojciec i bracia.

– Panie! Przybył Hanno, młodszy oficer libijskich włóczników! – ryknął oficer.

Hanno zaczerwienił się po czubki włosów.

Hannibal odwrócił się do niego z szerokim uśmiechem.

– Witaj.

– Na rozkaz, panie.

– Wszyscy zapewne słyszeliście o zaginionym najmłodszym synu Malchusa? No cóż, oto on!

Hanno prężył się zakłopotany, podczas gdy starsi oficerowie przyglądali mu się uważnie. Widział, że Bostar uśmiecha się do niego. Delikatny uśmiech przemknął również po ustach jego ojca. Sapho natomiast wyglądał, jakby połknął osę. Hanno rozżłościł się nie na żarty. *Czemu on się tak zachowuje?*

Hannibal zmierzył kolejno wzrokiem każdego z braci.

– Pewnie zastanawiacie się, dlaczego was wezwałem?

– Tak, panie – odpowiedzieli chórem.

– Za chwilę przejdę do konkretów. Ale najpierw... – Hannibal spojrzał na Hanno. – Bez wątpienia słyszałeś o poważnych stratach, jakie ponieśliśmy podczas pokonywania alpejskich przełęczy?

– Oczywiście, panie.

– Straciliśmy nie tylko wielu prostych żołnierzy, ale i licznych oficerów.

– Rozumiem, panie. – *Do czego on zmierza?*

Generał uśmiechnął się, zauważając jego niepewne spojrzenie.

– Powierzam ci dowodzenie falangą.

– Panie? – Hanno nie posiadał się ze zdziwienia.

– Dobrze słyszysz. To ogromny skok przez kilka szczebli hierarchii wojskowej. Zdaję sobie z tego sprawę, ale twój ojciec zapewnia, że stałeś się mężczyzną i zasługujesz na ten awans.

– Ja... – Hanno spojrzał na Malchusa, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Hannibala.

– Dziękuję, panie.

– Jak wiesz, falanga powinna składać się z czterystu ludzi, ale w twojej jest zaledwie dwieście. Jest to jedna z najsłabszych jednostek, ale ci żołnierze są weteranami i nie powinni cię zawieść. Pamiętam o twoich nadzwyczajnych doświadczeniach i mam wobec ciebie wielkie oczekiwania.

– Dziękuję, panie – powiedział Hanno, świadomy ogromnej odpowiedzialności, jaką właśnie na niego nałożono. – Jestem naprawdę zaszczycony.

Bostar mrugnął do niego porozumiewawczo, ale Hanno, poirytowany, znów stwierdził, że Sapho zaciska usta.

– Dobrze! A teraz pora na wyjaśnienie, dlaczego zostaliście wezwani. Jak zapewne wiecie, od czasu ucieczki Rzymian na drugi brzeg Trebii działo się niewiele. Nie widzę też

wielkich szans na to, aby sytuacja w najbliższym czasie miała się zmienić. Oni wiedzą, że nasza jazda dysponuje znaczną przewagą nad ich kawalerią, podobnie zresztą jak piechota. Z naszego punktu widzenia nie ma uzasadnienia dla atakowania Rzymian w ufortyfikowanym obozie. Na tak pofałdowanym terenie stracilibyśmy wszelkie atuty, jakie daje nam jazda. Rzymianie też o tym wiedzą, dlatego te kundle siedzą za palisadą, zadowolając się blokowaniem drogi prowadzącej na południe i wypatrywaniem posiłków. Nie mamy innego wyjścia, jak poczekać, aż wzmocnieni drugą armią konsularną uznają, że mogą stawić nam czoła. Nie podoba mi się jednak, że mamy tu siedzieć beczynnie. Maharbalu? Twoja kolej.

– Dziękuję, panie – powiedział dowódca kawalerii. – Aby zachęcić wroga do wysłania oddziałów nad rzekę, od jakiegoś czasu świadomie sprawiamy wrażenie, że nasi zwiadowcy zachowują dość luźną dyscyplinę. Chcecie wiedzieć, jak to wygląda?

– Tak, panie – odparli bracia *unisono*.

– Czujki nie pokazują się po naszej stronie Trebii przed południem, a znikają na dobre przed zmrokiem. Rozumiecie?

– Chodzi o to, aby sprowokować ich do wysłania patrolu w nocy, panie? – zapytał Bostar. Maharbal się uśmiechnął.

Hanno poczuł rosnące napięcie. Nie był jednak na tyle pewny siebie, aby zadawać pytania. Sapho zrobił to za niego.

– I co dalej, panie?

Hannibal przejął inicjatywę.

– Maharbal rozkazał, aby pięciuset Numidów ukryło się w lesie około mili od głównego brodu nad rzeką. Jeśli Rzymianie chwycą przynętę i wyślą patrol, będą musieli przejechać obok naszych ludzi. Niewielu z nich ujdzie pogoni, gdy Numidyjczycy spadną na nich z zaskoczenia, ale jakiejś grupie może się to udać. I tu dochodzimy do roli waszych falang.

Hanno spojrział na Bostara i Sapho, którzy wyszczerzyli zęby w uśmiechu.

– Chcę niedaleko brodu rozmieścić większy oddział piechoty. Jeśli Rzymianie przejdą przez rzekę, nie będziecie im przeszkadzać, ale kiedy zaczną się wycofywać... – Hannibal zacisnęła pięść. – Macie ich wyciąć w pień! Czy to jasne?

Hanno ponownie zerknął na braci, którzy energicznie kiwali głowami.

– Tak jest, panie! – zawołali razem.

– Doskonale! – Hannibal zmierzył ich twardym wzrokiem. – *Nie zawiedźcie mnie.*

Następnego dnia wkrótce po zapadnięciu zmroku Hanno i jego bracia wyprowadzili swoje falangi z obozu. Żołnierze nieśli nie tylko namioty i koce, ale także zapasy pożywienia na trzy doby. Ku wielkiej radości Hanno oddziałem Numidów mających eskortować ich na miejsce dowodził nie kto inny jak Zamar, oficer, który natknął się na niego nad Padem. Falangi pomaszerowały w ciszy na wschód, podążając wąskimi ścieżkami i rzadko używanymi traktami. Gdy tylko usłyszeli szum wody, Zamar skierował ich do ukrytej, zadrzewionej dolinki, która znajdowała się kilkaset kroków od brodu na Trebii. To była doskonała kryjówka, wystarczająco przestronna, aby mogły się w niej ukryć trzy falangi, a przy tym stosunkowo blisko jedynego miejsca w okolicy, gdzie można było przekroczyć rzekę.

– Zostawiam wam sześciu jeźdźców, których możecie wykorzystać jako posłańców. Wyślijcie ich do nas, gdy tylko zobaczycie wroga – wydał instrukcje Zamar, zanim odjechał. – I pamiętajcie, kiedy przybędą Rzymianie, żaden nie może wyjść żywy z pułapki.

– Nie musisz nam tego przypominać – warknął Sapho.

Choć Bostar nie odezwał się ani słowem, Hanno dostrzegł niechętny grymas na jego twarzy. Poczekał, aż Zamar oddali się, a potem zwrócił się do swoich braci.

– Co tu się właściwie dzieje?

– A o co ci chodzi? – spytał Sapho z niewinną miną.  
– Ciągłe zachowujecie się jak dwa koty wrzucone do tego samego worka. Chciałbym wiedzieć dlaczego?

Bostar i Sapho spojrzeli na siebie chmurnie.

Hanno czekał cierpliwie. Cisza się przedłużała.

– To naprawdę nie twoja sprawa – odezwał się w końcu Bostar.

Hanno zrobił się czerwony ze złości. Zerknął na Sapho, który oblekł twarz w zimną maskę, i uznał, że powinien zrezygnować z dalszych dociekań.

– Pójdę do swoich ludzi – mruknął i zostawił braci samych sobie.

Przez resztę nocy na próżno czekali na pojawienie się Rzymian. O świcie wszystkim zaczęły doskwierać chłód i wilgoć. Nie mogli ryzykować i rozpaść ognisk, aby nie zdradzić swojej pozycji. Choć nie padał śnieg, zimowe noce były wystarczająco mroźne, a bliskość rzeki sprawiała, że wszystko wokół pokrywała szadź. Rozkazy były jasne. Nawet w ciągu dnia żołnierze nie mieli wychodzić poza linię drzew. Wyjątkiem była oczywiście garstka zwiadowców z poczerwionymi twarzami, którzy ukrywali się wśród kęp drzew nad brzegiem rzeki. Żołnierze musieli utrzymywać gotowość bojową, nawet gdy szli za potrzebą. Niektórzy znajdowali dość energii, aby zagrać w kości, ale większość interesowała jedynie zimne racje żywnościowe lub odrabianie zaległości w spaniu. Nadal porzytywany zachowaniem braci Hanno wykorzystał ten czas na rozmowy z włócznikami, chcąc lepiej poznać swoich ludzi. Po ich powściągliwych reakcjach zdał sobie sprawę, że jego wysiłki są płonne i takie pozostaną dopóty, dopóki nie poprowadzi ich do walki, ale wydawało mu się to lepsze niż nicnierobienie.

Dzień minął bez nieoczekiwanych zdarzeń.

W nocy Hanno przejął dowodzenie czujkami, które rozlokowano po obu stronach brodu. Spędził ten czas, kręcąc się w pobliżu brzegu i wypatrując jakiegokolwiek aktywności wroga. Nad rzeką unosiła się delikatna mgiełka. Miriady gwiazd na niebie dawały dość światła, aby zapewniać dobrą widoczność, jednak godziny wlokły się niemiłosiernie. Nic się nie działo. Świt zbliżał się wielkimi krokami, a Hanno czuł coraz większe znużenie i irytację.

– Gdzie są te sukinsyny? – mruknął pod nosem.

– Pewnie wylegują się w łózkach. – Zaskoczony Hanno aż podskoczył. Odwrócił się i w słabym świetle rozpoznał Bostara. – Na Tanit! Przestraszyłeś mnie. Co tu robisz?

– Nie mogłem zasnąć.

– Tak czy inaczej, lepiej leżeć pod kocem. Przynajmniej byłoby ci o wiele cieplej niż tu.

Bostar przykucnął obok Hanno z ciężkim westchnieniem.

– Szczerze mówiąc, chciałem przeprosić cię za to, że wczoraj byłeś świadkiem mojej zwady z Sapho. Nie chciałbym mieszać cię do naszych scysji.

– W porządku. Nie powinienem wtykać nosa w nie swoje sprawy.

– To właściwie ciągnie się od ponad roku – wyznał Bostar chwilę później.

Hanno cieszył się wszechobecną ciemnością, która ukryła wyraz zdziwienia w jego oczach.

– Ale o co chodzi? Typowe dla Sapho pompatyczne i apodyktyczne zachowania?

Bostar błysnął zębami w mroku, ale w jego głosie wyczuwało się smutek.

– Chciałbym, żeby to było takie proste.

– Nie rozumiem.

– Wszystko zaczęło się po twoim zniknięciu. Sapho obwinał mnie za to, że pozwoliłem wam odejść.

– Przecież zgodziliście się wtedy obaj!

– Sapho ma na ten temat inne zdanie. Nie wyjaśniliśmy sobie tego do końca, a potem

zostałem wysłany do Iberii. On przybył z ojcem do Nowej Kartaginy dopiero kilka miesięcy później. Nasz konflikt przybrał wtedy na sile.

– Dlaczego?

– Oni wiedzieli już, co się stało z tobą i Sunim. Sapho się wściekł. Znow zaczął mnie obwiniać.

– Chodzi ci o piratów? – W tej chwili Hanno przypomniał sobie uwagę Sapho w dniu, w którym wrócił, a także obietnicę ojca, że wszystko wyjaśni mu później.

– Zapomniałem o tym.

– Tyle się działo. Liczyło się tylko to, że do nas wróciłeś.

– Ale teraz mamy mnóstwo czasu. Powiedz mi!

– Kilka tygodni po tym, jak zniknąłeś, ojciec dostał cynk od jednego ze swoich szpiegów, że w porcie pojawili się podejrzani ludzie. Ojciec z Sapho złapał wtedy czterech z nich. Wzięli ich na tortury. Przepytywani przyznali się, że sprzedali was na targu niewolników w Italii.

– Pamiętasz, jak się nazywali?

– Nie, przepraszam – powiedział Bostar. – Ich przywódcą był jakiś Egipcjanin.

– To by się zgadzało! – Hanno zadrżał na samo wspomnienie o tym. – Co się z nimi stało?

– Najpierw zostali wykastrowani. A potem żołnierze połamali im wszystkie kości w rękach i nogach. Skończyli na krzyżu – odpowiedział Bostar beznamiętnie.

Hanno przez chwilę wyobrażał sobie te straszne sceny.

– Nie najlepsza śmierć... – przyznał.

– Nie.

– Ale zasłużyli sobie na to – stwierdził surowo Hanno. – Przez tych sukinsynów mogliśmy trafić na arenę i tam zginąć ku uciesze tłumów.

– Wiem – westchnął ciężko Bostar. – W każdym razie to, co stało się z piratami, w jakiś sposób zmieniło Sapho. Od tego czasu stał się o wiele trudniejszy w kontaktach. Bardziej okrutny. Sam widziałeś, jak zareagował na to, co powiedział Zamar. Wiem, że mamy zabić wszystkich Rzymian, którzy przekroczą rzekę. Rozkaz to rozkaz. Ale Sapho zdaje się czerpać z tego przyjemność.

– No cóż, trudno uznać go za człowieka gołębiego serca, ale to chyba jeszcze nie koniec świata? – spytał Hanno, usiłując jakoś pozytywnie zinterpretować słowa brata.

– To nie wszystko – mruknął Bostar. – Uważa, że zrobię wszystko, aby zyskać przychylność Hannibala.

Bostar opowiedział w skrócie, jak uratował od śmierci generała pod Saguntum, a kończąc opowieść, stwierdził:

– Gdybyś tylko widział wyraz twarzy Sapho, kiedy Hannibal mi dziękował! To było tak, jakbym uratował życie Hannibalowi, żeby on wypadł źle.

– Ależ to szaleństwo! Jesteś pewien, że o to mu chodziło?

– O, tak! Od tego czasu przy każdej okazji nazywa mnie pieprzonym doskonałym oficerem.

Hanno przez chwilę rozważał słowa Bostara w milczeniu.

– Na pewno chodzi o coś więcej. Zawsze są dwie strony medalu.

– Tak, ja też powiedziałem mu kilka nieprzyjemnych słów. – Bostar westchnął. – Tylko że za każdym razem, gdy próbuję się z nim pogodzić, Sapho reaguje bardzo impulsywnie, niwecząc wszelkie moje wysiłki. Ostatnim razem, gdy próbowałem... – Wahał się przez chwilę, a potem potrząsnął głową. – Dałem już sobie z tym spokój.

– Czemu? Co się stało?

– Nie powiem ci. Nie mogę. – Odwrócił głowę, nagle bardziej zainteresowany nurtem rzeki.

Hanno wystarczająco zmartwiony tym, czego już się dowiedział, nie naciskał na brata. Próbował spojrzeć na te zawikłane stosunki między nimi z innej, bardziej optymistycznej strony. Może mógłby podjąć się roli mediatora? Przywołał z pamięci obraz świata, kiedy Kartagina żyła w pokoju. Wyobraził sobie, że razem z braćmi uczestniczy w polowaniu w górach na południe od miasta.

W pewnym momencie Bostar szturchnął go mocno łokciem.

– Pssst! Słyszysz to?

Natychmiast wrócił do rzeczywistości. Pochylił się, wyżej słuch. Długo nie słyszał żadnego podejrzanego odgłosu. I wtedy... To było to! Pobrzękiwanie uprzęży. Od razu wyostrzyły się wszystkie jego zmysły.

– Dźwięk dochodził z drugiego brzegu rzeki – mruknął.

– To prawda! – Bostar nie ukrywał ekscytacji. – Hannibal miał rację. Rzymianie zdecydowali się przeprowadzić rozpoznanie.

Patrzyli w odległy brzeg jak wilki, które wypatrują zdobyczy. Chwilę później ich cierpliwość została nagrodzona. Teraz już wyraźnie słyszeli dźwięki wydawane przez konie i ludzi poruszających się z największą ostrożnością.

Hanno czuł w żyłach buzującą adrenalinę.

– To muszą być Rzymianie!

– Albo jacyś ich galijscy sojusznicy.

Nie musieli długo czekać, aby na odległym brzegu ich oczom ukazał się długi rząd jeźdźców, wijący się teraz na ścieżce prowadzącej do brodu.

– Ilu ich jest? – Bostar wciągnął powietrze.

Hanno zmrużył oczy. Byli za daleko i nie mogli policzyć dokładnie.

– Nie więcej niż pięćdziesięciu. Prawdopodobnie mniej. To tylko patrol zwiadowczy.

Już na brzegu jeźdźcy utworzyli krąg.

– Pewnie wysłuchują ostatnich rozkazów – powiedział Hanno.

Chwilę później pierwszy mężczyzna w pełnej ciszy wprowadził swojego konia do lodowatej rzeki. Zwierzę zarżało łagodnie, jakby sprzeciwiając się takiemu traktowaniu, ale kilka spokojnych słów wypowiedzianych mu do ucha spowodowało, że wierzchowiec pokonał cały nurt bez protestów. Kolejni jeźdźcy od razu poszli w ślady pierwszego.

Bostar poderwał się z ziemi i wyprostował.

– Czas ruszać. Idź i powiedz Sapho, co się dzieje. Musimy natychmiast zawiadomić Numidów. Jasne?

– Tak. Co zamierzasz zrobić?

– Pójdę wzdłuż brzegu do następnej czujki, a przy okazji będę miał na nich oko, dopóki się nie oddalą. Musimy mieć pewność, że za nimi nie pojawiają się inne oddziały.

– Racja. Do zobaczenia wkrótce.

Hanno cofał się ostrożnie, dopóki nie uznał, że drzewa dają mu wystarczającą osłonę. Uważnie patrząc, gdzie stawia stopy, pędził po stwardniałej od mrozu ziemi prosto do dolinki. Sapho znalazł przed jego namiotem. Szybko opowiedział mu, co widzieli.

– Doskonale! – Jego brat wykrzywił usta w dzikim uśmiechu. – Niedługo po włóczykach twoich ludzi spłynie krew. Może nawet będziesz miał okazję zabić swojego pierwszego wroga. To dla ciebie szczególna chwila. – Hanno skinął nerwowo głową. *Czy ta żądza krwi w głosie Sapho jest prawdziwa, czy tylko ją sobie wyobrażam?* – No, to się ruszaj! To nie czas, żeby się lenić. Zbierz swoich ludzi. Wyślę kilku Numidów z wiadomością, a potem zajmę się swoją



falangą. Bostar pewnie zrobi to samo. Musi się tylko łaskawie pojawić.

Hanno zmarszczył brwi.

– Nie ma potrzeby tak żartować. Zaraz tu będzie.

– Oczywiście! – Sapho się roześmiała. – A teraz się zbieraj. Będziemy musieli zająć pozycje, gdy tylko Rzymianie znikną nam z oczu.

Nie pozostało mu nic innego, jak zakasać rękawy i zająć się swoimi sprawami. Nie rozumiał przyczyn waśni swoich braci, ale jedno było pewne: Sapho nadal lubił mówić mu, co ma robić. Rozdrażniony zarządził zbiórkę oddziału. Gdy usłyszał, że jeden z jego ludzi marudzi, niemal zmieszał go z błotem. Ten sposób utrzymania dyscypliny wydawał się sprawdzać, bo niebawem jego ludzie stali w równych szeregach tuż obok falangi Sapho.

Wkrótce potem na tle ciemnej plamy drzew od strony rzeki pojawiła się szara sylwetka.

– Odeszli – oświadczył Bostar. Zaraz zagwizdał na trzech pozostałych Numidów. – Ruszajcie natychmiast. Śledźcie te psy, ale z daleka. Wróćcie do nas, gdy zobaczycie, że pułapka się udała.

Po zdawkowym salucie jeźdźcy spięli konie i popędzili w mrok kłusem.

Bostar podszedł do braci.

– Nie siedzieliśmy tu na próżno – stwierdził z uśmiechem.

– Wreszcie! – powiedział Sapho, jakby go nie usłyszał. – Czekaliśmy na ciebie.

*Dlaczego on się tak czepia?* – zastanawiał się Hanno.

Bostar zacisnął zęby tak, że mięśnie szczęki zaczęły mu wyraźnie drżeć, ale nic nie odpowiedział. Na szczęście jego żołnierze zauważyli, że ich towarzysze gotują się do wymarszu i nie chcieli zostać w tyle. Gdy schodzili się ostatni wojownicy, bracia się naradzali.

– Jak to zrobimy? – spytał Hanno.

– To oczywiste – odezwał się buńczucznie Sapho. – Falangi powinny utworzyć trzy boki kwadratu. Czwartą zamkną Numidyjczycy, którzy zagnają Rzymian do pułapki. Nie będą mogli z niej uciec. Musimy tylko zdecydować, jak rozmieścić nasze falangi.

Przez chwilę panowała cisza. Wszyscy trzej już wielokrotnie badali ukształtowanie terenu. Na lewej flance mieli gęsty dębowy las, a po prawej stronie ciągnęły się podmokłe łąki przechodzące w bagno. Było niewielkie prawdopodobieństwo, że uciekający skierują się w bok, jeśli będą mieli wybór. Dlatego najważniejsze stało się odpowiednie zabezpieczenie szlaku prowadzącego do brodu. To właśnie tu rozstrzygną się losy nieprzyjacielskiego patrolu.

Jako najmłodszy i najmniej doświadczony dowódca falangi Hanno gotów był zająć pozycję na każdej flance.

– Biorę centrum – odezwał się nagle Bostar.

– Typowe... – mruknął Sapho. – Ja też chcę ustawić się na środku. A ty już nie przewyższasz mnie stopniem. Pamiętasz?

Bracia patrzyli na siebie wilkiem.

– To niedorzeczne – odezwał się gniewnie Hanno. – Nie ma znaczenia, który z was będzie stał na wprost brodu. – Żaden z braci nie odpowiedział. – To może rzucicie monetą? – Wciąż nikt nie odpowiadał. – Na Melkarta w niebiosach! – zawołał Hanno. – To w takim razie ja stanę w centrum.

– Nie ma mowy – warknął Sapho. – Nie masz żadnego doświadczenia bojowego.

– Racja – dodał Bostar.

– Muszę gdzieś zacząć je zdobywać. Dlaczego nie teraz? Chyba lepiej tu niż podczas walnej bitwy?

Bostar nie spuszczał oka z Sapho.

– Nie możemy tak stać i kłócić się cały dzień – powiedział pojednawczym tonem.

– Hanno trudno będzie to spieprzyć. – Sapho wzruszył ramionami.

Upokorzony Hanno zwiesił głowę.

– Takie mówienie nie jest konieczne – zachnął się Bostar. – Ojciec dobrze go wyszkolił. Sam Hannibal powierzył mu falangę. Jego ludzie są weteranami wielu bitew. Szanse na to, że coś pójdzie nie tak, są takie same, jak gdybym to ja stał w centrum. – Zawahał się na jedno uderzenie serca. – Albo ty.

– Co chciałeś przez to powiedzieć? – Sapho zmrużył oczy.

– Przestańcie natychmiast! – zawołał Hanno. – Obaj powinniście się wstydzić. Hannibal powierzył nam zadanie, pamiętacie jeszcze? Wykonajmy rozkaz, proszę.

Bracia spuścili głowy, krzywiąc się jak nadąsane dzieci. W milczeniu rozeszli się każdy w swoją stronę, aby zająć pozycje przed swoimi falangami. Dopiero po dłuższej chwili Hanno zdał sobie sprawę, że to do niego należy poprowadzenie oddziałów.

– Formować szyk! Szerokość rzędu sześć. Naprzód marsz!

Z satysfakcją przyjął szybką reakcję swoich żołnierzy. Wielu z nich wyglądało na zadowolonych z ustaleń między oficerami, co jeszcze bardziej podniosło go na duchu.

Falangi zabezpieczyły bród, przyjmując na razie luźną formację. Gdy pojawi się przeciwnik, włócznicy stworzą ścianę z zachodzących na siebie tarcz. Żaden koń nie zbliży się do takiej przeszkody. Las wystających z niej drzewc oszczepów niósł groźbę śmierci dla każdego, kto byłby na tyle głupi, aby spróbować przebić się przez mur tarcz.

Hanno przechadzał się to w jedną, to w drugą stronę, kierując do swoich ludzi słowa pełne zachęty. Czuł wdzięczność za rady ojca, który zawsze powtarzał, że powinien poznać z imienia jak najwięcej żołnierzy. To była prosta sztuczka, ale wszyscy, do których zwracał się bezpośrednio, uśmiechali się szeroko, z niecierpliwością czekając na walkę. To nie mogło jednak trwać w nieskończoność i wkrótce czas zaczął się dłużyć. Mięśnie, które rozgrzały się podczas przemarszu z dolinki, gdzie się ukrywali, teraz znów ostygły. Powietrze falowało od wilgotnej bryzy od strony rzeki, wychładzając zastygłych w formacji żołnierzy. Nie mogło być mowy o pozwoleniu im na rozgrzanie kości ani na śpiew dla podniesienia morale.

Mogli tylko czekać.

Świtało. Słońce jednak nie było w stanie przedrzeć się przez kłęby niskich chmur. Jediną oznakę budzenia się przyrody z nocnego odpoczynku widzieli w rzadkim dokazywaniu niewielkich ptaków wśród gałęzi nagich drzew. Wszystkie dźwięki tonęły w jednostajnym szumie rzeki za ich plecami. Wreszcie burczenie w brzuchu zmusiło Hanno do zastanowienia się, czy nie powinien rozkazać, by wydano posiłek. Zanim zdążył zrobić krok, aby naradzić się z braćmi, uwagę czekających żołnierzy przyciągnął odgłos kopyt. Wszystkie oczy zwróciły się na ścieżkę prowadzącą na zachód.

Gdy zza drzew wyskoczyła para Numidów, wszyscy włócznicy chyba w tym samym czasie wciągnęli powietrze.

– Nadchodzi! – krzyknął jeden z jeźdźców, gdy znalazł się bliżej.

– Z pięćmioma setkami naszych na plecach!

Hanno już go nie słuchał.

– Szyk zwarty! – krzyknął. – Gotuj włócznie!

===LUIgTCVLIA5tAm9PfkI6TH5NbQprHGkbaBJnC2oqTSBBKERqCWYL

## Rozdział XXII



Kwintus miał nadzieję, że gdy zostawią Trebię za plecami, jego niepokój zniknie. Nic takiego się nie stało. Ba! Każdy krok jego konia na tak odsłoniętym terenie zdawał mu się ostatnim – czuł się, jakby przekroczył Styks i zagłębił się właśnie w czeluście Hadesu. Zapał, jaki udzielił mu się w namiocie ojca pod wpływem wina szumiącego w głowie, zniknął zupełnie. Nie ośmielił się przyznać do tego głośno, ale jedno spojrzenie na boki wystarczyło, aby zrozumiał, że nie jest osamotniony w tych emocjach. Z min jeźdźców można było wyczytać wszystko. Wielu z nich rzucało Flakkusowi nienawistne spojrzenia. Każdy wiedział, że to właśnie on jest odpowiedzialny za ten chybiony pomysł.

Fabrycjusz zajmujący pozycję na czele kolumny nie zdawał sobie sprawy z nastrojów panujących w oddziale. *A może tylko zdecydował się je zignorować?* Najpewniej to drugie. Zabrał ze sobą najbardziej doświadczonych ludzi. Tylko że oni czuli pismo nosem. *Po co ojciec w ogóle zgodził się na dowodzenie tym wypadem?* Kwintus zmiął w ustach przekleństwo. Tak naprawdę dobrze wiedział, jak brzmi odpowiedź. Jak spojrzełby w oczy Scypionowi, gdyby odmówił? To było straszne. Kwintus zerknął z ukosa na Flakkusa. Gdyby ten głupiec nie przekonał konsula do swojego pomysłu, siedzieliby teraz bezpieczni na brzegu kontrolowanym przez Rzymian. Wkrótce w miejsce złości pojawiło się poczucie winy. *Przez to, że tak gorliwie wspierałem Flakkusa, prawdopodobnie pomogłem mu wplątać ojca w tę samobójczą misję.*

Chociaż nie natknęli się na nieprzyjaciela, intuicja podpowiadała mu, że tak właśnie należy traktować tę wyprawę.

Kwintus popędził konia, chcąc znaleźć się w pobliżu ojca. Obok niego jechał Flakkus, który mrugnął do Kwintusa porozumiewawczo. Ten gest nie był specjalnie przekonujący.

*On też jest wystraszony* – pomyślał Kwintus. W tej chwili podjął decyzję.

Fabrycjusz uważnie wodził wzrokiem po horyzoncie. Sztywne plecy weterana mówiły jego historię. Kwintus przełknął ślinę.

– Może ten patrol to był jednak zły pomysł, ojczcze? – Zignorował reakcję poruszonego jego słowami Flakkusa. – Widać nas z odległości wielu mil.

Fabrycjusz spojrział cierpko na Kwintusa.

– Wiem. Jak myślisz, dlaczego się tak rozglądam?

– Ale przecież w pobliżu nikogo nie ma – zaprotestował Flakkus. – Nawet ptaki się pochowały!

– Na Jowisza! To nie ma znaczenia! – prychnął Fabrycjusz. – Kartagińczykom wystarczy jedna przytomna czujka, która podniesie alarm. Jeśli nie dalej niż pięć mil stąd znajduje się jakiś

oddział numidyjskiej jazdy, po dziesięciu uderzeniach serca od wszczęcia alarmu będą już nam deptać po piętach.

Flakkus drgnął.

– Ale nie możemy wrócić do obozu z pustymi rękami.

– Nie, jeśli nie chcemy wyjść na głupców albo, co gorsza, na tchórzy – potwierdził Fabrycjusz, krzywiąc się kwaśno.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu.

– Może znajdziemy jakiś sposób... – zaczął Flakkus.

Zawstydzony Kwintus stwierdził, że poczuł małą nadzieję.

Fabrycjusz roześmiał się jednak, brutalnie ściągając go na ziemię.

– Teraz nie jesteś już tak pewny siebie, co?

– Wątpisz w moją odwagę? – zapytał oburzony Flakkus.

– Nie w odwagę – warknął Fabrycjusz. – W umiejętność trzeźwej oceny sytuacji. Czy jeszcze nie zrozumiałeś, że kawaleria Hannibala jest śmiertelnie groźna? Jeśli natkniemy się na jakiś oddział, już nie żyjemy.

– Na pewno nie będzie aż tak źle – zaprotestował Flakkus.

– Powinienem był odmówić dowodzenia tą misją niezależnie od tego, jak przyjąłby to Scypion. Powinienem pozwolić, abyś sam wybrał się na zwiady. To znaczy z tymi, którzy ewentualnie chcieliby pójść za tobą.

Flakkus zamilkł naburmuszony.

Wybuch Fabrycjusza ukazał głębię jego gniewu. Kwintus był zdumiony.

– No więc jaki miałeś pomysł? Możesz chyba powiedzieć? – Wyraz zaciętości zniknął z twarzy Fabrycjusza.

– Poinformujemy Scypiona, że natknęliśmy się na ogromne masy wrogiej jazdy, przez co nie mogliśmy przedrzeć się dalej od Trebii – powiedział nadąsany Flakkus. – Nie można nazwać tchórzostwem próby uniknięcia zagłady. Kto zakwestionuje nasze słowa? Twoi ludzie na pewno się nie wygadają, a przecież nikt nie będzie tak głupi, aby przekraczać rzekę.

– Twoja skłonność do komeraży przestała mnie już zadziwiać... – warknął Fabrycjusz.

– Ale ja... – Flakkus się zająknął.

– Niemniej w jednym masz rację. Lepiej uratować życie trzydziestu ludzi, tak jak proponujesz, i nie stracić ich przez głupią dumę. Wracamy. – Fabrycjusz ściągnął wodze i odwrócił się, aby wydać rozkaz.

Kwintus rozluźnił się, zajmując wygodniejszą pozycję na koniu. Poczul ulgę, ale trwało to nie dłużej niż jedno uderzenie serca, usłyszeli bowiem dochodzący z oddali stłumiony odgłos galopujących koni. Wszystkie oczy skierowały się na zachód.

Mniej więcej ćwierć mili od nich zza szpaleru drzew wychynęła fala jeźdźców.

– Numidyjczycy! – wykrzyknął Fabrycjusz. – W tył zwrot! Ratuj się, kto może!

Jego ludzie nie potrzebowali popędzania.

Kwintus również rzucił się do ucieczki, starając się opanować panikę. Być może wróg trochę za wcześnie próbował zamknąć ich w pułapce i ich los nie był jeszcze przesądzony. Umkną z zasadzki, jeśli uda im się szybko dotrzeć do brodu.

Wkrótce stało się jasne, że Rzymianie nie zdołają ująć przed pościgiem. Numidyjczycy byli drobniejsi i lżejsi niż oni i mieli szybsze wierzchowce. Bez wątpienia działali też zgodnie z jakimś wcześniej ustalonym planem. Gdy część z nich ruszyła bezpośrednio na Rzymian od południa, inne grupy szły w bok i na zewnątrz, tak aby uciekający mogli myśleć o kierowaniu się tylko w stronę rzeki. Rzymianie musieli uciekać na północ. Oczywiście starali się jak najszybciej dotrzeć do brodu. Nie było innej możliwości. Musieliby pokonać wiele mil, aby znaleźć inne

miejsce nadające się na przeprawę.

– Zajmijcie pozycje na czele! – krzyknął Fabrycjusz do Kwintusa i Flakkusa. – Nie oglądajcie się i nie zatrzymujcie, choćby nie wiem, co się działo.

Flakkus posłuchał go bez zwłoki, spinając konia i zmuszając go do jeszcze szybszego biegu, ale Kwintus nie zamierzał zostawić ojca.

– A co z tobą?

– Ja zostanę z tyłu i zadbam o to, aby nasz odwrót nie zmienił się w pogrom. Jedź już! – Twarde jak stal spojrzenie mówiło Kwintusowi, że nie ma tu miejsca na żadną dyskusję.

Walcząc ze łzami w oczach, Kwintus zmusił konia do pełnego galopu. Szybko wysforował się przed innych jeźdźców. Dopiero teraz poczuł wielką wdzięczność do ojca, który nalegał, aby wziął najszybszego konia, i czuł z tego powodu ulgę, choć chyba nigdy się bardziej nie wstydził tego uczucia. Nie chciał umrzeć jak zając ścigany przez psy myśliwskie. Próbując odegnać tę mroczną myśl, pochylił się nisko nad szyją konia i skupił się na jednym: na znalezieniu sposobu na przeżycie. Jeśli będą mieli trochę szczęścia, niektórym się uda.

Pokonali prawie milę, zanim pierwsi Numidyjczycy zbliżyli się do nich na tyle, aby użyć oszczepów. Zwinni ciemnoskórzy jeźdźcy z gołymi torsami, preferujący jazdę na oklep, nie wyglądali wcale na groźnych. Jednak to, jak posługiwali się oszczepami, wymuszało zmianę tej oceny. Za każdym razem, gdy Kwintus rzucał spojrzenie przez ramię, widział, jak kolejni Rzymianie padali na ziemię albo zwalniali, bo trafione zostały ich konie i nie mogli utrzymać tempa. Nikt nie widział spadających na nich oszczepów, ale zduszone okrzyki ranionych wypełniały serca żywych przerażeniem. Rzymianie nie mogli odpłacić się ścigającym. Ich włócznie nadawały się do pchnięć, a nie rzucania.

Gdy ludzie Fabrycjusza pokonali kolejną milę, Numidyjczycy osaczyli ich już z trzech stron. Przez cały czas zasypywali ich oszczepami, a Kwintus naliczył zaledwie dziesięciu jeźdźców. Na szczęście ani on, ani jego ojciec, ani Flakkus nie zostali zranieni. Gdy znaleźli się na ostatnim łuku prowadzącym przez obniżenie terenu do brodu, zostało ich zaledwie sześciu. Kwintus desperacko wbijał pięty w boki swojego wierzchowca, zmuszając go do jeszcze większego wysiłku. Nie wiedział, dlaczego udało im się nieco oddalić od prześladowców. *Może mamy jeszcze szansę wyjść z tego cało?* Kopyta koni wyrzucały teraz w górę deszcz kamieni. Wypadli zza zakrętu na ścieżkę prowadzącą prosto ku nurtowi Trebii, oddalonemu zaledwie o dwieście kroków.

Jego nadzieje okazały się płonne.

Numidyjczycy zwolnili, aby zamknąć pułapkę. Przed nimi drogę do brodu blokowała formacja włóczników. Ich duże, zachodzące na siebie tarcze tworzyły trzy krawędzie kwadratu. Spanikowany Kwintus rozejrzał się na boki. Po prawej stronie drogi mieli gęsty las. Nie przedarliby się przez niego. Po lewej stronie ciągnęły się mokradła. *Tylko głupiec próbowałby uciekać w tamtą stronę.*

Mimo to jeden z Rzymian dał sobie szansę, odskakując w lewo. Szybko przekonał się, że popełnił błąd. Po dwudziestu krokach jego koń osunął się aż po brzuch w lepki szlam. Kiedy jeździec zeskoczył, też został szybko unieruchomiony. Krzycząc ze strachu, zapadł się aż po pachy. W końcu przestał walczyć, ale było już za późno. Teraz mógł tylko liczyć, że ktoś łaskawie skróci jego męki, celnie rzucając oszczepem. *Albo szybka śmierć, albo udusi się w bagnie* – pomyślał gorzko Kwintus.

Głos Fabrycjusza przywołał go do rzeczywistości.

– Zwolnijcie! Formować linię – rozkazał kamiennym głosem. – Przeniesiemy się na tamten świat, walcząc jak mężczyźni.

Jeden z pięciu kawalerzystów zaczął nieludzko wyć wysokim, łamiącym się głosem.

Strach wydał się Kwintusowi przytłaczający.

– Zamknij się do ciężkiej cholery! – wykrzyknął Fabrycjusz. – Nie jesteśmy tchórzami.

Kwintus z zaskoczeniem stwierdził, że ta reprimenda podziałała i jeździec przestał zawodzić.

– Tworzyć szyk – powtórzył rozkaz Fabrycjusz.

Dopasowali tempo tak, aby stanąć w jednej linii, niemal dotykając się kolanami. Zostało ich ośmiu. Kwintus zastanawiał się, dlaczego jeszcze nikt nie dostał oszczepem w plecy. Obejrzał się i zrozumiał, że Numidyjczycy wcale się nie spieszyli. *Jadą teraz wolno, jakby zaganiali owce na rzeź* – pomyślał z niesmakiem.

– Nie oglądaj się za siebie – powiedział cicho Fabrycjusz. – Pokażmy tym skurwysynom, że się ich nie boimy. Będziemy patrzeć naszemu przeznaczeniu prosto w oczy.

Od ściany tarcz falangi dzieliło ich jakieś sto pięćdziesiąt kroków. Kwintusowi wydawało się, że pokonanie tego dystansu trwało całą wieczność. Jakaś jego część chciała, aby wszystko skończyło się jak najszybciej, ale z drugiej strony desperacko pragnął żyć. Odległość malała z każdym krokiem. Dzieliło ich od Kartagińczyków sto, potem osiemdziesiąt kroków. Przerazony Kwintus spojrzął na ojca. Ten jednak nie miał dla niego żadnego pocieszenia, nie licząc ledwo zauważalnego skinienia głowy. Kwintus wziął głęboki oddech, starając się zachować spokój.

*Nie jestem już dzieckiem. To, jak spojrzę śmierci w oczy, jest moją i tylko moją decyzją. Postaram się odejść mężnie.*

– Gotuj włócznie! – wykrzyknął rozkaz Fabrycjusz.

Kwintus rzucił okiem na Flakkusa. Nawet ucieszył go wyraz twarzy niedoszłego szwagra, który trzymał głowę tak wysoko, że w oczy rzucał się jego wystający podbródek. Mimo całej swojej arogancji przynajmniej teraz *nie zachowywał* się jak tchórz.

Sześćdziesiąt kroków. Zbliżali się do zasięgu skutecznego rażenia oszczepami. Niemal czuli, że przekraczają tę niewidzialną linię. Trudno było się nie wzdrygnąć. Mimo to nic się nie działo. Fabrycjusz poczuł nową falę determinacji. Jeśli tylko by zechciał, mógł zlekceważyć tę torturę niepewności.

– Zabierzmy kilku z nich ze sobą! W kłus! Wybierzcie cele! – wrzasnął, celując włócznią w brodatego Libijczyka.

Kwintus z zadowoleniem przekonał się, że ruch konia pomaga w ukrywaniu drżenia ręki. Kierował się prosto na mężczyznę w karbowanym hełmie. *Niech to się szybko skończy* – modlił się. *Niech bogowie zaopiekują się matką i Aurelią.* Usłyszał wykrzykiwane rozkazy, gdy kartagińscy oficerowie nakazali swoim ludziom przygotować się do użycia oszczepów. Widział setki odchylających się do tyłu włóczników. Zamknął oczy. Ta ciemność była w pewnym sensie pocieszająca. Pozostawała bolesna świadomość szalejącego z rozpaczy serca i ciepłej skóry wiernego wierzchowca. Jako że z każdej strony otaczali go towarzysze, nie mógł już nic zrobić, aby zmienić kierunek szarży. Wystarczy że wytrzyma jeszcze chwilę.

– Kwintus? – usłyszał, że ktoś wykrzykuje jego imię.

Otworzył oczy. Wołał go ktoś zza kartagińskich szeregów. Spojrzął w bok na swojego ojca.

– Stójcie! Musicie się zatrzymać! – wykrzyknął z całej siły.

Coś w tonie głosu Kwintusa sprawiło, że przedarł się przez tłumiący większość dźwięków szal bitewny Fabrycjusza. Z jego twarzy zniknął grymas bezradnej wściekłości. Uniósł włócznię w powietrze.

– Stać!

Kopyta koni zaryły w piasku zaledwie dziesięć kroków od muru tarcz najeżonego włóczniami. Zaniepokojone konie chciały się cofnąć. Kilku Libijczyków zamachnęło się

włóczykami, próbując ich dosięgnąć. Kwintus usłyszał, że ktoś tym samym znajomym głosem wykrzykuje jakieś polecenie po kartagińsku. Poczul gęsią skórę na ramionach. Ignorując pełne zmieszania spojrzenia towarzyszy, przeszukiwał wzrokiem szeregi wroga, aby zidentyfikować źródło tych dźwięków. Po chwili skonsternowany stwierdził, że w mężczyźnie wyglądającym na kartagińskiego oficera – który rozpychał się teraz przez linię włóczyków – rozpoznaje Hanno. Opuścił włócznię.

– Hanno!

– Kwintusie! – Hanno powitał go nieco oschle po łacinie. – A jednak przewrotny los sprawił, że się spotykamy?

– Wyślano nas na patrol. Z misją rozpoznawczą.

Hanno wykonał szeroki gest prawą ręką.

– Kontrolujemy całą równinę. Musiałeś to wiedzieć. Jaki głupiec posłał was na taką bezsensowną misję?

– Nasz konsul – mruknął niechętnie Kwintus. Nie zamierzał ujawniać roli Flakkusa.

Hanno parsknął szyderczo.

– To mi wystarczy...

Kwintus uznał, że nie powinien komentować tej uwagi. Spojrzał na ojca. Widział, że on również rozpoznał Hanno. Fabrycjusz też był na tyle bystry, że zamilczał. Flakkus i pozostali jeźdźcy wyglądali na zdumionych i zdezorientowanych. Kwintus przeniósł wzrok z powrotem na Hanno. Starał się ignorować wyzywające spojrzenia żołnierzy wroga.

– Hanno! – ktoś zawołał z boku. Kwintus ujrzał dwóch kolejnych oficerów, którzy zbliżali się do Hanno, zasypując go tyradą kartagińskich słów. Pierwszy był niski, korpulentny i miał szerokie brwi, a drugi – wysoki i atletycznie zbudowany – wyróżniał się długimi, czarnymi włosami. Tak bardzo przypominali Hanno, że nie mogło być żadnych wątpliwości, iż są jego braćmi.

– Odnalazłeś swoją rodzinę?

– Tak. Moi bracia chcą wiedzieć, dlaczego jeszcze żyjecie. – Hanno odwrócił się do braci i zaczął im coś długo tłumaczyć. Kwintus obserwował to, czując coraz większy lęk w żołądku. Ich życie wisiało na włosku. Zależało od tego, jakich słów użyje Hanno, aby przekonać braci. Słyszał krzyki i widział, że wszyscy mocno gestykują, ale pod koniec Hanno wyglądał na zadowolonego. Niższy z braci był jednak wyraźnie zniesmaczony. Nadal wydawał gniewne pomruki, gdy ten wyższy zbliżył się do wciągniętych w pułapkę Rzymian. *Ma surową twarz, ale nie człowieka bez litości* – pomyślał Kwintus, czując kiełkującą nadzieję. *To musi być Bostar*.

– Hanno twierdzi, że dwukrotnie uratowałeś mu życie – posługiwał się łaciną z wyraźnie obcym akcentem.

Kwintus kiwnął głową.

– To prawda.

– Dlatego zdecydowaliśmy, że nie zabijemy ciebie. Ani twego ojca. – Po tych słowach Sapho znów zaczął coś gniewnie wykrzykiwać, chociaż Bostar go zignorował. – Dwa życia za dwa długi.

– A pozostali? – zapytał niepewnie Kwintus, czując mdłości na myśl o tym, że mają zostawić swoich towarzyszy.

– Muszą umrzeć.

– Nie... Weźcie ich do niewoli. Proszę.

Bostar potrząsnął głową i się odwrócił.

Rzymscy kawalerzyści krzyczeli przerażeni. Flakkus jednak siedział na koniu prosto, jakby połknął kij, spoglądając z pogardą na Libijczyków.

Kwintus spojrzął na Hanno, ale nie znalazł w jego oczach żadnego pocieszenia.

– Okaż im litość.

– Mamy rozkazy – powiedział Hanno srogim głosem. – Ale ty i twój ojciec możecie iść. –

Wydał rozkaz, po którym falanga zmieniła formację, otwierając im wąski korytarz prowadzący do brodu. W tej chwili Kwintus wpadł na szalony pomysł. – Jest z nami też inny członek rodziny.

– Kto? – Hanno spytał podejrzliwie.

Kwintus wskazał Flakkusa.

– Jest zaręczony z Aurelią. Oszczędź go.

Hanno wciągnął powietrze tak, że jego nozdrza zafalowały. Dopiero teraz rozpoznał niecodziennego gościa gospodarstwa Fabrycjusza.

– Jeśli nie zawarto małżeństwa, nie jest jeszcze częścią rodziny.

– Na pewno nie zabierzesz Aurelii przysłego męża? – Kwintus argumentował błagalnym głosem.

Hanno sam zdziwił się, z jakim wzburzeniem zareagował na propozycję Kwintusa.

– Prosisz o więcej, niż ci się wydaje... – wycedził z zaciśniętych zębów.

– Ale jednak proszę... – odrzekł Kwintus, spoglądając mu prosto w oczy.

Hanno zbliżył się do Flakkusa. Prawdę mówiąc, wcale nie podobała mu się myśl, że musi spłacić swój dług przyjaźni, a ten tu naprawdę *był* jednym z jego wrogów.

Nieoczekiwanie Flakkus charknął i splunął mu pod nogi.

Hanno zagotował się i już chwycił za głównię miecza. Zanim zdołał wyciągnąć broń, obok niego pojawił się Sapho z włócznią gotową do pchnięcia. Bez słowa wraził grot głęboko w brzuch Flakkusa, w miejsce, gdzie kończył się pancerz, a zaraz potem wyciągnął włócznię ze stłumionym młaśnięciem. Gdy jego ofiara upadła na ziemię, wyjąc, Sapho okręcił się błyskawicznie, mierzając teraz okrwawioną włócznią w Hanno.

– Nie jesteśmy tutaj po to, żeby zaprzyjaźniać się z tymi wszawymi kundlami – warknął.

– Może razem z Bostarem przegłosowaliście mnie w sprawie uwolnienia tej dwójki, ale na pewno już nie puścicie wolno trzeciego!

– Idź – Hanno kiwnął głową na Kwintusa, wskazując bród.

Kwintus patrzył bezradnie na Flakkusa, który zaciskał dłonie na ranie, a spomiędzy palców wyciekało z niego życie. Pod jego ciałem już zebrało się sporo krwi. *Nie możemy, ot tak, po prostu zostawić tego biedaka, żeby umarł. Tylko czy mamy wybór?*

Fabrycjusz odezwał się po raz pierwszy od dłuższego czasu. Zwrócił się do swoich ludzi:

– Obyśmy spotkali się w Elizjum. Twojej rodzinie przekazemy, że odszedłeś godnie, jak na Rzymianina przystało – zapewnił Flakkusa. Potem, nie oglądając się za plecy, ruszył w kierunku rzeki. – Na nas czas... – syknął do Kwintusa.

Kwintus zastanawiał się nad słowami, którymi mógłby pożegnać Hanno. Ten jednak, zamiast patrzeć mu w oczy, spoglądał jakby *przez* niego. Nie będzie żadnego pożegnania. Kwintus zacisnął zęby i ruszył za ojcem. W tej chwili jego uszy wypełniły krzyki pięciu nieszczęsnych kawalerzystów, którzy zostali natychmiast otoczeni i zadźgani przez napierających na nich Libijczyków.

Nikt nie próbował im przeszkodzić w dotarciu do brodu, a potem na drugi brzeg.

Dopiero gdy wydostali się z wody, dotarło do nich tak naprawdę, że uszli ze szponów śmierci.

Kwintus westchnął z ulgą, przeciągle i tak, że ciarki przeszły mu po plecach. *Bogowie! Nie pozwólcie mi już nigdy spotkać Hanno na swojej drodze.* Następnym razem jego były przyjaciel będzie próbował go zabić – nie miał co do tego wątpliwości. Zdał sobie sprawę, że on zapewne równie mocno będzie chciał zrobić to samo. Gdy poczuł, że za serce chwyta go zimny



smutek, odwrócił się i spojrzął na drugi brzeg. Libijczycy już uformowali kolumnę marszową, pozostawiając na ziemi skulone ciała martwych rzymskich jeźdźców. Ten obraz sprawił, że Kwintus się zawstydził. Każdy z towarzyszy, których tam zostawili, zasługiwał na pogrzebanie albo na to, aby jego ciało spalono na stosie.

– Może jutro uda nam się zebrać ciała – mruknął pod nosem.

– Będziemy musieli spróbować, bo w przeciwnym razie nie będę już nigdy w stanie spojrzeć Aurelii w oczy – odezwał się ojciec. – A w chwili, gdy ci cholerni lichwiarze dowiedzą się, że Flakkus nie żyje, opadną mnie jak sępy. – Zerknął na Kwintusa. – Wszystko to przeze mnie. Flakkus i trzydziestu moich najlepszych ludzi zginęło, bo zgodziłem się poprowadzić ten cholerny patrol. Powinienem być odmówić.

– To nie ty podjąłeś decyzję o przeprowadzeniu zwiadu, ojciec – zaprotestował Kwintus. – Gdybyś odmówił, Scypion mógłby cię zdegradować albo i gorzej.

Fabrycjusz rzucił Kwintusowi wdzięczne spojrzenie.

– Żyję tylko dzięki tobie. Podjąłeś mądre decyzje, gdy pomogłeś temu Kartagińczykowi w ucieczce, a potem go uwolniłeś. Jestem twoim dłużnikiem.

Kwintus skinął głową ze smutkiem. Jego przyjaźni z Hanno zawdzięczali to, że żyli, ale nie chciał, aby kończyła się w taki sposób. Nie mógł jednak nic zrobić, aby było inaczej. Musiał przybrać maskę obojętności. Hanno był teraz jednym z jego wrogów.

Fabrycjusz pojechał prosto do obozu, a następnie do namiotu dowodzenia konsula. Zeskoczył z konia i rzucił wodze jednemu z wartowników, po czym ruszył prosto ku wejściu do kwatery Scypiona. Kwintus obserwował to ze smutkiem z wysokości swojego wierzchowca. Scypion nie będzie chciał rozmawiać z szeregowym kawalerzystą, takim jak on.

Ojciec zatrzymał się przy podniesionej klapie namiotu.

– Potrzebujesz specjalnego zaproszenia?

– Chcesz, żebym poszedł z tobą, ojciec?

Fabrycjusz się roześmiał.

– Oczywiście. Jesteś jedynym sprawcą tego, że obaj jeszcze oddychamy. Scypion będzie chciał dowiedzieć się, co się stało.

Kwintus energicznie zeskoczył z konia i dołączył do ojca. Strażnicy przy wejściu, czterech solidnie zbudowanych *triarii* – weterani w wypolerowanych na błysk hełmach i kolczugach – stanęli na baczność, gdy ich mijali. Kwintus sam wypiął dumnie pierś. Miał spotkać się z konsulem! Do tej pory jego kontakt ze Scypionem był dość ograniczony: zdarzyło mu się zaszalutować i uprzejmie odpowiedzieć na słowa kierowane przez wodza do większej grupy.

Oficer straży przybocznej poprowadził ich przez wydzielone części wielkiego namiotu, aż wreszcie znaleźli się w części prywatnej, ozdobionej dla wygody miękkimi dywanami. Ta przestrzeń została oświetlona dużymi lampami oliwnymi z brązu. Znajdowało się tu też ogromne biurko pokryte pergaminami, słóiczki z inkaustem i piórami, różne okute skrzynie i kilka luksusowych sof. Scypion leżał na największej z nich, podparty poduszkami. Jego twarz wciąż miała niezdrowy, szary kolor. Rzucił się też w oczy wielki opatrunek na jego poranionej nodze. Za wezgłowiem łóżka stał jego syn, który akurat czytał jakiś na wpół zrolowany pergamin. Scypion otworzył oczy, gdy zbliżyli się do niego, a potem odpowiedział na ich pozdrowienie.

– Witaj, Fabrycjuszu – mruknął. – Czy jest z tobą twój syn?

– Tak, panie.

– Przypomnij mi proszę, jak się nazywa?

– Kwintus, panie.

– A tak! Jak mniemam, wróciłeś z patrolu. Czy misja się udała?

– Nie, panie – odrzekł lakonicznie Fabrycjusz. – Właściwie to wręcz przeciwnie. Zanim udało nam się dotrzeć w pobliże obozu kartagińskiego, zostaliśmy osaczeni przez przeważające siły nieprzyjaciela. Ścigali nas aż do samego brodu, gdzie drogę zagroził nam silny oddział włóczników – wskazał broda Kwintusa. – Tylko my ocaleliśmy.

– Rozumiem... – Scypion bębnił palcami po poręczu kanapy. – Jak udało się wam przeżyć?

Fabrycjusz spojrział konsulowi prosto w oczy i nie spuszczał wzroku.

– Dzięki Kwintusowi.

– Wyjaśnijcie mi to, bo nie rozumiem. – Scypion zmarszczył brwi.

Fabrycjusz dotknął ramienia Kwintusa, który zaczął opowiadać, jak został rozpoznany przez zaprzyjaźnionego z nim byłego niewolnika rodziny. Zawahał się wówczas, gdy miał wyjaśnić, jak doszło do uwolnienia Hanno, ale zachęcony skinieniem głowy Scypiona wyjawiał wszystkie szczegóły tej historii.

– To niesamowita opowieść – przyznał Scypion. – Bogowie byli dla was naprawdę łaskawi.

– Tak, panie – Kwintus przytaknął energicznie.

Konsul spojrział na syna.

– Nie jesteś tu zatem jedynym synem, który musi ratować swojego ojca z opresji – zażartował.

Obecny przy tej rozmowie młody Scypion zaczerwienił się po uszy.

Po chwili jednak konsul spoważniał.

– A więc... straciliśmy całą turmę jazdy, a na dodatek nie wiemy na temat lokalizacji głównych sił Hannibala nic więcej, niż wiedzieliśmy wczoraj.

– Tak to właśnie wygląda, panie – przyznał Fabrycjusz.

– Nie widzę żadnego sensu w wysyłaniu kolejnych patroli nad Trebię. Spotkałby je taki sam los. Ponadto brakuje nam jazdy. – Scypion przycisnął palec do ust w zamyśleniu. Pokręcił głową. – Naszym priorytetem jest blokowanie traktów wiodących na południe. Co z powodzeniem czynimy. Kartagińczycy nie uderzą na nas, dopóki zajmujemy te wzniesienia. Nic się nie zmieniło. Czekamy na Longusa.

– Tak, panie – zgodził się Fabrycjusz.

– Bardzo dobrze. Możecie odejść. – Scypion odesłał ich zdawkowym gestem.

Oddalili się dyskretnie. Kwintus ukrywał swoją frustrację do czasu, gdy znaleźli się poza namiotem.

– Dlaczego Scypion *nic* nie zrobi?

– Chcesz zemścić się za to, co stało się przy brodzie, tak? – spytał Fabrycjusz, krzywiąc się cierpko. – Ja też. – Pochylił się do ucha Kwintusa. – Jestem pewien, że Scypion ruszyłby na Hannibala, gdyby nie... ograniczenia. Oczywiście nie przyzna się do tego takim nic nieznaczącym pionkom jak my. Na razie musimy z tym żyć.

– Czy Longus będzie chciał walczyć z Hannibalem?

– Wierzę, że tak będzie – odrzekł ojciec z uśmiechem. – Zwycięstwo przed końcem roku pokaże okolicznym plemionom, że Hannibal nie jest niepokonany. To wpłynie na zmniejszenie liczby wojowników, którzy planują się do niego przyłączyć. Szybka wygrana będzie lepsza niż czekanie na rozstrzygnięcie aż do wiosny.

Kwintus modlił się, aby ojciec miał rację. Po tym wszystkim, co przeżyli, nadeszła chyba pora, aby odmienić losy kampanii. Im szybciej, tym lepiej.

## Rozdział XXIII



Bostar wolał zaczekać z roztrząsaniem tego, co wydarzyło się nad brodem, do czasu, gdy wróćą do obozu. Zaraz jednak po tym, gdy pozwolili rozejść się swoim ludziom, naskoczył na Hanno.

– Wy tłumacz mi, co to w ogóle miało być?! Nie pamiętasz, jakie dostaliśmy rozkazy? Mieliliśmy zabić wszystkich Rzymian, którzy przedostaną się na drugi brzeg rzeki.

– Wiem... – mruknął Hanno. Wciąż miał przed oczyma smutną twarz Kwintusa, gdy ten podążał za ojcem prosto w nurt Trebii. – Jak miałem zabić kogoś, kto ocalił mi życie? I to nie raz, ale dwa razy?

– Więc twoje poczucie honoru jest ważniejsze niż bezpośredni rozkaz Hannibala? – parsknął Sapho.

– Tak. Nie... Nie wiem. Zostawcie mnie w spokoju!

– Sapho! – Bostar próbował jakoś bronić najmłodszego brata.

– Zobaczymy, co powie generał, gdy złożymy raport... – Sapho uniósł ręce w obronnym geście i zrobił kilka kroków do tyłu. Skrzywił się, patrząc na Hanno. – Zakładam, że sam opowiesz mu o wszystkim.

Hanno czuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

– Oczywiście, że tak! – zawołał. – Nie mam nic do ukrycia. Ciekawe, jak przedstawiłbyś to Hannibalowi, gdybym nie mógł tego zrobić osobiście. – Otworzył usta ze zdziwienia, gdy zobaczył, że twarz Sapho robi się czerwona. – Na świętą Tanit! Niech to szlag! Chciałeś to zrobić! Kiedy stałeś się takim wrednym sukinsynem? Nic dziwnego, że Bostar nie potrafi już znaleźć z tobą wspólnego języka. – Widząc pełne niedowierzania spojrzenie Sapho, pomimo gniewu sam poczuł, że na jego twarz wypełza rumieniec wstydu. – Nie powinienem był tego mówić. Przepraszam.

– Trochę za późno – odparł Sapho. – Dlaczego nie dziwi mnie, że rozmawiacie o mnie za moimi plecami? Żałosne plotkary!

Hanno zwiesił głowę.

– Zobaczymy się przed namiotem generała – powiedział Sapho gorzkim głosem. – Sprawdzimy, jak Hannibal oceni twoje działania. – Owinął się mocniej płaszczem i zniknął.

– Sapho! Zaczekaj!

– Zostaw go lepiej... – poradził Bostar.

– Dlaczego on jest taki?

– Nie wiem – odparł Bostar, odwracając wzrok.

*Teraz to ty kłamiesz* – pomyślał Hanno. Nie miał serca, aby domagać się wyjaśnień od starszego brata. Niedługo będzie musiał wytłumaczyć motywy swoich działań Hannibalowi.

– Chodźmy – powiedział, z trudem ukrywając niepokój w głosie. – Lepiej miejmy to już za sobą.

Hanno odetchnął z ulgą, stwierdziwszy, że Sapho nie wszedł od razu do namiotu wodza, ale zaczekał na braci na zewnątrz. Pojawił się też Zamar, Numidyjczyk dowodzący jazdą. Gdy tylko podał wartownikom powód przybycia, zostali poprowadzeni do środka.

Hanno zajął miejsce przy boku Sapho.

– Dziękuję.

Brat spojrzał na niego zdziwiony.

– Za co?

– Że nie wpadło ci do głowy pierwszemu opowiedzieć Hannibalowi swojej wersji historii.

– Może nie zgadzam się z tym, co zrobiłeś, ale nie jestem donosicielem – odpowiedział Sapho gniewnym szeptem.

– Wiem. Zobaczmy, co powie Hannibal. W porządku? Potem będziemy mogli o tym zapomnieć.

– Nie życzę sobie, żebyście rozmawiali o mnie za moimi plecami – ostrzegł go Sapho.

– To nie tak. Bostar nie powiedział mi nic poza tym, że jego zdaniem zmieniłeś się po tym, jak uczestniczyłeś w torturowaniu piratów.

– Zmieniłem się?

– Stałeś się bardziej brutalny. Nieczuły.

– I nic więcej?

– Nie.

*Co na Tanit wydarzyło się między wami?* Hanno nie był pewny, czy naprawdę chciałby wiedzieć.

Milczał przez chwilę.

– Świetnie. Zapomnimy o tym, gdy tylko złożymy raport. Ale wiedz jedno. Jeśli zapyta mnie o moją opinię w kwestii uwolnienia dwóch Rzymian, nie będę go okłamywał.

– Dobrze – powiedział Hanno przekonująco. – Wcale tego nie chcę.

Musieli przerwać rozmowę, bo weszli do głównej części namiotu Hannibala. Generał powitał ich z szerokim uśmiechem.

– Dotarli już do mnie wieści na temat waszego sukcesu – oświadczył. Uniósł szklany puchar. – Podejdźcie, spróbujcie tego wina. Jak na wyrób z rzymskich winnic jest całkiem smaczne.

Gdy wszyscy trzymali puchary w dłoniach, Hannibal spojrzał po kolei na każdego z nich.

– Cóż... – zapytał. – To kto opowie mi, co tam się stało?

Hanno wystąpił przed braci.

– Ja, panie – powiedział, przełknąwszy z trudem ślinę.

Hannibal uniósł brwi, ale dał znak, aby Hanno mówił.

Starając się opanować zdenerwowanie, opisał marsz nad Trebię i długie oczekiwanie na przeciwnika w parowie. Gdy dotarł do miejsca, w którym rzymski patrol przekroczył rzekę, spojrzał wymownie na Zamara. Numidyjczyk wyjaśnił, że jego ludzie zawiadomili go o ruchach wroga. Przyznał, że zasadzka została zbyt wcześnie zauważona przez Rzymian z powodu błędu nadgorliwego dowódcy drużyny.

– Już go zdegradowałem, panie – wyjaśnił. – Przez niego nasz wysiłek mógł pójść na marne.

– Na szczęście tak się nie stało – odparł Hannibal.

– Czy ktoś dotarł do rzeki?  
– Tak, panie – powiedział Zamar. – Ośmiu.  
Hannibal mrugnął porozumiewawczo.  
– No, to nie było zbyt dużo pracy dla dziewięciuset włóczników!  
Wszyscy pozwolili sobie na chwilę śmiechu.  
– Czy znaleźliście przy rzymskim dowódcy jakieś dokumenty?  
Tu Hanno po raz pierwszy się zawahał.  
– Nie, panie – mruknął. Kątem oka zauważył, że Sapho zerka na niego nieufnie spod oka.  
Hannibal nie zwrócił jeszcze uwagi na powściągliwość Hanno.  
– Trudno. To nieistotne. Mało prawdopodobne, żeby wziął ze sobą coś ważnego na taką misję.  
Hanno odkaszlnął niezręcznie.  
– Nie mogłem go przeszukać, panie.  
– Dlaczego nie? – Hannibal zmarszczył brwi.  
– Ponieważ puściłem go wolno, panie. Jego i jeszcze jednego Rzymianina.  
Oczy generała zrobiły się wielkie jak spodki z niedowierzania.  
– Lepiej się wytłumacz, synu Malchusa. I to *szybko*.  
Sposób, w jaki wpatrywał się w niego Hannibal, budził niepokój.  
– Tak, panie. – Hanno szybko opisał mu zaistniałe okoliczności. Kiedy skończył, zapadła ciężka cisza. Hanno ze zdenerwowania czuł coraz silniejsze mdłości.  
Hannibal spojrzął na Sapho i Bostara z ukosa.  
– Zakładam, że Hanno konsultował tę decyzję z wami?  
– Tak, panie – odpowiedzieli zgodnym chórem.  
– Jak zareagowałeś Bostarze?  
– Choć to działanie było sprzeczne z otrzymanymi rozkazami, panie, rozumiałem powód, dla którego darowuje życie dwóm ludziom. I uszanowałem decyzję brata.  
Hannibal przeniósł wzrok na Sapho.  
– Ja byłem zdecydowanie przeciwko takim działaniom, panie. Zostałem jednak przegłosowany.  
– A ty? – Hannibal spojrzął teraz na Zamara.  
– Nie miałem z tym nic wspólnego, panie – odparł Numidyjczyk neutralnie. – Znajdowałem się z moimi ludźmi sto kroków za nimi.  
– Ciekawe... – Hannibal wrócił do Hanno. – Jeden z braci cię wspierał, drugi nie.  
– Tak było, panie.  
– Czy tego mam się spodziewać w przyszłości, gdy będę wysyłać was razem na jakąś misję? – zapytał groźnie Hannibal, a jego nozdrza zadrgały.  
– Nie, panie – zawołali chórem Bostar i Hanno.  
– Oczywiście, że nie – dodał jeszcze Hanno.  
Hannibal nie skomentował tego zapewnienia.  
– Czy dobrze rozumiem, że pojawiła się między wami różnica zdań?  
– Tak, panie. – Hanno się zaczerwienił.  
– Dlaczego?  
– Ponieważ otrzymaliśmy rozkazy, aby nikomu nie przepuścić, panie! – zawołał Sapho.  
– I tym sposobem przechodzimy do sedna problemu – odparł Hannibal. Sapho uśmiechnął się triumfująco. – W normalnych okolicznościach ta sytuacja byłaby czarno-biała. I gdybyście nie wykonali moich rozkazów tak, jak to uczyniliście, kazałbym was ukrzyżować.  
Jego słowa zawisły w powietrzu.

Sapho chyba nie spodziewał się, że wszyscy mogą ponieść taką karę, dlatego teraz na jego twarzy pojawił się strach.

– Panie, ja... – zająknął się.

– Czy udzieliłem ci głosu, oficerze? – Hannibal zareagował ostro.

– Nie, panie.

– Więc trzymaj język za zębami.

Sapho posłusznie zamilkł.

Hanno startł pot z czoła. *Co by się nie działo, postąpiłem właściwie. Byłem to winny Kwintusowi.* Przekonany, że poniosą surową karę, zaakceptował swój los. Stojący obok niego Bostar był wyraźnie spięty i mocno zaciskał szczękę.

– To, co się stało, zdarza się raz na wiele żywotów – powiedział Hannibal. Zaskoczony Hanno zastanawiał się, do czego zmierza generał. – Człowiek nie może zabijać tych, którzy przysli mu wcześniej z pomocą, nawet jeśli są to Rzymianie. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie większej zbrodni przeciwko prawom boskim. – Hannibal skinął poważnie głową, spoglądając na Hanno. – Podjąłeś właściwą decyzję.

– Dziękuję, panie – wyszeptał Hanno pobielającymi ze strachu ustami. Nigdy w swoim życiu nie czuł tak wielkiej ulgi.

Bostar stanął na baczność i zasalutował, powtarzając słowa Hanno.

– Dziękuję, panie!

Hanno zerknął na Sapho. W miejsce strachu pojawiła się kiepsko ukrywana niechęć. *Czy on naprawdę chciał, abyśmy zostali ukarani?* Ta myśl była bardzo niepokojąca.

– Dzięki temu gestowi miłosierdzia postąpiłeś nie tylko zgodnie z honorem, ale i spełniłeś inny cel waszej misji – ciągnął Hannibal. – Ci dwaj mężczyźni, którzy przeżyli zasadzkę, zaświadczą o wyższości naszych żołnierzy. Takie świadectwa podziałają bardzo demoralizująco na część ich towarzyszy, co tylko pomoże naszej sprawie. Mimo że dopuściliście się nieposłuszeństwa, udało się wam osiągnąć to, czego pragnąłem.

– Tak, panie.

– Chwileczkę. To nie wszystko – powiedział lekko Hannibal.

– Panie? – Strach Hanno powrócił ze zdwojoną siłą.

– Coś takiego nie może się już nigdy powtórzyć – w głosie Hannibala pojawiła się groźba. – Spełniłeś swój obowiązek wobec tego... *Kwintusa.* Jeśli kiedykolwiek wasze drogi się skrzyżują, możesz zachować się tylko w jeden sposób.

*On ma rację!* – krzyczał zdrowy rozsądek w umyśle Hanno. *Jak mam przyjaźnić się z Rzymianinem?* Jego serce jednak się temu sprzeciwiało całą mocą.

– Tak, panie.

– Zaufaj mi, oni bez zastanowienia wraziliby ci miecz w brzuch. To twoi wrogowie – warknął Hannibal. – Jeśli ich spotkasz, musisz ich zabić.

– Tak, panie – powiedział Hanno. Już nie walczył z tą myślą. *Bogowie, nie pozwólcie, żeby to się stało.*

– Pamiętajcie też, że jeśli którykolwiek z was ponownie zlekceważy moje rozkazy, *nie* okażą wam łaski. Możecie się spodziewać, że wyzioniecie ducha na krzyżu.

– Tak, panie – odparł Hanno z drżeniem.

– Możecie odmaszerować – powiedział Hannibal krótko. – Wszyscy.

Zamar i bracia opuścili namiot wodza.

Sapho pochylił głowę nad uchem Hanno.

– Nadal uważasz, że zrobiłeś dobrze? – syknął.

– Co? – Hanno rzucił bratu pełne niedowierzania spojrzenie.

– Wszyscy moglibyśmy zapłacić za to głowami. Przez ciebie.  
– Ale tak się nie stało! I coś takiego już nigdy się nie zdarzy, prawda? – Hanno odezwał się wyzywająco.

– Przypuszczam, że nie. – Sapho był zaskoczony furią w głosie Hanno.  
– Jestem tak samo lojalny wobec Kartaginy jak każdy mężczyzna w tej armii – prychnął Hanno. – Pokaż mi Rzymian, a ja odrąbię im wszystkim łby!  
– Dobra, w porządku. Uspokój się... – mruknął Sapho. – Przekonałeś mnie.  
– Ja też się o czymś przekonałem... – odparł poirytowany Hanno. – Czy chciałeś, żeby Hannibal nas ukarał?

Sapho uniósł ręce w górę w obronnym geście.  
– Posłuchaj, nie miałem pojęcia, że grozi wam ukrzyżowanie.  
– A powiedziałbyś to samo, gdybyś wiedział? – zaatakował go Bostar.  
– Nie. – Na twarzy Sapho zobaczyli grymas poczucia winy.  
– Jesteś pieprzonym kłamcą! – Bostar nie miał wątpliwości, jak ocenić postępowanie brata. Odwrócił się i odszedł bez słowa.

Hanno przewiercał Sapho spojrzeniem.  
– Próbuję cię zrozumieć...  
– Naprawdę myślisz, że chciałbym waszej śmierci? No, proszę cię! – bronił się nieporadnie Sapho. – Trochę wiary!

Hanno westchnął.  
– Wierzę. Przepraszam.  
– Ja też – powiedział Sapho, poklepując poufale brata po ramieniu. – Zapomnijmy o tym, co? Skupmy się raczej na walce z Rzymianami.

– Tak... – Wzrok Hanno podążył za odchodzącym Bostarem. Zamarł. Bostar widział przyjazny gest Sapho i najwyraźniej wcale mu się nie spodobał. *Bogowie!* – pomyślał z frustracją. *Czy nie mogę żyć w zgodzie z oboma braćmi?*

Wyglądało na to, że nie.

Szybko zbliżały się Saturnalia. Pomimo melancholii, która opadła Atię i Aurelię, przygotowania do zimowego święta szły pełną parą. Aurelia zdawała sobie sprawę, że ciężka praca pozwalała im obu radzić sobie z pustką z powodu bardzo prawdopodobnej śmierci ojca i niepokojem związanym z brakiem wieści od Kwintusa. Życie musiało biec swoim torem, a zaangażowanie w przygotowania okazało się skuteczną metodą, aby choć na jakiś czas zapomnieć o przykrych myślach. Było wiele do zrobienia i zimowe dni okazywały się za krótkie. Czas płynął szybko. Lista zadań Atii wydawała się nie mieć końca. Co wieczór Aurelia kładła się do łóżka wyczerpana, ale i zadowolona, bo zmęczenie obiecywało głęboki, spokojny sen.

Któregoś wieczoru sen nie przychodził. Jej umysł koncentrował się na obrazach związanych z wyjazdem do Kapui. Za dwa dni miały wybrać się z matką do miasta, aby zrobić ostatnie zakupy. Trzeba było zdobyć dziesiątki świec, które były zwyczajowym podarunkiem dla przyjaciół i gości. Nie mieli jeszcze wszystkich produktów spożywczych na nadchodzące święta. Jej matka musiała wyjaśnić z piekarzem nieporozumienia w zamówieniu, a rzeźnik żądał za dużo pieniędzy za mięso. Atia chciała także kupić figurki z ceramiki, którymi wymieniano się w ostatnim dniu Saturnaliów.

Chociaż Aurelia robiła, co mogła, aby zasnąć, jej myśli wciąż wracały do Suniatona. Po spotkaniu z Agesandrosem dotarły z Elirą do chaty pasterza bez żadnych problemów. Na szczęście noga Suniego wyglądała coraz lepiej i chłopak gotował się już do drogi. *Już pewnie dawno opuścił chatę* – pomyślała ze smutkiem Aurelia. Suniaton był ostatnim ogniwem łączącym ją z Hanno, a także, w jakiś niezrozumiały dla niej sposób, również z Kwintusem i ojcem.

Istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że już nigdy żadnego z nich nie zobaczy. Wtedy zdecydowała, że wybierze się jeszcze raz do opuszczonej owczarni. Nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że powinna to uczynić. Może bogowie dadzą jej jakiś znak? Sprawią, że odczuwany przez nią smutek stanie się łatwiejszy do zniesienia? To była jej ostatnia myśl przed zaśnięciem.

Następnego ranka obudziła się wyjątkowo wcześnie. Założyła najcieplejsze ubranie, chociaż z ulgą stwierdziła, że mozaikę i rzeźby na dziedzińcu pokrywa tylko cienka na palec warstwa świeżego śniegu. Zatrzymała się, aby powiedzieć sennej Elirze, gdzie się wybiera, i poinstruować ją, aby podniosła alarm, jeśli nie wróci do zmroku. Potem udała się do stajni i osiodłała siwka ojca.

Nigdy wcześniej nie wypuszczała się w środku zimy tak daleko od gospodarstwa. Przysypana śniegiem okolica emanowała idyllicznym pięknem, ciszą i spokojem. Ten obraz tak bardzo różnił się od wiosny i lata, gdy wszystko wokół było pełne życia. Większość drzew straciła liście, które leżały teraz na ziemi zmrożone pod lekkim kożuszkim śniegu. Od czasu do czasu dostrzegała jakiś ruch w dzikiej przyrodzie: para kruków szamotała się, rozpaczliwie próbując umknąć przed ścigającym je sokołem, gdzieś w oddali zauważyła jelenia. W pewnym momencie wydało się jej też, że dostrzegła szakala, czającego się w niskich zaroślach. Na szczęście nie słyszała wilków ani nie zauważyła żadnych śladów tych zwierząt. Przypadki atakowania ludzi przez te duże drapieżniki były nieliczne, niemniej czasami się to zdarzało. Prawdopodobieństwo, że natknie się na wilki, rosło, w miarę jak wspinała się na coraz wyższe partie wzgórz. Aurelia z zadowoleniem pomyślała o łuku i procy, których tym razem nie zapomniała.

Jej zniecierpliwienie rosło z każdym krokiem, który zbliżał ją do chaty. Piękno natury ukoilo trochę jej niepokój o bliskich. Czując coraz silniejszą ekscytację, Aurelia przywiązała konia do drzewa nieco dalej od owczarni. Rzuciła garść owsa na ziemię, aby koń miał się czym zająć, po czym ruszyła w kierunku drzwi. Nagle dźwięk, który w jej ocenie dochodził z chaty, sprawił, że znieruchomiała. Sparaliżował ją strach, gdy przypomniała sobie o bandytach, z którymi walczyli Kwintus i Hanno. *Co ja sobie wyobrażałam, gdy uznałam, że mogę podróżować sama?*

Obróciła się na pięcie i zawróciła po swoich śladach. Szła na palcach, starając się nie robić hałasu. Gdy uda się jej wdrapać na derkę z siodłem, będzie miała dużą szansę na ucieczkę. Niewielu ludzi umie trafić z łuku w jeźdźca na galopującym wierzchowcu. Gdy znalazła się już bardzo blisko konia, ten zastrzygł uszami i widząc ją, zarżał radośnie. Szybko wyciągnęła rękę, aby go uspokoić, jednocześnie nasłuchując z napięciem. Słyszała tylko swoje trzepoczące się serce, jakby było złapanym w pułapkę zwierzęciem. Chwyliła mocno za końską grzywę, chcąc wskoczyć na siodło.

– Kto tu?

Aurelia omal nie krzyknęła ze strachu.

Nie odpowiedziała. Drzwi do chaty wciąż były zamknięte.

Próbowała się uspokoić i myśleć logicznie. Głos dochodzący z chaty był słaby i drżący. Na pewno nie należał do silnego, zdrowego człowieka. Przez jakiś czas jej zaciekawienie walczyło ze strachem. I zwyciężyło.

– Kto tam? Nie jestem sama.

Odpowiedzi nie było.

Zaczęła się zastanawiać, czy to nie jakaś pułapka. Wahała się, rozdarta między chęcią ucieczki z tego miejsca jak najdalej a sprawdzenia, czy ktoś w środku chaty nie potrzebuje pomocy. W końcu zdecydowała, że nie ucieknie. Jeśli to była zasadzka, to chyba najgorsza, jaką mogła sobie wyobrazić. Dotknęła sztyletu, aby dodać sobie pewności. Zaczęła ostrożnie skradać



się w kierunku chatki. W drzwiach nie było żadnego uchwyty ani skobla, tylko dziura, w którą można było włożyć palce. Wyciągnęła drżącą dłoń i pociągnęła drzwi do siebie, blokując je stopą przy dolnej krawędzi. Ostrożnie zajrzała do pogrążonego w mroku wnętrza. W miejscu, w którym spodziewała się zobaczyć ognisko otoczone kamieniami, znajdowała się tylko kupka popiołu. Zamrugowała, czując w powietrzu fetor ludzkich odchodów.

Gdy jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegła człowieka leżącego na ziemi. Najpierw wydawało się jej, że to tylko sterta szmat. Kiedy jednak ten stos się poruszył, nie mogła się opanować i krzyknęła ze strachu.

– Suu.. Suni? Nie wierzę!

– To ty, Aurelio? – Chłopak otworzył szeroko oczy.

– Tak! – Podskoczyła do Kartagińczyka i opadła na kolana u jego boku. – Och! Suniatonie! – Starła się nie płakać.

– Masz wodę?

– Lepiej. Mam wino!

Aurelia wybiegła na zewnątrz i szybko wróciła z plecakiem. Delikatnie pomogła mu usiąść i wypić kilka łyków.

– Faktycznie lepiej – wyszeptał Suniaton. Na jego policzkach pojawił się rumieniec, a on rzucił chciwe spojrzenie na torbę Aurelii.

Zadowolona z tego, że chłopak ożywił się nieco, położyła przy nim chleb i ser.

– Zjedz tylko trochę – ostrzegła. – Twój żołądek nie przyjmie od razu dużej ilości pożywienia. Usiadła na piętach i patrzyła, jak pochłania to, co mu przyniosła. – Dlaczego nie opuściłeś owczarni po mojej ostatniej wizycie?

Jedząc, opowiedział jej, co się z nim działo.

– Opuściłem. Następnego dnia. Po przejściu pół mili potknąłem się o wystający korzeń i upadłem tak niefortunnie, że otworzyły mi się rany. Nie byłem w stanie pokonać dziesięciu kroków bez bólu. Uświadomiłem sobie, że nie zdołam dotrzeć do Kapui czy w ogóle na wybrzeże. Mogłem tylko, czołgając się, wrócić tutaj. Jedzenie skończyło mi się ponad tydzień temu, a woda dwa dni później. Wyciągnął rękę, wskazując dziurę w dachu. Gdyby nie śnieg, który wpadał do środka, umarłbym z pragnienia. – Uśmiechnął się. – Bogowie długo zwlekali z pomocą, ale w końcu odpowiedzieli na moje modlitwy.

Aurelia ścisnęła jego dłoń.

– Odpowiedzieli. Coś kazało mi tu przyjść. Najwyraźniej udało ci się wyblagać ich wsparcie.

– Ale nie mogę tu zostać – powiedział rozpaczliwie Suniaton. – Wystarczy, że spadnie trochę więcej śniegu, a dach zawali się pod jego ciężarem.

– Nie martw się! – zawołała Aurelia. – Mój koń uniesie nas oboje.

– Dokąd? – spytał ponuro. – Zaleczenie ran znów potrwa kilka miesięcy. Jeśli w ogóle z tego wyjdę...

– Zabiorę cię do gospodarstwa – odpowiedziała odważnie. – Powiem matce i Agesandrosowi, że znalazłam cię w lesie i nie mogłam zostawić, żebyś umarł.

– On mógł mnie zapamiętać – zaprotestował Suniaton.

– Nie sądzę. – Ścisnęła jego dłoń. – Szczerze mówiąc, wyglądasz okropnie. Nie przypominasz tego zbiegłego niewolnika z Kapui – zażartowała.

– Ale to oczywiste, że wyglądam na uciekiniera. – Suniaton się skulił.

– Nikt nie będzie wiedział, kim naprawdę jesteś – powiedziała pewnie. – Możesz udawać niemego.

– Czy to może się udać? – spytał niepewnie, marszcząc brwi.

– Oczywiście, że tak! – powiedziała zdecydowanie Aurelia. – A kiedy wydobrzejesz, będziesz mógł odejść.

W zmęczonych oczach Suniatona dostrzegła promyk nadziei.

– Jeśli jesteś pewna, że to dobry pomysł... – wyszeptał.

– Jestem – odparła Aurelia, poklepując jego rękę. Tak naprawdę była jednak śmiertelnie przerażona.

Jej umysł krzyczał: *Czy mamy jakiś wybór?*

Ponad dwa tygodnie później Kwintus kręcił się z Calatinuszem i Cinciuszem bez celu po obozie. Nastroje żołnierzy siedem dni po przybyciu Tyberiusza Semproniusza Longusa, drugiego konsula, były znacznie lepsze. Jego armia, składająca się z dwóch legionów i ponad dziesięciu tysięcy *socii*, piechoty i jazdy, sprawiła, że siły Rzymian rozrosły się do prawie czterdziestu tysięcy żołnierzy.

Trójka przyjaciół nieświadomie zmierzała w stronę kwatery głównej konsulów. Na razie nikt nie wiedział, co zamierza Longus, który przejął kontrolę nad wszystkimi siłami w obozie.

– Pewnie efekty ostatniego starcia podziałały na niego zachęcająco – oświadczył Calatinusz. – Nasza kawaleria i *velites* dały tym szczyrom nauczkę, której długo nie zapomną.

– Bezrozumne bękarty dostały to, na co zasłużyły – podzielał optymizm swojego towarzysza Cinciusz. – Galowie mają być ich sojusznikami. Jeśli plądrują lokalne siedziby, plemiona zaczną szukać pomocy.

– Ponieśli duże straty – przyznał Kwintus – ale nie jestem pewien, czy można mówić o zdecydowanym zwycięstwie, nawet jeśli tak twierdzi Longus. – Towarzysze Kwintusa spojrzeli na niego, nie kryjąc zdumienia. – Pomyślcie... Od początku mieliśmy przewagę, ale sytuacja uległa zmianie, gdy na polu bitwy pojawił się Hannibal. Kartagińczycy wytrzymali napór, prawda? – Kwintus powtórzył to, na co zwrócił mu uwagę ojciec, gdy rozmawiał z nim na temat ostatniej potyczki.

– No i co? – Cinciusz nie był przekonany. – Stracili trzy razy więcej ludzi niż my!

– Nie cieszysz się, że wreszcie ich pobiliśmy? – dopytywał Calatinusz.

– Oczywiście, że się cieszę! Chodzi mi tylko o to, że nie powinniśmy lekceważyć Hannibala.

Cinciusz prychnął pobłażliwie.

– Longus jest doświadczonym generałem. A według mnie każdy, kto umie tak poprowadzić armię, aby pokonała ponad tysiąc mil w czasie krótszym niż sześć tygodni, udowadnia, że jest genialnym strategiem.

– Widziałeś Longusa kilka razy od czasu jego przybycia. Ten człowiek zaraża pozytywną energią – dodał Calatinusz. – Co więcej, nie unika walki.

– Macie rację – zgodził się Kwintus. – Nasze oddziały są lepiej odżywione, lepiej uzbrojone. Mamy też przewagę liczebną nad Kartagińczykami.

– Potrzebujemy tylko dobrej okazji, aby się z nimi rozprawić – podsumował Cinciusz.

– Przyjdzie czas i na to – powiedział Calatinusz. – Wszystkie ostatnie omeny były dobre.

Kwintus wyszczerzył zęby w uśmiechu. Nie można było nie czuć entuzjazmu po takich rozmowach z przyjaciółmi i ostatnich zmianach, jakie zaszły w obozie. Jednak jak zawsze, gdy myślał o wrogach, w jego głowie pojawiał się obraz Hanno. Starał się go od siebie odsunąć.

Trwała wojna.

Na przyjaźń z Kartagińczykiem nie było już miejsca w jego sercu.

Minęło kilka dni i pogoda uległa gwałtownemu pogorszeniu. Dużo przenikliwie zimny północny wiatr, przynosząc ze sobą duże opady deszczu ze śniegiem i śniegu. Ponadto krótkie zimowe dni, zachmurzone niebo bez słońca i długie noce nie mogły nikomu poprawić

samopoczucia. Hanno rzadko widywał swoich braci i ojca. Kartagińscy żołnierze kulili się w namiotach, drżąc z zimna, ale starali się utrzymywać jak najwięcej ciepła w sobie. Wychodząc tylko za potrzebą, często trzeba było liczyć się z przemoknięciem do suchej nitki lub porządny przemarznięciem.

Z tych powodów zdumiały go wieści, które Sapho przyniósł po południu.

– Mieliśmy naradę z Hannibalem! Wyruszamy dziś wieczorem.

– Przy takiej pogodzie? – spytał z niedowierzaniem Hanno. – Jesteś szalony?

– Może. – Sapho uśmiechnął się szeroko. – Ale jeśli ja jestem szalony, to Hannibal też.

Ma nas poprowadzić nie kto inny, tylko sam Mago.

– Dwie falangi? Twoją i Bostara?

Sapho kiwnął głową.

– Plus pięciuset harcowników i tysięcy jeźdźców numidyjskich.

Hanno ukrył swoje rozczarowanie pod uśmiechem. Trochę dotknęło go, że został pominięty.

– Gdzie się wybieracie?

– Gdy my grzaliśmy się w namiotach, Hannibal dokładnie sprawdził okolice. Odkrył wąską rzeczkę, która biegnie przez równinę – wyjaśnił Sapho. – Oba brzegi są wysokie, mocno zalesione. Mamy się tam zasadzić i czekać na okazję, jeśli takowa się nadarzy, żeby uderzyć na tyły rzymskiej armii.

– Dlaczego Hannibal myśli, że przekroczy rzekę?

– Chce ich do tego sprowokować. – W oczach Sapho pojawiła się zaciekleść.

– Po to mu Numidyjczycy – domyślił się Hanno.

– Zgadłeś. O świcie zaatakują obóz wroga. Uderzą i wycofają się, uderzą i znów się wycofają. Wiesz, co potrafią...

– Tylko czy to wystarczy, aby wyciągnąć całą rzymską armię z obozu?

– Zobaczymy.

– Szkoda, że nie idę z wami – powiedział Hanno gorliwie.

Śmiech Sapho przypominał zduszony chichot.

– Oszczędź sobie żalów. Całe to cholerne przedsięwzięcie może się okazać bezsensowną stratą czasu. Gdy będziemy z Bostarem odmrażać sobie jaja w jakimś rowie, ty i reszta armii posiedzicie w ciepłku pod kocami. Ale jeśli dojdzie do walnej bitwy, to raczej jej nie przegapisz, prawda? Wszyscy będziemy musieli walczyć!

– Racja. – Hanno rozpogodził się, a na jego ustach pojawił się niepewny uśmiech.

– Spotkamy się w środku rzymskiej linii! – zawołał na odchodnym Sapho. – Wyobraź to sobie.

Hanno skinął głową. To był naprawdę pociągający obraz.

– Niech bogowie czuwają nad wami – powiedział. *Muszę zobaczyć się z Bostarem – pomyślał. Pożegnać się.*

– Trzymaj się, braciszku. – Sapho wyciągnął rękę i zmierzwił włosy Hanno. Nie robił tego od lat.

Kwintus właśnie śnił o Elirze, gdy uświadomił sobie, że ktoś nim potrząsa. Tak bardzo pragnął pozostać w tym śnie, ale uparte potrząsanie jego ramieniem zrobiło swoje. Otworzył oczy poirytowany i ujrzał nad sobą nie Elirę, ale Calatinusza. Zanim zdążył go zwyzywać, do jego zaspanego umysłu dotarły dźwięki trąbek grających larum. Szybko się wyprostował i rozejrzał wokół półprzytomnym wzrokiem.

– Co się dzieje?

– Nasze posterunki na obwodzie obozu są atakowane. Wstawaj!

– Co? Która godzina? – Od razu opadły z niego ostatnie opary snu.  
– Niedawno wzeszło słońce. Strażnicy zaczęli wzywać ludzi do broni akurat wtedy, gdy byłem w latrynie. – Calatinusz się skrzywił. – Mogę ci powiedzieć, że moja dupa się z tego nie ucieszyła...

Kwintus odrzucił koc i zaczął zbierać ubranie, uśmiechając się pod nosem na myśl o tej scenie.

– Dostaliśmy już rozkazy?

– Longus chce, aby wszyscy jak najszybciej przygotowali się do wymarszu – odparł Calatinusz, który był już w kompletnym rynsztunku. – Próbowałem obudzić cię krzykiem, ale nic z tego nie wyszło. Inni już siodłają konie.

– Zaraz będę gotowy... – mruknął Kwintus, klękając, żeby zawiązać sandały.

Szybko dołączyli do towarzyszy.

Było straszliwie zimno, a silny północny wiatr sprawiał, że nad połami namiotów unosiły się kłęby śnieżnych wirów. W całym obozie tysiące ludzi szykowały się do walki. Rozkazy wymarszu otrzymały nie tylko oddziały jazdy. Duże grupy *velites* formowały szeregi przed oficerami. Niewyglądający na zadowolonych z przedwczesnej pobudki *hastati* i *principes* – legionieści, którzy stali w dwóch pierwszych szeregach legionów – musieli też zapomnieć o racjach śniadaniowych, które marnowały się teraz w ogniskach. Ważniejsze było pobranie sprzętu. Posłańcy biegali w tę i w tę, dostarczając rozkazy do poszczególnych jednostek. Sygnaliści na palisadzie nieustannie dmuchali w trąbki, chociaż nikt już chyba nie mógł nie słyszeć tych dźwięków. Kwintus przełknął nerwowo ślinę. *Czy to był ten moment, na który czekał tak długo?* Wydawało się, że tak. Wkrótce potem z ulgą rozpoznał zbliżającego się ojca. Kawalerzyści witali go pełnymi sympatii pomrukami. Wszyscy jak jeden mąż stawali na baczność.

– To nie parada. Spoczniej! – powiedział Fabrycjusz, machając lekceważąco ręką. – Wyruszamy natychmiast. Longus rozkazał wyprowadzenie z obozu całej jazdy, która będzie wsparta przez sześć tysięcy *velites*. Mamy odrzucić nieprzyjaciela na drugą stronę Trebii. Nie będziemy już biernie przyglądać się poczynaniom Hannibala.

– A reszta armii, panie? – rozległ się jakiś głos. – Co z nimi?

Fabrycjusz uśmiechnął się lekko.

– Mają ruszyć za nami, gdy tylko będą gotowi.

Te słowa zostały skwitowane radosnym wiwatem, do którego dołączył się również Kwintus. Pragnął tego zwycięstwa tak samo mocno jak inni. Z tego, że ojciec nie wspominał o Scypionie, wynikało, iż ranny konsul zgadzał się z decyzją Longusa albo jego rady zostały wzięte pod uwagę. Tak czy inaczej, nie będą już siedzieć w obozie i dłużyć w nosie.

Fabrycjusz odczekał, aż okrzyki umilkną.

– Pamiętajcie, czego was uczyłem. Sprawdźcie uprzęże. Opróżnijcie pęcherze, zanim wsiądziecie na koń. Nie ma nic gorszego niż zmoczenie sobie gaci w ferworze walki. – Ta uwaga została powitana salwą nerwowego śmiechu. Fabrycjusz się uśmiechnął. – Sprawdźcie, czy żeleźce włóczni są wystarczająco ostre. Zawiążcie mocno hełmy pod brodami! I pilnujcie pleców swoich towarzyszy. – Spoważniał i powiódł wzrokiem po twarzach jeźdźców. – Niech bogowie wam sprzyjają.

– I tobie, panie! – krzyknął Calatinusz.

Fabrycjusz skłonił głowę w podziękowaniu, a potem, rzuciwszy Kwintusowi pocieszające spojrzenie, skierował się ku swojemu wierzchowcowi.

Już trzeci raz od świtu Bostar wspinał się na błotniste zbocze, żeby dotrzeć do pozycji zwiadowcy na czatach. Robił to także, żeby choć trochę się rozgrzać. Niestety, te kilkadziesiąt

kroków w górę wzniesienia nie wystarczało, aby pozbyć się chłodu z zastygłych z zimna mięśni. Spojrzał w dolinkę poniżej, w której gnieździli się ludzie Mago: tysiąc Numidyjczyków na koniach oraz tysiąc lekkobrojnnych piechurów, głównie libijskich harcowników i włóczników. Wydawało się, że ci ubrani w najcieplejsze rzeczy żołnierze, ściśnięci jak jabłka w beczce, zostali tu zebrani już wieki temu, chociaż w rzeczywistości nie minęło więcej niż pięć godzin. *Ludzie nie są dobrze przygotowani do tego, aby spędzać mroźną noc na świeżym powietrzu w tym klimacie* – pomyślał gorzko Bostar. Jego ciało z rozrzewnieniem wspominało słońce, które codziennie kąpało Kartaginę w gorących promieniach.

Gdy dotarł do krawędzi porośniętego krzakami zbocza, usiadł na piętach i wypatrywał jakiegokolwiek ruchu na horyzoncie. Nic się nie działo od czasu, gdy część jazdy numidyjskiej w ciszy minęła ich pozycje, zmierzając do brodu, a potem w stronę rzymskiego obozu po drugiej stronie rzeki. Bostar westchnął. Może minąć wiele godzin, zanim zacznie się coś dziać, niemniej musiał zachować czujność. Hannibal powierzył im najważniejsze zadanie. Po raz tysięczny Bostar powoli obracał głowę, przyglądając się uważnie otoczeniu oczami orła.

Rzeczka, która wrzynała się w tym miejscu głęboko w miękką ziemię, była małym dopływem Trebii, biegnącym na osi północ-południe przez równinę leżącą przed obozem kartagińskim. Zgodnie z instrukcjami Hannibala zajęli pozycje pół mili na południe od obszaru, na którym miało dojść do bitwy. Plan generała był prosty. Za ich plecami zaczynały się wzniesienia, które z czasem przechodziły w niskie wzgórza, ciągnące się aż po horyzont. Gdyby Rzymianie złapali przynętę, było mało prawdopodobne, że pomaszeraliby w tym kierunku. *Miejsce w sam raz na kryjówkę.* Miał nadzieję, że pomysł Hannibala wypali i że nie znajdą się zbyt daleko od miejsca bitwy, gdy nadejdzie właściwy moment. Jeśli nadejdzie.

Spojrzał na Mago, leżącego w płytkim dołku obok obserwatora. Zdawał się zupełnie niewrażliwy na przenikliwe zimno. Bostar polubił najmłodszego brata Barkasa. Podobnie jak Hannibal, Mago był charyzmatyczny i odważny. A ponadto wyróżniał się wyjątkowym poczuciem humoru, stanowił więc przeciwagę dla zdecydowanie surowszego Hannibala. Niższy od Hannibala Mago przypomniał Bostarowi psa myśliwskiego – szczupłego, muskularnego i zawsze chętnego, aby zerwać się ze smyczy.

– Widzisz coś, panie? – szepnął.

Mago przekręcił głowę.

– Niecierpliwisz się, co?

Bostar wzruszył ramionami.

– Tak samo jak wszyscy inni, panie. Trudno czekać tam na dole, nie wiedząc, co się dzieje.

– Cierpliwości. – Mago się uśmiechnął. – Rzymianie się pojawiają.

– Jak możesz być tego taki pewny, panie?

– Bo Hannibal wierzy, że tak się stanie, a ja mu ufam.

Bostar pokiwał głową. To była równie dobra odpowiedź, jak każda inna.

– Będziemy gotowi, panie.

– Wiem, że tak. Dlatego Hannibal wybrał ciebie i twojego brata.

– Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za to wyróżnienie – powiedział Bostar, nie mogąc jednak pozbyć się gorzkich myśli. Nie odezwali się do siebie od czasu składania raportu Hannibalowi. Bostar czuł żal, że wymienił z Hanno tylko kilka słów krótko przed opuszczeniem obozu. Złościł się, że jego młodszy brat zdawał się zbliżać do Sapho. Choć tak naprawdę to nie była jego sprawa.

Mago wstał z ziemi.

– Ludzie już jedli?

– Nie, panie.

– W brzuchu mi burczy, więc oni też muszą być głodni. Podzielmy racje żywnościowe. To nie będzie gorące śniadanie, jakie zjedzą nasi towarzysze w obozie, ale lepsze to niż nic. Człowiek z pełnym brzuchem widzi świat w jaśniejszych barwach, prawda? – Mago przeniósł wzrok na żołnierza na posterunku. – Nie martw się, znajdzie się coś i dla ciebie. Zaraz wysłę kogoś, żeby cię zmienił.

– Dziękuję, panie. – Mężczyzna wyszczerzył zęby.

– Prowadź, Bostarze... – powiedział Mago.

Wspomnienie o obozie sprawiło, że jego myśli pomknęły do Malchusa i Hanno. Jeśli Rzymianie dadzą się sprowokować i staną do bitwy, jego bliscy znajdą się na pierwszej linii. Nie w centrum formacji – Hannibal zdecydował się oddać ten honor plemionom galijskim – co wcale nie znaczy, że nie będzie im nic grozić. Na całej równinie toczyć się będzie walka na śmierć i życie. Westchnął ciężko. *Bogowie, chronicie nas wszystkich. A jeśli przyjdzie nam zginąć, pozwólcie nam odejść z honorem.*

Po połączeniu nielicznych oddziałów jazdy Scypiona z kawalerią Longusa generał dysponował siłą liczącą ponad cztery tysiące jeźdźców. Gdy tylko zebrane turmy poznały rozkazy, ludzie zostali wyprowadzeni przez bramę na przedpole fortyfikacji. Jednostka Fabrycjusza była jedną z pierwszych, które opuściły obóz.

Zaskoczony Kwintus zamrugał bardzo zdziwiony widokiem, który ukazał się jego oczom. Za posterunkami strażniczymi aż do rzeki rozciągała się równina, która zazwyczaj była pusta, jeśli nie liczyć ćwiczących musztrę żołnierzy czy małych grupek patrolów podążających to w jedną, to w drugą stronę. Teraz jednak mrowiły się tam tysiące Numidów. Fale wyjących wojowników galopowały w kierunku rzymskich pozycji, zasypywały je oszczepami, a potem skręcały ostro w bok i wycofywały się na bezpieczną odległość. Nieszczęsne obsady strażnic, liczące po cztery lub pięć osób na posterunek, nie mogły liczyć na chwilę oddechu. Ledwo kończył się jeden atak, już rozpoczynał się drugi. Numidyjczycy wrzeszczeli i wyzywali ich ile sił w płucach.

– Szyk bojowy! – wykrzyknął Fabrycjusz. Jego rozkaz po chwili powtórzyli oficerowie kolejnych szwadronów, które pojawiały się od strony bramy.

Kwintus zajął swoją pozycję, czując, że serce zaczyna mu bić szybciej. Podobnie uczynili Calatinusz, Cinciusz i ich pozostali towarzysze. Kolejne turmy stawały jedna obok drugiej w formacji o szerokości sześciu i głębokości pięciu jeźdźców. Gdy tylko linia była gotowa, Fabrycjusz wydał kolejny rozkaz:

– Naprzód!

Jeźdźcy ruszyli powoli, aby z czasem wejść w cwał, a następnie w galop. Jeśli szarża miała odnieść pożądany skutek, musieli uderzyć na Numidyjczyków na pełnej prędkości. *Jeśli tylko wróg zostanie na miejscu i zdecyduje się na walkę.* Kwintus wątpił, że tak się stanie. Z jego dotychczasowych doświadczeń wynikało, że ci okrutni jeźdźcy woleli raczej wykorzystywać swoją szybkość i zwinność, trzymając się na dystans. Niemniej Longus postępował słusznie. Nie mógł pozwolić, aby jego ludzie zostali zmasakrowani na oczach towarzyszy w forcie. Numidyjczyków trzeba było przegonić. Jako że tuż za jazdą rzymską podążało sześć tysięcy *velites*, zadanie nie wydawało się trudne.

Łoskot towarzyszący setkom kopyt uderzających o twardą ziemię sprawił, że utonęły w nim wszelkie inne dźwięki. Czasami przebijały się tylko zachęcające okrzyki Fabrycjusza. W bezpośredniej bliskości nieprzyjaciela jeźdźcy puścili wodze i przełożyli z lewych do prawych dłoni włócznie, lewymi nadal trzymając tarcze. Od tej chwili prowadzili konie, używając jedynie kolan. W takich chwilach jak ta sprawdzały się umiejętności zdobyte przez miesiące ćwiczeń.

Mimo szacunku dla wprawy towarzyszy Kwintus nadal spoglądał z obawą na Numidyjczyków, którzy przecież uczyli się siedzieć na koniu wcześniej, niż chodzić. Pocieszał się myślą, że za ławą rzymskich jeźdźców podążają *velites*. Ta pomoc może im się bardzo przydać.

– Patrz! Zauważyli nas! – krzyknął Calatinusz, wskazując ludzi na strażnicach, którzy teraz spoglądali w ich stronę raczej z radością rysującą się na twarzach niż z przerażeniem. – Trzymajcie się!

– Ci biedacy musieli przeżyć niezły szok, gdy Numidyjczycy ich zaskoczyli – odparł Kwintus.

– Pomoc wcale nie przysłała za wcześnie... – zauważył Calatinusz. – Wiele posterunków zostało już wyrżniętych.

Od wroga dzieliło ich pięćdziesiąt kroków.

– Czas wyrównać rachunki! – zawołał Kwintus, skupiając wzrok na chudym Numidyjczyku z drobnymi warkoczykami zaplecionymi przy skórze.

– Zaraz się zawiną i zwieją przed nami... – Usta Cinciusza zwinęły się w szyderczym uśmiechu. – Jak zwykle.

Tymczasem ze sporym zaskoczeniem stwierdzili, że jeźdźcy wroga ustawiają się na wprost, formując szyk zwrócony w stronę rzymskiej jazdy.

– Będą walczyć! Nie uciekają! – Kwintus poczuł lekkie mdłości, skoncentrował jednak wzrok na upatrzonym Numidyjczyku, który kierował się prosto na niego. Co dziwne, wyglądało na to, że też go sobie upatrzył.

– Wybierzcie przeciwników – wykrzyknął Fabrycjusz, modląc się w duchu, aby to starcie skończyło się innym wynikiem niż tamto nad rzeczką Ticinus. – Niech każda włócznia znajdzie cel.

Na widok Numidyjczyka, który właśnie odprowadził rękę do rzutu, Kwintus lekko spanikował. Na szczęście pocisk pofrunął między nim a Calatinuszem. Kwintus zaklął pod nosem. Numidyjczyk miał jeszcze dwie włocznie. Gdy tylko o tym pomyślał, nad jego głową przemknęło drugie drzewce. Przytulił się do końskiej szyi, słysząc niepokojący gwizd. Poczuł ucisk na żołądku. Jak długo będzie dopisywać mu szczęście? Znajdowali się nie dalej niż dwadzieścia kroków od wroga, a dystans malał z każdym uderzeniem serca. Jak można było spodłować z takiej odległości?

Numidyjczyk czekał z użyciem trzeciego oszczepu do ostatniej chwili, gdy znalazł się właściwie tuż przed Kwintusem. Jego błąd spowodował, że Rzymianin zdołał osłonić się tarczą. Chwilę później musiał ją odrzucić jako bezużyteczną, ale zdążył dźgnąć włócznią w brzuch przeciwnika, gdy ten go mijał. Kwintus i Calatinusz zderzyli się z formacją wroga, utrzymując pozycję, ramię przy ramieniu. Od razu świat skurczył się do małego wycinka rzeczywistości w bezpośrednim sąsiedztwie. Jego uszy wypełniał chrzęst zbroi, szcęk ostrzy i krzyki mężczyzn – ogłuszająca kakofonia, która w ogromnym stopniu powiększała dezorientację. Tak wielka masa nieprzyjaciół sprawiała, że rzadko wymieniał z jednym wrogiem więcej ciosów. Pierwszym przeciwnikiem Kwintusa okazał się młody Numidyjczyk, który zamachnął się włócznią tak, że prawie wyłupał mu oko. Zdążył dziabnąć go swoją włócznią, po czym niespodziewanie został zepchnięty dwadzieścia kroków w tył, a nieprzyjaciel zniknął mu z oczu.

Potem skrzyżował broń z dwoma kolejnymi Numidyjczykami, jednego dźgając w ramię, a drugiego w pierś. Następnie ruszył na pomoc Rzymianinowi, który został osaczony przez trzech wrogów. Rozpaczliwie starali się odeprzeć szybkie jak błyskawica pchnięcia włóczni Numidyjczyków. A później wojownicy nieprzyjacielscy rozplynęli się w kurzu i pyłe niczym zjawy. Kwintus zorientował się, że to samo działo się na całej szerokości rzymskiej linii. Poruszali się synchronicznie jak ławica ryb, która z wielką łatwością zmienia kierunek.

Niespodziewanie jednak Numidyjczycy zatrzymali się w odległości kilkuset kroków. Zaczęli wykrzykiwać w stronę Rzymian obelgi, a ci odpowiedzieli równie głośno tym samym.

– Parchate kundle! – wydarł się Cinciusz.

– Wracajcie tu, kozojebcy! – ryczał Calatinusz.

Kwintus uśmiechnął się pod nosem.

– Odrzuciliśmy ich dość daleko od obozu.

– Tak – zgodził się Calatinusz, którego twarz lśniła od potu. – Czas na odpoczynek. Jestem kurewsko zmęczony.

– Ja też – odezwał się Cinciusz.

Fabrycjusz pozwolił swoim ludziom na krótki odpoczynek. Nad mrowiem jeźdźców unosiły się białe kłęby pary oddechów. Szybko jednak zniknęły w zacinającym śniegu z deszczem.

– Musimy się ruszyć, zanim wszyscy zamrzniemy na śmierć – zawołał głośno Fabrycjusz.

Kwintus zerknął na Calatinusza i Cinciusza.

– Gotowi na kolejny wypad?

– Jak najbardziej!

Jakby czytając w ich myślach, Fabrycjusz wykrzyknął rozkaz.

– Formuj linię! Naprzód! – Rozkaz został przekazany wzdłuż całej linii. Rzymscy jeźdźcy nie potrzebowali wielkiej zachęty. Spięli konie i ruszyli do przodu. Ziemia znów zadrżała, gdy tysiące koni tratowały ziemię. Tym razem Numidyjczycy walczyli krócej, po czym się wycofali. Teraz też nie oddalili się zbyt daleko. Ponownie odwrócili się, gotowi do walki. Rzymscy jeźdźcy rzucili się na wrogów, rezygnując z odpoczynku. Utrzymanie tempa ataku miało kluczowe znaczenie.

Morale poprawiał widok sześciu tysięcy *velites*, którzy podążali tuż za nimi, gotowi przyjść z pomocą, gdyby okazała się konieczna. To, że maszerowali pieszo, wcale nie czyniło ich mniej niebezpiecznymi. Ich podstawowym zadaniem było zabezpieczenie i utrzymanie zdobytego terenu. Gdyby Numidyjczycy zdecydowali się go bronić, *velites* mogli wesprzeć swoich towarzyszy i przechylić szalę zwycięstwa na stronę Rzymian. Gdyby zaś jazda z jakiejś przyczyny musiała się wycofać, *velites* zapewniliby jej osłonę z tarcz. *Wygląda na to, że korzystają na tym obie formacje* – pomyślał zadowolony Kwintus.

Tego dnia o świcie nie rozległ się dźwięk rogów, który zwykle budził żołnierzy. Przywykli do obozowej rutyny ludzie w większości już nie spali. Hanno uśmiechnął się pod nosem, słuchając szemrania włóczników swojej falangi. Zwykli żołnierze nie rozumieli, dlaczego jeszcze nikt nie kazał im zrywać się z posłań. Większość wołała nawet nie pytać, ale to tu, to tam spod klap namiotów zaczęły wychylać się pojedyncze głowy. Oficerowie uspokajali, że nic się nie dzieje. I wtedy, korzystając z tej niespodziewanej, rzadkiej okazji, żołnierze wracali z powrotem pod koce. W obozowisku przez pół godziny panowała niezwykle cisza. Dla Kartagińczyków dodatkowy odpoczynek był niczym manna z nieba. Mimo że pogoda ich nie rozpieszczała, w namiotach było sucho, wylegiwali się w ciepłe i czuli się bezpiecznie.

W końcu jednak rogi zabrzmiały. Nie na alarm, ale by obwieścić, że nadszedł czas pobudki. Dbając o morale swoich ludzi, Hanno chodził od namiotu do namiotu i rozmawiał z żołnierzami.

– Co się dzieje, panie? – spytał niski włócznik o krzaczastej czarnej brodzie.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Hanno się uśmiechnął.

– Tak, panie! – przytaknął z entuzjazmem.

Hanno doskonale wiedział, że przysłuchują im się wszyscy żołnierze wokół.



– W tej chwili Numidyjczycy atakują rzymski obóz. – Podniosły się wiwaty, a Hanno uniósł ręce, chcąc je uciszyć. – Nawet jeśli te menty złapią się na przynętę i ruszą za naszą jazdą, przekroczenie rzeki zajmie im wieki. Macie dużo czasu. – Włócznicy przyjęli jego wyjaśnienie zadowolonymi pomrukami. – Chcę, żebyście się dobrze przygotowali. Zróbcie rozgrzewkę, rozciągnijcie mięśnie. Nasmarujcie się oliwą. Sprawdźcie oporządzenie. Potem odłóżcie broń i zjedzcie ciepłe śniadanie. Jasne?

– Tak jest, panie!

Hanno wrócił do swojego namiotu. Też musiał coś zjeść. Gdy skończył, położył się na posłaniu i natychmiast zasnął. Po raz pierwszy od opuszczenia Kartaginy śnił o matce, Arishat. Nie wydawała się zmartwiona, że Malchus i jej trzej synowie służą w armii Hannibala. Hanno uznał, że to wyjątkowo pocieszający omen. Duch matki czuwał nad nimi.

Obudził go dopiero sygnał, który oznaczał: „Wróg w polu widzenia”.

Uniósł się błyskawicznie z mocno bijącym sercem. Rzymianie naprawdę podążają za Numidyjczykami! Wreszcie on i wszyscy żołnierze kartagińscy będą mieli pierwszą prawdziwą okazję, aby ukarać Rzym za to, co zrobił jego ludowi.

Wykorzysta ją najlepiej, jak tylko się da.

Nieco ponad godzinę później około ośmiu tysięcy harcowników i włóczników Hannibala – a wśród nich również Hanno – zajęło pozycje około półtora mili na wschód od obozu. Za tym ochronnym ekranem zaczęła powoli formować się reszta armii. Usłyszawszy, że nieprzyjaciel w wielkiej sile przekroczył Trebię, Hannibal wreszcie zdecydował się wyprowadzić w pole swoje oddziały. Hanno nie mógł wyjść z podziwu dla geniuszu Hannibala. W przeciwieństwie do Rzymian, którzy nie zdążyli zjeść śniadania i w tej właśnie chwili brnęli na drugi brzeg w głębokiej do piersi zimnej wodzie, żołnierze Hannibala mieli pełne brzuchy i wkraczali do walki rozgrzani przy ogniskach. Nawet z tej odległości słychać było pełne energii pieśni towarzyszące kolumnom marszowym. Do uszu Hanno dochodziły też żalosne ryki słoni, które zabrano z zagród pełnych siana i ustawiono na flankach.

Hanno zajął ze swoją falangą pozycję na najbardziej wysuniętym na wschód punkcie łuku, tuż nad brzegiem Trebii. To właśnie tu powinno dojść do pierwszego kontaktu z wrogiem. Pomiedzy jednostkami pozostawiono trochę wolnej przestrzeni, aby ułatwić wycofywanie się Numidyjczykom. W razie potrzeby można je było łatwo zamknąć. Pięćset kroków przed linią lśniących grotów libijskich włóczników ustawiono setki procarzy z Balearów, którzy teraz cierpliwie czekali na rozwój sytuacji. Z ich zaciśniętych pięści zwisały paski proc. *Nie wyglądają jakoś specjalnie groźnie* – pomyślał Hanno. Wiedział jednak, że kamienie wielkości jajka miotane za pomocą ich broni mogą pokonywać duże odległości i z łatwością rozbijają czaszki mężczyzn. Taka salwa – nawet wystrzelona przez obszarpańców w łachmanach – może skutecznie zniechęcić, a nawet zatrzymać napierającego wroga.

Wiatr trochę zelżał. Z szaro-żółtych chmur na żołnierzy niecierpliwie czekających na bitwę sypał teraz gęsty śnieg. *Muszą się z tym pogodzić* – pomyślał ponuro Hanno. *Przez jakiś czas nic się nie będzie działo. Numidyjczycy wciąż wycofują się przez Trebię. Gdy rzymska kawaleria pojawi się na drugim brzegu, prawdopodobnie nie zaatakuje osłony uchodzących Numidyjczyków.*

Po jakimś czasie okazało się, że miał rację. Przez półtora godziny przez luki między oddziałami przechodziły kolejne szwadrony jazdy. W którymś momencie Hanno rozpoznał wśród nich Zamara. Uniósł rękę w pozdrowieniu.

– Jak wygląda sytuacja?

Zamar zwolnił.

– Wszystko idzie dobrze. Wątpięm, że Rzymianie w ogóle podejmą wyzwanie, ale wylali

się z obozu jak mrówki z mrowiska.

– Tylko ich konnica?

– Nie. Za nimi postępują tysiące lekkobrojnnych. – Zamar się zaśmiał. – Potem pojawiła się też ciężka piechota. *Niech będą ci dzięki, wielki Melkarcie!* – podziękował bogu w myślach zadowolony Hanno. – Walczyliśmy i wycofywaliśmy się na zmianę. I stopniowo wciągaliśmy ich nad rzekę. Właśnie tam straciliśmy najwięcej ludzi. To musiało wyglądać, jakbyśmy naprawdę spanikowali. Rozumiesz? – powiedział Zamar, łypiąc na niego nachmurzony. Jego twarz jednak szybko się rozjaśniła. – W każdym razie udało się. Za kawalerią prosto w nurt weszła piechota wroga. Zabrali się do przeprawy przez rzekę. Najlepsze jest to, że w tym momencie zaczął naprawdę mocno sypać śnieg. Widziałem, jak twarze tych sukinsynów robiły się sine z zimna!

– I co? Cofnęli się?

– Nie! – Zamar potrząsnął głową ze złowrogim uśmiechem. – Nie zawrócili. Może zanim tu dotrą, minie cały dzień, ale możesz być pewien, że nadchodzą. Cała cholerna armia.

– A zatem nadeszła ta chwila... – mruknął Hanno. Znow poczuł znajome łaskotanie w brzuchu.

Zamar spoważniał i kiwnął głową.

– Niech Baal Saphon chroni ciebie i twoich ludzi.

– Ciebie również – odparł Hanno. Patrzył smętnie, jak Numidyjczycy przesuwają się na tyły formacji. Czy jeszcze się kiedyś zobaczą z Zamarem? To mało prawdopodobne. Nie pozwolił sobie na melancholijne rozmyślenia. Było za późno na żal. Znajdowali się tu wszyscy: on, Malchus, Sapho i Bostar. Zamar i żołnierze kartagińskiej armii. Bitwa była tylko kwestią czasu. Rozlew krwi stał się tak samo nieunikniony jak śmierć wielu tysięcy.

Hanno wierzył, że Hannibal ich nie zawiedzie. Nie zmienił zdania nawet wówczas, gdy pojął, że szła na nich cała rzymska armia konsularna.

## Rozdział XXIV



Gdy Numidyjczycy znów im odskoczyli, Fabrycjusz przegrupował swoich ludzi na drugim brzegu rzeki. Wielka masa jeźdźców przepawiła się jednym rzutem, po czym ruszyła od razu dalej, mijając miejsce, w którym przed kilkoma dniami patrol zwiadu został unicestwiony przez oddział dowodzony przez Hanno. Kwintus starał się nie myśleć o tym, co się wtedy stało. Zerkał niepewnie na nisko wiszące chmury. Na razie śnieg przestał padać. Chyba należało za to podziękować?

– Musi być co najmniej *hora quinta* – zastanawiał się na głos nad tym, która może być godzina.

– Co za różnica? – odezwał się ochryplym głosem Calatinusz. – Wiem tylko, że chce mi się pić i jestem kurewsko głodny.

– Masz... – Kwintus rzucił mu bukłak.

Calatinusz uśmiechnął się z wdzięcznością. Pociągnął kilka solidnych łyków.

– Bogowie, ale zimne! – poskarżył się.

– Ciesz się, że nie służysz w piechocie! – Kwintus wskazał Calatinuszowi rzekę. Do jej przekroczenia szykowały się teraz tysiące żołnierzy.

– Racja! – Calatinusz spochmurniał. – Nawet na koniu to nie było przyjemne, a co dopiero mówić o biednych piechurach. Ta cholerna rzeka musi sięgać im do piersi.

– Zimowe deszcze... Pewnie równoległe dopływy są teraz głębokie do pasa, więc ci biedacy będą musieli kąpać się kilka razy w piekielnie zimnej wodzie. Nawet nie chce mi się o tym myśleć.

– Rozgrzeją się w walce – stwierdził stanowczo Cinciusz.

Kwintus i jego dwaj towarzysze znaleźli się w grupie, która jako pierwsza wyłoniła się zza drzew i wkroczyła na nadrzeczną równinę. Od razu osadzili konie, klnąc w żywy kamień. Już nie musieli gonić za Numidyjczykami.

Ćwierć mili dalej – tak daleko, jak sięgał wzrok, aż po horyzont – ciągnęły się długie szeregi wrogów. Armia Kartaginy.

– Stać! – ryknął Fabrycjusz. – Mają osłonę. Nie warto popełniać samobójstwa.

Jego ludzie wykrzykiwali zniewagi za wycofującymi się wrogami. Czuli się tak, jakby ktoś pozbawił ich szansy zemśczenia się na podających tyły Numidyjczykach.

Fabrycjusz chwilę później wychwycił w tłumie twarz Kwintusa. Uśmiechnął się do niego, ciesząc się, że jego syn nie został ranny.

– Ależ poranek, co?

– Tak, ojciec. – Kwintus odwzajemnił uśmiech. Pogoniliśmy im kota!

Fabrycjusz przyglądał się badawczo brązowo-żółtym chmurom. Zmarszczył brwi.

– Hmm... Zaraz znów zacznie sypać śnieg. A nam przyjdzie długo czekać, zanim rozpocznie się ta bitwa. Zajęcie pozycji zajmie legionom i *socii* wiele godzin. Do tego czasu nasi ludzie pozamarszują.

Kwintus rozejrzał się wokół.

– Niektórzy nie mają nawet płaszczy.

– Za bardzo palili się do walki – skwitował ponuro Fabrycjusz. – O co się założysz, że nie nakarmili ani nie napoili koni przed wymarszem?

Kwintus zaczerwienił się ze wstydu. On też nie pamiętał o podstawowych obowiązkach kawalerzysty.

– Co robimy?

– Widzisz tamten zagajnik?

Kwintus spojrzał na pobliską gęstą kępę młodych buków po ich lewej stronie.

– Tak.

– Schowajmy się tam. Longusowi może się to nie spodobać, ale konsula tu nie ma. Będziemy mogli szybko zareagować, jeśli pojawi się jakieś zagrożenie dla legionistów. Nie sądzę jednak, że to prawdopodobne. Hannibal nie bez powodu nakazał swoim ludziom ustawić tu te falangi. Chce dziś stoczyć walną bitwę. Dopóki się nie rozpocznie albo zanim nie dostaniemy nowych rozkazów, powinniśmy zadbać o to, żeby się trochę rozgrzać.

Kwintus skinął głową z wdzięcznością. Dobrze już rozumiał, że wojna składała się nie tylko z walki z mieczem w dłoni. Równie ważna była logistyka, inicjatywa i kreatywność.

Podczas gdy reszta kawalerii i rzesze *velites* przestępowały niepewnie z nogi na nogę, wlepiając wzrok w legionistów pokonujących Trebię, Fabrycjusz poprowadził swoich ludzi do młodnika, w którym mogli osłonić się przed śniegiem, zjeść coś i choć chwilę odpocząć przed walką.

Po dwóch godzinach czekania Hanno z coraz większym trudem znosił wstrząsające nim dreszcze. Jego żołnierze również niemiłosiernie marzli. Stanie w miejscu na rozległej równinie w taką pogodę było prawdziwą torturą. Opady śniegu przeszły w śnieg z deszczem, a siła wiatru rosła z każdą chwilą. Podmuchy zimnego, przenikliwego wiatru smagały Kartagińczyków i Rzymian z równą furją. Jedyna okazja do rozgrzania kości nadarzyła się wtedy, gdy gońcy dostarczyli rozkaz cofnięcia się ku obozowi.

– Spójrz na tych sukinsynów! – zawołał Malchus, który zajrzał do syna, zostawiwszy na krótko swoją falangę pod dowództwem młodszego oficera. – Czy to się kiedyś skończy? Ciągłe nadchodzą nowe oddziały.

Hanno przyglądał się uważnie formowaniu rzymskiego szyku. Równina nieuchronnie wypełniła się wielkimi masami wojska.

– To musi być cała rzymska armia!

– Tak sądzę – odparł ponuro ojciec. Nagle wybuchnął śmiechem. – Jeśli sądzisz, że twoim ludziom jest zimno, to pomyśl, że tamci mają znacznie gorzej. Niewykluczone, że nic nie jedli od rana, a teraz wszyscy są przemoczeni. – Hanno się wzdrygnął. Mógł tylko zgadywać, jak czułby się smagany zimnym wiatrem, w mokrej odzieży i ciężkiej kolczudze, która gdy jest zimno, zabiera całe ciepło z ciała. Zniechęcony. Bez energii. – Tymczasem my – ciągnął ojciec – jesteśmy wypoczęci, gotowi i nie możemy się ich doczekać.

Hanno zerknął na boki. Gdy tylko ostatni Numidyjczycy zniknęli za szeregami falangi, włócznicy spokojnie wycofali się, żeby zająć swoją pozycję w szyku bojowym armii Hannibala, składającej się z jednej, nieprzerwanej i gęstej linii piechoty. Jakieś trzysta kroków przed nimi

znaleźli się procarze i numidyjscy harcownicy. Hannibal nie ustawił w centrum formacji swoich najlepszych oddziałów piechoty – Libijczyków i Iberów. Zamiast nich w tym miejscu stanęło około ośmiu tysięcy Galów.

– Czy to nie my powinniśmy być na ich miejscu? – spytał buńczucznie, wskazując wojowników plemiennych.

Malchus spojrzał na niego taksująco.

– Zastanów się, dlaczego to im przypadł ten zaszczyt. I posłuchaj ich. – Hanno przechylił głowę, żeby lepiej słyszeć. Okrzyki wojenne i dźwięki aerofonów, które dochodziły do ich uszu, z bliższej odległości musiały być naprawdę ogłuszające.

– Radują się tym wyróżnieniem. To wpłynie na ich morale i lojalność.

– Właśnie tak. Dla nich duma jest wszystkim – odpowiedział Malchus. – Czy mogliby marzyć o większym wyróżnieniu niż honor bronienia centrum formacji? Ale jest też inny powód. Najcięższe walki będą toczyć się w centrum. Tam też poniesiemy największe straty. Hannibal stara się tym samym ograniczyć straty najbardziej doświadczonych żołnierzy.

Hanno spojrzał na ojca zdumiony.

– Jest gotów zrobić coś takiego?

– Oczywiście – odparł bez wahania Malchus. – Wojowników z lokalnych plemion można szybko zastąpić nowymi. Nasi ludzie, *scutarii* i *caetrati*, to zupełnie inna sprawa. Dlatego stoimy na skrzydłach.

Hanno był pod coraz większym wrażeniem geniuszu militarnego Hannibala. Spojrzał na siedemnaście słoni ustawionych tuż przed nimi. Reszta znajdowała się na drugim skrzydle, również przed falangami piechoty iberyjskiej. Zdał sobie sprawę, że rozmieszczenie tych zwierząt też było sposobem na zmniejszenie strat wśród ciężkozbrojnej piechoty. Dalej, za liniami piechoty, na każdej flance zebrała się jazda: pięć tysięcy Numidyjczyków i jeźdźców galijskich. Przewaga Kartagińczyków w tej formacji dawała sporą nadzieję rozbicia jazdy wroga. Wystarczy, że Galowie wytrzymają potężne uderzenie rzymskich legionów w sam środek linii kartagińskiej.

– Galowie się nie ugną? – zastanawiał się zaniepokojony.

– Jest duże prawdopodobieństwo, że nie wytrzymają naporu – odparł Malchus, zaciskając zęby. – Może i są odważni, ale z ich dyscypliną nie jest najlepiej.

Hanno przyglądał się plemiennym wojownikom. Niewielu miało na sobie jakieś części zbroi. Nawet przy tej pogodzie większość z nich wolała walczyć bez koszul. Nie można wykluczyć, że kolczugi legionistów i ich ciężkie tarcze dadzą Rzymianom istotną przewagę. A Galów czekać będzie trudna próba.

– Jeśli się nie załamają, a kawaleria poradzi sobie z rzymską jazdą...

Malchus wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Nasi ludzie po obu stronach będą mogli uderzyć na boki rzymskiej formacji.

– I wtedy pojawi się Mago.

– Musimy mieć nadzieję, że ten plan się powiedzie. Bo od tego zależy nasze życie.

– Dużo ogniw musi złożyć się na zwycięstwo w tej bitwie. – Hanno z trudem godził się z myślą, że tak niewiele zależy od nich.

– Masz rację. A Galowie będą mieli do wykonania najtrudniejsze zadanie.

Hanno zamknął oczy i zaczął się modlić. *Wielki Melkarcie, do tej pory raczyłeś obdarzać Hannibala swoją łaską. Nie zawieź go także dzisiaj.*

Fabrycjusz zauważył jednego z posłańców konsula na długo przed tym, nim Kwintus i jego towarzysze zdążyli się rozgrzać. Wyjechał mu na spotkanie, a potem wrócił klusem do zagajnika.

– Longus chce, aby jazda rzymska ustawiła się na prawym skrzydle, a kawaleria oddziałów pomocniczych i sprzymierzeńców na lewym. Musimy kierować się na północ, aż minimy ostatni rząd formacji.

– Kiedy? – spytał poirytowany Kwintus. Jego wcześniejsze podekscytowanie zbliżającą się bitwą zupełnie zniknęło. W tej chwili, szcękając zębami, myślał tylko o przenikliwym zimnie.

– Teraz! – Fabrycjusz wezwał dekurionów i wydał im odpowiednie rozkazy. – Zbierzcie ludzi. Wyruszamy natychmiast.

Kwintus mógłby przysiąc, że gdy opuścili osłonę drzew, wiatr uderzył z nową siłą, od razu pozbawiając ich tej resztki ciepła, którą udało im się w tak krótkim czasie zgromadzić. *To by było na tyle* – pomyślał ponuro. *Im szybciej rozpocznie się bitwa, tym lepiej. Wszystko będzie lepsze niż ta tortura.*

Fabrycjusz poprowadził ich przez luki w trzech liniach formacji. Zanim wyjechali na otwartą przestrzeń, Kwintus mógł przyjrzeć się szykowi całej armii. Longus wybrał tradycyjną formację, w której kolejne linie dzieliła odległość stu kroków. Weterani – *triarrii* – ustawili się w ostatniej linii. W środku stali *principes*. Na tę linię składali się głównie mężczyźni liczący dwadzieścia kilka lat, a nie więcej niż trzydzieści kilka. Najmłodszy – *hastati* – tworzyli pierwszą linię. Przed nimi kulili się wyczerpani *velites*, którzy mimo że brali udział w niedawnym pościgu za Numidyjczykami, teraz musieli pierwsi stawić czoła wrogom.

Wszystkie trzy linie dzieliły się też na manipuły. *Hastati* i *principes* tworzyli dwie centurie, liczące po mniej więcej sześćdziesięciu, siedemdziesięciu legionistów. Weteranów było najmniej – ich manipuły składały się z dwóch centurii o liczebności zaledwie trzydziestu żołnierzy. Jednostki w każdej linii nie tworzyły ciągłego frontu. Centurie stały jedna za drugą, oddalone od siebie na szerokość czoła manipułu. Jednostki drugiej i trzeciej linii ustawione były tak, aby przed nimi rozciągała się pusta przestrzeń o głębokości poprzedzającej je centurii, tworząc *quincunx*, czyli układ pięciu elementów, znany na przykład z kości do gry. Taka elastyczna formacja pozwalała na szybkie reagowanie na zmiany na polu walki. Stojące w drugiej lub trzeciej linii centurie w biegu wypełniały luki, poruszając się swobodnie obok nieruchomych towarzyszy. Ten szyk umożliwiał także łatwiejsze wycofanie zmęczonych żołnierzy i wprowadzenie do bitwy świeżych posiłków.

Od narożnika prawej flanki dzieliła ich długa droga, dzięki czemu Kwintus miał dość czasu, aby przyjrzeć się też szykowi armii kartagińskiej. Pierwsze linie wroga znajdowały się około ćwierć mili od nich, wystarczająco blisko, aby mógł rozpoznać poszczególne formacje. Dobrze widział, że Kartagińczycy mają o wiele więcej jazdy. Jego uwagę przykuły groźne sylwetki co najmniej dwudziestu słoni, ustawionych na skrzydłach. Powietrze drżało od ryku rogów i aerofonów, tak niepodobnego do dźwięków dobrze znanych każdemu legionście rzymskich trąbek. Nie było wątpliwości co do tego, że Hannibal miał o wiele mniej ludzi niż Longus, ale na widok jego sił – nawet jeśli armia kartagińska składała się raczej z mało znanych typów oddziałów – można było poczuć dreszcze.

Przemieszczając się w tak niewielkiej odległości od kartagińskich szeregów, Kwintus miał wrażenie, że ich oddział śledzą tysiące oczu i przez to staje się podatny na ciosy. Na szczęście nie trwało to długo. Minęli cztery regularne legiony, a potem grupę najwyższych dowódców, z Longusem i trybunami, którzy wybrali dla siebie pozycję na styku legionów i oddziałów sojuszniczych z prawego skrzydła. Wreszcie jednostka Fabrycjusza dotarła do reszty rzymskiej kawalerii, która po ich przybyciu liczyła nie więcej niż tysiąc jeźdźców. Ich zaciekawieni towarzysze zaczęli dopytywać, gdzie się podziewali, i zewsząd posypały się niewybredne żarty.

– Byłem z twoją matką! – wypalił jakiś mądrała. – I pochędożyliśmy z twoimi siostrami!  
Ordynarny żart sprowokował gniewne odpowiedzi i po chwili jeźdźcy obrzucali się już kolejnymi obelgami. Usta Fabrycjusza drgnęły w uśmiechu. Spojrzał na Kwintusa i zauważył, że ten mocno się dziwi, że jego ojciec pozwala na takie rozluźnienie dyscypliny.

– Wielu z nich niedługo zginie – wyjaśnił. – Dzięki temu nie myślą o śmierci.

Uwaga dotycząca nieuchronnych strat sprawiła, że Kwintus znów poczuł mdłości. Czy będzie mu dane doczekać świtu? Czy zobaczy jeszcze ojca? Calatinusza? Cinciusza? Patrzył na znane twarze ludzi, z którymi zżył się w ciągu ostatnich tygodni. Nie wszystkich lubił, ale oni przecież byli jego towarzyszami broni. Kto z nich wyzionie ducha na tej równinie, kto powita ranek, wykrwawiając się w zimnym błocie? Kto zostanie okaleczony albo oślepiony? Poczul, że macki strachu sięgają do jego żołądka.

Ojciec chwycił go za ramię.

– Weź głęboki oddech – powiedział cicho.

– Dlaczego? – Kwintus popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

– Rób, co mówię. – Posłuchał. Z ulgą zauważył, że Calatinusz i Cinciusz zajęci byli rozmową. – Przytrzymaj powietrze w płucach. Skup się na biciu serca. *To nie jest trudne* – pomyślał Kwintus. *Obją się o moje żebra jak dziki ptak w klatce.* Ojciec odczekał chwilę. – A teraz wypuść powietrze przez usta. Spokojnie i powoli. Potem zrób to jeszcze raz.

Kwintus rozejrzał się nerwowo, ale wyglądało na to, że nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Zrobił tak, jak mu powiedziano. Przy trzecim czy czwartym oddechu poczuł, że przestaje mu szumieć w skroniach i staje się spokojniejszy. Serce zwolniło i nie czuł się tak przerażony.

– Wszyscy się boją przed walką – pocieszył go ojciec. – Nawet ja. Pędzenie na złamanie karku prosto na wroga, który myśli tylko o tym, aby cię zabić... To przerażające doświadczenie. Warto w takiej chwili myśleć o towarzyszach wokół. Bo w tym czasie liczą się tylko oni.

– Rozumiem – mruknął niepewnie Kwintus.

– Będzie dobrze. Wiem to. – Fabrycjusz poklepał go po ramieniu.

Kwintus, uspokojony, kiwnął głową.

– Dziękuję, ojczu.

Gdy Longus upewnił się, że wszystkie oddziały zajęły swoje pozycje, kazał sygnalistom trąbić do ataku. Długa linia pieszych zafalowała, gdy wreszcie mogli unieść swoje zdrętwiałe z zimna nogi i ruszyć po na wpół zamarznętej ziemi w stronę wroga. W szeregach rozległy się modlitwy do bogów. Chorążowie unieśli proporce, aby wszyscy dobrze widzieli talizmany jednostek – wykonane ze złota figurki zwierząt na szczytach drzewców, które dźwigali. Każdy legion miał pięć takich insygniów, przedstawiających orła, byka, konia, wilka i dzika. Chorągwie były traktowane z wielkim szacunkiem. Kwintus żałował, że jego jednostka nie posiadała insygnium. Nawet piechota sojuszników miała podobne chorągwie. Z nieznanym mu powodów chorągwi tego typu nie było w jednostkach jazdy.

*Co by się nie działo, Rzym zatriumfuje* – pomyślał. Zmusił konia do ruchu, ściskając jego boki kolanami. Ruszył przed siebie. Na wroga.

Najważniejszym założeniem planu bitwy było wciągnięcie Rzymian na tyle daleko od brodu, aby minęli rozpadlinę nad rzeczką, gdzie ukryły się oddziały Mago. W związku z tym armia musiała pozostać w miejscu, bez ruchu obserwując zbliżających się wrogów. To były nerwowe chwile, gdyż mogli się tylko modlić i czekać, sprawdzając po raz kolejny swoje oporządzenie. Naśladowując ojca, Hanno przemówił krótko do swoich ludzi. Powiedział im, że znaleźli się tu po to, aby pokazać Rzymowi, że nie wolno mu lekceważyć Kartaginy. Przybyli tu, aby zemścić się za wszystko, co Rzym uczynił z ich ludem. Włócznikom spodobała się

przemowa Hanno, ale najgłośniejszym wiewatowali wówczas, gdy przypominał im, że są tu dlatego, ponieważ idą za wielkim przywódcą, Hannibalem, oraz, co najważniejsze, aby pomścić bohaterską śmierć swoich towarzyszy, którzy padli od czasu opuszczenia Saguntum ponad sześć miesięcy temu.

Niemniej te okrzyki zadowolenia wypadały wyjątkowo blado w porównaniu z odgłosami wydawanymi przez Galów. Połączenie bębnow, śpiewu i instrumentów dętych tworzyło niesamowitą, ogłuszającą mieszankę. Hanno nigdy czegoś takiego nie doświadczył. Muzycy stali tuż przed wojownikami, grając na zakrzywionych rogach ceramicznych i dmuchając ile sił w płucach w *carnyxes*. Wojownicy Galów dopasowywali rytm uderzeń mieczy oraz włóczni o tarcze do własnego, jednostajnego śpiewu. Niektórych z nich ta kocia muzyka wprowadzała w taki trans, że wyskakiwali przed szereg, rozbierali się do naga i wymachiwali mieczami nad głową niczym opętani przez demony.

– Mówią, że pod Telamonem ziemia trzęsła się od tego hałasu – krzyknął ojciec.

*To im wiele nie pomogło, bo i tak przegrali tamtą bitwę* – pomyślał ponuro Hanno.

Z każdym krokiem pierwszego rzędu rzymskiej formacji napięcie w szeregach Kartagińczyków rosło. Rzymski szyk ciągnął się chyba przez kilka mil w obie strony, gdyż jego krańców nie dało się ogarnąć wzrokiem. Formacja kartagińska była znacznie krótsza, przez co musieli liczyć się z tym, że zostaną okrążeni. Hanno przestał się tym martwić, gdy tylko Hannibal nakazał swoim harcownikom brać się do dzieła.

Procarze z Balearów i numidyjscy oszczepnicy z wielkim wigorem wyskoczyli na pozycje przed włócznikami. Doszło do starcia lekkiej piechoty, które oznaczało głównie wymianę ciosów na odległość. W tej fazie bitwy Kartagińczycy po raz pierwszy pokazali swoją wyższość, wychodząc z tej potyczki zwycięsko. W przeciwieństwie do przemoczonych, zmęczonych welitów, którzy walczyli już przecież właściwie od rana i pozbyli się większości swoich oszczepów, świeższe oddziały Hannibala były ich na głowę lepszym morale i kondycją fizyczną. Oszczepy i kamienie świsnęły w powietrzu setkami, wycinając całe szeregi *velites* niczym łany pszenicy. Jako że Rzymianie nie mogli odpowiedzieć równie intensywnym ostrzałem, wkrótce wycofali się przez luki pozostawione w pierwszej linii ciężkiej piechoty legionów. Hannibal od razu nakazał zaprzestanie ataków harcowników, ponieważ ludzie ci nie mieli zbroi i nie chciał ryzykować, że niepotrzebnie poniosą duże straty w starciu z *hastati*. Truchtających w przerwach między falangami harcowników witano radosnymi okrzykami.

– Dobry początek! – krzyknął Hanno do swoich ludzi. – To my pierwsi utoczyliśmy Rzymowi krwi!

Legioniści deptali harcownikom po piętach.

– Tarcze w górę! – Hanno wydał rozkaz wzniesienia muru tarcz. Kątem oka zarejestrował ruch iberyjskiej i galijskiej kawalerii, a także słoni, które ruszyły w kierunku zabezpieczającej skrzydło nieprzyjaciela jazdy. Poświęcił im dosłownie jedną myśl – w modlitwie za powodzenie ich ataku.

W następnej chwili zasypał ich deszcz *pila*. Każdy legionista z pierwszej linii zabierał ze sobą w bój dwa oszczepy, dzięki którym legion mógł rozbić nawet najtwardszą obronę. Fala frunących w powietrzu długich pocisków sprawiała, że mogło się wydawać, iż przestrzeń pomiędzy dwiema armiami przykrył cień.

– Za osłonę! – wykrzyknął Hanno, chociaż wiedział, że największe szanse na przeżycie tego ostrzału mają ci włócznicy, którzy znajdowali się najbliżej pierwszej linii i muru z tarcz. Zwarta formacja falangi oznaczała, że ludzie stojący w kolejnych rzędach nie mogli unieść dużych tarcz. Kiedy zatem rzymskie oszczepy opadały w dół, mogli tylko zaciskać zęby i liczyć na łut szczęścia, że nie zostaną trafieni.



*Pila*, zakończone kutymi ostrzami w kształcie małej piramidki, mogły przebijać tarcze i ranić chroniących się za nimi ludzi. I tak się właśnie stało. Śmiertelnie groźne oszczepy zabijały, raniły i z łatwością przechodziły przez elementy zbroi osłaniające ciało. Powietrze wypełniły straszliwe odgłosy wydawane przez ludzi duszących się własną krwią z przebitych arterii. Ci, którzy odnieśli inne rany, krzyczeli ile sił w płucach. Tych, którzy wyszli z tego ostrzału bez szwanku, na widok życia uchodzącego z towarzyszy opanowywał obezwładniający strach. Hanno zaryzykował spojrzenie na czoło falangi. Zaklął szpetnie. Po oddaniu pierwszej salwy *hastati* posunęli się jeszcze o kilka kroków zupełnie nie niepokojeni. Znajdowali się teraz w odległości mniejszej niż czterdzieści kroków od pierwszej linii kartagińskiej i przygotowywali się właśnie do oddania drugiej salwy. Nie mógł nie podziwiać dyscypliny legionistów. W obliczu wroga potrafili zwolnić lub nawet zatrzymać się, aby oddać rzut. Jak doskonale wiedział, warto było dobrze przymierzyć. Oddziały o niższym morale już pewnie załamałyby się i rzuciły do ucieczki, aby nie dać się dopaść ponownie stalowemu deszczowi oszczepów. Hanno cieszył się, że dowodzi weteranami. Chociaż falanga poniosła spore straty, mur tarcz nawet nie drgnął. Falanga dowodzona przez ojca również wydawała się solidna jak skała.

Poważne straty ponieśli również Galowie po jego lewej stronie. Hanno widział, że niektórzy wojownicy mają naprawdę nietęgę minę. Był to zły znak w tak wczesnej fazie bitwy. Wyglądało jednak na to, że ich dowódcy zostali ukształtowani ze szlachetnego kruszcu, bo szybko poradzili sobie z objawami paniki, rugając i zachęcając swoich ludzi, aby dumnie stawili czoła nieprzyjacielskiej nawale. Hanno musiał przyznać z ulgą, że ich metody przynosiły pożądany skutek. Gdy *hastati* zasypali ich kolejną falą oszczepów, Galowie szybko unieśli w powietrze swoje tarcze, ograniczając straty. Chociaż dzięki temu udało się zminimalizować liczbę rannych i zabitych, wielu wojowników musiało odrzucić tarcze, pozbawiając się osłony podczas zbliżającego się starcia wręcz. Chyba nie było na świecie bardziej bezużytecznego narzędzia niż tarcza z tkwiącym w niej wygiętym oszczepem. Co dziwne, wydawało się, że Galowie lepiej czuli się bez nieporęcznych tarcz! Zagrzewając się do walki gniewnymi okrzykami, przebierali nogami, gdyż nie mogli się już doczekać, kiedy *hastati* znajdą się w zasięgu ich długich mieczy.

Tarcze straciło również wielu włóczników zajmujących do tej pory miejsce na czele falangi. Hanno znów zaklął siarczyście. W te luki z pewnością uderzą legionści, doskonale widząc, że dzięki temu mają szansę przebicia się przez falangę. Niemniej Hanno nie mógł na razie wiele zrobić, aby zmniejszyć zagrożenie.

– Zwarty szyk. Zagęścić formację! – krzyknął. Gdy ten sam rozkaz powtarzali młodszy oficerowie na całej szerokości, poczuł drgnięcie tarcz po obu stronach, przesuwających się tak, aby stworzyć solidną barierę. – Pierwsze dwa szeregi włócznie na sztorc! Setki drzewców uderzały o siebie z suchym trzaskiem, gdy żołnierze w drugim rzędzie wymierzili włócznie nad ramionami tych znajdujących się z przodu. Hanno zacisnął zęby. – Właśnie tak! Utrzymać szyk!

W tej fazie natarcia legionistów mógł już z łatwością skupiać się na konkretnych twarzach w tłumie atakujących: krępy mężczyzna ze śladami po ospie na twarzy, obok niego młody chłopak w napiersniku, który nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. *Jest mniej więcej w moim wieku. Przypomina Gajusza, syna Martialisa.* Hanno zamrugał niespokojnie. Musi się mylić. *Gajusz jest nobilem i służy w rzymskiej jeździe. Zresztą kogo to obchodzi?* – zrugął się ostro. *Oni wszyscy są moimi wrogami! Mam ich zabijać.*

– Spokojnie. Czekać na mój rozkaz!

Zbliżający się *hastati* teraz zaczęli krzyczeć. Każdy z nich był uzbrojony w gladius, trzymany w prawej dłoni, oraz ciężką tarczę, o wydłużonym, owalnym kształcie i z metalowym umbem. Podobnie jak skórzane osłony na tarczach Kartagińczyków, także te na rzymskich *scuta*

ozdobione były różnymi malowidłami. Ich różnorodność zrobiła na Hanno wielkie wrażenie. Mógł podziwiać sylwetki dzików, wilków zbierających się do skoku, a także różne układy kręgów i spiral. Te obrazy mocno kontrastowały z bardziej ozdobnymi wzorami, którymi Libijczycy woleli pokrywać powierzchnie swoich tarcz.

Mężczyzna obok niego nie mógł opanować zdenerwowania i dźgnął włócznią, licząc że uda mu się trafić przeciwnika. Ten ruch przywołał Hanno do rzeczywistości.

– Czekać! Pierwsze pchnięcie musi być śmiertelne!

Jedno uderzenie serca. Drugie.

– Teraz! – Hanno ryknął na cały głos.

W tym samym momencie sam pchnął włócznią, celując w twarz najbliższego wroga. Po bokach setki włóczników robiły to samo. Szybki ruch włóczni zaskoczył Rzymianina, dzięki czemu grot prześlizgnął się po krawędzi tarczy i wbił się z chrzęstem w jego lewy oczodół. Z okropnej rany trysnęła jakaś wodnista ciecz przemieszana z krwią, a z gardła śmiertelnie rannego przeciwnika wyrwał się przeraźliwy krzyk. Hanno instynktownie chciał wepchnąć włócznię jeszcze głębiej, uśmiercając przeciwnika, ale nie zrobił tego. Jego przeciwnik i tak zapewne umrze po tym ciosie, a najważniejsze było to, że nie był już groźny. Dla niego ta bitwa już się skończyła. Hanno, mocno wykręcając nadgarstek, pociągnął włócznię, aby uwolnić ostrze. Żeleźce zazgrzytało o kość, a wyjący legionista padł na ziemię jak długi.

Hanno nie zdążył odetchnąć, gdyż nowy przeciwnik zajął miejsce rannego, rzucając się na niego z impetem. Gdyby nie to, że tarcza była zablokowana w murze, Hanno pewnie sam znalazłby się na ziemi. Tymczasem stracił tylko równowagę i przez chwilę walczył o odzyskanie prawidłowej pozycji. Właśnie na to czekał legionista. Zgiął rękę w łokciu i dźgnął gladiusem nad górną krawędzią tarczy. Hanno szarpnął szaleńczo głową, dzięki czemu ostrze zazgrzytało tylko po napoliczku hełmu, po czym świsnęło z boku jego głowy. *Hastatus* warknął gniewnie i wycofał dłoń, aby zadać kolejny cios. Hanno próbował wykorzystać zasięg swojej włóczni, ale przeciwnik znajdował się zbyt blisko. Czuł narastającą panikę. Bitwa dopiero się rozpoczęła, a on już był martwy.

Wtedy zupełnie niespodziewanie z gardła legionisty wystrzelił okrwawiony grot włóczni. Zaskoczony *hastatus* otworzył szeroko oczy. Przez chwilę wydawał z siebie odgłosy dławienia, a potem ostrze cofnęło się, a on zwałił się na ziemię bezwładnie jak worek kamieni. Z rany w szyi tryskały strumienie krwi, zraszając tarczę i stopy Hanno.

– Dzięki! – krzyknął do żołnierza stojącego za nim. Nie mógł się odwrócić, aby sprawdzić, kto uratował mu życie, bo kolejny *hastatus* już nacierał na niego z żądzą śmierci w oczach. Tym razem Hanno zdołał utrzymać napastnika na dystans. Przez jakiś czas wymieniali ciosy, przeklinając głośno, ale żadnemu nie udało się zdobyć przewagi. Wreszcie jakimś łaskawym zrządzeniem losu, gdy zginął kartagiński włócznik – jeden z tych, którzy musieli odrzucić tarczę ze sterczącymi z niej oszczepami, zajmujący pozycję parę kroków w prawo od Hanno – w powstałą lukę natychmiast rzucili się dwaj *hastati*, krzycząc, żeby towarzysze podążyli za nimi. Przeciwnik Hanno uznał, że to zbyt dobra okazja, aby przeszła mu koło nosa i ruszył za nimi. Dzięki temu Hanno zyskał chwilę, żeby rozejrzeć się po liniach.

Z trudem łapał oddech. Czuł pierwsze oznaki zaniepokojenia. Falangi utrzymywały pozycje, ale ledwo ledwo... Galowie po lewej stronie nie radzili sobie z powstrzymaniem naporu legionistów, którzy niestrudzenie parli do przodu. Co istotne, na tym odcinku do *hastati* dołączyli też *principes*. Hanno pomyślał gorzko, że tym samym szansa Galów na utrzymanie pozycji znacznie zmalała. Większość z nich nosiła bowiem koszule kolcze, które z powodzeniem chroniły ich przed ciosami. Na razie jednak galijscy wojownicy nie uciekali. Mimo braku pancerzy każdy z nich walczył mężnie do końca. Ziemia pod ich stopami już pokryła się stosami

ciał i utraconej broni. Pod wpływem ciepłej krwi zamieniała się w krwawe błoto.

Hanno przeniósł wzrok na lewe skrzydło Rzymian. To, co tam zobaczył, sprawiło, że poczuł przypływ nadziei. Dzięki zdecydowanemu naporowi Iberów i Galów flanką nieprzyjaciela została pozbawiona mobilnej osłony kawalerii. Nie dostrzegł jednak śladów ciężkiej jazdy Hannibala, co oznaczało, że musiała nadal ścigać Rzymian. Ta myśl niosła ze sobą niepokojące wnioski. Jeśli starcie sił kawalerii nie zakończyło się zwycięstwem Kartagińczyków, los piechoty został już przesądzony. Po chwili tę pustą przestrzeń na skrzydle zapełniły setki postaci, które rzuciły się na lewą flankę wroga. Z ulgą stwierdził, że dowódcy umiejętnie wykorzystywali lekkobrojnych harcowników, którzy, uprzednio wycofawszy się za linię falangi, znowu zasypywali Rzymian oszczepami i kamieniami.

Wyjający *hastatus*, który rzucił się wprost na niego, wyrwał go z chwilowego odrętwienia. Podjął walkę z nową determinacją, wykorzystując przewagę długości włóczni, aby dźgnąć Rzymianina w twarz. Bitwy nie można było jeszcze uznać za zakończoną. Wciąż mogli liczyć na zwycięstwo.

Gdy ruszyli przeciwko Kartagińczykom, Kwintus już zapomniał o uspokajających słowach ojca. Nie mógł opanować drżenia ciała. *Jak tysiąc jeźdźców ma mierzyć się z przeważającym wrogiem? Ich jest ponad pięć razy więcej! To po prostu niemożliwe.*

Calatinusz również wyglądał na pogodzonego z losem.

– Longus powinien być podzielić naszą jazdę po równo – mrucał pod nosem. – Na drugiej flance jest prawie trzy tysiące jazdy sprzymierzonej.

– To nie w porządku... – jęknął Cinciusz.

– Nawet gdyby było nas więcej i tak musielibyśmy walczyć z przeważającym liczebnie wrogiem – odparł zmęczonym głosem Kwintus.

– Też racja. Nie możemy liczyć na to, że będą czuć do nas respekt. Zakosztowali już wiktorii, wielokrotnie masakrując naszą jazdę. – Calatinusz skłął konsula.

– Dajcie spokój! My mamy tylko ich zając – szukał jakiegoś pocieszenia Kwintus. – Utrzymać pozycję, żeby nie mogli wyczyniać, co im tylko przyjdzie do głowy na polu bitwy. – Calatinusz burknął tak, że w tym dźwięku dało się wyczuć zwątpienie i jakieś niedowierzanie. Cinciusz też nie wydawał się przekonany. – Posłuchajcie, jak walczy nasza piechota! – zawołał Kwintus. Wrzawa była ogłuszająca. – Jest ich ponad trzydzieści pięć tysięcy. Jak Hannibal ze swoją małą armią, zbieraniną ludzi różnych narodowości, może mierzyć się z taką potęgą? Nie da rady!

Jego towarzysze spoglądali teraz w przyszłość z nieco większą pewnością siebie.

Kwintus pomyślał, że chciałby wierzyć, że to, co mówi, jest prawdą. Jazda wroga znajdowała się już bardzo blisko. Rozpoznawszy kolczugi, okrągłe tarcze i długie włócznie, zrozumiał, że przyjdzie im zmierzyć się z Galami. Zwrócił uwagę na małe, objające się o boki koni kuleczki przytroczone do uprzęży. Nagle, przerażony, zdał sobie sprawę, że to ludzkie głowy! Ci wojownicy mogli być „sojusznikami”, którzy niedawno zaszlachtowali ich towarzyszy we śnie. Wśród tych pamiątek mogła znajdować się głowa Liciniusza!

Calatinusz też w tej samej chwili uzmysłowił sobie, na co patrzą.

– Zawszawione kundle! – wydarł się na nich.

– Tchórzliwe bękarty! – ryknął Cinciusz.

Kwintus również poczuł, że ogarnia go wściekłość. Nie zamierzał umykać przed tymi podstępными szczurami, które nie cofają się przed podrzynaniem gardeł śpiących towarzyszy. *Wolałbym umrzeć, niżli cofnąć się przed nimi.* Kwintus uniósł włócznię i wybrał cel – wojownika na potężnie zbudowanym siwym koniu. Jego uwagę przykuły wspaniałe złoty naszyjnik zwisający z szyi Gala. To musiała być jakaś ważna persona. O tym, że ma przed sobą trudnego

przeciwnika, świadczyły też trzy ludzkie głowy, obijające się o pierś wierzchowca. Kwintus uznał, że jeśli uda mu się go zabić, to będzie dobry początek.

Tymczasem jednak nie było mu dane zmierzyć się z Galem, którego sobie upatrzył. Później, z perspektywy czasu, musiał przyznać, że dobrze się stało, bo plemienny wojownik doskonale znał swój fach. Kwintus z przerażeniem obserwował, jak Gal z pozorną łatwością przebija klatkę piersiową rzymskiego jeźdźca nie dalej jak dwadzieścia kroków od niego. Siła uderzenia poderwała Rzymianina z siodła. Gdy znalazł się na ziemi, był już martwy. Koń następnego Rzymianina potknął się o ciało. Jeździec na jego grzbiecie zachwiał się i stał się kolejnym, łatwym łupem Gala, który teraz z wprawą wywijiał swoim długim mieczem. Jeden zamaszty ruch, a głowa kawalerzysty pofrunęła w powietrze. Kwintus nigdy nie widział, aby krew z arterii szyjnej strzelała tak wysoko. Spanikowany koń biegał teraz w kółko, a krew jego pana tryskała na wszystkich wokół. Zrobił kilkanaście kroków, zanim ciało nieżyjącego jeźdźca osunęło się na ziemię.

Gal pociągnął za uzdę, osadzając konia w miejscu. Zeskoczył zwinnie na ziemię. Zdumienie Kwintusa przemieniło się w poczucie niesmaku, gdy zdał sobie sprawę, że wojownik przerwał walkę tylko po to, aby przymocować do końskiej uprzęży kolejne trofeum w postaci ludzkiej głowy. W tej chwili dałby wszystko, aby móc dotrzeć do Gala i wrazić mu ostrze w uśmiechnięte usta. Nie było mu to jednak dane. Mało brakowało, a sam straciłby głowę, gdyby jakimś cudem nie uchylił się przed szerokim cięciem miecza. Zdołał to zrobić tylko dlatego, że przeciwnik wydał głośny okrzyk wojenny, zanim wyprowadził zabójczy cios. Tak czy inaczej, Kwintus prawie zleciał z konia. Z szybkością zrodzoną z czarnej rozpaczycy odzyskał pion i sparował następny potężny cios przeciwnika.

Wyglądało jednak na to, że Fortuna miała go w swojej opiece, bo przeciwnik był chyba młodszy nawet od niego i – jak uświadomił sobie Kwintus – znacznie słabiej wyszkolony. Szermierz bardziej doświadczony niż on szybko posłałby go do piachu. Musiał jednak przyznać, że chłopakowi nie brakowało odwagi ani wytrwałości. Przez kilka chwil wymieniali ciosy, aż wreszcie nadarzyła się okazja do zakończenia pojedynku. Zadawane z dużą siłą ciosy Gala sprawiały, że po każdym uderzeniu odslaniał prawy bok. Kwintus postanowił zaryzykować, zastanawiając się, czy zdoła zareagować szybciej niż jego wróg. Nie sparował następnego uderzenia, ale pochylił się nisko nad końską szyją, słuchając śmiertelnego gwizdu ostrza nad głową. Gdy jego przeciwnik wciąż jeszcze prowadził rękę, Kwintus zaatakował z nienacka niczym kłosający wąż. Wbił włócznię w bok chłopaka, przesuwając ją swobodnie przez otwór pod ramieniem w koleczudze. Tunika nie wystarczyła, aby powstrzymać grot przed dotarciem między żebrami do płuca i serca. To był czysty, śmiertelny cios, jakiego Kwintus jeszcze nigdy wcześniej nie zadał. Jednak na zawsze przyjdzie mu zapamiętać nie to, ale grymas bólu i zaskoczenia w oczach młodego Gala, gdy zniknął z nich płomyk życia.

Gdy Kwintus podniósł wzrok i rozejrzał się po polu bitwy, struchlał ze strachu. Większość ze znajdujących się w pobliżu rzymskich jeźdźców padła w boju. Nie mógł zlokalizować ani Calatinusza, ani Cinciusza, ani swojego ojca. Gdzie nie spojrzeł, widział tylko galijskich jeźdźców. Na dodatek za ich plecami pojawiły się setki Iberów. *Sczeznię marnie na długo przed ich dotarciem tutaj.* Trzej galijscy wojownicy już zmierzali prosto na niego. W geście rozpaczycy próbował zignorować dwóch, którzy znajdowali się nieco dalej. Nie żeby to miało jakiś większy sens. *I tak już jestem trupem.* Jego ojciec też już pewnie nie żył, a starcie kawalerii zakończyło się sromotną klęską Rzymian. Czy jego śmierć będzie miała jakieś znaczenie?

Uniósł włócznię i wyrzucił z płuc ostatni krzyk, w którym chciał zawrzeć cały swój bunt przeciwko takiemu losowi.

– Chodźcie, dranie! No, dalej!

Trzech wojowników odpowiedziało na jego wyzwanie niewyraźnymi pomrukami.

W tej chwili przed oczami pojawił mu się przerażający obraz własnej głowy jako trofeum Galów. *Niech śmierć przyjdzie szybko* – modlił się Kwintus.

## Rozdział XXV



Bostarowi z trudem przychodziło zapanowanie nad emocjami, gdy obserwator złożył raport, z którego wynikało, że wróg przekroczył rzekę. Natychmiast wspięli się z Sapho na krawędź parowu. Położyli się obok wyraźnie zniecierpliwionego Mago. Z napiętymi jak postronki nerwami przyglądali się marszowi rzymskiej jazdy, a potem *velites* i ciężkozbrojnej piechoty legionów oraz sprzymierzeńców Rzymu. Dopiero wtedy zdali sobie sprawę, czego właściwie stali się świadkami.

– Rzymskiego konsula nie interesuje podgryzanie przynęty – mruknął podekscytowany Mago. – Przełknął ją za jednym razem. To jest cała jego pieprzona armia!

Spojrzeli po sobie nerwowo.

– To znaczy, że czeka nas bitwa – powiedział Sapho z zapalem.

– Nie powinniśmy się jeszcze ujawniać! – wtrącił Bostar.

– Zgadza się. Musimy poczekać na najlepszy moment, aby uderzyć na tyły Rzymian w najmniej nieoczekiwanej chwili – ostrzegł Mago. – Jeśli wyruszymy za wcześnie, może nas to kosztować zwycięstwo w tym starciu.

Wiedzieli, że Mago ma rację, dlatego, choć niechętnie, pozostawali na miejscu, obserwując rozgrywający się przed ich oczyma spektakl. Bostarowi wydawało się, że nigdy dłużej na nic nie czekał. Czas włókł się niemiłosiernie. Mago co chwila poruszał się nerwowo, a Sapho tak mocno zaciskał pięści, że mu zsiniały palce. Wiedział, że czują się tak samo. Minęły trzy, może cztery godziny, ale w tych warunkach wydawało się, że czekają całe eony. Naturalnie wieść o tym, że Rzymianie przekroczyli rzekę, rozeszła się wśród dwóch tysięcy żołnierzy w parowie lotem błyskawicy. Trudno im było zachować milczenie. *To zrozumiałe* – pomyślał Bostar. *Nie dało się zbyt długo cieszyć myślą o tym, że nic nam na razie nie grozi, zwłaszcza że w tym samym czasie nasi towarzysze walczą na śmierć i życie.*

Mago nie ruszył się nawet wówczas, gdy dotarły do nich pierwsze odgłosy walki. Bostar zmuszał się, aby zachować spokój. Wiadomo było, że najpierw zetrą się lekkie siły harcowników, ale te oddziały na pewno szybko się wycofają. I tak też się stało, bo odgłosy i okrzyki na jakiś czas umilkły. Od tej chwili słyszeli już tylko dudnienie tysięcy stóp wielkiej armii, która nieuchronnie zbliżała się do kartagińskiej linii.

– Rzymska piechota ruszyła – stwierdził Mago półgłosem. – Melkarcie, czuwaj nad naszymi ludźmi.

Bostar czuł, że na dnie żołądka formuje mu się lodowata kula strachu. *Chwila, gdy stajesz oko w oko z tak wielką liczbą wrogów, musi być przerażającym doświadczeniem.*

Leżący obok niego Sapho poruszył się niezgrabnie.

– Bogowie! Chronście ojca i Hanno – wyszeptał. W tym momencie ich wzajemne animozje przestały się liczyć. Bostar powtórzył taką samą modlitwę.

Huk, który dotarł do ich uszu chwilę później, był tak potężny, jak zwielokrotniony stukrotnie grzmot burzy. A na niebie nie wisiała żadna chmurka. I ten grzmot był o wiele bardziej niebezpieczny, bardziej przerażający niż kaprysy natury. Bostar zadrżał. Od początku tej wojny był świadkiem wielu strasznych rzeczy. Olbrzymi głaz, który prawie pozbawił życia ich wodza, przyniósł śmierć wielu ludziom. Nigdy też nie zapomni scen grozy po upadku Saguntum czy lawin, które pociągnęły dziesiątki mężczyzn w alpejskie rozpadliny. Nigdy jednak do tej pory nie było mu dane usłyszeć huku, jaki powstaje, gdy tysiące żołnierzy uderzają na wroga po raz pierwszy w bitwie. Ten dźwięk niósł groźbę śmierci zadawanej na wiele różnych sposobów. A przecież Hanno i jego ojciec znajdowali się w samym środku tej śmiertelnie niebezpiecznej burzy błyskających ostrzy. Jakimś sposobem Bostar zachowywał spokój, starając się nie dopuścić do siebie krzyków, które teraz unosiły się ponad *crescendo* zderzających się tarcz. Ta metoda nie sprawdzała się jednak zbyt dobrze na dłuższą metę. Spojrzał na Mago, który rzucił mu pocieszające spojrzenie.

– Czy to już, panie? – spytał Bostar.

W oczach Mago zapłonął ogień.

– Wkrótce. Przygotuj swoich ludzi do wymarszu. Powiadom oficera dowodzącego Numidyjczykami. Na mój sygnał wyprowadź ludzi na górę.

– Tak jest! – Bostar i Sapho uśmiechnęli się do siebie tak, jak za dawnych lat, a potem zbiegli po stoku w dół parowu.

Od tego momentu wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. Później Bostar wspominał te chwile jako ciąg rozmytych obrazów. Pamiętał podniosłą atmosferę i dreszcz ekscytacji wśród żołnierzy przyjmujących rozkazy. Głowę Mago, który wychylił się z wykrotu i machnął ręką, sygnalizując, że powinni ruszać. Zapierający dech w piersiach widok na równinę po lewej stronie, gdzie ścierały się gigantyczne masy ludzi. Kto wygrywa? Czy Hanno żyje? Mago, który łapie go za ramię i potrząsa, każąc mu zachować koncentrację. Rozkaz zdjęcia tarcz z pleców i chwycenia za broń. Ustawienie falang w luźnym szyku. Taniec koni Numidyjczyków, którzy w mig podzielili się na dwie grupy, zajmując pozycje na skrzydłach formacji piechoty. Uniesiony miecz Mago, którym wskazał wroga. I jego okrzyk: „Za Hannibala i Kartaginę!”.

A potem bieg. Nigdy nie zapomni tego biegu.

To nie był sprint na złamanie karku. Od miejsca bitwy dzieliło ich ponad pół mili. Gdyby zmęczeni się biegiem, utraciliby przewagę, jaką dawała im lokalizacja kryjówek. Poruszali się szybkim truchtem, pozostawiając na swojej drodze kłęby pary z oddechów. Zimne powietrze wypełniło się niskimi, powtarzającymi się odgłosami stąpania koni po zmarzniętej ziemi, butów żołnierzy i podkutych sandałów. Nikt się nie odezwał. Nikt nie czuł takiej potrzeby. Oczy wszystkich zwrócone były na sceny rozgrywające się przed nimi. Mimo że pole bitwy mogło wydawać się teraz jakimś mitycznym wyobrażeniem chaosu, jedna rzecz była jasna. Nie było ani śladu kawalerii wroga, co oznaczało, że jeźdźcy iberyjscy i galijscy świetnie wykonali swoje zadanie. Na skrzydłach rzymskiej formacji piechota *socii* z trudem stawiała opór połączonym siłom kartagińskiej piechoty, harcowników, numidyjskiej jazdy i słońiom. Można było uznać to za spore osiągnięcie, więc Bostar czuł potrzebę okazania radości. Nie śmiał jednak otworzyć ust. Wynik tej bitwy wciąż jeszcze nie był przesądzony. Gdy znaleźli się bliżej, mógł się sam przekonać, że w centrum toczyła się niezwykle zacięta walka. Legioniści wbili się głębiej w środek formacji wroga, co oznaczało, że zepchnęli Galów, którzy zajęli pozycje na środku szyku.

*Nie wchodzimy do walki ani chwilę za wcześniej* – pomyślał Bostar.

Mago chyba właśnie doszedł do takiego samego wniosku.

– Do ataku! Biegiem! – krzyknął. – Naprzód!

Bostar, Sapho i reszta żołnierzy natychmiast zebrali się do szaleńczego biegu. Zwiększali stopniowo tempo i w końcu pędzili co sił w nogach, ile tchu w piersiach, nie bacząc na niebezpieczeństwa. Ten, kto by się teraz potknął, ryzykował złamanie kostki lub nogi. Nikt jakoś o tym nie myślał. Gnała ich żądza utoczenia krwi nieprzyjacielowi. Chcieli tylko zanurzyć ostrza w ciałach Rzymian.

Ostatnie chwile tego biegu miały wszystkie cechy surrealistycznego snu. Przyjemnego snu. Dzięki ogłuszającej wrzawie nad polem bitwy nie musieli martwić się tym, czy ktoś usłyszy, że nadciągają. *Triarii* z trzeciego rzędu formacji legionów – ich cele – nie oglądali się za siebie. Nie było nic dziwnego w tym, że weterani skupiali się na tym, co dzieje się przed nimi, przygotowując się do wejścia do walki. Absolutnie nie spodziewali się, że dwa tysiące kartagińskich żołnierzy za chwilę spadnie na ich tyły. Bostar będzie już zawsze pamiętał pierwsze twarze, które zwróciły się w ich kierunku. To niedowierzenie i przerażenie, gdy docierało do nich, że wróg znajduje się nie dalej niż trzydzieści kroków. Chrapliwe okrzyki, gdy nieliczni *triarii*, którzy już zorientowali się w sytuacji, próbowali ostrzec towarzyszy o groźącym im śmiertelnym niebezpieczeństwie. I satysfakcja, gdy wbili się głęboko w rzymskie szeregi, zatapiając ostrza włóczy i mieczy w plecach ludzi, którzy nawet nie wiedzieli, skąd nadeszła śmierć.

Po raz pierwszy w życiu Bostar poczuł, że ogarnia go szal bitewny. W otaczającej go czerwonej mgłę łatwo było stracić rachubę zabitych wrogów. To przypominało łowienie ryb w płytkim skalnym oczku wodnym u wybrzeży Kartaginy. Cios. Wrażenie grotu tak głęboko, jak tylko się dawało. Wycofanie ręki. Wybór nowego celu. Gdy w końcu żeleźce jego włóczy utknęło w szkielecie jednego z legionistów, Bostar po prostu puścił bezużyteczną broń i wyciągnął miecz. W ogóle nie zdawał sobie sprawy, że jego ramię aż do łokcia jest czerwone od krwi, ale też wcale go to nie obchodziło. *Nadchodzę, mój mały bracie. Nie daj się zabić, ojcze!*

W końcu coraz więcej weteranów z legionów zaczęło stawiać opór. Kartagińscy posuwali się wolniej, bo walka stawała się coraz trudniejsza, ale ludzie Mago nadal mieli przewagę. Skrzydła formacji rzymskiej załamały się pod naporem Kartagińczyków. Bostar mógł triumfować. Połączone siły elitarnych włóczy z Kartaginy i jazdy, uderzające na flanki obsadzone przez oddziały sojuszników Rzymu, złamały ducha walki przeciwników. W sytuacji, gdy rozciągnięte oddziały nie mogły się przegrupować, aby stawić czoła nowemu zagrożeniu, były bezlitośnie rozbijane i wyrzynane.

Ci, którzy przeżyli, rzucili broń i podali tyły, kierując się ku Trebii. Bostar odrzucił głowę do tyłu i zawył jak zwierzę, ciesząc się ze zwycięstwa, które wydawało się teraz w zasięgu ręki. Za nimi krążyły już tysiące kawalerzystów Hannibala, którzy tylko czekali na ten moment. *Socii* nie udało się ujść z pułapki.

Nagle w polu widzenia Bostara pojawił się mężczyzna, weteran z mieczem stępionym od uderzeń. Natychmiast przypomniał mu, że ich zadanie nie zostało jeszcze wykonane. Chociaż formacja *triarii* poniosła wielkie straty, reszta legionistów wciąż parła do przodu, wbijając się coraz głębiej w szyk Galów. Powtarzane co rusz ataki czyniły spustoszenie w centrum formacji, która rozpadała się jak brama pod uderzeniami tarana. Uśmiech natychmiast zniknął z ust Bostara, gdy uświadomił sobie, że część libijskich falang również ustępuje. Załamały się pod brutalną siłą uderzenia legionistów. Bostar przyciągnął wzrok Sapho i wskazał mu libijskich włóczy. Na twarzy brata pojawił się wściekły grymas. Rzucili się na *triarii* z nową energią.

– Hanno! Ojcze! – krzyczał Bostar. – Nadchodzimy!



*Za późno!* – odpowiadało jego serce.

Kiedy Aurelia weszła do sypialni, jej matka ledwie się poruszyła. Siedząca przy łóżku Elira odwróciła się do niej.

– Jak ona się czuje? – wyszeptała Aurelia.

– Lepiej – odpowiedziała Iliryjka. – Gorączka spadła.

Aurelia rozluźniła się nieco.

– Dzięki bogom. Dzięki *tobie*.

– Ciii... – zamruczała uspokajająco Elira. – Ona nie była aż tak chora. To tylko przeziębienie. Zdarza się zimą. Niedługo wstanie o własnych siłach i będzie mogła świętować Saturnalia.

Aurelia skinęła, dziękując dziewczynie za te słowa pocieszenia.

– Nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła. Chodzi mi nie tylko o opiekę nad matką przez te ostatnie kilka dni. Miałaś wielki udział w rekonwalescencji Suniego... – Rozejrzała się bojaźliwie. Na szczęście w atrium nie było nikogo. – Chciałam powiedzieć... Lysandera.

– Jest młody i silny. – Elira machnęła ręką lekceważąco. – Wystarczyło, że trochę lepiej się odżywił i odpoczął w cieple.

– Niemniej jednak jestem ci wdzięczna – odpowiedziała Aurelia. – On także.

Elira kiwnęła głową zawstydzona.

*Wiele się zmieniło, odkąd przed dwoma tygodniami wróciłam do domu z na wpół przytomnym Suniatonem* – myślała Aurelia, spoglądając na śpiącą matkę. Na szczęście Atia uwierzyła w historyjkę o znalezieniu chłopaka w lesie. To było istne zrządzenie losu, że tej nocy silna zamieć śnieżna zatarała jej ślady w pobliżu chaty. Tak jak przypuszczała, wszyscy uznali, że Suniaton był niewolnikiem, który zgubił się w lesie. Umówili się, że będzie udawał niemowę. Ponadto nieźle mu szło odgrywanie roli prostaczka. Oczywiście Agesandros był podejrzliwy, ale nie wyglądało na to, aby się czegoś domyślał.

Aurelia starała się nie dopuszczać do sytuacji, by Sycylijczyk miał styczność z Suniatonem. Matce oznajmiła, że zwróci niewolnika prawowitemu właścicielowi, jeśli takowy się pojawi. Do tej pory miała się nim zajmować sama.

– Będę go nazywać Lysander, bo wygląda na Greka.

Atia uśmiechnęła się przyzwalająco.

– Doskonale. Jeśli tylko przeżyje – zażartowała.

*Przeżył* – pomyślała zadowolona Aurelia. Noga Suniego wydobrzała na tyle, że był w stanie kuśtykać po kuchni pod nadzorem Juliusza. Na razie był bezpieczny.

Aurelii przeszkadzało jedynie to, że tak rzadko mogła z nim rozmawiać. Czasem spotykali się wieczorem, gdy pozostali niewolnicy kuchenni udawali się już na spoczynek. Aurelia korzystała z tych momentów, żeby wypytywać Suniego o Hanno. Teraz wiedziała znacznie więcej o jego dzieciństwie, rodzinie, zainteresowaniach i otoczeniu, w jakim się wychował. Jej chęć lepszego poznania Hanno łatwo dawała się wytłumaczyć. Był to sposób, by nie myśleć o własnych zaręczynach. Bo jeśli Flakkus zginął razem z ojcem, matka natychmiast znajdzie jej innego kandydata na męża. A jeżeli Flakkus wróci po nią, pobiorą się w ciągu roku. Tak czy inaczej, jej przyszłość była przesądzona.

– Aurelio...

Głos matki sprawił, że dziewczyna wróciła do rzeczywistości.

– Nie śpisz! Jak się czujesz?

– Słaba jak dziecko – wymamrotała Atia – ale na pewno lepiej niż wczoraj.

– Chwała wszystkim bogom. – Do oczu napłynęły jej łzy.

Nareszcie wszystko zaczynało się układać.

Powrót matki do zdrowia znacznie poprawił samopoczucie Aurelii. Po raz pierwszy od dłuższego czasu wybrała się na spacer. Niska temperatura sprawiła, że śnieg, który sypał przez kilka dni, nie stopniał. Aurelia nie chciała oddalać się zbyt od matki czy Suniego. Jednakże krótka wyprawa wzdłuż traktu do Kapui dała jej dużo radości. Dziewczyna rozkoszowała się skrzypieniem śniegu pod sandałami. Nawet to, że jej policzki szybko zdrętwiały od zimna, było dla niej orzeźwiającą odmianą po długim okresie spędzonym w czterech ścianach domu. Pokrzepiona na duchu pozwoliła sobie na marzenia, że jej ojciec wyszedł cało z tej strasznej potyczki, o której opowiadał Gajusz. Wyobraziła sobie swoją radość, gdyby nagle pojawił się w drzwiach.

Zawróciła do domu z głową pełną optymistycznych myśli.

Gdy dotarła na dziedziniec, zobaczyła Suniatona. Odwrócony do niej tyłem niósł do kuchni kosz z warzywami. Ten widok dodał jej jeszcze więcej otuchy. Jeśli Suni radzi sobie z obowiązkami w kuchni, stan jego nogi musiał się znacznie poprawić. Pospieszyła za nim. Podchodząc do drzwi, zobaczyła, jak Suniaton stawia kosz na blat roboczy. Wszyscy pozostali niewolnicy byli zajęci pracą w innych częściach pomieszczenia.

– Suni! – zawołała półgłosem.

Nie zareagował.

– Pssst! Suni! – weszła do kuchni.

Wciąż zero reakcji. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na jego nienaturalną postawę. Szpony strachu ścisnęły jej żołądek.

– Słonina! Słuuuniinka przydałaby mi się do karmnika dla ptaków! – zawołała głośno.

– Ciekawe... Mógłbym przysiąc, że powiedziałaś S-u-n-i – warknął Agesandros, wychodząc z cienia drzwi kuchennych.

Aurelia zbladła.

– Nie. Chciałam, żeby Juliusz dał mi w tajemnicy kawałek słoniny dla sikorek.

Równie dobrze mogłaby przekonywać do swojej wizji kamienny posąg.

– Suni. Suniaton. To kartagińskie imię jakiegoś *gugga* – wycedził Sycylijczyk.

– Jakie to ma znaczenie? – Aurelia broniła się desperacko. Jej spojrzenie powędrowało do Juliusza i pozostałych niewolników, ale oni z uporem godnym lepszej sprawy ignorowali to, co się działo. Powoli ogarniała ją rozpacz. Nie tylko ona bała się zarządcy. A jej matkę choroba wciąż trzymała w łóżu.

– Czy ten żalosny nikczemnik jest Kartagińczykiem?

– Nie. Przecież ci mówiłam. To Grek. Ma na imię Lysander.

Raptem, nie wiadomo skąd, w ręce Agesandrosa załsnął sztylet. Przytknął go do gardła Suniatona.

– Jesteś *gugga*? – Odpowiedziała mu cisza. Zarządca przesunął ostrze w kierunku przyrodzenia Suniego. – Chcesz, żebym obciął ci jaja?

Przerażony chłopak gwałtownie potrząsnął głową.

– To odpowiadaj! – wrzasnął Agesandros, ponownie dociskając sztylet do szyi Suniego.

– Pochodzisz z Kartaginy?

– Tak. – Odezwał się zrezygnowany Suniaton. Wyglądało na to, że dał za wygraną.

– Ty *nie jesteś* niemową! – zaryczał Sycylijczyk. – Więc mnie okłamałaś! – wydarł się na Aurelię.

– A nawet jeśli tak? – krzyknęła dziewczyna, naprawdę rozgniewana. – Wiem, co sądzisz o Kartagińczykach.

– To było zastanawiające, gdy ten szubrawiec pojawił się tu, ledwie ziścił. Ze świeżo wygojoną raną od miecza. Założę się, że jest zbiegłym gladiatorem. – Agesandros zmrużył oczy.

Czujny jak jastrząb zarządca od razu zauważył, że Suniaton drgnął, usłyszawszy znajome słowo.  
– *Wiedziałem!*

*Wymyśl coś!* Szybko wyprostowała plecy, nie dając się zepchnąć do defensywy.

– Taki jesteś pewien? – syknęła opryskliwie. – Ta kreatura pewnie już dawno się stąd ulotniła.

– Ciebie może nabrał, ale ze mną to mu się nie uda. – Agesandros docisnął ostrze. – Nie jesteś tym, za kogo się podajesz?

– Nie... – bąknął pogodzony z losem Suniaton.

– Gdzie jest twój kompan? – Sycylijczyk domagał się odpowiedzi.

*Nic mu nie mów* – Aurelia błagała w myślach rozpaczliwie. *On ciągle jeszcze nie ma pewności.*

Przerażona mogła tylko obserwować, jak Suniaton wybucha złością i odwagą. Po raz ostatni.

– Hanno? Dawno go tu nie ma. Jeśli szczęście mu dopisało, już dotarł do oddziałów armii Hannibala.

– Jaka szkoda... – wycedził Agesandros. – To znaczy, że nie będzie z ciebie żadnego pożytku. – Bez chwili zawahania wsunął ostrze między żebra Suniatona, celując w serce.

Oślupiały chłopak wytrzeszczył oczy. Wydał z siebie przejmujący okrzyk bólu. Jego ciało na moment znieruchomiało, by po chwili zwiotczeć. Z niezwykłą dla siebie delikatnością Agesandros opuścił chłopca na ziemię. Silny strumień krwi sprawił, że przód tuniki Suniego szybko zrobił się czerwony, a na posadzce już zaczęła się zbierać mała kałuża. Chłopak już się nie poruszył.

– Nie! Ty potworze! – krzyknęła chrapliwie Aurelia.

Agesandros wyprężył się. Skupiony wpatrywał się w zakrwawiony sztylet.

Ogarnięta paniką Aurelia cofnęła się do kuchni.

– Nie – szlochała. – Juliusz! Pomocy!

W końcu zwalisty niewolnik zareagował na jej wołanie.

– Coś ty narobił, Agesandrosie? – wykrztusił wystraszony.

Sycylijczyk zastygł w bezruchu.

– Wyświadczyłem przysługę panu i pani.

– Cooo takiego? – Aurelia nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Jak ci się wydaje? Jak zareagowałyby Fabrycjusz, gdyby się dowiedział, że groźny zbieg, gladiator, podstępem wkradł się do jego domostwa, narażając na niebezpieczeństwo jego żonę i jedyną córkę? – spytał przytomnie. – Taki śmieć jak on nie zasłużył na tak łatwą śmierć – szturchnął Suniatona stopą.

Pod Aurelią ugięły się nogi. To ona była winna śmierci Suniatona. I nic nie mogło tego zmienić. Poczulią się jak morderczynie. Matka pewnie uzna, że działanie Sycylijczyka było słuszne. Załkała.

– Może pójdziesz i powiadomisz panią? – Od tego pozornie troskliwego pytania było chłodem.

Dziewczyna odzyskała panowanie nad sobą.

– Należy mu się godny pochówek – zarządziła.

– Niech i tak będzie. – Sycylijczyk skinął głową, chociaż skrzywił się niechętnie.

Wyszła z kuchni. Musiała zostać sama, aby móc w samotności opłakiwać Suniatona. Wypłakać się. Mało brakowało, a sama pożegnałaby się z życiem. Jak Suniaton. Odeszłaby do krainy umarłych. Jak ojciec. A teraz? Co jej pozostało? Przyszłość związana z rolą małżonki Flakkusa.

I wtedy zupełnie nieoczekiwanie pojawiła się jej przed oczami nieprawdopodobna wizja. Znajdowała się na pokładzie statku oddalającego się od brzegów Italii. Zmierzającego do Kartaginy.

*Mogłabym uciec!* – uświadomiła sobie. *Znaleźć Hanno. On na pewno...*

*Zostawić wszystko, co znam, by odnaleźć jednego z nieprzyjaciół?* – usłyszała racjonalny protest. *To szaleństwo!*

To była tylko namiastka planu, ale zrobiło się jej lżej na duszy.

Ta wizja mogła dać jej siłę, aby dalej żyć.

Kwintus nie zarejestrował zmysłami chwili, gdy Fabrycjusz pojawił się u jego boku. Uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku, gdy ktoś wyrwał mu z rąk lejce, a koń przechylił łeb i zaczął się obracać, tak że po chwili stał już zadem do przeciwników. Fabrycjusz ruszył na wschód, używając kolan, aby prowadzić swojego konia. Rumak Kwintusa nie stawiał oporu. Mimo specjalnej tresury do służby w kawalerii, centrum bitwy nie było jeszcze dla niego miejscem, w którym czuł się naturalnie. Radość Kwintusa, gdy zobaczył ojca żywego, na chwilę stłumiła jego gotowość do walki. Szybko jednak adrenalina w żyłach dała o sobie znać, bo zdał sobie sprawę, że uciekają z pola walki.

– Co robisz, ojcze?

– Ratuję ci życie. Nie cieszy cię to?

Kwintus obejrzał się. Za nim kotłowała się szara ciżba nieprzyjaciół. Jeśli dostrzegali wierzchowce Rzymian, w większości biegały spanikowane, bez jeźdźców.

Na szczęście podążający jego śladem Galowie zaniechali pościgu. Tak jak ich pobratymcy, zsiadli z koni i zaczęli obszukiwać rannych i zabitych. Kwintus odetchnął z ulgą. Pomimo postanowienia, żeby nie dawać za wygraną, cieszył się, że żyje. Nie podzielił losu biednego Calatinusa, Cinciusza i pozostałych towarzyszy, którzy najprawdopodobniej zginęli. Teraz jednak zakradało się do niego poczucie wstydu, silniejsze niż radość z ocalenia. Chwytał wodze i skoncentrował się na prowadzeniu konia. Gdzie się nie obejrzał, widział samotnych jeźdźców i małe grupki Rzymian, którzy uchodzili z pola bitwy, aby ratować życie.

Wszyscy najwyraźniej kierowali się ku Trebii.

Na skrzydle ciągle ścierały się kolumny piechoty, tocząc zaciekły pojedynek, którego wynik wciąż nie był jeszcze przesądzony. Gdzieś daleko na horyzoncie Kwintus zauważył sylwetki słoni, masakrujących *socii*. Ogromne bestie wspierały oddziały jazdy. Domyślał się, że to musieli być Numidyjczycy. Złamanie rzymskiej formacji na skrzydłach było tylko kwestią czasu. A wtedy żołnierze Hannibala zmienią front i zaatakują legionistów ze wszystkich stron. I to jeszcze zanim kartagińska jazda wróci na pole walki. Kwintus zamrugał, aby pozbyć się napływających mu do oczu łez frustracji i wściekłości. *Jak to się mogło stać? Jeszcze dwie godziny temu ścigaliśmy wroga uciekającego w bezładzie na drugi brzeg Trebii.*

Chrapliwe okrzyki wyrwały Kwintusa z zamyślenia. Rozejrzał się. Z przerażeniem stwierdził, że Galowie wznowili pościg. Po zebraniu ociekających krwią trofeów byli gotowi na kolejną rzeź. Zrobiło mu się niedobrze. W tych okolicznościach rzymscy jeźdźcy nie byli w stanie zawrócić i podjąć walki. Uświadomił sobie ze wstydem, że on też nie myśli o stawieniu im czoła. Zastanawiał się, czy na drugiej flance, tam, gdzie przed bitwą ustawiono jazdę sprzymierzeńców Rzymu, sytuacja wygląda podobnie. Czy oni także rzucili się do ucieczki?

Fabrycjusz dostrzegł już grożące im niebezpieczeństwo.

– W cwał! Tam! – Niespodziewanie wskazał północ. Gdy zauważył pytające spojrzenie Kwintusa, wyjaśnił. – Zbyt wielu naszych będzie próbowało przeprowić się przez rzekę w tym samym miejscu. Czeka ich jatka.

Kwintus przypomniał sobie wąskie zejście do brodu i zadrzał.

– Gdzie zmierzamy?

– Do Piacenzy... – Fabrycjusz się zachmurzył. – Nie ma sensu wracać do obozu. Hannibal może go łatwo zdobyć. Musimy się schronić za porządnymi, kamiennymi murami.

Kwintus skinął głową zrezygnowany.

Ruszyli na północ. Po drodze starali się zebrać jak najwięcej Rzymian. Może w Piacenzy będą bezpieczni?

Hanno uznał, że to zakrawa na ironię, iż ocaleli dzięki rzymskiej dyscyplinie. Nie dlatego, że walczyli skutecznie i pokonali wrogów. Ba! Wręcz przeciwnie. Ponieważ libijscy włóczniecy zostali ustawieni w szyku obok Galów, wielu z nich podzieliło los sojuszników Hannibala, którzy w końcu ugięli się pod brutalną siłą świetnie uzbrojonych i umiejętnie wykorzystujących osłonę tarcz legionistów. W efekcie część libijskich falang, które znalazły się na drodze legionów, została rozbita w puch. Tylko dzięki łutowi szczęścia oddziały dowodzone przez niego i Malchusa nie zostały wciągnięte w wir tej młócki i wybite do nogi. Poobijani i zakrwawieni kontynuowali walkę nawet wtedy, gdy zwarte szeregi Rzymian zepchnęły ich na boki.

Hanno udało się wykorzystać chwilowe przerwy w walce, aby ponownie zacząć kontrolować swoją formację. Ludziom na tyłach rozkazał oddać tarcze i włócznie towarzyszom znajdującym się z przodu. W końcu jego włóczniecy mogli podjąć walkę w uporządkowanym szyku, przynajmniej jeśli chodzi o front formacji. Malchus, naśladując Hanno, wkrótce wydał podobne rozkazy. Gdy odbudowali mur tarcz, dwa wspierające się oddziały kartagińskie stały się już trudniejszym orzechem do zgryzienia. Rzymianie bez swoich *pila* musieli polegać na mieczach, krótszych niż włócznie Libijczyków. Stawiający czoła oddziałowi Hanno legionieści szybko to sobie uświadomili. Gdy zobaczyli po prawej stronie *hastati* i *principes* gładko przebijających się przez Galów, podążyli za nimi, rezygnując z rozbicia falang libijskich.

Wyczerpani ludzie Hanno przyjęli tę zmianę z ogromną ulgą.

I wtedy nagle zorientowali się, że legiony opuściły pole bitwy. Co zaskakujące, Rzymianie nie zawrócili, aby uderzyć na szeregi Kartagińczyków od tyłu. Hanno nie mógł w to uwierzyć. Wokół wciąż walczyły małe grupy legionistów, odciętych od swoich współtowarzyszy, ale większość piechoty nieprzyjaciela przebiła się przez środek armii Hannibala. I nie zatrzymała się już. Interesowało ich przede wszystkim utworzenie sobie drogi na północ. Hanno nie miał nic przeciwko temu. Jego ludzie i tak nie mogli rozpocząć pościgu. Podobnie jak żołnierze ojca. Nie słysząc też było żadnych sygnałów wydawanych przez trębaczy, przekazujących rozkazy Hannibala, co świadczyło o tym, że generał był tego samego zdania. Ustawivszy swoich żołnierzy w pojedynczym szeregu, nie miał rezerw, by wysłać je za uciekającymi legionistami.

Hanno ciężko oddychał i obserwował pobojuwisko. Po *socii* nie było śladu. Słonie, jazda numidyjska i harcownicy musieli wyróżnić ich co do jednego. Po prawej stronie, tam gdzie wcześniej stała jego falanga, zanim przebili się tamtędy Rzymianie, pole bitwy wydawało się pozbawione życia. Nagle Hanno poczuł się bardzo dziwnie – jednocześnie podekscytowany i przerażony. Zwyciężyli. Ale za jaką cenę? Spojrzał na ołowiane niebo i odmówił szczerą modlitwę: *Dziękuję, wielki Melkarcie, wszystkowiedząca Tanit i potężny Baalu Saphonie, za waszą pomoc w odniesieniu tego zwycięstwa. Byliście miłosierni, przyzwalając na to, abym przeżył tę bitwę bez szwanku, podobnie jak mój ojciec. Pokornie błagam, abyście uważali za stosowne oszczędzić także moich braci.*

Odetchnął głęboko i dodał. *Jeśli będziecie mieli wobec nich inne plany, sprawcie, by zginęli honorowo, a nie od ciosów w plecy.*

Niedługo później mógł paść ojcu w ramiona. Zbroczony krwią Malchus spojrzał mu prosto w oczy, nieugięty i dumny. Gdy się do siebie zbliżyli, nie wypowiedział ani słowa. Zamknął Hanno w żelaznym uścisku, który mówił więcej niż tysiące słów. Kiedy w końcu

wypuścił go z objęć, Hanno wzruszył się, widząc, że oczy tego twardego oficera szklą się tak samo jak jego. W ciągu ostatnich kilku tygodni Malchus okazał mu więcej uczuć niż kiedykolwiek wcześniej po śmierci matki.

– To była ciężka przeprawa. Dobrze dowodziłeś swoją falangą – wyszeptał Malchus. – Hannibal się o tym dowie.

Hanno pękał z dumy. Pochwała z ust ojca znaczyła dla niego o wiele więcej niż słowa generała.

Malchus szybko jednak przybrał typową dla siebie maskę surowości.

– Wciąż mamy mnóstwo do zrobienia. Każ ludziom się rozproszyć. Ruszajcie śladem wroga. Powiedz im, aby zabili wszystkich żywych Rzymian, jakich znajdziecie po drodze.

– Tak jest, ojczce.

– Rozkaż im też skracać męki tym z naszych ludzi, którzy odnieśli ciężkie rany.

Na te słowa Hanno osłupiał. Zamrugał niepewnie, myśląc, że się przesłyszał.

– Jeśli ich zostawicie, umrą w męczarniach. – Spojrzenie Malchusa nieco złagodniało. – Rozszarpani przez wilki albo z wychłodzenia. Cios łaski z ręki towarzysza wydaje się bardziej litościwy, prawda?

Hanno kiwnął głową z westchnieniem.

– A ty? Co będziesz robił w tym czasie?

– Lekko ranni mogą przeżyć, jeżeli uda się nam zebrać ich z placu boju. Jednak za godzinę zrobi się ciemno. Musimy działać szybko. – Popchnął Hanno. – No już. Rozglądaj się też za Sapho i Bostarem.

Zdjęty niepokojem Hanno, odchodząc, zastanawiał się, czy znajdzie ich żywych, czy martwych.

Jego ludzie przyjęli z entuzjazmem pomysł uśmiercenia kolejnych Rzymian. Nie zdziwił się jednak, gdy gorzej zareagowali na polecenie skracać cierpień swoich towarzyszy. Niewielu oponowało, gdy Hanno wytłumaczył, jakie męki mogą czekać rannych. Kto po nastaniu ciemności chciałby umierać długo i powoli? Zostać sam na sam ze śmiercią?

Rozsypali się szeroką tyralierą i zaczęli przeczesywać pobojuwisko. Krew dziesiątek tysięcy żołnierzy zmieniała twardą ziemię w ciemnoczerwone błoto, które przylepiało się do sandałów. Tu i tam zdarzały się jedynie małe oazy nietkniętego śniegu, zaskakujące łaty osłepiającej bieli wśród szkarłatów i brązów. Hanno z trudem ogarniał umysłem bezmiar tego horroru. Na stosunkowo niewielkiej równinie leżały tysiące zabitych, rannych i umierających żołnierzy.

Żałośnie mali wobec tego ogromu festiwalu śmierci leżeli samotnie lub jedni na drugich na makabrycznych hałdach. Galowie przemieszani z *hastati*, Libijczycy pod *principes*. W tych zimnych objęciach śmierci ich stosunek do siebie przestawał mieć znaczenie. Niektórzy wciąż ściskali broń. Inni odrzucili ją przed śmiercią w próżnej próbie zamknięcia dłońmi przeraźliwych ran. W ciałach wielu Rzymian tkwiły włócznie, niezliczone *pila* sterczały ze zwłok Kartagińczyków. Widok tak wielu oddzielonych od tułowia rąk i nóg wywołał u Hanno mdłości. Raz za razem ocierał usta i zmuszał się, aby nie przerwać poszukiwań. Co chwila wśród zabitych rozpoznawał twarze Sapho i Bostara, by szybko przekonać się, że to na szczęście nie oni. Miał coraz mniejszą nadzieję, że znajdzie braci żywych.

Wyjątkowo przerażający widok stanowili żołnierze jeszcze żyjący, ale pozbawieni kończyn. Żołnierze mający więcej szczęścia umarli, byli jednak i tacy, którzy wciąż wzywali swoje matki, a na zmrożoną glebę wypływały z nich ostatnie czarki krwi. Dobicie ich było czynem miłosiernym. Gdy myślał, że widział już wszystko, jego oczom ukazywało się nowe okropieństwo tej rzezi, jeszcze straszniejsze niż poprzednie. Serce pękało od bezmiaru cierpienia

rannych towarzyszy. Musiał jednak znaleźć w sobie dość siły, aby oceniać stan tych nieszczęśników. Do niego należało ustalenie szans na przeżycie każdego z nich i podjęcie natychmiastowej decyzji, czy warto ich ratować, czy należy raczej podarować im szybką śmierć.

Najczęściej ordynował to drugie.

Hanno zaciskał zęby, uśmiercając tych, którzy stracili kontakt z rzeczywistością i teraz wili się w konwulsjach, ściskając w dłoniach własne wnętrza. Nozdrza żołnierzy oddelegowanych do tego zadania wypełniał smród ekskrementów. Nie mieli szans również ranni krztuszący się różową pianą, bo ona oznaczała uszkodzenie płuc. Więcej szczęścia mieli ci, którzy wprawdzie zawadzili i przeklinali, na czym świat stoi, ściskając głębokie, często do kości, rany na rękach lub nogach, ale poruszali się o własnych siłach. Ich reakcja na widok Hanno i jego żołnierzy – jedynych towarzyszy w zasięgu wzroku, którzy nie odnieśli żadnych poważnych obrażeń – zawsze była taka sama. Nie miało znaczenia, czy byli to Libijczycy, Galowie czy Rzymianie. Wyciągali do niego unurzane we krwi ręce, błagając o pomoc. Stać go było tylko na ciche słowa pocieszenia kierowane do żołnierzy kartagińskich. Prośby wrogów zbywał milczeniem. Miał dla nich tylko lśniące ostrze i obietnicę szybkiej śmierci. Te doświadczenia wywarły na nim większe wrażenie niż dzika walka na bliskim dystansie. Wkrótce miał już wszystkiego dość. Zależało mu tylko na znalezieniu ciał braci i powrocie do obozu.

Gdy w którymś momencie dobiegł do jego uszu znajomy głos Sapho, a następnie Bostara, wykrzykującego jego imię, w pierwszej chwili nie zareagował. Dopiero gdy krzyki stały się bardziej naglące, poczuł się tak, jakby raził go piorun. Stali nie dalej jak pięćdziesiąt kroków od niego, pomiędzy ludźmi Mago. *To cud!* – powtarzał w duchu osłupiały Hanno. *To musi być cud, że wszyscy czterej przetrwali tę niewyobrażalną rzeź.*

– Hanno? To ty? – pytał Sapho, nie posiadając się z radości, głosem pełnym niedowierzania.

Hanno musiał zamrunąć, żeby pozbyć się łez, bo przez nie widział jak przez mgłę

– Co z ojcem? – dopytywał się Bostar.

– Cały i zdrowy – zapewnił go Hanno, nie wiedząc, czy ma się śmiać, czy płakać. W końcu zaczął śmiać się przez łzy. Podobnie jak Bostar. Chwilę później, gdy padli sobie w ramiona, nawet Sapho miał łzy w oczach. Śmierdzieli potem i najstraszniejszym odorem – ludzkich wnętrzności. Wszyscy byli pokryci zakrzepłą krwią i płatom błota, ale żadnego z nich to w tej chwili nie obchodziło.

W tym momencie ich wcześniejsze animozje też nie miały znaczenia.

Liczyło się tylko to, że przeżyli bitwę.

Uśmiechy nie schodziły im z twarzy, ale w końcu przestali się ściskać jak wariaci. Jednak długo jeszcze poklepywali się po ramionach i barkach, przyglądając się uważnie jeden drugiemu, jakby nie całkiem wierzyli własnym oczom. W końcu, nieuchronnie, zaczęli rozglądać się po pobojowisku. Zamiast szczęku mieczy po równinie niesły teraz krzyki i jęki. Zdesperowani ranni i konający, niebędący w stanie poruszać się samodzielnie, okaleczeni, wołali o pomoc, licząc, że towarzysze znajdą ich przed nocą, zanim wykrwawią się na śmierć.

– Wygraliśmy – odezwał się nieco zamyślony Hanno. – Ciężkozbrojna piechota legionów mogła przebić się przez nasz szyk, ale reszta została rozbita i uciekła z pola bitwy.

– Albo leżą tu w błocie – odezwał się Sapho z typową dla niego szorstkością. – Po tym wszystkim, co nam zrobili, odpłaciliśmy im pięknym za nadobne!

Bostar skrzywił się, gdy Sapho wskazał stopy trupów, ale skinął głową.

– Nie myśl tylko, że wygraliśmy też wojnę – ostrzegł. – To dopiero początek.

Hanno pomyślał o Kwintusie i jego determinacji.

– Masz rację – odparł, wzdychając ciężko.

– Rzym musi zapłacić za wszystkie przewinienia wobec Kartaginy! – zawołał Bostar, unosząc pięść czerwoną od posoki.

– Krwią! – dodał Sapho. Wyciągnął rękę, aby zacisnąć palce na pięści brata.

Obaj spojrzeli wyczekująco na Hanno.

W tej chwili w głowie Hanno pojawił się obraz uśmiechniętej Aurelii, co sprawiło, że poczuł się trochę skołowany. Musiała minąć dłuższa chwila, zanim usunął ten obraz do najgłębszych zakamarków swojego umysłu. *O czym ja w ogóle myślę?* Aurelia stała się jego wrogiem. Tak samo jak jej brat i ojciec. Do Hanno nie trafiało przekonanie, że wszyscy troje zasłużyli na najgorsze. Nie mogli jednak być nazywani jego przyjaciółmi. Jak? Po tym, co tu dziś zaszło? Hanno obiecał sobie, że już nigdy nie będzie o nich myślał. Tylko w ten sposób mógł poradzić sobie z tymi sprzecznymi, rozdzierającymi emocjami.

– Krwią! – potwierdził chrapliwie, unosząc dłoń, aby ucisnąć rękę braci.

Spoglądali sobie w oczy z zaciętością, szczerząc zęby jak wilki.

*Wszak jesteśmy wilkami!* – pomyślał Hanno z dumą. *Kartagińskimi wilkami, które osaczają i powalają tłuste rzymskie owce na łatyńskim pastwisku. Niech rzymscy rolnicy drżą w swoich łóżkach, bo splądrujemy tę ziemię i wyrócimy ich życie do góry nogami!*

Z drogi do Piacenzy Kwintus zapamiętał głównie przeraźliwe zimno. Wiatr z północy siekł ich zmęczone ciała szpileczkami mrozu. Chwilami podmuchy były tak silne, że groziły strudżonym jeźdźcom ściągnięciem z siodeł na ziemię. Przenikliwy chłód z łatwością radził sobie ze wszystkimi warstwami odzienia. Na początku ruch członków sprawiał, że udawało mu się utrzymać ciepłość ciała. Myśl o pościgu też sprawiała, że robiło mu się gorąco. Serce ze strachu biło mocno, głucho obijając się o żebra klatki piersiowej, szybciej pompowało krew i rozgrzewało organizm. Teraz jednak mokre od potu ubrania zaczęły robić się coraz zimniejsze, aż w końcu Kwintus miał wrażenie, że za chwilę zamarzną na kość. Wszyscy jego towarzysze przeżywali to samo, więc tylko zaciskał zęby, starając się ograniczyć szczekanie, i wbijał pięty w boki konia, by go zmusić do najwyższego wysiłku. A po tym, co przeszli, cisza była ich najwierniejszym towarzyszem.

Dwudziestu kawalerzystów, zagubionych w gonitwie myśli w swoich prywatnych światach, przepelnionych rozpaczą i żalem, po prostu zmierzało tam, gdzie prowadził ich Fabrycjusz. Zgarbieni nad końskimi karkami, bez hełmów, otuleni przemoczonymi płaszczami stanowili obraz nędzy i rozpacz. Chyba wszyscy zdawali sobie sprawę, że armia Hannibala wygrała bitwę. *A przecież wcale tego nie wiemy!* Gdy umykali z pola bitwy, walka jeszcze trwała. Trudno jednak było sobie wyobrazić, że po rozbiciu zabezpieczającej skrzydła jazdy legiony Longusa mogły odnieść zwycięstwo.

Kwintus czuł się jak tchórz. Mimo lęku w sercu myślał o podjęciu walki. Kilka razy wyprzedzał towarzyszy, aby znaleźć się na czele kolumny i porozmawiać z ojcem.

Tyle że Fabrycjusz nie był w nastroju do takich rozmów.

– Zamilcz, bo nie wiesz, co mówisz! – zrugął go za którymś razem, gdy Kwintus zasugerował, że może powinni zawrócić. – Co ty wiesz o taktyce? – Chwilę później Kwintus spróbował jeszcze raz. Tym razem Fabrycjusz eksplodował wściekłością. – Nigdy nie słyszałem jeszcze o takiej sytuacji, że rozbита jazda przegrupowuje się i wraca do walki. Byłeś tam! Widziałeś, jak uciekali i z jakim trudem przyszło mi zebranie ludzi, aby wycofać się w jakimś ładzie i porządku. Czy myślisz, że przy takiej pogodzie i zapadającym zmierzchu udałoby mi się ich namówić, aby zaatakowali Galów i Iberów? – Spoglądał na Kwintusa, a jego oczy ciskały błyskawice. Ten potrzęsnał głową. – No to co twoim zdaniem powinniśmy zrobić? Popęłnić samobójstwo? Uderzyć na wroga we dwójkę? Jaki to miałoby sens? I nie wyjeżdżaj mi tu z „honorową śmiercią”. Nie ma nic honorowego w oddawaniu życia tak głupio!



Kwintus zwiesił głowę, zaskoczony i wstrząśnięty intensywnością gniewu swego ojca. Teraz czuł się nie tylko tchórzem, ale i nic niewartym nieudacznikiem.

Po tym monologu przez dłuższy czas znów jechali w ciszy.

Wreszcie Fortuna uśmiechnęła się do zmęczonych jeźdźców, doprowadzając ich do miejsca, w którym Trebia stawała się na tyle płytka, że mogli bez trudu przedostać się na jej drugą stronę. Gdy przeprawili się na wschodni brzeg, niebo zaczynało szarzeć. Kwintus nigdy chyba jeszcze w życiu nie czuł się tak nieszczęśliwy. Odwrócił się, spoglądając ponad nurtem na zachód, gdzie horyzont zaznaczała cienka kreska zachodzącego słońca, ale pola zagarniały już ciemności nocy. Znów zaczął padać śnieg. Miliony białych pierzastych płatków dodatkowo pogarszały widoczność. Ten widok sprawiał wrażenie bardzo sielskiego, spokojnego i cichego. Przez chwilę miał wrażenie, że obrazy z pola bitwy były tylko okropnym koszmarem, snem, który nie miał nic wspólnego z rzeczywistością.

– Kwintusie? – Fabrycjusz dawno już nie silił się na tak łagodny ton. – Jedźmy. Od Piacenzy dzieli nas jeszcze szmat drogi.

Kwintus odwrócił się plecami do Trebii. Uświadomił sobie, że w pewnym sensie jest to gest symboliczny, rozciągający się także na Hanno i jego przyjaźń z nim. Podążył za ojcem, czując w sercu wielką pustkę.

Dotarli do Piacenzy po mniej więcej godzinie. Kwintus dawno nie cieszył się tak z widoku murów miasta i bycia okrzykniętym przez wartownika przy bramie. Jednak widok długiej linii przerażonych twarzy na murach sprawił, że odegnał myśli o stawie i ciepłym ognisku. Najwyraźniej wieści o wielkiej bitwie dotarły do garnizonu przed nimi. Choć strażnicy w każdym cieniu dopatrywali się nieprzyjaciela, brama została szeroko otwarta, gdy tylko rozpoznali Fabrycjusza. Po krótkiej serii pytań skierowanych do oficera straży wiedzieli już, że przed nimi do miasta dotarła garstka kawalerzystów. Z ich niejasnych relacji wywnioskowano, że cała armia rzymska została rozbita. Do tej pory nie mieli żadnych wieści o Longusie i jego piechocie, co tylko napędzało obawy żołnierzy, którzy obsadzali fortyfikacje miasta. Fabrycjusz wściekał się na myśl o tym, jak wielkie szkody dla morale garnizonu poczyniły niesprawdzone wieści ocalałych niedobitków jazdy. Od razu zażądał widzenia z najwyższym stopniem oficerem.

Wkrótce potem Kwintus z Fabrycjuszem siedzieli owinięci w koce, posilając się ciepłą zupą, w towarzystwie samego Praksusa, dowódcy garnizonu Piacenzy. Pozostali żołnierze otrzymali przydziały na mniej komfortowe kwatery. Tęgi mężczyzna o pulchnej, zaczerwienionej twarzy ledwo mieścił się w swoim brudnym lnianym kirysie, pamiętającym lepsze czasy. Przechadzał się nerwowo od ściany do ściany, podczas gdy zmęczeni jeźdźcy rozgrzewali się przy małym ognisku rozpalonym w żeliwnym koszu. W końcu Praksus nie wytrzymał. Musiał podzielić się z gośćmi swoimi obawami.

– Czy rano powinniśmy spodziewać się Hannibala?

Fabrycjusz westchnął.

– Bardzo w to wątpię. Jego żołnierze będą potrzebować odpoczynku, tak samo jak nasi. Nie powinieneś też skreślać Longusa – zasugerował. – Kiedy ostatnio widzieliśmy pole bitwy, legiony robiły swoje i nieźle się trzymały.

Praksus drgnął. Jego jabłko Adama skakało w górę i w dół.

– No to gdzie są teraz?

– Tego nie wiem – odparł krótko Fabrycjusz – ale wiem, że Longus to zdolny dowódca. Nie odda tanio skóry.

Praksus znów zaczął niespokojnie krążyć po izbie. Fabrycjusz stwierdził, że nie warto mu w tym przeszkadzać.

– Zamartwianie się nikomu w niczym nie pomoże. Ten głupiec nie będzie potrafił zapobiec rozprzestrzenianiu się plotek. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że sam wymyślił część tych niewiarygodnych historii, które powtarzają już sobie żołnierze garnizonu – mruknął do Kwintusa, zanim zamknął oczy. – Obudź mnie, jeśli wydarzy się coś istotnego.

Kwintus starał się, jak mógł, aby nie dać się zmęczeniu, ale wkrótce i jego zmorzył sen. Zanim zasnął, pomyślał jeszcze, że jeśli Praksus będzie chciał odzyskać strategiczne pozycje na krzesłach przy koszu, będzie musiał ich obudzić.

Tymczasem obudziły ich krzyki strażników, którzy przybiegli do dowódcy garnizonu z wiadomością, że do bram miasta zbliża się konsul. To mogło wyglądać na cud, ale okazało się, że prowadził ze sobą jakieś dziesięć tysięcy legionistów. Kwintus uśmiechał się do ojca, który mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Mówiłem ci.

Praksus nie miał już zbolącej miny. Ucieszył się na tę wieść jak dziecko. Od razu też powróciła jego arogancja.

– Longus będzie potrzebował moich kwater – oświadczył wyniośle. – Najlepiej będzie, jak natychmiast je opuścicie. Jeden z oficerów znajdzie wam jakąś izbę.

Nie powiedział tylko *który*.

Fabrycjusz skrzywił się w reakcji na ten oczywisty dowód buńczuczności i kiepskich manier, ale wstał z krzesła bez słowa protestu. Kwintus zrobił to samo. Praksus nie raczył nawet się z nimi pożegnać. Na szczęście za drzwiami natknęli się na oficera, który powitał ich przy bramie i który – gdy dowiedział się, czego potrzebują – pozwolił im zająć prycze w swojej izbie oficerskiej.

Nie zdążyli dotrzeć do kwatery, gdy wąska uliczka, którą zmiierzali, wypełniła się echem ciężkich kroków ludzi w podkutych sandałach. Światło pochodni zamigotało na pogrążonych w mroku wilgotnych ścianach budynków po obu stronach. Kwintus od razu się ożywił. Spojrzał na ojca, który wyglądał na równie poruszonego. Kwintus wypowiedział bezgłośnie pytanie.

– Longus?

Ojciec skinął głową.

– Poczekajcie... – odezwał się do nich.

Oficer straży się zatrzymał. Sam chciał się przekonać, kto zmierza w ich kierunku. Po kilku chwilach ich oczom ukazał się duży oddział *triarrii*. Żołnierze z zewnętrznych rzędów trzymali w rękach pochodnie, oświetlając drogę pozostałym.

– Przejdźcie dla konsula! – wykrzyknął oficer na czele kolumny.

Kwintus westchnął z ulgą. Semproniusz Longus przeżył bitwę. Rzym nie został powalony na kolana.

*Triarii* nie zmienili tempa marszu, mijając trójkę Rzymian. Jeden z dwóch najważniejszych ludzi w republice nie zamierzał tracić czasu tylko dlatego, że gapili się na niego jacyś obszarpańcy w ciasnej uliczce. Szczególnie w taką noc.

Kwintus nie mógł się opanować i zawołał za nimi:

– Jakie wieści? Co tam się stało?

Wiatr porwał jego pytania. Nikt nie raczył na nie odpowiedzieć.

Popatrzyli po sobie ponuro i ruszyli dalej. Niedługo potem natknęli się jednak na grupę *principes*. Kwintus musiał wiedzieć, jak skończyła się bitwa. Wyłowił z tłumu przysadzistego legionistę z tarczą ozdobioną wizerunkiem dwóch szczerzących kły wilków.

– Wygraliście?

Wypytywany legionista się zgarbił.

– Zależy, co rozumiesz przez zwycięstwo – mruknął. – Hannibal nigdy nie zapomni

legionistów, którzy walczyli nad Trebią.

Kwintus i Fabrycjusz wymienili zaskoczone spojrzenia. Wracała im nadzieja.

– Zawróciliście i uderzyliście na tyły Kartagińczyków? – spytał podekscytowany Fabrycjusz. – Sojusznicza piechota poradziła sobie ze słoniami i harcownikami wroga?

– Niezupełnie, panie. Nie. – Legionista spuścił głowę.

Wbili w niego pytające spojrzenia.

– No to co tam się wydarzyło? – dopytywał się Fabrycjusz.

*Princeps* odchrząknął.

– Po przebicciu się przez formację wroga Longus nakazał legionom opuszczenie pola walki. – Przez twarz legionisty przemknął cień. – Nasze skrzydła już się załamały, panie. Przypuszczam, że konsul nie był przekonany do tego, że uda się odwrócić losy tej bitwy.

– *Socii?* – wyszeptał pytanie Kwintus.

Cisza, która zapadła, znaczyła więcej niż tysiąc słów.

– Słodki Jowiszu! – zawołał Fabrycjusz. – Wszyscy zginęli?

– Część mogła się wycofać do obozu, panie. Czas pokaże.

Kwintusowi zakręciło się w głowie. Liczba zabitych mogła sięgnąć dziesiątek tysięcy.

– W takim razie to raczej my zapamiętamy lekcję udzieloną nam przez Hannibala, a nie odwrotnie – skwitował gorzko Fabrycjusz.

– Tak, panie – przyznał niechętnie legionista. Spojrzał tęsknie na towarzyszy, którzy właśnie znikali za najbliższym rogiem.

Fabrycjusz skinął głową, wskazując jego towarzyszy.

– Pędź za nimi.

Kwintus śledził wzrokiem oddalającego się żołnierza.

– Praksus mógł mieć rację. Hannibal o świcie może stanąć pod murami Piacenzy.

– Wystarczy już takiej gadki – uciał Fabrycjusz. Jego gardło opuściło stłumione warknięcie. – Rzym nie poddaje się po jednej porażce. Nie wtedy, gdy najeźdźcy wdzierają się na ziemię republiki!

Kwintus przez chwilę poczuł się pewniej.

– A co z Hannibalem?

– Na razie da nam spokój. Zimą zajmie się raczej pozyskiwaniem poparcia ze strony lokalnych plemion galijskich.

Fabrycjusz wydawał się przekonany do swojej teorii, co podniosło Kwintusa na duchu.

– A my?

– Wykorzystamy ten czas, żeby przegrupować legiony. Powstaną nowe jednostki. Zwerbujemy ludzi do oddziałów jazdy. Czego jak czego, ale Rzymowi i sojusznikom republiki na pewno nie brakuje jednego: siły żywej. Nim nadejdzie wiosna, uzupełnimy poniesione dziś straty. *A ja uzyskam awans, dzięki któremu ci zdziercy, lichwiarze, będą się trzymać z dala od mojej rodziny.* Fabrycjusz pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech. – Zobaczysz! Pokażemy im jeszcze, gdzie raki zimują.

Kwintus stwierdził, że ta myśl dodaje mu otuchy. Pokiwał głową z zapalem. Wkrótce znów staną do walki z Kartagińczykami. Na równych lub na lepszych warunkach. Będą mieli szansę odzyskać honor, który w jego opinii stracili na polu bitwy nad Trebią.

Rzym podniesie się z kolan i pokona Hannibala.

## *Komentarz autora*

Uważam za ogromne wyróżnienie, że dane mi było napisać cykl powieści osadzony w realiach okresu drugiej wojny punickiej (218–201 p.n.e.). Ten okres fascynował mnie od najmłodszych lat i uważam go (a zapewne nie tylko ja) za jedno z najbardziej interesujących dziesięcioleci w historii Rzymu. Słowo „epicki” jest dziś często nadużywane, przez co straciło na intensywności przekazu, ale czuję, że właśnie tym przymiotnikiem najlepiej da się określić siedemnastoletnią wojnę między dwiema potęgami w basenie Morza Śródziemnego, gdy wynik tego starcia tak często zależał od przypadku. Wojna ta obfitowała w wydarzenia, które – gdyby potoczyły się trochę inaczej – mogłyby zmienić przyszłość Europy. Kartagińczycy bowiem w wielu aspektach nie przypominali Rzymian. Na podstawie źródeł historycznych można wysnuć wniosek, że nie zawsze były to różnice, które należałoby uznać za stawiające ich w złym świetle. Byli wszak nieustraszonymi odkrywcami, utalentowanymi przedsiębiorcami z wielopokoleniowymi tradycjami, a także godnymi przeciwnikami na polach bitew. Rzym podporządkowywał sobie nowe terytoria na drodze podboju, z mieczem w dłoni. Kartagińczycy natomiast kładli większy nacisk na kwestię kontroli handlu i wykorzystania zasobów naturalnych. Może warto przy tej okazji wyjaśnić, że użycie w książce wyrażenia „język kartagiński” – a nie „język punicki”, wywodzący się z łaciny – jest świadome i zamierzone. Sami Kartagińczycy z pewnością nie posłużyliby się tym terminem.

Wielu czytelników zapewne słyszało o Hannibalu i jego zmaganiach z Rzymem. Są i tacy, którzy nigdy nie interesowali się tym tematem. Istnieje też przypuszczalnie grupa wielkich fanów tego okresu historycznego, która świetnie zna teksty Liwiusza i Polibiusza, nasze podstawowe źródła wiedzy o tej wojnie. Chciałbym zapewnić, że starałem się trzymać możliwie wiernie źródeł, które przetrwały do naszych czasów. Co bardziej wnikliwym czytelnikom prawdopodobnie uda się u mnie znaleźć fragmenty, w których fabuła nieco odbiega od opisu wydarzeń pióra kronikarzy, a także będące zupełnie zmyślone. To *licentia poetica* powieściopisarza – jego przywilej, ale także kłątwa. Jeśli popełniłem jakieś błędy wynikające z mojej niewiedzy, bardzo za nie przepraszam.

Powieść zaczyna się od opisu Kartaginy, podkreślającego jej wielkość. Pod koniec III w. p.n.e. to miasto było o wiele większe od Rzymu. Pozwoliłem sobie opisać fortyfikacje, o których wiemy, że broniły stolicy w czasie trzeciej wojny punickiej (149–146 p.n.e.). Postąpiłem tak dlatego, że nie ma żadnych przekazów na temat tego, jaka ich część istniała już w czasach Hannibala. Ponieważ imponujące fortyfikacje, które pozwalały bronić miasta przez kilka lat w czasie ostatniego starcia Rzymu z Kartaginą, powstały w ciągu pięćdziesięciu lat po wyprawie Hannibala do Italii, uważam, że nie jest to poważne wykroczenie przeciwko historycznym realiom.

Prace nad opisem wyglądu i wyposażenia kartagińskich żołnierzy, zarówno tych rodzimych, jak i wojsk zaciężnych, również były jednym wielkim polem minowym. Mamy bardzo mglistą wiedzę na temat ubioru Kartagińczyków czy ludzi wielu narodowości, którzy walczyli pod ich rozkazami, nie mówiąc już o używanym przez nich sprzęcie i broni. Gdyby nie kilka prac naukowych i artykułów, które wymienię później, poruszałbym się całkiem po omacku.

Innego rodzaju wyzwaniem jest kwestia imion Kartagińczyków. Krótko mówiąc, nie znamy nawet zbyt wielu przykładowych imion – niezbyt wiele zachowało się do naszych czasów, odległych o 2200 lat. Co więcej, większość z tych, które przetrwały, jest niemal niemożliwa do wymówienia albo po prostu brzmi fatalnie. Albo i jedno, i drugie! Imiona, takie jak Hillesbaal i Ithobaal nie brzmią zbyt naturalnie, prawda? Dlatego główny bohater powieści pochodzący z

Kartaginy został nazwany Hanno. Znane są ważne postaci historyczne o tym imieniu, a że rozpaczliwie potrzebowałem dobrego imienia dla mojego bohatera, i nie miałem do dyspozycji zbyt wielkiego zbioru, padło na Hanno.

Oblężenie Saguntum wyglądało tak, jak opisałem w powieści. Każdy, kto znajdzie się na wschodnim wybrzeżu Hiszpanii, powinien wspiąć się na olbrzymie skały w pobliżu Walencji. Na miejscu łatwo przenieść się w wyobraźni do czasów, gdy pod potężnymi murami stanęli żołnierze Hannibala. Skład wielkiej armii Hannibala Barkasa został potwierdzony w starożytnych źródłach. To z nich wiemy też, że z czasem jej liczebność znacznie zmalała z powodu strat bojowych, w wyniku dezercji czy oddelegowania przez Hannibala części oddziałów do innych zadań. Nie wiemy, ile pozostawiono w Galii w lokalnych garnizonach.

Od wielu lat historycy próbują osiągnąć jakiś konsensus w kwestii najbardziej prawdopodobnego szlaku armii kartagińskiej po pokonaniu Pirenejów i dalej, ku miejscu, w którym przepłynęła się przez Rodan. Broniący się na drugim brzegu rzeki wojownicy z plemienia Wolków naprawdę zostali zaskoczeni przez oddziały kartagińskie, które przekroczyły rzekę w innym miejscu i zaatakowały ich od tyłu. Siłami tymi dowodził jednak pewien Hannon, a nie Bostar. Słonie zostały przeprowadzone na drugi brzeg tak, jak opisałem w powieści.

Dramatyczna konfrontacja rzymskich emisariuszy i rady starszych Kartaginy przebiegała w sposób przeze mnie opisany. Podobnie jak przypadkowe starcie między oddziałami jazdy rzymskiej i numidyjskiej w pobliżu Massilii (gr. Massala, współczesna Marsylia). Pozwoliłem sobie jednak wysłać Scypiona do Rzymu, zanim udał się do Galii Przedalpejskiej, aby stawić czoła najeźdźcom. Minucjusz Flakkus jest postacią zmyśloną, ale Minucjusz Rufus, jego brat w powieści, już nie.

Najwięcej kontrowersji budzi wybór przełęczy, przez którą Hannibal przekroczył Alpy. Nie próbując zajmować stanowiska w dyskusji na ten temat, w ogólnym opisie tej trudnej przeprawy korzystałem z tekstów Polibiusza i Liwiusza. Mam nadzieję, że udało mi się zawrzeć w nim grozę, ale i uniesienie, które musiało towarzyszyć tym twardym ludziom, którzy zdecydowali się podążać za Hannibalem aż na szczyty Alp. Przemówienie, które zamieściłem w powieści, przypomina to wygłoszone przez generała kartagińskiego do swoich oddziałów, zanim armia zaczęła wspinaczkę. Chociaż nie we wszystkich źródłach można znaleźć opis wykorzystania wina do rozbicia głazu blokującego przejście, czułem, że powinienem uwzględnić ten epizod w powieści.

Termin „Italia” był używany w III stuleciu p.n.e. jako pojęcie geograficzne w odniesieniu do półwyspu na południe od Ligurii i Galii Przedalpejskiej. Wyrażenie to nie miało konotacji politycznych aż do czasu Polibiusza (połowa II w. p.n.e.). Dlatego właśnie postanowiłem je stosować. Zabieg ten znacznie uprościł mi zadanie, mogłem bowiem unikać stałego odnoszenia się do różnych krain republiki: Rzymu, Kampanii, Lacjum, Lucanii itd.

Opis cielaka, który urodził się z wewnętrznymi organami po zewnętrznej stronie skóry, nie jest wytworem mojej wyobraźni – sam bowiem wykonałem dwa cesarskie cięcia u krów, których płód ucierpiał z powodu tak zwanego *schistosomus reflexus*. Nie mam żadnych wątpliwości, że były to najbardziej odrażające przykłady deformacji płodu zwierzęcego, jakie kiedykolwiek widziałem. W jednym z tych przypadków nieszczęsne zwierzę jeszcze żyło, gdy wyciągałem je z brzucha krowy. Chociaż wydarzyło się to jakieś piętnaście lat temu, dobrze pamiętam, że przesądny rolnik długo dochodził po tym do siebie. Wstrząśnięty przekonywał mnie, że powinienem jak najszybciej skrócić męki cielaka. Możemy sobie tylko wyobrazić, jak zareagowałoby na podobne wydarzenie dawni Rzymianie.

Pojedynki między jeńcami Kartaginy oraz nagrody, które otrzymywali zwycięzcy, mają potwierdzenie w tekstach starożytnych. Prawdziwy jest także smutny los mieszkańców Taurasii.

Gdy konieczne było danie komuś nauzki, Hannibal zachowywał się równie bezwzględnie, jak każdy inny generał. W czasie potyczki nad rzeką Ticinus Rzymianie rzeczywiście ponieśli ciężkie straty, a zdradziecki nocny atak tak zwanych galijskich sojuszników przyczynił się do spadku morale wojsk Scypiona. Małą zasadzkę nad Trebią wymyśliłem, niemniej wielka bitwa, do której doszło w tym samym miejscu, została przeze mnie opisana najdokładniej, jak tylko mogłem. Zwycięstwo odniesione przez Hannibala pewnego zimowego dnia jednoznacznie pokazało, że pokonanie Alp przez tego wodza nie było w żadnym razie osiągnięciem przypadkowym. Rzymianie wielokrotnie przekonują się w kolejnych miesiącach tej wojny, że dysponował on siłą, z którą trzeba było się liczyć.

Pełna bibliografia książek i materiałów, z których korzystałem podczas powstawania mojej powieści, liczyłaby zapewne kilka stron, dlatego w tym miejscu wymienię tylko najważniejsze pozycje w porządku alfabetycznym według nazwisk autorów: *Wojny punickie 264–146 p.n.e.* Nigela Bagnalla, *The Punic Wars* Briana Cavena, *Greece and Rome at War* Petera Connolly'ego, *Hannibal* Theodore'a A. Dodge'a, *The Fall of Carthage* Adriana Goldsworthy'ego, *Armies of the Macedonian and Punic Wars* Duncana Heada, *Wojna Hannibala. Historia militarna drugiej wojny punickiej* Johna F. Lazenby'ego, *Carthage Must Be Destroyed* Richarda Milesa, *The Life and Death of Carthage* Gilberta C. & Colette Picard, *Daily Life in Carthage (at the Time of Hannibal)* tegoż autora, *Roman Politics 220–150 BC* Howarda H. Scullarda, *Carthage and the Carthaginians* Reginalda B. Smitha oraz *Warfare in the Classical World* Johna Warry'ego.

Jestem niezmiernie wdzięczny wydawnictwu Osprey Publishing za znakomite materiały, które wykorzystałem podczas prac, wydawnictwu Oxford University Press za wspaniały słownik *Oxford Classical Dictionary* oraz Alberto Perezowi i Paulowi McDonnell-Staffowi za wspaniały artykuł opublikowany w III tomie 4 numeru *Ancient Warfare*. Dziękuję, jak zawsze, członkom [www.romanarmy.com](http://www.romanarmy.com) za szybkie reagowanie na moje najdziwniejsze pytania – ich odpowiedzi bardzo przydały mi się w pracy. Muszę też wspomnieć o trzech australijskich braciach noszących nazwisko Wood: Dannym, Benie i Samie. Ich znakomita seria podróżnicza *On Hannibal's Trail* nie mogła być chyba pokazywana w lepszym czasie przez BBC4. Okazała się dla mnie wspaniałą pomocą w tworzeniu rozdziału dotyczącego przekraczania Alp.

Chciałbym przekazać podziękowania całemu legionowi ludzi pracujących we wspaniałym wydawnictwie Random House: Rosie de Courcy, mojej niestrudzonej i nieustannie motywującej mnie do wysiłku redaktorce; Nicoli Taplin, znakomitej redaktor naczelnej; Kate Elton, która z otwartymi rękami powitała mnie we wspaniałym świecie odważnych członków ekipy Arrow Books; Robowi Waddingtonowi, który dba o to, aby moje powieści dotarły do każdego miejsca na ziemi; Adamowi Humphrey'emu, który mądrze i skutecznie zarządza całym marketingiem; Richardowi Ogle'owi, który wspólnie z ilustratorem Stevem Stonem projektuje niesamowite okładki do moich książek; Ruth Waldram, która zapewnia mi wszelkiego rodzaju reklamę; Monique Corless, która przekonuje tak wielu zagranicznych wydawców, aby kupili prawa do publikacji moich książek; Davidowi Parrishowi, który pracuje nad tym, aby zagraniczne księgarnie były równie chętne do ich dystrybuowania. Bardzo Wam wszystkim dziękuję. Doceniam Waszą ciężką pracę wykonywaną w moim imieniu.

Muszę wspomnieć jeszcze o tak wielu osobach! Niewątpliwie na podziękowania zasługuje mój agent, Charlie Viney. Gdyby nie on, nadal pracowałbym jako weterynarz i dalej szlifowałbym swoją pierwszą powieść, której fabuła osadzona była w czasach republiki rzymskiej. Dzięki, Charlie! Jestem niezmiernie wdzięczny Richendzie Todd, mojej adiustatorce, która dostarcza mi wiele niezwykle cennych uwag na temat moich szkiców. Ponadto Claire Wheller, wybitnej fizjoterapeutce, która dba o to, aby mój organizm nie wpadł w jakąś zapaść po

wielu godzinach spędzonych przy komputerze. Także Arthurowi O'Connorowi, najbardziej przekonującemu człowiekowi w Offaly (jeśli nie w całej Irlandii), przekazującemu mi celne uwagi krytyczne, dzięki którym moje powieści mogą być jeszcze lepsze.

I wreszcie dziękuję z całego serca Sair, mojej żonie, Ferdiemu i Pippie, moim wspaniałym dzieciom, które są dla mnie wielkim oparciem oraz źródłem miłości i radości. Dziękuję Wam. Moje życie z Waszą trójką jest o wiele bogatsze.

## Słowniczek

*acetum* – sfermentowane wino, które wskutek reakcji fizycznych zmienia się w kwas octowy. *Acetum* było powszechnie używane przez rzymskich medyków jako środek do dezynfekcji. Ocet dobrze radzi sobie z eliminacją bakterii i był powszechnie stosowany w zachodniej medycynie aż do końca XIX w.

*Aesculapius* – Eskulap, syn Apolla, bóg zdrowia i patron lekarzy. Czczony zarówno w Kartaginie, jak i w Rzymie.

*agora* (gr. ἀγορά) – tak naprawdę nie wiemy, jak Kartagińczycy nazywali miejsce zgromadzeń publicznych w murach miasta. Zdecydowałem się na termin pochodzący z greki, aby odróżnić je od forum rzymskiego. Bez wątplenia agora mogła być miejscem, gdzie zapadały najważniejsze decyzje dotyczące przyszłości Kartaginy.

*Alpy* – w języku łacińskim ten łańcuch górski nazywa się *Alpes*, ale terminu tego nie używam w książce (w odróżnieniu od kilku innych łacińskich nazw geograficznych), ponieważ wydawałoby się to współczesnym czytelnikom raczej dziwne.

*Astarte* – bogini kartagińska. Źródła jej kultu należy szukać na Wschodzie. Bogini małżeństwa i opiekunka miast oraz niektórych grup społecznych.

*atrium* – w domach mieszkalnych w starożytnym Rzymie (łac. *domus*) było to duże pomieszczenie znajdujące się zaraz przy wejściu. Najczęściej *atrium* urządzano z przepychem jako centralne miejsce spotkań i centrum religijne domu.

*Baal Hammon* – jeden z ważniejszych bogów czczonych w Kartaginie. Miał być obrońcą miasta, użyźniającym słońcem, gwarantem bogactwa, powodzenia i szczęścia. Miejsca, w których archeologowie odnaleźli ślady kultu Baala Hammona – nadpalone kości dzieci i noworodków – zaczęto nazywać „tofetami”, co stało się początkiem kontrowersyjnej teorii, według której Kartagińczycy składali ofiary z dzieci. Zainteresowanych tym tematem odsyłam do wspaniałej dyskusji dotyczącej tego zagadnienia, opisaną w książce Richarda Milesa pod tytułem *Carthage Must Be Destroyed*. Słowo „baal” oznacza w języku fenickim *pan* lub *bóg*, dlatego poprzedza imiona innych kartagińskich bóstw.

*Baal Saphon* – kartagiński bóg wojny.

*biremis* (l. mn. *biremes*) – birema, dawna galera wojenna. Prawdopodobnie weszła do użycia dzięki Fenicjanom. Dysponowała kwadratowym żaglem i dwoma rzędami wiosł na każdej burcie, powszechnie stosowana przez Greków i Rzymian.

*caetratus* (l. mn. *caetrati*) – lekka piechota iberyjska. Żołnierze tej formacji nosili białe tuniki z krótkimi rękawami, wyróżniające się czerwonymi pasami wokół szyi, wzdłuż krawędzi dolnej i rękawów. Ich jedyną osłoną były hełmy, wykonane z brązu lub materiałów organicznych, oraz okrągła, osłonięta skórą, wikliną lub drewnem tarcza, nazywana *caetra*. Za uzbrojenie służyły im falcaty i sztylety. Niektórzy posługiwali się również włóczniami.

*caligae* – ciężkie skórzane sandały noszone przez rzymskich żołnierzy. Trwałe buty wykonane z trzech warstw: podeszwy, wkładki i części górnej. Przypominały współczesne sandały. Paski można było regulować, tak żeby ściślej obejmowały stopę. Dziesiątki metalowych ćwieków na podeszwie zapewniały sandałom dobrą przyczepność, można je było również wymieniać w razie potrzeby.

*carnyx* (l. mn. *carnyxes*) – aerofon, wykonana z brązu trąba, której używano w pozycji pionowej. Jej zakończenie w formie dzwonu zawierało rzeźbę zwierzęcia, zwykle dzika. Wykorzystywana przez wiele ludów celtyckich, powszechna w Galii. Trąb używano na polach bitew wraz z innymi instrumentami muzycznymi, aby zrobić wrażenie na ludziach i straszyć



zwierzęta. Jej wyobrażenia pojawiają się na wielu rzymskich monetach, które wybijano dla uczczenia zwycięstwa nad jakimś plemieniem.

*cenacula* (l. mn. *cenaculae*) – wysoki, kilkunastokondygnacyjny budynek mieszkalny dla najbiedniejszych mieszkańców starożytnego Rzymu. Ciasne, słabo oświetlone, ogrzewane tylko dzięki piecykom i często niebezpieczne z punktu widzenia konstrukcji, *cenaculae* nie zapewniały ani bieżącej wody, ani urządzeń sanitarnych. Do mieszkań tych można było dostać się po lekkich schodach, przytwierdzonych do ścian budynku.

*choma* – sztuczna platforma wzniesiona na południowych i południowo-wschodnich nabrzeżach głównych portów w Kartaginie. Prawdopodobnie pełniła funkcję nabrzeża do rozładunku, przechowywania produktów, a także mola, osłaniającego jednostki przed wiatrem i falami.

*consul* – konsul, jeden z dwóch najwyższych rangą urzędników rzymskich wybieranych co roku, powoływanych przez obywateli Rzymu i akceptowanych przez senat. W praktyce ludzie na tym stanowisku współrządzili Rzymem przez dwanaście miesięcy, decydując o większości spraw cywilnych i wojskowych. Konsul dowodził także wojskami republiki podczas wojny. Każdy konsul mógł sprzeciwić się decyzjom podjętym przez drugiego, ale obaj mieli wykonywać postanowienia senatu. Nikt nie mógł pełnić funkcji konsula więcej niż jedną kadencję.

*crucifixion* – ukrzyżowanie. Wbrew popularnej opinii to wcale nie Rzymianie wymyślili ten rodzaj kary. Równie dobrze mogli zrobić to Kartagińczycy, gdyż najwcześniejsze wzmianki o ukrzyżowaniu pochodzą z okresu pierwszej wojny punickiej.

*decurio* – dekurion, oficer jazdy dowodzący dziesięcioma żołnierzami. Później dekurion odpowiadał za jedną turmę, jednostkę składającą się z ok. trzydziestu ludzi.

*didrachm* – srebrna moneta o wartości dziesięciu drachm, jeden z podstawowych środków płatniczych ok. III w. p.n.e. Co dziwne, Rzymianie zaczęli wybijać własne monety dopiero w późniejszych czasach. *Denarius*, który miał stać się podstawową monetą rozliczeniową w republice, pojawił się dopiero ok. 211 r. p.n.e.

*Eszmun* – kartagiński bóg zdrowia i dobrobytu. Jego świątynia była największym przybytkiem poświęconym bogom w Kartaginie.

*falarica* (l. mn. *falaricae*) – włócznia wykonana z drzewca sosnowego i długiego żeleźca z metalu. Gdy umieszczano na niej nasmołowane pakuły, stawała się śmiertelnie niebezpieczną bronią zapalającą. W ten sposób z powodzeniem stosowana była przez obrońców Saguntum.

*falcata* – skuteczny, lekko zakrzywiony miecz z ostrym sztychem, używany przez lekką piechotę iberyjską. W większej części jednosieczny, ale z dwusieczną końcówką. Rękojeść zagięta ku ostrzu dla ochrony dłoni tworzyła coś w rodzaju jelca, osłaniając palce; zdobiona była często motywem końskiej głowy. Wydaje się, że *caetrati* uzbrojeni w falcaty znakomicie radzili sobie w starciach z rzymskimi legionistami.

*fascēs* (l. mn. *fasciī*) – wiązka różg powiązanych ze sobą, z zatkniętym między nie toporem. Stanowiły symbol sprawiedliwości noszony przez liktorów, grupę strażników przybocznych, którzy towarzyszyli wszystkim najważniejszym urzędnikom. Wiazki różg symbolizują prawo władz do karania tych, którzy te prawa łamią.

*fides* – uosobienie dobrej wiary, zaufania. W czasach republiki rzymskiej uważana za jedną z cnót kardynalnych.

*fugitivarius* (l. mn. *fugitivarii*) – ludzie zajmujący się tropieniem i ściganiem zbiegłych niewolników. Oznaczanie złapanych zbiegów wypaloną na czole literą „F” (jak *fugitivus*) jest udokumentowane, podobnie jak noszenie na szyjach łańcuchów z informacjami pozwalającymi zwrócić niewolnika prawowitemu właścicielowi.

*Gallia Cisalpina* – Galia Przedalpejska, północne tereny dzisiejszych Włoch, na które

składa się dolina Padu oraz pasmo górskie od Alp do Apeninów. W III w. p.n.e. tereny te nie były jeszcze kontrolowane przez Republikę Rzymską.

*gladius* (l. mn. *gladii*) – niewiele wiadomo na temat „hiszpańskiej” (łac. *gladius hispaniensis*) wersji miecza używanego przez legionistów armii republiki, wyróżniającej się przewężeniem ostrza w kształcie liścia. Nie wiadomo na pewno, kiedy zaczął on być stosowany w armii rzymskiej, ale wielu badaczy twierdzi, że stało się to po tym, gdy rzymskie legiony zaczęły mierzyć się w czasie pierwszej wojny punickiej z Celtyberami, uzbrojonymi w tego typu oręż. Rękojeść, wykonana z kości, zabezpieczona była głowicą i drewnianą okładziną. Miecz zwykle noszono po prawej stronie, a tylko centurionowie i wyżsi oficerowie mieli prawo nosić go po lewej stronie. Łatwo było wyciągnąć go z pochwy prawą ręką, a wisiał na pasie po prawej stronie prawdopodobnie dlatego, aby uniknąć problemów z przeszkadzającą w tej operacji *scutum*.

*gugga* – w komedii Plautusa pojawia się zdanie o kupcu kartagińskim określające go obraźliwie: *Guggast homo. Servos quidem edepol veteres antiquosque habet*. Jest to zapewne określenie przymiotnikowe (*gugga est = guggast = jest gugga*) odnoszące się do całej populacji, które można tłumaczyć jako „mały szczer”.

*hastatus* (l. mn. *hastati*) – doświadczeni młodzi żołnierze, którzy tworzyli pierwsze szeregi w formacji legionu wchodzącego do bitwy w III w. p.n.e. Osłonięci byli zbroją lub brązowymi napierśnikami oraz naplecznikami, nosili hełmy z kitą oraz *scuta*. Dysponowali dwoma oszczepami (*pila*), jednym lekkim, drugim ciężkim, oraz gladiusem (*gladius hispaniensis*).

*hora secunda* – druga godzina, *hora quarta* – czwarta godzina, *hora undecima* – godzina jedenasta. Czas według rachuby rzymskiej dzielił się na dwa okresy dwunastogodzinne – dzienny (dwanaście godzin) i nocny (cztery zmiany straży [łac. *vigilae*]). Pierwsza godzina dnia, *hora prima*, zaczynała się o wschodzie słońca. Posługując się tym systemem, trzeba było się liczyć z pewnymi problemami w synchronizacji czasu. Podstawowym instrumentem służącym do określania pory dnia był zegar słoneczny, co oznaczało, że godzina zależała również od lokalizacji, tj. szerokości geograficznej miejsca pomiaru. W związku z tym czas rzymski różnił się od tego na Sycylii, leżącej daleko na południu. Ponadto różne długości dnia, zmieniające się w ciągu roku, powodowały, że letnia godzina była dłuższa niż godzina w zimie.

*Iberia* – współcześnie Półwysep Iberyjski, na którym leżą Hiszpania i Portugalia.

*Iberus* – łacińska nazwa rzeki Ebro, najdłuższej w Hiszpanii, przepływającej przez północną część tego kraju.

*Illyricum* – Iliria, łacińska nazwa ziem rozciągających się na północno-wschodnich wybrzeżach Adriatyku, obszar obejmujący współcześnie Słowenię, Serbię, Chorwację, Bośnię i Czarnogórę.

*intervallum* – znacznych rozmiarów plac między murami lub palisadą a pierwszymi budynkami wewnątrz rzymskiego fortu lub obozu. Miał nie tylko chronić koszary legionistów przed ostrzałem, ale w razie konieczności służył jako miejsce zbiórki oddziałów.

*Kartagina* – stolica imperium o takiej samej nazwie, współcześnie Tunis. Podobno miasto powstało w 814 r. p.n.e., chociaż pierwsze badania archeologiczne sugerują, że wybudowano je jakieś sześćdziesiąt lat później.

*kopis* (l. mn. *kopides*) – zakrzywiony miecz grecki podobny do falcaty. Zazwyczaj noszony w pokrytej skórą pochwie zawieszony na pasie piersiowym. Powszechnie stosowany w czasach starożytnych przez wiele plemion i społeczności, np. Etrusków, Osków czy Persów.

*lictor* (l. mn. *lictores*) – straż przyboczna wyższych urzędników rzymskich. Przyjmowano do niej tylko dobrze zbudowanych i sprawnych fizycznie obywateli rzymskich, ponieważ

polegała zasadniczo na ochranianiu konsulów, pretorów i innych wysokich rangą urzędników. *Lictores* stale towarzyszyli dostojnikom podczas publicznych wystąpień. Liczba strażników różniła się w zależności od funkcji pełnionej przez ochranianego. Każdy *lictor* niósł *fasces* – symbol sprawiedliwości – wiązki różg z wsuniętym między nie toporem. Do innych obowiązków liktorów należały aresztowania i karanie złoczyńców.

*Ligurowie* – ludy zamieszkujące w starożytności obszar przybrzeżny północno-zachodniej Italii, od Rodanu aż po rzekę Arno.

*Luzytanie* – plemiona zamieszkujące obszar obecnie znajdujący się w granicach Portugalii.

*Melkart* – bóg kartagiński uważany za władcę mórz, w późniejszym czasie utożsamiany z Herkulesem. Jeden z ulubionych bogów rodu Barkasów. Wiemy, że zanim Hannibal wyruszył na wojnę z Rzymem, był na pielgrzymce w świątyni Melkarta w południowej Iberii.

*mulsum* – napój przyrządzany przez wymieszanie czterech części wina z jedną częścią miodu. Regularnie podawany w Rzymie przed jedzeniem i podczas lżejszych posiłków.

*munus* (l. mn. *munera*) – walki gladiatorów, pierwotnie organizowane w ramach obchodów dla uczczenia zmarłego.

*Padus* – rzeka Pad.

*papaverum* – morfina. Substancja wytwarzana z makówek maku lekarskiego. Znana jest od co najmniej 1000 r. p.n.e.

*peristilium* (gr. *peristyles*) – perystyl, wewnętrzny dziedziniec z ogrodem w domach zamożnych Rzymian greckich lub rzymskich, najczęściej znajdował się pośrodku domu, otoczony był kolumnadą, a z każdej strony wychodziły na niego otwarte pomieszczenia.

*pilum* (l. mn. *pila*) – rzymski oszczep. Składał się z długiego drzewca (ok. 120 cm) i cienkiego żeleźca (ok. 60 cm), zakończonego hartowanym sztychem w kształcie stożka lub piramidki. Oszczep był bronią ciężką; po wyrzuceniu punkt ciężkości znajdował się za sztychem, co po uderzeniu w cel przekładało się na jego wielką siłę penetrującą. Mógł przebić tarczę i zranić chroniącego się za nią człowieka lub utkwic w niej, czyniąc ją bezużyteczną. Zasięg *pilum* wynosił ok. 30 m, choć skuteczny był prawdopodobnie o połowę mniejszy.

*Pisae* – współcześnie Piza.

*praetor* – jeden z czterech wyższych urzędników (w latach 228–198 p.n.e.), którzy odpowiadali za wymiar sprawiedliwości w Rzymie oraz w posiadłościach zamorskich, np. na Sardynii i Sycylii. Mogli również sprawować funkcje wojskowe i dysponowali inicjatywą ustawodawczą. Jako pierwsi zastępcy konsulów pretorzy zwoływali posiedzenia senatu w czasie ich nieobecności.

*princeps* (l. mn. *principes*) – doświadczeni, starsi wiekiem żołnierze w legionie manipularnym w III w. p.n.e., tworzyli drugą linię formacji rzymskiej. W zakresie uzbrojenia i ubioru nie różnili się od *hastati*.

*provocatio* – tzw. odwołanie w imieniu ludu, wiązało się ze sprzeciwem wobec decyzji urzędniczej.

*pteryges* – pojawia się czasami pisownia *pteruges*, dwuwarstwowe, utwardzane elementy zbroi wykonane z lnu, które chroniły dolne partie ciała i krocze. Były mocowane do kirysów, wykonywanych z tego samego materiału, lub jako niezależne elementy, które można było odczepić od brązowego napierśnika. Chociaż zostały wymyślone przez Greków, używano je w wielu armiach, włącznie z kartagińską i rzymską.

*quincunx, triplex acies* – szyk potrójny w schemacie pięcioelementowym, standardowy szyk przyjmowany przez legion podczas bitwy, składający się z trzech linii ustawionych w określonych odstępach. Cztery kohorty zajmowały pozycje w pierwszej linii, a w drugiej i

trzeciej stały po trzy kohorty. Nie ma pewności, jaki dystans dzielił poszczególne linie, ale zapewne legionieści ćwiczyli różne warianty ustawień i umiejętnie przechodzili z jednej formacji do drugiej, wykorzystując właśnie tę wolną przestrzeń pomiędzy liniami.

*quinquereme* – kwinkwerema, podstawowa jednostka wojenna we flocie kartagińskiej w III w. p.n.e. Porównywalna pod względem rozmiarów z triremami, ale wyróżniała się większą liczbą wioseł. Od wielu lat toczy się dyskusja na temat liczby wiosłarzy na tych okrętach oraz ich umiejscowienia. Obecnie niemal powszechnie przyjmuje się, że kwinkweremy posiadały trzy rzędy wioseł na każdej burcie, przy czym na dwóch wyższych poziomach przy każdym wiosle obsadzano dwie osoby, a na najniższym na każde wiosło przypadał jeden wiosłarz.

*rada starszych* – trudno zorientować się w systemie politycznym Kartaginy z powodu licznych ciał decyzyjnych, ale rada starszych była jednym z najważniejszych. Członkami rady zostawali najwybitniejsi mężowie Kartaginy. Podlegały jej kwestie skarbu i sprawy zagraniczne. Innym organem władzy był trybunał stu czterech, złożony z elitarnych członków arystokracji, nadzorujący prace urzędników i przywódców wojskowych oraz pełniący funkcję wyższego sądu konstytucyjnego.

*Rhodanus* – łacińska nazwa rzeki Rodan.

*Saguntum* – Sagunt, obecnie Sagunto w Hiszpanii.

*Saturnalia* – tygodniowe święto rozpoczynające się 17 grudnia. Pozwalano wtedy na pewne rozluźnienie sztywnych zasad życia społecznego, np. niewolnicy mogli posilać się przed swoimi właścicielami i traktować ich z nieco mniejszym szacunkiem. Święto to stanowiło okazję do objadania się, picia, gier i zabaw. W tym czasie wymieniano się również prezentami – świecami i glinianymi figurkami.

*saunion* – inna nazwa: *soliferreum*, typowa broń wojowników iberyjskich. Wąski, wykonany w całości z metalu oszczep o krótkim grocie w kształcie liścia.

*scutarius* (l. mn. *scutarii*) – ciężkozbrojna piechota iberyjska. Celtyberowie uzbrojeni byli w okrągłe tarcze lub podłużne, bardzo podobne do tarcz używanych w legionach rzymskich. Bogatsi żołnierze mogli pozwolić sobie na kolczugi, inni zakładali tylko małe napierśniki. Wielu *scutarii* nosiło nagolenniki. Hełmy z brązu przypominały galijskie nakrycia głowy typu montefortino. Uzbrojeni byli w jednosieczne miecze, nieco krótsze od ich galijskich odpowiedników, za to znane z wyśmienitej jakości.

*scutum* (l. mn. *scuta*) – wydłużona, owalna tarcza rzymskiego legionisty, o wymiarach 120 cm wysokości i 75 cm szerokości. Wykonywana z dwóch warstw drewna, które ustawiano prostopadle do siebie, a potem pokrywano płótnem lub skórą. *Scutum* była ciężką tarczą, o wadze 6–10 kg. W środku niej znajdowało się duże, wzmocnione wybrzuszenie, zwane *umbo*, chroniące uchwyt znajdujący się po jej drugiej stronie. Na powierzchni tarczy często malowano różne dekoracyjne motywy, a gdy nie była używana (np. podczas marszu), chroniono ją skórzaną osłoną. Niektóre oddziały iberyjskich i galijskich wojowników używały bardzo podobnych tarcz.

*Skylla* – mityczny potwór o dwunastu nogach i sześciu głowach, który miał swoje leże w jaskini naprzeciwko wiru Charybdy, w miejscu lokalizowanym jako Cieśnina Mesyńska.

*socii* – sojusznicy Rzymu. W okresie wojen punickich wszyscy sprzymierzeńcy republiki, którym nie przyznano statusu obywateli, byli zmuszani do zawierania sojuszków militarnych z Rzymem. W teorii krainy te były niezależne, ale w praktyce znajdowały się w relacjach służebnych wobec Rzymu i były zobligowane do wysyłania kontyngentów wojska na wezwanie republiki.

*stadium* (l. mn. *stadia*, gr. *stadion*) – słowo z języka greckiego. Miara długości równa 630 stopom (ok. 192 m) i jednocześnie dystans biegu podczas igrzysk olimpijskich w 776 r. p.n.e. Od tego słowa pochodzi określenie *stadion* (obiekt sportowy).

*strygilla* – niewielkie, zakrzywione narzędzie z żelaza wykorzystywane do oczyszczania skóry po kąpieli w łaźni. Zanim użytkownik łaźni mógł skorzystać z basenów, najpierw musiał wetrzeć w ciało mieszankę oliwy z różnymi pachnidłami, którą następnie za pomocą *strygilli* zeskrobywano, usuwając brud, pot i oliwę.

*sufettes* – sufeci, dwie najważniejsze osoby w państwie kartagińskim, wybierane na ten urząd co roku. Przyjmowali wielką odpowiedzialność za politykę, sprawy wojskowości, sądownictwo i kwestie religijne. Nie ma pewności, czy zakres praw i obowiązków sufeta pokrywał się z tymi, które obliżowały rzymskiego konsula, ale bardzo prawdopodobne, że w III w. p.n.e. sufeci nie mieli aż tak dużej władzy.

*tablinum* – izba znajdująca się za *atrium*. *Tablinum* zwykle przechodziło płynnie w zamknięty, otoczony kolumnami perystyl.

*Tanit* – bogini należąca wraz z Baalem Hammonem do panteonu najważniejszych bogów Kartaginy. Traktowano ją jak boginię-matkę, patronkę i obrończynię miasta.

*Taurasia* – główna osada plemienia Taurynów zamieszkującego Galię Przedalpejską, prawdopodobnie w tym miejscu znajduje się współcześnie Turyn.

*tesserae* – kawałki kamienia lub marmuru, które przycinano, a następnie układano na warstwie zaprawy, tworząc najróżniejsze mozaiki. Ta technika pojawiła się w III w. p.n.e.

*Ticinus* – łacińska nazwa rzeki Ticino.

*Trebia* – łacińska nazwa rzeki Trebbia.

*tribunus* – trybun, starszy stopniem oficer legionów, a także jedno z dziesięciu stanowisk politycznych w Rzymie, które obejmowali ludzie nazywani trybunami ludowymi, mający bronić praw plebejuszy. Trybunowie mogli zawetować decyzje senatu lub konsulów (jeśli nie były to decyzje podjęte w czasie wojny).

*triarius* (l. mn. *triarii*) – najstarsi, najbardziej doświadczeni weterani legionów manipularnych z III w. p.n.e. Zazwyczaj nie wprowadzano ich do walki, chyba że w sytuacji krytycznej. Powiedzenie *res ad triarios venit* (czyli dosłownie: sprawa doszła do triarii) jasno pokazuje, jak mocno ten termin zakorzenił się w kulturze włoskiej. Każdy weteran miał hełm z brązu, *gladius hispaniensis* oraz *scutum*, elementy charakterystyczne dla wszystkich typów legionistów, a ponadto nagolenice na lewej (postawnej) nodze oraz pancerz kolczy i długą włócznię.

*triremis* – trirema, rzymski okręt wojenny poruszany siłą pojedynczego żagla i dzięki trzem rzędom wiosł. Każde wiosło obsługiwane było przez jednego mężczyznę, który urodził się wolny (nie był niewolnikiem). Triremy były wyjątkowo zwrotne i mogły osiągać prędkość do ośmiu węzłów pod żaglami lub na krótkich odcinkach podczas wiosłowania. Zaopatrzone były w taran dziobowy wykonany z brązu, którym można było uszkodzić lub zatopić okręt wroga. Na pokładzie często montowano katapulty. Załoga triremy składała się z maksymalnie trzydziestu marynarzy i dwustu wiosłarzy, a na pokład mogła zabierać do sześćdziesięciu legionistów (zredukowana centuria), co oznaczało, że na okręcie było stosunkowo ciasno (biorąc pod uwagę wielkość jednostki). W praktyce triremy miały raczej niewielki zasięg; wykorzystywano je do transportu wojsk i obrony wybrzeża.

*turma* (l. mn. *turmae*) – oddział jazdy składający się z trzydziestu żołnierzy.

*velites* (l. mn. *velites*) – lekkobrojni harcownicy w armii rzymskiej w III w. p.n.e. rekrutowani spośród biedoty. W skład tych jednostek wchodził zazwyczaj młodzi ludzie, których jedyną osłoną była mała, okrągła tarcza, a także – dość rzadko – prosty, brązowy hełm. Uzbrojeni byli w miecze, ale ich podstawową broń stanowiły oszczepy, o długości 120 cm. Zdarzało się, że nosili nakrycia głowy wykonane z futer niedźwiedzi lub wilków.

*vespera* – pierwsza straż, przypadająca na chwilę przed zachodem słońca.

*vilicus* – nadzorca niewolników lub osoba odpowiedzialna za ich pracę w latyfundium. Choć na ogół funkcję tę powierzano niewolnikom, pełnili ją też czasem opłacani wolni ludzie, których zadaniem było dbanie o to, aby gospodarstwo rolne przynosiło jak największe profity. Najczęściej sprowadzało się to do brutalnego zmuszania niewolników do pracy ponad siły.

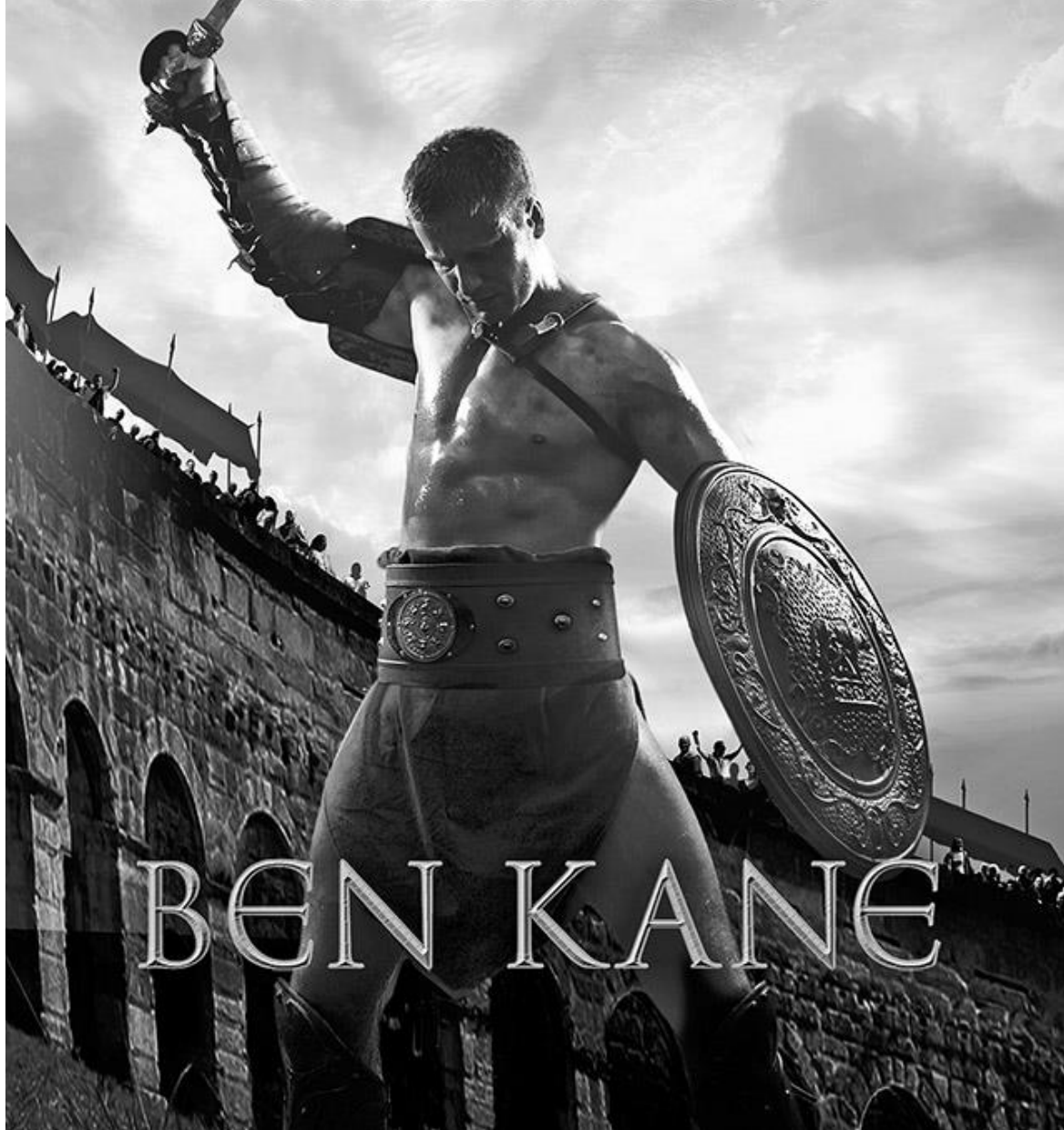
*Vinalia Rustica* – rzymskie święto wina obchodzone 19 sierpnia.

*zgromadzenia ludu Kartaginy* – spotkania zwoływane dla debat, w których mogli uczestniczyć pełnoletni mężczyźni w Kartaginie. Takie zgromadzenie miało m.in. prawo do corocznego wybierania sufetów.

**Zapraszamy do lektury pierwszego rozdziału nowej serii *Spartakus***

WOJOWNIK. NIEWOLNIK. BOHATER.

# SPARTAKUS GLADIATOR



BEN KANE



## Rozdział I



Południowo-zachodnia Tracja, jesień 74 r. p.n.e.

Gdy oczom wędrowca wreszcie ukazała się wioska na szczycie odległego wzgórza, poczuł, że jego serce skacze z radości. Pokonał długą drogę z Bitynii. Jego stopy pokryły się pęcherzami, bolały go mięśnie nóg, a ciężar kolczugi spowodował już ból pleców. Zimne podmuchy wiatru smagały czerwone od chłodu uszy. Żałował, że w osadzie, którą mijał przed dwoma dniami, nie kupił futrzanej czapy. Zawsze do tej pory wystarczała mu filcowa materia służąca za nakrycie głowy. A gdy musiał, zakładał hełm z brązu. Wolał go od tak powszechnej na tych ziemiach trackiej czapki z lisiego futerka, zwanej *alopekis*. *Jednak w tych trudnych warunkach może ciepłe odzienie należałoby uznać za ważniejsze niż broń i elementy zbroi, które mam na sobie? Bogowie! Nie mogę się doczekać chwili, gdy zasnę pod dachem, w miejscu suchym, ciepłym i bezpiecznym, gdzie nie będzie mi padało na głowę!* Dotarcie aż tutaj z ufortyfikowanego obozu, w którym pożegnał się ze służbą w legionach, zajęło mu ponad sześć tygodni. W powietrzu wyraźnie czuć było zbliżającą się wielkimi krokami zimę. Pewnie nie zmitrężyłby tyle czasu, gdyby jego koń nie okulał zaledwie dwa dni po opuszczeniu fortu. Od tamtej pory nie mógł go już dosiadać, nie ryzykując pogorszenia jego stanu. Wierny ogier zmienił się w zwierzę juczne, niosąc jego tarczę i resztę ekwipunku.

– Każdego innego konia od razu ofiarowałbym bogom – wędrowiec odezwał się z czułością, ciągnąc delikatnie za lejce białego wierzchowca, stąpającego ostrożnie za jego plecami. – Ale ty dobrze służyłeś mi przez ostatnie lata, co? – Uśmiechnął się, gdy ogier zarżał cicho, jakby rozumiał, co do niego mówi. – Nie, nie mam już jabłek. No, nie zasepiaj się tak... Niedługo dostaniesz cały worek paszy. Jesteśmy już prawie w domu. Niech dzięki będą Jeźdźcy.

Dom. Wspomnienie tego miejsca zatarło się w jego pamięci. Co po tylu latach oznaczało dla niego słowo „dom”? Najjaśniejszym obrazem w tej wizji była twarz ojca, choć pewnie posunął się w latach. Czy go pozna? Nie było go całą dekadę. Walczył dla chwały Rzymu. Znienawidzonej przez wszystkich Traków potęgi, której jednak służyło tak wielu jego pobratymców. Tylko że on miał swoje powody, aby zaciągnąć się do rzymskiej armii. *Musiałem to zrobić, by poznać metody walki legionów i któregoś dnia je pokonać. Ojciec miał dobry pomysł.* Tylko bogowie wiedzieli, jak się zżymał, gdy musiał wykonywać rozkazy tych samych żołnierzy, z którymi niegdyś krzyżował miecze, ludzi, którzy – co bardzo prawdopodobne – zabili jego brata i którzy zniewolili jego lud oraz zagarnęli ziemię. Niemniej było warto. Wiele nauczył się od tych sukinsynów: jak bezlitośnie traktować żołnierzy, których trzeba nauczyć automatyzmu na polu bitwy i wyszkolić tak, aby stali się trybikami śmiertelnie niebezpiecznej maszyny do zabijania. Jak ważne jest to, aby bez zwłoki wykonywali rozkazy nawet w ferworze

walki. Świetnie przygotowani żołnierze potrafili poradzić sobie w najbardziej ekstremalnych sytuacjach. *Dyscyplina! Dyscyplina i organizacja* – to klucz do zwycięstwa.

*Tylko że do opuszczenia rodzinnej wioski przekonała cię nie tylko myśl o tym, aby jak najlepiej poznać wroga – odezwał się w nim wojownik. W starciu z legionami twoje plemię poniosło ogromne straty i zostało ujarzmione. Nikt już nie myślał, aby z kimkolwiek walczyć, a już na pewno nie z Rzymem. A ty jesteś wojownikiem, który podąża drogą Jeźdźca. Kochasz wojnę. Rozlew krwi. Zabijanie. Dzięki dołączeniu do Rzymian mogłeś brać udział w niekończących się kampaniach. Bez względu na to, co oni uczynili twojemu ludowi, nadal czerpałeś przyjemność z walki ramię w ramię z towarzyszami z legionów.*

*Ale teraz mam tego dość! Czas, aby gdzieś osiąść na dłużej. Znaleźć kobietę. Założyć rodzinę.* Uśmiechnął się. Dawniej gardził takimi sprawami. Teraz wydawały się atrakcyjne. W czasie służby w legionach widział rzeczy, które sprawiają, że mężczyźni siwieją w jedną noc. Przyzwyczał się do tego. Niesiony szalem bojowym zachowywał się tak, jak znienawidzeni legionieści, jednak płądrowanie obozów i wyrzynanie bezbronnych wiosek, widok gwałconych kobiet i zabijanych dzieci... Trudno było mu to akceptować.

– Na razie będzie mi musiało wystarczyć planowanie przyszłego starcia z Rzymem. Z czasem szansa, aby wprowadzić plany w życie, sama się nadarzy. – Wędrowiec kontynuował swój monolog, jakby koń mógł mu odpowiedzieć. – Tymczasem znajdę dobrą tracką kobietę, aby urodziła mi gromadkę dzieci.

Koń musnął jego łokieć, ciągle licząc na jakiś smakołyk.

– Jeśli chcesz dostać trochę jęczmienia, lepiej się pośpiesz – zamruczał, poklepując zwierzę pocieszająco. – Nie będę się zatrzymywał tak blisko wioski, żeby założyć ci worek na obrok.

Z wysoka, po lewej stronie, doszedł do niego podejrzany dźwięk. Jakby coś zaskrobało o skałę. Zaklął pod nosem, niezadowolony, że pozwolił sobie na chwilę nieuwagi. Chociaż na szlaku nie napotkał żywej duszy, nie oznaczało to, że jest bezpieczny. Na szczęście bogowie uśmiechali się do niego przez całą drogę z Bitynii. Pogoda nie zachęcała do wyścibiania nosa z chaty i większość Traków pewnie zajęta była czyszczeniem i oliwieniem broni w ramach przygotowań do następnego sezonu kampanii. To był najlepszy czas dla samotnego wędrowca.

*Jak dotąd udawało mi się unikać bandytów czyhających na szlakach na podróży. Ci tutaj zasadzili się bardzo blisko mojej wioski. Mam nadzieję, że to nie jakaś większa grupa.* Udał, że się przeciąga i rozluźnia mięśnie karku, dzięki czemu mógł pozwolić sobie na szybkie spojrzenia na boki. *Trzech, może czterech...* Obserwowali go z kryjówek na skalistych zboczach tuż nad kamienistą ścieżką. Wyglądało na to – co nie było dla niego zaskoczeniem, w końcu znajdowali się w Tracji – że byli uzbrojeni w oszczepy. Zerknął na obły hełm z brązu, przytroczony do innych pakunków na grzbiecie ogiera. Zdecydował, że nie będzie go zakładał. Niewielu peltastów potrafiło trafić oszczepem z takiego dystansu w głowę nieprzyjaciela. Jeśli zaś chodzi o tarczę... Zdąży po nią sięgnąć, zanim poślą w jego kierunku pierwsze oszczepy. Nawet jeśli któryś trafi, jego koleczuga powinna go ochronić. Zmarnowałby za dużo czasu, próbując wydostać włócznię. Stanie do walki z *sica* w ręce, zakrzywionym, krótkim trackim mieczem, który wisiał na jego bogato zdobionym pasie. Uznał, że ma szansę w tym starciu, przynajmniej jeśli te dranie nie okażą się ekspertami w walce na dystans. *Wielki Jeźdźcu, stań przy mym boku z uniesionym mieczem.*

– Wiem, że tam jesteście! Możecie się już pokazać.

Ktoś wybuchnął nieprzyjemnym rechotem. Jeden z ukrywających się oprychów wychylił się zza krzaka zaledwie trzydzieści kroków od niego. Wyprostował się. Bezlitosne oczy na pokrytej bliznami wąskiej twarzy wpatrywały się w wędrowca. Gdy wstał, wyszywany wełniany

płaszcz odsłonił wytartą, długą tunikę, sięgającą mu do ud. Na głowie nosił brudną czapkę z lisim futrem. Miał chude, kościste nogi, a wysokie buty z cielejącej skóry pamiętały lepsze dni. W lewej ręce dzierżył typową półksiężycową tarczę, zwaną *pelta*, oraz zapasowy oszczep. W prawej – kolejny lekki oszczep, gotowy do miotania.

*Nie ma pancerza, a poza oszczepem tylko sztylet za pasem* – wędrowiec analizował w myślach swoje szanse. *Dobrze. Jego przyjaciele nie będą lepiej uzbrojeni.*

– Masz pięknego ogiera – odezwał się drab. – Szkoda, że okulał.

– Racja. Gdyby był zdrow, wy, wszawie kundle, udusilibyście się w chmurze kurzu, jaką bym za sobą zostawił.

– Ale tak się nie stanie. Wędrujesz pieszo. I jesteś sam – usłyszał inny drwiący głos.

Wędrowiec uniósł wzrok. Ten, który właśnie przemówił, był starszy od pierwszego mężczyzny. Dostrzegł wyraźne zmarszczki i nie uszły jego uwadze siwiejące włosy. Jutowa odzież, którą miał na sobie, wyglądała dość nędznie, ale z jego spojrzenia biło wielkie pragnienie przemocy. Mimo że upływające lata odcisnęły na twarzy starszego mężczyzny swoje piętno, jego okrągła tarcza wyglądała na prawidłowo wykonaną. Pewnie potrafił zrobić właściwy użytek z oszczepu trzymanego w prawej ręce. *Ten jest bardziej niebezpieczny. Musi być ich przywódcą.*

– Widzę, że spodobał się wam mój koń?

– Ha! – W polu widzenia pojawił się trzeci członek bandy. Zdecydowanie odróżniał się od dwóch pozostałych atletyczną sylwetką. Na rękach i nogach wyraźnie rysowały się węzły mięśni, a zamiast oszczepów miał robiącą duże wrażenie okutą pałkę i dużą tracką tarczę. – Chcemy odebrać ci wszystko. Konia, ekwipunek i broń. I twoje pieniądze, jeśli je masz...

– Weźmiemy nawet twoje jedzenie! – Czwarty mężczyzna okazał się chudzielcem z zapadniętymi policzkami i ziemistą, niezdrową cerą. Nie miał tarczy, ale trzy lekkie włócznie nadające się do rzucania.

– A jeśli oddam wam to, co mam, pozwolicie mi odejść? – Każdy oddech wędrowcy sprawiał, że w zimnym powietrzu tworzyły się kłęby pary.

– Oczywiście... – odezwał się ten, który pokazał się jako pierwszy. Jego pozbawione emocji spojrzenie i martwe oczy, a także chichot towarzyszy kazały mocno wątpić w te zapewnienia.

Wędrowiec nie próbował nawet ich skomentować. Odwrócił się i zamruczał uspokajająco do konia:

– Stój... – Gdy wsunął dłoń pod dużą, okrągłą tarczę i odcinał przytrzymujący ją sznur, próbował zlekceważyć świst oszczepu, który właśnie przemknął nad jego głową. Drugi pocisk, wyrzucony w powietrze po płaskim łuku, wylądował pod końskimi kopytami. Ogier zaczął przebierać nerwowo nogami. – Spokojnie... Znasz to. Byliśmy już nieraz w podobnej sytuacji.

Wierzchowiec uspokoił się, reagując na kojący ton głosu swojego pana.

– Oegrusie! Przestań, głupcze! – rozdarł się prowadzyciel bandy. – Jeśli zranisz konia, sam wypruję ci flaki.

*Świetnie. Nie będzie więcej oszczepów. Ogier ma dla nich za dużą wartość.* Ustawił się tyłem do konia i uniósł tarczę. Miał chudzielca za plecami, ale wiedział, że nie będzie ryzykował rzutu. Inni też nie. Wyciągnął *sica* z pochwy i uśmiechnął się ponuro.

– Jeśli chcecie moich rzeczy, będziecie musieli tu przyjść i je sobie wziąć.

– W porządku... – warknął pierwszy oprych. Używając pięt jak hamulców, zsunął się szybko w dół stoku. Za nim pospieszyło jego dwóch kamratów. Z odgłosów dochodzących do niego zza pleców wywnioskował, że chudzielec też był już bliżej ścieżki. Ogier zarżał gniewnie i pokazał zęby, przyjmując wyzwanie. *Niech tylko się zbliży.*

Gdy cała trójka znalazła się na szlaku, mężczyźni zaczęli się naradzać, wymieniając

szeptem jakieś uwagi.

– Pogadaliście już sobie? Gotowi do walki? – zapytał wędrowiec, szydząc.

– Ty suczy synu... – zagotował się lider. – Zobaczymy, czy będziesz tak samo arogancki, gdy obetnę ci jaja i wepchnę do gardła!

– Moje przynajmniej łatwo znaleźć. Wątpię, czy któryś z was, mikrusy, ma tam coś większego od orzeszków.

Na twarzy wielkoluda pojawił się grymas wściekłości. Rzucił się na wędrowca pierwszy, wyjąc wniebogłosy, z tarczą w pogotowiu i uniesioną pałąką.

Wędrowiec zrobił szybko kilka kroków do przodu. Zablockował lewą nogę tuż za tarczą i zebrał się w sobie. Zacisnął palce na rękojeści miecza. *Muszę się z nim rozprawić szybko, bo pozostali pewnie nie będą długo czekać z atakiem.*

Na szczęście okazało się, że drągał był bardziej pewny siebie niż wprawiony w walce.

Wykorzystał swój ciężar, aby uderzyć z impetem w tarczę przeciwnika, wyprowadzając jednocześnie kąśliwy cios w głowę. Wędrowiec zachwiał się jednak tylko nieznacznie, po czym szybko odrzucił głowę w bok. Potem przeciął błyskawicznie ścięgno podkolanowe w lewej nodze przeciwnika. Drab zawył rozdzierająco i zwałił się bezwładnie na ziemię. Miał dość oleju w głowie, aby unieść jeszcze *pelta*, ale wędrowiec wytrącił mu ją z rąk zamaszystym ruchem swojej tarczy i natychmiast wyprowadził drugi przeszywający cios, ostro ku dołowi. Sztych miecza przeszedł gładko przez szyję leżącego na ziemi przeciwnika. Zbir zaczął dławić się własną krwią.

Wędrowiec pociągnął miecz ku górze i kopnął umierającego mężczyznę tak, że ten przewalił się na plecy.

– Kto następny?

Lider wysyczał jakieś polecenie do chudego opryszka, który skradał się za plecami wędrowca, po czym mężczyźni rozdzielili się, podchodząc swoją ofiarę z trzech stron, ostrożnie i powoli jak morskie kraby.

W tej chwili ogier zarżał ostrzegawczo. Wędrowiec wyczuł raczej, niż zobaczył, że jego koń staje na tylnych nogach. Szybko przesunął się do przodu, aby zejść mu z drogi. Chwilę później usłyszał głuchy łoskot, a następnie odgłos ciała padającego na ziemię.

– Mój koń może i jest kulawy, ale wciąż ma niezły temperament – powiedział niemal łagodnie. – Mózg waszego koleżki pewnie rozprysnął się teraz na kamieniach. Mam rację?

Dwaj ostatni przeciwnicy spojrzeli po sobie zszokowani.

– Nawet nie myśl o ucieczce! – odezwał się starszy prowodyr. – Oeagrus był moim siostrzeńcem. Chcę go pomścić.

Wędrowiec obniżył trochę tarczę, odsłaniając zachęcająco szyję. *Niech któryś się skusi...*

Mężczyzna w czapce z lisiego futra zacisnął zęby.

– Mam gdzieś, czy trafię konia – powiedział, zanim rzucił swój oszczep.

Wędrowiec nie ruszył się z miejsca. Po prostu uniósł tarczę, pozwalając, aby oszczep utknął w warstwie drewna i skóry. Ostry grot wbił się głęboko, wychodząc na dwa palce po wewnętrznej stronie tarczy. Na szczęście go nie zranił. Wędrowiec odprowadził rękę do tyłu i zamachnął się tak, aby trafić zbira bezużyteczną już tarczą. Ten uskoczył, żeby nie zostać trafionym ostrą krawędzią. Nie spodziewał się jednak, że wędrowiec skoczy natychmiast za wirującą tarczą. Gdy próbował pchnąć go drugim oszczepem, żeleźce zostało łatwo odbite na bok.

Wędrowiec z całym impetem uderzył przeciwnika lewą pięścią w twarz. Głowa mężczyzny odskoczyła do tyłu. Nie zdążył nawet zobaczyć błysku ostrza *sica*, gdy miecz zagłębił się w jego karku, tam, gdzie kończy się szyja, a zaczyna pierś. Krew tryskająca z rany zrosiła

wszystko wokół, a mężczyzna zwał się bokiem na drogę z otwartymi szeroko ze zdziwienia oczami. Krew pulsującym strumieniem zgodnym z rytmem coraz słabiej bijącego serca uformowała już małą, karminową kałużę u stóp wędrowca. *Trzech gryzie piach, ale ostatni jest najgroźniejszy.*

Wędrowiec zawirował w błyskawicznym obrocie, spodziewając się, że lider bandy będzie chciał dźgnąć go w plecy. Ten ruch uratował go przed poważnymi obrażeniami, grot włóczni bowiem ześlizgnął się po pierścieniach koszuli kolczej. Napastnik po takim wydłużonym ciosie stracił równowagę i się potknął. Potężne uderzenie w odlew w twarz posłało go do tyłu. Opadł na pośladku, gubiąc broń.

Siedział teraz na ziemi i spoglądał bezradnie na wędrowca.

– Mam żonę. Rodzinę do wykarmienia – wyjąkał, łypiąc na niego przerażony.

– Trzeba było pomyśleć o tym, zanim mnie zaatakowaliście.

Oprych wrzasnął, gdy *sica* rozorała mu skórę na brzuchu, rozrywając wnętrzności na strzępy. Szlochając z bólu, czekał na cios łaski. Nie doczekał się jednak. Leżał bezsilny, powoli tracąc przytomność.

Po kilku uderzeniach serca otworzył oczy. Jego niedoszła ofiara patrzyła na niego beznamiętnie.

– Nie zostawiaj mnie tak, żeby umierał w boleściach – błagał. – Nawet Kotys by tego nie uczynił.

– Kotys? – Wędrowiec nie doczekał się odpowiedzi, więc wymierzył prowodyrowi kopniaka. – Zamierzałeś obciąć mi jaja i wpakować do ust, pamiętasz?

Umierający mężczyzna przełknął ciężko.

– Pro... proszę.

– Dobrze. – Uniósł *sica* wysoko w powietrze.

– Zanim mnie zabijesz, powiedz, kim jesteś – zdołał jeszcze wyszeptać.

– Po prostu zmęczonym wędrowcem z okulałym koniem.

Ostrze opadło. Oczy mężczyzny po raz ostatni zrobiły się wielkie jak czarki. Spoglądał już chyba na drugi brzeg Styksu.

Ariadna zebrała włosy do tyłu i ostrożnie upięła długie, czarne pukle za pomocą kilku kościanych wsuwek. Siedząc na trójnożnym stołku przy niskim, drewnianym stole, pochyliła stojące na nim lustro z brązu w taki sposób, aby złapać słabe światło wpadające do chaty przez otwarte drzwi. Ten wyprofilowany kawałek czerwonozłotego metalu był jej jedynym zbytkiem i korzystanie z niego – chociaż nie robiła tego często – przypominało jej o tym, kim jest. Większość ludzi w osadzie nie widziała w niej kobiety, krewnej czy przyjaciółki. Była kapłanką Dionizosa i za to ją szanowano. Ariadna na ogół była zadowolona z otaczającej ją estymy. Nie miała łatwego dzieciństwa, a mimo to osiągnęła wysoką pozycję społeczną, o której wcześniej, wydawałoby się, nie powinna nawet marzyć. Nie znaczyło to jednak, że nie miała potrzeb czy pragnień. *Czy jest coś złego w tym, że pragnę mężczyzny? Męża?* Zacisnęła usta. W tej chwili jedynym zainteresowanym nią mężczyzną był Kotys, król plemienia Maedi, i jak można się było spodziewać, jego awanse skutecznie odstraszały innych potencjalnych zalotników. Krążyły plotki, że ci, co stawali na drodze Kotysowi, kończyli marnie. *Nie, żeby byli jacyś przed nim* – pomyślała gorzko. Mężczyźni, którzy mieli dość odwagi, by starać się o względy kapłanki, byli jednak okazami niezwykle rzadkimi.

Ariadna nie cieszyła się na umizgi Kotysa ani ich nie pragnęła. A król bywał w swoich zalotach wręcz obrzydliwy. Czowała się jednak niezdolna do tego, aby je powstrzymać. Jeszcze nie ośmielił się jej tknąć, ale była przekonana, że to tylko z powodu jej pozycji społecznej oraz jadowitego węża, którego trzymała w koszu przy posłaniu. Jej sytuację komplikowało to, że nie

mogła opuścić wioski. Została tu wysłana przez arcykapłanów z Kabyle, jedyne miasta Tracji, położonego na północnym wschodzie, daleko od miejsca, w którym się znajdowała. Pomijając nadzwyczajne okoliczności, wysłano ją tu, aby w tym właśnie miejscu spędziła całe życie. Gdyby wróciła do Kabyle, musiałaby się liczyć z tym, że do końca swoich dni zajmowałaby się czarną robotą, to znaczy miałaby przydzielone mało istotne, służebne obowiązki w głównej świątyni.

Nie mogło być też mowy o powrocie do rodziny. Wprawdzie kochała matkę i modliła się za nią codziennie, do ojca jednak żywiła tylko niegodne kapłanki uczucia – nienawiść i odrazę. Jej emocje miały swoje źródło w trudnym dzieciństwie, gdy ojciec bił ją i poniżał przy każdej nadarzającej się okazji. Albo gorzej... Ten dumny wojownik plemienia Odrysów gardził nią, ponieważ – choć była jego jedynym dzieckiem – nie urodziła się jako chłopiec. Podczas długich lat niedoli znajdowała ukojenie tylko w modłach do Dionizosa, boga uniesienia i rytualnej ekstazy. Tylko podczas obcowania z nim odczuwała namiastkę wewnętrznego spokoju, który przez długie lata stał się dla niej sposobem ucieczki od rzeczywistości. Ariadna do dziś wierzyła, że Dionizos pomógł jej przetrwać niekończące się katusze.

Wcześniej nigdy nie sądziła, że może uciec od ojca, gdyż jedynym wyjściem z jej trudnej sytuacji mogło być tylko poślubienie jakiegoś mężczyzny. Po prostu nie wiedziałyby, co ze sobą zrobić. Gdzie miałyby pójść? Wszystko zmieniło się w jej trzynaste urodziny. Wiecznie poniewierana matka zdecydowała się na niezwykłą interwencję, przekonując ojca na wyrażenie zgody, by córka udała się do świątyni Dionizosa w Kabyle i spróbowała swoich sił jako akolitka, kandydatka na kapłankę. A gdy już znalazła się za murami tego przybytku, jej zapał i oddanie zaimponowały kapłanom tak bardzo, że pozwolili jej zostać. Minęło ponad dziesięć lat, a ona ciągle nie miała ochoty wracać do domu. Po co? Chyba tylko po to, żeby zabić ojca. Zdawała sobie jednak sprawę, że byłby to czyn zupełnie bezsensowny. Wprawdzie status kapłanki sprawiał, że wolno jej było więcej niż zwykłej kobiecie, jednak gdyby dopuściła się ojcobójstwa, poniosłaby straszną karę.

Nie. Najlepiej będzie, jeśli przetrzyma zaloty Kotysa – *Dionizosie! Spraw, aby jakaś piękność o oczach sarny wkrótce przyciągnęła jego uwagę* – i ugruntuje swoją pozycję w wiosce. Minęło zaledwie sześć miesięcy, odkąd przybyła do największej osady plemienia Maedi. Niewiele wody upłynęło od tej chwili. Ariadna uniosła podbródek. Było też inne wyjście. Gdyby Kotys został zdetronizowany, ktoś lepszy mógłby zająć jego miejsce. Spędziła w wiosce wystarczająco dużo czasu, aby wyczuć narastające niezadowolenie z jego rządów. Nikt specjalnie nie tęsknił za poprzednim królem, Rhesusem, ani jego synem Andriscusem. Powszechnie lubiany był natomiast szlachetnie urodzony Sitalkes, który miał największe szanse, aby zastąpić Kotysa. Wielu wojowników z sentymentem wspominało – uważając przy tym, by nie robić tego przy członkach gwardii Kotysa – Sitalkesa i jego dwóch synów. Jeden z nich zginął w bitwie z Rzymianami, a drugi wyruszył, by służyć zdobywcom jako najemnik. I jeszcze nie powrócił.

*Gdyby tylko ktoś miał dość odwagi, by zmierzyć się z Kotysem i wykorzystać tę kumulującą się od dłuższego czasu niechęć* – pomyślała Ariadna. Krótka, gwałtowna walka i drań zniknęłyby na zawsze. Nie po raz pierwszy żałowała, że urodziła się kobietą. *Za mną nikt by nie poszedł*. Wpatrywała się w swoje odbicie w stojącym przed nią lustrze. Patrzyła na tak dobrze znaną jej twarz w kształcie serca, okoloną długimi, czarnymi pasmami włosów, na prosty nos i wysokie kości policzkowe. Na podbródek nadający jej twarzy zdecydowany wygląd. Kremowobiała cera sprawiała jej wiele kłopotu z powodu wręcz parzących promieni słońca, zalewających Trację każdego lata. Na wirujący wzór z plamek wytatuowanych na obu przedramionach. Szczupłe, lecz silne ramiona. Małe piersi. *Co Kotys we mnie widzi? Nie jestem żadną piękną. Zwracam na siebie uwagę – to na pewno – ale nie można mnie nazwać ładną*. A jej odpowiedź brzmiała zawsze tak samo: *Pożąda mojego nieokielznanego ducha i – jako że*

*jest zachłanny – chciałby go osiąść i zniewolić.* Dobrze wiedziała, że jej zapalczywość często wpędzała ją w kłopoty podczas okresu przygotowawczego w świątyni, ale z drugiej strony pomogła jej zostać kapłanką szybciej niż inne kandydatki. Ariadna bardzo ceniła sobie swój ognisty temperament. To dzięki niemu z łatwością wprowadzała się w trans menad i osiągała taki poziom uniesienia, w którym mogła obcować z Dionizosem i poznawać jego wolę. *Mój duch nie należy do żadnego człowieka!* – pomyślała rozgniewana Ariadna. *Jestem narzędziem boga.*

Wstała i podeszła do prostego legowiska, koca przykrywającego grubą warstwę słomy w rogu chaty. Z podobnego posłania korzystali wszyscy mieszkańcy tej osady, a ona nie chciała się wyróżniać. Trakowie byli znani z surowego, niemal ascetycznego trybu życia. Ariadna nie była inna. Włożyła ciemnoczerwony wełniany płaszcz, który stanowił symbol jej pozycji społecznej w ciągu dnia, a w nocy służył również jako ciepłe okrycie. Podniosła wiklinowy kosz stojący przy posłaniu i przyłożyła do niego ucho. Żadnego odgłosu. Nie była zaskoczona. Wąż nie lubił chłodnej, jesiennej pogody i tylko sporadycznie udawało się jej wyrwać go z odrętwienia, żeby opleść wokół szyi przed obrzędem w świątyni. Na szczęście ta prosta sztuczka wystarczała, aby wywołać zachwyt wieśniaków. Dla Ariadny jednak gad był jedynie narzędziem służącym podtrzymywaniu aury tajemniczości. Szanowała tę istotę. Nawet trochę się jej bała. Ale w Kabyle została świetnie przeszkolona w radzeniu sobie z nią i jej podobnymi.

Chwyliła kosz pod pachę i wyszła. Jak większość podobnych budowli w tej osadzie, jej jednoizbową, prostokątną chatkę zbudowano z krat z gałęzi, które pokryto grubą warstwą błota. Siodełkowy dach wykonano z mieszaniny słomy i mułu, zostawiając w nim otwór, przez który mógł wydostawać się dym z ogniska. Jedna ze ścian budowli przylegała do palisady otaczającej dwór Kotysa. Ostrokół miał być symbolem pozycji króla i uniemożliwiać zdradziecki atak wrogów, gdyby ci dostali się niepostrzeżenie do osady. Po obu stronach ciągnęła się linia mizernych chatynek z płotkami, za którymi trzymano zwierzęta. Ludzie starali się zagospodarować wolną przestrzeń wzdłuż krętych ścieżek, które prowadziły w różne strony przez całą wioskę, ulokowaną na dość sporym terenie. Budowle te powstawały i ewoluowały przez wieki osadnictwa. O długiej historii wioski mogły też świadczyć rozmieszczone w regularnych odstępach wielkie doły na odchody i wysypiska śmieci. Ariadna dziękowała bogom, że jej dom znajdował się w rozsądnej odległości od któregośkolwiek z tych niezbędnych, acz straszliwie cuchnących miejsc.

Zmierzała w kierunku centralnego placu wioski, odpowiadając na pełne szacunku pozdrowienia mieszkańców poważnym uśmiechem lub skinieniem głowy. Po drodze o błogosławieństwo i radę prosiły ją kobiety z niemowlętami przy piersiach i starsi. Jednak tylko najodważniejsi wojownicy nie unikali jej wzroku. Dzieci jak zwykle reagowały dwójako: albo zerkwały na nią z niepewnością lub wręcz przerażeniem, albo pytały, czy mogą zobaczyć węża. Znacznie więcej było tych pierwszych. Cóż, nie miała zbyt wielu okazji, aby osłodzić sobie samotność. Odegnęła melancholijne myśli. Bóg da jej mężczyznę, gdy uzna to za właściwe. A jeśli tego nie zrobi, nadal będzie służyła mu wiernie, jak obiecywała solennie podczas uroczystości inicjacyjnej, zanim weszła na ścieżkę kapłaństwa.

Tłum przed nią rozstąpił się, ukazując grupę bogato ubranych wojowników. Zamarła. Wystarczył rzut oka na zadzierających nosa mężczyzn, aby zorientować się, z kim ma się do czynienia. Czerwone tuniki z długimi rękawami i pionowymi białymi paskami, zdobione hełmy z brązu oraz inkrustowane srebrem nagolenniki świadczyły o tym, że należą do gwardii króla. Wskazywała na to też zresztą ich broń: porządnie wykonane oszczepy, kopisy i długie, zakrzywione sztylety. Ariadna zaklęła pod nosem. Jeśli są tu ludzie Kotysa, on sam nie może być daleko. Zerkając w lewo, przywitała starszą kobietę, której męża niedawno wyleczyła. Jej uszy natychmiast wypełnił potok pochwał i podziękowań dla Dionizosa. Rozpromieniła się,

jednocześnie zeszła trochę z widoku, przesuając się w stronę chaty staruszki, i odwróciła się plecami do drogi i placu. Przy odrobinie szczęścia wojownicy jej nie zauważą. *Może wcale mnie nie szukają?*

– Kapłanko!

Ariadna zakłęła w duchu. Udawała, że słucha staruszki, ale wezwanie, które usłyszała po raz drugi, wyszło z ust kogoś, kto znajdował się tuż za nią.

– Kapłanko?

Wędrowiec nie zamierzał niepotrzebnie marnować czasu w miejscu, gdzie zorganizowano na niego zasadzkę. Bandyci oczywiście nie mieli przy sobie nic wartościowego. Wystarczyło tylko wytrzeć krew z *sica* i usunąć oszczep, który przebił tarczę, a potem przymocować ją ponownie do pakunków na końskim grzbiecie. Ruszył w kierunku wsi, zostawiając ciała tam, gdzie upadły. Musiał się spieszyć, aby dotrzeć na miejsce przed zmrokiem. Nie chciał nawet myśleć o innej ewentualności. Na niebie kłębiły się jasnożółte chmury, które o tej porze roku zwiastowały silne opady śniegu. Okazało się jednak, że szczęście go nie opuszcza. Nie wiedział, czy to dzięki adrenalinie płynącej w żyłach wierzchowca po ostatniej walce, czy interwencji wielkiego Jeźdźcy, ale wydawało się, że ogier zaczął poruszać się jakoś sprawniej. Udało im się szybko pokonać spory dystans, a gdy z nieba zaczęły spadać pierwsze płatki śniegu, wędrowiec dostrzegł już dachy chat w wiosce.

Od jakiegoś czasu do jego uszu dochodziło głośnie beczenie. Szybko poznał źródło tych odgłosów. Uniósł głowę. Mały chłopiec spędzał stado owiec i kilka kóz ze stoku prosto na szlak prowadzący do wioski. Pomagała mu w tym zadaniu para psów.

– Nie tylko my szukamy schronienia – odezwał się wędrowiec do wierzchowca. Zatrzymali się, żeby nie blokować małemu pasterzowi kamienistej ścieżki.

– Pogoda nas nie rozpieszcza. Lepiej schować się przed śniegiem w ciepłej izbie – odezwał się przyjaźnie do chłopca.

Ten jednak trzymał się od niego z dala, nie schodząc na ścieżkę.

– Kim jesteś? – zapytał podejrzliwie.

– Zwą mnie Peiris – skłamał. Nawet tak blisko domu wolał nie ujawniać swojego prawdziwego imienia.

– Nigdy nie słyszałem o kimś, kto się tak nazywa – usłyszał lekceważącą odpowiedź.

– Kiedy ja opuszczałem wioskę, byłeś jeszcze pewnie oseskiem, raczkującym po skórze niedźwiedzia u stóp matki.

– Możliwe... – Chłopak trochę się rozluźnił i nie patrzył już na niego z taką nieufnością. Zajął się zaganianiem ostatnich owiec i kóz na drogę, pokrzykując głośno i machając rękami. Psy biegały tam i z powrotem, poganiając maruderów. Wędrowiec obserwował te zabiegi przez jakiś czas, a gdy cała trzoda znalazła się na ścieżce, zbliżył się do małego pasterza i szedł z nim ramię w ramię. *Ciekawe, czego się od niego dowiem...*

– Jak się miewa Rhesus?

– Rhesus? Ten stary król?

– Tak.

– Umarł cztery lata temu. Zabrała go zaraza.

– To jego syn Andriscus zasiada teraz na tronie?

– Naprawdę musiało cię tu długo nie być. – Chłopiec rzucił mu pogardliwe spojrzenie. – Andriscus też nie żyje. – Rozejrzał się czujnie wokół, zanim dokończył szeptem. – Zakatrupiony. Jak Sitalkes. – Zauważył błysk przerażenia w oczach wędrowca. – No wiem. Straszna sprawa. Ojciec gadają, że wielki Jeździec ukarze Kotysa, ale na razie musimy z tym żyć.

– To Kotys zabił Sitalkesa?



- Ano – odpowiedział chłopiec, po czym splunął.
- I teraz on jest królem? – Chłopak kiwnął głową. – Rozumiem...

Zapadła cisza, której młokos nie ośmielił się przerwać. Nie chciał się do tego przyznać, ale ponury podróżnik go przerażał. Chwilę później mężczyzna się zatrzymał.

– Idź dalej sam. – Wskazał ogiera. – Ja nie mogę go nadwyręzać, bo nie jest całkiem sprawny. Do zobaczenia w wiosce.

Chłopak skinął głową z ulgą, koncentrując się na pilnowaniu stada. Wędrowiec odczekał, aż mały pasterz oddali się od niego, a potem zamknął oczy. Jego sumieniem targało poczucie winy. *Gdybym był w wiosce, wszystko potoczyłoby się inaczej!*

Nie pozwolił sobie jednak na długie rozpaczanie. *A może i nie. Może ja też już bym nie żył. Decyzja ojca o wysłaniu mnie w wielki świat była właściwa.* Podejrzewał, że Sitalkes również nie zachowałby się inaczej, gdyby wiedział, co się stanie. Nie można było nie zauważyć smutku, który go ogarnął na wiadomość, że jego ojciec został zamordowany. Przywołał z pamięci obraz Sitalkesa takiego, jakim go ostatnio widział: silnego, dumnie wyprostowanego, zdrowego. *Spoczywaj w pokoju, ojcze.* Chciał wrócić do domu, jako że jego służba dla zniechęconych wrogów dobiegła końca. Wieści z rodzinnej wioski wytrąciły go z równowagi, bo jeśli Sitalkes został zamordowany, to znaczy, że nie zostanie ciepło powitany. Nie będzie mu dane odpocząć. Nie mógł teraz tak po prostu odwrócić się i odejść. Musiał ukarać zabójcę. Tego wymagał jego honor. A poza tym... co miałyby ze sobą zrobić? Wrócić do legionów? *Nie ma mowy.* Nadszedł czas, aby wypełnić zadanie, bez względu na to, jakie czeka go przyjęcie. *Nie kwestionuję twojej woli, wielki Jeźdźcu. Proszę cię jednak, abys mnie chronił tak, jak czyniłeś dotąd. I pomóż mi zemścić się na zabójcy ojca.* Fakt, że oznacza to zapewne ukaranie króla, nie osłabiał jego determinacji.

– Ruszamy... – zwrócił się do ogiera. – Znajdźmy ci jakąś stajnię i trochę obroku.

Ariadna odwracała się niespiesznie.

– Polles! Co za niespodzianka. – Nie próbowała ukrywać chłodu w głosie. Polles może sobie być ulubieńcem Kotysa, ale był również aroganckim osiłkiem, który nadużywał swojej pozycji i władzy.

– Król życzy sobie zamienić z tobą słowo – wycedził Polles.

Mimo że wojownik starał się udawać kurtuazję, nie mogło być wątpliwości, że przekazuje rozkaz. *Jak on śmie?* Ariadna zmusiła się, aby zachować kamienną twarz.

– Ależ rozmawiałam z nim nie dalej jak wczoraj.

Wąskie wargi Pollesa wykrzywiły się, co miało być uprzejmym uśmiechem. Ten mężczyzna – cały, jak go bogowie stworzyli, ze swoją niecodzienną urodą, długimi, czarnymi włosami i pokrytymi oliwą wielkimi mięśniami – mógłby być symbolem zarozumiałości.

– Niemniej pragnie... przyjemności z twojego towarzystwa jeszcze raz.

Uwadze Ariadny nie uszło krótkie, acz zapewne celowe zawahanie w tej wypowiedzi, które miało podkreślić jej dwuznaczność. Sądząc z tłumionych rechotów wojowników za plecami posłańca, oni też dobrze zrozumieli podtekst. *Lubieżna łajza z brudnymi myślami. Tak samo jak jego pan.*

– Kiedy? – zapytała, udając zaskoczenie.

– Dlaczego nie teraz?

– Gdzie jest król?

Polles zamachnął się leniwie, wskazując za plecy.

– Na placu zgromadzeń.

*Gdzie wszyscy mogą go zobaczyć.*

– Zaraz się tam udam.

– Kotys wysłał nas, abyśmy ci towarzyszyli. I zapewne oczekuje, że udasz się do niego bez zwłoki. – Polles zmarszczył brwi.

– Możliwe, ale jestem zajęta. – Ariadna wskazała gestem pochyłą staruszkę. – Nie widzisz?

– Ja... – Na twarzy wojownika pojawił się grymas irytacji.

– Czy życzenia króla są ważniejsze niż wola Dionizosa? – spytała Ariadna, unosząc lekko pokrywę kosza.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedział Polles, wycofując się.

– I tak jest dobrze... – Ariadna odwróciła się do niego plecami.

Słyszała pełne złości komentarze towarzyszy Pollesa i jego samego: „Nie wiem, co powinieneś powiedzieć królowi. Powiedz mu, że jej nie znaleźliśmy. Albo że jest w transie. Wymyśl coś!”.

Po chwili rozległo się za jej plecami zniecierpliwione szuranie stóp. Pozwoliła sobie na delikatny uśmiech. Kobięcina, która wcześniej paplała jak najęta, szybko jednak zamilkła. Nie było w tym nic dziwnego. Mało kto wykazywałby się erudycją, gdyby kilka kroków od niego stał jeden z członków straży przybocznej króla i zapewne wbijał kapłance szpile w plecy z kwaśną miną. W końcu Ariadna wymruczała krótką modlitwę, błogosławiąc staruszkę, a potem zerknęła na Pollesa.

– Jestem gotowa.

Niezgrabnie wskazał jej miejsce w szyku wojowników, którzy szybko utworzyli wokół niej kordon. Polles poprowadził kolumnę, wrzeszcząc na każdego, kto był na tyle głupi, aby wejść im w drogę. Dotarcie do głównego placu w centrum wioski nie zajęło im zbyt wiele czasu. Plac miał kształt nierównego koła, a jego krawędź wyznaczały dziesiątki chat. Grupy plotkujących kobiet wracały tędy znad rzeki z praniem. Gromady ubranych w łańchmany dzieciaków bawiły się albo biły, w kurzu i błocie, podczas gdy chude kundły skakały podekscytowane wokół nich, wypełniając powietrze przenikliwym ujadaniem. Z dachu nieodległej kuźni sączył się dym, a ze środka dobiegały dźwięki uderzeń młota o kowadło. Na zewnątrz czekała grupka mężczyzn z uszkodzoną bronią w dłoniach. Obok ustawiono kilka kramów ze sprzętami rzemieślników, dziełem pracy rąk garbarzy i podstawowymi produktami spożywczymi, takimi jak zboża i sól, ale również z ceramiką. Poza kuźnią przy placu znalazło się miejsce na nędzną karczmę oraz trzy świątynie – Dionizosa, Jeźdźca i Matki. I to by było na tyle.

Plemię Maedi, podobnie jak wszyscy Trakowie, nie było ludem predestynowanym do zajmowania się kupiectwem. Na tym terytorium nie było zbyt wielu zasobów naturalnych. Z roli można było uzyskać podstawowe produkty, wystarczające, by przeżyć, dlatego większość mężczyzn z plemienia naturalnie wybrała drogę wojowników, dla których jedynym celem istnienia stawała się walka, zarówno z plemionami sąsiednimi, jak i daleko za granicami. Nic dziwnego, że na placu widziała w większości potężnie zbudowanych mężczyzn, przeważnie szatynów i rudowłosych o ciemnej cerze, ale w bardzo różnym wieku, od młodych wyrostków, którym ledwo sypał się wąs, po białobrodych mężczyzn w dojrzałym wieku, równie pewnych siebie, jak ci pierwsi. Wojownicy ci byli odziani w plisowane tuniki z krótkimi rękawami w różnych kolorach, od czerwonego, poprzez zielony, kończąc na brązowym i kremowym. Nosili sandały lub buty ze skórzaną cholewką i uniesioną końcówką. Na ich głowach wszechobecne były spiczaste czapki *alopekis* z lisiego futra i z długimi klapami zakrywającymi uszy. Bogatszych stać było na naszyjniki, wykonane z brązu lub nawet ze złota. Miecz czy sztylet – a często oba – obijały się o uda lub zwiisały na pasie piersiowym. Ludzie stali w grupach, chwając się zapewne swoimi wyczynami lub umawiając się na polowania.

Gdy kolumna gwardzistów pojawiła się na placu, zwróciła uwagę wszystkich

zgrupowanych. Ariadna czuła ciężar ich wzroku. Podążali ku świątyni Dionizosa. Był to budynek nieco większy niż pozostałe, wyróżniający się kwadratowymi kamiennymi kolumnami po obu stronach wejścia. Słyszała szepty wojowników. To naprawdę ją denerwowało. Byli na tyle odważni, aby nie lękać się wrogów w polu, a jednocześnie nie potrafili sprzeciwić się królowi, którego nie lubili. Ta myśl sprawiała, że nagle poczuła się bardzo samotna.

Kotys czekał przy drzwiach świątyni z członkami straży przybocznej, stojącymi po jego każdej ręce, i grupą gwardzistów przed nim. Roztaczał wokół siebie aurę wielkości. Choć miał już prawie pięćdziesiąt lat, wyglądał na młodszego o jakieś dziesięć lat. Wśród ciemnych fal włosów na próżno było szukać siwej smugi, a nieliczne zmarszczki sprawiały, że miał twarz lisa przechery. Na purpurową, długą do kolan tunikę założył kompozytowy pancerz z napierśnikiem zdobionym złotem i dwoma identycznymi pektoralami z tego samego metalu szlchetnego. Watowane *pteryges* chroniły jego pachwiny, a nogi – inkrustowane srebrem nagolenniki. U zdobionego złotem pasa, w nabijanej bursztynem pochwie, wisiała *machaira* z rękojeścią z kości słoniowej. Ozdobny hełm attycki stanowił uzupełnienie tego pełnego przepychu wizerunku. Nie mogło być wątpliwości, że miało się przed sobą króla.

Gdy Polles przebijał się przez tłum wojowników, Kotys obserwował Ariadnę, najwyraźniej rozkoszując się jej widokiem.

– Kapłanko! Wreszcie zaszczytasz nas swoją obecnością! – zawołał.

– Przybyłam tak szybko, jak mogłam, Wasza Wysokość. – Nie próbowała się tłumaczyć.

– Wspaniale. – Kotys skinął lekceważąco dłonią. Jej eskorta zrobiła w tył zwrot i się oddaliła. Ariadna niechętnie postąpiła krok do przodu, a potem jeszcze kawałek dalej. Czuła, że Polles gapi się na jej plecy z obleśnym uśmiechem. Odwróciła głowę i spojrzała mu prosto w oczy. Jej zachowanie nie uszło uwadze Kotysa, który jeszcze raz machnął ręką, jakby się oganiał od muchy. Po tym geście jego ulubieniec wycofał się jakieś dwadzieścia kroków w stronę kuźni.

– Musisz wybaczyć Pollesowi brak manier. Nie radzi sobie za dobrze, gdy wysyłam go z takimi delikatnymi zadaniami.

*Po co było go w ogóle posyłać?*

– Rozumiem... – odrzekła cicho, starając się stłumić gniew.

– Dobrze. – Jedno słowo miało wystarczyć, jako że dotarli właśnie do granicy uprzejmości Kotysa. – Łatwo uda nam się zapewne poczynić bardziej odpowiednie ustalenia – dokończył szorstko.

– Czego miałyby dotyczyć? – Zdziwiona Ariadna uniosła brwi.

– Chciałbym, żebyś któregoś wieczoru zjadła ze mną wieczerę w moim pałacu. Nie będziemy wtedy potrzebowali Pollesa ani eskorty.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe – odparła lodowatym głosem.

– Zapominasz, kim jestem? – powiedział Kotys, krzywiąc się przy tym brzydko.

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość. – Ariadna spuściła oczy, udając skromność. – Jednak wieczorami przychodzą najlepsze wizje. To w tym czasie najłatwiej nawiązać kontakt z bogiem – skłamała.

– Któryś wieczór można chyba sobie podarować... – warknął.

– Nie, panie. Wizje przychodzą sporadycznie. Nic dziwnego, wszak Dionizos wybiera własne drogi, często okryte mgłą tajemnicy.

Przytaknął z zadumą.

– Jeździec czyni podobnie.

– Oczywiście. Nieregularne wizje i kręte drogi wybierane przez niego sprawiają, że muszę być zawsze gotowa, by odebrać wiadomość. Spędzenie wieczoru poza świątynią jest...

wykluczone. Teraz, jeśli mi wybaczysz, panie, muszę się pomodlić. – Mimo że serce waliło jej jak oszalałe, Ariadna skłoniła się nisko i posłała Kotysowi pełen błogości uśmiech, a następnie chciała go wyminąć.

Drgnęła zaskoczona, gdy nagle chwycił ją mocno za ramię. Upuściła kosz, ale jego wieko, niestety, trzymało się mocno.

– To boli!

– Myślisz, że to jest ból? – Kotys roześmiał się chrapliwie, a po chwili przysunął się blisko i spojrzał jej głęboko w oczy. – Musisz coś zrozumieć, *suko*. Bawiąc się tak ze mną, sporo ryzykujesz. Nie będę tego tolerował wiecznie. Pamiętaj, że też jestem kapłanem. Trafisz do mojej łóżnicy tak czy inaczej. I to całkiem szybko. – Niespodziewanie zwolnił uchwyt. Ariadna, blada jak płótno, zachwiała się i zrobiła kilka niepewnych kroków.

Ileż by dała za grom z jasnego nieba, który by go poraził! Oczywiście nic takiego się nie stało. Mogła być kapłanką Dionizosa, ale Kotys również służył bogom. Opadła ją bezsilność. Kabyle z wpływową radą arcykapłanów było daleko. Nie, żeby liczyła, że coś by zrobili z tą sprawą. Jako władca ludu Maedi i kapłan Jeźdźcy Kotys mógł robić, co chce. Zmusiła się do sztywnego ukłonu. Usta Kotysa drgnęły, układając się w pogardliwy uśmieszek.

– Jeszcze wrócimy do tej rozmowy – powiedział chrapliwie. – Niedługo.

Nie mogąc opanować drżenia rąk, Ariadna zaniósła kosz pod drzwi świątyni. Uniosła ciężką belkę, otwierając bramę i wpuszczając do środka promienie słoneczne, które rozświetliły mrok wnętrza. Gdy Kotys wreszcie oddalił się na bezpieczną odległość, mogła wypuścić powietrze. Czuła, że ma miękkie kolana, dlatego usiadła na jednej z ławek, które ustawiono pod ścianami. Zamknęła oczy i wciągnęła haust powietrza. Policzyła bicia serca. Przy czwartym zaczęła stopniowo wypuszczać powietrze. *Dionizosie, pomóż mi, proszę* – błagała. *Proszę!* Nie przerywała ćwiczeń ze spowalnianiem oddechu i w końcu poczuła, że się uspokaja. Rozluźniła spięte mięśnie ramion. Lęk nie chciał jednak opuścić jej ciała, zbierając się teraz w brzuchu. Trzeba będzie czegoś więcej niż modlitwa, aby ukarać Kotysa za jego zachłanność. Teraz czuła się jednak zupełnie bezradna.

Dyskretny kaszel przywołał ją do rzeczywistości.

Odwróciła głowę. Postać stojąca w drzwiach była niewyraźna, bo okalały się jasne promienie słoneczne. Nie mogła jej rozpoznać. Od razu poczuła strach, który powrócił w towarzystwie ostrych igiełek paniki. Chwilę trwało, zanim uspokoiła skołatanane nerwy. To nie był Kotys ani Polles, którzy nie zachowywaliby się tak subtelnie.

– Kto tu?

– Nazywam się Berisades – usłyszała głos pełen szacunku. – Jestem kupcem.

Ariadna przejęła kontrolę nad swoim ciałem.

– Podejź, proszę – rzekła i sama ruszyła w stronę gościa. Berisades był niskim mężczyzną w jesieni życia. Miał schludnie przystrzyżoną brodę i głęboko osadzone inteligentne oczy.

– Przybyłeś tu prosto z drogi – powiedziała, spoglądając na zieloną tunikę i luźne spodnie pokryte pyłem.

– Idę ze wschodu. To była długa podróż, ale udało się dotrzeć aż tu bez wielkich strat. Dlatego uznałem, że powinienem od razu podziękować Dionizosowi. – Berisades poklepał dłonią mieszek wiszący na pasie. Zawartość sakiewki zabrzczała.

Ariadna poprowadziła kupca do kamiennego ołtarza. Na znajdującym się za nim cokole stał sporej wielkości malowany posąg Dionizosa. Brodaty bóg w jednej dłoni trzymał winorośl, a w drugiej kielich. Pod jego stopami wyraźnie widać było fale, które symbolizowały władzę nad wodą. Przy jednym ramieniu znajdowała się rzeźba byka z twarzą mężczyzny, a przy drugim

artysta umieścił grupę tańczących satyrów. Pod stopami boga leżały bukiety zwiędłych kwiatów i miniaturowe gliniane naczynia z winem, a także małe posążki, wykonywane na jego podobieństwo. Promienie słońca migotały na nasyconych złotą barwą kawałkach bursztynu i połyskującego szkła. Wśród darów bywalców świątyni znajdowały się między innymi długie, zakrzywione jak zęby muszle okładniczek, charakterystyczne muszle małż z żebrowaniem, a także, najbardziej cenione, rzadkie muszle zwane porcelankami tygrysimi.

Berisades ukląkł i umieścił woreczek między innymi ofiarami wiernych.

Ariadna wycofała się dyskretnie, pozwalając mu skupić się na modlitwie. Znów w jej wyobraźni pojawił się obraz lubieżnie uśmiechniętego Kotysa. Ponownie opadły ją niewesołe myśli. Nie przychodził jej do głowy żaden sposób uwolnienia się od napastliwego władcy. Powoli ogarniała ją rozpacz. W nadziei, że pomoże jej medytacja, zamknęła oczy i starała się wejść w trans, który tak często pozwalał jej poznać oczekiwania i pragnienia Dionizosa. Na nic! Wciąż wracała myślami do obrazu Kotysa, który bierze ją siłą.

– Jak cię zwą, pani? – Głos Berisadesa dochodził z bliska. Przerwał potok jej niewesołych myśli.

– Ariadna.

– Nie było cię tutaj, gdy ostatnio byłem w tej wiosce.

– Nie. Przybyłam do świątyni sześć księżyców temu.

Pokiwał głową.

– Pamiętam, że stary kapłan nie czuł się za dobrze. Ty jesteś młoda i zdrowa. Nie wątpię, że zostaniesz tu przez wiele lat, aby radować oczy każdego wdzięcznego podróżnika, który zechce odwiedzić świątynię i oddać cześć bogu.

– Jesteś bardzo miły – odrzekła półgłosem Ariadna, chociaż w środku ciągle czuła mrok lęku. *Gdybyś tylko znał prawdę.*

– Przy okazji... Wkrótce możesz spodziewać się kolejnego gościa.

– Tak? – Ariadna nie poświęcała słowom kupca większej uwagi. Znów wróciła myślami do Kotysa.

– Wczoraj spotkałem na szlaku wojownika, który wracał do domu. Przybylibyśmy razem, ale jego koń okulał. Wygląda na to, że spędził wiele lat w rzymskich jednostkach pomocniczych. Mówił, że zamierza podziękować bogom plemienia za bezpieczny powrót. Spokojny człowiek, ale wyrażał się z wielką swobodą i pewnością siebie.

– Naprawdę? – Ariadna reagowała automatycznie. Nie za bardzo interesował ją powrót kolejnego tubylcy, który służył Rzymowi jako najemnik.

Berisades zauważył, że kapłanka błądzi myślami gdzieś daleko.

– Dziękuję, pani – mruknął, wycofując się.

Ariadna obdarzyła go na odchodnym promiennym uśmiechem. Jej dusza krzyczała.

Gdy wspinali się po ostrym stoku do otoczonej palisadą osady, załazy go obrazy z przeszłości. Gorące letnie dni i kąpiele z chłopakami w rzece o bystrym nurcie, która przepływała w pobliżu wioski. Pilnowanie dobrze zbudowanych koni, które służyły jako wierzchowce bojowe bogatszym wojownikom. Polowanie na jelenie, niedźwiedzie i wilki w wieku młodzieńczym wśród szczytów, które górowały nad osadą. Pierwsza krew, którą przelał jako wojownik, w wieku lat szesnastu zabijając swojego pierwszego wroga. Modły na klęczkach w świętym gaju na szczycie pobliskiej góry, gdy prosił Jeźdźca o opiekę i podpowiedzi. Godziny wypełnione przeklinaniem bogów za to, że pozwolili odejść jego matce w połogu po urodzeniu dziewczynki. Małej siostry, która pożyła jeszcze niecały miesiąc. Dzień, gdy dowiedział się, że Rzymianie najechali Trację. Wymarsz przeciwko legionom z ojcem, bratem Maronem i innymi mężczyznami z plemienia. Ich pierwsze wspaniałe zwycięstwo, a potem gorzkie klęski.

Śmierć Marona w męczarniach. Tydzień wcześniej jakiś Rzymianin wraził mu w brzuch gladius. Kolejne próby unieruchomienia rzymskiej maszyny wojennej. Zasadzki w górach. Nocne bitwy. Zatrucie rzek. Sojusze z innymi plemionami, które nie udały się z powodu zdrady lub chciwości jednostek albo przez jedno i drugie.

– My, Trakowie, nigdy się nie zmienimy, co? – zapytał ogiera. – I nikogo nie obchodzi, co jest najlepsze dla Tracji. Bierzymy się za łby ze wszystkimi, tłukąc się nawet między sobą. Zwłaszcza między sobą. Zjednoczyć się, aby walczyć ze wspólnym wrogiem, takim jak Rzym? Nie ma mowy! – Zaśmiał się krótko i ponuro. Pierwsza część zadania, jakie zlecił mu ojciec – służba w rzymskich legionach – została wykonana. Potem miał zjednoczyć plemiona Tracji. Łudził się, że zanim przyjdzie mu rozpocząć realizację drugiej części planu, będzie mógł przez jakiś czas wieść względnie normalne życie. Teraz musiał o tym zapomnieć. Niebo nad jego głową znów przykryły ciemne chmury z krwawą poświatą. Nie próbował walczyć z adrenaliną, którą pompowało do krwi jego serce. Przywitał tak dobrze znany mu stan z zadowoleniem. *Kotys zabił mi ojca. Zdradziecki kundel. Musi umrzeć. I to szybko.*

Koń przywykł już zarówno do tych monologów, jak i długich okresów milczenia w zamyśleniu. Szedł spokojnie za swoim panem, a jego pewne kroki odbijały się echem kopyt od skał.

Przy wielkiej bramie w murze palisady stało dwóch wartowników uzbrojonych w tarcze i oszczepy. Gdy się zbliżył, zmrużyli oczy i patrzyli na przybysza niepewnie, wymieniając półgłosem jakieś uwagi. Niewielu ludzi przybywało do osady o tak późnej porze, niewielu podróżowało w tak złą pogodę. Jeszcze mniejsza grupa mogła pochwalić się posiadaniem kolczugi lub hełmu. Chociaż ogier przybysza trochę kulał, wyglądał na rasowego ogiera. Co więcej, miał białe umaszczenie. Wierzchowiec godny króla.

– Stać!

Zatrzymał się w miejscu, unosząc lewą rękę w geście oznaczającym, że przychodzi w pokoju. *Pozwólcie mi przejść przez bramę, nie zadając zbyt wielu pytań.*

– Paskudna pogoda. – Zaczął łagodnie. – Gdy tylko oddam cześć Jeźdźcy, spędzę ten wieczór przy ogniu z pucharem wina w dłoni.

– Znasz nasz język? – Starszy strażnik nie krył zdziwienia.

– Oczywiście. – Zaśmiał się wędrowiec. – Jestem Maedi. Jak wy.

– Czyżby? Twoja morda nie wygląda mi znajomo – prychnął drugi wartownik.

– Ja też cię nie znam... – dodał nieco bardziej przyjaznym tonem jego towarzysz.

– Możecie mnie nie znać, ale urodziłem się i wychowałem w tej wiosce. – Wędrowiec skrzywił się, widząc, że zerkają na niego niepewnie. – Czy po niemal dziesięciu latach poza domem to wszystko, na co mogę tu liczyć? – Miał już przedstawić się pod zmyślnym imieniem Peiros, ale pierwszy strażnik go uprzedził.

– Kim jesteś? – Przyjrzał się mu uważniej, dostrzegając po chwili plamy krwi na tunice. A potem znów spojrział uważnie na twarz wędrowca. – Poczekaj... Ja cię znam! Spartakus?

*Szlag by to!*

– We własnej osobie... – odparł krótko, opuszczając rękę na rękojeść miecza.

Na twarzy starszego mężczyzny od razu pojawił się uśmiech pełen niedowierzania.

– Na wszystkich bogów! Dlaczego nie powiedziałeś od razu? Jestem Lycurgus. Walczyłem u boku Sitalkesa. – Rzucił ostrzegawcze spojrzenie na drugiego strażnika.

– Pamiętam cię – odezwał się Spartakus, witając go przyjaznym skinieniem głowy. Na drugiego wartownika spojrział mniej serdecznie. Ten zamarł i spuścił głowę jakby bardziej zainteresowany ukształtowaniem powierzchni pod nogami.

– Wiele się zmieniło, od kiedy opuściłeś wioskę – zaczął Lycurgus, poważniejąc. – Twój

ojciec...

– Wiem – przerwał ostro Spartakus. – Nie żyje.

– No tak.

– Jak słyszałem, zginął w podejrzanych okolicznościach. – Nie mógł się powstrzymać.

– Żaden z nas nie miał z tym nic wspólnego. – Lycurgus spojrzął na swego towarzysza. –

Powinieneś raczej zamienić słówko z Pollesem.

– Kim jest ten Polles?

– Aroganckim suchym synem. Dowódcą straży przybocznej króla. – Niechęć w głosie Lycurgusa była aż nadto widoczna.

– A co z Getasem, Seuthesem i Medokosem? Żyją? – zapytał jakby od niechcienia.

– O, tak! Wypadli z łask, ale nie zadzierają nosów i Kotys zostawił ich w spokoju. – Uświadomiwszy sobie, że ta rozmowa zmierza w niebezpiecznym kierunku, Lycurgus oblizał wargi i zaczął niepewnie. – Czy ty...

– Jestem zmęczony. – Spartakus udawał, że nie usłyszał. – Od tygodni na szlaku. Chcę tylko wypełnić brzuch ciepłą strawą i wychylić czarę wina ze starymi druhami. Król może poczekać do jutra. – *Nie musi wiedzieć wcześniej, że wróciłem. A gdy się dowie, jeśli bogowie pozwolą, będzie już za późno. A teraz, gdy ci dwaj wiedzą, kim jestem, muszę działać szybko. Getas i inni mi pomogą.* – Chyba nie proszę o zbyt wiele?

– Jaa-asne, że nie – wyjąkał Lycurgus. Spojrzął znacząco na swojego towarzysza.

– Nie puścimy pary z ust.

– Nikomu ani słowa... – Spartakus chciał mieć pewność. Wyczuwając zawołowaną groźbę w głosie wędrowca, strażnicy pokiwali skwapliwie głowami. – I niech tak zostanie. – Zasłonił fałdą peleryny usta i dolną część twarzy. Wyminął ich bez słowa.

– Ty imbecylny! – wysyczał Lycurgus, gdy wędrowiec zniknął im z oczu. – Spartakus jest jednym z największych wojowników tego plemienia! Ciesz się, że był w dobrym humorze. Mówię ci, że wolisz go *nie* wkurzać.

– Co on planuje?

– Nie wiem – uciął Lycurgus. – I nie chcę wiedzieć. Jeśli ktoś spyta, nie rozpoznaliśmy go. Jasne?